



Interview



JOHN
GWYNNE

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Podziękowania

Rozdział pierwszy. VERADIS

Rozdział drugi. NATHAIR

Rozdział trzeci. CORALEN

Rozdział czwarty. CORBAN

Rozdział piąty. RAFE

Rozdział szósty. CAMLIN

Rozdział siódmy. CORALEN

Rozdział ósmy. CORBAN

Rozdział dziewiąty. FIDELE

Rozdział dziesiąty. JAEL

Rozdział jedenasty. MAQUIN

Rozdział dwunasty. JAEL

Rozdział trzynasty. FIDELE

Rozdział czternasty. MAQUIN

Rozdział piętnasty. VERADIS

Rozdział szesnasty. JAEL

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty. CYWEN

Rozdział dziewiętnasty. UTHAS

Rozdział dwudziesty. CAMLIN
Rozdział dwudziesty pierwszy. HAELAN
Rozdział dwudziesty drugi. CORBAN
Rozdział dwudziesty trzeci. MAQUIN
Rozdział dwudziesty czwarty. VERADIS
Rozdział dwudziesty piąty. LYKOS
Rozdział dwudziesty szósty. NATHAIR
Rozdział dwudziesty siódmy. CORBAN
Rozdział dwudziesty ósmy. CORALEN
Rozdział dwudziesty dziewiąty. RAFE
Rozdział trzydziesty. CORBAN
Rozdział trzydziesty pierwszy. CORALEN
Rozdział trzydziesty drugi. CORBAN
Rozdział trzydziesty trzeci. CORALEN
Rozdział trzydziesty czwarty. CORBAN
Rozdział trzydziesty piąty. CORALEN
Rozdział trzydziesty szósty. CORBAN
Rozdział trzydziesty siódmy. CORALEN
Rozdział trzydziesty ósmy. LYKOS
Rozdział trzydziesty dziewiąty. CORBAN
Rozdział czterdziesty. RAFE
Rozdział czterdziesty pierwszy. CAMLIN
Rozdział czterdziesty drugi. VERADIS
Rozdział czterdziesty trzeci. CAMLIN

Rozdział czterdziesty czwarty. UTHAS
Rozdział czterdziesty piąty. HAELAN
Rozdział czterdziesty szósty. VERADIS
Rozdział czterdziesty siódmy. CAMLIN
Rozdział czterdziesty ósmy. RAFE
Rozdział czterdziesty dziewiąty. NATHAIR
Rozdział pięćdziesiąty. CYWEN
Rozdział pięćdziesiąty pierwszy. LYKOS
Rozdział pięćdziesiąty drugi. CYWEN
Rozdział pięćdziesiąty trzeci. CAMLIN
Rozdział pięćdziesiąty czwarty. RAFE
Rozdział pięćdziesiąty piąty. CAMLIN
Rozdział pięćdziesiąty szósty. LYKOS
Rozdział pięćdziesiąty siódmy. FIDELE
Rozdział pięćdziesiąty ósmy. CYWEN
Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty. VERADIS
Rozdział sześćdziesiąty. HAELAN
Rozdział sześćdziesiąty pierwszy. VERADIS
Rozdział sześćdziesiąty drugi. HAELAN
Rozdział sześćdziesiąty trzeci. CYWEN
Rozdział sześćdziesiąty czwarty. MAQUIN
Rozdział sześćdziesiąty piąty. CAMLIN
Rozdział sześćdziesiąty szósty. CORBAN
Rozdział sześćdziesiąty siódmy. CYWEN

Rozdział sześćdziesiąty ósmy. RAFE
Rozdział sześćdziesiąty dziewiąty. FIDELE
Rozdział siedemdziesiąty. RAFE
Rozdział siedemdziesiąty pierwszy. CAMLIN
Rozdział siedemdziesiąty drugi. RAFE
Rozdział siedemdziesiąty trzeci. CAMLIN
Rozdział siedemdziesiąty czwarty. RAFE
Rozdział siedemdziesiąty piąty. CAMLIN
Rozdział siedemdziesiąty szósty. CORALEN
Rozdział siedemdziesiąty siódmy. CYWEN
Rozdział siedemdziesiąty ósmy. MAQUIN
Rozdział siedemdziesiąty dziewiąty. CORBAN
Rozdział osiemdziesiąty. UTHAS
Rozdział osiemdziesiąty pierwszy. CORBAN
Rozdział osiemdziesiąty drugi. FIDELE
Rozdział osiemdziesiąty trzeci. MAQUIN
Rozdział osiemdziesiąty czwarty. LYKOS
Rozdział osiemdziesiąty piąty. MAQUIN
Rozdział osiemdziesiąty szósty. CAMLIN
Rozdział osiemdziesiąty siódmy. RAFE
Rozdział osiemdziesiąty ósmy. CORBAN
Rozdział osiemdziesiąty dziewiąty. NATHAIR
Rozdział dziewięćdziesiąty. VERADIS
Rozdział dziewięćdziesiąty pierwszy. NATHAIR

Rozdział dziewięćdziesiąty drugi. CAMLIN
Rozdział dziewięćdziesiąty trzeci. VERADIS
Rozdział dziewięćdziesiąty czwarty. UTHAS
Rozdział dziewięćdziesiąty piąty. CORBAN
Rozdział dziewięćdziesiąty szósty. RAFE
Rozdział dziewięćdziesiąty siódmy. CORALEN
Rozdział dziewięćdziesiąty ósmy. UTHAS
Rozdział dziewięćdziesiąty dziewiąty. CYWEN
Rozdział setny. CAMLIN
Rozdział sto pierwszy. UTHAS
Rozdział sto drugi. CORBAN
Rozdział sto trzeci. LYKOS
Rozdział sto czwarty. CORBAN
Rozdział sto piąty. MAQUIN
Rozdział sto szósty. CORBAN
Rozdział sto siódmy. CAMLIN
Rozdział sto ósmy. LYKOS
Rozdział sto dziewiąty. CORBAN
Rozdział sto dziesiąty. MAQUIN
Rozdział sto jedenasty. CORBAN
Rozdział sto dwunasty. HAELAN
Rozdział sto trzynasty. NATHAIR
Rozdział sto czternasty. CYWEN
Rozdział sto piętnasty. VERADIS

Rozdział sto szesnasty. CAMLIN

Rozdział sto siedemnasty. RAFF

Rozdział sto osiemnasty. CORBAN

Rozdział sto dziewiętnasty. MAQUIN

Rozdział sto dwudziesty. CORBAN

Rozdział sto dwudziesty pierwszy. VERADIS

Rozdział sto dwudziesty drugi. CORBAN

Rozdział sto dwudziesty trzeci. CORALEN

Rozdział sto dwudziesty czwarty. CORBAN

Rozdział sto dwudziesty piąty. VERADIS

Rozdział sto dwudziesty szósty. CAMLIN

Rozdział sto dwudziesty siódmy. CORBAN

Postacie

Ziemie Wygnanych

JOHN GWYNE

AmieW

KSIĘGA CZWARTA
WIERNYCH I UPADŁYCH

PRZEŁOŻYŁ MARCIN MORTKA

WYDAWNICTWO MAG
WARSZAWA 2020

Tytuł oryginału: *Wrath. The Faithful and the Fallen – Book Four*

Copyright © 2016 by John Gwynne

Copyright for the Polish translation © 2020 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Anna Włodarkiewicz

Korekta: Elwira Wyszynska

Ilustracja na okładce: Paul Young

Opracowanie graficzne okładki: Piotr Chyliński

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń

Wydanie II

ISBN 978-83-66409-62-0

Wydawca: Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel./fax 228134743

www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor: Dressler Dublin sp. z o. o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 227335010

www.olesiejuk.pl

Skład wersji elektronicznej: pan@drewnianyrower.com

*Dla Edwarda,
który wędrował po Ziemiach Wygnanych wraz ze mną, stał u mego
boku i dzielił się wrażeniami od początku do końca.
Kocham cię, synu.*

*Dla Caroline,
mej miłości i przyczyny, dla której budzę się co rano.*

Podziękowania

A więc to już koniec.

Trudno mi uwierzyć, że to już czwarta i ostatnia część *Wiernych i Upadłych*. Zawsze wydawała mi się czymś odległym, majaczącym niewyraźnie na horyzoncie, ale niniejszym *Gniew* został ukończony.

Mam nadzieję, że książka przypadnie wam do gustu, a jej zakończenie przyniesie wam wiele emocji. Jako jej twórca mam za sobą długą drogę. Wciąż doskonale pamiętam pewien dzień w 2002 roku, gdy wróciłem z rodziną z kinowego seansu *Dwóch Wież*. Siedzieliśmy przy stole i jedliśmy obiad, a wtedy moja cudowna żona, bynajmniej nie po raz pierwszy w życiu, powiedziała: „Powinieneś spróbować napisać książkę!”.

Próbowałem jej wyjaśnić, że to dość komiczny pomysł, i zacząłem nawet przedstawiać kolejne dowody na poparcie tej tezy, ale moje dzieci podchwyciły temat i nagle mój opór zaczął kruszeć, aż w końcu pomyślałem: „A właściwie dlaczego nie? Mogłoby być fajnie!”.

Od tej chwili minęło czternaście lat.

Był to burzliwy, szalony okres, w trakcie którego zbierałem nieustannie rosnący hufiec bohaterów, którzy pomagali w tworzeniu cyklu, i jestem dziś winien wdzięczność wielu ludziom.

W pierwszej kolejności chciałbym podziękować mojej żonie Caroline oraz moim dzieciom: Harriett, Jamesowi, Edowi i Willowi za nieustające wsparcie i entuzjazm podczas pracy nad opowieściami z Ziemi Wygnanych. Bez cienia wątpliwości rzec mogę, że te książki nie powstałyby bez ich życzliwości i słów otuchy, a także wspólnego odtwarzania najważniejszych scen bitewnych. Jestem im również wdzięczny za to, że wybaczyli mi wiele godzin spędzonych nad laptopem i zamglone spojrzenie, z jakim siadałem

do posiłków, oznaczające, że jeszcze nie wróciłem z Ziemi Wygnanych.

Chciałem również podziękować mojemu agentowi Johnowi Jarroldowi za jego wiarę w *Wiernych i Upadłych* i bezcenne rady, które pomogły mi odnaleźć drogę w trudnym świecie wydawniczym. Cieszę się też z tego, że okazał się nie tylko wielkim profesjonalistą, ale również fantastycznym człowiekiem. Nasze wspólne lunche w The Mermaid Inn przeszły już do legendy.

Dziękuję mojej wspaniałej redaktorce Julie Crisp, która tak długo chlastała biczem monstrum, jakim był rękopis *Gniewu*, aż uformowała z niego sensowną powieść. Nie znam nikogo, kto okazywałby podobną pasję i zaangażowanie, czego choćby dowodzi fakt, że pracowała nad książką do dnia, gdy zaczęła rodzić swe piękne dziecko, a wróciła do niej nazajutrz po porodzie. Obroniła dzięki temu tytuł najbardziej krwiożerczej osoby, którą znam.

Dziękuję wszystkim ludziom w Tor UK, którzy pracowali bez wytchnienia za kulisami, by móc wypuścić książkę w świat – cudownej Belli Pagan, Jamesowi Longowi, Robowi Coxowi i reszcie wspaniałego zespołu w Tor Towers. Darzę was wielką wdzięcznością i ogromnym szacunkiem za to, że urzeczywistniacie tak wielkie marzenia pisarskie.

Dziękuję mojej korektorce, Jessice Cuthbert-Smith, która pracuje nad serią od samego początku i od zawsze budzi mój podziw niezwykłą dbałością o szczegóły. Nie jestem w stanie zliczyć, ile razy ocaliła mnie przed kompletnym upokorzeniem. Wiele się nauczyłem dzięki pracy z nią.

Dziękuję mojemu redaktorowi po drugiej strony wielkiej kałuży, Willowi Hintonowi, oraz całemu zespołowi w Orbit US za ciężką pracę, którą dla mnie wykonał. Dziękuję mojej ekipie przyjaciół-czytelników, którzy znaleźli czas, by przeczytać rękopis *Gniewu*, co jest niemałym wyczynem ze względu na rozmiary książki. Zdecydowanie mogli poświęcić swój czas na inne, ciekawsze rzeczy.

Dziękuję mojej żonie Caroline, zawsze uczciwej, zawsze dostrzegającej serce każdej postaci. Dziękuję moim chłopcom, Edowi i Willowi, najwierniejszym przybocznym pod słońcem. Ich wiedza

na temat Ziemi Wygnanych jest imponująca i przerasta moją, a ich fascynacja samą opowieścią i postaciami okazała się źródłem wielkiej radości dla ojca, który zaczął pisać tę opowieść, by móc ją czytać dzieciom.

Dziękuję Sadakowi Miahowi, mojemu najstarszemu i ulubionemu najlepszemu przyjacielowi. Byłem doprawdy wstrząśnięty, gdy się okazało, że naprawdę przeczytałeś całe to tomiszcze przed publikacją! Muszę przyznać, że twoje uwagi okazały się bezcenne i wywołały uśmiech na moich ustach, bo natychmiast przypomniałem sobie nas jako nastolatków (BARDZO dawno temu), jak z pasją rozprawialiśmy na temat Śródziemia, Druss, Snaga, Waylander i wielu innych fantastycznych krain.

Dziękuję Davidowi Emrysowi, mojemu ekspertowi w dziedzinie walki i uzbrojenia. Jedną z najbardziej nieoczekiwanych przyjemności, płynących z tego pisarskiego wariactwa, jest to, że można zawrzeć zupełnie nieoczekiwane przyjaźnie. Poznałem Davida na wydarzeniu Fantasy in the Court, organizowanym przez Goldsboro Books, i od tej pory jesteśmy wielkimi przyjaciółmi. Wiele spośród szczegółów bitewnych opisanych w *Gniewie* zawdzięczam jego wiedzy i doświadczeniu. O nic nie pytajcie!

Dziękuję Markowi Robersonowi, który służył mi wielką pomocą natury zarówno historycznej, jak i fantastycznej. Entuzjazm, jaki okazywał mojej serii, był dla mnie wielkim pokrzepieniem podczas pracy.

Ostatnią, ale równie ważną grupą, której jestem winien ogromną wdzięczność, są wszyscy ci, którzy przeczytali moje powieści i przyjęli Corbana i jego pstrokatą bandę do serc. Jedną z największych i najbardziej zaskakujących przyjemności, których doświadczyłem podczas pisarskiej przygody, jest poznanie tak wielu czytelników. Ogromnie się cieszę, że znaleźliście czas, by się ze mną skontaktować i podzielić się wrażeniami.

Praca nad *Gniewem* była wspaniałym doświadczeniem, choć zaprawionym nutką gorzkości. Czuję się świetnie, mogąc wreszcie opisać sceny, które wyobrażałem sobie od tak dawna, ale jednocześnie budził się we mnie smutek na myśl o tym, że żegnam

się z postaciami, które stały się częścią mego życia i niemalże zacząłem uważać je za prawdziwe, nawet te czworonogie i skrzydlate.

Mam nadzieję, że spodoba wam się ostatnia część *Wiernych i Upadłych*. Dziękuję, że dołączyliście do hufca i dotarliście aż tak daleko.

Niech kieruje Wami prawda i odwaga!

John

I szerzyły się gniew i pomsta.

John Milton, *Raj utracony*

Rozdział pierwszy

VERADIS

Rok 1144 Ery Wygnańców, Księżyc Ogara

Veradis spadał przez nocne powietrze, lekki, wręcz pozbawiony wagi. Kątem oka dostrzegał wieżę Brikan i wciąż dymiącą postać Calidusa, stojącego w oknie. Powierzchnia rzeki mknęła mu na spotkanie.

Uderzył w wodę. Zimno wyrwało mu powietrze z płuc, a jednocześnie ogarnęła go panika. Całkiem dezorientowany, nie miał pojęcia, w którą stronę płynąć, by się wynurzyć. Otaczała go jedynie lodowata ciemność.

Naraz ktoś pochwycił go za włosy i pociągnął za sobą. Veradis wynurzył się z głośnym rozbryzgiem i ujrzał szeroką, bladą twarz Alcyona.

– Będą nas ścigać! – Okrzyk olbrzyma ledwie przebił się przez ryk rzeki. Prąd już ich porwał naprzód, oddalając od łomotu stóp wojowników, biegnących po moście. – Płynmy, jak najdalej się da!

Propozycja Alcyona miała wiele sensu, choć dłonie i stopy Veradisa zaczynały już drętwieć z zimna. Zaczął miarowo poruszać ramionami, próbując płynąć, tak by znaleźć się jak najdalej od Brikan, Calidusa i...

I Kadoshim, pomyślał.

Samo wspomnienie przeszło go bólem.

Przebyli zakręt rzeki i twierdza znikła im z oczu. Zewsząd otoczyła ich ciemność.

* * *

Łagodny, słaby poblask świtu wnet zaczął się przesączać przez płataninę gałęzi nad ich głowami, gdy Veradis spojrział Alcyonowi w oczy. Rozumiejąc się bez słów, ruszyli w stronę brzegu. Było to nie lada wyzwanie, gdyż musieli płynąć pod prąd. Veradis dopiero teraz pojął, jak bardzo jest wyczerpany, ale na szczęście wkrótce wyczuł muł pod stopami, a jego palce zacisnęły się na trzcinie. Z trudem wyszedł z wody i usiadł na ziemi, dysząc ciężko. Miał wrażenie, że ręce i nogi ma odlane z ołowiu.

Odwrócił głowę i ujrzał Alcyona, który wyszedł na brzeg kilkadziesiąt kroków dalej, a teraz zmierzał ku niemu ociężale. Olbrzym usiadł obok z głośnym jęknięciem. Z jego obwisłych wąsisk ściekała woda.

– Dzięki – powiedział.

– Za co?

– Za wszystko. A przede wszystkim za to, że pomogłeś mojej rodzinie uciec z lochów Brikan.

To była jego żona, pomyślał Veradis. Z jego dzieckiem. Ile czasu trwała ich rozłąka? Jak bardzo przeżył to, że oboje stali się więźniami Calidusa i Lykosa?

– I za to, że zniszczyłeś ów magiczny przedmiot, za pomocą którego Calidus rozciągnął nade mną kontrolę – ciągnął Alcyon. – Uwolniłeś mnie. – Wzdrygnął się, a potem się uśmiechnął. – Z mojej duszy zniknął cień. Czuję się odrodzony.

– Jeśli oznacza to, że jesteś słaby jak noworodek – mruknął Veradis, po czym wylał wodę z buta i spróbował założyć go ponownie – to jest nas dwóch.

– Nie o to mi chodziło – zadudnił olbrzym i spojrział na Veradisa z powagą. – Uwolniłeś Rainę i Taina, a potem mnie. Jestem twoim dłużnikiem po wsze czasy.

– Nic nie jesteś mi winien – rzekł Veradis. – Wrzuciłem te magiczne cacka w ogień pod wpływem impulsu. Nie miałem pojęcia, czym są ani też jaką władzę mają nad tobą.

– Ale domyślałeś się?

– Tak. Fidele mówiła coś... – Urwał. Przez moment myślał o matce Nathaira. Miał wielką nadzieję, że zdołała wyrwać się na wolność wraz z jego bratem Krelisem, Maquinem oraz Albenem. – A jeśli chodzi o twą żonę i tve dziecko... Uwolniłem ich, bo tak należało. Nie było innego wyboru.

– Był, Czyste Serce. Był. Zawsze istnieje jakiś wybór.

Veradis wzruszył ramionami.

– Tak czy owak, nie ma między nami żadnego długu. Jesteś moim przyjacielem i tyle.

Jednym z nielicznych, jak się okazało, dodał w myślach.

W jego sercu obudziła się gorycz, gdy powrócił myślami do Nathaira, jego wyznania i rewelacji, które tak bardzo nim wstrząsnęły. Przypomniał sobie też słowa Calidusa, wedle którego to Nathair zabił Aquilusa, własnego ojca. Poczul gniew i wstyd. Przeoczył tyle sygnałów...

Jak to możliwe, że dałem się zwodzić aż tak długo? Głupiec ze mnie.

– Jak długo byłeś więźniem Calidusa? – spytał.

Uśmiech Alcyona zgasł.

– Szesnaście lat.

– Długo.

– Tak, długo. – Alcyon zacisnął pięści, aż zachręściły mu kłykcie. – Powinienem był go zabić.

– Nie zapomnij, że oboje próbowaliśmy. Wbiłem mu nóż w brzuch i wepchnąłem go w płomień, a ty rozbiłeś mu pierś młotem.

– Trudno jest zabić Kadoshim.

– Nie mogę się z tym nie zgodzić. Czy kogoś takiego można w ogóle zabić?

– Może należałoby odciąć mu głowę. Tak się zabija tych innych.

– Innych?

– Kadoshim zawładnęły ciałami Jehar – rzekł Alcyon. – W Murias – dodał, widząc pytanie w oczach Veradisa.

– Jehar – mruknął młodzieniec i pokręcił głową. – Ależ ja byłem zaślepiiony.

– Ufałeś królowi, który jednocześnie był twoim przyjacielem. – Alcyon wzruszył ramionami. – Słyszałem o większych błędach.

Doprawdy, pomyślał Veradis. Oddałem całe życie kłamstwu.

Siedzieli w milczeniu. Z ich włosów i ubrań ściekała woda.

– I co teraz? – powiedział do siebie młodzieniec. – Mam wrażenie, że poświęciłem całe swoje życie Nathairowi i jego misji. Co ja teraz pocznę?

Alcyon spojrzał na niego z powagą, a potem szturchnął go grubym palcem.

– A co ci mówi serce?

– Nie ufałbym sercu. Zobacz, gdzie mnie przywiodło – rzekł kwaśno Veradis.

– Ale masz już otwarte oczy.

Młodzieniec nabrał głęboko tchu, czując ogarniające go znużenie.

– A co ty byś zrobił? – zwrócił się do Alcyona.

– Odnalazłbym moją rodzinę. Moją Rainę i mego Taina – odparł olbrzym, uśmiechając się, gdy przyszło mu wypowiedzieć ich imiona.

Rodzinę, pomyślał Veradis. Mój ojciec nie żyje. Mój brat Ektor również. Pozostał mi tylko Krelis.

Niespodziewanie odkrył w sobie rozpaczliwą potrzebę odnalezienia starszego brata.

– Odnalazłbyś rodzinę – powtórzył. – Cóż, dobry początek.

Wśród gałęzi rozległ się głośny skrzek. Kilka leśnych gołębi nagle zerwało się do lotu, trzepocząc głośno skrzydłami.

– Musimy ruszać! – zdecydował Alcyon.

Potrzebujemy kryjówki, pomyślał Veradis, a głośno rzekł:

– Tak! Między drzewa!

Podniósł się i stłumił jęknięcie.

Byli w połowie drogi przez polanę, gdy Alcyon zatrzymał się nagle i spojrzał na brzeg rzeki.

Za odległym zakrętem szlaku pojawiły się jakieś postacie, nieledwie cienie w półmroku, rzucanego przez korony drzew Fornu. Czarne cienie z zakrzywionymi mieczami przytroczonymi do pleców.

– Kadoshim! – warknął Alcyon.

Veradis naliczył ich przynajmniej siedmiu. Przemieszczali się szybko, susami, niczym wataha wilkunów. Rozstawieni w półkřęgu, przeczesywali obszar między brzegiem rzeki a skrajem lasu.

Polują na nas, pomyślał. Biegli przez całą noc wzdłuż brzegu, by zwąchać nasz trop.

Jeden z przybyszów znieruchomiał, a pozostali zatrzymali się w ślad za nim. Uniósł głowę, jakby smakował powietrze, po czym wydał z siebie wibrujące wycie i skoczył naprzód z nową energią.

Pochwycili nasz zapach, zrozumiał Veradis i poczuł ukłucie lęku. Walczył już z olbrzymami, draigami i wrogimi zastępami, ale sama świadomość, że ścięgały go demony z Zaświatu, przeszła go zimnym strachem.

Kadoshim. Pobratymcy Calidusa. Moi wrogowie.

Przed oczami stanęło mu wspomnienie Calidusa, człowieka, którego miał za doradcę i sojusznika, warczącego wściekle, wyłaniającego się z płomieni w wieży Brikan.

Sprowadził Nathaira na złą drogę, a mnie oszukiwał od lat, pomyślał. To on jest ojcem wszelkiego zła.

Strach naraz przekształcił się w zimną furję. Veradis pochwycił za miecz i wykrzywił usta.

– Ruszajmy! – burknął Alcyon i zerwał się do biegu.

Veradis przez chwilę opierał się pokusie – miał wielką ochotę zostać i stawić czoła tym bestiom – ale olbrzym pociągnął go za sobą i po chwili od ściany lasu dzieliło ich zaledwie kilka kroków. Nagle wojownik uzmysłowił sobie, że olbrzym nie ma żadnej broni – na jego plecach nie widział topora ani młota wojennego, a u jego boku nie było mieczy ani sztyletu. Wniknęli w gąszcz i natychmiast otoczył ich półmrok cieni i cierni. Alcyon parł naprzód i stękał głucho, gdy gałęzie smagały go po torsie podobnym do skały. Za ramiona Veradisa szarpały kolce, a dzikie pnącza łapały go za buty. Przez długi czas – niemalże wieczność! – słyszał jedynie łomot własnego serca, swój chrapliwy oddech i tupot butów Alcyona, ale wnet dotarły do niego inne dźwięki. Z początku były niewyraźne

i przypominały szelest wiatru wśród krzaków, ale wkrótce nabrały mocy, a powietrze przecięły pierwsze przenikliwe wrzaski.

Z pluskiem wody przedarli się przez strumień. Pod nogami Veradisa przemknęło coś wijącego się, co sprawiło, że się potknął.

– Prawie nas dogonili! – sapnął do Alcyona.

Lepiej się zatrzymać i stawić im czoła z mieczem w garści, niż zginąć podczas ucieczki, pomyślał.

– Wiem – odparł zdyszany olbrzym i się odwrócił.

Veradis dobył miecza. Stanęli plecami do wielkiego drzewa, mając strumień przed sobą. Czekali.

W półmroku pojawiły się nadciągające postacie, wyłaniając się spośród cieni i zarośli. Kadoshim, który wyprzedził pozostałych, miał na sobie ciemną kolczugę Jehar, a po jego bladej skórze biegły czarne żyły. Zauważył ich, przeskoczył nad strumieniem i rzucił się na Veradisa z wyciągniętymi ramionami, nie zwracając sobie głowy dobywaniem miecza.

– Pamiętaj, że trzeba im ścinać głowy! – sapnął Alcyon, a sam odbił się od drzewa i skoczył na biegnącego Kadoshim niczym taran. Obaj padli na ziemię.

Veradis również skoczył naprzód. Złapał miecz oburącz i ciął po ramieniu opętanego. Dłoń wroga wystrzeliła w powietrze, z kikuta niemrawo pociekła gęsta, przypominająca olej krew, ale to go nie powstrzymało i potoczył się dalej, spleciony w uścisku z Alcyonem. Olbrzym jęknął z bólu, lecz zaraz skoczył na kolana, oplótł ramiona wokół torsu Kadoshim i uwięził mu ręce.

Demon wykręcał głowę na wszystkie strony. Jego żyły nabrzmiały, gdy próbował się uwolnić, a twarz Alcyona spurpurowiała z wysiłku. Splecione palce powoli się rozsuwały.

– Na... co... czekasz? – wychrypiał olbrzym.

Veradis wzniósł miecz i rąbnął demona w szyję. Z niemalże przerąbanego karku buchnęła czarna krew, a Kadoshim wrzasnął z furią. Alcyon ryknął, przytrzymując demona ze wszystkich sił. Veradis wyrwał oręż i zamachnął się do kolejnego uderzenia.

Tym razem głowa Kadoshim wyfrunęła w powietrze i z pluskiem wpadła do strumienia. Olbrzym puścił ciało i odtoczył się,

a bezgłowy trup osunął się bezwładnie. Nogami wstrząsnęły konwulsje. Nad rozrąbanym karkiem zawisła sycząca, wirująca czarna mgiełka, formując niby-ludzką postać z postrzępionymi skrzydłami i oczami czerwonymi niczym rozżarzone węgle. Veradis znieruchomiał, sparaliżowany strachem. Istota wrzasnęła dziko, po czym rozplynęła się, rozwiana lekkim podmuchem wiatru.

– Co to było, u licha? – wyjąkał młodzieniec.

– Padnij! – ryknął Alcyon i zerwał się z ziemi, by rąbnąć pięścią w szczękę kolejnego Kadoshim.

Demon potoczył się w zarośla, ale natychmiast skoczył na równe nogi, sprężyście niczym kot. Veradis uniósł miecz i rozstawił szerzej stopy, by przygotować się na impet uderzenia. Naraz coś wbiło mu się w bok i oderwało go od ziemi. Ramiona kolejnego Kadoshim oplotły go w talii. Dostrzegł Alcyona, który zdołał się podnieść, ale został otoczony przez przeciwników, a potem trzymający go demon cisnął nim o ziemię. Ramię wojownika eksplodowało bólem, a miecz poleciał na bok. Przetoczył się, odruchowo uderzył napastnika, przez sekundę wpatrywał się w jego czarne, bezduszne oczy, po czym obaj zsunęli się do strumienia. Kadoshim znalazł się pod nim i Veradis zdołał zacisnąć dłonie na jego szyi, usiłując wydusić życie z czarnookiego wynaturzenia.

Ten kopał i wierzgał niczym dziki ogier, burząc wody strumienia, ale Veradis nie puszczał. Czuł, jak demona powoli opuszczają siły, a jego energia słabnie, ale wtedy ktoś złapał go od tyłu, oderwał od przeciwnika, szarpnął i cisnął na brzeg rzeki. Ujrzał nad sobą kolejnego Kadoshim, wyciągającego miecz z pochwy na plecach, a ten, którego właśnie próbował utopić, poderwał się na równe nogi. Veradis odtoczył się na bok, kątem oka zerkając na Alcyona, który, krwawiąc z wielu ran, padł na jedno kolano, osaczony przez krąg Kadoshim. Młodzieniec próbował się podciągnąć po błocie ku przyjacielowi, który w międzyczasie pochwycił innego demona, jedną rękę zacisnął mu na szczękę, a drugą oplotł pierś. Szarpnął wściekle, aż poniósł się trzask pękającego karku, a potem młasknięcie rozdieranego ciała. Olbrzym z dzikim rykiem oderwał

napastnikowi głowę, po czym cisnął trupa na ziemię. Nad raną zgęstniała czarna mgła.

Nogę Veradisa przeszył ból, gdy czubek miecza jednego z Kadoshim przejechał po jego udzie. Padł na ziemię i spojrzał do tyłu na dwa demony stojące na brzegu strumienia. Szły za nim. Ba, bawiły się nim. Ten z dobytym mieczem znów chlasnął Veradisa, tym razem po wzniesionym przedramieniu. Nowe skaleczenie zapłonęło żywym ogniem.

– Utochymy ci trochę krwi. – Na bladych wargach Kadoshim pojawił się szyderczy uśmiech. – Słono zapłacisz za pościg, do którego nas zmusiłeś.

To nie tak powinno się skończyć, pomyślał Veradis.

Frustracja po raz ostatni dodała mu sił. Przetoczył się po trawie i poderwał na równe nogi.

Stojący przed nim Kadoshim uśmiechnął się szeroko, a potem nagle zamarł i przechylił lekko głowę.

Z półmroku wychynęły jakieś postacie. Veradis poczuł przypływ nadziei, która zgasła, gdy ujrzał, że przybysze mają czarne napierśniki ze srebrnym orłem.

To orla straż... Bez wątpienia przysłał ich Nathair, by mieć pewność, że jego potwory dokończą zadanie.

Dziesięciu, dwunastu, piętnastu... Jeden z nich był wysoki i barczysty. Veradis zamrugał, bo było w nim coś znajomego.

– Miło cię znów widzieć, braciszku! – ryknął olbrzymi przybysz, uśmiechając się szeroko.

Zdumienie Veradisa natychmiast ustąpiło miejsca dzikiej radości.

Krelis!

Wówczas Krelis i jego ludzie wpadli na Kadoshim. Dowodzący atakiem Krelis wykonał szerokie cięcie długim mieczem i ściął jednemu z demonów głowę.

Kątem oka Veradis ujrzał innego wojownika, nieprzypominającego ubiorem mężów z Tenebralu. Ściskając nóż w każdej dłoni, wsparł ludzi Krelisa.

To Maquin!

Rozdział drugi

NATHAIR

Nathair stał w wielkiej sali Drassil i wpatrywał się w szkielet olbrzyma na tronie. Spomiędzy żeber sterczało mu grube drzewce włóczni, wykonane z ciemnego, przetkanego jasnymi żyłkami drewna. Widać było jedynie końcówkę czarnego, żelaznego ostrza, gdyż reszta nikła w korze wielkiego drzewa.

A więc to jest Skald, najwyższy król olbrzymów, a to włócznia z gwiazdnego kamienia, pomyślał Nathair. Skald, ostatni władca, który rządził w zjednoczonym imperium ludzi i olbrzymów. Czy ja będę kolejnym, który zjednoczy ten potrzaskany świat?

Starożytne kości znaczyły żółte i brązowe plamki. Czoło czaszki było szerokie i grube, a ciemne plamy oczodołów zdawały się spoglądać na Nathaira i kwestionować jego kompetencje.

„Czy jesteś tego godzien? Czy podołasz?”

Nathair westchnął.

Historia mnie osądzi. Tylko i wyłącznie historia, pomyślał.

Poczuł dotknięcie i odwrócił się, by spojrzeć na Caesusa, stojącego na czele sześciu dziesiątek zbrojnych. Młody wojownik został niedawno awansowany do rangi dowódcy hufca. Nie było bowiem wątpliwości, że Veradis przepadł na dobre.

Ach, Veradisie. Żyjesz czy zginąłeś, stary przyjacielu?, zastanawiał się Nathair. Nie mogę pogodzić się z tym, że ciebie tu nie ma. Że nie dzielisz ze mną wielkiego tryumfu.

Opowiedziano mu o zdradzie Veradisa i próbie odebrania Calidusowi życia, a potem o jego ucieczce z Alcyonem.

Veradisie, jak mogłeś mnie porzucić? Jak mogłeś złamać przysięgę, którą mi złożyłeś?

Nathair spojrział na białe blizny na dłoni. Jedna z nich była pamiątką po krwawej przysiędze braterstwa, którą złożyli sobie nawzajem na oświetlonym blaskiem księżyca zboczu wzgórza w Tenebralu. Miał wrażenie, że miało to miejsce wiele lat temu. Że były to słowa i obietnice wypowiedziane przez zupełnie innych ludzi.

– Mój panie – rzekł Caesus. – Calidus pragnie cię ujrzeć.

Nathair spojrział po raz ostatni na szkielet, a potem odwrócił się i przeszedł przez wielką salę. Nadal wynoszono z niej poległych we wczorajszej bitwie. Na kamiennej podłodze schła krew, wszędzie piętrzyły się cuchnące stosy trupów. Setki ciał – Kadoshim, Jehar, Vin Thalun, orlich gwardzistów, olbrzymów Benothi i wielu innych. Zdobycie Drassil okazało się bardzo kosztowne, o wiele kosztowniejsze, niż Nathair sądził, zważywszy na to, że mieli po swojej stronie element zaskoczenia.

Ale zwycięstwo to wciąż zwycięstwo, pomyślał. Forteca jest nasza, a wróg został pokonany.

Choć wielu obrońców zdołało uciec. Wciąż docierały meldunki o zaciekłych walkach toczonych poza murami Drassil.

Nathair zerknął na prawo, gdy mijał klapę w podłodze, wielką niczym wrota do Jerolin. Wciąż widniała przed nią czarna plama krwi.

Krew Meicala.

Głowa Ben-Elim została nadziana na włócznię, wbity w dziedziniec przed główną bramą twierdzy. Nie była jedyna.

A co z Corbanem? Ich Jasną Gwiazdą? Gdzie on się podział?, zastanawiał się Nathair.

Zerknął nieufnie w głąb ciemnego tunelu. Wiedział, że Meical postanowił bronić przejścia po to, by dać czas wielu innym, którzy umknęli na zewnątrz.

Czy Corban był wśród nich?

Jak do tej pory nikt nie zameldował o tym, żeby widział Corbana podczas bitwy.

Czy on tu w ogóle był?

Mieli za sobą długą noc i Nathair nigdy w życiu nie czuł się bardziej wyczerpany. Caesus warknął rozkaz i orla straż uformowała wokół niego kolumnę.

– Drassil nie jest bezpiecznym miejscem – rzekł w odpowiedzi na pytające spojrzenie króla.

Dziedziniec również nosił ślady wczorajszej bitwy. Wokół zalegały ciała, w powietrzu unosił się metaliczny zapach krwi i wszędzie bzyczały muchy. Nathair miał przez chwilę wrażenie, że dostrzega szczenię wilkuna, szarpiące za nogę martwego Kadoshim, ale okazało się, że to był tylko mały piesek z jasnym futrem.

Skręcili za róg i Nathair ujrzał rzędy kamiennych budowli, a za nimi potężne, zewnętrzne mury. Widok przecinały grube konary drzewa.

Doprawdy niezwykle miejsce, pomyślał.

Wznoszące się ku niebu gałęzie wydawały się masywne niczym wieże, a labirynt budowli z kamienia i żelaza, który otaczał konar, był ciaśniejszy niż pancerz ze skóry.

Drassil podobny jest żywej istocie, przeszło Nathairowi przez myśl. Drzewo to kości, a forteca jest ciałem.

Jego uwagę przykuł zgrzyt miecza wyciąganego z pochwy. Dostrzegł odzianego w czerń wojownika, który wypadł z zacienionego wejścia. Za nim wyskoczyli kolejni, błysnęło żelazo. Caesus nagle zaczął wykrzykiwać rozkazy. Orli gwardziści drgnęli, skoczyli na pozycje, stuknęły zwierające się tarcze, które zasłoniły Nathairowi widok.

Krew obryzgała twarz młodego króla, gdy stojący przed nim gwardzista padł na ziemię. W wyrąbaną w murze tarcz wyrwę wskoczył odziany na czarno Jehar i rzucił się na Nathaira.

Król Tenebralu wyciągnął miecz. W jego sercu zapłonął strach wzmocniony furją, jego wierni towarzysze. Krzyki i wrzaski toczące się naokoło walki ucichły, liczyła się tylko wojowniczką stojącą przed nim, kobieta o ciemnej skórze i ostrych rysach twarzy, sprawiająca wrażenie niemalże delikatnej.

– Prawda i odwaga! – krzyknęła i podniosła swój zakrzywiony miecz.

Buchnęły iskry, gdy ich klingi się zwały. Jehar uderzyła z taką mocą, że ścięgni nadgarstka eksplodowały mu bólem, który przeniósł się na ramię i bark. Mimo to rzucił się do ataku, wiedząc, że każdy krok do tyłu oznacza śmierć. Próbował przebić się przez jej gardę i wykorzystać to, że ma krótszy miecz, poręczniejszy podczas walki w ścisku. Zderzyli się i spleli, a Nathair pociągnął ją za sobą na ziemię. Miotali się, szarpali, tłukli, kopali i gryźli, przetaczając się po kamiennej ulicy, podczas gdy dookoła trwały zacięte zmagania. Jehar rąbnęła go z taką siłą, że pociemniało mu w oczach, a potem wbiła mu kolano w krocze. Fale wściekłego bólu przeszywały go raz za razem, odbierając mu siły. Wojowniczką wyzwoliła się z jego objęć i wstała, a on, kaszłąc, skulił się na zimnych kamieniach i też próbował się podnieść, wiedząc, że jeśli tego nie zrobi, niechybnie zginie.

Gniew i strach przeszyły go nowym impulsem. Po ciele rozeszła się energia.

Nie zginę tu, powiedział sobie.

Jehar stała nad nim ze wzniesionym mieczem, a w jej oczach zalśnił tryumf.

Wówczas ktoś wpadł na nią i przewrócił ją na ziemię. Próbowała się podnieść, ale nowo przybyły kopnął ją w szczękę nogą w ciężkim bucie i posłał na ziemię. Postać była niewyraźna, rozmazana, otoczona bzyzącą chmurą.

Ktoś pochwycił go i pomógł mu wstać, w polu widzenia pojawiła się zatroskana twarz Caesusa. Z długiego skaleczenia na czole dowódcy ciekła krew. Nathair spojrział jednak nad ramieniem mężczyzny na swego wybawcę, który wyciągnął miecz z pochwy na plecach i wzniosł go nad nieprzytomną Jehar.

To Kadoshim, pomyślał Nathair.

– Nie! – krzyknął.

Wojownik spojrział na niego poprzez bzyzącą chmurę, która nagle się rozstała.

Muchy, uświadomił sobie Nathair, rozpoznawszy go.

– Nie, Legionie. Chcę ją żywą.

Kadoshim przez moment wpatrywał się w niego zimnymi, czarnymi oczami.

– Martwa lepsza – oznajmił.

– Chcę ją żywą! – warknął Nathair. – Calidus może mieć do niej parę pytań.

– Martwa potem – rzekł Kadoshim i schował miecz. – Calidus chce z tobą gadać.

Mięśnie jego twarzy i szyi zafalowały, jakby przemieszczały się z własnej woli, jakby coś zostało uwięzione pod nimi, a teraz próbowało się wydostać.

Bitwa wokół nich niemalże dobiegła końca. Nathair rozejrzał się dookoła i naliczył prawie dwudziestu zabitych wojowników orlej straży na pięciu czy sześciu usieczonych Jehar.

– Ta część Drassil miała być bezpieczna! – warknął. – Jak oni się tu dostali?

Spojrzał na nieprzytomną Jehar u stóp Legiona.

– Zabierzcie ją – rzucił i odszedł.

* * *

Gdy Nathair wkroczył na dziedziniec przed bramami Drassil, usłyszał głuchy, wibrujący pomruk, dobiegający z jednej ze stajni na skraju placu. Spojrzał z uczuciem na drzwi, za którymi trzymano jego draiga.

Calidus stał przed zamkniętymi bramami twierdzy. Po obu stronach wznosił się las włóczni wbitych w ziemię. Na większości z nich zatknięto ludzkie głowy. Kilku Vin Thalun wbijało kolejne włócznie, a w cieniach za nimi czaili się Kadoshim. Przed Calidusem klęczała grupa obszarpanych, poranionych ludzi, którym związane nadgarstki i kostki. Było ich około trzystu, a wszyscy zostali więźni do niewoli podczas bitwy. Na murach stali strzegący fortecy orli gwardziści.

Moi wojownicy, pomyślał Nathair.

Nie miał wątpliwości, że byli najlepiej wyszkolonymi ludźmi spośród tych, którzy zdobyli twierdzę. Kadoshim i wielu Vin Thalun rzucili się do pościgu za umykającymi niedobitkami wroga za murami Drassil, ale Nathair przypuszczał, iż większość spośród nich jest zajęta pijatyką i grabieżą fortecy.

A Kadoshim zajmują się jeszcze innymi rzeczami, jak choćby jedzeniem swych ofiar, dodał w myślach.

Przy Calidusie stał Lykos w asyście tuzina zahartowanych, muskularnych wojowników o zaciętych twarzach i pokrytych bliznami ramionach. Król piratów uniósł do ust bukłak i pociągnął tęgi łyk.

Założę się, że to nie woda, pomyślał Nathair.

Lykos zauważył go i skinął mu na powitanie. Młodzieniec z trudem ukrył obrzydzenie.

On i moja matka...

– Och, Nathairze – powiedział Calidus i uniósł lekko brew na widok krwi na twarzy króla. Potem zauważył Legiona, który włókł po ziemi nieprzytomną Jehar, trzymając ją za kostkę.

– Calidusie.

Nathair uklonił się lekko swemu staremu doradcy, który nie wyglądał najlepiej. Część jego twarzy była poczerniała, a skóra odchodziła z niej płatami. Ze srebrnych włosów pozostały zaledwie kępki, bo ogień pochłonął niemalże wszystkie.

– Wygląda na to, że ulice Drassil nie są jeszcze do końca puste – powiedział kwaśno Nathair, gdy Legion rzucił Jehar pod nogi Calidusa. Wojowniczką jęknęła i dźwignęła się na kolana, ale Legion złapał ją za ramię i unieruchomił.

– Jak się nazywasz, dziecko? – Calidus przyglądał się jej zimnymi oczami.

Ta splunęła krwią pod nogi starca i spojrzała na niego gniewnie.

– Ilta – odparła. – I nie jestem dzieckiem.

– Cóż, Ilto, zadam ci to samo pytanie co twoim towarzyszom. Gdzie jest Corban?

– Niebawem go ujrzysz – powiedział ktoś spośród więźniów. – Odnajdzie cię.

– A gdy to uczyni – Ilta spojrzała na Calidusa, Nathaira i Lykosa – pozabija was wszystkich.

– To zwykły chłopak, a do tego marionetka. Wasz prawdziwy pan już nie żyje – rzekł Calidus głosem pełnym złości i pokazał głowę Meicala.

– Mylisz się – rzekła Ilta. – Corban to nasz pan. Zabił najlepszego spośród was, Sumura, w walce jeden na jednego. Wszyscy to widzieliśmy. Z tobą zrobi to samo.

– Sumura? – Calidus zmarszczył brwi. – Widziałem jego głowę zatkniętą nad bramami...

– To dzieło Corbana! – znów zawołał jakiś głos, który wydał się Nathairowi osobliwie znajomy. Wśród więźniów powstała jakaś postać, smukła, z czarnymi, gładkimi włosami. – Odrąbał Sumurowi głowę i twoją też utnie!

Już wiem, pomyślał Nathair. To Cywen.

– A więc niech tu przyjdzie – rzekł Calidus i westchnął z udawaną irytacją. – Niczego bardziej nie pragnę.

Nathair miał jednak wrażenie, że w jego oczach widzi coś więcej. Czyżby zwątpienie?

– Na razie jakoś się do tego nie kwapi – ciągnął Calidus. – Może warto mu wysłać jakąś wiadomość, by się bardziej pośpieszył? – Przeniósł wzrok na Kadoshim. – Legionie, wybierz kogoś spośród jeńców i nadziej go na włócznie – nakazał.

Kadoshim pochwycił szamoczącą się Cywen i powłókł ją ku włóczniom. Calidus zatrzymał go ruchem dłoni.

– Wybierz kogoś innego – rzekł.

Legion złapał mężczyznę, który, sądząc po wyglądzie, pochodził z Isiltiru, bez wysiłku dźwignął go w powietrze i zaczął powoli nadziewać na włócznie.

Mężczyzna zaczął wrzeszczeć.

Niebawem wisiał już na włóczni niczym nadziana wiewiórka, przygotowana do usmażenia nad ogniskiem. Wił się, próbował miotać, a krew tworzyła wokół niego kałużę. Wrzeszczał bez opamiętania, a Nathair z trudem opierał się pokusie zasłonięcia uszu.

– Wstawaj! – Calidus zwrócił się do Ilty. – Ruszaj, by zawiadomić Corbana, co się dzieje z jego zwolennikami. Opowiedz mu o tym, co robię. Powiedz mu, że nie przestanę, póki nie stanie przede mną.

Legion pchnął wojowniczkę naprzód, a wtedy wrota rozchyliły się z głośnym hurkotem. Jehar spojrzała raz za siebie, po czym rzuciła się do biegu. Bramy zatrzasnęły się za nią.

Calidus wykrzyczał rozkaz i pozostali więźniowie zostali odprowadzeni. Nathair zdołał przechwycić spojrzenie Cywen. Ociekało nienawiścią.

– Musimy zamienić kilka słów. – Calidus zwrócił się do Nathaira i Lykosa. – Spotkajmy się w południe w wielkiej sali.

Potem odszedł.

Lykos uniósł brew i podał Nathairowi swój bukłak. Ten wziął go bez namysłu, pociągnął łyk i rozkaszłał się gwałtownie. Mało brakowało, by się udławił.

– Czy to...

– Tak, to miód – dokończył za niego Lykos. – Znalazłem tuzin wozów z beczkami.

Nathair oddał mu bukłak, a Lykos oddalił się, chichocząc pod nosem, w asyście swych wojowników.

Wówczas król Tenebralu wszedł po szerokich schodach na szczyt murów Drassil, aż zatrzymał się nad wielką bramą. Zapatrzył się na rozległy świat. Fortecę otaczała nieskończona puszcza, a z czystego, błękitnego nieba spływała słoneczna jasność. Zdołał jeszcze dostrzec Iltę, nim znikła wśród drzew. Za sobą słyszał kroki Caesusa i orlej straży, którzy utrzymywali narzucony szacunkiem dystans.

Z tego miejsca wrzaski nadzianego na włócznię jeńca były mniej słyszalne i przypominały żalosne skamlenie. Nathair nie mógł się doczekać, kiedy ten człowiek wreszcie umrze.

Jak mogłem pozwolić, by do tego doszło, pomyślał. Choć to wszystko dzieje się przecież dla większego dobra. Corban musi zginąć, bym wygrał tę wojnę. Corban musi zginąć, jeśli mam zaprowadzić pokój na Ziemiach Wagnanych.

Poczuł, jak jego serce na powrót napełnia się pewnością, ale nie przestawał słyszeć wrzasków jeńca, które przypominały mu

o innych bitwach i śmierciach w imię wyższej potrzeby.

A teraz podążam ścieżką Kadoshim, demonów i samego Asrotha.

Pamiętał, co powiedział mu Calidus w Murias. Jego słowa wydawały się takie przekonujące. W chwili, gdy tłumaczył mu całą sytuację, wszystko wydawało się Nathairowi logiczne: każdy sojusz, każde kłamstwo, każde oszustwo, których zgromadziło się już tak wiele.

Ale prawda jest prostsza, szepnął mu jakiś głos w głowie.

W głębi serca dobrze o tym wiedział. Wszystko stawało się prostsze, gdy odrzucał przekonujące argumenty Calidusa oraz filozoficzne debaty na temat dobra i zła, czynów słusznych i błędnych, abstrakcyjnych pojęć przypisanych do nazwisk. Wszystko stawało się jasne, gdy zapominał o polityce, walkach o władzę i o tym, kto na co zasługiwał.

Szczera odpowiedź była bowiem o wiele prostsza od każdej z owych złożonych, wijących się refleksji, a uwydatniło ją krótkie starcie z wojowniczką Jehar.

Ja nie chcę przegrać, pomyślał Nathair.

Rozdział trzeci

CORALEN

Coralen siedziała oparta plecami o drzewo i wpatrywała się w półmrok lasu, bezwiednie obracając nóż między palcami. Wokół siebie widziała śpiące postacie kilkudziesięciu – może sześćdziesięciu – towarzyszy, z którymi umknęła z Drassil. Wśród nich była Brina, której szare włosy wystawały spod płaszcza, a dalej ogromny Farrell spleciony w uścisku z Laith. Dostrzegła też Akara, który stał na straży po drugiej stronie obozu.

Wyczerpanie podkradało się coraz bliżej i niczego nie pragnęła bardziej, jak tylko zatracić się w nicości snu. Nie mogła jednak zasnąć, gdyż jej myśli nie przestawały wirować. Co rusz nawiedzały ją oderwane od siebie wspomnienia tego, co rozegrało się wczoraj, a w jej sercu znów pojawiał się żal, strach oraz wściekłość. Wszelkie przemyślenia sprowadzały się jednak do jednego pytania:

Gdzie jest Corban?

Znów podkradło się do niej nieubłagane znużenie, ale Coralen wiedziała, że na sen nie ma co liczyć. Groza i szok, pozostawione przez wczorajsze wydarzenia, wcale nie słabły.

Usłyszała ciche kroki, a potem ktoś stanął przy niej.

Gar.

Na zwykle nieprzeniknionej twarzy władcy Jehar pojawiły się głębokie bruzdy niepokoju. Miał na sobie brudną, pokrwawioną kolczugę, na plecach zakrzywiony miecz, a u pasa toporek do rzucania. Nawet on nie uniknął rany – czoło miał obwiązane zakrwawionym bandażem.

– Burza jest przy nim – rzekł, jakby czytał jej w myślach.

Pewnie równie łatwo je wyczytać z mojej twarzy jak z jego, pomyślała. A Burza...

Cóż, myśl o wilkuncy stanowiła pociechę. Coralen wiedziała, że Burza potrafiła lepiej zapewnić bezpieczeństwo niż tuzin przybocznych, ale...

– Znajdziemy go – rzekł Gar. – Znajdziemy.

Coralen widziała dobrze sobie znane ślady łap Burzy w tunelu, co było przyczyną, dla której wyszli z niego akurat w tym miejscu. Po krótkim poszukiwaniu odkryła ich więcej, aż dotarli na to wzniesienie, gdzie dopadł ich zmierzch. Frustracja była nie do zniesienia, ale poszukiwanie śladów w nocy nie miało sensu.

Ale gdzie on może być, zastanawiała się. Co się mogło z nim stać? Przecież na pewno usłyszał zgiełk bitwy w Drassil, nawet jeśli znalazł się tak daleko.

Pewna złośliwa myśl, którą uparcie odrzucała od siebie w mrokach nocy, znów powróciła.

A co, jeśli zginął? Cóż innego mogło go powstrzymać przed powrotem do Drassil?

Zimny strach znów wgryzł się w jej brzuch, ale nie chciała o nim myśleć.

On żyje. Musi żyć.

Pokiwała głową, wstała i wsunęła nóż do pochwy. Jednocześnie odezwały się dziesiątki skaleczeń, stłuczeń i siniaków, ale zignorowała je wszystkie.

– Trzeba ruszać – powiedziała.

– Tak – zgodził się Gar, wpatrzony w wyjście z tunelu. – Miałem nadzieję, że Meical do nas dołączy. Że zdołał uciec.

Coralen przypomniała sobie, jak Ben-Elim wzniósł dwuręczny miecz i stanął na szeroko rozstawionych nogach przed wejściem do tunelu w wielkiej sali Drassil, osłaniając ich odwrót. Nadal oczami wyobraźni widziała rozbryzgi krwi, gdy jego klinga zaczęła zataczać śmiertelne kręgi. Powstrzymywał napór wroga. Chronił ich. Dawał im czas na ucieczkę.

– Już by do nas dotarł, gdyby mógł – rzekła.

Gar westchnął i potaknął.

Coralen przechyliła głowę i nasłuchiwała przez moment, spoglądając w dół zbocza. Coś się przedzierało przez zarośla, kierując się ku wejściu do tunelu. Gar również zwrócił na to uwagę. Oboje bez słowa rozdzielili się i wślizgnęli w cienie, bezszelestnie zmierzając w kierunku obcego.

Znów zaszeleściły krzaki i strzeliła gałązka. Coralen przez mgnienie oka widziała czyjeś ciemne włosy. Już wiedziała, że nie był to Corban.

Nawet on nie jest taką niezdara, pomyślała.

Z zarośli wystrzeliła jakaś postać. Był to młodzieniec w skórzanym pancerzu i wełnianym płaszczu. Miał rozczochrane włosy i ślad po draśnięciu na czole. Zatrzymał się jak wryty na widok dziewczyny. Otworzył szeroko oczy i złapał za broń wiszącą przy pasie.

– Znam cię! – odezwała się Coralen, choć nie pamiętała jego imienia. – Twoim ojcem jest Atilius.

Przypomniała sobie również, iż Atilius był dobrym wojownikiem i skromnym człowiekiem, a do niedawna również niewolnikiem na galerze Vin Thalun.

Chłopak pokiwał głową. Wargi mu zadrżały.

– Pax, co ty tu robisz? – szepnął Gar i wyszedł z cieni, na co młody wojownik znów podskoczył.

– Chodźcie szybko! – wyrzucił z siebie. – Chodźcie! Mój ojciec, Corban, olbrzymy...

– Corban? – zasyczała Coralen.

– Tak! – Po twarzy Paxa płynęły łzy, żłobiąc kanaliki w brudzie i zastygłej krwi. – On nie żyje!

Coralen zamarła. Miała wrażenie, że na jej sercu zacisnęła się wielka pięść.

– Biegłem... – powiedział Pax, który zaczął się trząść. Mimowolny dreszcz z każdą chwilą stawał się coraz bardziej gwałtowny.

– Gdzie jest Corban? – wycharczała Coralen, próbując opanować narastającą panikę. Złapała rozszlochanego chłopaka i potrząsnęła nim z furją.

– Przestań! – Gar zacisnął dłoń na jej ramieniu. – Pax, musisz nam wszystko opowiedzieć! Najlepiej jak umiesz? Gdzie jest Corban? Gdzie jest twój ojciec? Co się wydarzyło?

Po zboczu schodzili już inni. Coralen zauważyła Datha i Kullę, kilku Jehar oraz ogromną Laith za nimi.

– Usłyszeliśmy odgłosy walki – zaczął niepewnie Pax. – Wiedzieliśmy, że Corban gdzieś tam jest i... I zastaliśmy go, jak walczył z olbrzymami. I niedźwiedziami.

Co takiego?, pomyślała Coralen. Przecież z Nathairem nie było żadnych olbrzymów!

– Ojciec rzucił w jednego włócznią. Potem uciekaliśmy. Już myśleliśmy, że ich zgubiliśmy, gdy...

– Mówże! – ponaglił go Gar.

Grupa, która zgromadziła się wokół nich, słuchała w absolutnej ciszy.

– Wyszli znikąd. Mój ojciec... – Chłopak przetarł oczy i odetchnął ciężko. – Mój ojciec zginął w walce. Corban kazał mi uciekać. Ściągnąć pomoc.

– Kiedy to się stało? – Nawet Gar nie był w stanie ukryć niepokoju w głosie.

– Wczoraj. Po południu. – Pax bladł coraz bardziej i wyglądał jak trup. – Biegłem, ale przewróciłem się i uderzyłem o coś głową. – Dotknął ręką skaleczenia na czole. – Kiedy oprzytomniałem, było już ciemno. Od tej pory próbuję was znaleźć.

– Zaprowadź nas tam – rzekł Gar.

– Spróbuję! – Pax pokiwał głową. – Zgubiłem się i przez moment nie mogłem odnaleźć drogi, ale wiem, że było to mniej więcej tam! – Wskazał kierunek.

Gar rzucił kilka rozkazów i cała grupa ruszyła naprzód. Coralen znalazła się na czele wraz z Paxem, a Gar biegł obok chłopaka i co rusz kładł mu rękę na ramieniu, by go uspokoić i dodać mu otuchy.

Corban i Burza, samotnie stawiający czoła olbrzymom. Wczoraj, myślała Coralen.

W duchu zmówiła cichą modlitwę do Elyona, jedną z wielu, którą kierowała do niego przez ostatnich kilkanaście godzin.

Daj mu przeżyć. Ocal go.

Była jedną z pierwszych, którzy weszli na polanę, kończącą się nagłym uskokiem, pod którym płynęła wartka rzeka. Od razu poczuła ostry, metaliczny zapach krwi i rozkładu.

Śmierć. Chmary much, unoszące się nad trupami.

Naliczyła trzy zabite olbrzymy oraz Atiliusa, przybitego potężnym toporem do pnia wielkiego dębu. Nigdzie nie widziała Corbana ani Burzy. Przypadła do pierwszego olbrzyma, który leżał na plecach. W jego brzuchu ziała wielka dziura, a gardło zostało rozcięte płynnym uderzeniem. Na nadgarstku nosił straszliwe ślady, które pozostawić mogły tylko kły wilkuna. Nie widziała pozostałych, którzy wybiegli w ślad za nią, nie słyszała szlochu Paxa, który padł na kolana przed zwłokami ojca. Podbiegła do pozostałych olbrzymów, leżących blisko siebie. Trawa wokół nich była zdeptana i nadal lepka od krwi. Jeden z nich, poraniony i z maltretowany, zginął, gdy Burza rozerwała mu gardło.

Nie ma go tu, pomyślała Coralen. Ani jego, ani Burzy!

Ulga była ogromna, choć wiedziała, że brak trupów wcale nie oznacza, iż oboje są bezpieczni. Nie miała nawet pewności, czy żyją, ale widziała przynajmniej, że stawili czoła olbrzymom i zwyciężyli.

Zabili trzy olbrzymy!

Poczuła nagły przypływ dumy. Wiedziała, iż tej nocy przy ognisku długo będą o tym rozmawiać, a opowieść dołączy do legend, opowiadanych o Corbanie i jego towarzysze.

Drugi z olbrzymów leżał na brzuchu. Gar i Coralen wspólnymi siłami próbowali go odwrócić. Chmary much uniosły się wokół nich z gniewnym bzyczeniem, ale głowa olbrzyma okazała się ciężka niczym głaz. Z pomocą przyszli im Farrell i Laith. Razem przetoczyli poległego na plecy, a wtedy buchnął w nich smród rozkładu i zepsucia.

– To jeden z klanu Jotun. – Laith splunęła.

A czego oni tu szukali?, zastanawiała się Coralen.

Naraz jej uwagę przyciągnął błysk skóry i metalu w krzepniejącej krwi. Pochyliła się i zacisnęła dłoń na rękojeści miecza wbitego głęboko w udo olbrzyma, ostrzem skierowanego ku kroczu. Ostrze

wyślizgnęło się z głuchym młaśnięciem. Wojowniczką uniosła je i pokazała wszystkim – rękojeść przypominała wyjącego wilkuna. Ulga, którą czuła jeszcze przed chwilą, naraz umknęła, przytłoczona strachem.

– To miecz Bana – powiedział Dath, który podszedł bliżej. Kulla stanęła za nim.

Coralen przez chwilę wpatrywała się w nich ze współczuciem.

Są małżeństwem od niecałych dwóch dni, pomyślała.

Gar wziął miecz z jej rąk i obejrzał go uważnie.

– Widziałem, jak ojciec Bana wręczył mu tę broń – rzekł.

– Na Jarzębinowej Łące w Dun Carreg – dodał Farrell. – Pamiętam to.

– Ja też – mruknął Dath.

Coralen odwróciła się. Rozglądała się w poszukiwaniu jakichkolwiek innych śladów.

Nie ma go tu. Burzy też nie, myślała. A więc uciekli, ale nie wrócili do Drassil. Dlaczego?

Brina klęczała obok olbrzyna. Stara uzdrowicielka trzymała w ręce fioletową, a w drugiej nóż, którym próbowała zebrać krew ze stratowanej trawy. Jedna część jej twarzy nadal była poparzona i zaczerwieniona od eksplozji, którą wywołała wczoraj w Drassil.

Coralen nie miała pojęcia, po co staruszka zbiera krew olbrzyna, ale czuła, że robi to w jakimś konkretnym celu i nie miała zamiaru jej przeszkadzać. Sama spojrzała dalej i dostrzegła pasmo zgniecionej, zbryzganej krwią trawy niedaleko skraju urwiska, prowadzące ku przepaści.

Zupełnie jakby ktoś coś włókł w tamtą stronę, pomyślała.

Podeszła tam i uklękła na jedno kolano, by spojrzeć na płynącą w dole rzekę. Na jednym z głazów dojrzała ciemną plamę.

Krew.

– Zeskoczyli do rzeki! – zawołała.

Gar przypadł do niej jako pierwszy. Natychmiast zauważył to samo co ona i złapał ją za nadgarstek.

– Ruszajmy za nimi – rzekł.

Coralen pobiegła wzdłuż skraju urwiska, wymijając gęste zarośla i mocno zakorzenione drzewa, nie spuszczać wzroku ze ścieżki oraz skarpy. Po kolejnym zakolu zobaczyła jakieś ciało na zarośniętym trawą brzegu. Jej serce przestało bić, gdy ujrzała pozlepiane krwią futro.

Burza...

Zatrzymała się na skraju urwiska, nad ciałem wilkunicy, odruchowo rejestrując ślady wielkich butów na trawie. Czepiając się korzeni i pnączy, opuściła się na dół.

Burza leżała nieruchoma jak kamień, zbryzgana krwią. Nad jej łapą widniała wielka rana.

Coralen przykucnęła. Bała się jej dotknąć, bała się uzyskać potwierdzenia tego, co już mówiły jej oczy. Próbuąc powstrzymać napływające łzy, przypomniała sobie chwilę, gdy po raz pierwszy ujrzała Burzę. Gdy zagroziła, że obłupi wilkunicę ze skóry i zrobi z niej płaszcz. Już wtedy widziała niezwykłą więź między Corbanem a jego wiernym, czujnym cieniem, a wkrótce sama zaczęła wypracowywać własną więź z wilkunicą, która stała się dla niej bardziej towarzyszką broni niż zwykłym zwierzęciem.

Gdy Gar podszedł bliżej, Coralen ostrożnie wyciągnęła dłoń i ułożyła ją na ciele Burzy.

Niczego nie poczuła.

Nie. Proszę, Elyonie, błagam...

Zacisnęła mocno oczy i przycisnęła dłoń do szerokiej piersi Burzy, modląc się o to, by wyczuć jakiegokolwiek oznaki życia: wciąganego powietrza, bicia serca wilkunicy, czegokolwiek. Z każdą upływającą chwilą jej nadzieje słabły, a w sercu pojawiała się pustka, rozplywająca się wokół niczym atrament w czystej wodzie.

I wtedy to poczuła.

Drobne, ledwie wyczuwalne uderzenia serca w ogromnej piersi Burzy. Coralen otworzyła oczy i ujrzała wpatrzona w nią bursztynowe ślepie wilkunicy. Zwierzę zaskomlało cichutko, żałośnie, ale w sercu dziewczyny pojawiła się dzika radość. Ogon Burzy uderzał miękko o trawę.

Rozdział czwarty

CORBAN

Corban szedł przez świat szarości, ledwie świadom tego, że zbliża się do brzegów szerokiej, ciemnej rzeki. Rozległ się plusk i rozeszły się fale, gdy w toni pogrążyło się coś wielkiego i wijącego się. Nad jego głową wzbierały napęczniałe chmury, co chwila rozjaśniane błyskawicami. Co rusz przelatywały przez nie ciemne, skrzydlate istoty. Parokrotnie dostrzegł błysk żelaza i zbroi.

To Zaświat, pomyślał.

Jego kolano pulsowało bólem, który odzywał się również w jego piersi za każdym razem, gdy wciągał powietrze. Wbił wzrok w ziemię, skupiając się na każdym kroku. Jak do tej pory w Zaświecie zawsze odnajdywał coś, co napełniało go spokojem i równowagą, coś, co dawało mu siłę oraz nadzieję. Tym razem było jednak inaczej. Ogarniający go spokój wydawał mu się sztuczny, fałszywy. Coś czało się na skraju jego umysłu, coś dopominało się jego uwagi, usiłowało o czymś przypomnieć.

Gdy znów uniósł głowę, rzeka wpływała do doliny okolonej zewsząd wysokimi, złowieszczymi klifami. Gdzieś przed nim wody rzeki wpadały do jeziora. Z każdym kolejnym krokiem okolica nabierała kolorów. Trawa stawała się bardziej zielona, a rzeka błękitniała, zupełnie jakby ze skalistych klifów spływały barwy.

Znam to miejsce. Byłem już tutaj, pomyślał.

Zielona dolina oraz niebieskie jezioro. Delikatne fale, omywające brzegi. Uwagę Corbana przyciągnął plusk wody. Uniósł głowę

i dostrzegł fale, rozchodzące się po powierzchni jeziora, jakby coś do niego wrzucono.

Znów miał wrażenie, że coś sobie przypomina. Spojrzał na brzeg jeziora i naraz odnalazł to, czego szukał – klon o czerwonych liściach, pod którym kiedyś siedział. Bez namysłu podszedł do niego i usiadł ciężko, opierając się plecami o pień. Wokół panował bezruch, liśćmi ani trawą nie poruszał najłżejszy nawet podmuch powietrza, nie było słyhać bzyczenia owadów. Cisza była wręcz niepokojąca.

Wtem gdzieś wysoko na niebie rozległ się łopot skrzydeł. Corban uniósł głowę i spojrzał przez płataninę liści oraz gałęzi. Od razu wypatrzył ludzką sylwetkę na tle chmur, tłukącą powietrze szerokimi skrzydłami o białych piórach. Obcy trzymał w ręku włócznię.

To Ben-Elim. Meical... Meical!

I wtedy wspomnienia runęły na niego niczym głązy niesione lawiną.

Przypomniał sobie Meicala w wielkiej sali Drassil, opowiadającego mu o oszustwie Ben-Elim. Wyjawiającego, iż rzekome prorocstwo było tylko fortelem wojennym, mającym na celu zmylenie Asrotha i ściągnięcie Calidusa oraz Kadoshim do Drassil. Że Jasna Gwiazda i Czarne Słońce były jedynie wymysłami. W wielkiej wojnie między Ben-Elim i Kadoshim, Wiernymi i Upadłymi, było to w istocie udane zagranie, ale Corban nie mógł się pogodzić z tym, że ludzie zostali wykorzystani jak pionki na szachownicy.

Mój ojciec. Mama. Tylu innych...

Zalała go furia i wstyd. Wyznanie Meicala sprawiło, że poczuł się zdradzony. Pamiętał, że z trudem opanował pokusę pochwycenia za miecz, a potem, czując, że lada moment straci panowanie nad sobą, opuścił twierdzę i znalazł się na wzgórzu w lesie. Rozmyślał tam nad słowami Meicala i próbował ustalić, czy jego wyznanie będzie miało znaczenie dla przyszłości.

A potem pojawiły się olbrzymy Jotun. Ildaer, ich przywódca wojenny, zabójca Tukula, ojca Gara.

Wspomnienia przebiegały przez jego umysł. Ryczący niedźwiedź, ślina tryskająca mu z czerwonego pyska, ucieczka, gałęzie smagające go po twarzy, ziemia dudniąca pod łapami goniącego go zwierzęcia, rany w kolanie i piersi, włócznia wbijająca się w ciało Burzy, rzeka, lodowato zimna woda. Wyjąca Burza, gdy olbrzymy odciągały go od jej boku.

Burza...

Ból znów przeszył jego pierś, jakby ktoś zacisnął dłoń na jego sercu i zaczął nim szarpać.

Nie mógł oddychać. Jego rozpacz, naraz ciężka i materialna, wyszarpywała mu powietrze z płuc. Zataczając się, szedł w stronę jeziora, aż padł na kolana przy brzegu. Jego umysł zalewała niepowstrzymana fala wspomnień. Widział Drassil, słyszał rozpaczliwy ryk rogów oraz szczęk oręża, przed oczami płynęły mu oblicza ukochanych – Coralen, Gara, Cywen, Datha, Farrella, Briny i wielu innych.

Czy żyją jeszcze? Kto zaatakował Drassil?

Kątem oka zarejestrował jakiś ruch. Woda jeziora przed nim zaczęła falować i pienić się, jakby coś wynurzało się z głębin. Potem zamajaczył jakiś ociekający wodą kształt, zmierzający w stronę brzegu.

Był to samotny mężczyzna w długim, ciemnym płaszczu, ciągnącym się za nim jak wodorosty. Zbliżał się do Corbana z przyjaznym uśmiechem zainteresowania. Skórę miał upstrzoną plamami szarości i pociętą żyłami jak u trupa, a włosy gładkie i śliskie jak natarte oliwką. U pasa nosił miecz w czarnej pochwie.

– Cóż, nieczęsto miewam tu gości – powiedział płynnym, miękkim głosem, przywodzącym na myśl wody płytkiego strumienia, prześlizgujące się wśród otoczków. – Co cię sprowadza do mego domu?

– Ja... Ja już tu byłem – rzekł Corban.

– Wiem. Obserwowałem cię.

– To Zaświat – stwierdził Corban.

– Tak. A to jezioro, to drzewo i ta dolina – ciemnowłosy mężczyzna zatoczył łuk dłonią – należą do mnie.

Wzruszył ramionami. Z jego włosów spływała woda.

– Należysz do Ben-Elim? – spytał Corban.

Mężczyzna roześmiał się.

– Do tych nadętych durniów? Nie, choć ku memu wielkiemu zażenowaniu nie mogę się wyprzeć więzów pokrewieństwa.

– A więc Kadoshim? – W głosie Corbana pojawił się lęk.

– Skądże – parsknął obcy. – Miałbym być jednym z tych rozwiązłych, służalczych szaleńców? A przypominam ich może wyglądem?

– Nie – przyznał młodzieniec.

– A więc widzisz. Ja po prostu jestem sobą. Mam na imię Viathun – rzekł i uniósł jedną dłoń ku niebu, po czym rozstawił palce. Corban ujrzał, że są połączone błoną jak u żaby. – Pochodzisz ze świata śmiertelników, prawda? – ciągnął gospodarz.

Chłopak ostrożnie pokiwał głową.

– A jak się zwiesz, cielesna istoto? – spytał Viathun. Pochylił się nieprzyjemnie blisko, tak że jego wilgotny, cuchnący zgnilizną oddech omiatał Corbana.

Nie chciał się podzielić z nim swoim imieniem.

– Myślę, że udam się swoją drogą – rzekł. Marzył tylko o tym, by znaleźć się jak najdalej od tej istoty.

– Cóż, nie wydaje mi się – westchnął Viathun. – Myślę, że powinniśmy dokończyć tę rozmowę w jakimś bardziej ustronnym miejscu.

Corban cofnął się i odwrócił, by odejść, ale coś pochwyciło go za kostkę. Spojrzał w dół i ujrzał, jak od płaszcza Viathuna oddzieliła się macka, która rozciągnęła się niczym kończyna i oplótła się wokół jego nogi. Viathun ruszył w stronę jeziora, a macka z oszalamiającą siłą pociągnęła Corbana za sobą.

Przez moment był zbyt wstrząśnięty, by stawić opór, ale wtem szarpnął i pochwycił za miecz.

– Chodź, nie ociągaj się! – zawołał Viathun przez ramię.

Szedł naprzód i pogrążał się coraz bardziej w toni jeziora. Jego płaszcz wydawał się rozszczepiać na dziesiątki falujących pasm, które oplatały nadgarstki, kostki i gardło Corbana, a potem

niespodziewanie szarpnęły nim i pociągnęły go do wody. Owładnęła nim panika, gdy Viathun włożył go za sobą niczym muchę w pajęczą sieć. Szamotał się, szarpał, napinał mięśnie. Jego żyły nabrzmiwały, mięśnie wyły z bólu. Z najwyższym wysiłkiem zdołał uwolnić jedno ramię, ale wtedy ogromna siła wyrwała go z wody, uniosła w powietrze i zakołysała nim przed obliczem nieznanego. Włókna płaszcza przypominały gniazdo wijących się węży.

Corban z trudem złapał oddech i usiłował uwolnić się od włókien, choć bezskutecznie. Viathun przyglądał się mu z zimną fascynacją.

– Powiedz mi, jak masz na imię! – warknął z gniewem przypominającym huk fal na skałach.

– Puść mnie! – sapnął Corban. Włókna ciasno oplatały jego pierś, dusiły go.

– Zakradłeś się tutaj i przeszkodziłeś mi w odpoczynku. – Viathun mówił mokrym głosem, przyciągając Corbana do siebie. – W zamian chcę odpowiedzi. A potem... Potem być może przekonam się, jak smakujesz.

Jego cuchnący oddech owionął Corbana, przez co mało nie wymiotował.

– Czym ty jesteś? – wykrztusił.

– Jestem Viathun – odparł nieznanomy i rozdziawił usta, które wydawały się rozszerzać, ujawniając coraz to kolejne rzędy kłów, ostrych i ociekających śluzem. – Pożeracz dusz.

Nagle rozległ się świst i płaszcz Viathuna przebiła włócznia. Ten wrzasnął głośno, a z nieba spłynął jeden z Ben-Elim. W ślad za pierwszą włócznią pomknęły kolejne, które wbijały się w ciało Viathuna, ryczącego teraz z bólu i wściekłości. Corban znalazł się niespodziewanie na ziemi, gdy potwór zapomniał o nim i skupił swą uwagę na napastnikach.

Czyjeś dłonie pochwyciły Corbana i młodzieniec znów wzniósł się w powietrze. Z obu stron asekurowali go Ben-Elim, którzy mknęli ku niebu, bijąc mocno skrzydłami.

Chwilę później walka wśród wód jeziora była już daleko pod nimi. Viathun i jego żywy płaszcz pogrążył się w toni. Jedno włókno

oplotło się wokół jakiegoś Ben-Elim. Jego wrzask ucichł, gdy głowa znikła pod powierzchnią wody.

Wznosili się i mknęli środkiem wijącej się doliny, manewrując wśród szczytów i ostrych klifów, aż Corban ujrzał fortecę wyłaniającą się wśród gór, zbrojną w potężne mury i liczne wieże. Wzniesiona z kamienia białego niczym kość, wydawała się jaśnieć nawet pośród przytłaczających ją ciemnych chmur. Wokół wież unosili się Ben-Elim – niektórzy wirowali wśród obłoków, a inni, w lśniących zbrojach, pełnili straż. Kolejni patrolowali długie, wijące się mury, a znad wielkiego dziedzińca pośród wież unosił się szczepek oreża.

Trenują tak jak my w Drassil, pomyślał Corban. Przygotowują się do wojny!

Jego wybawiciele wylądowali gładko na płaskim dachu wieży i pociągnęli chłopaka za sobą przez zwieńczone łukiem przejście ku schodom. Niebawem dotarli do wielkiej sali o wysokim sklepieniu, gdzie czekały tysiące Ben-Elim, lśniąc zbrojami i białą skrzydeł. Gęsty tłum płynnie rozstąpił się przed Corbanem i jego eskortą. Zewsząd spoglądały na niego blade, pozbawione wyrazu twarze.

Przed sobą miał podwyższenie, do którego prowadziły szerokie schody. Na ich szczycie wznosił się wielki tron, biały niczym kość, którego oparcie uformowano na podobieństwo dwóch skrzydeł, górujących nad zasiadającą tam postacią. Ben-Elim, który dostąpił tego zaszczytu, siedział skulony, a białe skrzydła otulały go niczym płaszcz, sięgając koniuszkami posadzki. Pochylał się, a ciemne włosy przesłaniały mu twarz. Gdy Corban podszedł bliżej, Ben-Elim podniósł głowę. Oczom młodzieńca ukazała się znajoma twarz.

Meical...

W sercu Corbana zapłonęły wściekłe emocje. Z jednej strony czuł ulgę na widok towarzysza i przyjaciela w tym dziwnym miejscu, ale rana, którą pozostawiła zdrada Meicala, nadal płonęła żywym ogniem. Czuł, jak policzki czerwienieją mu od gniewu. Meical zaś wyprostował się, a na jego obliczu pojawiły się ból oraz żal, jakże nie do pomyślenia wśród istot o rysach twarzy wykutych z kamienia.

Co się z nim dzieje, przemknęło Corbanowi przez myśl.

Meical nabrał tchu, drżąc na całym ciele.

– Dzięki niech będą Elyonowi! – odezwał się. – Skoro twoja dusza tu dotarła, twoje ciało nadal żyje w świecie śmiertelników. – Mówił z trudem, jakby wypowiedzenie każdego słowa wiązało się z bólem i wysiłkiem. – W przeciwnym razie twoja dusza pokonałaby już most mieczy.

Corban zamrugał.

Meical wyciągnął rękę i dał mu znać, by podszedł bliżej. Młodzieniec wzdrygnął się i chciał zrobić krok w tył.

– Nie dotykaj mnie! – warknął, przypominając sobie wielką salę w Drassil.

I wielkie kłamstwo, dodał w myślach.

Zewsząd dobiegły syknięcia oburzonych Ben-Elim, ale Meical uniósł dłoń.

– Zachowajcie spokój – rzekł.

– Ale przecież sam słyszałeś! – parsknął jeden z nich. – Ta cielesna istota cię obraża! Ciebie, naszego przywódcę, ustępującego znaczeniem jedynie samemu Ojcu Ojców!

– Ma dobry powód – odparł Meical i pochylił głowę. Rozparł się na tronie, a Corban dostrzegł, iż był bledszy niż kiedykolwiek wcześniej. Na szyi miał czerwoną ranę, z której wyciekała przejrzysta ciecz przypominająca krew.

– Co ci się stało? – spytał Corban.

– Zdarza się, że odniesiemy w świecie materialnym ranę tak poważną, że przynosimy ze sobą jej cień do Zaświatu.

Corban dotknął dłonią piersi. Przypomniał sobie tępy ból, towarzyszący każdemu oddechowi, i zrozumiał, iż było to echo połamanych żeber.

– Czego to cień? – spytał, wskazując ranę na szyi Meicala.

– Ścięto mi głowę w Drassil – padła odpowiedź.

– Co? – wykrztusił Corban, nagle przypominając sobie ryk rogów i szczęk oręza. W jego trzewiach rozlał się zimny lęk.

– To Calidus i Nathair. Zaatakowali nas.

– Jak?

– Tunelami – odparł ze znużeniem Meical.

– A co z moimi przyjaciółmi? Z moim ludem?

– Niektórzy zdołali uciec – szepnął Meical. – Gar poprowadził uciekinierów północnym tunelem. Powstrzymałem Kadoshim najdłużej jak się dało. – Potrząsnął głową. – Ale Drassil padło.

Nathair i Calidus zajęli twierdzę, pomyślał Corban. Świadomość tego, co się stało, zaciążyła mu niczym kamień na szyi. Mój hufiec został rozbity, a ci, którzy podążyli za mną, którzy mi zaufali, nie żyją. Moi przyjaciele...

– Widzisz, do czego doprowadziły twoje knowania? – parsknął i rzucił się na Meicala.

Jego atak był tak nieoczekiwany i tak szybki, że zdołał zacisnąć dłonie na szyi Ben-Elim, zanim ktokolwiek drgnął. Uderzenie serce później za plecami młodzieńca wybuchło zamieszanie. Usłyszał krzyki, poczuł zaciskające się na nim ręce, napinające się i uderzające w niego skrzydła. Nie zwracał jednak na nic uwagi i bez litości zaciskał dłonie na szyi Meicala. Ten nie zrobił nic, by go powstrzymać. Siedział nieruchomo w cieniu wielkich skrzydeł swego tronu i wpatrywał się w Corbana oczami pełnymi łez żalu i rozpacz.

– Zamordowałeś moich przyjaciół! – wrzeszczał Corban, którym zawładnęła czerwona furia.

Coś wyrznęło go w głowę i świat przesłoniła na moment biała eksplozja. Jego palce zsunęły się z szyi Meicala. Próbował ponownie ją pochwycić, ale złapały go kolejne dłonie, odciągnęły w tył, zmusiły do ukłęknięcia. Gdy uniósł głowę, ujrzał wokół siebie ostrza oraz wściekłe twarze. Jeden z Ben-Elim mierzył włócznią w jego serce.

– Nie – rzekł Meical, a włócznia zamarła tuż przed ciałem młodzieńca.

Zewsząd dobiegały wściekłe okrzyki, a Corban słyszał słowa takie jak: „kara” czy „świętokradztwo”.

– Nie – powtórzył Meical.

Ben-Elim rozstąpili się, ukazując Meicala nadal siedzącego na tronie. Wpatrywał się w przybysza, a jego twarz była na pozór pozbawiona emocji, choć Corban widział już w niej szczeliny i pęknięcia.

– On ma powód, by być na mnie złym – dodał.

– Złym? – Corban pokręcił głową. – Okłamałeś mnie i całą resztę. Wykorzystałeś nas jako przynętę, grałeś nami niczym pionkami! Wy wszyscy! – dodał, patrząc z furią na otaczających go Ben-Elim. Większość z nich odpowiedziała podobnymi spojrzeniami. – I wygląda na to, że twój plan powiódł się aż za dobrze, bo bez wątpienia udało ci się ściągnąć Calidusa do Drassil. Powiedz mi, Meicalu, jak daleko sięgała twoja intryga? Czy zależało ci również na tym, by Drassil upadło, a moi przyjaciele i towarzysze broni zostali wyrżnięci? – Zgrzytnął zębami i przełknął ślinę. – Naprawdę chciałeś, by cię ścięto?

– Nie. Nie planowałem tego – rzekł Meical z powolnym westchnieniem.

Ta wojna została przegrana, zanim się jeszcze zaczęła, pomyślał Corban. Ziemie Wygnanych zostały podbite, a wszyscy, których kocham, polegli bądź uciekli.

Rozpacz odebrała mu resztki energii. Opadł bez sił w rękach Ben-Elim.

– To jeszcze nie koniec – powiedział Meical.

Minęła dłuższa chwila, zanim jego słowa przebiły się przez poczucie beznadziei, które zawładnęło duszą młodzieńca.

– Oczywiście, że to koniec – wyszeptał.

– Nie. Dopóki żyjesz, dopóty nie ma mowy o końcu. Dopóki Calidus wciąż poszukuje Siedmiu Skarbów, których potrzebuje do realizacji swego planu, dopóki Asroth jest uwięziony tu, w Zaświecie, wciąż jest nadzieja.

– Nie da się już powrócić do tego, co było...

– Nie wiemy tego – rzekł Meical. – Gar wyprowadził wielu ludzi z Drassil. Być może nadal żyją. I są jeszcze inni, gotowi pochwycić za broń przeciwko Nathairowi i Calidusowi. Nadal jest nadzieja.

Corban gwałtownie podniósł głowę i wbił wzrok w oczy Meicala.

– Przez cały czas karmiłeś mnie kłamstwami, a teraz będziesz mi mówił o nadziei? Nie jesteś lepszy od Asrotha czy Kadoshim! Jesteś kłamcą i oszustem! Żałuję, że cię kiedykolwiek poznałem.

Po sali znowu przetoczyły się gniewne okrzyki. Spojrzenie Meicala stwardniało.

– Pozwoliłem ci na to, byś wyraził swój gniew, ale uważaj, byś nie zabrął za daleko. Stawka w tej grze jest o wiele większa od twoich urażonych uczuć. Zachowujesz się jak rozkapryszony bachor! – Urwał i opadł bez sił na tron. Zasłonił dłonią oczy. – Cały twój świat chwieje się w posadach, ale walka nie dobiegła jeszcze końca. Nadal istnieje szansa, by...

– Nie ma już żadnej szansy! Nie jestem w stanie niczego zdziałać! W naszym świecie zostałem ranny i wpadłem w ręce Jotun. Mam pogruchotane kości, a Burza nie żyje...

Słowa uwięzły mu w gardle, a serce zalała nowa fala żalu.

– To kolejna wielka strata. – Meical zwiesił głowę. – Burza była lepszą strażniczką od dwóch tuzinów zbrojnych.

– Była dla mnie kimś więcej niż strażniczką! – warknął Corban. – Była moją towarzyszką, przyjaciółką... – Ze złością otarł łzy z oczu. – Twoje kłamstwa wygubiły moją rodzinę. Przez ciebie zginął mój ojciec, po nim matka, przyjaciele i tak wielu innych! Wszyscy oddali życie za nadzieję, która nigdy nie istniała. Wszyscy zginęli dla mnie! A ponieważ ty nie doceniłeś Calidusa, nie mieliśmy szans!

– Zawsze jest szansa! Dopóki oddychasz, zawsze masz szansę! – huknął Meical, który zacisnął dłonie na oparciach fotela i pochylił się do przodu. Chłód na jego twarz znikł. – A jeśli nie chcesz myśleć o zwycięstwie, co z twoim pragnieniem zemsty? Chcesz gadać i skamleć czy może poszukać sposobu, by pomścić poległych? Chcesz użalać się nad sobą czy ratować ukochanych?

Opadł bez sił, najwidoczniej wyczerpany tyradą.

Nie pozwolę, by mi mówił, co mam robić. Nie pozwolę już na to, by mną manipulował, pomyślał Corban, ale w głębi duszy musiał przyznać, że słowa Meicala nie pozostały bez echa. Przez głowę przemknęły mu wspomnienia Gara, Cywen, Coralen, Farrella, Datha, Briny, Edany i wielu innych, których poznał podczas pełnej niebezpieczeństw wędrówki z domu w Dun Carreg do Drassil. Na samą myśl o tych, którzy być może walczyli, być może ginęli bez niego...

Przez chwilę pragnął tylko tego, by powrócić do nich, by znaleźć się u ich boku.

Nie porzucę ich na śmierć czy męki, myślał. Nie pozwolę, by samotnie czekali na koniec. Muszę wrócić. Może istnieje sposób, by im pomóc.

Spojrzał na Meicala i uświadomił sobie, że zaciska pięści.

– Powrócę, ale nie dla ciebie. Nie zrobię tego dla żadnego z was. Nie jestem już niczyją marionetką. Wracam, by ocalić tych, których kocham.

Meical wpatrywał się w niego przez długą chwilę, nie mówiąc ani słowa, po czym pokiwał głową.

– Postaram się pomóc ci ze wszystkich sił, choć jestem uwięziony w Zaświecie. Nie mogę powrócić do Ziemi Wygnanych...

– Nie potrzebuję niczyjej pomocy! – warknął Corban.

Meical znów pokiwał głową.

– Dobrze – szepnął.

Podszedł do Corbana i zasłonił mu dłonią oczy, szepcząc słowa, których młodzieniec nie dosłyszał. Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale wtedy świat wokół niego zaczął się rozpląwać...

Rozdział piąty

RAFE

Rafe poczuł coś mokrego i jednocześnie szorstkiego, co tarło o jego policzek. Chciał się poruszyć, ale nie był w stanie. Nawet otwarcie oczu okazało się wielkim wysiłkiem. Leżał więc bez ruchu, pozwalając pozostałym zmysłom, by zbadały świat wokół niego. Wszystko go bolało – mięśnie, stawy, nawet kości wydawały się pulsować – ale w miarę upływu czasu wrażenie zaczynało przygasać i przekształcać się w stan zrelaksowanego wyczerpania, zupełnie jak podczas gorącej kąpieli po długim polowaniu. Słyszał świergot ptaków, plusk rzeki i stukot kadłubów przycumowanych łodzi, które co rusz uderzały o siebie. Gdzieś dalej dudniły końskie kopyta i niosły się ludzkie kroki. Wiele kroków. Słyszał też głosy.

Nie miał pojęcia, jak długo leżał tak na ziemi, ale po jakimś czasie powróciło owo szorstkie, wilgotne tarcie na twarzy, w którym rozpoznał lizanie psa. Uśmiechnął się z trudem i rozchylił powieki.

Przed jego oczami eksplodowało światło. Miał wrażenie, że promienie słońca przebijają się przez jego czaszkę. Zacisnął mocno powieki, a wtedy ból osłabł. Spróbował otworzyć oczy ponownie, tym razem wolniej. Ujrzał przed sobą czarny, węszący nos. Futro łaskotało go w podbródek.

– Cześć, Niuchacz – wykrztusił ochrypłym głosem. Odepchnął ból i dźwignął się na kolana, a potem wstał. Zachwiał się i oparł o szeroki pień drzewa.

Co się ze mną stało?

Rozciągnął się, a sztywność w jego ciele zaczęła ustępować. Przez moment stał i czuł, jak jego mięśnie dochodzą do siebie. Budziła się w nim energia. Czuł powracającą siłę i żywotność.

– Czuję się dobrze – wymamrotał i nachylił się, by poklepać Niuchacza po łbie.

Nieco dalej stał Drapichrust, który przyglądał mu się uważnie.

– Wszystko w porządku! – Skinął na psa. – Nie masz się czego bać.

Ogar podszedł bliżej. Uszy położył płasko po sobie i podkulił ogon, na co Rafe parsknął śmiechem i zmierzwił mu futro.

Umieram z głodu, pomyślał.

Wtedy opadły go wspomnienia. Przypomniała mu się bitwa na bagnach, stoczona z hufcem Edany, jego własna desperacka ucieczka i opuszczenie wieży Morcanta, gdzie był przesłuchiwany przez Rhin i jej olbrzyma Uthasa. Pamiętał, że szedł potem wzdłuż brzegów rzeki, aż znalazł miejsce pod drzewem, gdzie wypił trochę wina i posilił się zimną jagnięciną.

Podrapał się po policzku i wyczuł twardą szczecinę, co wydało mu się dziwne.

Jak długo tu leżałem?

Rozejrzał się. Otaczały go bagienne drzewa i krzewy, wśród których uwijały się ptaki. W powietrzu unosiły się pomarańczowe i błękitne motyle, a po bezchmurnym niebie powoli wędrowało wiosenne słońce, które ogrzewało mu twarz. Z jakiegoś powodu wszystko wydawało się wyraźniejsze, jaśniejsze i czystsze.

Czuję się odrodzony, pomyślał.

Zauważył, że mięso przyniesione przez niego z obozu zostało ogryzione przez psy, które pogryzły też kości. Obok resztek widział pozostałości szkatułki, znalezionej na bagnach niedaleko Dun Taras, a dalej kubek z ciemnego metalu. Wyryto na nim runy. Ze środka wyciekała kropla wina.

I wtedy, jakby ktoś rąbnął go pięścią, przypomniał sobie resztę.

Piłem z niego.

Kolana ugięły się pod nim. Oparł się o drzewo, gdy przez jego ciało przeszło wspomnienie bólu, który przeszył go po napiciu się z kielicha. Poczł przerażenie.

Co ja narobiłem?, pomyślał. To zaklęty puchar! Rzucono na niego jakiś czar! Ale... Ale ja nie zginąłem! Żyję, a do tego nigdy chyba nie czułem się bardziej żywy niż dziś!

Na próbę zrobił krok i pochylił się, by podnieść swą sakwę. Na kilka uderzeń serca zamarł, wpatrzony w puchar, po czym złapał go i wepchnął do torby.

Ruszył w drogę powrotną ścieżką wijącą się wśród wysokiego sitowia, aż dotarł do strumienia, który zaprowadził go do rzeki. Na wodzie unosiło się mnóstwo zacumowanych łodzi, a w powietrzu rozchodził się mocny zapach świeżo ciętego drewna sosnowego, żywicy i świeżej smoły. Wzdłuż brzegu ciągnęły się belki rusztowań, więzących wręgi kadłubów budowanych łodzi, przypominających ogryzione do czysta kości wielorybów. Uwijały się przy nich całe zespoły robotników. Rafe minął ich, niezauważony przez nikogo, aż dotarł na łąki, ciągnące się za bagnami i sięgające skraju lasu Baglun. Zatrzymał się tam i zapatrzył, zaskoczony. Zdawało mu się, że przeleżał pod drzewem zaledwie pół dnia, ale wyraźnie upłynęło znacznie więcej czasu. Przed sobą widział wieżę Morcanta. Przez jej bramę przejeżdżały wozy, ciągnięte przez kosmate woły, a na łące wokół wieży wznosiły się namioty hufca Rhin, nad którymi powiewały czarno-złote proporce. Jej oddziały zostały wzmocnione przez posiłki. Na zachodzie jeźdźcy trenowali atak na słomiane tarcze, a piesi ćwiczyli się w walce na włócznie i tarcze.

A więc szykują się do kolejnego natarcia na Edanę, pomyślał.

– Rafe!

W stronę młodego tropiciela szedł Morcant, który wyglądał olśniewająco w czarnym napierśniku i obszytym złotą nicią płaszczu z soboli. Włosy miał związane z tyłu głowy, a warkocz wojownika oplótł złotym drutem. Towarzyszyło mu dwóch strażników.

Wygląda o wiele lepiej, niż gdy widziałem go po raz ostatni w namiocie Rhin, tuż po bitwie, umazanego krwią i mułem i śmierdzącego jak kloaka, pomyślał Rafe.

– Gdzieś ty się podziewał, chłopcze! – warknął na niego Morcant.

– Eee... Tam byłem. Spałem. – Rafe machnął ręką w stronę rzeki i bagien.

– Spaleś? – parsknął Morcant. – Przez dziesięć dni?

Dziesięć dni, powtórzył w myślach Rafe.

– Myślałem, że zdezerterowałeś! Że nie masz już ochoty na kolejne bitwy!

– To się pomyliłeś! – Młodzieniec najeżył się, słysząc ledwie zawołowaną zniewagę.

– Uważaj na to, co mówisz. – Morcant spojrział na niego spode łba.

– Ja jestem teraz władcą Ardanu i wystarczy, że pstryknę palcami, a twoja głowa zostanie nabita na włócznię.

Rafe poczuł nagły przypływ gniewu, o wiele gorętszego i gwałtowniejszego niż kiedykolwiek wcześniej. Stłumił go z wielkim wysiłkiem.

– Sądziłem, że to Ewnis włada Ardanem – rzekł.

– Ewnis nie powrócił z bitwy i został uznany za poległego – wyjaśnił z pogardą Morcant. – Rhin wyznaczyła mnie, bym rządził w jego miejsce.

A więc poległ, pomyślał Rafe. Stracił Ewnisa z oczu, gdy ogień buntowników zaczął topić ich łodzie i trzeba było ratować własne życie, a nie przejmować się innymi. Niemniej trudno mu było pogodzić się ze śmiercią Ewnisa. Był jego panem, odkąd sięgał pamięcią, a jego ojciec służył mu jako łowczy przez wiele lat.

– A więc – ciągnął Morcant aroganckim tonem – teraz ja jestem twoim panem i lepiej o tym nie zapominaj. Chodź za mną. Królowa Rhin chce z tobą rozmawiać.

Rafe podążył w ślad za Morcantem wzdłuż palisady ciągnącej się na zboczu wzgórza, a potem między rzędami namiotów ku większemu, wznoszącemu się w ich centrum. Przed wejściem stały dwa olbrzymy z daleka przypominające wielkie posągi, a obok nich grupka przybocznych Rhin.

Czekając na wpuszczenie do środka, Rafe przyjrzał się olbrzymom. Ten stojący bliżej okazał się kobietą, która założyła ramiona na piersi i odwzajemniła spojrzenie ze zmarszczonymi brwiami. Na plecach miała pochwy z dwoma nożami o długości krótkich mieczy.

– Królowa Rhin jest gotowa cię ujrzeć – oznajmił jeden z przybocznych, a Rafe przeszedł ze słonecznego blasku w chłodne cienie namiotu.

Rhin siedziała przy szerokim stole. Jej siwe włosy zostały splecione złotym drutem, a na ramionach nosiła płaszcz z niedźwiedziej skóry. Na stole przed nią leżał rozłożony pergamin, który okazał się mapą mokradeł z zaznaczoną wieżą Morcanta. Tereny bagienne były w większości białą plamą, a domniemaną pozycję Dun Crin zakreślono szerokim kręgiem.

Za Rhin stał Uthas z Benothi, ściskając włócznię o masywnym drzewcu. Na szyi miał naszyjnik z długimi, zakrzywionymi kłami.

– Och, powrócił nasz włóczęga! – zawołała Rhin na widok Rafe’a. – Myślałam, że zginąłeś! Bądź wzięto cię do niewoli – dodała, mrużąc oczy. – Czy dalej zasługujesz na moje zaufanie? Gdzieś ty bywał?

– Spał – rzekł Morcant, nim Rafe zdołał odpowiedzieć.

– Z kim? – spytała królowa.

– Z nikim. – Rafe się zawahał. – Moje psy...

Rhin uniosła brew.

– Nie musisz się krępować. Przecież każdy potrzebuje trochę czasu dla siebie, by oddać się osobistym przyjemnościom. Czemu bowiem miałyby służyć życie? Ale spanie przez dziesięć dni to lekka przesada, nie sądzisz? I trudno mi chyba w to uwierzyć. Okłamujesz mnie?

– Nie, moja pani! – wymamrotał Rafe. – Wypiłem coś i...

Morcant parsknął śmiechem, ale Rhin zamarła i wbiła wzrok w Rafe’a, przechyliwszy nieco głowę.

– Nic ci nie jest? Wyglądasz jakoś... inaczej.

Rafe ze spokojem wytrzymał jej spojrzenie, rejestrując rozmaite szczegóły na jej twarzy – zmarszczki wokół ust, rozlewające się w siateczkę na policzkach, gęstniejące wokół oczu. Jej cera wydawała się niezmiernie piękna, niemalże przejrzysta. Jego wzrok przykuło miarowe, hipnotyczne bicie setek żył pod cieniutką skórą, po czym spojrzął na jej oczy, głębokie i ciemnoniebieskie niczym toń jeziora. Oczarowały go.

– Odpowiedz swej królowej! – warknął Morcant i podniósł rękę, by trzepnąć młodego tropiciela w tył głowy.

Rafe ujrzał ten ruch jak w zwolnionym tempie i nie zastanawiając się nad niczym, błyskawicznie poderwał dłoń, by złapać go za nadgarstek. W namiocie zapadła cisza pełna zaskoczenia. Wszyscy wpatrywali się w Morcanta, usiłującego wyrwać dłoń z żelaznego uścisku Rafe'a.

– Jak śmiesz! – wywarczał Morcant i szarpnął raz jeszcze, po czym złapał za nóż przy pasie. – Poobcinam ci te cholerne paluchy! Jeden po drugim!

– Dość tego – rzekła Rhin.

Morcant znieruchomiał, a Rafe stłumił kipiący w nim gniew i uwolnił rękę nowego regenta Ardanu, na której już widniały purpurowe sińce.

– Nie lubię, jak ktoś mnie bije – mruknął.

– Co właśnie pokazałeś – rzekła Rhin z zimnym uśmiechem.

Morcant skrzywił się, a Uthas zmarszczył siwe, krzaczaste brwi i pochylił się ku chłopakowi.

Morcant jest teraz władcą Ardanu, pomyślał Rafe. Co ja narobiłem?

– Proszę... Proszę o wybaczenie – bąknął i przetarł oczy. – Nie wiem, dlaczego to uczyniłem ani też co się ze mną dzieje...

Rhin wymieniła spojrzenia z Uthasem, po czym znów odwróciła się w stronę Rafe'a.

– Jesteś mi potrzebny, a więc tym razem ci wybaczę.

– Dziękuję, moja pani – odparł. Starczyło mu rozsądku, by pochylić głowę i powstrzymać pokusę, by spojrzeć na Morcanta i uśmiechnąć się. – I proszę o wybaczenie.

Rhin machnęła dłonią.

– To nie wystarczy. – W jej głosie pojawiła się nuta, która przeraziła Rafe'a. – Jestem twoją królową, a ty moim poddanym. Musisz poznać swe miejsce w szeregu.

– Zrobię to – bąknął Rafe.

– Dołoż wszelkich starań – rzekła Rhin. – A gdy poślę po ciebie następnym razem, przyjdź natychmiast. Twoje życie należy do mnie.

– Wpatrywała się w niego bez wyrazu. – Mogę sprawić, że stanie się ono przyjemne albo nieprzyjemnie krótkie.

Rafe przełknął ślinę.

– Rozumiemy się?

– Tak, moja pani. – Pokiwał głową.

– Dobrze. Podejdź tu teraz i pomóż mi z tą mapą. Chcę w ciągu dziesięciu dni ujrzeć głowę Edany na tacy.

Rozdział szósty

CAMLIN

Camlin szedł wzdłuż brzegu strumienia, trzymając łuk luźno w ręku. Wracał do Dun Crin z wyprawy myśliwskiej.

Gdzie przyszło nam polować na ludzi, pomyślał.

Od bitwy pod Dun Crin, w trakcie której siły Evnisa i Morcanta zostały rozbite i rozproszone, upłynęło dziesięć dni, a Camlin wraz z kilkunastoma innymi wojownikami przystąpił do polowania na maruderów.

Im więcej ich zabijemy, tym mniej powróci, by spróbować pozabijać nas później, powtarzał sobie.

Podzielił swój oddział na pary, choć sam działał w grupce trzyosobowej. Zerknął na Meg, dziewczynkę, którą ocalił we wsi na skraju bagnisk.

Choć już spłaciła swój dług wielokrotnie, pomyślał. Ileż to razy ratowała mi skórę?

Mała szła teraz obok niego w skórzanym kaftanie wojownika. Jedną rękę zaciskała na włóczni, a drugą opierała na rękojeści nowego sztyletu za pasem. Wszystko pochodziło z łupów zebranych po bitwie pod Dun Crin. Camlin pomógł jej przyciąć i przesyć kaftan, by lepiej na nią pasował, odpiłował też spory kawałek drzewca włóczni, by łatwiej jej było się nią posługiwać.

Mimo to nie do końca cieszył się z tego, że mała im towarzyszy.

Choć widziała już gorsze rzeczy, pomyślał.

Wspomnienie pokrytych plamami stópek dziecka, wiszącego na szubienicy nad nabrzmiałymi, rozdętymi ciałami, zalegającymi na

placu, znów wkradło się do jego umysłu.

O wiele gorsze, dodał w myślach.

Przez ścieżkę przemknął cień. Camlin uniósł głowę, by spojrzeć na trzeciego członka ich grupy, który leciał nad nim. Craff obniżył lot i zakrakał głośno.

– Ciemne wody! Wysokie wieże!

– Wiem! – mruknął Camlin. – Nie potrzeba mi ptaka, bym wiedział, że wracam do domu.

Mimo to uniósł rękę i pomachał do niego.

Muszę przyznać, że z początku nie przepadałem za tym ptaszyskiem, ale okazuje się, że warto go mieć pod ręką, pomyślał.

Craff naprowadził ich na ponad tuzin wojowników zagubionych na bagnach, a Camlin dołożył wszelkich starań, by już z nich nie wyszli.

Minął ostatnie szuwary i wyszedł na brzeg wielkiego jeziora. Wieże i mury Dun Crin wyrastały prosto z wody, wilgotne i porośnięte mchem niczym zastygły potwór z dawnych dziejów. Na murach poruszały się jakieś postaci, między wieżami uwijały się łodzie, a na brzegu jeziora panowało zamieszanie. Żony i dzieci wojowników, którzy wzięli udział w bitwie o Dun Crin, wreszcie powróciły z kryjówki daleko na bagnach i wszędzie wznoszono teraz proste szałas, składające się z płóciennych płacht i ścian uplecionych z wierzbowych witek.

Po cóż by się mieli rozgościć na dłużej?, pomyślał Camlin.

Meg odbiegła od niego i zmieszała się z tłumem.

Przyglądał się, jak para dzieci grzebie w stosach zebranego z poboju uzbrojenia i przyodziewku, usypanych wzdłuż brzegów jeziora. Były tam miecze, włócznie, tarcze, buty, pasy, noże, kołczany, kolczugi, skórzane kaftany i czarno-złote płaszcze. Naraz u jego boku pojawiła się Meg w o wiele za dużym hełmie na głowie. Camlin próbował się nie roześmiać, ale nie udało mu się to do końca.

– Co znowu? – Meg się skrzywiła.

– Myślę, że ten hełm trochę cię spowolni – rzekł. – Poza tym masz dość grubą czaszkę. Nie sądzę, by ci się na wiele przydał.

Dziewczynka kuksnęła go w nogę.

– Kiedy ruszamy? – spytała.

– Nie wiem. – Camlin wzruszył ramionami. – Najpierw trzeba to będzie porządnie przegadać.

Zatrzymał się, gdy tłum ludzi rozstąpił się przed nim. Dostrzegł Edanę, która ze spokojem szła wśród swoich poddanych, zatrzymując się to tu, to tam, by zamienić z kimś kilka słów, ująć kogoś za rękę, dotknąć czyjś policzka. Przez cały czas wydawała się zainteresowana tym, co jej mówiono. Towarzyszyli jej Baird, jednooki wojownik z Domhainu, oraz Vonn. Camlin zmarszczył brwi, przyglądając się młodemu wojownikowi. Pod jego oczami widniały ciemne sińce, a twarz nosiła ślady niezagojonej rozpacz.

Pewnie ponoszę za to część winy, pomyślał. To, że zabiłem mu ojca, może mieć spory wpływ na jego nastrój.

Po bitwie wyruszył za Vonnem i odnalazł go kilka mil dalej, pogrążonego w rozmowie z Ewnisem. Oprócz ich dwóch w pobliżu nie było nikogo. Camlin przyglądał się, jak ich rozmowa przeobraża się w kłótnię, aż Vonn odwrócił się do ojca plecami i odszedł. Ewnis ruszył za nim, ale jego dłoń znikła pod płaszczem, skąd wyciągnęła nóż.

Camlin bez wahania wpakował mu w pierś dwie strzały.

Zerknął ponownie na Edanę.

Dojrzała od czasu tej nocy w Dun Carreg, gdy była świadkiem śmierci swego ojca, pomyślał. Rzuciła wyzwanie Roisin w sądzie mieczy i zwyciężyła, choć moim skromnym zdaniem wygnanie to zbyt łagodna kara dla takiej kobiety. Roisin nigdy nie przestanie sprawiać jej kłopotów.

Spojrzał za Edanę, szukając wzrokiem swego przyjaciela Haliona.

Powinien już być z powrotem!

Dostrzegł go przy ognisku, gdzie siedział ze swoim przyrodnim bratem Lorcanem, synem Roisin, dziedzicem tronu Domhainu i nieoficjalnym narzeczoną Edany. Towarzyszył im przyboczny młodzieńca, Brogan Bezkarki, jak go z uczuciem ochrzciła Meg.

– Cieszę się, że cię widzę – powiedział Halion i uściśnął przedramię Conalla.

– Ja również się cieszę. – Camlin się uśmiechnął.

Ich twarze były jednak poważne, a w powietrzu wisiało napięcie. Ciemne oczy Lorcana były zaczerwienione, a chłopak wyglądał, jakby płakał.

– Przeszkadzam? – spytał Camlin. – Jeśli tak, to każcie mi się wynosić.

– Nie, Camlinie. – Lorcan podniósł się i ukradkowo otarł oczy. – Już i tak miałem iść.

Halion ścisnął mu ramię. Chłopak pożegnał się i odszedł z wiernym Broganem.

– Trzyma się jakoś? – spytał Camlin.

– Nie – odparł bez ogródek Halion. – Ale myślę, że dojdzie do siebie. Wiem, że Conall nienawidzi go tylko i wyłącznie dlatego, że jest synem Roisin, ale ja go lubię. Nie ma w nim zawiści.

– Co nie zdarza się często – zauważył Camlin. – Mądrze postąpił z Roisin, choć odrzucenie własnej matki nie przyszło mu łatwo.

– Prawda – rzekł Halion. – Czasami to, co słuszne, boli najbardziej.

– Jemu, jak widać, dokucza to bardzo.

Tobie najwyraźniej również, dodał w myślach. Halion w istocie wydawał się zmęczony, a w jego oczach widać było udrękę.

– Zadanie wykonane, tak? – spytał Camlin.

– Tak – szepnął Halion. – Wróciłem wczoraj.

– Czy poszło... – Urwał. Chciał powiedzieć: „dobrze”, ale uznał, że to niewłaściwe słowo.

Halion odwrócił głowę ku bagnom.

– Roisin nie próbowała uciekać, jeśli o to pytasz.

– A to już coś – rzekł Camlin.

– Tak. – Halion wzruszył ramionami. – Nie było to najłatwiejsze zadanie w moim życiu – dodał, czując na sobie spojrzenie Camlina.

– Myślałem, że nienawidzisz Roisin.

– Tak. Zamordowała moją matkę, a potem chciała zabić mnie i Conalla. Przez nią musieliśmy uciekać z Domhainu. Była również gotowa zamordować Edanę. Wygnanie to doprawdy nazbyt łagodna kara.

– Ale?

Halion wzruszył ramionami. Błysk oczu szarych niczym morze był jedyną oznaką emocji, które tłumił w swym sercu.

– Niełatwo mi było od niej odejść.

Chodzi ci o to, że niełatwo ci było skazać ją na śmierć, pomyślał Camlin. Nazywamy to wygnaniem, ale tak naprawdę porzucenie jej w samym środku bagien to kara śmierci.

Poklepał Haliona po ramieniu.

– A jak twoje łowy? – spytał wojownik.

– Udane. Liczba wojowników w czerni i złocie, którzy znają drogę do Dun Crin, zmniejszyła się znacząco. Czyżbym wrócił jako pierwszy?

– Nie. Jesteś ostatni – rzekł Halion. – Wszyscy na ciebie czekaliśmy. Edana nie chciała zwoływać rady do twego powrotu. Bała się, że coś ci się stało.

Na policzkach Camlina pojawił się rumieniec, a na ustach zagościł uśmiech. Dziwnie się poczuł na wieść o tym, że jest przez kogoś doceniany.

* * *

Camlin rozejrzał się po kręgu znajomych twarzy. Zebrali się pośród ruin budowli, która kiedyś zapewne pełniła rolę strażnicy Dun Crin. Nad budynkiem wyrastała częściowo zawalona wieża, a pośród nadkruszonych zębem czasu blanek wiły sobie gniazda ptaki. Stary mur już dawno się rozsypał, wielkie głazy leżały rozrzucone w trawie, a kamienne płyty podłogowe zostały wybrzuszone przez potężne korzenie wierzby i olchy.

Edana usiadła na pokrytym mchem głazie w cieniu starego, zwieńczonego łukiem wejścia. W kolczudze, kaftanie z utwardzanej skóry i szarym płaszczu wyglądała swobodnie, a miecz u pasa dopełniał jej wizerunku.

Otaczali ją ci, którym ufała najbardziej – Pendathran, barczysty stary wojewoda, a zarazem jej wuj, rudowłosy Drust z Narvonu, ongiś przyboczny pokonanego króla Owaina, oraz młody Lorcan,

wygnany następca tronu Domhainu, wpatrujący się w Edaną z powagą. Wśród pozostałych, głównie wojowników i przybocznych, byli Halion, Vonn i jednooki Baird, strzegący królowej, oraz pilnujący Lorcana Brogan. Na łuku nad Edaną zastygł Craff, który przypominał teraz kamienną rzeźbę.

A gdzieś w pobliżu na pewno podsłuchuje nas Meg, pomyślał Camlin.

Edana wstała i toczona cicho rozmowy natychmiast się urwały.

– Opuuszczamy Dun Crin – powiedziała bez wstępów.

Siedzący nad nią Craff zmierzwił pióra.

– Opuuszczamy – zakrakał cicho.

– Nasi wojownicy dopiero co wrócili – sprzeciwił się Drust. – Nawet butów nie zdążyli jeszcze wysuszyć. A poza tym w Dun Crin łatwo się bronić.

Rozległy się pomruki aprobaty.

Odnieśli zwycięstwo i nie chce im się ruszać w drogę, ocenił w myślach Camlin. Widywałem już takie zachowania. Zwycięstwo w bitwie sprawia, że człowiek czuje się bezpieczny. Ale nasz wróg nie jest głupi. Rhin to podstępny przeciwnik i tutaj już jej nie pokonamy po raz drugi.

Dokładnie to samo powiedział Edanie podczas ich ostatniej rozmowy.

– Zgadza się – rzekła królowa. – Udało nam się wygrać ostatnią potyczkę. Rhin i jej dowódcy nie docenili nas i nie przeprowadzili należytego zwiadu. Drugi raz tego błędu nie popełnią, a powrócą bez wątpienia. Rzucili przeciwko nam pięćset mieczy, z czego trzystu wojowników posłaliśmy do piachu, ale wielu uciekło. Wiedzą już, gdzie jesteśmy, i złożyli raport Rhin. Przy następnej okazji okażą większą przezorność, a pamiętajcie, że Rhin włada teraz czterema królestwami. Jest w stanie zebrać armię, która nas zadcpcze.

Pendathran pokiwał głową z ponurą miną.

– Ale dokąd mamy się udać?

– Na bagnach są jeszcze dobre miejsca – rzekł Drust. – Nie tak wygodne jak to, ale...

– Musimy zmienić taktykę – przerwała mu Edana. – Tylko nasze rodziny zostaną na bagnach. Ja poprowadzę hufiec w głąb Ardanu.

– Ardanu? – wymamrotał Craf siedzący nad Edaną. Nie wydawał się zadowolony i niespodziewanie najeżył pióra na karku.

– Co? – wyrwało się Pendathranowi. – Przecież to kompletnie... – Urwał, a twarz mu poczerwieniała, gdy próbował zapanować nad emocjami oraz językiem. – ...nierozważne – zakończył.

– Nie wygramy tej wojny, chowając się na mokradłach. Jeśli Rhin ma zostać pokonana, a Ardan, Narvon i Domhain wyzwolone, musimy przenieść wojnę na jej terytorium. Musimy stać się przeciwnikiem, którego się obawia.

– Zwycięstwo w jednej bitwie nie decyduje o losach wojny – rzekł Drust. – Znakomicie sobie poradziłaś, ale moglibyśmy jeszcze nie raz zagrać Rhin na nosie na tych mokradłach.

– Wiem doskonale o tym, że wojna nie została wygrana. – Głos Edany nagle ochłódł. – Nie traktuj mnie protekcyjnie. Nie jestem dzieckiem i dobrze wiem, czym jest przegrana i niedola. – Spojrzała po wszystkich zebranych. – Każdego wieczoru, gdy zamykam oczy i każdego poranka, gdy je otwieram, widzę to samo. Widzę moich zabitych rodziców. Poległych przyjaciół. Płonący dom. Rozpędzonych, cierpiących poddanych. Kto zadba o nich, skoro my się chowamy po bagnach? Nigdy nie zapominajcie o tym, co Rhin nam odebrała. Pora, byśmy i my coś jej zabrali. Pora przenieść wojnę na jej ziemię.

Drust parsknął.

– Nie możemy jej wydać otwartej bitwy – warknął Pendathran.

– Oczywiście, że nie – rzekła Edana. – Jesteśmy zbyt nieliczni. Nasz hufiec liczy sobie niecałe dwieście mieczy, ale możemy wykorzystać to jako naszą przewagę. Możemy przemieszczać się szybko i równie szybko uderzać, a potem zniknąć, by uderzyć gdzieś indziej. Pokażemy Rhin i mieszkańcom Ardanu, że mamy zęby.

Pendathran pokiwał głową, zastanawiając się nad jej słowami.

– Długo to nie potrwa – powiedział.

– To prawda – przytaknęła Edana. – Dlatego trzeba rozpuścić plotki o tym, że Rhin przegrała wielką bitwę, a jej regent Ewnis

poległ. – Zerknęła na Vonna i nabrała tchu. – Że wróciła prawowita dziedziczka Ardanu. Ludzie muszą wiedzieć, że nie zostali zapomnieni. Znam ich. Dołączą do nas, jeśli damy im nadzieję.

Pendathran zerknął na Drusta. W milczeniu spoglądali na siebie, aż Narwończyk skinął ponuro głową.

– Kiedy ta mała dziewczynka podskakująca mi na kolanach stała się tą dzielną przywódczynią, którą teraz widzę? – rzekł Pendathran.

Edana uśmiechnęła się w odpowiedzi, choć zerknęła na Camlina i Haliona, którzy już wcześniej omawiali z nią wszystkie opcje.

Trzeba przyznać, że spora część planu jest jej autorstwa, pomyślał Camlin.

Załopotały skrzydła i Craf przysiadł na skale obok Edany.

– A Drassil? – zakrakał.

– Obawiam się, że to jeszcze nie pora na wyprawę do Drassil. – Edana zwróciła się do ptaka z powagą.

– Źle, źle, źle! – wychrypiał ptak i zatrzepotał z pasją skrzydłami. – Wojna Bogów! Siedem Skarbów! Corban! Brina! – powtarzał raz za razem.

– Jesteśmy potrzebni tutaj, Craf – powiedziała Edana i delikatnie dotknęła zmierzwionych piórek ptaka. Ten spojrział na nią, zakrakał z niesmakiem i odleciał. Odprowadziła go wzrokiem.

Gdy narada dobiegła końca, Camlin ruszył w ślad za nią. Słońce chowało się za drzewami, a znad brzegów jeziora dobiegały zapachy gotowania, przez co zaburczało mu w brzuchu.

– A co masz zamiar zrobić z tymi stosami łupów na brzegu? – zapytał.

– Weźmiemy ile się da, a resztę zatopimy w jeziorze, by Rhin nie mogła już z tego skorzystać – odpowiedziała Edana.

– Ale zatrzymajmy czarno-złote płaszcze – rzekł Camlin. – Myślę, że się jeszcze przydadzą.

– To samo przyszło mi do głowy – rzekła królowa z przebiegłym uśmiechem.

– Moja pani – odezwał się ktoś za nimi. Był to zamyślony, skupiony Vonn.

Zatrzymali się, by mógł ich dogonić.

– To, o czym gadał Craf... – zaczął.

– Tęsknię za naszymi przyjaciółmi tak samo jak on! – Edana westchnęła niecierpliwie. – Za Corbanem, Briną, Dathem, Garem i resztą... – Umilkła, a w jej oczach pojawiła się mgła. – I bardzo, bardzo chciałabym się z nimi zobaczyć, ale nie mogę rzucić wszystkiego i popędzić do Drassil. Podróż zabrałaby pół roku, a ja mam zobowiązania wobec moich ludzi...

– Źle mnie zrozumiałaś – rzekł Vonn. – Mam na myśli inne rzeczy, które mówił o Wojnie Bogów i... – Nabrał tchu. – Musimy porozmawiać o tym, co usłyszałem od mego ojca, zanim zginął.

– A co usłyszałeś? – spytała Edana.

– Mówił mi o Siedmiu Skarbach – rzekł cicho Vonn. – Chyba wiem, gdzie znajduje się jeden z nich.

Rozdział siódmy

CORALEN

Coralen uklękła przy Brinie i przyglądała się, jak kobieta wodzi dłońmi po piersi wilkuny. Burza znów zamknęła ślepie, a jej oddech stał się tak płytki, że wydawała się martwa, ale gdy palce uzdrowicielki dotknęły jej żeber, warknęła cicho i błysnęła kłami.

– A więc tu cię boli – mruknęła Brina. – Przepraszam, mój skarbie – szepnęła kojąco.

Uniosła wargę Burzy, by spojrzeć na kolor jej dziąseł. Zajrzała jej też w ślepie, uniosła łapy i zgięła w stawach.

Chyba jest źle, pomyślała Coralen. Brina nigdy nie mówi do nikogo „mój skarbie”, nawet jeśli komuś coś odrąbano.

Dziewczyna uniosła głowę, gdy usłyszała głosy za krawędzią urwiska. Był to Gar, który w międzyczasie zorganizował przeszukiwanie okolicy. Z całego serca pragnęła dołączyć do zwiadowców i martwiła się, że coś przeoczą, ale nie mogła się zmusić, by opuścić Burzę.

– Umiesz jej pomóc? – szepnęła do Briny.

Staruszka zignorowała ją. Naraz znieruchomiała, wyprostowała się i pochyliła głowę, zamyślona. Odetchnęła, pokiwała głową i szybkim ruchem wyciągnęła fiolkę, do której zebrała krew olbrzyma. Zanurzyła palec w krzepnącej cieczy, uniosła wargę Burzy i musnęła palcem nieruchomy język wilkuny.

– *Fuil namhaid, a thabhairt as shlainte agus neart* – powtarzała raz za razem i masowała gardziel wilkuny, by pomóc jej przełknąć.

Temperatura powietrza naraz spadła i Coralen zadrżała, jakby po jej kręgosłupie przebiegł wielki pająk.

Nagle ciałem Burzy wstrząsnął potężny dreszcz. Coralen nie wiedziała, czy przypadkiem sobie tego nie wyobraża, ale miała wrażenie, że oddech zwierzęcia stał się silniejszy, równiejszy. Brina zamarła i spojrzała na wojowniczkę.

– Coś ty zrobiła? – szepnęła Coralen.

– Nikomu ani słowa – syknęła ostro Brina, patrząc dziewczynie w oczy. – Gdyby nie to, co zrobiłam, jej los byłby już przesądzony. Zbyt rozległe obrażenia. Nawet teraz nie mam pewności...

Gar usiadł ciężko obok nich. Jego na ogół pozbawioną emocji twarz wykrzywiła troska.

– No i? – spytał, patrząc na uzdrowicielkę oraz na wilkunicę.

Brina nadal wpatrywała się Coralen w oczy. Ta odpowiedziała ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy, na co staruszka westchnęła i pokręciła głową.

– Nie wiem. Jest mocno poturbowana. Ma połamane żebra, a jedno z jej płuc zostało przebite. W barku ma dziurę wielkości mojej pięści. Jeśli nie zabije jej któraś z tych ran, być może załatwi ją wpływ krwi. – Wzruszyła ramionami i dodała: – Ale ma silnego ducha.

– Nie ma silniejszej od niej – rzekł Gar.

– Tak. Być może ma więc szansę powrócić do sił – rzekła Brina.

– A można ją stąd zabrać? – spytał Gar.

– Nie.

– Wyznaczę więc dla niej wartowników. Coralen, potrzebuję twojej pomocy. Przydasz się podczas poszukiwań Corbana.

Coralen pokiwała głową. Musnęła palcami pysk Burzy, raz jeszcze spojrzała na Brinę i po chwili już wspinała się po krawędzi urwiska.

* * *

Coralen stała i wpatrywała się w cielsko zabitego niedźwiedzia. Jego ogrom odebrał jej mowę – bestia była dwukrotnie wyższa od konia

i trzykrotnie od niego szersza.

Ciało było pokryte mozaiką ran. Spory kawał mięsa zwisał luźno znad barku, co wyglądało bardziej na dzieło kłów niż ostrza. Na boku zwierzęcia widniało długie cięcie, przypuszczalnie zadane mieczem. Wśród czerwonej miazgi migotały kawałki rozrąbanych żeber.

– Robota Corbana – powiedziała Coralen, wskazując ranę.

– Ale nie to go zabiło – rzekł Farrel i wskazał rozszarpane gardło niedźwiedzia. – Patrz tu.

Widywali już takie rany.

– To Burza – stwierdził Gar.

– To tu ich znaleźliśmy – powiedział Pax głosem ochrypłym z rozpaczy. – Tutaj ojciec przebił olbrzyma włócznią.

– Opisz mi go – rzekł Gar.

– Miał jasne włosy, koloru świeżej słomy. Dzierżył młot wojenny. Robił wrażenie... no, kogoś dostojnego. Kogoś, kto rządzi. I rozmawiał z Corbanem.

– Może to Ildaer? – rzuciła Laith.

Słyszając to imię, Coralen poczuła, jak budzi się w niej gniew. Stojący obok Gar zeszywniał. Ildaer przewodził olbrzymom Jotun. W osadzie Gramma zabił Tukula, ojca Gara, a potem połamał Garowi żebra, gdy próbował pomścić tę śmierć.

W okolicy znaleźli tropy innych gigantycznych niedźwiedzi – przynajmniej czterech, a być może większej liczby – oraz idących pieszo olbrzymów. Ślady wiodły na północ w głąb lasu i oddalały się od Drassil.

Ildaer oraz Jotun walczyli u boku Jaela z Isiltiru, który był sprzymierzony z Nathairem, więc zgodnie z wszelką logiką olbrzymy powinny zabrać Corbana do Drassil i dołączyć do bitwy. Tymczasem wyglądało na to, że odeszły na północ.

– Dokąd idą? – spytała Coralen.

– Nie wiem – odezwał się Dath, przewyciężając oszołomienie, wywołane widokiem trupa ogromnego niedźwiedzia. – Ale stojąc tu, nie odnajdziemy ani Bana, ani olbrzymów.

– Kiedy do tego doszło? – spytał Gar.

– Wczoraj po południu – odparł Pax.

– Nie widzieliśmy żadnych śladów obozowiska – rzekła Coralen. – Ani ognisk, ani pozostałości po noclegu. Wydaje mi się więc, że wyruszyli zaraz po złapaniu Corbana, a więc wykorzystali resztę dnia, by przebyć jak najdłuższą drogę. Jeśli podążymy w ślad za nimi i sprawdzimy, jaki dystans pokonali przed rozbiciem obozowiska, będziemy mniej więcej wiedzieli, jak bardzo nas wyprzedzili.

Gar mruknął z aprobatą. Wspólnie wspięli się na strome zbocze i wkroczyli w obszar gęstej roślinności. Po chwili teren się wyrównał, a przez szczeliny w koronach drzew zaczęły wnikać strużki światła słonecznego. Było już po południu i powoli miało się na wieczór. Na południu Coralen widziała Drassil, skąd unosiły się kolumny dymu. Spojrzała znów na wzgórze, na które się wspięli, oraz na ślady olbrzymów i niedźwiedzi, oddalające się na północ.

Jej uwagę przykuł nagły szelest. Natychmiast dobyteła broni i schowała się za drzewem, a pozostali poszli w jej ślady. Dath nałożył strzałę na cięciwę, a Laith wyrwała jeden z noży do rzucania, długi niczym miecz, z pasa przewieszzonego przez pierś. Gar dał sygnał Jehar, którzy zamarli w oczekiwaniu.

Las po przeciwnej stronie zbocza był skąpany w cieniach, przez co Coralen nie mogła dojrzeć wielu szczegółów, ale chrzęst deptanego poszycia i szelest zarośli zdradzał, iż zbliżało się wielu ludzi. Wtem pojawiła się jakaś postać, pochylona, przekradająca się z ostrożnością wśród cieni. Błysnęło żelazo.

Gar wyszedł zza drzewa.

– Cóż za miłe spotkanie! – powiedział.

Nieznajomym okazał się Tahir, przyboczny Haelana, niepełnoletniego króla Isiltiru, który uśmiechnął się szeroko z ulgą i uściśnął ramię Gara w pozdrowieniu wojowników. Nie był wysokim mężczyzną, ale za to barczystym i muskularnym, a jego ramiona wydawały się nazbyt długie w stosunku do reszty ciała. Miał podkrążone oczy, a na kolczudze na ramieniu widniało szerokie rozdarcie, wokół którego zaschła krew.

– Szukałem was – rzekł Tahir.

– No i znalazłeś! – odpowiedział Gar. – A skąd wiedziałeś, gdzie szukać?

– Jeden z moich chłopaków widział, jak Meical bronił wejścia do północnego tunelu, a trudno, by go bronił przez przypadek. Wycofaliśmy się do głównej bramy, uciekliśmy do lasu i zatoczyliśmy łuk w tym kierunku.

W ślad za nim wyszli kolejni ludzie – czterdziestu, pięćdziesięciu, a następni kryli się w półmroku. Większość miała czerwone płaszcze Isiltiru.

– Zabrało nam to całą noc i połowę dnia, bo w lesie roi się od Kadoshim i Vin Thalun. Ale nauczyliśmy ich, że puszczy należy się bać.

Wśród najbliższych wojowników poniósł się pomruk aprobaty.

– A gdzie Haelan? – spytał Gar.

Tahir pochylił głowę.

– Nie wiem. Próbowałem go znaleźć – powiedział, a na jego twarzy pojawiły się wstyd oraz ból.

– To zaradny chłopak – rzekł Gar. – Założę się, że znalazł jakąś dziurę i ukrył się w niej.

– Mam taką nadzieję – odpowiedział Tahir lekko drżącym głosem.

– Ilu ludzi masz ze sobą?

– Stu czterdziestu sześciu gotowych do walki, a do tego tuzin rannych.

– Ocaliłeś wiele osób – stwierdził Gar. – Dobra robota.

– Cóż, udało się. Nie śpiesz się, działaj z rozwagą, a wygrasz każdy wyścig, jak mówiła moja matka staruszka – rzekł Tahir i rozejrzał się. – A gdzie Corban?

– Pochwycony do niewoli przez Jotun. Właśnie natrafiliśmy na ich ślad.

– Olbrzymy... – Tahir skrzywił się i splunął, a potem znów spojrzał na Gara. – To co robimy?

Gar spojrzał na niego i zamrugał.

Czemu on się dziwi, zastanawiała się Coralen. Po zniknięciu Meicala i Corbana stał się naszym przywódcą. Ba, nie tylko naszym,

ale również wszystkich, którzy walczyli w Drassil. Jest przecież przywódcą Jehar i pierwszym mieczem Corbana.

Zależało jej tylko i wyłącznie na odnalezieniu przyjaciela, ale Gar miał więcej orzechów do zgryzienia. Przecież las był pełen uciekinierów.

– Ruszam za Jotun – rzekł Gar i spojrzał na ślady, wiodące na północ.

Tahir złapał go za ramię.

– A co z nami? – zapytał.

– Odpocznijcie, zjedzcie coś, zajmijcie się rannymi.

– Nie miałem na myśli naszej grupy. – Tahir machnął ręką w kierunku towarzyszy. – Chodziło mi o cały nasz hufiec z Drassil! Przecież wielu ludzi przeżyło. Nie słyszysz, jak walczą? Robią to dla Corbana! Nie możemy ich porzucić!

Gar wpatrywał się w niego. Przez jego twarz przemknął skurcz.

* * *

Coralen przykucnęła przy zgaszonym ognisku i roztarła popiół między palcami. Był zimny i nie pozostało w nim ani odrobiny ciepła. Uniosła głowę i ujrzała Datha na skraju polany, szturchającego stertę niedźwiedziego łajna.

Zachodziło słońce, a las powoli otulały gęste cienie. Po rozmowie z Tahirem Gar rozesłał zwiadowców z zadaniem sprawdzenia, czy uda się ściągnąć niedobitków z Drassil. Coralén zaś udała się z Dathem i Kullą śladem Jotun.

Otrzepała dłonie i rzuciła się biegiem naprzód, bez trudu podążając po śladach olbrzymów.

Są nadmiernie pewne siebie, pomyślała. Nawet nie próbują zacierać za sobą śladów. Nawet im do głów nie przyjdzie, że jesteśmy na ich tropie. Gdyby udało mi się z nimi zrównać, być może byłabym w stanie wykraść im Corbana pod osłoną ciemności...

– Robi się ciemno. Zgubimy trop! – zawołał do niej Dath, ale zignorowała go i pobiegła w głąb puszczy, podążając po śladach

w górę stromego wzniesienia. Na szczycie zatrzymała się, rozejrzała i ze złością kopnęła porośnięty mchem kamień.

– To stary trakt olbrzymów – powiedziała do Datha i Kulli, którzy dołączyli do niej. W jej sercu pojawiła się rozpacz. – Odbudowany przez ludzi Jaela. Olbrzymy będą mogły zwiększyć tempo.

– Tak – rzekła Kulla. – Nie wiem, dokąd zmierzają, ale chcą tam dotrzeć szybko i nie przejmują się pościgiem.

– Pewnie uważają, że wciąż mamy na głowie zamieszanie z Nathairem w Drassil – dodał Dath i spojrział na Coralen. – Jak bardzo nas wyprzedzają, twoim zdaniem?

– O dzień – burknęła Coralen. – Jeśli podążają traktem, są jakiś dziesięć, dwanaście mil przed nami.

– A więc nie dopadniemy ich tej nocy.

Coralen wciągnęła powietrze.

– Nie – warknęła.

– Co chcesz począć? – spytał Dath.

Chcę biec, gnać, iść naprzód, aż ich znajdę. Aż znajdę jego, pomyślała.

Wiedziała jednak, że może już zapomnieć o szybkiej akcji ratunkowej. Mogliby się uważać za szczęśliwców, gdyby zdołali dogonić olbrzymy za pięć dni.

A może nawet później, jeśli niedźwiedzie będą w stanie biec.

– Wracamy do Gara – zdecydowała.

* * *

Blask księżyca ledwie przenikał przez szczeliny w koronach drzew, więc podróżowali w niemalże całkowitych ciemnościach, ale mimo to stosunkowo szybko zdołali powrócić do obozu.

Jak okiem sięgnąć, wszędzie widziała wojowników, skupionych wokół niewielkich ognisk, zasłoniętych wiklinowymi ściankami. Gar stał przy większym ogniu, otoczonym przez grupę zbrojnych. Coralen zauważyła Tahira, a także, ku swej radości, Wulfa z niedźwiedzią skórą na ramionach i poszczerbionym toporem

przewieszonym przez plecy oraz drobnego, muskularnego Javeda, wojownika z jam. Za nimi stał jakiś olbrzym.

Gar dostrzegł Coralen i skinął jej. Poinformowała go gestem, że znalazła obóz olbrzymów.

– Powinniśmy zaatakować Drassil, i to natychmiast! – mówił Javed. – Nie będą się tego spodziewać! Tam jest pełno Vin Thalun. – Z trudem panował nad furią w swym głosie. – Tam jest też Lykos! Człowiek, który na zawsze podpisał się na mojej skórze! – Odwrócił się, by pokazać im spiralę wypaloną na ramieniu. – Wraz ze swymi pobratymcami wyrzucił wiele krzywd, nie tylko mnie! – ciągnął, wskazując ręką swoich ludzi, którzy odpowiedzieli gniewnymi pomrukami.

– Kopnij w gniewie kamień, a tylko cię zaboli – rzekł Tahir.

Javed wbił w niego wzrok, a stojący za nimi olbrzym zaśmiał się głucho, jakby ktoś zagrał na kotle.

– Tak przynajmniej mówiła moja matka staruszka – mruknął Tahir.

– A co to miało, do cholery, znaczyć? – Javed się skrzywił.

– To, że jeśli dasz się ponieść wściekłości, narazisz się na śmierć – rzekł Gar. – Gniew jest wrogiem. – Odwrócił się do zebranych wokół ogniska. – Fachenie z Benothi! Jak brzmi rada twego klanu?

Olbrzym podszedł bliżej do ognia. Wszyscy wyraźnie ujrzeli obosieczny topór przytroczony do jego pleców.

– Balur Jednooki został ciężko ranny i balansuje na krawędzi życia i śmierci. Ethlinn go nie opuści, a bez niej nie będziemy walczyć.

– Ilu was pozostało?

– Jakież dwa tuziny. Może jeszcze kilku z naszych włóczy się po Fornie. – Olbrzym wzruszył ramionami.

– Wyślę z tobą Brinę, gdy będziesz do nich wracał.

– To dobrze. Ethlinn kazała mi o to poprosić.

– Nie możemy siedzieć bezczynnie – warknął Javed.

– Nie mam takiego zamiaru – odparł Gar.

Do dyskusji dołączyli pozostali, a każdy proponował inną formę ataku, inną strategię, inne zasadzki.

To może się ciągnąć przez resztę nocy, pomyślała Coralen i opuściła naradę. Wnet znalazła się przy skraju urwiska, skąd w dół, do innego ognia, prowadziła zaimprovizowana drabinka sznurowa. Zeszła po niej zwinnie i zastała tam Brinę, pochyloną nad Burzą, oraz Farrella, który siedział z zamkniętymi oczami, oparty plecami o urwisko. Jego ogromna dłoń spoczywała na grzbiecie wilkunicy.

– Co z nią? – spytała Coralen.

Brina spojrzała na nią ze smutkiem. W blasku ognia zamigotały łzy.

– Obawiam się, że tej walki Burza nie wygra – powiedziała.

Serce Coralen zabiło mocniej.

Ale przecież sięgnęła po magię, pomyślała. Wypowiedziała zaklęcie!

– A to, co dla niej zrobiłaś...

– Pomogło – powiedziała Brina. – Dodało jej sił, wzmocniło ją, ale jej rany... – Spojrzała na Farrella i dodała niemalże niesłyszalnym głosem: – A poza tym wykorzystałam krew olbrzyma. Krew wilkuna czy podobnego zwierzęcia miałyby więcej mocy.

– Jakież pół mili stąd leży trup niedźwiedzia – rzekła Coralen. – Jednego z tych, których dosiadają Jotun.

Brina sięgnęła pod połę płaszcza i wyciągnęła pustą fiolkę.

– Napełnij ją krwią tego niedźwiedzia – szepnęła i wsunęła fiolkę do ręki dziewczyny, a potem zerknęła na płytko oddychającą Burzę. – I pośpiesz się.

Coralen nie marnowała ani chwili.

Gdy powróciła, wykonawszy swe makabryczne zadanie, większość obozowiska już spała, a Gar i pozostali przywódcy nadal byli pogrążeni w rozmowie. Brina wciąż towarzyszyła Burzy, a ognisko trzaskało cicho, rzucając cienie na uzdrowicielkę i zwierzę. Staruszka bez słowa ujęła fiolkę, wylała jej zawartość na język Burzy i pomasowała jej gardło, by ta przełknęła krew.

– *Fuil namhaid, a thabhairt as shlainte agus neart* – szeptała Brina, której głos przywodził na myśl chrobot kijka ostrzonego na tabliczce.

Coralen poczuła ciarki na plecach. Ogień nieco przygasł, a potem znów rozbłysnął. Strzeliła gałąź. Wilkunica podniosła łeb i spojrzała bursztynowymi ślepiami na Brinę.

– Wróć do nas – szepnęła uzdrowicielka. – Corban cię potrzebuje.

Nogi wilkunicy drgnęły, a z jej pyska dobiegło ciche warknięcie, po czym westchnęła i znów ułożyła pysk na trawie.

– Dziękuję. – Brina zwróciła się do Coralen. Wydawała się znużona.

Zwiadowczynie usłyszała kroki. Uniosła głowę i ujrzała Datha, Kullę i Laith, którzy wyłonili się z ciemności i obudzili Farrella.

– Co z nią? – spytał Dath.

– Jest nieco silniejsza – rzekła Brina.

– Będziemy jej strzegli na zmianę – zaproponował Farrell. – Nawet ty musisz spać.

– Cóż, może po raz pierwszy w życiu muszę ci przyznać rację – mruknęła Brina. Ułożyła się przy ogniu, skuliła i nałożyła sobie płaszcz na głowę. – Obudźcie mnie, jeśli pojawią się jakieś zmiany. I żeby mi się ktoś na warcie nie zdrzemnął! – dodała, grożąc im kościstym palcem spod koca.

Jej oddech niemalże natychmiast stał się głębszy i wolniejszy.

– A więc – szepnął Dath do Coralen, kiedy mieli już pewność, że Brina mocno śpi. – Kiedy ruszamy?

– O co ci chodzi? – spytała dziewczyna.

– Chcesz ruszyć w ślad za Corbanem. My też.

Coralen postanowiła, że wyślizgnie się z obozu tuż przed pierwszym brzaskiem, zanim ktokolwiek zacznie zadawać jej pytania. Chciała wykorzystać każdą chwilę światła słonecznego. Zastanawiała się, czy nie zostawić jakiejś wiadomości Garowi, bo nie było wątpliwości, że on był potrzebny tutaj. Ktoś musiał zorganizować opór wobec Nathaira.

– Nie możecie iść ze mną – rzekła. – Farrell i Laith są zbyt wolni i robią za dużo hałasu.

Farrell pochylił się.

– Ban to mój przyjaciel. Ba, więcej niż przyjaciel. Jest mi bliższy niż rodzina. Ruszam w ślad za nim, czy tego chcesz, czy nie. –

Wzruszył ramionami i dodał: – Wolałbym, żebyśmy wyruszyli razem, ale tutaj na pewno nie zostanę.

Coralen spojrzała na nich wszystkich i ujrzała zdecydowanie w ich oczach.

– Dobrze więc – powiedziała. – Przed świtem.

* * *

Poranek okazał się mglisty i wilgotny. Było już na tyle jasno, że Coralen zaczynała widzieć cokolwiek poza kręgiem światła, rzucanym przez ognisko, które podtrzymywali przez całą noc, by ogrzać Burzę.

Farrell, Dath, Kulla i Laith na zmianę czuwali nad wilkunicą, a teraz wstawali, sprawdzali broń i zaglądali do plecaków.

– Udałabym się z wami, gdyby nie Burza – oznajmiła stara uzdrowicielka, wyłaniając się spod płaszcza.

– Wiemy – odparła Coralen.

Brina przyjrzała się śpiącej wilkunicy.

– Jej serce bije mocniej – powiedziała.

– To dobra wiadomość. – Coralen uśmiechnęła się szeroko. Ukucnęła obok Burzy i przeczesła dłonią gęste futro na jej karku, a potem pochyliła się i ucałowała jej łeb. – Niedługo wrócę – szepnęła. – Z Corbanem.

– Sprowadź go – powiedziała Brina, patrząc, jak odchodzą.

Sprowadzę. Albo zginę, pomyślała dziewczyna.

Obóz na polanie nad nimi nadal pogrążony był w ciszy. Coralen i pozostali ostrożnie przechodzili między śpiącymi i już znikali między drzewami, gdy na drodze stanęła im samotna postać.

Gar.

Miał na ramieniu plecak, a w jego oczach błyszczała ponura zawziętość. Pokiwał głową, spoglądając na ich niewielką grupkę.

– Dobra. Ruszajmy.

– Sądziliśmy, że jesteś tu potrzebny. Że będziesz musiał zostać – powiedziała Coralen.

Gar obrzucił ją bezwzględnym spojrzeniem.

– Tylko jedno mogłoby mnie powstrzymać przed wyruszeniem na pomoc Corbanowi. To śmierć.

Rozdział ósmy

CORBAN

Corbana obudził ból. Otworzył oczy i spojrzał na płataninę konarów nad głową, przez którą przenikało szare światło. Gałęzie przesuwały się niczym chmury na niebie.

Nie, to nie drzewa. To ja jestem w ruchu. Co więcej, jestem w Fornie, uświadomił sobie. Nadal w Fornie.

Poczuł ulgę. Forn nie był wcale takim złym miejscem. Lubił ten las, a co więcej uspokajała go świadomość, że nie znalazł się tysiąc mil z dala od Drassil oraz przyjaciół, jeśli ktokolwiek z nich przetrwał. Poczucie jakiegokolwiek komfortu odganiały jednak nieprzerwane podrygi, wstrząsające całym jego ciałem. Ruch sprawiał, że jego klatka piersiowa buchała ostrym bólem, a kolano pulsowało monotonnie i nieprzyjemnie w rytmie bicia serca. Co gorsza, dookoła unosił się potworny smród, który wdzierał się w głąb jego nosa i powodował nudności.

Czas mijał jak we śnie. Jego myśli umykały ku Zaświatowi i spotkaniu z Meicałem.

Wykorzystał mnie. Manipulował mną. Kłamał, powtarzał sobie.

Mimo to wiedział, że nie wszystkie rady Meicala były pozbawione sensu. Musiał dołączyć do przyjaciół.

Ale jak? Oto jest pytanie. Jestem ranny i poobijany, a do tego znalazłem się w niewoli i wiozą mnie Elyon jeden wie gdzie.

Powoli obrócił głowę to w jedną stronę, to w drugą. Wiedział, że znajduje się na zaimprovizowanych noszach, które są wleczone

przez las. Za sobą widział ogromną, kudłatą bestię z czarnym pyskiem i żółtawymi kłami, sterczącymi z pyska.

To niedźwiedź. Jeden z niedźwiedzi Jotun, uświadomił sobie.

Nachyliła się nad nim jakaś twarz: blada, okolona jasnymi kosmykami włosów. Zaplecione w warkocze wąsiska zakołysały się tuż nad nim, a on rozpoznał jednego z olbrzymów, który odciągnął go od Burzy.

– Zabiję cię – wysyczał, odruchowo sięgając po miecz, ale jego palce dotknęły pustej pochwy. Przypomniał sobie wówczas, że broń pozostawił w ciele któregoś z wrogów, daleko na polanie, gdzie wraz z Burzą zabili trzech Jotun.

Olbrzym przyglądał się bezsilnemu, oddychającemu ciężko młodzieńcowi, po czym burknął z ciężkim akcentem:

– Dziś raczej nie zabijesz żadnego z nas. Ale podoba mi się twój duch. – Zachichotał i dodał: – W sercu tego szczeniaka nadal płonie ogień. Hala! – zawołał przez ramię. – Wygląda na to, że jeszcze będzie z ciebie uzdrowicielka.

– Jestem nią od czterystu lat, idioto – odpowiedział jakiś głos.

Olbrzym ponownie skupił uwagę na Corbanie i obejrzał wiązania wokół łupków, założonych na nogę. Młodzieńca znów przeszył ból.

– Tylko mi tu nie umieraj – powiedział olbrzym.

W polu widzenia Corbana pojawiło się oblicze kolejnego Jotun. Ten był rudowłosy i patrzył na niego z niechęcią.

– Razem z tym wilkunem zabił Hronna, Rulfa i Lut – zadudnił i trącił Corbana w głowę ogromną łapą wielkości łopaty. Cios sam w sobie był dość potężny, ale wywołał swoistą reakcję łańcuchową – klatka piersiowa Corbana zapłonęła ogniem, jakby ktoś zdzielił go młotem. Młodzieniec wrzasnął, a świat się rozplynął. Ostatnim, co usłyszał, nim ogarnęła go ciemność, były głosy krzyczących na siebie Jotun.

* * *

– Wypij to! – odezwał się ktoś.

Wepchnięto mu coś do ręki, najprawdopodobniej miskę.

Ku swemu zaskoczeniu uzmysłowił sobie, że siedzi oparty o pień drzewa i przywiązany do niego mocną liną.

Zupełnie jakbym mógł się zerwać do ucieczki...

Dwa olbrzymy kucały przed nim. Były mało wyraźne w półmroku puszczy, ale rozpoznał blondyna, z którym rozmawiał wcześniej. Słyszał też znajome odgłosy towarzyszące rozkładaniu obozu, a na skraju widoczności przesuwwały się inne postacie.

– Pij – powtórzył głos. Ogromna dłoń ujęła jego własną i podniosła miskę do jego ust.

Corban obwąchał zawartość i skrzywił się, rozpoznając znajomy, ziemisty zapach.

– Brot – wymamrotał.

– Wiesz, czym jest brot? – W głosie pojawiło się zaskoczenie.

Corban uzmysłowił sobie, że jedną z dwóch ciemnych postaci przed nim jest kobieta o kościstej twarzy, opromienionej przez słaby blask księżyca.

– Tak – wymamrotał i raz jeszcze podejrzliwie obwąchał misę.

– Wypij to – nalegała olbrzymka. – Gdybyśmy chcieli cię zabić, już dawno byłbyś martwy.

W sumie racja, pomyślał Corban. Ciekawe, dlaczego jeszcze tego nie zrobili?

Wziął łyk. Brot okazał się gęsty, a konsystencją przypominał owsiankę, a po przełknięciu na języku pozostał gorzki posmak.

– Trochę się różni – rzekł Corban.

– Od czego?

– Od tego, który robił Balur.

Oboje Jotun spojrzeli po sobie.

– Balur Jednooki? – zapytał jasnowłosy olbrzym.

– Tak – odparł młodzieniec. – Czegoś dodaliście. To gorzknik?

Znów zapadła cisza.

– Tak – powiedziała olbrzymka, która wydawała się niemalże zadowolona.

Brina zawsze mówiła, że gorzknik zwalcza zakażenie, pomyślał Corban. Im gorzej smakuje, tym lepiej dla pacjenta. Nigdy jakoś w to

nie wierzyłem.

Z cieni wyłoniła się kolejna postać.

– *Bogadh* – zadudnił olbrzym.

Pozostali rozstąpili się, by zrobić mu miejsce do ukucnięcia przed Corbanem.

– *Eadrom* – rzekł przybysz.

Chwilę później Corban usłyszał suche uderzenia krzemienia, a potem trzask rozniecanej pochodni. Pojawił się płomień. Młodzieniec zamrugnął i odwrócił spojrzenie.

– Spójrz na mnie – odezwał się nowy głos, niski, zgrzytliwy i surowy.

Czyjaś dłoń złapała Corbana za podbródek. Spoglądał na kolejnego jasnowłosego olbrzyma, którego gruby warkocz wojownika obwiązano złoto-czerwonym drutem. Jego ramię i pierś opasywał szeroki bandaż z czerwoną plamą na środku.

– Nazywasz się Ildaer i jesteś królem Jotun – rzekł Corban.

– Przywódcą wojennym, a nie królem – mruknął Ildaer. – A kim ty jesteś?

– Dlaczego ja ciągle oddycham? – spytał Corban. – Zabiłem ci niedźwiedzia i trzech pobratymców.

Z wielką pomocą Burzy, dodał w myślach, a na głos dokończył:

– Czemu trzymasz mnie przy życiu?

– Nie będziesz mnie przepytywał – burknął Ildaer i dźgnął go grubym palcem w zębra.

Corban zdusił wrzask, który wydostał się przez jego zaciśnięte zęby jak bełkotliwy syk. Ildaer musnął pocięty kaftan Corbana dłonią, oparł ją na symbolu Jasnej Gwiazdy, wyszytym na piersi, i obmacał kolczugę. Zacisnął palce na ogniach i burknął z aprobatą, a potem dotknął obręczy, która opasywała biceps młodzieńca. Otrzymał ją w darze w Drassil – była spiralą z ciemnego żelaza przetkanego srebrem, zwieńczoną z obu stron łbami warczących wilkunów. Jej piękno było niezaprzeczalne, tym bardziej, że przypominała Corbanowi ową noc w Drassil, gdy cała armia złożyła mu przysięgę na wierność, a on odpłacił się im tym samym. Poczul włochatą kulę w gardle i zamrugnął, by rozpędzić łzy.

– Kim ty jesteś? – powtórzył Ildaer.

– Nikim – burknął Corban. Wyznanie obudziło w nim falę gorzkiej rozpacz.

Cóż, na pewno nie jestem Jasną Gwiazdą, którą wszyscy we mnie widzieli. Sam nawet w to uwierzyłem. Jestem największym z głupców, tym właśnie jestem.

– Wygląda na dzieło olbrzymów – zaobserwował Ildaer, obmacując obręcz. – W osadzie Gramma wydawałeś rozkazy, a twoi zbrojni je wypełniali. Wczoraj zaś jacyś ludzie przybyli ci na ratunek. – Przysunął się bliżej. Ich twarze niemalże się stykały, a niewielkie czarne oczy wpatrywały się w Corbana dobitnie. – Nie sądzę, byś był nikim. Zaczniemy od twego imienia. Wyjaw mi je.

Corban zacisnął usta.

– Mógłbym sprawić ci ból – rzekł rzeczowo Ildaer i oparł dłoń na zranionym kolanie chłopaka. Zacisnął ją lekko.

Corban gwałtownie wciągnął powietrze, ale wciąż milczał.

– Jak się nazywasz? – Ildaer znów zacisnął palce.

– Coś za coś – powiedział Corban najspokojniej jak umiał.

Ildaer wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę. W powietrzu wisiała groza, aż na przypominającej blok granitu twarzy olbrzyma pojawił się uśmiech. Wąsiska zadrżały.

– Masz jaja, człowieczku, trzeba ci przyznać. Chcesz negocjować ze mną? W takim położeniu? Dobrze, a więc niech będzie coś za coś. Jak się nazywasz?

– Corban ben Thannon – rzekł i uniósł wysoko podbródek.

Bo tym właśnie jestem. Synem swego ojca i tyle, pomyślał.

Nigdy jeszcze nie brakowało mu ojca bardziej niż w tej chwili. Nigdy też nie poczuł tak wielkiej dumy na jego wspomnienie.

Ildaer pokiwał głową z zadumą, jakby obracał miano w głowie.

– Dobrze – rzekł w końcu. – Zadaj więc swoje pytanie.

– Dokąd mnie zabieracie?

– Jak najdalej od Drassil i tego przekłętego lasu – odpowiedział Ildaer i spojrzał na roztańczone cienie oraz nieprzeniknioną ścianę drzew.

– Dokąd? – powtórzył Corban.

– Do miejsca, które dobrze znasz. Do osady Gramma.

Rozdział dziewiąty

FIDELE

Fidele chodziła po obozowisku, pozdrawiała strażników, tu i ówdzie mówiła kilka słów pokrzepienia. Nad jej głową wznosiły się ogromne drzewa, których rozłożyste korony zamieniały jasny dzień w wieczny półmrok, otulający teraz hufiec z Ripy, niemalże dziesięć setek zbrojnych pięćset mil od domu.

Pewnie się zastanawiają, dlaczego się tu znaleźli, tak daleko od domu, zaplątani w wojnę, którą ledwie rozumieją, myślała Fidele. W wojnę, którą sama ledwie pojmuję.

Wiedziała tylko tyle, że jej własny syn znalazł się w samym środku zmagania.

Nathair.

Na myśl o nim serce Fidele zalała fala emocji, wśród których najsilniejszą było zaskoczenie.

Sprzymierzył się z Kadoshim. Mój własny syn. Jak mógł dopuścić do tego, by stać się częścią tak wielkiego zła?

Potem pojawił się gniew na to, że nie podjął innej decyzji. Że nie opowiedział się po słusznej stronie.

Jest naiwnym człowiekiem, myślała. Zawierzył pochlebstwom, zawierzył oszukańczym słowom i wkroczył na złą ścieżkę.

Czuła się zdradzona przez to, że Calidus stał się dla niego ważniejszy od niej, co pokazał dobitnie podczas procesu. Czuła żal, że nie dostrzegła tego wcześniej i nie zrobiła czegoś, by mu pomóc, zanim stało się za późno. Czuła smutek. Nie, coś głębszego od

smutku. Rozpacz. Żalobę. Czuła się niemalże tak, jakby Nathair już umarł, jakby straciła go na zawsze.

Nie, nie na zawsze. Na pewno jest jeszcze nadzieja, pomyślała. Musi być.

I czuła też nienawiść. Do Calidusa, ucieleśnionego demona, który zrobił wszystko, by przeciągnąć Nathaira na swą stronę i zamienić go w swoje narzędzie.

W mozaikę tych gwałtownych emocji wpleciona była jeszcze jedna – miłość. Miłość matki do syna, która rozkwitła w czasach, gdy był jeszcze tylko bezbronnym niemowlęciem przy jej piersi, maleństwem, które pielęgnowała i chroniła; miłość mocna i gwałtowna, zawsze nakazująca jej widzieć to, co w nim najlepsze, zawsze każąca jej wierzyć w jego zdolności, siłę i mądrość, każąca jej wierzyć w niego. Miłość, która nadal podsyciała nadzieję, że Nathair wreszcie zrozumie swój błąd i zejdzie z mrocznej ścieżki, po której go prowadzono.

Na skraju obozu zaszalutowało jej dwóch strażników z tenebralskim orłem na napierśnikach. Nie warto było się zapuszczać w głąb Fornu w pojedynkę. We dwóch zawsze się miało większe szanse przeciwko dzikim mieszkańcom puszczy.

Fidele zatrzymała się i wbiła wzrok w cienie Fornu.

– Musimy ruszać – odezwał się jakiś głos i wystraszona królowa o mało nie podskoczyła.

Stał za nią Alben, jasnowłosy uzdrowiciel, który najwidoczniej podążał za nią bezszelestnie. Przez jego pierś i bark przebiegał bandaż, pamiątka po ranie, zadanej mu przez zdrajcę Ektora w podziemiach pod Brikan.

Cichy, nieśmiały Ektor, brat Krelisa i Veradisa, ten, który chętniej ujmował swój niż miecz, pomyślała Fidele.

A mimo to okazał się zdrajcą i zgładził jej najwierniejszego towarzysza, Peritusa. Od tamtych zdarzeń minęło około dziesięciu dni i żal po jego stracie nadal był świeży, ale na szczęście Alben dochodził do siebie.

Niezwykły człowiek, a do tego jakże tajemniczy, myślała Fidele. Jest zarówno wojownikiem, jak i uzdrowicielem, ale na tym jego

wyjatkowość się nie kończy. Łączy go przyjaźń z Meicałem i należy do tajnej grupy, która czekała na te dni i przygotowywała się...

– Musimy ruszać – powtórzył Alben. – Czas nie gra na naszą korzyść.

– Nie – odparła odruchowo Fidele, po czym nabrała tchu i opanowała emocje. – Ta drużyna nie wyruszy w drogę bez Krelisa. Przecież to ludzie z Ripy!

– Zrobią to, co im każesz – rzekł cicho Alben. – Jesteś ich królową.

Nie chcę być królową, pomyślała. Od tylu lat przedkładam obowiązki nad życie prywatne.

Spojrzała na Albena i odkryła, że mężczyzna studiuje jej twarz.

Dobrze wie, dlaczego nie chcę wyruszyć.

– Nie chcę porzucić Maquina.

Jej umysł wypełniła twarz wojownika, poturbowana, pokryta bliznami. Dumna. Zawzięta. Na samą myśl o nim poczuła, jak jej serce zaczyna szybciej bić. Przypomniała sobie, jak siedziała u jego boku w wieży w Ripie, jak wreszcie otworzył oczy po jakże długiej nieprzytomności. Powiedział jej, że stał na skraju mostu mieczy, a jeden z Ben-Elim postawił go przed wyborem.

„Mogłem iść naprzód lub wracać” – opowiadał.

„To dlaczego wróciłeś?” – zapytała wówczas.

„Z powodu trzech osób. Pierwszą jest Jael, drugą Lykos, a trzecią ty” – odparł, po czym urwał i spojrzał jej w oczy. – „Dwóm z tych osób obiecałem zemstę. Trzeciej zaś miłość”.

Jej usta drgnęły lekko, gdy przypomniała sobie tę chwilę. W oczach Albena błysnął niepokój, być może również współczucie.

– Chcesz przegrać wojnę dla jednego człowieka?

Przez jej umysł przemknęły dziesiątki odpowiedzi, z których większość wydawała jej się przekonująca, ale wiedziała, że to nieprawda.

– Nie dojdzie do tego – odparła ostro, a Alben zmarszczył brwi.

– Nie możesz przedłożyć jednego człowieka ponad cały naród – rzekł. – Ba, ponad całe Ziemie Wygnanych. Przecież trwa Wojna Bogów. Nie ma przed nią ucieczki. Wojna ogarnie cały nasz świat, a gdy dobiegnie końca, ci, którzy sprzeciwili się Asrothowi,

zatriumfują bądź wyginą. Nie ma innych rozwiązań. To wojna, a podczas wojny ponosi się ofiary.

– Dobrze wiem, czym są ofiary i wyrzeczenia – odparła chłodno Fidele. – Ale nie będę pionkiem nieobecnego boga. Będę walczyć o naszą wolność i o mój lud. Będę postępować zgodnie ze swoim sumieniem. Tak, boję się o Maquina i wypatruję jego powrotu, ale to nie wszystko. Chcę poczekać, bo ten hufiec jest silniejszy, gdy Krelis stoi na jego czele. On oraz Veradis, jeśli uda im się go odnaleźć. Musimy dać im jeszcze trochę czasu.

– Oni mogą już nigdy nie wrócić, moja pani – rzekł cicho Alben, dzieląc się swoimi największymi obawami.

Serce Fidele gryzły również zwątpienie oraz niepokój. Pamiętała chwilę, gdy wojownicy Ripy w ukryciu zagłębiali się w las wśród ludzi Nathaira, a ona stała na brzegu płynącej niedaleko Brikan rzeki w towarzystwie Maquina, Albena i Krelisa. Wszyscy spoglądali na wieżę, a Fidele myślała o obietnicy, którą złożył Veradis. Młody wojownik postanowił bowiem zgładzić Calidusa, jednego z Kadoshim. Potem wszyscy ujrzeli eksplozję ognia w oknie wieży oraz postacie wyskakujące przez nie do rzeki. Nie mieli wątpliwości, że jednym z uciekinierów był Veradis. Maquin i Krelis chcieli od razu biec ku niemu, ale Alben powstrzymał ich i przydzielił im dwa tuziny zbrojnych. Maquin zaś przytulił ją mocno.

„Zostań” – szepnęła mu do ucha.

„Veradis to mój przyjaciel – odparł Maquin. – A poza tym uwolnił nas”.

Przez długą, bolesną chwilę spoglądała mu w oczy, a potem Maquin odwrócił się i odbiegł w noc.

Czyżby to była nasza ostatnia chwila spędzona razem, zastanawiała się Fidele.

– Moja pani! – odezwał się jeden ze strażników i wskazał coś w ciemności lasu. – Ktoś nadciąga!

Fidele wyteżyła wzrok. Alben z lekkim napięciem zacisnął dłoń na rękojeści miecza. Strażnik uniósł róg do ust, gotów zagrać na alarm.

Z półmroku wyłoniły się jakieś ciemne postacie. Sześciu, siedmiu ludzi, a potem ktoś jeszcze, o wiele większy od pozostałych.

Olbrzym!

Zgrzytnęły wyciągane z pochew miecze, a potem Fidele rozpoznała pierwszą postać, która przebiegła przez płamę światła. Alben wyciągnął rękę, by powstrzymać strażnika z rogiem.

To jeden ze zwiadowców, których Alben posłał, by strzegł drogi, przemknęło Fidele przez myśl.

Wojownik prowadził grupę wśród drzew ku obozowisku.

Serce Fidele zabiło szybciej, gdy przyjrzała się pozostałym postaciom. Naraz zerwała się do biegu, przebiegła między strażnikami i pomknęła przez las. Paprocie czepiały się jej sukni, gałęzie smagały ją po twarzy. Widziała już mężczyznę, który biegł obok zwiadowcy. W każdym jego ruchu kryły się siła i zwinność.

Maquin.

Przyśpieszył kroku i wyprzedził pozostałych. Spotkali się z Fidele między dwoma wielkimi dębami. Wpadli na siebie, a Maquin oplótł ją ramionami i przycisnął. Ich usta odnalazły się błyskawicznie i nagle Fidele zatraciła się w smaku i zapachu ukochanego. Minęła dłuższa chwila, nim usłyszała zbliżającą się resztę. Odsunęła się wówczas od Maquina, choć nadal trzymała go za rękę i spoglądała na niego. Był spocony, a mokre włosy lepiły mu się do czaszki, ale uśmiechał się do niej, a ten uśmiech wygładzał ostre zmarszczki i blizny na jego twarzy. Wyciągnął rękę i odsunął kosmyk włosów z jej policzka.

– Dla takiego powitania warto było toczyć boje z demonami – powiedział. – Nawet jeśli takie zachowanie nie do końca przystoi królowej.

Fidele widziała już ludzi zbierających się wokół nich.

– Nie jestem zwykłą królową – powiedziała, wzruszając ramionami. – A poza tym w tych czasach śmierć wydaje się nieustannie czyhać ledwie kilka kroków za nami. Póki mogę, będę więc żyła tak, jak zechcę.

Spojrzała na jego nagie ramię, na którym widniała pośpiesznie zaszyta, poszarpana rana. Przypominała bardziej ślad po ugryzieniu niż zadany przez broń, gdyż jej brzegi były poszarpane

i pokrwawione. Maquin zauważył, że przygląda się obrażeniu i wzruszył ramionami z cierpką miną.

– Mógłbyś kiedyś powrócić do mnie bez nowej rany? – spytała Fidele.

– Zły nawyk, przyznaję. – Uśmiechnął się.

Reszta również już dotarła i Fidele dojrzała Krelisa oraz Veradisa, za którymi podążał ogromny Alcyon. Bracia byli spoceni, zbroczeni krwią i wyczerpani, ale z szerokimi uśmiechami ściskali starego Albena. Zatrzeszczały rozdeptywane zarośla, gdy pojawiła się Raina z synem. Alcyon przepchnął się obok Krelisa i Veradisa, posyłając ich obu na ziemię, i z nieludzkim rykiem skoczył ku rodzinie. Otoczyli się ramionami i ściskali bez opamiętania, aż powoli osunęli się na kolana, wciąż spleceni, drżąc i nie hamując łez. Alcyon szlochał, ujmował ich twarze i obsypywał pocałunkami, a ich łzy się mieszały.

W tak mrocznych czasach widok prawdziwej miłości chwycił za serce. Fidele ujęła dłoń Maquina jeszcze mocniej. Gdyby tylko takie szczęście mogło trwać...

* * *

– I co teraz? – spytał ich Krelis.

Ich niewielka grupka rozsiadła się wokół wypalonych resztek paleniska w samym sercu obozu.

– Musimy wyruszyć do Drassil – rzekł Alben.

– Musimy? – Krelis rozejrzał się po zebranych. – Nie zwykłem cofać się przed walką, ale właśnie straciłem dziewiętnastu ludzi w starciu z...

Urwał.

– Z demonami z Zaświatu – rzekł Veradis. – Z Kadoshim.

– Wciąż nie mogę w to uwierzyć. – Krelis przetarł dłonią oczy. – Na ogół nie wierzę w baśnie – dodał – ale wiem, co widziałem. Wbiłem tej bestii miecz w serce, a przekłete paskudztwo tylko się do mnie uśmiechnęło. Musiałem odrąbać mu głowę, by nie rozszarpało mi gardła, a potem ujrzałem jakieś istoty z mgły i cienia, formujące się

nad bezgłowymi trupami! – Potrząsnął głową. – Wygląda na to, że w Drassil będziemy mieli naprzeciwko siebie armię tych potworów. Moi ludzie to urodzeni wojownicy, odważni i lojalni, ale są tylko ludźmi z krwi i kości. Muszę więc zadać ci to pytanie. – Wpatrywał się w Albena. – Czy to nasza wojna?

Uzdrowiciel powoli pokiwał głową.

– Tak – rzekł. – To Wojna Bogów, Krelisie. W Drassil przebywają Meical oraz Jasna Gwiazda. To tam wszystko się rozstrzygnie.

– Przypuszczam, że już jest po wszystkim – rzekł Krelis. – Nathair oraz jego... cóż... sojusznicy mieli przewagę przynajmniej dziesięciu dni nad nami.

– A więc kto pośpieszy na pomoc, jeśli nie my? – spytał Alben. – To nasz obowiązek!

– Moim obowiązkiem jest doprowadzenie moich ludzi do domu! – Krelis machnął ręką w kierunku obozujących wojowników. – Służę Ripie i Tenebralowi. Mam pod swoimi rozkazami niecałe tysiąc mieczy. Nie mamy szans na zwycięstwo. W takiej sytuacji dobry wódz wycofałby się, by przypuścić atak kiedy indziej, gdy przewaga będzie po naszej stronie.

– Jeśli nie ruszymy do walki dziś, nie będzie już „kiedy indziej” – sprzeciwił się Alben. – Calidus i Nathair zniszczą naszych sojuszników jednego po drugim. Musimy zewrzeć szyki ze wszystkimi, którzy jeszcze stawiają mu opór. Zanim będzie za późno!

– A jeśli dotrzemy do Drassil i okaże się, że nikogo z naszych sojuszników już tam nie ma?

– Nie dowiemy się tego, jeśli tam nie pójdziemy – odpowiedział Alben.

Chwila ciszy przedłużała się. Wszyscy spoglądali to na Krelisa, to na Albena.

– Cóż, może masz rację – rzekł w końcu Krelis i pokiwał z zadumą głową. – W końcu zawsze udawałem się do ciebie, gdy trzeba mi było mądrej rady. Ale co pocniemy, jeśli się mylisz? Marsz w głąb Fornu, w samo serce nieznannej krainy, zajętej przez o wiele liczniejszego wroga, nie ma wiele wspólnego z mądrością. Nie

będziemy mogli się wycofać, nie będziemy też w stanie wybrać pola bitwy. Dlatego też myślę, że decyzja o wyprawie do Drassil musi zapaść jednomyślnie. Zwracam się do was, bracia i towarzysze broni! Chcecie wziąć udział w tej walce? Chcecie wracać do domu czy iść do Drassil?

Do domu, pomyślała Fidele. Marzę o znalezieniu miejsca, gdzie będę mogła żyć z Maquinem w spokoju, miejsca, w którym wojna nas nie dosięgnie. Ale czy takie miejsca istnieją? Zresztą, nawet gdybym takowe znalazła, nie porzucę ludu Tenebralu na śmierć i udrękę. Poza tym, jest jeszcze Nathair. Bez względu na to, co zrobił, nadal jest moim synem. Nie pozostawię go.

– No? – spytał Krelis, wrywając Fidele z zadumy. – Jesteśmy tu przyjaciółmi. Ludźmi sobie równymi. Nie rozkazuje nam żaden lord czy król. Mamy wolność wyboru. Zdecydujmy wspólnie. Ja jestem za tym, by porzucić ten las i wrócić do Tenebralu, by zebrać posiłki i kontynuować wojnę na naszych zasadach.

– Ja głosuję za Drassil – powiedział Alben.

Fidele rozejrzała się. Wszyscy wydawali się pogrążeni w zadumie.

Ja udałabym się do Drassil, pomyślała. By ocalić mego syna i zemścić się na Lykosie. Niemniej w słowach Krelisa kryje się mądrość.

– A co z tobą, braciszku? – spytał Krelis. – Wielkie drzewo czy dom rodzinny nad zatoką?

Veradis w końcu uniósł głowę i spojrzał nań z powagą.

– Okazałem się strasznym głupcem. Zostałem oszukany i popełniłem wiele strasznych czynów w imię boga – powiedział i skrzywił się z goryczą, spoglądając na swoje otwarte dłonie.

Te dłonie rozlały wiele krwi dla Calidusa, pomyślała Fidele.

– Zrobiłbym teraz wszystko, co w mej mocy, by to naprawić – ciągnął Veradis. – Ale jak? Serce podpowiada Drassil, a rozum chce powrotu do domu. Krelis ma rację. Nie wiemy, czego się spodziewać po Drassil, ale jestem świadom jednego. Calidus powierzył Jaelowi z Isiltiru, Gundulowi z Carnutanu i Lotharowi z Helvethu wybudowanie traktów do Drassil, a następnie sprowadzenie tam całych armii. Gdybyśmy zdołali przebyć Forn i dotrzeć do Drassil,

stanęlibyśmy naprzeciwko ogromnej sile. Nie mielibyśmy żadnych szans.

– Sytuacja może wyglądać zupełnie inaczej, jeśli Meical i Jasna Gwiazda nadal walczą – rzekł Alben.

– A jeśli już ulegli? – odezwał się Krelis. – Nie rozumiem twoich namów, Albenie. Przecież zawsze uczyłeś nas czegoś innego. Zawsze mówiłeś: poznaj wroga i sam wybierz pole bitwy. Nigdy nic innego od ciebie nie słyszałem.

– Wiem – przyznał Alben.

– A ty? – Krelis przeniósł spojrzenie na Alcyona i olbrzymy. Raina właśnie przycinała nożem włosy męża. Dokładnie ogoliła mu boki głowy i pozostawiła gęstą czuprynę na czubku.

Co ona mu robi? Teraz wygląda jeszcze groźniej niż wcześniej, pomyślała Fidele.

– Udamy się z wami wszędzie, dokąd pójdziecie, jeśli nie zbrzydnię wam nasze towarzystwo – odparł Alcyon.

– A dlaczego chcielibyście do nas dołączyć? – Krelis zmrużył oczy. – Dlaczego nie chcesz nas zostawić i wrócić do swego klanu?

– Z dwóch powodów – powiedział chrapliwym głosem Alcyon. – Po pierwsze, mam do spłacenia dług – zerknął przy tych słowach na Veradisa – a po drugie czeka mnie zemsta. – Teraz zacisnął z chrzęstem pięści. – Calidus zamienił mnie w niewolnika. Trzymał moją rodzinę w niewoli. Mam z nim rachunki do wyrównania. Mogę z nim walczyć teraz, mogę zrobić to później. – Wzruszył ramionami. – Nie dbam o to, kiedy to nastąpi, bylebym otrzymał tę szansę.

– A z innej beczki – ciągnął Krelis. – Można wiedzieć, skąd ta nowa fryzura?

Alcyon potarł z chrzęstem szczecinę na bokach głowy. Ciemna czupryna na czubku przypominała kształtem klin.

– To tradycja mojego klanu. W niewoli Calidusa nie byłem już Kurgan. Nie zasługiwałem na zaszczyt obnoszenia się z oznakami przynależności do mego klanu, ale te czasy już minęły. Wróciłem do swoich.

– Oba rozwiązania, które zaproponował Krelis, to niepewny wybór – rzekła Fidele. – Choć mądrość nakazuje odwrót. Czy istnieją

inne opcje?

– Moglibyśmy walczyć już teraz – odezwał się Maquin.

Wszyscy spojrzeli na niego. Posiwiwały wojownik zerknął na swoje dłonie i obrócił je. Fidele ujrzała blizny oraz zgrubienia.

– W jamach walczyłem zarówno przeciwko jednemu wrogowi, jak i przeciwko wielu. Z jednym zawsze idzie łatwiej.

Widziałam, jak miał naprzeciwko siebie czterech, a pozabijał wszystkich, pomyślała Fidele.

– Mając przed sobą wielu wrogów, uderzam szybko, zanim połączą siły. Uderzam mocno, by zabić jednym ciosem.

– Tak, ale to nie jamy. Jesteśmy w samym sercu Fornu, a nasi przeciwnicy nie stoją w szeregu przed nami – warknął Krelis.

– Ale staną, jeśli im na to pozwolimy. Niemniej jeden z nich jest blisko nas, odcięty od pozostałych. Gundul i wojownicy z Carnutanu budują trakt niedaleko stąd. Są rozciągnięci na przestrzeni wielu mil, pochłonięci pracą, odwrócenie plecami. Zapewne w przyszłości ujrzymy ich znów, tym razem wśród wielu hufców z Ziemi Wygnanych. Bez względu na to, czy udamy się do Drassil, czy wrócimy do Ripy, mamy teraz okazję wyrównać nieco układ sił. Tylko głupiec przegapiłby taką sposobność. Poza tym nie ma to jak porządna rozróżba – dodał. – Nic nie oczyszcza lepiej myśli.

Rozdział dziesiąty

JAEL

Jael potknął się i niemalże padł na ziemię. Zaklął pod nosem i w porę złapał się grubej gałęzi.

Nienawidzę tego lasu, pomyślał.

Wyprostował się, otarł pot z czoła i odetchnął kilkakrotnie. Jego łowczy Dag szedł przodem, narzucając wszystkim mordercze tempo.

Od jak dawna żyjemy w tym koszmarze, zastanawiał się Jael. Jak długo tłuczemy się przez ten półmrok? Dwadzieścia dni? Trzydzieści? Sto? Czy to się kiedyś skończy?

Za sobą i przed sobą widział zbrojnych rozciągniętych w długi szereg. Z wielkiego hufca, który z dumą maszerował ku bramom Drassil, pozostało ich zaledwie kilka setek.

Miałem kilka tysięcy ludzi, całą potęgę Isiltiru. Wspaniałą armię, którą rozbito, zmiażdżono i rozpedzono. Co więcej, trzecia część spośród tych, którzy uciekli wraz ze mną, padła już ofiarą lasu i jego mieszkańców.

Wzdrygnął się na wspomnienie wartowników, których znajdowali pozbawionych życia, poszarzałych na twarzy. Ich krew została wyssana jak sok z dojrzałego owocu, a nieznani napastnicy pozostawili jedynie skórę i kości.

Jak do tego doszło? Zwycięstwo było tak blisko, Drassil było niemalże moje. Jak ten chłopak zdołał pokonać Sumura?

Zgrzytnął zębami na wspomnienie Corbana, który w pojedynku odrąbał Kadoshim głowę. Był to wstrząsający widok, który źle wpłynął na morale armii, a więc Jael nie miał wyboru. Pchnął

swoich najlepszych wojowników, swą osobistą gwardię, by opadli Corbana i rozszarpali na strzępy. Zdawać by się mogło, że od pewnego zwycięstwa dzieli go tylko kilka uderzeń serca. Wtedy jednakże bramy Drassil stanęły otworem i wypadł z nich ów diabelski wilkun oraz osiodłany ogier, a za nimi horda olbrzymów i wymachujących bronią szaleńców.

Od tej chwili wszystko zaczęło się walić.

Jael znów nie miał wyboru. Musiał wydać rozkaz do odwrotu.

Do odwrotu, a nie ucieczki, pomyślał teraz. Był to manewr strategiczny, wycofanie sił na inną pozycję! Lepiej się cofnąć i podjąć walkę kiedy indziej. I to właśnie zrobię. Wycofam się do Isiltiru, zbiorę świeży hufiec i będę walczył, by utrzymać to, co osiągnąłem.

– Panie! – odezwał się ktoś za nim.

Jael odwrócił się i ujrzał spoconego wojownika, który marszczył brwi z troską.

– Co znowu? – warknął Jael.

– Szereg się oddala, mój panie! – Wojownik skinął głową do przodu.

Jael uświadomił sobie, że zbrojni, za którymi podążał, zagłębiali się już w cienie i gęste zarośla. Nagły lęk zmusił go do żywszego wysiłku. Na samą myśl, że miałby samotnie zbłądzić w tym lesie, bez Daga-przewodnika, jego serce zalało czyste przerażenie. Nie miał na to najmniejszej ochoty. Przyśpieszył kroku, choć nogi miał jak z ołowiu, i dołączył do ludzi idących przodem. Po chwili znów popadł w monotony rytmem marszu przez puszcę z wzrokiem wbitym w pięty mężczyzny idącego przed nim.

Szepty dookoła sprawiły, że Jael uniósł głowę. Dag szedł wzdłuż szeregu, tu i ówdzie poklepując towarzyszy po ramieniu, czasem zatrzymując się, by zamienić z kimś parę słów.

Nigdy nie sądziłem, że nadaje się na przywódcę, pomyślał Jael, co z jakiegoś powodu go zirytowało. Zawsze wydawał się samotnikiem, a te blizny na twarzy wcale nie czynią go przyjemnym towarzyszem.

Tropiciel dotarł wreszcie do swego władcy.

– Masz jakieś wieści? – spytał Jael, zawstydzony tym, że w jego głosie pojawiła się nadzieja przemieszana z rozpaczą, choć starał się

ukryć i jedno, i drugie.

– Tak – rzekł Dag. – Przed nami są jacyś ludzie.

* * *

Jael spoglądał przez gęste krzaki. Zajęło mu chwilę, zanim zrozumiał, na co patrzy. Zarośla kończyły się jakieś kilka kroków dalej, a za nimi znajdowała się poręba pełna pniaków po ściętych drzewach. Jej środkiem biegł nasyp, który ciągnął się jak okiem sięgnąć w obu kierunkach. Po obu stronach nasypu pracowały setki ludzi. Topory i wielkie młoty unosiły się i opadały, a ich rytmiczny stukot niósł się daleko po lesie.

Budują drogę, pomyślał Jael. Czyli to Lothar albo Gundul! Wciąż budują trakt, by dotrzeć do Drassil i wygrać wyścig, w którym ja już zwyciężyłem.

Patrząc na uwijających się pracowicie ludzi, którzy z pewnością należeli do któregoś spośród sojuszników – choć w opinii Jaela również rywali – władca Isiltiru poczuł, jak wraca część jego pewności siebie.

Jestem bezpieczny, pomyślał. Nie grozi mi już ten las, nie grozi mi pościg.

– Chodź ze mną – powiedział do Daga i zaczął się przedzierać przez zarośla. Zatrzymał się na moment, wyprostował, poprawił podarty płaszcz i odczekał, aż zbiorą się za nim ludzie, po czym ruszył przez polanę ku nasypowi.

Natychmiast zadęto w rogi na alarm i błyskawicznie pojawili się wojownicy w kolczugach, wymachujący mieczami i włóczniami. Na ich tunikach oraz proporcach widniała płonąca pochodnia na jasnym polu.

A więc hufiec Gundula, pomyślał Jael. Znakomicie. Gundul jest o wiele słabszy od Lothara i o wiele łatwiej nim manipulować.

Szereg wojowników Gundula najeżył się ostrą stalą, ale Jael bez lęku podszedł do męża stojącego w środku szyku. Już sobie wyobrażał, że to jego ludzie. Jego hufiec.

– Zaprowadźcie mnie do swego władcy – powiedział rozkazującym tonem.

* * *

Jael zatrzymał się na moment na trakcie, po którym prowadzili go wojownicy z Carnutanu. Przebyli już dobre pół mili od miejsca, gdzie nadal trwały prace przy drodze budowanej na świeżym nasypie otoczonym ściętymi drzewami. Po trakcie bez przerwy jeździły wozy eskortowane przez zbrojnych. Jego oczom ukazał się wreszcie ogromny obóz Gundula, wzniesiony na południe od nowej drogi. Na niewielkim wzgórzu w samym jego sercu górował potężny namiot.

– Ilu ich jest? – szepnął Jael do Daga, idącego krok za nim. Reszta obdartego, wycieńczonego hufca pozostała na placu budowy.

– Trzy, może cztery tysiące mieczy. – Łowczy wzruszył ramionami. – Ciężko ich zliczyć, bo włączą się na sporej przestrzeni.

Klucząc, wędrowali wśród namiotów i ognisk, atakowani zewsząd przez fale dźwięków i zapachów. Z zagród dobiegał ryk bydła, a w powietrzu unosił się smród odchodów. Jael, po jakże długiej wędrówce przez obcy, wrogi, nieziemski wręcz las, czuł się niemalże przytłoczony. Namiot, który wypatrzył z drogi, wznosił się teraz naprzeciwko niego. Z bliska okazał się jeszcze większy, niż się wydawał w pierwszej chwili. Eskorta, na którą składało się kilkunastu wojowników, prowadziła go właśnie w tym kierunku.

To tam rezyduje Gundul, pomyślał.

Wokół wejścia do namiotu czuwał krąg wojowników o jasnej skórze i czarnych oczach. Wszyscy nosili ciemne kolczugi i skórzane kaftany, a znad ramion wystawały im rękojeści zakrzywionych mieczy.

Jehar Nathaira, przemknęło Jaelowi przez myśl.

Jego armii również towarzyszyło około dwudziestu Jehar, którym dowodził Sumur. Jael dobrze pamiętał kunszt, z jakim wojownik władał mieczem, i furję, z jaką pozostali rzucali się do bitwy. Nie

zapomniał też owych skrzydlatych istot, które wypływały z ich ciał, gdy zostawali zabici. Po jego plecach spłynął dreszcz.

Nie wiem, czym są, ale nie są ludźmi, pomyślał. Co więcej, dali się zabić. Zawiedli mnie. To tyle, jeśli chodzi o wspaniałych wojowników Nathaira.

Poczuł z tego powodu irracjonalny gniew, choć po skórze nadal spływały mu dreszcze lęku i obrzydzenia. Z podejrzliwością przyjrzał się Jehar przed sobą.

Czym jesteście, pomyślał, ale naraz w jego głowie pojawiła się inna myśl. Szanuj ich, ale nie bój się ich, napomniał się. Bo giną tak jak i my. Sumur padł przecież od miecza Corbana, a reszta bez wątpienia również zginęła podczas bitwy u wrót Drassil.

Dwóch wojowników rozstąpiło się przed Jaelem. Jeden z nich uchylił połę namiotu i władca Isiltiru wszedł do środka. Dag był o krok za nim.

Namiot okazał się zbyt kownie urządzone. Na podłodze zalegały grube futra, a na ścianach widniały gobeliny tkane złotą nicią. W powietrzu unosiła się mocna woń zapachowych świec. Gundul zasiadał na krześle o szerokim oparciu, przewiesiwszy nogę przez poręcz. Kobieta odziana w przejrzyste jedwabie karmiła go z rozmaitych tac, a wokół króla Carnutanu porozsiadało się kilku młodzieńców. Wszyscy byli nienagannie odziani w aksamity i miękkie skóry, a ich starannie przycięte, ułożone brody i włosy lśniły od olejków.

Spójrzcie tylko na nich. Banda łaszących się lizusów wokół garnka ze złotem. Żaden z nich nie wygląda na takiego, co mógłby unieść miecz, pomyślał Jael, ale poskromił szydery uśmiechem.

– Witaj, Gundulu – powiedział i podszedł bliżej.

Gundul przyglądał mu się przez chwilę obojętnie, aż oczy mu zabłyśły, gdy rozpoznał gościa. Poruszył się, ale nie wstał.

– A niech mnie! Czyż to nie Jael z Isiltiru? – powiedział z lekkim uśmiechem.

Król Jael, poprawił go w myślach Jael i zmusił się do uśmiechu.

– Zupełnie cię nie poznałem – dodał Gundul, uważnie oglądając go od stóp do głów.

Jael nagle zdał sobie sprawę z tego, jak wygląda. Pod bramy Drassil ruszył w błyszczącej kolczudze i płaszczu z soboli podbitym futrem, założył też spodnie i buty z sarniej skóry. Teraz jego płaszcz był podarty i powalany błotem, upačkana zbroja rdzewiała, a dłonie i twarz pokrywał brud, zaschnięta krew i niezliczone zadrapania.

– Cóż za niezwykła niespodzianka! – ciągnął Gundul z ledwie skrywanym uśmieszkiem. – Słyszałem, że zaginałeś albo nawet poległeś podczas porażki z tym motłochem pod Drassil, a tu, popatrz. Raduję się na twój widok!

A więc czemu wydajesz się taki rozczarowany?, pomyślał Jael. Już ci się marzyło zajęcie moich ziem, co?

Nic nie budziło w Jaelu większej złości od myśli, że ktoś może skraść królestwo, które jeszcze nie tak dawno ukradł sam dla siebie. Z trudem powstrzymał ochotę, by zacisnąć dłonie na gardle Gundula.

Jeśli on sobie myśli, że może mi odebrać Isiltir, zmuszę go, by pożarł własne jelita.

– To obopólna radość, zapewniam cię! – Znow zmusił się do uśmiechu. – Wróg w Drassil użył przeciwko nam magii! Niestety, dzielne serca i silne ramiona nie wystarczyły w starciu z mrocznymi mocami Czarnego Słońca Asrotha.

– Doprawdy? – Usta Gundula wykrzywił bardziej autentyczny uśmiech, a on sam wyprostował się na krześle. – Nathair jakoś nie miał problemów z pokonaniem owej podłej magii!

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał Jael.

– Król Nathair zdobył Drassil jakieś dziesięć dni temu. Wróg został rozbity i rozproszony.

– Co? A więc wojna dobiegła końca?

– Cóż, z tego, co słyszałem, tu i ówdzie nadal trwa opór, ale to już tylko żałosne miotanie się wroga, który jeszcze nie zdał sobie sprawy z tego, że przegrał.

Wojna dobiegła końca, a moja armia została pokonana, myślał Jael. Liczyłem na nieco więcej czasu! Miałem nadzieję, że uda mi się powrócić do Isiltiru i zebrać nowy hufiec! Że zdołam stoczyć kolejne

bitwy i zyskać więcej chwały przed zakończeniem zmagania! Ale teraz...

– Wspaniałe wieści – rzekł, znów zmuszając się do uśmiechu. – Widzę, że budowa drogi dobrze ci idzie. Czy mógłbym prosić cię o przysługę?

– Czego chcesz? – spytał Gundul, który nagle wydał się znużony rozmową.

Uważa mnie za człowieka pokonanego, uświadomił sobie Jael. Za rozbitego rywala pozbawionego znaczenia.

Z trudem powstrzymał się, by nie zgrzytnąć zębami.

– Potrzeba mi koni – rzekł. – Dla mnie i dla moich ludzi. Musimy wrócić do Isiltiru.

– Dla twoich ludzi? – parsknął Gundul, patrząc z pogardą na Daga, który stał w milczeniu za królem. Jeden z młodzieńców ze świty króla Carnutanu zachichotał.

Zachowaj spokój, powtarzał sobie Jael. Uzyskaj to, na czym ci zależy. I zapamiętaj gębę tego lizusa.

– Tak, królu Gundulu – odezwał się, zdobywając się na swój najprzyjaźniejszy ton. – Mój hufiec dochodzi do siebie po trudach odwrotu.

– A ile koni ci trzeba? – Gundul zmarszczył brwi.

– Około trzystu.

– Nie wydaje mi się, by można to było nadal nazywać hufcem. – Władca uśmiechnął się przebiegle. Palce Jaela drgnęły. – Tak czy owak, trzysta koni... Nie wiem, czy mogę ci oddać aż tyle. Każdy koń jest na wagę złota. Nie szczędzimy sił, by ukończyć drogę przed Lotharem. Muszę tego dokonać, sam rozumiesz.

A więc wyścig nadal trwa, pomyślał Jael.

– Może więc będziemy mogli pomóc sobie nawzajem – rzekł.

– A niby w jaki sposób ty możesz pomóc mnie? – zadrwił Gundul i obrzucił wymownym spojrzeniem wynędzniałą, obszarpaną postać rywala.

Jael zdusił ostrą odpowiedź i wyprostował się.

– Nadal jestem królem Isiltiru – powiedział. – Mogę ci sprowadzić świeżych robotników do pomocy w budowie. Co najmniej dwa

tysiące ludzi. Może więcej.

Gundul uśmiechnął się szerzej. Wyprostował się i gestem odgonił służących, którzy proponowali mu tace z jedzeniem.

– A więc chyba znajdę dla ciebie te konie – rzekł.

Jael otworzył usta, by coś powiedzieć, ale zamarł, gdy przez wejście do namiotu wniknęły odległe okrzyki. Gundul również je usłyszał i podniósł dłoń, by powstrzymać dworzanina, który nachylił się, by wyszeptać mu coś do ucha.

Krzyki stawały się coraz głośniejsze, aż przeszły we wrzaski, na tle których pobrzmiwał odległy, niewyraźny szczęk oręża. Jael zerknął na Daga, który zamarł niczym zwierzę w każdej chwili gotowe do ucieczki. Zacisnął dłoń na rękojeści sztyletu.

– Musimy uciekać – syknął do Jaela.

– Co się dzieje? – warknął Gundul, zrywając się. Na jego obliczu pojawił się lęk.

To bitwa. Coś, czego chyba jeszcze nie widziałeś, pomyślał Jael.

Gundul wyszedł z namiotu w towarzystwie swej świty, a Jael i Dag wymknęli się w ślad za nim. Ujrzeni króla Carnutanu, który zatrzymał się na zboczu pagórka i wpatrywał się z oszołomieniem i niedowierzaniem w północny skraj obozowiska. Na drogę wypadały tłumy wojowników, które wbijały się w tłoczących się tam robotników i parły naprzód. Jael dostrzegł, że ludzie Gundula mało skutecznie próbują uformować linię obrony, która w okamgnieniu zostaje rozerwana przez napastników, wdzierających się do obozu.

Na jaja Asrotha, a co to znowu, pomyślał.

Jehar zwarli szyki wokół Gundula. Wpatrywali się w walkę czarnymi oczami.

– Musimy uciekać! – powtórzył Dag.

– Co tu się dzieje?! – wykrzyknął Gundul. W jego głosie temperament walczył o lepsze z histerią.

– Wygląda na to, że miałeś rację – odezwał się Jael, który tym razem nawet nie próbował ukryć pogardliwego uśmiešku na widok paniki Gundula, choć sam czuł, jak przeszywa go lęk. – Wróg rzeczywiście nie zdaje sobie sprawy z tego, że przegrał, bo najwyraźniej właśnie cię zaatakował.

Rozdział jedenasty

MAQUIN

Maquin spoglądał przez zarośla na rozległy obóz. Czuł napięcie w całym ciele, a jego dłoń zacisnęła się na rękojeści noża, gdy przyglądał się atakowi ludzi Krelisa na Carnutańczyków przy drodze. Przyczajony na południowym krańcu obozowiska, ujrzał kilka dziesiątków wartowników na wolnej przestrzeni między namiotami a skrajem lasu, którzy teraz odwrócili się do niego plecami. Wyglądali, jakby nie wiedzieli, co począć. Człowiek czuwający po prawicy Maquina ujął miecz i zrobił krok naprzód.

– Zaczekaj! – szepnął Maquin, łapiąc go za ramię. – Zaczekaj, aż Krelis wdrze się do obozu.

Maquin otrzymał dowództwo nad setką wojowników, którzy trwali teraz wokół niego, ukryci wśród cieni i zarośli. Nim zajęli pozycje, powiedział im tylko jedno: „Gdy ruszę, biegnijcie za mną”.

Ich zadanie polegało na przeprowadzeniu natarcia od południa. Mieli zasiać w szeregach Carnutańczyków tyle zamieszania i paniki, ile byli w stanie. Maquin nie miał jednak doświadczenia w dowodzeniu. Jamy Vin Thalun ukształtowały w nim wolę przeżycia i wpoili, że przede wszystkim powinien walczyć o siebie.

Ale tego właśnie chciał ode mnie Lykos, pomyślał. Chciał mnie złamać, sprawić, bym zapomniał, czym jest lojalność, uczynić mnie kimś gorszym od człowieka. Nie zrobię tego. Nie stanę się tym, kogo we mnie widział.

Główne uderzenie zostało poprowadzone przez Krelisa, którego podstawowe zadanie polegało na oczyszczeniu traktu z wszelkiego

oporu. Zwiadowcy donieśli, że to tam przebywa większość zbrojnych Gundula. Po zdławieniu oporu Krelis miał uderzyć na obóz, co było sygnałem dla pozostałych. Maquin i Alben dowodzili mniejszymi oddziałami ukrytymi na zachodzie i południu. Mieli się spotkać z Krelisem przy namiocie dowodzenia znajdującym się na pagórku w sercu obozu.

Na myśl o tym Maquin uniósł głowę i znów spojrzął na namiot. Ze środka wybiegało coraz więcej ludzi, którzy zatrzymywali się i wbijali wzrok w zamieszanie wywołane przez Krelisa.

Gundul! To na pewno on, pomyślał Maquin.

W ślad za pozostałymi z namiotu wypadło dwóch innych ludzi, którzy zatrzymali się w pewnej odległości od reszty. Jeden z nich wydał się Maquinowi osobliwie znajomy ze względu na sposób chodzenia oraz postawę.

Potem zza pagórka wyłoniły się odziane w czerń postacie i otoczyły świętę Gundula ciasnym kręgiem. Nawet z tej odległości nie było wątpliwości, że czymś się różnią od pozostałych.

Kadoshim. Niech to szlag, pomyślał Maquin. Mamy przeciwko sobie wielką przewagę i bez tych piekielnych pomiotów.

Mimo to wzruszył ramionami. Wiedział, że decyzja została podjęta i nie można się już wycofać.

A poza tym cały ten atak był moim pomysłem. Najlepiej więc zrobię, jeśli postaram się dotrzeć do namiotu najszybciej jak się da i dołożę wszelkich starań, byśmy wygrali.

Spojrzął na drogę i ujrzał wojowników Krelisa, przebijających się przez Carnutańczyków i wdzierających się do obozu.

No i dobrze, przeszło mu przez myśl.

Z dzikim okrzykiem zerwał się i wypadł spomiędzy drzew. Ściskając nóż w każdej dłoni, pędził ku wartownikom stojącym między nim a obozem. Kilka kroków za nim gnało stu wojowników z Ripy. Z zachodu również dobiegł odległy ryk, co oznaczało, że Alben także ruszył do natarcia.

Maquin nachylił się przed ostrzem wymierzonej w niego włóczni, wpadł na trzymającego ją mężczyznę i błyskawicznie dźgnął go nożem. Wartownik osunął się na kolana i złapał za brzuch,

a Maquin wyszarpnął ostrze i niesiony pędem pomknął dalej. Z kilku tuzinów wartowników ocalało zaledwie paru, którzy rzucili się do ucieczki, nie potrafiąc powstrzymać nagłego natarcia wojowników z Ripy.

Maquin zebrał swych ludzi i ruszył na ich czele w głąb obozu. Rozkopywał ogniska, otwierał zagrody, by wypuścić przerażone bydło, ciął i rąbał każdego, kto się nawinął. Kilkanaście uderzeń serca później namioty stanęły w płomieniach i wszędzie unosił się dym. Szarżujące bydło tratowało ludzi i cały świat zdawał się pogrążony w chaosie.

Maquin skręcił za namioty i wpadł na tuzin wojowników. Walka okazała się brutalna, ale krótka – prześlizgiwał się między przeciwnikami niczym tajfun, a jego noże bezbłędnie rozrąbały żyły i arterie. Jego wojownicy zaś ścinałi tych, których pominął.

Pędził przez obóz wroga. Z jego noży ściekała krew, za nim trup ściełił się gęsto. Z każdym krokiem opór słabł, a kolejni napotkani ludzie rzucali się do ucieczki, z czego się cieszył. Nie byli to bowiem wojownicy Gundula, ale kupcy, kowale, garbarze, szewcy, woźnice, dziwki i dzieciaki.

Może i jestem zabójcą, ale nie będę mordował niewinnych ludzi, pomyślał.

Niebawem furia bojowa zaczęła przygasać i Maquin spojrzął za siebie. Ludzie z Ripy, w czerni i srebrze, nadal za nim podążali.

Nie nawykłem do dowodzenia ludźmi, nie nawykłem do tak wielkich bitew, pomyślał. Nie wolno mi zapominać o towarzyszach. Nie wolno mi zapominać o planie!

Zatrzymał się, by jego ludzie znów zdołali się zebrać za jego plecami, a sam spróbował się rozejrzeć. Z północy dobiegały wrzaski oraz ogłuszający szcęk oręża.

Nadciąga Krelis, pomyślał. Lepiej pędzić do namiotu dowodzenia. Jeśli mamy zwyciężyć, Gundul musi zginąć, a żeby tego dokonać, musimy przebić się przez Kadoshim.

Uniósł rękę i wymacał rękojeść jednego z dwóch krótkich mieczy, które przytroczył sobie do pleców. Wolał walczyć nożem, ale ścinanie głów Kadoshim wymagało dłuższego ostrza.

Znów ruszył. Po chwili rzędy ciasno ustawionych namiotów ustąpiły miejsca wolnej przestrzeni, a tam ujrzał kilka ognisk oraz stojaki z bronią, obłożone teraz przez mężczyzn łapiących za włócznie, zapinających hełmy i zakładających tarcze. Maquin wyhamował, nagle uświadamiając sobie, na co się natknął.

To koszary tego hufca!

Warknął i skoczył naprzód.

Wpadł w grupę ludzi, nim ci zdolali zareagować. Jego noże zakreślały mordercze, czerwone kręgi wśród ich ciał. Przebił się w okamgnieniu i rzucił się w sam środek kolejnej grupy. Zewsząd spadały nań klingi i dźgały weń ostrza, ale Maquina opanowała furia bojowa. Czas wydawał się teraz płynąć wolniej, a on obracał się, wirował i unikał każdego kolejnego ciosu. Jego noże śmigwały, rozrywały gardła, przebijały lędźwie, przecinały ścięgna. Ledwie rejestrował szczęk oręża za plecami, który mówił mu, że jego ludzie podążają za nim. Co rusz widział przed sobą kolejną twarz, zaciętą, przerażoną, wstrząśniętą, ale nie czynił wyjątków. Wszyscy padali pod jego ciosami.

Mimo to jego natarcie zwalniało. Wokół niego powstał ścisk, przez co nie mógł już tak szybko się przemieszczać ani robić uników. Zdołał zerknąć za siebie i przekonał się, że jego ludzie walczą zaciekle, ale mają przeciwko sobie przewagę liczebną, a wróg zaczyna ich osaczać.

Dzięki atutowi zaskoczenia i brutalności wdarli się bardzo daleko, ale nie zdołali rozbić przeciwnika.

Zaraz zrobi się naprawdę nieprzyjemnie, przemknęło Maquinowi przez myśl.

Uskoczył w bok, odbił pchnięcie, wycelowane w żebra jednego z jego ludzi, chlasnął napastnika po twarzy, a innego kopnął w kolano. Carnutańczyk zgiął się, a Maquin przypadł bliżej, by ciąć go po gardle.

Naraz rozległ się łoskot, aż po ciżbie stłoczonych wojowników przebiegło drzenie.

Ktoś jeszcze dołączył do zabawy, pomyślał Maquin.

Alcyon, który złapał dwie siekiery i wymachiwał nimi tak jak Maquin nożami, przedzierał się przez wrogów niczym żniwiarz wśród kłosów. W powietrze wlatywały odrąbane głowy i kończyny, ciągnąc za sobą strumienie krwi.

Oddział Albena, pomyślał Maquin. Uśmiechnął się i skoczył na wroga, by ciąć i rąbać ze zdwojoną siłą. Wojownicy Gundula zaczęli się chwiać i cofać, a na ich twarzach pojawiły się lęk i zwątpienie. Chwilę później pierwsi z nich rzucili się do ucieczki. Maquin wbił jednemu nóż w plecy, wyszarpnął go i stanął nad trupem, zbryzgany krwią i zdyszany. Dostrzegł Alcyona, który zamaszystym ciosem zdjął któremuś z uciekinierów głowę. Towarzyszyli mu Raina oraz Tain, a wokół nich znajdowali się wojownicy Albena.

– Cóż za miłe spotkanie! – Maquin usłyszał słowa wojownika-uzdrowiciela. Starzec szedł ku niemu z bladą twarzą. Spod bandaża na ramieniu płynęła krew.

Kazałem mu zostać w naszym obozie, pomyślał Maquin. Byłoby mu tam o wiele lepiej, a ja byłbym szczęśliwszy ze świadomością, że ktoś z jego umiejętnościami pilnuje Fidele.

Znów poczuł falę lęku o nią, jak zawsze, gdy się rozdzielali, ale przecież trwała wojna i oboje wiedzieli, że Fidele nie może mu towarzyszyć.

– Ja też się cieszę. – Wsunął nóż do pochwy i uściśnął starcowi przedramię. Jego palce pozostawiły krwawe ślady. – Chyba właśnie uratowałeś nam skórę.

Alben wymownie spojrział na dziesiątki trupów, pozostawionych przez Maquina i jego zbrojnych.

– Raczej w to wątpię – rzekł i zerknął na kłęby dymu, bijące znad nieodległego pagórka.

– Gundul! – zawołał Maquin.

– Otóż to! Znajdźmy go!

Oba oddziały zgromadziły się już wokół nich.

– Na wzgórzu czekają Kadoshim – powiedział głośno Maquin. – A tych niełatwo zabić! Pamiętajcie, że trzeba im odrąbywać głowy!

Alben i pozostali przytaknęli z zawziętymi minami. Maquin wyszczerzył zęby i rzucił się biegiem ku pagórkowi. Kłęby dymu na

moment zasłoniły mu drogę, a gdy znów się rozwiały, ujrzał pagórek, a na nim wielki, zbytkowny namiot, który wydawał się zupełnie nie na miejscu w ponurym, mrocznym Fornie.

Maquin przyśpieszył. Biegł przez obóz wroga, który zamienił się w labirynt cieni i ognia. Słyszał tupot stóp swoich towarzyszy oraz okrzyki wojenne i wrzaski, które buchały dookoła wraz z kłębam dymu. Naraz teren zaczął się wznosić i Maquin wypadł spomiędzy namiotów. Alben, Alcyon i pozostali byli zaledwie kilka kroków za nim.

Ludzie zgromadzeni na wzgórzu wycofywali się, osłaniani i zaganiani przez przynajmniej pięć tuzinów Kadoshim. Kierowali się na północny wschód, ku najnowszemu odcinkowi drogi.

Uciekają do Drassil, uświadomił sobie Maquin. Ku posiłkom, które rozlokowano wzdłuż traktu! Nie możemy im na to pozwolić!

Wsunął noże do pochew i dobył dwóch krótkich mieczy. Nie zwalniał.

Dystans między nimi kurczył się szybko. Maquin i pozostali biegli w ciszy, bez wrzasków czy okrzyków bojowych. Słyszał tylko tupot stóp, poskrzypywanie skórzanych pancerzy i chrzęst kolczug.

Nagle Gundul zorientował się, że grozi mu niebezpieczeństwo, i zaczął wykrzykiwać rozkazy. Dwie dziesiątki Kadoshim oderwały się od wycofującej się grupy i dobyły zakrzywionych mieczy z pochew na plecach. Jeden wbił spojrzenie czarnych oczu w Maquina i skoczył na niego. Jego blade oblicze wykrzywił mroczny uśmiech. Stary Wilk poczuł ucisk strachu – dobrze pamiętał obcość owych istot i zaciekłość, z jaką walczyły – ale stłumił lęk gniewnym warknięciem i przyśpieszył.

Pierwszy Kadoshim o mało nie ściął mu głowy. Jego miecz świsnął o cal nad Maquinem, który rzucił się na ziemię, przetoczył i zerwał za plecami bestii. Ciął woja w kark, ale jego uderzenie zostało zablokowane z oszałamiającą sprawnością. Wówczas ciął obracającego się Kadoshim drugim ostrzem w nogę i odskoczył, a demon się zatoczył. Miał rozrąbane ścięgna, a mimo to nadal usiłował go dopaść.

Powinien leżeć na ziemi, a nie próbować mnie wypatroszyć, przemknęło Maquinowi przez myśl.

Wszędzie dookoła wojownicy zwarli się we wściekłej walce z Kadoshim. Okrzyki bojowe i wrzaski umierających były ogłuszające. Maquin dostrzegł, jak Alben ścina jednemu z potworów głowę, a nad trupem rozlewa się przerażająca, czarna mgła. O mało nie kosztowało go to życia, bo jego przeciwnik, utykając, zasypał go gradem oburęcznych ciosów. Sparował dwa, prześlizgnął się pod trzecim i odruchowo wbił Kadoshim miecz w brzuch. Demon rozdziawił gębę i owionął wojownika cuchnącym oddechem, próbując pochwycić go zębami. Maquin zdzielił go czołem i odepchnął, pozostawiając miecz w jego trzewiach. Sam zamachnął się drugim i rozrąbał nim obojczyk Kadoshim. Z rany buchnęła krew wraz z kawałkami kości, ale wojownik uderzył ponownie, tym razem wbijając ostrze głęboko w szyję istoty. Uniknął ciosu zakrzywionego miecza i rąbnął raz jeszcze, ale Kadoshim w jakiś sposób złapał jego ostrze w rękę. Odpadł odcięty palec, lecz demon nawet tego nie zauważył. Wzniósł własny miecz do ciosu. Maquin pochwycił jego nadgarstek i przez kilka uderzeń serca zmagali się i zataczali w niezgrabnym tańcu śmierci. Wojownik natychmiast zrozumiał, że w zapasach z Kadoshim nie ma najmniejszych szans – uścisk demona był bowiem nienaturalnie silny.

Niespodziewanie głowa Kadoshim wystrzeliła w górę i Maquin ujrzał Albena. Ciało demona osunęło się na ziemię z dłonią nadal zaciśniętą na ostrzu, a z rany wyłonił się czarny dym, który uformował się na kształt skrzydlatej postaci. Ta wrzasnęła na niego z nienawiścią i znikła, rozwiana wiatrem.

Stary Wilk zachwiał się, a Alben złapał go i przytrzymał.

– Nie przyzwyczaję się do tego – szepnął Maquin i wyszarpnął swą broń.

Rozejrzał się. Wszędzie dookoła w powietrze wzbijały się i rozmywały kolejne czarne mgiełki. Na pierwszy rzut oka wyglądało na to, że padło większość atakujących ich Kadoshim, choć wielu ludzi Maquina i Albena leżało nieruchomo na ziemi. Na jego oczach Alcyon, Raina i Tain rozprawili się z ostatnim demonem.

– A Gundul? – szepnął Maquin.

– Tam! – wskazał Alben.

Maquin ujrzał króla Carnutanu, jak znika wśród namiotów. Oślaniali go Kadoshim, o wiele liczniejsi, niż się spodziewał. Wraz z nimi biegło dwóch ludzi. Jeden z nich się zatrzymał i popatrzył za siebie. Na moment ich spojrzenia się spotkały.

Maquin zatoczył się, jakby ktoś uderzył go pięścią w żołądek.

To niemożliwe, pomyślał.

Serce nagle zaczęło mu bić z całej siły, a wstrząs przeobraził się w dziką furię.

Jael...

Rozdział dwunasty

JAEL

Jael wpatrywał się w napastników na zboczu wzgórza, spośród których wyłonił się samotny mężczyzna, zdyszany, zbroczony krwią, ściskający miecz w każdej dłoni. Patrzył prosto na niego i choć dzieliło ich dobrych kilkaset kroków, Jael był przekonany, że jego oblicze wykrzywiła nienawiść.

Skąd ja go znam...

– Panie! – Dag szarpnął go za rękaw. – Musimy uciekać!

Podążali za Jehar, którzy pędzili Gundula i jego świętę z dala od zagrożenia, w nadziei, że w razie potrzeby również będą mogli liczyć na ich pomoc, ale Jael zatrzymał się na moment. Patrzył na rzeź poczynioną przez tych Jehar, którzy osłaniali odwrót. Wszyscy zginęli, ale było ich tylko dwudziestu przeciwko dwóm setkom, a mimo to zadali im wielkie straty.

Nie mógł również nie zauważyć tego, że jakiś samotny mężczyzna rzucił się ku niemu, wykrzykując jego imię.

On mnie zna, pomyślał Jael i zrobił odruchowo krok w tył. I chyba za mną mnie przepada. Kto to taki?

I nagle zrozumiał.

To był Maquin.

Zmienił się. Był niemalże nie do poznania – szczuplejszy i o wiele lepiej zbudowany. Jego ramiona i nogi wydawały się splotami twardych mięśni, kanciastą, wychudłą twarz pokryły liczne blizny, a oczy ziały nienawiścią.

Jak on tu dotarł? Powinien być martwy bądź w najlepszym razie zakuty w kajdany, tysiące mil stąd!

Jael dobrze pamiętał most w Dun Kellen, gdzie widział go po raz ostatni. Patrzył, jak Lykos wlecze go w kajdanach na okręt Vin Thalun.

Głupiec wyzwał mnie na sąd mieczy, przypomniał sobie Jael. Znieважаł mnie przed moimi ludźmi!

Wyraz twarzy Maquina sugerował, że bynajmniej nie zrezygnował z sądu mieczy.

Jael przełknął ślinę. Jeśli furia Maquina nie przekonała go, że natychmiast powinien rzucić się do ucieczki, do działania popchnął go widok dziesiątek wojowników, którzy gnali w ślad za nim. Były wśród nich olbrzymy.

– Tędy! – warknął na niego Dag, gdy znaleźli się w labiryncie namiotów, spowitym kłębamii gęstego dymu.

Zewsząd dobiegały okrzyki i wrzaski walczących. Naraz gdzieś z tyłu Jael usłyszał tupot wielu stóp na zboczu, a Jehar znikli bez śladu. Panika ścisnęła mu żołądek.

– Jael! – wrzasnął ktoś za nim.

W nogi, przemknęło mu przez myśl.

Wtedy ujrzał Daga, który biegł przed nim z pochyloną głową i wpatrywał się w ślady na ziemi. Podążając za nim, Jael obiegł jakiś namiot, przebiegł przez zabłoconą, stratowaną łąkę, na której piętrzyły się stosy beczek, znów skręcił i ujrzał ciemne postacie biegnących przed nimi Jehar. Zalała go ulga i przyspieszył kroku. Wraz z Dagem byli coraz bliżej obrońców Gundula.

Od Jehar dzieliło ich już tylko kilkanaście kroków. Jael przyspieszył, dogonił ich i spróbował przepchnąć się między dwoma wojownikami, by znaleźć się wewnątrz ochronnego kręgu, ale jeden z nich odwrócił się i wbił w niego spojrzenie czarnych, martwych oczu.

– Wpuść mnie! – wysapał Jael. – Jestem królem Isiltiru! Musicie mnie ochronić!

Jehar przechylił głowę i odepchnął go mocno. Dag złapał go i uchronił przed upadkiem.

Teraz żałuję, że zostawiłem mych ludzi daleko stąd, pomyślał Jael.

– Musimy... dostać się... do hufca! – wysapał.

– Myślę, że ta banda tam właśnie zmierza – rzekł Dag. – Lepiej się ich trzymać!

– Dobra – mruknął Jael, a potem ujrzał, jak jego tropiciel ukradkowo zerka w głąb korytarzy wytyczonych przez rzędy namiotów.

Chyba ma ochotę czmychnąć, pomyślał. Trudno się dziwić. Na jego miejscu pewnie zrobiłbym to samo.

– Złoto! – wyrzęził.

Ja potrzebuję tego człowieka, uświadomił sobie.

– Co?

– Złoto. Dla ciebie. Dostaniesz mnóstwo złota, jeśli pomożesz mi wrócić do Mikil. Więcej, niż będziesz w stanie unieść! Więcej, niż możesz sobie wymarzyć.

– Swego czasu sporo go sobie wymarzyłem – rzekł Dag.

– Zasłużyłeś sobie na nagrodę – wyszeptał Jael.

– Pewnie, że tak – mruknął Dag. Na jego twarzy pojawił się chciwy uśmiech. – Doprowadzę cię do Mikil.

Odgłosy bitwy naraz stały się głośniejsze, a przed nimi pojawiła się grupa wojowników w czerni i srebrze.

To chyba barwy Nathaira, pomyślał Jael.

Niespodziewanie wpadli na jednego z ludzi Gundula, który zasłaniał się przed gradem ciosów wojownika w czerni i srebrze. Jael wyszarpnął miecz, przebił napastnika, odepchnął trupa, a potem oswobodził ostrze i z sercem bijącym mocno ze strachu rozejrzał się za tropicielem. Nigdzie go nie widział.

– Tędy! – zawołał Dag.

Coś grzmotnęło Jaela w plecy.

Uderzenie wyrzuciło go na moment do góry i wybiło mu powietrze z płuc. Chwilę później runął na ziemię i przetoczył się po błocie. Zdołał się zatrzymać i wspiąć na jedno kolano, próbując zignorować ból piersi i ramienia. Odruchowo zacisnął dłoń na rękojeści miecza i ujrzał zbryzganego krwią szaleńca, podnoszącego się z ziemi.

Maquin... Uciekaj, wrzasnął umysł Jaela, ale rozsądek mówił mu, że nie zdoła. Maquin był zbyt blisko, by mieć nadzieję na skuteczną ucieczkę. Jael wstał i uniósł miecz.

Jestem najlepszym szermierzem, powtarzał sobie. Pokonałem Kastella, a przecież on świetnie władał mieczem, a do tego był młodym człowiekiem, a nie na pół oszalałym dziadem jak ten tutaj.

Rozstawił szeroko nogi i przygotował się.

Świat dookoła pociemniał, a tocząca się zaledwie kilka kroków dalej bitwa przestała mieć znaczenie. Ogarnął go zimny spokój, jak zawsze, gdy ruszał do walki.

– Chodź! – krzyknął. – Chodź tu, a wyślę cię do Kastella!

Chciał rozjuszyć Maquina i wyprowadzić go z równowagi, bo wściekli ludzie popełniają błędy. Sądząc po wyrazie twarzy jego przeciwnika, taktyka zadziałała. Mężczyzna złapał mocniej miecz i ruszył do natarcia, warcząc dziko.

Jest zbyt szybki, pomyślał Jael i uśmiechnął się lekko, zrywając się do biegu ku wrogowi. Celował mieczem w jego serce.

Sam się nadzieje na moje ostrze. Już nie żyje, stary głupiec.

Chwilę później uświadomił sobie, że dźga mieczem w pustkę. Maquina nie było tam, gdzie być powinien. Coś uderzyło go w żebra. W jego piersi eksplodował biały błysk i padł na kolano, owładnięty chęcią opróżnienia żołądka.

Złamał mi żebro, uświadomił sobie, wstrząśnięty, obmacując bok. Ogniwia kolczugi były pogięte i poszarpane. Zginę, jeśli się nie ruszę.

Z trudem dźwignął się na nogi, uniósł miecz i obrócił się na pięcie, ale cios, którego się spodziewał, nigdy na niego nie spadł.

Uniósł głowę. Maquin stał kilka kroków dalej i wpatrywał się w niego.

– Czekam na tę chwilę od dawna – odezwał się głosem zimnym i twardym jak oszronione żelazo. – Szkoda by cię było zabić tak po prostu.

W sercu Jaela rozlał się lęk. Żelazna pewność w oczach Maquina przeszła go chłodem.

Dlaczego ja się go boję, pomyślał. Cóż za głupota. Przecież widziałem go podczas ćwiczeń. Znam jego mocne strony i słabości.

Jest stary i powolny. Mogę go pokonać.

– Kastell powiedział coś podobnego, zanim wykrwawił się jak wieprz – rzekł, dokładając wszelkich starań, by ból połamanych żeber nie przeniknął do jego głosu.

Maquin ruszył na niego, tym razem wolno. Jael dostrzegł wiele noży, przypiętych w różnych miejscach jego ciała – dwa przy biodrze, kilka na pasie przewieszonym przez ramię, kolejny ukryty w bucie.

Jeden z krótkich mieczy Maquina zatoczył leniwy krąg, jakby zahartowany, zaprawiony w bojach wojownik chciał rozruszać nadgarstek, a potem runął na Jaela z niewyobrażalną szybkością. Jael zatoczył się do tyłu. Jego płuca eksplodowały bólem z każdym oddechem. Odbijał ciosy, ale parowanie przychodziło mu z coraz większym trudem.

Jest szybki jak Jehar!, pomyślał. Niemożliwe! Co się z nim stało?

Czuł narastającą panikę, bo Maquin w istocie poruszał się zbyt szybko, by mógł za nim nadążyć. Na przedramieniu króla pojawiło się skaleczenie, które zapłonęło, jakby zalano je ogniem. Po nim miecz Maquina rozorał mu czoło, a Jael zatoczył się do tyłu, oślepiiony własną krwią, i padł na plecy.

Otarł krew z oczu i ujrzał nad sobą szare niebo. Uderzenie serca później pojawił się nad nim Maquin. Jego twarz poznaczona była siateczką blizn, po uchu został jedynie kikut, a włosy były bardziej szare niż czarne.

Jael macał wokół siebie w poszukiwaniu miecza, aż jego palce natrafiły na starą skórę rękojeści. Złapał broń, ale wtedy Maquin wpakował mu but w zebra. Isiltirczyk wrzasnął, przetoczył się i z wymiotował żółcią w błoto.

– Kiedy spotkasz się z Kastellem, powiedz mu, że dotrzymałem obietnicy – rzekł stojący nad nim Maquin.

To niemożliwe! To się nie dzieje! On jest przecież stary!

Jael przetoczył się na plecy i uniósł ręce, gotów błagać o litość, ale nie mógł wykrztusić z siebie ani słowa. Z jego ust dobiegło jedynie świszczące rżenie.

Maquin uniósł jeden ze swych mieczy.

Nagle rozległ się łoskot i wojownik znikł.

Jael odwrócił głowę i ujrzał go na ziemi, zmagającego się z innym przeciwnikiem, drobnym i żyłastym.

To Dag, uświadomił sobie. Uwielbiam tego człowieka...

Uklęknął, złapał miecz i dźwignął się na równe nogi. W reakcji na ból popękanych żeber jednocześnie uderzyły w niego zawroty głowy i nudności. Wokół niego nadal trwała zaciekle walka – z Jehar pozostała zaledwie garstka, a do starcia dołączali coraz to nowi mężczyźni w czerni i srebrze. Nigdzie nie widział Gundula i jego eskorty.

Muszę się stąd wynosić, pomyślał.

Maquin i Dag nadal walczyli. Krótki miecz Maquina leżał w błocie, a w dłoni Daga błysnął nóż. Jael, zataczając się, ruszył ku nim i wzniosł miecz, czekając, aż będzie mógł przebić nim swego wroga.

Niespodziewanie rozległ się kolejny okrzyk bojowy, potężny i obcy. Olbrzym, którego widział w towarzystwie Maquina, wyłonił się spośród dymu i chaosu. Za nim podążały dwa inne olbrzymy oraz oddział wojowników w czerni i srebrze.

Pierwszy z olbrzymów dostrzegł go i pognął ku niemu z dzikim rykiem. Ziemia zadudniła pod jego stopami oraz butami biegnących za nim wojowników.

Jael zerknął na Daga i Maquina.

Maquin ma umrzeć, a Dag przeżyć, bo nikt inny nie doprowadzi mnie do Isiltiru, pomyślał.

Spojrzał ponownie na nadciągającego olbrzyma oraz prowadzony przez niego, najeżony stałą oddział, po czym zmienił zdanie.

Odwrócił się i rzucił do ucieczki.

Rozdział trzynasty

FIDELE

Fidele krążyła wokół zimnego, wygasłego paleniska, wsłuchana w dobiegające z oddali wrzaski walczących i szczęk oręża.

Mówią, że jestem królową, że mam wypełnić swój obowiązek i przewodzić ludowi Tenebralu, a mimo to pozostawiają mnie tu z garścią ludzi, strzeżoną jak więźnia, myślała. Bym miała zapewnione bezpieczeństwo. To na tym ma polegać przewodzenie?

Wymruczała stek przekleństw. Kilku ludzi, których Krelis pozostawił na jej straży, spojrzęło na nią z zaskoczeniem. Jeden z nich uśmiechnął się pod nosem.

Nie powinnam tu tkwić, powiedziała sobie.

Kiedy Maquin zaproponował atak na obóz Gundula, Fidele od razu wiedziała, że to właściwy kierunek działania. Poczowała przypływ entuzjazmu na myśl o tym, że wreszcie będą mogli coś zrobić, zamiast wciąż uciekać. Widziała, że pomysł przypadł do gustu również wielu innym uczestnikom narady. Poczowała w sercu dumę, gdy patrzyła, jak lordowie Ripy słuchają planu Maquina, choć to akurat wcale jej nie zdziwiło. Podczas ucieczki przez Tenebral odkryła u niego szczególną cechę – siłę połączoną z inteligencją, a dodatkowo całkowity brak ego. Maquinowi wystarczyło zapoznać się z sytuacją, by od razu wiedzieć, co należy zrobić, a potem brał się do dzieła z absolutnym zaangażowaniem, przeświadczony, że doprowadzi dzieło do końca albo po drodze zginie.

Między drzewami przebijały się kolejne wrzaski. Zgiełk bitwy to przybierał na sile, to znów słabł, a Fidele zgrzytała zębami.

Nie będę biernym widzem, powtarzała sobie. Nie będę przywódczynią, która nie przewodzi!

Musnęła rękojeść noża za pasem i odwróciła się od wygasłego paleniska ku stojakom z bronią. Złapała włócznię o wąskim drzewcu i zważyła ją w dłoni. Na moment znalazła się znów w tenebralskiej puszczy z Maquinem i dusiła własny lęk, gdy wbijała włócznię w gardło wojownika Vin Thalun.

– Pani? – spytał jeden z jej przybocznych z wahaniem.

– Ruszam do bitwy – odparła.

– Co? Czy... czy to mądre? – Wojownik zamrugał. – Eee... Pani! – dodał.

Nie był młodym człowiekiem, a jego wygląd sugerował, że przeżył niejedną bitwę. W jego rudawej, siwiejącej brodzie nikła blizna.

Ale zdaje się, że z królowymi rozmawiać nie potrafi, pomyślała Fidele.

– Jak masz na imię? – spytała go.

– Agost, moja pani – rzekł.

– Cóż, Agost, chcę zobaczyć, jak toczy się bitwa.

– Ale Alben...

– Alben nie jest moim władcą i nie wydaje mi poleceń – dokończyła za niego Fidele. – Tam walczą moi poddani, a więc moje miejsce jest przy nich. Widziałam już wojnę i patrzyłam na owoce ludzkiej niegodziwości – mówiła teraz głośniej, chcąc, by wszyscy ją usłyszeli. – Nieraz widziałam krew, a teraz dzielni ludzie z Tenebralu nie szcędzą własnej. Nie będę się chować i czekać na wynik. Nie ma nas wielu, ale moglibyśmy przeważyć szalę podczas jakiegoś zaciętego starcia. Czasami wystarczy naprawdę niewiele, by zdecydować o losach bitwy.

Widziała zapal w ich oczach. Wiedziała, że wcale nie uśmiecha im się pilnowanie królowej w chwili, gdy ginęli ich bracia w mieczu. Nie zastanawiając się wiele, złapała za włócznię i wymaszerowała ze zdecydowaniem z obozu.

Agost i paru innych wysforowało przed nią, pozostali wojownicy ciągnęli się z tyłu. Szli zwartą gromadą przez las ku coraz

donośniejszym odgłosom bitwy, aż Agost przystanął i uniósł rękę. Zatrzymali się.

– Co się dzieje? – szepnęła Fidele.

– Ktoś tam jest! – Agost wskazywał półmrok puszczy w innym kierunku niż bitwa. Dał znać kilku ludziom i na ich czele zagłębił się w cienie między drzewami. Przez dłuższą chwilę Fidele nie słyszała niczego, aż rozległy się krzyki i brzęk stali, a potem jakieś głosy.

– Pani! – zawołał Agost.

Fidele wraz z resztą straży ruszyła ku nim.

Agost i jego ludzie stali z trzema wojownikami w skórach i futrach. Nieznajomi mieli brody zaplecione w warkocze i związane rzemieniami. U pasów nosili krótkie topory o pojedynczym ostrzu. Fidele wyczuła w nich zaciętość i hardość typową dla weteranów wielu starć.

– Powtórzcie to, co mi powiedzieliście – rzekł Agost.

– Przybywamy z Drassil – powiedział jeden z nich. – Wysłano nas na południe w poszukiwaniu sojuszników.

– Dla kogo? – spytała Fidele. – Komu służycie?

– Walczymy dla Corbana! Dla Jasnej Gwiazdy! – odpowiedzieli trzej obcy razem.

Rozdział czternasty

MAQUIN

Maquin przetoczył się po ziemi i stęknął głucho, gdy przeciwnik rąbnął go czołem w szczękę. Splunął mu krwią w oczy, a potem odpłacił się identycznym uderzeniem. W tej samej chwili poczuł, jak uścisk wrogich dłoni na jego nadgarstkach słabnie. Uderzenie serca później, już wolny, odtoczył się na bok i wyszarpnął nóż z buta.

Jego przeciwnik również się zerwał. Był drobnym, ale żylastym, muskularnym mężczyzną. Na twarzy nosił blizny po poparzeniach.

Mamy tyle wspólnego, pomyślał Maquin.

– Nie wiem, co ci obiecał Jael, ale nie jest tego wart! – warknął.

– Dla złota można wiele zrobić! – parsknął jego przeciwnik i wyszarpnął własny nóż z pochwy na plecach.

Maquin rzucił się do natarcia. Ich ostrza zderzyły się, krzesząc iskry. Stary Wilk nachylił się nad opadającym nożem przeciwnika, zawirował, przypadł bliżej i pchnął go w gardło, ale jego cios został odbity, a wróg się cofnął. Odskoczyli od siebie, zatoczyli krąg. Maquin przemieszczał się zgarbiony niczym polujący drapieżnik.

Powietrzem wstrząsnął ogłuszający ryk. Alcyon, wymachując dwoma toporami, rąbał jakiegoś Kadoshim, stojącego nad ciałem innego olbrzyma.

Czyżby to był jego syn, zastanawiał się Maquin.

Głowa Kadoshim wystrzeliła ku niebu. Z bezgłowego ciała wymknęła się rozwrzeszczana, czarna mgła.

Szelest stóp przypomniał Maquinowi o jego przeciwniku. Uskoczył w lewo, uniknął pchnięcia w oko i kopnął przeciwnika w kolano.

Trzasnęła chrząstka, a Maquin błyskawicznie znalazł się bliżej i wbił przeciwnikowi nóż w brzuch. Obrócił ostrze w ranie, wyrwał je i odepchnął trupa.

– Nie wszędzie da się zarobić – burknął do konającego.

Ten nie odpowiedział, gdyż jego oczy już zaszkliła nadchodząca śmierć.

Bitwa dookoła dogasała. Kadoshim, którzy oddzielili się od straży przybocznej Gundula, padli w boju, choć zdążyli odebrać życie wielu ludziom Krelisa. Inni nadal walczyli z niedobitkami armii Carnutanu, którzy postanowili drogo sprzedać swe życie. Maquin rozejrzał się w poszukiwaniu Jaela.

Wiem przynajmniej, w którym kierunku uciekł, pomyślał.

Spojrzał ponad namiotami na trakt, który wcinał się w las Forn.

To najszybsza droga.

Alcyon i Raina dźwigali swego syna z ziemi. Maquin podszedł bliżej, odzyskując po drodze swe miecze. Kończyny młodego olbrzyma zwisały bezwładnie, a na jego skroni nabrzmiewała opuchlizna, ale wyglądało na to, że nie odniósł żadnych poważniejszych obrażeń.

– Przeżyje – powiedział Maquin. – Dziękuję, że podążyliście za mną.

Alcyon wzruszył ramionami.

– Raina opowiadała mi o tobie. Wiem, co zrobiłeś dla niej i Taina.

Maquin nie wiedział, co odpowiedzieć. Przeniósł wzrok na wojowników, których miał pod rozkazami, i uświadomił sobie, że na widok Jaela zapomniał dosłownie o wszystkim.

– Co z Albenem? – zapytał.

– Jest na wzgórzu i czeka na Krelisa – rzekł olbrzym.

– Tu jestem! – wykrzyknął sam Krelis, który wyłonił się spomiędzy namiotów, zbryzgany krwią, ale uśmiechnięty. – Przypomnij mi, bym cię dobrze wysłuchał, gdy znów ułożysz jakiś plan – zwrócił się do Maquina.

– Mój plan nie został jeszcze zrealizowany – rzekł Maquin. – Wszak Gundul nadal żyje.

– No właśnie! Gdzie jest ten zasmarkany dupek? Alben kazał go związać?

– Nie – burknął Maquin. – Uciekł z kilkoma tuzinami Kadoshim. Tędy! – Wskazał kierunek.

– To czemu stoimy i kłapiemy szczękami?

– Dokładnie to samo sobie pomyślałem.

Krelis szarpnął się za brodę i zmrużył oczy, spoglądając tam, gdzie umknął Gundul.

– Trzeba przekazać Albenowi, by ruszył w ślad za nami – zwrócił się do Maquina. – W walce z tymi przekłętymi Kadoshim przyda się dosłownie każdy miecz.

– Wyślij kogoś innego. – Maquin już szedł w tym kierunku. – Ja ruszam w ślad za Gundulem.

I Jaelem, dodał w myślach.

Rozdział piętnasty

VERADIS

– Mur tarcz! – krzyknął Veradis i sam uniósł pożyczoną osłonę. W odpowiedzi na rozkaz ze wszystkich stron kolejno dobiegł stukot zwierających się brzegów. Wojownik skrzywił się lekko, przyzwyczajony do rumoru tarcz jednocześnie wznoszonych przez cały szereg.

Ci ludzie to nie moje Kły Draiga, pomyślał i zdusił przekleństwo. To nie weterani dziesiątek bitew w murze tarcz. Choć powinienem się cieszyć, że w ogóle tu są.

Gdy przedstawił bratu pomysł wykorzystania muru tarcz do oczyszczenia drogi, Krelis skrzywił się z niesmakiem. Nigdy nie przepadał za ideą wykorzystywania zbrojnych w tej formacji. W jego odczuciu było to niehonorowe.

„Ale sprawdza się i oszczędzi nam strat!” – przekonywał go Veradis, choć w tej samej chwili usłyszał w głowie echo podobnych słów Nathaira.

„Twoim zadaniem jest oczyszczenie i utrzymanie drogi” – powiedział Alben, który stanął między dwoma braćmi. – „A to, jak tego dokonasz, Veradisie, zależy tylko i wyłącznie od ciebie. Ważne, byś pilnował naszych tyłów, bo posiłki nadejdą bez wątpienia.

Krelis nie powiedział już ani słowa i wkrótce przystąpili do działania. Krelis z główną siłą natarł na obóz, Alben i Maquin poprowadzili dwie mniejsze grupy z innych kierunków, a Veradis na czele rezerw stanął na trasie, by zatrzymać nieunikniony kontratak.

Jak dotąd plan rozwijał się bez przeszkód. Atak z zaskoczenia okazał się tak brutalny, że wróg nie zdołał stawić skutecznego oporu i został bez trudu rozbity i rozproszony.

To niezwykle, ile może zdziałać niewielki, zdeterminowany oddział przeciwko większej, ale nieprzygotowanej sile, pomyślał Veradis.

Nabrał tchu. Wiedział, że walka nadciąga również w jego kierunku i próbował uspokoić gniew, który wzbierał w jego sercu. Nie czuł niczego poza gniewem. Był wściekły na Calidusa za sieć kłamstw i oszustw, które utkał, i za to, co zrobił z Nathairem, ale o wiele większą furję budził w nim jego stary przyjaciel.

Nathairze, jak mogłeś uwierzyć Calidusowi?, zastanawiał się. Dlaczego nie sprzeciwiłeś się mu? Dlaczego wcześniej ze mną nie porozmawiałeś? Przecież mogliśmy stawić mu czoła we dwóch!

Najbardziej jednak wściekał się na siebie.

Jestem głupcem. Jak to możliwe, że nie zwróciłem uwagi na to, co się dzieje wokół mnie? Mówiono o mnie, że jestem lojalny. Nazywano mnie godnym zaufania. Szkoda, że zasługuję głównie na miano ślepego głupca.

W ślad za tymi myślami pojawiła się kolejna.

Uspokój się. Skup się. Czeka cię bitwa.

Zebrał swoje dwie setki na nasypie przy północno-wschodnim skraju obozu, w miejscu, gdzie droga wnikała w las. Z tego punktu widział, jak Krelis, Alben i Maquin wdzierają się do obozowiska Carnutanu. Patrzył, jak niepowstrzymani brną w kierunku wzgórza, na którym wznosił się namiot królewski, znacząc swój szlak pożarami i kłębam dymu. Dostrzegł poruszenie na wzniesieniu. Miał wrażenie, że doszło tam do walki, ale z tej odległości nie był w stanie dostrzec żadnych szczegółów.

Wkrótce płomienie i dym stały się tak gęste, że nie widział już niczego, ale i tak musiał teraz skupić uwagę na czymś innym. Po lewej stronie, wśród drzew lasu Forn, zbliżali się jacyś ludzie. Veradis dostrzegł grupę wojowników w kolczugach i skórzanych pancerzach, którzy prowadzili o wiele liczniejszą horde. Oddział wylewał się właśnie na trakt.

Przynajmniej tysiąc zbrojnych...

Tarcze po obu stronach Veradisa wreszcie zwały się z jego własną. Poczł pokusę, by wydać rozkaz do marszu, bo wiedział, że widok muru tarcz, zmierzającego w stronę większego wroga zawsze wywoływał w obcych szeregach zwątpienie i siał ziarno niepokoju, ale nie był pewny swoich nowych podwładnych. Samo uformowanie szyku okazało się dla nich sporym wyzwaniem. Zerknął na sąsiada po prawej, którym był młodzieniec z rzadką, nikłą brodą.

Znam go, uświadomił sobie. To Balen, ledwie kilka lat młodszy ode mnie. Trenowaliśmy razem.

Veradis czuł się starszy, niż sugerowałby jego wiek. Wiedział, że podróże oraz bitwy w murze tarcz obdarzyły go doświadczeniem, którego większość towarzyszy mogłaby mu tylko pozazdrościć.

Nie mogę się na razie wiele po nich spodziewać, myślał. Umieją to, co umieją, tylko dlatego, że Nathair rozkazał przeszkolić wszystkich tenebralskich wojowników do walki w murze tarcz, ale to powinno wystarczyć. Marsz na wroga sobie daruję. Zaczekamy na nich tutaj. Zablokujemy im drogę na obóz, by musieli się przez nas przebijać, chcąc uderzyć na flankę Krelisa.

Spojrzał na otaczających go ludzi, skupionych, poważnych i oddanych, choć oddalonych o tysiące mil od domu, a jego gniew zaczął z wolna ustępować współczuciu i poczuciu odpowiedzialności.

– Balenie, posłuchaj mnie – rzekł do młodzieńca, który spojrzał na niego. W jego oczach widniał lęk. – Rób, co mówię, a damy sobie radę.

Młodzieniec pokiwał głową i odwrócił wzrok.

W miarę, jak wróg się zbliżał, stojący w szeregu wojownicy zaczęli wykrzykiwać obelgi i wyzwania.

– Jeśli się przez nas przebiją, uderzą prosto na naszych braci i towarzyszy broni! – zawołał Veradis. Czł, jak krew zaczyna krążyć żywiej w jego ciele, a lęk i podniecenie zlewały się w ożywienie, które zawsze rozciągało nad nim władzę przed bitwą. – Pamiętajcie swe przysięgi! I strzeżcie tych, którzy walczą obok was.

Miał wrażenie, że Balen się wyprostował.

Nie dysponowali doświadczeniem, ale nadciągający wojownicy Gundula nie mieli o tym pojęcia. Żaden z nich nigdy nie widział takiej formacji. Veradis dostrzegł, jak pierwsze szeregi zwalniają. Byli już na tyle blisko, że mógł dostrzec na obliczach wojowników niepokój i niedowierzenie.

Wojownicy to przesądna banda, powiedział sobie. Zawsze lękają się nieznanego.

– Miecze! – wykrzyknął i dobył swego ostrza.

Zewsząd dobiegł go świst żelaznych kling, wysuwających się ze skórzanych pochew, a sam zaczął rytmicznie uderzać ręką o deski tarczy. Sąsiedzi szybko podjęli rytm, który poniósł się wzdłuż szeregu i objął cały oddział, liczący dwie setki ludzi. Zauważył, że wywarło to zamierzony efekt na nadciągających wojownikach – niektórzy się zawahali, inni zwalniali, a wątpliwości rozsnuły się po całej drużynie niczym mgła.

Wtedy wysforował przed nich ogromny mąż w kolczudze i żelaznym hełmie. Wzniósł wysoko miecz, wydał z siebie dziki ryk i runął na mur tarcz. Za nim skoczyli pierwsi śmiałkowie, którzy pociągnęli za sobą kolejnych – głównie wojowników z centrum oddziału, a po nich myśliwych i robotników, którzy zgromadzili się na flankach formacji. Wrzaski żądnych krwi Carnutańczyków niosły się pod niebo.

– Gotuj się! – ryknął Veradis. Rozstawił szeroko stopy i pochylił się nieco, napinając mięśnie ramion, gotów na przyjęcie impetu uderzenia. Jego żołądek ścisnął strach, jak zawsze w chwilach, gdy bitwa była już nieunikniona, ale nie padł jeszcze pierwszy cios.

Uderzenie serca później na jego tarczę wpadli pierwsi ludzie. Wstrząsy spadających na nią ciosów rozchodziły się po jego nadgarstku, ramionach i barkach. Mięśnie i ścięgna zeszywniały, ale strach znikł. Nad tarczą pojawiła się jakaś twarz, wykrzywiona we wściekłym grymasie.

– Teraz! – ryknął Veradis i pchnął krótkim mieczem w szparę między swoją tarczą, a tarczą Balena. Pozostali wojownicy z Ripy poszli w jego ślady.

Veradis czuł, jak jego miecz wgryza się w czyjeś ciało. Wyciągnięte ostrze było czerwone od krwi, ale pchnął ponownie. Twarz nad krawędzią tarczy znikła, ale pojawiła się po niej kolejna. Veradis znów dźgnął. Ostrze ześlizgnęło się po kolczudze, ale on nie poddawał się. Pchnął ponownie, tym razem niżej, aż usłyszał wrzask. Nie ustawał, pchał raz za razem, rytmicznie, równo, nie tak chaotycznie jak Balen obok niego.

– Spokojnie! – warknął do młodzieńca. – Oni nigdzie się nie wybierają!

Balen zerknął na niego szeroko otwartymi oczami, ale w jego ruchach zagościł większy spokój.

Mężczyźni padali, po ostrzu Veradisa spływała krew, mocząc mu dłoni. Mięśnie i ścięgna płonęły bólem, a nieprzerwana ulewa ciosów na tarczę zmuszała jego ciało do skrajnego wysiłku. Napór nie ustawał – niektórzy z przeciwników rzucali się na mur całym ciężarem ciała, innych wpychali nań wojownicy nadciągający z tyłu, miażdżący niczym fala przyboju.

Ktoś zacisnął palce na krawędzi tarczy i szarpnął. Veradis ujrzał jakiegoś myśliwego, a za nim skraj lasu i drogę. Bez wahania rąbnął go po dłoni i usłyszał wrzask, gdy odcięte palce wystrzeliły w powietrze. Napór powoli słabł – napastnicy nadal uderzali w ich tarcze, ale nieubłagany nacisk nikł.

Już prawie koniec, uświadomił sobie Veradis. Rozpoznał ów moment, kiedy gaśnie furia bitewna, a do świadomości przeciwników dochodzi, jaką rzeź udało im się przeżyć. Widział go już nieraz i wiedział, że ziemia dookoła będzie zasłana trupami, a bezosobowa brutalność muru tarcz skruszy ducha bojowego w napastnikach.

Teraz trzeba atakować! Musimy ich roznieść!

– Naprzód! – wrzasnął Veradis.

Trącił Balena, by zwrócić jego uwagę, po czym raz jeszcze wykrzyknął rozkaz i zrobił krok naprzód.

Przez moment myślał, że jest sam, że wyszedł z szeregu na pewną śmierć, ale Balen ruszył za nim, a uderzenie serca później wojownik po lewej i mur tarcz wykonał nierówny, rozchwiany krok. Veradis

potknął się o jakieś ciało, ale zdołał zachować równowagę, choć ziemia była mokra od krwi. Tu i ówdzie nadal trwała walka i szereg zachwiał się w kilku miejscach. Veradisowi przeszło przez myśl, że mur zaraz pęknie i rozpadnie się, ale ten znieruchomiał i okrzepł. Młodzieniec poczuł, jak powraca jego siła i solidność.

Rozstawił stopy i dźgnął przez szczelinę między tarczami. Jego miecz znów natrafił na czyjeś ciało. Wzdłuż szeregu poniosły się wrzaski innych rannych.

To działa!

– Naprzód! – wykrzyknął, ale tym razem nie wahał się ze zrobieniem kolejnego kroku.

Mur tarcz zadygotał i ruszył naprzód. Miecze znów wystrzeliły, padły kolejne ciała.

– Marsz! – wrzasnął ochrypłym głosem Veradis. Walił mieczem o tarczę, by podyktować reszcie zbrojnych równy rytm i czuł, jak cały mur tarcz przemieszcza się wraz z nim. Niektórzy z ludzi idących z tyłu również uderzali o tarcze, by wzmocnić rytm, a pierwszy szereg parł naprzód i dźgał.

W porównaniu do karnych szeregów, które prowadził do boju, hufiec z Ripy wydawał się dzikim motłochem, ale mimo to Veradis uśmiechał się z radości na widok padających wrogów. Miał wrażenie, że są niepokonani i niepowstrzymani.

Naraz wszelki napór znikł, a przeciwnik rzucił się do bezwładnej ucieczki. Veradis zatrzymał oddział, który znieruchomiał nierówno. Wówczas opuścił swą tarczę.

Wszędzie dookoła leżały ciała. Przed nimi wznosiły się drzewa, za ich plecami płonął obóz. Po drodze gnały niewyraźne niedobitki Carnutańczyków, z których niektórzy nikli już w lesie po obu stronach nasypu.

Drugi raz nie rzucą nam wyzwania, pomyślał Veradis.

Zalała go ulga.

Rozbiliśmy ich. Zwyciężyliśmy.

Dobrze wiedzieli, że największe zagrożenie czyhało ze strony wojowników i robotników, którzy znajdowali się daleko od obozu. Ci bowiem mieli czas, by się skrzyknąć i przeprowadzić

zdyscyplinowany kontratak w przeciwieństwie do reszty, zaskoczony w obozie.

Veradis spojrzął na Balena, który uśmiechał się szeroko. Cieszył się, że uszedł z życiem, cieszył się ze zwycięstwa. Podobne uśmiechy widniały na obliczach pozostałych.

Wtedy rozległy się ostrzegawcze okrzyki, a potem wrzaski pierwszych ginących. Veradis odwrócił się i rozejrzał.

Od tyłu nadciągało nowe zagrożenie.

Z obozu wyłoniła się zwarta grupa wojowników w czarnych kolczugach, uzbrojonych w zakrzywione miecze.

Kadoshim...

Wbiegali na nasyp i wdzierali się na tył oraz flanki muru tarcz. Było ich dwudziestu, czterdziestu, sześćdziesięciu, a spoza namiotów wciąż wybiegali kolejni. Kilkunastu formowało krąg wokół grupki ludzi.

Gundul i jego gwardia honorowa, pomyślał Veradis. Nie można pozwolić mu uciec...

Ruszył ku Kadoshim. Chciał rzucić rozkaz do odtworzenia muru, ale wiedział, że to na nic. Zwarta formacja nadawała się do walki z ludźmi, a nie z demonami.

Trzeba ścinać im łby, pomyślał. Mur tarcz nic tu nie da.

Widział, jak jego wojownicy w pośpiechu zwierają tarcze, chcąc powrócić do strategii, która tak dobrze im służyła, ale kilku Kadoshim skoczyło na pośpiesznie formowany mur i rozerwało go z dziką furją. Ich miecze wznosiły się i opadały, siejąc śmierć.

Moi ludzie giną. Kadoshim wyrzynają mi ludzi!

Veradis zerwał się do biegu i rzucił się na wroga.

Rozdział szesnasty

JAEL

Jael biegł przez obozowisko. Z każdym krokiem ból połamanych żeber eksplodował na nowo, choć próbował jakoś załagodzić dolegliwość oddechem.

Choć nie zdaje mi się, by to pomagało, pomyślał.

Krew ciekąca z rany na czole nadal zalewała mu oczy, a rany, które ostrze Maquina pozostawiło na jego nodze i przedramieniu, płonęły, jakby je wypalono.

Zaskoczył mnie, powtarzał sobie Jael. Zaatakował, nim byłem gotów.

Zaryzykował rzut oka przez ramię i z ulgą przekonał się, że nie goni za nim żaden szaleniec uzbrojony w arsenał noży. Nie widział zresztą nikogo ani za, ani przed sobą. Miał wrażenie, że pozostał sam jak palec w świecie namiotów, dymu, ognia i odległych wrzasków.

Nie widział Maquina od chwili, gdy ten toczył się po ziemi, zwarty w walce z Dagiem.

Chyba naprawdę żywi do mnie urazę, pomyślał. A ja najchętniej obyłbym się teraz bez niego.

A Dag?

Czy to możliwe, że Dag zabił Maquina?

Chciał w to wierzyć, ale nie był przekonany. Wstrząsnęła nim łatwość, z jaką Maquin pogruchotał mu żebra.

Jak to możliwe, że on się tak szybko poruszał?, zastanawiał się. Na pewno dopisało mu szczęście i tyle. Przecież to stary, rozbity dziad!

Gdzieś po lewej usłyszał wrzaski, więc skręcił w prawo, obierając nową drogę wśród porzuconych namiotów i obozowych ogni.

Walk to ja już wolę unikać, stwierdził w myślach.

Przed nim zamajaczyły drzewa Fornu, które pochylały się nad skrajem obozowiska niczym plemię ponurych ogrów.

Prawie wydostałem się z tej przeklętej dziury, uświadomił sobie. Nawet jeśli Maquin wciąż dycha, nigdy już mnie nie znajdzie. Muszę odnaleźć moich ludzi! Trzysta mieczy czeka na mnie pół mili stąd wzdłuż przeklętej drogi Gundula...

Znów usłyszał zgiełk bitwy i uświadomił sobie, że zmierza prosto ku niemu. Tym razem nie skręcił, gdyż walka toczyła się dokładnie w miejscu, do którego zdążał.

Moi ludzie czekają gdzieś tam, a bez nich nie wydostanę się z Fornu, pomyślał, zacisnął zęby i dalej biegł przed siebie.

Gdy wyłonił się spośród namiotów, ujrzał przed sobą scenę rzezi.

Na drodze toczyły się zawzięte zmagania. Liczebną przewagę mieli wojownicy w czerni i srebrze, ale ku radosnemu zaskoczeniu Jaela w ich szeregi wdarli się Jehar. Tenebralczyki nadal zagradzali drogę ucieczki, ale Jehar usiłował się przebić. Na oczach władcy Isiltiru jeden z nich pochwycił jakiegoś wojownika, uniósł go w powietrze i zrzucił z nasypu.

Może zdołam się jakoś prześlizgnąć przez ten chaos, pomyślał Jael, a wtedy ujrzał Gundula. Młody król Carnutanu stał na drodze, z dala od bitwy, otoczony przez swoich pochlebców, których liczba najwyraźniej się skurczyła. Wciąż towarzyszyło mu około tuzina Jehar, podczas gdy reszta gwardii honorowej próbowała przebić się przez wroga. Z tego, co Jael widział, nie szło im źle.

Trzymać się Gundula czy próbować się przemknąć?, zastanowił się.

Jakiś wojownik w czerni i srebrze przeleciał w powietrzu tuż obok niego. Uderzył w ziemię i stoczył się po nasypie, pociągając za sobą namiot.

Jael dotarł do drogi i próbował teraz okrążyć bitwę, która rozpadła się na wiele brutalnych potyczek. Biegając, odniósł

wrażenie, że wróg zaczyna się przegrupowywać. Jakiś wojownik poprowadził natarcie, po którym ku niebu buchnęły dwie przerażające czarne chmurki.

– Niech was szlag! – mruknął Jael. – Macie się rozproszyć! Macie ulec, a nie zbierać się do walki!

– Jael! – wrzasnął ktoś.

Przez krótką, przerażającą chwilę był przekonany, że to Maquin go dogonił. Odwrócił głowę i ujrzał Gundula, który machał do niego gwałtownie ze środka kręgu utworzonego przez swoich obrońców.

– Jael, chodź tu! – wołał.

Władca Isiltiru pośpiesznie rozważył swe opcje i szybko doszedł do wniosku, że będzie o wiele bezpieczniejszy wśród kręgu Jehar. Kuszykając, podbiegł do Gundula, a jeden z czarnych wojowników zszedł mu z drogi, by go przepuścić.

– Cieszę się, że udało ci się przeżyć! – rzekł Gundul. – Mówiłeś coś o trzech setkach ludzi! Gdzie oni są?

Przez moment Jael nie rozumiał, o czym mówi Carnutańczyk, aż uświadomił sobie, że chodzi mu o resztki jego hufca, czekające dalej przy drodze.

A więc nie jest aż takim idiotą, pomyślał.

– Tędy! – Wskazał ciemny tunel drogi, ziejący w oddali za walczącymi.

– Dobrze! Tędy bliżej do Drassil, a kilka setek mieczy zawsze się przyda – oznajmił Gundul, po czym spojrzał na spowity dymami obóz i setki trupów. – Spójrz tylko na to, co oni zrobili! – zaszlochał z twarzą wykrzywioną rozpaczą. – Zniszczyli moje obozowisko! Zmiażdżyli mój hufiec!

Módl się, żeby tobie nie przypadł podobny los, ty mażąca się, mała glisto, pomyślał Jael. A także, co ważniejsze, mnie!

– Ruszajmy! – mruknął. Nie podobało mu się to, że stali w miejscu. Świadomość, że gdzieś tam czai się Maquin, wisiała niczym czarna chmura z tyłu jego głowy, nieustannie go prześladować.

– Tak! Naprzód! – krzyknął Gundul.

Jeden z Jehar spojrzał na niego czarnymi oczami, a potem wzruszył ramionami i poprowadził ich niewielką grupę po trakcie.

Pozostali Jehar, których przy Gundulu zostało co najwyżej tuzin, utworzyło wokół nich ciasny półkrąg.

Wtedy coś uderzyło w ich oddział od lewej strony, roztrzając ludzi. Jehar błyskawicznie odwrócili się ku nowemu zagrożeniu. Jael wpadł na któregoś ze stronników Gundula i przewrócił go na ziemię, ale sam zdołał zachować równowagę.

Zostali zaatakowani przez grupę wojowników w czerni i srebrze, który zwarli tarcze i utworzyli ludzki taran. Na oczach Jaela pomiędzy tarcz wystrzeliły krótkie miecze. Dwóch dworzan Gundula padło, przebitych wielokrotnie, a sam król Carnutanu wrzeszczał przeraźliwie, wymachując nieskładnie mieczem. Ostrza napastników wbiły się też w ciało któregoś z Jehar, ale ten nie zwrócił na to nawet uwagi, złapał za krawędź tarczy, pociągnął kryjącego się za nią wojownika i zaczął rąbać go mieczem w kark. Nad ciałem ofiary zawisła czerwona chmurka.

Niewielki mur tarcz rozpadł się na serię tradycyjnych pojedynków jeden na jednego.

Kiepska strategia w walce z Jehar, pomyślał Jael.

Cofnął się i skrył za plecami kilku pochlebców Gundula.

Nie boję się walki, ale...

Nakrył dłonią pulsujące bólem żebra i zerknął na krew schnącą mu na udzie.

Pierwszego z Jehar zaatakował wojownik w czarno-srebrnym napierśniku dowódcy. Dźgnął go w udo i rąbnął umbem tarczy w twarz, czym zmusił potwora, by cofnął się o krok. Było w nim coś znajomego...

Widziałem już tego człowieka, uświadomił sobie Jael.

Jehar zatoczył się. Z jego złamanego nosa ściekały krople czarnej krwi, a oblicze wykrzywił grymas furii, gdy rzucił się do kontrataku jak taran. Wojownik cofnął się, potknął o jakiegoś trupa i runął na ziemię. Jehar wznosił zakrzywiony miecz do ostatecznego ciosu.

Wtem wyrosła kolejna postać, która dźgnęła demona włócznią w gardło.

To kobieta, uświadomił sobie Jael.

Miała na sobie skórzany przyodziewek podróżny oraz drogie futra, a czarne włosy mocno związała z tyłu. Wyszarpnęła włócznię, a w tej samej chwili wokół niej pojawili się wojownicy, którzy zaczęli rąbać rannego Jehar, aż ten padł na ziemię. Któryś cios odrąbał mu głowę i uwolnił czarną mgiełkę. W powietrzu pojawiła się sycząca z wściekłości istota z czarnymi skrzydłami i czerwonymi ślepiami, natychmiast rozwiana przez wiatr.

Nie cierpię na to patrzeć, pomyślał Jael.

Gundul wyrzaskiwał rozkazy do ataku, ale nikt go nie słuchał. Większość z jego stronników już uciekała w różne strony. Na oczach Jaela któryś z Jehar pochwycił króla Carnutanu za kark i powłókł go przez tłum walczących, a trzech czy czterech innych wyrąbywało im drogę. Gundul protestował, ale Jehar nie zwracali na to uwagi. Jael pokuszył się w ślad za nimi, wciąż przekonany, że towarzystwo Jehar to najlepszy sposób na wydostanie się z matni.

Kolejni wojownicy w czerni i srebrze uderzyli na ich obrońców. Jael z grymasem na twarzy wyciągnął nóż i miecz z pasa.

Lepszy ból niż śmierć, stwierdził.

Rąbnął jednego z przeciwników w głowę i wgiął mu hełm, uwalniając eksplozję bólu swych połamanych żeber. Innego ciął nożem, otwierając długą, czerwoną ranę, ale wojownik uskoczył, nim Jael zdążył go dobić. Wsparł więc Jehar i rąbał, ciął i tłukł w nadziei, że kiedyś zdołają się wyrwać z tłumy walczących. Gdzieś po lewej nadal widział kobietę, która walczyła włócznią, otoczona przez wiernych przybocznych. Naraz uświadomił sobie, że widział ją na wielkiej naradzie u króla Aquilusa w Jerolin i aż zamrugał, zaskoczony.

To Fidele! Żona Aquilusa!, uświadomił sobie. Nie, wdowa po nim. Matka Nathaira. Co ona tu robi? Walczy przeciwko sojusznikom syna?

Stęknął, nachylając się pod ciosem wymierzonym w jego głowę. Rąbnął przeciwnika w kostkę i znów zerknął na Fidele.

Byłaby z niej znakomita zakładniczka, pomyślał. Zdołałbym dzięki niej wyrwać się stąd i wręczyłbym wspaniały prezent Nathairowi.

Może odzyskałbym w ten sposób choć częściowo jego zaufanie po klęsce, w jaką przerodziła się ta kampania.

Przebili się już niemalże przez ścisk walczących i Jael widział przed sobą pustą drogę, na której toczyło się jeszcze kilka pomniejszych starć. Dalej ciągnął się półmrok lasu Forn, kuszący, wabiący, obiecujący bezpieczeństwo.

Kolejne okrzyki bojowe przyciągnęły jego uwagę. Któryś z Jehar padł na kolano. Spróbował się podnieść, ale przypadł do niego wojownik uzbrojony w miecz, który wzniósł oręż i celnym cięciem odrąbał Kadoshim głowę. Z rany buchnęła czarna mgła.

Jehar wlokący Gundula wypuścił go. Doskoczył do napastnika i ciął z góry, a zabójca jego towarzysza cofnął się z potworną raną, ciągnącą się od czoła po podbródek. Gundul potknął się, padł na ziemię obok Jaela i złapał go za but.

– Pomóż mi! – wrzasnął. Próbował się wspiąć po nodze Jaela, by znów się podnieść, ale ten uśmiechnął się drwiąco. Nie zapomniał o szyderstwach, których Gundul nie szczędził mu w swym namiocie.

Nie potrzebuję już ani ciebie, ani twoich koni, pomyślał.

Dźgnął wrzeszczącego Gundula prosto w usta, miażdżąc mu zęby i wpychając mu ostrze głęboko w miękkie gardło. Uwolnił broń i porzucił króla Carnutanu na ziemi, błagającego o życie.

Podniósł głowę i uświadomił sobie, że w trakcie walki znalazł się blisko kobiety, którą w istocie była Fidele.

Wreszcie los ponownie się do mnie uśmiechnął, powiedział sobie. I ruszył ku niej.

Rozdział siedemnasty

MAQUIN

Maquin wypadł spomiędzy rzędów namiotów na nasyp. Mroczna gęstwina lasu Forn majaczyła tuż nieopodal, a ciągnąca się po nasypie droga Gundula wnikała w sam środek puszczy. W tej chwili na trakcie toczyła się zawzięta walka, której odgłosy dochodziły do wojownika.

Gdzie on jest? Gdzie się podział Jael?, zastanawiał się.

Gdy biegł przez spustoszony obóz, przez jego umysł przemykały kolejne wspomnienia – lat, które spędził u boku Kastella jako jego zaprzysiężony przyboczny, ich przyjaźni, lojalności i oddania. Wszystko jednakże przyćmiło wspomnienie chwili, w której Jael wraził miecz w brzuch Kastella. Umysł Maquina odgrywał tych kilka chwil raz za razem, aż cały świat wypełniły wściekłość oraz ból złamanego serca.

Gdzie on jest? Przecież pobiegł tą drogą! Wiem o tym!

Maquin żył w Fornie wraz z Gadrai i nauczył się wiele o lesie. Co więcej, Jaela wcale nie było trudno wytropić. Pozostawiał przecież za sobą ślady krwi.

Ale gdzie był teraz? Dokąd się udał?

Maquin uklęknął w trawie i zaczął muskać palcami źdźbła, aż odkrył na opuszkach coś lepkiego.

To krew!

Kolejną plamkę zauważył kawałek drogi dalej w kierunku nasypu.

Przez jego oblicze przemknęło coś, co było jednocześnie wściekłym grymasem, jak i uśmiechem, po czym zerwał się i popędził w górę zbocza. Tutaj bitwa właściwie dobiegała już końca. Wszędzie na ziemi zalegali polegli bądź konający, zewsząd dobiegały wrzaski, jęki i szlochy. Niektórzy ranni sapali chrapliwie, inni siedzieli i wpatrywali się w dłonie zalane krwią.

Walka toczyła się dalej na trakcie, nad którym drzewa Fornu tworzyły ciemny tunel. Maquin dostrzegł Kadoshim w ciemnych kolczugach miotających się wśród wojowników tylnej straży Veradisa, ale jego uwagę przyciągnęła postać, która przemykała za plecami walczących. Znikła, po czym znów się pojawiła na mgnienie oka, ale Maquinowi to wystarczyło. Rozpoznał go.

Jael.

Rzucił się do biegu, przeskakując nad trupami. Jego miecz z sykiem wysunął się z pochwy na plecach, w drugiej dłoni pojawił się nóż. Nie spuszczał Jaela z oczu.

Za sobą słyszał tupot wielu stóp, w tym dudnienie buciorów Alcyona. Wśród walczących dostrzegł Veradisa, który wraz z garstką ludzi osaczył jakiegoś Kadoshim niczym wataha ogarów rozwścieczonego niedźwiedzia, ale nie przyglądał się im specjalnie. Był bowiem blisko Jaela, tak blisko, że widział już jego oczy i rozcięcie na czaszce. Uzurpator przecinał starcie po przekątnej, a Maquin podążał za nim. Mknął niczym upiór przez pole walki, unikał ciosów, przeskakiwał nad nimi, schodził im z drogi, ale nie zwalniał ani na moment. Ledwie zarejestrował chóralny okrzyk bojowy, wzmocniony basem Alcyona. Był blisko.

Gdy od Jaela dzieliło go zaledwie kilkanaście kroków, stracił go na moment z oczu. Usłyszał zgrzytliwy szcęk oręża, stęknienie i łoskot padającego ciała, a po nim wysoki wrzask. Kobięcy wrzask.

Nie. Drogi Elyonie, tylko nie to...

Znał ten głos. Rozpoznałby go wszędzie.

Fidele.

Odepchnął jakiegoś mężczyznę z Ripy i wpadł między walczących kilkanaście kroków dalej. Ujrzał zabitego wojownika oraz kilku innych, którzy stali i celowali mieczami oraz włóczniami w postać na drodze.

Był to Jael.

Stał twarzą zwrócony w stronę Maquina i otaczał szyję Fidele jednym ramieniem. W prawej dłoni trzymał miecz, który przytykał do jej gardła, a w drugiej trzymał nóż przyciśnięty do jej żeber.

– Ruszcie za mną, a ona zginie – powiedział spokojnym głosem i cofnął się, pociągając Fidele za sobą. Ta dostrzegła Maquina wyłaniającego się z tłumu zbrojnych, a ich spojrzenia spotkały się. Nie wydawała się przestraszona, a raczej wściekła.

Och, dobrze wiem, co czuje, pomyślał Maquin.

Jakiś wojownik obok niego zrobił krok naprzód. Dłoń Jaela drgnęła, a po szyi Fidele pociekła strużka krwi. Sam Maquin złapał wojownika za koszulę i zatrzymał go w miejscu.

– O, tak lepiej! – Usta Jaela wykrzywił uśmiech.

Och, jakże Maquin nienawidził tego uśmiechu...

– Odejdę teraz – mówił dalej uzurpator. – Nie bójcie się. Nie skrzywdzę tej damy. Wiem, kim ona jest. To Fidele z Tenebralu. Będzie przy mnie bezpieczna, ale nie puszcę jej wolno, a jeśli ktokolwiek z was ruszy za mną...

Szturchnął Fidele w żebra nożem, czym wywołał grymas na jej twarzy. Kobieta wciąż wpatrywała się w Maquina.

– Zaufaj mi – szepnął Stary Wilk i wyszedł przed szereg.

Mięśnie ramienia, w którym Jael trzymał miecz, napięły się. Rozpoznał wojownika i zamarł.

– I znowu ty? – westchnął. – Czy ty kiedykolwiek się poddajesz?

Maquin zrobił kolejny krok.

– Chcesz być odpowiedzialny za śmierć Fidele, pani Tenebralu? – warknął Jael, który podjął powolne wycofywanie się po drodze.

– Zabij ją – warknął Maquin i zrobił kolejny krok naprzód. Wpatrywał się w oczy Jaela.

– Cofnij się! – Głos uzurpatora stał się wyższy. – Albo ona zginie!

– Nie słyszałeś mnie? – Maquin nie zatrzymywał się. – Zabij ją. Nie obchodzi mnie jej życie. Obchodzisz mnie tylko ty, a właśnie nadeszła chwila twojej śmierci. Zginiesz bez względu na to, co zrobisz. Nic tego nie zmieni.

Szedł dalej, zmniejszając dystans. Jael zatoczył się do tyłu, pociągając Fidele za sobą.

– Oszalałeś? To matka Nathaira! Pierwsza dama Tenebralu! Jej hufiec stoi za tobą! Skrzywdź ją, a cię wypatroszą!

Maquin wzruszył ramionami.

– Kiedy już zginiesz, mogą zrobić ze mną, co im się żywnie podoba.

– Stój! – wrzasnął Jael i uniósł nóż.

Maquin zatrzymał się.

– Mam dla ciebie propozycję – rzekł, po czym powoli ugiął kolana i ułożył miecz oraz nóż na ziemi.

– Propozycję?

– Tak. – Maquin wyciągnął drugi miecz, a potem pozostałe noże, które dołączyły do tych na ziemi. – Wypuść ją i stocz ze mną walkę. Ja będę bez broni, a ty możesz zatrzymać nóż i miecz.

Wyprostował się, uniósł ręce i ruszył do przodu.

– Oszalałeś – parsknął Jael. Oderwał wzrok od Maquina i spojrzał na stertę broni na ziemi.

– Może. – Maquin wzruszył ramionami. – Zamordowałeś mojego podopiecznego i przyjaciela. Kastell był dla mnie niczym syn. Zabiję cię za to, nawet gdybym miał to zrobić gołymi rękami.

W oczach Jaela widział niezdecydowanie. Nie miał wątpliwości, że odczuwa pokusę, bo czemu by nie? Wszak był świetnym szermierzem, a z mieczem i nożem miał zdecydowaną przewagę nad nieuzbrojonym przeciwnikiem.

– Masz jeszcze gdzieś jakieś noże?

– Nie. – Maquin pokręcił głową. – Boisz się tej walki, prawda?

Jael parsknął, ale przestał się cofać.

– Boisz się – powtórzył głośniejszym głosem Maquin. – Jesteś więc nie tylko mordercą i uzurpatorem, ale także tchórzem.

Jael zmrużył oczy. Naraz podniósł rękę z mieczem, by uderzyć Fidele ręką w tył głowy. W tej samej chwili kobieta nadepnęła mu na stopę i wbiła łokieć w żebra, po czym odwróciła się błyskawicznie i rąbnęła go kolaniem w krocze. Jael zachwiał się, a Fidele odskoczyła od niego.

– Ty suko! – warknął Jael i ruszył za nią, ale utracił już wszelką zwinność, a Maquin błyskawicznie zasłonił Fidele własnym ciałem.

– Uciekaj! – szepnął i ścisnął dłoń ukochanej. Miał wrażenie, że za jego plecami zapadła cisza. – Uciekaj! – powtórzył głośniejszym głosem, bardziej stanowczo i usłyszał, jak Fidele cofa się o kilkanaście kroków.

Jael zatrzymał się i spojrzał na puste dłonie Maquina.

– Naprawdę nie masz żadnej innej broni? – spytał i uśmiechnął się kpiąco. – Rzeczywiście jesteś szalony. Chyba zaczyna mi się to podobać.

– Nie potrzebuję broni – rzekł Maquin. – Odbiorę jakąś tobie.

Ruszył naprzód. Uskoczył przed ukośnym cięciem Jaela, piruetem uniknął pchnięcia nożem, przypadł do przeciwnika i rąbnął go pięścią w żebra. Jael wrzasnął, a Maquin uderzył go w ranę na nodze, wyszarpując kolejne stęknięcie bólu z jego ust.

– Za Kastella! – warknął mu do ucha i odskoczył.

Jael zaklął, z trudem stłumił ból, przybrał postawę do walki i ruszył na Maquina. Tym razem zachował większą ostrożność. Miecz uniósł wysoko, a nóż trzymał nisko. Złożył się do pchnięcia, ale Maquin, który skoczył mu na spotkanie, odtrącił klingę miecza dłonią, złapał Jaela za nadgarstek i rąbnął go czołem w grzbiet nosa. Jael zacharczał i splunął krwią, a Maquin go odepchnął.

– Za Kastella – warknął ponownie.

Jael splunął, otarł krew z twarzy i rzucił się do kolejnego natarcia. Maquin wykonał unik, a klinga przeciwnika świsnęła nad jego głową. Obrócił się, poczuł gorące smagnięcie na żebrach, usłyszał za sobą krzyk, po czym rąbnął Jaela w ranną nogę i błyskawicznie znalazł się poza zasięgiem jego ciosów.

– Za Kastella – wyszeptał.

Jael spojrzał na czerwoną szramę, ziejącą z dziury w skórzanym kaftanie Maquina, rozprutym jego nożem.

– A więc krwawisz jak reszta z nas – rzekł.

Maquin zignorował te słowa. Uskoczył przed pchnięciem miecza, kopnął Jaela w kostkę, rąbnął go w gardło, złapał za dłoń trzymającą nóż i wykręcił ją. Jael krzyknął z bólu, a broń z brzękiem spadła na drogę. Maquin odkopnął ją poza zasięg przeciwnika.

– Za Kastella! – warknął i znów odskoczył.

– Przestań to powtarzać! – wrzasnął Jael, tryskając drobinkami śliny, i ponownie ruszył do walki.

Utykał już niezgrabnie i Maquin nie miał trudności z podniesieniem wypuszczonego noża. Z łatwością uskoczył przed

wrogim mieczem i sam pchnął ostrzem. Jael wrzasnął z bólu, potknął się i niemalże przewrócił, ale odzyskał równowagę i się cofnął. Utykał coraz mocniej, a po jego nodze ściekała krew. Maquin szedł prosto na niego. Po raz pierwszy ujrzał strach w oczach przeciwnika.

– Pamiętasz, co się wydarzyło w grobowcu pod Haldis? – zapytał.

– To była uczciwa walka! – powiedział błagalnie Jael. Cofał się, zostawiając krwawy ślad.

– Kastell był twoim krewnym, a ty go zdradziłeś. Zamordowałeś go! – oznajmił Maquin i znów się zerwał.

Uskoczył przed opadającym mieczem Jaela i chlasnął go po ramieniu. Rozległ się wrzask i brzęk upuszczanej broni, a potem obaj wpadli na siebie. Spleceni, przewrócili się na ziemię i potoczyli. Jael odzyskał nieco sił i z furją kopał, gryzł i bił Maquina pięściami, aż ten złapał go za ramię i przygniótł do ziemi, a potem zaczął przysuwać nóż do jego gardła. Jael zdwoił wysiłki – zasypywał teraz Starego Wilka gradem szaleńczych, rozpaczliwych ciosów. Ten stęknął z bólu, ale nie ustawał. Dłoń z nożem, sunąca nieubłaganie w stronę gardła, nie zatrzymała się nawet wtedy, gdy Jael złapał Maquina za nadgarstek. Przestali się przetaczać, a Maquin zacisnął mocniej drugą dłoń i obrócił się. Unieruchomione ramię Jaela trzasnęło. Uzurpator wrzasnął przeraźliwie niczym ranny dzik. Wola walki uszła z niego w jednej chwili.

Czubek noża Maquina dotknął miękkiej skóry pod szczęką.

– Proszę – zaszlochał Jael.

– Za Kastella! – szepnął Maquin i pchnął ze wszystkich sił.

Jael zabulgotał, jakby się dławił. Z jego ust buchnęła czarna krew, która pociekła po policzku. Szarpnął się jeszcze, ale Maquin wpychał nóż coraz głębiej, coraz mocniej, aż ten utkwiał w ciele uzurpatora aż po rękojeść. Jael wytrzeszczył oczy, zadygotał, wierzgnął jeszcze parokrotnie nogami i znieruchomiał.

Maquin odtoczył się, wstał powoli i spojrzał na trupa. Na jego obliczu pojawił się dziki grymas, ale znikł, gdy ciałem wojownika niespodziewanie zawładnęła słabość. Osunął się na kolana, a potem usiadł i wbił wzrok w ciało Jaela.

Zostałeś pomszczony, Kastellu. Mój przybrany synu, pomyślał.

Jego ramiona zaczęły drżeć, a łzy rozmyły świat. Nagle czyjaś dłoń dotknęła jego głowy i wtuliło się weń ciepłe ciało. Ułożył głowę na piersi Fidele i wybuchnął płaczem. Nie miał pojęcia, na jak długo dał się porwać słabości, ale w końcu świat znów się dla niego otworzył i zewsząd napłynęły głosy. Uniósł głowę i ujrzał wojowników z Ripy, zgromadzonych wokół niego w półkřęgu – Veradisa, Krelisa, Albena, Alcyona i tak wielu innych. Wpatrywały się w niego setki par oczu.

– Cóż, trza ci oddać, że to była naprawdę niezła walka. – Krelis skinął Maquinowi, a potem uniósł do ust bukłak z miodem i pociągnął tęgi łyk. – A co teraz?

– Teraz – odpowiedziała Fidele – idziemy na Drassil.

Rozdział osiemnasty

CYWEN

Cywen stała na wielkim dziedzińcu przed bramami Drassil wraz z innymi więźniami i patrzyła na Calidusa, który schodził po schodach z murów, gdzie jak co rano wykrzyczał wyzwanie Corbanowi.

– Oszczędź życie swoich ludzi! Przerwij tortury!

Corban nie pojawił się, jak zwykle, i Calidus przystąpił do drugiej części porannego rytuału – wyboru jeńca, którego nadzieje na pal na dziedzińcu.

Czas płynął niewyobrażalnie szybko. Od upadku Drassil minął niemalże cały księżyc, a każdą jego chwilę przepełniały ból i rozpacz.

Cywen była więźniem, ale pozwolono jej przejąć zaimprovizowany lazaret, który wraz z Briną zaopatrzyły i przygotowały do oblężenia. Mogła również dobrać sobie kilkoro innych sprawnych ludzi do pomocy. Wolno jej było troszczyć się o współwięźniów, o ile zajmowała się także rannymi żołnierzami Nathaira. Nie miała na to najmniejszej ochoty, ale wiedziała, że to jedyny sposób, by pomóc swym towarzyszom.

Calidus zatrzymał się kilka stopni nad zebranymi na dziedzińcu jeńcami.

– Wygląda na to, że Jasna Gwiazda ma ważniejsze sprawy na głowie niż ratowanie wam życia – oznajmił pełnym gniewu głosem.

Cywen zadrżała odruchowo na myśl o tym, co miało się zaraz wydarzyć. Przyzwyczała się już do śmierci, ale nic nie mogło jej

znieczulić na koszmar, którego była świadkiem co rano.

Corbanie, przybądź i ocal nas, pomyślała.

Z każdym mijającym dniem wydawało się to mniej możliwe. Przez pierwszy tydzień Cywen była niemalże przekonana, że Corban lada chwila wdrze się do Drassil na czele swego hufca i pokona wroga, ale każdego poranka, przepełnionego wrzaskiem i bólem, nadzieja przygasiała coraz bardziej.

Calidus skinął głową i spomiędzy cieni rzuconych przez stajnię wyłonił się Kadoshim, który wszedł między jeńców. Serce Cywen jak zawsze zamarło, gdy demon przeszedł przed jej szeregiem. Był to ten typ, którego zawsze otaczały roje much.

Kadoshim zatrzymał się przed nią. Złapał ją za podbródek, uniósł jej głowę i spojrzał w oczy. Jego własne zdawały się być czarnymi, bezdennymi studniami i Cywen nie dostrzegła w nich nic. Zauważyła jednak uśmiech szaleńca, który wykrzywił jego usta oraz czarny język, gruby i obrzmiały, który wysunął się spośród jego warg i powoli polizał ją po policzku. Jego oddech cuchnął tak bardzo, że zrobiło jej się niedobrze, ale nie była w stanie uwolnić się z uścisku demona. Po jej twarzy pełzały teraz muchy, które wdzierały się jej do nosa.

– Jeszcze nie dziś – szepnął jej do ucha – ale kiedyś rozbiję ci czaszkę i wyszę oczy.

Potem ją wypuścił, złapał sąsiadującego z nią więźnia, jednego z tych, którego ocalili z galer Vin Thalun, i powlókł go w stronę pała. Jeniec zaczął błagać o litość, a potem zawodzić, ale na oprawcach nie zrobiło to żadnego wrażenia. Jego wrzaski przybrały na sile, gdy rozpoczęła się straszliwa tortura. Niosły się nad murami w stronę lasu i dalej, odbijając się echem od cichych drzew Fornu.

Co się stało z Corbanem i resztą?, myślała Cywen. Uciekli czy się wycofali?

Calidus zszedł na dziedziniec i machnął z irytacją dłonią, dając sygnał, by zabrano więźniów. Kilku tenebralskich żołnierzy w czerni i srebrze wyprowadziło ich z dziedzińca. Dziewczyna zmarszczyła nos, gdy mijali stajnie, bo smród łajna draiga był trudny do

zniesienia. Czuła w swoim życiu wiele nieznośnych odorów, ale ten przebijał je wszystkie.

Naraz usłyszała końskie rżenie.

Czy to Tarcza?, zastanowiła się.

Gdy Calidus i Nathair wdarli się do Drassil, stajnie twierdzy były pełne koni, wspaniałych rumaków, których dosiadali Jehar, ocalonych przez zniszczeniem osady Gramma. Kolejnym zadaniem więźniów była więc opieka nad nimi i sprzątanie stajni. Za każdym razem, gdy do pracy wybierano Cywen, starała się przebywać jak najbliżej Tarczy, rumaka Corbana.

Gdy więźniowie znaleźli się na szerokiej ulicy, odchodzącej od dziedzińca, na murach rozległy się krzyki, po czym zadęto w rogi. Podniesiono wielką kratę w bramie i z przeciągłym trzaskiem otwarto wrota. Do wnętrza twierdzy wkroczyło kilkanaście postaci. Przez moment opromieniało je słońce i Cywen nie mogła rozpoznać żadnych szczegółów, ale gdy padł na nich cień, okazało się, że byli to Vin Thalun, cztery tuziny, może więcej. Wielu z nich było rannych.

A więc coś się kryje wśród cieni Fornu. Coś z żelaznymi zębami, pomyślała Cywen z iskierką nadziei, ale ta wnet przygasła w drodze do lazaretu. Na ulicach czaili się bowiem Kadoshim, którzy poruszali się jak cienie. Ich głowy drgały przy każdym ruchu. Mury i bramy obsadzali żołnierze w czerni i srebrze, którzy wypełniali również opuszczone ongiś budynki, pracowali w kuźniach i uwijali się w oborach. Co gorsza, wszędzie widziała też Vin Thalun. Wielu włóczyło się podpitych, inni wdawali się w bójki, wystawiali w ciemnych zaułkach bądź tworzyli kręgi i rzucali kości. Nawet w szczytowym momencie hufiec Corbana było wielokrotnie mniejszy od wrogiej armii.

Jak ich pokonać?, zastanawiała się Cywen.

Ciała poległych wyniesiono już z ulic, choć o walkach nadal przypominały ciemne plamy na kamiennych płytach. Dziewczyna skręciła w boczną uliczkę i ujrzała psa, obwąchującego stertę śmieci – małego, białego szczurołapa.

Znam go, uświadomiła sobie. Należał kiedyś do Haelana. Co się stało z tym chłopcem?

Mijając psa, przyjrzała mu się dokładnie. Był wychudzony i wydawał się niemalże zagłodzony. Przez skórę widać było żebra.

Ech, Haelan pewnie już nie żyje. Kochał tego psa. Nazywał go Garnek. Ja też kochałam mego Buddaia. Co się z nim stało?

Nie widziała psa od bitwy. Miała nadzieję, że zdołał uciec, choć w głębi serca raczej w to wątpiła.

To przecież lojalne psisko. Nie porzuciłby mnie tak po prostu.

Cmoknęła na Garnka i wyciągnęła z kieszeni kawałek chleba. Pies uniósł łeb, powęszył i po chwili niezdecydowania podbiegł bliżej. Cywen upuściła chleb, a Garnek złapał zręcznie kąsek i uciekł. Patrzyła, jak znika za rogiem, i przez chwilę miała wrażenie, że dostrzegła jakiś ruch w ciemnościach, jakby ktoś na niego czekał.

Straż wprowadziła ją i pozostałych jeńców do lazaretu. Na początku było ich około trzystu, ale poranne rytuały Calidusa uszczupliły tę liczbę. Budynek był na tyle duży, iż mógł pomieścić ich wszystkich. Niższe piętro składało się z dwóch połączonych sal. Część przestrzeni oddzielono na potrzeby rannych, a reszta stała się zaimprovizowanym więzieniem. Do wnętrza wszedł tylko jeden strażnik, a reszta rozsiadła się na zewnątrz. Cywen słyszała już stukot kości turlanych po drewnianej planszy.

Bez namysłu przeszła do sąsiedniej sali, w której leżeli ranni. Po bitwie sala była przepełniona cierpiącymi, ale sporo spośród nich odeszło, a Cywen nie była w stanie wiele dla nich zrobić. Mogła tylko ułatwić im przejście przez most mieczy. Inni już doszli do siebie i sala pustoszała, ale dziewczyna przypuszczała, że lada moment będzie musiała zająć się rannymi Vin Thalun. W głębi serca wolałaby ich potruć.

Nie poddawaj się, powtarzała sobie w duchu, wspominając pierwszą niewolę u Nathaira i Calidusa. Wtedy również straciłam wszelką nadzieję.

A przecież Corban pojawił się znikąd i ocalił ją.

Choć wtedy zginęła mama... Nie pozwolę, by znów do tego doszło. Nie chcę, by przeze mnie ginęli ludzie. Nie chcę czekać na ratunek. Chcę sama zbudować własną przyszłość, bez względu na to, ile mnie to będzie kosztować.

* * *

Cywen otworzyła oczy.

Przez jakieś sto uderzeń serca nie słyszała niczego oprócz chrapania innych ludzi. Odczekawszy tę chwilę nieruchomo, odwróciła ostrożnie głowę i przekonała się, że pilnujący ich Vin Thalun jest pogrążony we śnie, tak jak się spodziewała. Za drzwiami słyszała stłumione rozmowy, okraszone od czasu do czasu wybuchami śmiechu. Reszta pilnujących ich ludzi siedziała na dziedzińcu, piła i grała w kości.

Z początku ich strażnik okazywał wielką czujność, co zresztą było jak najbardziej uzasadnione, bo wśród jeńców było kilku Jehar, a ci nie mieli najmniejszego zamiaru godzić się z niewolą. Podczas pierwszej nocy dwóch z nich podjęło próbę ucieczki. Zabili ośmiu strażników, okaleczyli trzech innych, a kolejnego wrzucili w płomienie. W końcu ich obezwładniono, a następnego dnia rano stracono dla przykładu. Kolejnych prób ucieczki już nie było, przez co pilnujący ich ludzie robili się coraz mniej czujni.

Cywen ostrożnie, powoli przemierzyła całą salę, aż dotarła do schodów, prowadzących na balkonik. Stamtąd dostała się do głównego korytarza, gdzie widniały drzwi do około tuzina pokoi. Niemalże bezszelestnie wślizgnęła się do jednego z nich. Znajdowało się tam szerokie okno, przez które wpadał blask księżyca, oszłamiająco jasny w mroku.

Cywen podeszła do kredensu, otworzyła drzwi, wyjęła luźną deskę i wyciągnęła stamtąd zawiniątko. Potem podeszła do okna i usiadła plecami do ściany, wpatrzona w ciemny kształt drzwi. Rozsupłała szmaty i wydobyła spomiędzy nich starą, oprawioną w skórę księgę. Otworzyła ją przy końcu i zaczęła odczytywać zamaszyste, piękne litery.

– *Rud eigin lomhara a garda* – szeptała. – Czar strzegący. *A caitheadh an seal*. Wrząca woda, robaczy korzeń, zerwana skóra...

Urwała na moment. Po jej plecach spłynął dreszcz.

Czego ja się spodziewałam po księdze zaklęć olbrzymów? Skrzywiła się z lęku i obrzydzenia. Choć w sumie wszystko zależy od tego, do kogo należałaby ta skóra. Gdybym miała ją zerwać z Calidusa, Nathaira, Lykosa, Morcanta, Rhin...

Lista wrogów, którym była gotowa zadać wielkie cierpienie, wydłużała się.

Brina powiedziała, że to narzędzie, a nie zło samo w sobie. Liczy się to, jak używam magii.

Naraz usłyszała ciche sapnięcia pod oknem, a po nich szelest liści.

Coś łązi po ogrodzie zielnym, pomyślała.

Powoli, najciszej jak umiała, podniosła się i wyjrzała przez okno.

Coś w istocie przemieszczało się między rabatkami. Widziała czworonoga z nosem przy ziemi, który zbliżał się do lazaretu. Zatrzymał się na moment, a wtedy Cywen ujrzała białe futro odbijające blask księżyca. Zwierzę patrzyło na nią.

To ten pies – szcurołap! Pies Haelana!

Pies okręcił się i podskoczył w miejscu. Cywen nagle wystraszyła się, że zacznie szczekać, ale kolejny ruch przykuł jej uwagę. Coś czaiło się wśród cieni po drugiej stronie ogrodu zielnego. Widziała spory, ciemny kształt, który zaskomlał i przesunął się bliżej światła.

Oddech uwiązał jej w piersi.

Buddai?

Bez namysłu wyskoczyła z okna na miękką ziemię ogrodu. Nim zdążyła się wyprostować, Buddai wpadł na nią, liżąc ją szorstkim językiem i skamłąc cicho.

– Ciii! – szepnęła, całując go po pysku, oślepiona łzami, ale pies nie słuchał i nie przestawał jej lizać. – Gdzieś ty się podziewał? – mówiła cicho, drapiąc go jedną ręką za opadającym uchem, a drugą wodząc po grubych mięśniach jego karku.

Głód ci, jak widzę, nie dokucza, pomyślała.

Wtem wymacała coś zawiązanego wokół karku psa, co okazało się długim rzemieniem.

Czy to smycz, przemknęło jej przez myśl.

Rozległ się kolejny dźwięk – szelest wśród grubych liści bazylii i mięty pieprzowej. Cywen zmrużyła oczy, wyteżyła wzrok i ujrzała

wyłaniającą się postać. Dostrzegła niewielką, bladą i umazaną
brudem twarz.

Patrzyła na Haelana.

Rozdział dziewiętnasty

UTHAS

– Kruki i wrony – mruknął Uthas. Szedł przez bagna wpatrzony w niebo, aż potknął się, a jego stopa z pluskiem ugrzęzła po kostkę w miękkim błocie. Wsparł się na włócznie, by ją oswobodzić, a jego przyboczny Salach podał mu dłoń.

Trzęsawiska nie są przyjaznym miejscem dla wędrujących olbrzymów, pomyślał Uthas.

– A to co? – spytała Rhin.

Królowa zasiadała na rufie wielkiej łodzi, otoczona przez dwa tuziny wojowników i sześciu wioślarzy. Uthas przedzierał się wzdłuż brzegu kanału, którym płynęła łódź, a za nim wędrował rozciągnięty szereg Benothi.

– Kruki i wrony – powtórzył Uthas. Zatrzymał się i wskazał ciemny kształt, kołujący wysoko nad nimi.

– I co z tego? – spytała Rhin. Była tego poranka w niebywale dobrym humorze, po raz pierwszy odkąd dowiedziała się o klęsce swego hufca na bagnach i śmierci Braitha.

– Nie przepadam za nimi – burknął Uthas, wspominając w duchu Fecha, zdradzieckiego kruka Nemain.

Rhin wpatrywała się w punkcik na niebie.

– A ja jakoś zawsze je lubiłam – odparła. – Przypuszczam, że ten tu ma nadzieję, iż zapewnimy mu wieczerzę.

Uthas skrzywił się.

Tak, pewnie tak, przemknęło mu przez myśl. Oby nie nazarł się naszymi flakami i oczami.

Spojrzał na pozostałe łodzie, sunące po kanale, wypchane po brzegi zbrojnymi. Wiedział, że jest ich około tysiąca.

Tej bitwy chyba nie przegramy, pomyślał, spoglądając na ponure, zawzięte twarze ludzi w każdej łodzi. Wojownicy Rhin byli uzbrojeni po zęby, a do tego mogli liczyć na wsparcie jego pięciu dziesiątek Benothi. Starczy nas, by zdusić to małe powstanie.

Mimo to, odkąd opuścili wieżę na skraju bagien, Uthasa nie opuszczał ponury nastrój, który wisiał na nim niczym ciężki płaszcz i nie pozwalał się odgonić.

Powinniśmy zająć się ważnymi sprawami, myślał. Trzeba znaleźć Evnisa i naszyjnik! Nic innego się nie liczy.

Bo kiedy odnajdą naszyjnik Nemain, jeden z Siedmiu Skarbów, Uthas znajdzie się krok bliżej realizacji swego wielkiego marzenia.

Chcę zostać królem olbrzymów, powtarzał sobie. Nie chcę, by istniały klany. Nie chcę podziałów. Chcę tylko władać moim ludem. Najpierw muszę odnaleźć naszyjnik, potem udam się do Domhainu i Dun Taras, by odszukać puchar, a na końcu...

Spostrzegł Rafe'a, który biegł ku nim w towarzystwie swoich dwóch psów. Wydawał się płynąć przez mokradła, wręcz nie patrzył, gdzie stawia stopy. Chłopak emanował czystą energią i witalnością.

Uthas podrapał się po karku i zmarszczył brwi.

Jest w nim coś, pomyślał. Coś innego. Ten dzieciak coś ukrywa.

– Idzie Rafe! – zawołał do Rhin, która uniosła rękę. Sternik skierował jej łódź ku brzegowi, a pozostałe łodzie poszły w jej ślady. Rozciągnięty konwój zatrzymywał się niczym długi, wijący się wąż wodny.

– Sam? – spytała Rhin i ujęła dłoń Uthasa, który pomógł jej wysiąść z łodzi.

– Tak.

Rafe'owi przydzielono dwie dziesiątki tropicieli, by pomogli mu odnaleźć ruiny Dun Crin, choć najwyraźniej nie potrzebował ich pomocy.

– Uważaj – burknął olbrzym. – Nie ufam mu.

– Ja nie ufam nikomu – prychnęła Rhin i wbiła wzrok w zbliżającego się Rafe'a.

Oba psy wysforowały do przodu, ale nie podeszły bliżej. Warcząc, otoczyły Uthasa kręgiem, co mu się wcale nie spodobało. Rafe przeskoczył przez strumień i wyhamował, po czym pochylił głowę przed Rhin.

- Moja pani! – powitał ją.
 - No i? – warknęła królowa.
 - Dun Crin znajduje się przed nami!
- Przez usta Rhin przemknął uśmiech.
- Ale nie ma tam żywego ducha.

* * *

Cóż, przynajmniej nie kłamał, pomyślał Uthas, gdy minął wierzbę o długich gałęziach i ujrzał starożytną twierdzę, wyłaniającą się z toni jeziora. Idący z tyłu Salach wymruczał przekleństwo. Jego przyboczny nie widział wcześniej Dun Crin, a widok w istocie wprawiał w przygnębienie. Ongiś dumna forteca popadła w ruinę, za co winić należało zarówno okoliczności, jak i upływ czasu. Ciemne mury i wieże przypominały konary zanurzonego, gnijącego drzewa. Z kruszących się blanek spływały mchy i pnącza.

Zaprzepaszczono tak wielkie dzieło, pomyślał Uthas. Gdy zostanie królem, przywrócę chwałę mojemu plemieniu!

Idąca przodem Rhin zasyczała z frustracji.

- Nikogo tam nie ma! – rzekł Morcant.
- Tak bystrego obserwatora jak ty to jeszcze nie spotkałam – warknęła królowa. Każde jej słowo ociekało z trudem hamowaną wściekłością.

Z góry dobiegł dziwny dźwięk i wystraszony Uthas o mało nie podskoczył. Uniósł głowę i ujrzał obszarpanego kruka, który rozsiadł się wśród gałęzi wierzby i wydawał z siebie osobliwy klekot, przypominający niemalże śmiech. Olbrzym zmierzył go ponurym spojrzeniem, na co kruk, nie przerywając swego śmiechu, zerwał się i odleciał.

Wojownicy wysiadali z łodzi i gromadzili się na brzegu. Część dopłynęła do zatopionej fortecy, a ludzie wspinali się już po prastarych murach.

Uthas szarpnął za kiel żmija w swym naszyjniku. Wpatrywał się przez moment w Dun Crin, a potem omiół wzrokiem brzegi jeziora, porośnięte wierzbami i olchami. Wszędzie widział ślady po istniejącej jeszcze niedawno osadzie – porzucone szalasy, płoty utkane z wierzbowych gałązek, wygasłe paleniska, rozwieszone sieci. Zauważył też stos spalonej odzieży, starych butów i pasów oraz trochę zepsutej broni. Nic godnego uwagi.

– A drugi brzeg? – zwrócił się do Salacha i Eisy, którzy mieli młodsze oczy. – Tam wciąż może się ktoś chować!

– Niczego nie widać – burknął Salach, wyraźnie rozczarowany. Uthas wiedział, że jego przyboczny miał ochotę na walkę. – Ale to daleko i...

– Nikogo tam nie ma – odezwał się stojący kilka kroków dalej Rafe, wpatrzony w ten sam brzeg.

– Masz tak dobry wzrok? – spytał Uthas.

– Widzę czaplę stojącą w cieniu tamtej wierzby. – Rafe wskazał kierunek, ale Uthas, zmarszczywszy oczy, niczego nie zobaczył. Salach również nie. Naraz rozległ się plusk i czapla zerwała się do lotu.

Rhin wywarczała kilka rozkazów i jej wojownicy zaczęli opływać jezioro, czujnie szukając zarówno ludzi, jak i śladów zasadzki. Pamiętali o tym, co usłyszeli o losach poprzedniej wyprawy.

– Czemu oni stąd odeszli? – odezwał się Morcant, nie kierując swego pytania do nikogo z zebranych.

– Pewnie usłyszeli, że nadchodzisz – rzekła Rhin.

Morcant pokiwał głową, uznawszy jej odpowiedź za całkowicie słuszną.

– No to ruszajmy za nimi! – oznajmił.

– Znakomity pomysł – rzekła Rhin. – Choć niekoniecznie. Co ty na to, Rafe?

Młody tropiciel zmarszczył brwi i milczał przez moment.

– Mogę ich dla ciebie wytropić, moja pani – rzekł w końcu – ale nie sądzę, by cały hufiec powinien wziąć w tym udział. Moglibyśmy wpaść w zasadzkę taką jak ostatnim razem albo jeszcze gorszą. Tu znamy teren i nasze pozycje, a tam – wskazał cuchnące bagna – ktoś może wiedzieć?

Znad twierdzy dobiegły krzyki. Ludzie dawali znaki, że ruiny są puste. Wołanie podjęli inni, okrążający jezioro.

– A więc naprawdę nie ma tu nikogo – rzekł Salach.

– Tak – zgodziła się kwaśno Rhin. – To, dlaczego odeszli, nie interesuje mnie wcale. Chcę wiedzieć, dokąd się udali! Gdzie oni są? Gdzie się podziiali, podczas gdy my utknęliśmy w Dun Crin? Gdzie są i co robią?

I gdzie jest Ewnis, zastanawiał się Uthas. To on jest najcenniejszym elementem intrygi. Nikt oprócz niego nie wie, gdzie znajduje się naszyjnik Nemain. Cała reszta to tylko dym na wietrze...

Znad brzegu jeziora znów dobiegły jakieś głosy, tym razem brzmiące inaczej. Pojawili się ludzie prowadzący kogoś, kto w niczym nie przypominał wojownika.

Odnalezionym człowiekiem okazała się kobieta, brudna i niemalże zagłodzona, ale Uthas przypuszczał, że w innych czasach olśniłaby ich urodą. Miała ciemne włosy i zielone oczy. Gdy postawiono ją przed obliczem Rhin, przez jej twarz przemknęły dziesiątki emocji – duma, lęk, nienawiść, a w końcu nadzieja.

Rhin zaś przyjrzała się jej, a potem parsknęła śmiechem.

Rozdział dwudziesty

CAMLIN

– Spalmy to – rzekł Camlin i uniósł łuk.

Płonąca strzała wyfrunęła w powietrze, a za nią dwadzieścia kolejnych. Wszystkie pomknęły ku błękitnemu niebu, po czym zakreśliły półkrąg i opadły na drewnianą wieżę oraz otaczające ją umocnienia.

– Jeszcze raz! – rozkazał Camlin, gdy pierwsza salwa utkwiała w palisadzie, bramach oraz budynkach.

Meg zanurzyła pochodnię w żelaznym koszu, w którym trzaskał ogień, i przebiegła wzdłuż szeregu łuczników, zapalając ich strzały.

Znajdowali się na zboczu niewielkiego wzniesienia między bagnami a wieżą Morcanta, otoczeni stojącymi w luźnym kręgu wojownikami Edany. Na równinie po prawej stronie znajdowały się pozostałości porzuconego obozu – zdeptana trawa, wygasłe paleniska i podarte namioty, nad wszystkim zaś unosił się smród nieczystości.

Obozowało tu wielu, bardzo wielu ludzi, pomyślał Camlin. Tym razem Rhin podchodzi do nas z należyтым szacunkiem, choć wkrótce się przekona, że nie gramy wedle jej zasad.

Przytknął wysmarowany smołą czubek strzały do ognia. Zasyczała podpałka, a tropiciel wzniósł łuk i zwolnił cięciwę. Strzała dołączyła do pozostałych i znikła za murami. Ku niebu bił już czarny dym.

– Będzie go widać z odległości dobrych paru mil! – powiedział stojący za nim Baird, uśmiechnięty niczym podczas zabawy w letnią

noc. Stał między Edaną, osłanianą przez Haliona i Vonna, a Lorcanem, któremu towarzyszył Brogan.

– O to właśnie chodzi – odparła Edana, znacznie poważniejsza. – Rhin na zbyt długo już przejęła inicjatywę.

Tak, a sygnał jest klarowny, dodał w myślach Camlin. Nie będziemy już podrygiwać do jej muzyki.

Wyciągnął kolejną strzałę, którą Meg podpaliła. Brama płonęła już żywym, trzaskającym ogniem, a po murach uwijali się ludzie, którzy gasili pożar wodą z wiader, choć bez wyraźnego efektu.

Jest ich za mało, pomyślał Camlin. Góra trzydziestu ludzi. Rhin zabrała wszystkich na bagna, by nas odnaleźć.

Uśmiechnął się szeroko na myśl o jej reakcji na meldunek o spalonej strażnicy.

– Wystarczy – oznajmił i poklepał kilku łuczników po barkach. Ci opuścili łuki.

– I co teraz? – spytała Edana.

– Teraz czekamy. Długo to nie potrwa.

Nie pomylił się. Wnet cała palisada płonęła już niczym las w środku lata. Z muru zeskoczył jakiś desperat, natychmiast zatrzymany przez Pendathrana i jego ludzi, a za nim poszli kolejni. Potem zaskrzypiały rozchylane wrota i ze środka, pośród kłębow czarnego dymu, wyłoniła się garstka ludzi, potykając się i kaszląc. Kilku padło na ziemię, inni stali z uniesionymi wysoko rękami, czekając na zbliżających się wojowników Edany.

Pendathran zebrał jeńców w jednym miejscu. Edana westchnęła i ruszyła ku nim, a Camlin i reszta podążyli za nią.

Na trawie klęczało trzydziestu sześciu ludzi w czerni i złocie Cambrenu, królestwa Rhin. Edana zatrzymała się przed nimi i zmierzyła ich długim spojrzeniem.

– Ilu z was urodziło się w Ardanie? – spytała.

Jeńcy unieśli głowy. Paru pokiwało głowami, a inni podnieśli ręce. Dwudziestu ośmiu, naliczył Camlin.

– A kto pochodzi z Narvonu? – spytała Edana, a z jej świty wystąpił Drust.

Pięciu jeńców uniosło dłonie. Drust wpatrywał się w nich, marszcząc brwi.

– A z pozostałych trzech, którzy pochodzą z Cambrenu? – ciągnęła Edana.

Zgłosiło się dwóch. Camlin dostrzegł, że trzeci wbił wzrok w trawę u swych stóp.

– Przyprawdźcie ich do mnie – rozkazała młoda królowa.

Halion, Baird i Vonn weszli między jeńców i wywlekli ich z szeregu.

– Weźcie jeszcze tamtego! – Camlin wskazał człowieka, który nie podniósł ręki. W ślad za towarzyszami został rzucony na ziemię przed Edaną.

– Przybyliście z Cambrenu – oznajmiła królowa. – Wmaszerowaliście do Ardanu pod wodzą Rhin. Najechaliście mój kraj! Zabijaliście moich rodaków! – W jej głosie zadrżała furia! – Zasługujecie na najwyższą karę. Skazuję was na śmierć.

Podeszła do pozostałych jeńców.

– A wy, Ardańczycy i Narwończycy – odezwała się. Mężczyźni skwapliwie pokiwali głowami, ale w oczach królowej nie było serdeczności. – Nie pochodzicie z Cambrenu, a mimo to nosicie barwy Rhin, wrogiej królowej! Zdradziliście swe ojczyzny! Służycie wrogom!

Camlin ujrzał strach, który wtargnął w sam środek ich grupy niczym wiatr w gęszcz wysokich traw.

– Niemniej okażę wam łaskę. Ten jeden jedyny raz.

Ciekawe, ilu spośród nich będzie musiało zmienić gacie, pomyślał Camlin.

– Macie wybór. Walczcie dla mnie i dla swych krajów lub wróćcie do domów. Bez względu na to, co wybierzeć, odkupicie swe winy. – Wpatrywała się długo, dobitnie w ich twarze. – Jeśli odejdziecie, nie będę was osądzać. Ale jeśli ujrzę kogoś z was, jak znów staje przeciwko mnie, dopilnuję, by zginął śmiercią odpowiednią dla zdrajcy. Dokonajcie wyboru teraz – zakończyła i odwróciła się, nie czekając na ich reakcje.

Tylko Camlin ujrzał łzy w jej oczach.

* * *

Camlin siedział oparty o drzewo i przyglądał się wieży Morcanta, która zapadła się pod własnym ciężarem. Ku niebu buchnęła wielka chmura dymu i popiołu. Widział ogromnego Pendathrana, który poprowadził pół setki ludzi na wschód wzdłuż linii lasu. Druga grupa czekała na Drusta.

Rozstaniemy się na jakiś czas, pomyślał Camlin.

Wedle planu mieli się rozdzielić na trzy grupy pod dowództwem Pendathrana, Drusta i Edany. Zadaniem każdej z nich było maksymalne utrudnienie życia Rhin w Ardanie.

Ostatnia część wieży zawałiła się z głośnym trzaskiem. Camlin uśmiechnął się szeroko i pożałował, że nie ujrzy twarzy Morcanta, gdy ten wyjdzie z bagien i zobaczy ruinę.

– Ładnie się zawałiła – oznajmił, po czym pochylił się, zdjął rożen z mięsem wiewiórki znad ognia i rzucił go Meg. Dziewczynka złapała go, dmuchając na poparzone palce, i wgryzła się w mięso. Tłuszcz ściekał jej po podbródku.

Będę musiał wkrótce z nią porozmawiać, pomyślał Camlin i z zaskoczeniem odkrył, że robi mu się smutno na samą myśl o tym. Może to dziwne, ale miewałem już gorszych towarzyszy.

Jego uwagę przyciągnął tętent kopyt. Kilkunastu jeźdźców ruszało w różnych kierunkach z sakwami pełnymi srebra z kufra Morcanta. Każdy z nich miał za zadanie odwiedzić jak najwięcej wiosek, by szerzyć wieści o zwycięstwie Edany pod Dun Crin, a także rozpowiadać, że dotarła do Ardanu, żyje i podjęła walkę. Mieli prawo również rozdać tu i ówdzie odrobinę srebra, by pokazać, że walka dla królowej Edany wiąże się z zyskiem.

Popchnęliśmy więc nasz plan naprzód, myślał Camlin. Jesteśmy już bliżej końca, bez względu na to, czy miałyby nim być zwycięstwo, czy też śmierć.

– Niebawem zostawimy bagna za sobą – rzekł od niechcienia.

– Wiem – odparła Meg tonem przeznaczonym dla głupców.

– Najlepiej by było, gdybyśmy wybrali się do sąsiedniej wsi na skraju bagien. Mógłbym ci poszukać jakiejś rodziny, która by cię przyjęła...

Dziewczynka spojrzała na niego ostro.

– Nie.

– To twoja ojczyzna, Meg. – Camlin wskazał okolicę ruchem podbródka. – Te bagna, ci ludzie. My znów wracamy do lasu.

Bo tam tacy jak ja walczą najlepiej, dodał w myślach.

– Ruszamy na wojnę – rzekł. – A to nie miejsce dla ciebie. Masz dopiero osiem lat.

– Ale wojna trwa również tu. – Dziewczynka wpatrzyła się w swoje stopy. – Jak nazwiesz to, co się stało mojej mamie? Wszystkim w mojej wiosce?

Jej głos zadrżał. Camlin wyciągnął rękę i uściśnił jej dłoń. Mała nabrała głęboko tchu.

– Już o tym myślałam – powiedziała. – Złe rzeczy dzieją się wszędzie. Mieszkańcy mojej wioski wcale nie wyruszyli na wojnę, lecz ta sama do nich przyszła. Możesz mnie tu zostawić, ale kto może obiecać, że Morcant... – Urwała nagle, a jej wychudłą buzię zniekształciła nienawiść. – Kto może obiecać, że znów do tego nie dojdzie? Armia Rhin jest gdzieś tam! – Zamachała ze złością w stronę bagien, wpatrując się w niego wyzywająco. – I co? Zostawisz mnie tu i odejdziesz?

Cholera, tego się nie spodziewałem, pomyślał Camlin.

– Na paluchy Asrotha, to najdłuższa mowa, jaką od ciebie słyszałem – westchnął.

– Podoba mi się życie przy tobie – dodała. Nagle znów wydała mu się drobnym, bezbronnym dzieckiem. – A poza tym, tylko spróbuj mnie gdzieś zostawić. Wymknę się i podążę za tobą. Mam w tym wprawę.

Obdarzyła go psotnym uśmiechem.

– Wygląda na to, że dobrze sobie wszystko przemyślałaś. – Camlin westchnął.

Dziewczynka pokiwała głową.

– A więc wszystko postanowione.

Meg obrzuciła go długim spojrzeniem. Z początku była w nim podejrzliwość, która szybko ustąpiła miejsca zadowoleniu i dziewczynka powróciła do ogryzania wiewiórki. Camlin zaś znów zwrócił uwagę na resztki wieży i dostrzegł na niebie małą plamkę, która zawirowała wokół chmury dymu i łopocząc skrzydłami, skierowała się ku nim.

Czy to Craf?

Poczuł ulgę. Nie miał pojęcia, że tak bardzo martwił się o starego kruka.

Ptak dostrzegł go i zaczął kołować ku ziemi. Zakrakał głośno na jego widok i wylądował na gałęzi nad głową tropiciela.

– Craf głodny! – zajęczał i wbił spojrzenie paciorkowatych oczu w skórę, kości i wnętrze oprawionej przed chwilą wiewiórki.

– Poczęstuj się! – Camlin machnął dłonią. – Pierwsze słyszę, byś kiedykolwiek pytał o takie rzeczy.

Kruk najadł się do syta, a potem doskoczył do Camlina.

– No i? – spytał tropiciel, ciekaw wieści.

– Edana! – zakrakał ptak.

– Tak, racja – rzekł Camlin i jęknął, gdy rozprostował zeszywniały kark. – Nie ma co sobie strzępić języka dwa razy. Tam jest.

Ruszył między drzewami ku królowej, przy której pozostali tylko Halion, Vonn i Baird. Na jej twarzy nie było już śladu poprzednich emocji.

Wydaje się zaledwie zmęczona, pomyślał Camlin.

– Craf wrócił – oznajmił, a ptak sfrunął na kłodę, na której przysiadła Edana. – Wszystko w porządku? – spytał Camlin, wpatrzony w młodą królową. – Moja pani – dodał.

– Nie mogę się pozbierać po tym, co się stało z jeńcami – szepnęła i przetarła dłonią oczy. – Tyle śmierci – westchnęła. – Czy kiedyś nastąpi tego kres?

– Trzeba w to wierzyć. – Camlin wzruszył ramionami. – Ludzie nazywają to nadzieją czy jakoś tak. – Uśmiechnął się krzywo. – Oby ów kres nie nastąpił za szybko. Na przykład wraz z naszą śmiercią.

Edana uśmiechnęła się i prychnęła cicho.

– Ilu zostało? – spytała, mając na myśli jeńców.

– Dwudziestu ośmiu – rzekł Halion.

– Godni zaufania? – spytał Camlin.

– Nie sądzę – przyznała Edana. – Ale przypuszczam, że ponad połowa ardańskich wojowników pobiera teraz żołąd Rhin. Muszę wierzyć, że robią to wbrew swojej woli. Że woleliby walczyć dla mnie.

– Myślę, że nie jest to wielki błąd, ale w każdej beczce z jabłkami znajdzie się kilka zgniłych.

– Prawda – rzekła Edana. – Ale jak je odnaleźć? Skąd mam mieć pewność?

– Postaw tych nowych na pierwszej linii w pierwszej bitwie, jaka się nadarzy. Daj im szansę, by się wykazali. Daj im możliwość, by zaryzykowali dla ciebie własnym życiem. Ci mniej przekonani pewnie skorzystają z pierwszej okazji i uciekną.

Baird burknął z aprobatą, a Edana pokiwała z zadumą głową.

– Tak też zrobię – rzekła. – Witaj, Crafe. Jakie wieści nam przynosisz?

– Rhin w Dun Crin – oznajmił Crafe i spojrzał na wszystkich. – Bardzo zła.

Baird roześmiał się.

– Ilu ma ludzi? – spytał Halion.

– Mnóstwo – mruknął kruk. – Tysiąc? Dziesięć tysięcy? I olbrzymy z Murias.

Camlin uniósł brwi.

Co wyjaśnia owe dziwne ślady na łące niedaleko wieży Morcanta, pomyślał.

– Wojna Bogów! – wymamrotał Crafe, mierzwiąc pióra dziobem.

A ten znowu swoje, dodał w myślach Camlin.

Vonn napiął mięśnie, słysząc słowa kruka.

– Nie możemy tego lekceważyć – rzekł.

Młody wojownik odbył już rozmowę z królową i Camlinem o Wojnie Bogów. Opowiedział im o księdze olbrzymów, którą ukradł swemu ojcu, a która później została przejęta przez Brinę podczas ucieczki do Domhainu, czego świadkiem byli zresztą Edana i Camlin.

Opowiedział im również o naszyjniku ukrytym w wieży Evnisa w Dun Carreg – naszyjniku z czarnym kamieniem.

„Zapytajcie Crafa, czym są Skarby” – powiedział im.

„Nie muszę Crafa o nic pytać – odparła Edana. – Znam stare opowieści równie dobrze jak wszystkie inne. Kocioł i kielich, włócznia, topór i sztylet, torkwes oraz naszyjnik”.

„Tak, naszyjnik – rzekł Vonn. – To przecież ma sens. Dun Carreg należało do Benothi, a Nemain była ich królową”.

„Jeśli nawet masz rację, to co z tego?” – spytał na to Camlin.

„Jeśli jeden z Siedmiu Skarbów znajduje się w Dun Carreg, musimy coś z tym zrobić. Craf ciągle kracze o Wojnie Bogów, prorocztwie, Corbanie, Jasnej Gwiazdzie i Czarnym Słońcu. O Siedmiu Skarbach”.

„Dziwne mi się to wszystko wydaje” – stwierdził Camlin.

„Mnie również – zgodził się Vonn. – Ale nie rozumiesz jednego. Jeśli Craf ma rację, a Wojna Bogów w istocie się zaczęła, wydarzenia w Ardanie to jedynie kamyk w wielkiej lawinie. Jeśli to wszystko prawda, musimy jakoś pomóc”.

„Ale jak?” – zapytała wtedy Edana.

„Musimy zdobyć naszyjnik i zanieść go Corbanowi w Drassil”.

Edana wbiła wzrok w Vonna, jakby młody wojownik postradał zmysły.

„Zastanowię się” – powiedziała tylko i odeszła.

Teraz Vonn przystąpił do kolejnego natarcia.

– A więc co chcesz zrobić w tej sprawie? W sprawie Wojny Bogów i naszyjnika? – naciskał.

– Mam zamiar odbić Ardan – odparła powoli Edana – lub zginąć w walce. Jeśli dopisze mi szczęście i zdołam odnieść zwycięstwo, a Rhin zostanie zabita lub wygnana do Cambrenu, z przyjemnością rozbiorę wieżę na kamienie, by odnaleźć naszyjnik, i osobiście zawiozę go Corbanowi. Póki co muszę się skupić na tym, co leży bezpośrednio przede mną. Na Ardanie i Rhin.

– Błąd! – odezwał się Craf.

– Lubię to ptaszysko – zachichotał Baird. – Ma jaja, trza przyznać. Wali wprost, co mu leży na sercu.

– Jak przystało na dobrego doradcę – rzekła Edana. – Ale doradca powinien też wiedzieć, kiedy przerwać – dodała, unosząc brew. – Wysłuchałam was, rozważyłam opcje i podjęłam decyzję.

– Ale... – zaczął Vonn.

– Nie – rzekła Edana nieco głośniej. – Dość już tego, Vonn.

Młodzieniec wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę. Zaciskał szczęki, jakby z całej siły powstrzymywał napływające słowa, aż zdusił je całkowicie i pokiwał głową.

Rozdział dwudziesty pierwszy

HAELAN

Haelan wpatrywał się w twarz Cywen, posrebrzoną blaskiem księżyca. Był przerażony, jak za każdym razem, gdy musiał opuścić bezpieczną kryjówkę, ale nie zdołał zapanować na Buddaiem po tym, jak ten obwąchał Garnka, zerwał smycz i pognał w mrok, a Garnek za nim. Zszokowany Haelan patrzył przez chwilę, jak oba psy znikają w ciemnościach, a potem wyczołgał się z kryjówki w ślad za nimi. Biegł, przeklinając przez cały czas, aż zdołał pochwycić zerwaną smycz Buddaia i owinąć ją sobie wokół ręki.

Buddai uspokoił się na moment, gdy dotarli na dziedziniec. Być może odgłosy wydawane przez strażników i trzaskający głośno ogień przypominał mu, że w każdym kącie czyha śmierć. Tak przynajmniej było do chwili, gdy ujrzał postać w oknie. Uniósł szeroki pysk i pociągnął kilkakrotnie nosem, po czym zaskomlał i znów rzucił się do biegu. Haelan nie zdołał go nawet spowolnić, nie mówiąc już o powstrzymaniu.

– Haelan, co ty tu robisz? – szepnęła Cywen.

– Gonię psy – odparł chłopiec równie cicho, zerkając to na nią, to na ogień, migoczący za rogiem.

Dziewczyna uśmiechnęła się i potargała Buddaia za kark.

– Nie o to mi chodziło! Jak ci się udało ocalić życie? Gdzie się chowasz? Jesteś sam? Co Buddai robi przy tobie? – nabrała tchu, powstrzymując kolejne pytania.

– Tu nie jest bezpiecznie! – syknął Haelan. – Chodź ze mną!

Chciał ruszyć, ale Cywen złapała go za nadgarstek.

– Opowiem ci o wszystkim, obiecuję, ale nie tu! – powiedział chłopak.

Przez moment spoglądał na rozgwieżdżone niebo oraz księżyc, po czym się wzdrygnął. Cywen skinęła głową.

– Za mną! – szepnął i rzucił się do biegu.

Przemykali po szerokich ulicach, trzymając się ścian zabudowań i głębokich cieni, aż dotarli na niewielkie podwórze, na którym rósł gruby, masywny dąb. Jego korzenie rozsadzały kamienne płyty, którymi je wyłożono. Haelan wniknął w cień rzucany przez drzewo i wskoczył do dziury, która prowadziła do jego podziemnej kryjówki. Z każdym zrobionym krokiem jego poczucie bezpieczeństwa rosło.

– Tędy! – szepnął do dziewczyny, gdy ześlizgiwali się po zboczu wysokości dorosłego mężczyzny. Stamtąd mogli skręcić w prawo bądź w lewo. Z lewej dobiegał znajomy smród, na który Haelan nie zwrócił szczególnej uwagi, choć Cywen zmarszczyła nos i zasłoniła usta dłonią.

– Fuj! – szepnęła.

Haelan potwierdził mruknięciem i skręcił w prawo. Podążali teraz tunelem wygrzebanym wzdłuż wijącego się korzenia, tak niskim i wąskim, że musieli przedzierać się na czworakach. Niebawem Haelan usłyszał znajome skomlenie i ujrzał błysk światła. Uśmiechnął się.

Znaleźli się w jamie szerokiej na pięć, sześć kroków i długiej na tuzin. Na przeciwległej ścianie widać było kolejny odcinek wąskiego tunelu, ciągnącego się wzdłuż korzenia dębu. Źródłem światła w niewielkiej komorze była miska z olejem, w której unosił się zapalony knot.

Wśród cieni ujrzał dwie twarze – Swaina oraz Sif, dzieci Wulfa – oraz sześć kłębków futra. Szczeniaki Buddaia i Burzy podskakiwały i łaśliły się, ciesząc się z jego powrotu. Na ich widok chłopak raz jeszcze uzmysłowił sobie, jak bardzo urosły. Miały zaledwie pięć czy sześć księżyców, ale już były większe od Garnka, a ich karki i klatki piersiowe pęczniały od mięśni.

Jak u Buddaia, pomyślał Haelan. Pewnie nie będą tak wielkie jak Burza, ale wystarczająco spore, a do tego muskularne i silne. Nie ma

co do tego wątpliwości.

– Uspokójcie się! – Sif ofuknęła skaczące po niej szczenięta. Dziewczynka kuciała i bawiła się wysypanymi z worka kamykami i orzechami, z których część była biała od kredy. Co rusz unosiła je i turlała tak, że zderzały się o siebie.

Nadal nie rozumiem tej gry, ale dzięki niej Sif przynajmniej jest cicho przez cały księżyc, pomyślał Haelan.

Buddai i Garnek wpadli do komory, co wprowadziło szczenięta w jeszcze większe podniecenie, ale jeden z nich, suczka o kosmatej sierści i czarnym pyszczku, zamarła i wbiła wzrok w ciemność tunelu. Warknęła, pokazując małe, ale ostre ząbki.

– Cień! – upomniał ją Haelan i wyciągnął rękę ku psiakowi, ale ten nie przestawał warczeć.

Pozostałe przerwały zabawę i również wbiły wzrok w ciemność, przechylając łebki. Wyłaniającą się z mroku Cywen powitało warczenie całej szóstki.

Cień przypadła bliżej i napięła mięśnie, gotowa do skoku. Pozostałe, ze zjeżoną sierścią, wciąż warczące, zgromadziły się blisko niej. Haelan poczuł nagły przypływ paniki. Warknął na psy, ale został przez nie całkiem zignorowany.

Niespodziewanie między dziewczyną a szczeniętami pojawił się Buddai, który obnażył kły i warknął głucho. Szczenięta znieruchomiały, opuściły ogonki i zaczęły się cofać. Cień zaprotestowała ostatnim warknięciem, po czym i ona umilkła.

Dzięki niech będą Elyonowi, pomyślał Haelan.

– Myślałam, że się na mnie rzucą! – powiedziała Cywen z wyraźną ulgą, gładząc szeroki łeb Buddaia, po czym odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła śmiechem, w którym kryło się nieco szaleństwa. – Nie mogę uwierzyć w to, że wszyscy się tu schowaliście! – powiedziała, gdy atak wesołości minął. Usiadła i przytuliła Buddaia. Garnek oparł łapy o jej ramiona i polizał ją po uchu, a szczeniaki zbliżyły się i obwąchiwały ją ostrożnie.

Cywen wyciągnęła ręce ku Sif, która podeszła i niechętnie pozwoliła, by starsza dziewczyna ją objęła, ale po chwili siedziała już na jej kolanach i ścisnęła ją równie mocno.

– Jak się tu znaleźliście? – spytała Cywen.

– Kiedy bitwa... – zaczął Swain. – Kiedy wszystko się zaczęło, byliśmy tu, ze szczeniakami...

– Bo Corban kazał nam się nimi opiekować – powiedziała Sif z szeroko otwartymi, poważnymi oczami.

– Tak było, pamiętam – zgodziła się Cywen.

– I nie wiedzieliśmy, co zrobić – ciągnął Swain.

A ja byłem przerażony, pomyślał Haelan, przypominając sobie odległy zgiełk bitwy, wrzaski i okrzyki bojowe, dymy i płomienie. Bawił się wtedy z Cień, ale suczka usłyszała zamieszanie jako pierwsza. Zamarła i wbiła wzrok w dal, kładąc uszy po sobie.

– Buddai był na dole ze szczeniakami – ciągnął Swain. – Ale wybiegł, gdy zaczęły się walki. Szczeniaki pobiegły za nim. I my popędziliśmy za nimi, ale... Ale drogę zastąpił nam jakiś mężczyzna.

– Miał pierścienie w brodzie – dodała Sif.

– Tak. – W oczach Swaina pojawiła się mgła, gdy przypomniał sobie tę chwilę. – Chciał nas pozabijać, ale Buddai nas uratował.

– Rozerwał im gardło – dodała rzeczowo Sif.

– Zebraliśmy wszystkie szczenięta i nakłoniliśmy Buddaia, by wrócił razem z nami.

– Jak tego dokonaliście? – spytała Cywen.

Dzieci milczały przez moment.

– Uszczypnąłem jednego szczeniaka. Wykręciłem mu ucho, aż zaczął skamleć – wyznał Haelan, który nadal czuł winę z tego powodu. – Buddai wrócił tu w ślad za nami, po czym go przywiązaliśmy.

– Baliśmy się, że go zabiją – dodała Sif.

– Postąpiliście tak, jak należało – powiedziała Cywen, gładząc Sif po włosach. – Buddai na pewno zostałby zabity. Myślę, że uratowaliście mu życie.

Sif uśmiechnęła się i pokiwała głową. Wszystkie sześć szczeniąt przewyciężyło już swą niechęć i ocierało się o Cywen, obwąchiwało ją i skubało jej ubranie. Jeden pociągnął ją nawet za włosy, a dziewczyna odsunęła go odruchowo.

– A od tamtej chwili... – ciągnął Swain. – Cóż, po prostu się ukrywamy. Od czasu do czasu ja czy Haelan wymykamy się po coś do jedzenia i picia, a Garnek zdobywa pożywienie dla szczeniaków. Ciągle znika i wraca z czymś dla nich.

Sif skrzywiła się na te słowa, a Haelan przypomniał sobie, z czym Garnek wracał. Raz przyniósł ludzkie ramię, ale szczeniaki nie narzekały.

– A co się dzieje na górze? – Swain zwrócił się do Cywen.

– Jestem więźniem – odpowiedziała. – Zajmuję się chorymi i rannymi. Większość doszła do siebie bądź zmarła, ale wciąż mam kilku ludzi pod swoją opieką.

– A co z Corbanem? – spytał Swain. – I z tatą?

– Z Wulfem? Chyba uciekł – odparła Cywen, a Swain i Sif pochylili głowy i westchnęli z ulgą.

A z Tahirem? Co z moim przybocznym? I przyjacielem?, pomyślał Haelan.

Nie mógł wprost uwierzyć w to, że kiedyś Tahir doprowadzał go do szału. Ciągle ustanawiał surowe zasady, dokąd chłopcu wolno chodzić i czym się może zajmować.

A ta jego gadanina o tym, co mawiała jego matka... Ech, ile ja bym dał, by teraz usłyszeć jedną z tych historyjek.

– A Tahir? – zapytał.

– Twój przyboczny? Nie wiem. – Cywen wzruszyła ramionami. – Panowało ogromne zamieszanie, ale wielu uciekło – dodała głosem pełnym nadziei. – I skryli się w Fornie, gdzie nadal walczą.

– Skąd wiesz, skoro jesteś więźniem? – spytał podejrzliwie Haelan. Chciał usłyszeć jakieś dobre wieści, ale nie życzył sobie, by go okłamywano i traktowano jak dziecko.

– Dziś rano do Drassil wrócił patrol Vin Thalun. Widziałam ich na własne oczy. Rannych i zabitych mieli więcej niż żywych.

– Ha! – zaśmiał się Swain. – To na pewno robota mego ojca.

– Bez wątpienia – rzekła Cywen.

– I co teraz? – spytał Haelan.

– Mogłabyś zostać z nami – oznajmiła Sif.

– Niestety, nie mogę – odparła Cywen. – Nie mogę porzucić moich pacjentów. Poza tym, jeśli Calidus zauważy, że mnie nie ma, wywróci Drassil do góry nogami, by mnie znaleźć. Mógłby wówczas odnaleźć was.

– Dlaczego miałyby cię szukać? – spytała Sif.

– Bo jestem siostrą Corbana. Calidus wierzy, że Corban przybędzie, by mnie odbić. Jestem przynęta.

– A przybędzie? – Trójka dzieci spytała jednocześnie.

– Nie wiem. – Cywen pokręciła głową. – Zrobił to, gdy po raz pierwszy wpadłam w niewolę Calidusa.

– Ale jeśli to pułapka... – Haelan urwał.

Wówczas Corban nie może przybyć, pomyślał. On jest naszą nadzieją.

Haelan uwielbiał Corbana i podziwiał go jako największego wojownika i najlepszego przywódcę, jakiego świat widział.

– A więc musisz uciekać, nim Corban tu wróci!

Przez usta dziewczyny przemknął uśmiech, poważny i pełen zdecydowania.

– Też tak sędzę – odparła. – Sęk w tym, że nie wiem, jak się do tego zabrać. Co więcej, wiem teraz o was. – Znów się uśmiechnęła. – Musicie uciec razem ze mną albo Calidus was odnajdzie, gdy jego ludzie zaczną przetrząsać fortecę.

Haelan poczuł zarówno ekscytację, jak i lęk na samą myśl o tym.

Chcę uciec stąd, powiedział sobie. Chcę znaleźć się daleko od niebezpieczeństw i pozostawić za sobą codzienne lęki przed odkryciem i złapaniem. Ale z drugiej strony ta nora zapewniała nam bezpieczeństwo przez cały księżyc!

– A skoro już o tym mówimy, muszę wracać do lazaretu. Niedługo wstanie słońce – rzekła Cywen.

Sif przytuliła ją mocniej, a Cywen odwzajemniła uścisk.

– Nie macie pojęcia, jak bardzo się cieszę, że żyjecie – powiedziała. – A mój Buddai...

Otoczyła ramionami psi kark i ucałowała go.

– Wkrótce wrócę – obiecała, pożegnała się z chłopcami, wytarłszy szczeniaki i raz jeszcze przytuliła Sif. Ostro nakazała

Buddaiowi, by za nią nie szedł i znów zagłębiła się w ciemność tunelu. Pies zaskomlał, ale nie ruszył z miejsca. Dziewczynę odprowadził jednak Haelan i wnet oboje znaleźli się przy niewielkim zboczu, prowadzącym na dziedziniec. Blask księżyca wskazywał im drogę.

– Co to za zapach? – Cywen zmarszczyła nos, wpatrzona w dziurę, z której dolatywał. – Poznaję go – dodała po chwili, a wyraz jej twarzy zmienił się nieco. Zagościł na niej lęk. – Czy to tunel?

– Tunel – powiedział chłopak i przypomniał sobie, jak próbował się tam kiedyś zapuścić, lecz szybko się wycofał. – Jest za wąski.

Co ciekawe, szczeniaków jakoś nigdy tam nie ciągnęło, pomyślał.

– To dobrze – powiedziała Cywen, rozluźniając się nieco.

– Dlaczego?

– Bo ja znam ten zapach. Myślę, że tam są draigi.

Rozdział dwudziesty drugi

CORBAN

Corban siedział na grzbiecie ogromnego niedźwiedzia, ściskając obiema rękami wysoki łęk siodła. Zwierzę gnało nowo wybudowaną drogą, która niczym włócznia przecinała gąszcz i zarośla Fornu.

To droga Jaela, którą zaczął budować niemalże przy osadzie Gramma, by na czele swego hufca dotrzeć do Drassil, pomyślał Corban.

Niedźwiedź mknął zaskakująco szybko, każdego dnia połykając wiele mil. Corban miał obolałe nogi, gdyż siodło, w którym go posadzono, nie było przystosowane do ludzkiego ciała.

Tęsknię za Tarczą, pomyślał, nie po raz pierwszy.

Las się przerzedzał, a teren się zmieniał. Przez szczeliny w koronach drzew wnikało coraz więcej światła słonecznego, a pnącza i kolczaste krzewy ustępowały już miejsca trawom i dzikim kwiatom. Niebawem ujrzał pierwsze pniaki po ściętych drzewach, a potem stosy drewna.

Zbliżamy się do osady Gramma, uświadomił sobie.

Z każdą pokonaną milą i z każdym minionym dniem był coraz bardziej przybity. Po tym jak Meical wyznał mu prawdę o przepowiedni, Corban popadł w najczarniejszą rozpacz, ale siłą dodała mu nadzieja na rychłe spotkanie z Cywen i przyjaciółmi. Tak, dla tego warto było żyć. O to warto było walczyć. Teraz wiedział, że z każdym uderzeniem serca coraz bardziej się od nich oddalał, o ile wciąż żyli, a jego rozpacz powoli przeistaczała się w gniew. Przed oczami widział znienawidzone twarze.

Calidus. Nathair. Ildaer. Rhin. Meical.

Zastanawiał się nad ucieczką, ale musiał pogodzić się z tym, że choćby zdołał się wyzwolić z więzów i umknąć olbrzymom, nie zdołałby przejść nawet pół mili. Mimo iż od jego pojmania upłynął cały księżyc, rany nadal mu dokuczały.

Ale może niebawem..., przemknęło mu przez myśl.

W żebrach odczuwał tępy ból, który wciąż czasami wyostrzał się, gdy przeciągnął się za mocno bądź obrócił gwałtownie. O wiele wolniej goiła się noga. Mógł już oprzeć na niej ciężar ciała, a nawet swobodnie chodzić, ale wciąż wiele brakowało do pełnego wyleczenia.

Tymczasem otaczało go około dwadzieścia olbrzymów na ogromnych niedźwiedziach, którym przewodził Ildaer. Po pierwszym przesłuchaniu Corban nie miał już okazji odbyć z nim dłuższej rozmowy. Gawędził jedynie z ich uzdrowicielką Halą oraz Varanem, jasnowłosym wojownikiem, który najwyraźniej pobierał od niej nauki.

– Poznajesz to miejsce? – zadudnił mu do ucha Varan. Olbrzym siedział za nim, pełniąc rolę jednocześnie towarzysza podróży oraz strażnika.

Corban nie odpowiedział.

Czy jeszcze kiedyś ujrzę moich przyjaciół?, zastanawiał się.

* * *

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy ujrzeli osadę Gramma. Ildaer zatrzymał oddział, by niedźwiedzie zaspokoily pragnienie przy strumieniu, a Corban zapatrzył się w znajome wzgórze, opromienione blaskiem zachodzącego słońca. Trudno mu było rozpoznać szczegóły, ale wspomnienia i tak bardzo mu ciążyły.

Śmierć Tukula. Rozpacz Gara i jego pojedynek z Ildaerem. Przegrana zaślepiętego żalem przyjaciela.

– Gniew jest wrogiem – wyszeptał mantrę, którą Gar powtarzał mu tysiące razy podczas wspólnych treningów.

Elyonie w niebiesiech, błagam, daj mu przeżyć, modlił się.

Nie brał pod uwagę innych scenariuszy. To, że Gar mógł zginąć, było dlań nie do przyjęcia.

On wciąż żyje. Musi żyć.

Ildaer wykrzyknął rozkaz i niedźwiedź Varana zerwał się do biegu. Corban nie bez satysfakcji zauważył, że ból w kolanie i piersi się wyciszył.

Brot Hali czyni cuda, pomyślał. Muszę koniecznie powiedzieć Brinie, by dodała do swojego gorzknika.

Szybko pokonywali dystans i niebawem Corban minął zagrody oraz łąki, na których ludzie Gramma wypasali niegdyś konie. Panowała tam teraz pustka. Płoty były połamane, a na zimnym wietrze z północy kołysała się długa trawa. Oddział olbrzymów wspinał się po łagodnym zboczach w stronę osady, zaopatrzonej teraz w nową bramę, szerszą i wyższą. Strzegły jej dwie masywne wieże, połączone kamiennym łukiem.

Wjechali na dziedziniec, gdzie powitały ich wiwaty. Olbrzymy skandowały imię Ildaera, tupały i uderzały włóczniami o kamień i drewno. Ildaer uniósł pięść ku niebu niczym wielki zwycięzca, a na jego obliczu pojawiła się duma.

Corban aż zamrugał z zaskoczenia. Nie widział tylu olbrzymów w jednym miejscu od czasu wtargnięcia do Murias. Na pierwszy rzut oka naliczył przynajmniej dwie setki, a inne zapewne uwijały się wśród zabudowań i na zboczach wzgórza.

Jeszcze większe wrażenie wywarło na nim to, co się stało z sadybą Gramma. Wielka budowla znikła bowiem bez śladu, spalona lub rozebrana, a wokół jej fundamentów uwijali się Jotun, zajęci wznoszeniem o wiele większej konstrukcji. Z ziemi wystawały już nowe fundamenty, a wielkość planowanego budynku zdradzały rozmiary drewnianego szkieletu, ciągnącego się po wzgórzu niczym kościec dawno zdechłego potwora. Wszędzie dookoła trwały podobne prace – dziesiątki zbudowanych przez ludzi stajni, szop, stodół i chat na łodzie znikło bez śladu, a w ich miejsce wznoszono o wiele większe.

– Co wy tu robicie? – Corban zwrócił się do Varana, który zsunął się z siodła i zeskoczył na ziemię z głośnym łupnięciem.
Olbrzym uśmiechnął się i pomógł Corbanowi zejść.
– Wprowadzamy się – odparł.

* * *

Następnego dnia rano Corban obudził się w kamiennej komnacie. Wciąż pamiętał resztki snu o Coralen. Całowała go... A może to on ją całował?

Nie, to na pewno była ona.

Zamknął oczy, próbując zatrzymać wspomnienie ich stykających się ust. Przez moment wydawało mu się nawet, że czuje jej zapach oraz woń jabłek w jej oddechu.

Powinienem był z nią pogadać po tym, jak pocałowała mnie w Drassil, zamiast bredzić jak idiota. Ileż bym dał, by móc ujrzeć ją ponownie, by móc z nią porozmawiać.

Sen znikł bez reszty i nie było sensu się nad nim roztkliwiać, jak by to ujęła Brina.

Przespał tę noc na kamiennym łożu, wyścielonym wypchanym słomą materacem, a mimo to czuł się zeszywniały i zdrętwiały z zimna, gorzej niż po nocy spędzonej między korzeniami drzew w Fornie. Usiadł na skraju łóżka i obadał palcami żebra. Zadowolony z wyniku, przyjrzał się gojącej się nodze.

Tu też nie jest źle, pomyślał i powoli, ostrożnie przeniósł na nią większy ciężar. Noga była sztywna i pulsowała tęnym bólem, który jednakże nie eksplodował już gwałtownie jak wcześniej.

Cóż, dobrze więc. Jeśli mam kiedykolwiek powrócić do przyjaciół i znów stanąć do walki, muszę odzyskać pełną sprawność.

W ciemnościach, które spowiły świat, zamigotała iskierka nadziei. Corban ostrożnie podszedł do wielkich dębowych drzwi i uchylił je, by wyjrzeć na zewnątrz.

W osadzie nadal panowała gorączkowa krzątanina – olbrzymy były zajęte codziennymi obowiązkami bądź przebudową sadyby.

Drewniana palisada znikła krok po kroku, a zastępował ją nowy mur z wielkich głazów. W chwili obecnej osiągnął wysokość dorosłego mężczyzny, ale na oczach Corbana przez tylną bramę wjechał z hurkotem ogromny wóz, wzbijając chmury pyłu. Był wyładowany po brzegi świeżym budulcem.

Zamierzają być tu długo, pomyślał. Oni nie świętują po udanym wypadzie. Oni się tu osiedlają! Budują dla siebie nowy dom!

Padł na niego cień. Corban odwrócił się i ujrzał Varana w towarzystwie Hali.

– Jak noga? – zapytała uzdrowicielka, zagoniwszy go z powrotem do komnaty.

– Lepiej – rzekł. – Choć nie sądzę, bym miał niebawem zacząć biegać.

– Ręce na bok, barki wysoko – rozkazała Hala, a gdy Corban wypełnił polecenie, olbrzymka nakazała mu skrócić tułów w obie strony. Młodzieniec znów był miło zaskoczony faktem, że nie czuje bólu.

– Siadaj – poleciła mu Hala i zaczęła oglądać jego kolano.

W trakcie oględzin otworzyły się drzwi i do środka wszedł Ildaer. Towarzyszył mu rudowłosy olbrzym z toporem na plecach.

– *Is ga dom a labhairt leis an priosunach* – rzekł Ildaer.

– *Fan do sheal* – mruknęła Hala.

Ildaer zmarszczył brwi i skrzyżował ramiona na piersi. Stał i wpatrywał się w Corbana z niechęcią. Rudzielec zaś z trudem panował nad swą nienawiścią.

– Nie wygląda źle – odezwała się Hala. – Ale zgadzam się, żadnego biegania. I nie rezygnuj z brotu.

Corban skrzywił się, ale pokiwał głową. Hala burknęła coś pod nosem i wyszła, a Varan razem z nią.

– Pora na kolejną rozmowę. – Ildaer zwrócił się do Corbana, nadal siedzącego na łóżku, po czym przysunął sobie krzesło i spoczął na nim. Zdjął topór z pleców i ułożył go sobie na kolanach.

Varan wrócił i oparł się o ścianę przy wejściu.

– Jesteś moim jeńcem – zaczął Ildaer – ale również moim gościem. Nie będę przykuwał cię do ściany ani wrzucał do jamy w ziemi.

Będziesz mieszkał wśród nas i będzie ci wolno chodzić gdziekolwiek zechcesz, byleby w granicach tej osady.

Corban musiał dać po sobie znać, że słowa Ildaera go zaskoczyły, gdyż olbrzym urwał i uniósł brew.

– Co takiego? – spytał.

– Nic – odparł chłopak. – Jestem zdziwiony i tyle.

– Nie jesteśmy dzikusami. – Ildaer wzruszył ramionami. – A poza tym okazałeś się godnym przeciwnikiem. Usiekłeś naszych rodaków, którzy cieszyli się reputacją groźnych wojowników. Zasłużyłeś na nasz szacunek.

Olbrzymy często okazują się inne, niż się wydają. Bardziej złożone, pomyślał Corban.

– Dziękuję – odparł.

– Ha! – burknął Ildaer. – Nie myśl sobie, że nie połamię ci nóg, jeśli spróbujesz ucieczki, a Mort lub Varan nie opuszczą cię ani o krok.

Rudowłosa olbrzym zmierzył więźnia kamiennym wzrokiem.

A to już gorsze wieści, przemknęło Corbanowi przez myśl.

– Powróćmy więc do pytań, które zacząłem ci zadawać jeszcze w Fornie.

– Nadal coś za coś? – spytał Corban.

– Możesz zadawać pytania, ale odpowiem ci tylko, jeśli uznam to za stosowne. Przybyłem do Drassil przekonany, że ujrzę armię Jaela szturmującą mury lub nawet jego zwycięski proporzec na murach, a zamiast tego dopatrzyłem się srebrnego orła na czarnym polu.

– Tak – westchnął Corban. Znów zrobiło mu się niedobrze na myśl o tym, że nie miał okazji nikomu pomóc. Że nie walczył u boku przyjaciół. – Srebrny orzeł. To proporzec Nathaira, króla Tenebralu – dodał bez emocji.

– A co z Jaelem?

– Jego armia została rozgromiona dziesięć dni wcześniej. Umknął do Fornu z garścią niedobitków. Pewnie już nie żyje.

Ildaer wyprostował się i zmarszczył brwi.

– Mogę teraz ja o coś spytać?

Olbrzym machnął dłonią, co oznaczało, że nie ma nic przeciwko.

– Chodzi mi o Balura Jednookiego. Ujrzałeś go podczas bitwy o osadę Gramma. Zamieniliście kilka słów. Znałeś go?

Ildaer zmrużył oczy i przez dłuższą chwilę Corban miał wrażenie, że nie usłyszy odpowiedzi.

– Tak. Znam Balura czy raczej znałem kiedyś. Był już stary w czasach mego dzieciństwa. – Z półprzymkniętymi oczami pochylił się na krześle. – Balur jest wrogiem ludzi. Co sprawiło, że znalazł się w twoim towarzystwie?

Corban pomyślał o swoim pierwszym spotkaniu z Balurem w podziemiach pod Murias, o ich długiej podróży do Drassil, wspólnych treningach i jego dudniącym śmiechu. Pamiętał, jak olbrzym wypadł z bram Drassil, by go wesprzeć, gdy na Corbana pędziło wojsko Jaela. Pamiętał też ich ostatnie spotkanie i rozmowę przed szkieletem króla Skalda na tronie Drassil. Jednooki opowiedział mu wówczas o tym, że był kiedyś pierwszym mieczem króla Skalda i przyznał się, że wolał go zgładzić, niż wypełnić jego rozkaz i udusić królową Nemain, noszącą Ethlinn, dziecko Balura.

– Spotkałem się z nim w Murias, na dalekiej północy Benothu. Mieliśmy wspólnego wroga, a więc zostaliśmy sojusznikami i towarzyszami – rzekł młodzieniec.

– Balur zabił wielu, bardzo wielu ludzi – powiedział Ildaer. – Opowieści o wydarzeniach, które wy nazywacie Wielkimi Wojnami, kiedy to Benothi zostali wygnani ze swoich twierdz i zmuszeni do ucieczki na północ, pokazują, że nienawidzi ludzkiej rasy.

– Mogę ci opowiedzieć jedynie o tym, co widziałem – odparł Corban. – A życie wcale nie jest takie proste, prawda? Trudno o dwóch identycznych ludzi i przekonałem się, że to samo można powiedzieć o olbrzymach. Wszyscy jesteśmy zdolni zarówno do czynienia zła, jak i dobra, zarówno do życzliwości, jak i do okrucieństwa. – Wzruszył ramionami i dodał: – Balur Jednooki to mój przyjaciel.

– Balur Jednooki to zdrajca i krzywoprzysięzca. Zabił Skalda, najwyższego króla. Zamordował go, choć miał go bronić. Plwam na jego imię.

Mort burknięciem wyraził aprobatę.

– Ale widziałeś go tu i jakoś nie pluć – rzekł Corban. – Uciekałeś, aż się kurzyło.

Ildaer warknął i zacisnął pięść.

– *Coinnigh* – odezwał się Varan. – *Hala ni bheadh a chadu.*

Ildaer znieruchomiał, po czym rzekł:

– Nie myśl sobie, że znasz się na olbrzymach.

– Nic takiego nie powiedziałem – rzekł Corban. – Ale znam Balura i niektórych innych Benothi. Ethlinn...

To imię wywarło na nich wielkie wrażenie. Wszyscy trzej wpatrywali się w niego, jakby przed chwilą oznajmił, że zjadł śniadanie z Elyonem Stwórcą.

– A więc ona żyje? – spytał Ildaer.

– Tak, żyje. I również łączy nas przyjaźń.

Ildaer usiadł i przyglądał się Corbanowi przez chwilę. W komnacie zapadła cisza, aż w końcu olbrzym poruszył się na krześle.

– Opowiedz mi o tym Nathairze. Czy to też twój przyjaciel?

Na dźwięk tego imienia przez twarz Corbana przemknął grymas.

– Nie – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Nie, nie jest nim. Nathair sprzymierzył się z Calidusem, który jest ucieleśnionym Kadoshim. Obaj są moimi wrogami.

– A mimo to władają Drassil. Czyżbyś stamtąd uciekł? – zadrwił Ildaer.

– Po co mnie tu ściągnęliście? – spytał Corban. – Czemu ja nadal żyję?

– Bo serce mi mówi, że przedstawiasz sobą jakąś wartość. Masz przyjaciół, ale i wrogów. – Jotun wzruszył ramionami. – Może oddam cię Nathairowi i przekonam się, ile zdołam z takiego układu wyciągnąć. Może uczynię z niego mojego dłużnika?

– A więc czemu jeszcze tego nie zrobiłeś? Przecież byliśmy przy Drassil, a Nathair był niedaleko – spytał Corban, choć lęk przeszył jego serce na samą myśl o tym, że Jotun mogliby go oddać Nathairowi i Calidusowi jak związanego ptaka. Z drugiej strony, na wspomnienie ich twarzy poczuł rodzący się w nim gniew.

– Zostałem ranny. – Ildaer dotknął ramienia, w które wbiła się włócznia Atiliusa. – Przed ludźmi takimi jak Jael czy Nathair nie wolno okazywać słabości – powiedział surowo, jakby napominał sam siebie. – Poza tym nie znam tego Nathaira. Poznałem Jaela, bo układałem się z nim wcześniej. Zawarliśmy umowę i poznałem jego wartość. Niemniej Jael nie żyje, jak powiadasz. Ów Nathair zaś... Niechętnie przekonuję się do obcych.

A więc jest ostrożny i nieufny. Dobrze, pomyślał Corban.

– Nie wolno ci wchodzić w układy z Nathairem i Calidusem. Ci ludzie nie mają krzty honoru. To kłamcy, którzy będą się do ciebie uśmiechać, a jednocześnie wbiją ci sztylet w plecy – rzekł.

– Jesteś ich wrogiem – parsknął Ildaer. – Nic dziwnego, że tak mówisz.

– Nie sprzymierzaj się z nimi. Nie stawaj po ich stronie. To wielki błąd.

– Jesteśmy Jotun. Nie stoimy po niczyjej stronie.

Corban pokręcił głową.

– Rozpoczęła się Wojna Bogów i dawne zasady przestały działać. Wszyscy muszą opowiedzieć się po jakiejś stronie – rzekł. – Jeśli nie opowiesz się przeciwko Asrothowi, to tak, jakbyś już wybrał jego stronę. To, że nie podejmujesz żadnych decyzji, w żaden sposób cię nie wyklucza, a decyzja zostaje podjęta za ciebie. Jeśli chcesz, siedź z założonymi ramionami, proszę bardzo, ale to od razu stawia cię po stronie Asrotha. Co więcej, wychodzisz w ten sposób na tchórza, bo nie masz nawet tyle odwagi, by się do tego przyznać!

Ildaer wstał gwałtownie, przewracając krzesło za sobą. Zacisnął dłonie na młocie i stanął nad Corbanem.

– Och, człowieczku! – warknął. – Jakże łatwo byłoby cię zabić! Dla samej przyjemności rozwalenia ci łba. I niech szlag trafi wszystko to, co mógłbym dzięki tobie uzyskać!

– Nie krępuj się więc! – Corban wbił w olbrzyma wściekły wzrok.

Ildaer odpowiedział mu równie gniewnym spojrzeniem. Jego wąsiska aż dygotały z oburzenia, ale w końcu zarzucił młot na ramię.

– Może kiedy indziej – oznajmił. – A więc ty obrałeś stronę Elyona?

– To wróg mego wroga – odparł Corban i wzruszył ramionami. Balur zwrócił się do niego tymi samymi słowami w Murias.

– To nie odpowiedź – zagrzemiał Ildaer. – Dla kogo walczysz, jeśli nie dla Elyona?

– Dla moich bliskich i przyjaciół. Nie chcę, by ktokolwiek z tych, których kocham, został zniewolony bądź zamordowany. Widziałem Kadoshim. Widziałem jedynie część tego, do czego są zdolni, i przeraziło mnie to do granic. Walczę przeciwko nim. Przeciwko chaosowi i przemocy. Walczę o naszą wolność.

Czuł, jak jego gniew powoli przygasa. Nienawidził Ildaera i nie mógł wymazać z pamięci chwili, gdy ten odebrał życie Tukulowi, ale widział w nim również przywódcę, który mógł poprowadzić swych pobratymców przez mętne, niebezpieczne wody.

Boi się, pomyślał. Nie chce dokonać niewłaściwego wyboru i skazać swego ludu na nieszczęście, a więc nie podejmuje żadnej decyzji, czym tak czy owak ich skazuje.

– Próbowałem uciec przed tym wszystkim – mówił dalej. – Próbowałem uciec przed Nathairem i Calidusem, ale to przecież Wojna Bogów, a przed nią nie ma ucieczki. Dogoniła mnie i zmusiła do walki. Z wami też tak będzie. Całe Ziemie Wygnanych przeistoczą się w pole bitwy.

– Ja nie uciekam. Ja się przygotowuję – rzekł Ildaer. – Dokończymy tę rozmowę kiedy indziej.

Wstał i wyszedł z komnaty. Varan stał jeszcze przez długą chwilę i wpatrywał się w Corbana z obcym i nieprzeniknionym obliczem, aż odepchnął się od ściany i wyszedł. Mort podniósł krzesło, usiadł na nim i wyciągnął długie nogi. Wbił spojrzenie w więźnia.

Corban wstał i podszedł do drzwi.

– A ty co robisz? – zapytał olbrzym w mowie ludzi, którą posługiwał się z ciężkim akcentem. Każde słowo brzmiało, jakby jednocześnie żuł coś paskudnego.

– Idę na spacer – odparł Corban i otworzył drzwi.

Powitał go ostry blask słońca, stukot młotów i wykrzykiwane głośno instrukcje. Stał przez moment nieruchomo, po czym wyszedł na światło dnia.

Zaczął od powolnego, ostrożnego spaceru dookoła dziedzińca. Sprawdzał wytrzymałość zagojonej nogi i starał się jej nie forsować, uważnie przyglądając się terenowi, po którym stąpał. Ze szczytu wzgórza roztaczał się szeroki widok. Corban szedł powoli przed siebie, rozmyślając o rozmowie, którą odbył z Ildaerem, i czując na sobie cień podążającego za nim Morta.

A więc jestem kartą przetargową, myślał. I pewnie zostanie przekazany na tacy Nathairowi i Calidusowi. Nie mam wyboru. Muszę stąd uciec.

Jego uwagę przyciągnął jakiś hałas. Uniósł głowę i ujrzał pokrzykujące olbrzymy, które wskazywały sobie jakiś wielki, spowity kłębam pyłu oddział po drugiej stronie rzeki i machały ku niemu. Po chwili był już w stanie rozpoznać poszczególne kształty – niedźwiedzie, setki niedźwiedzi, a każdy z jeźdźcem na grzbiecie. Słońce odbijało się w ostrzach włóczni i ogniwach kolczug. Za niedźwiedziami widać było dziesiątki, jeśli nie setki wozów oraz tłumy olbrzymów wędrujących pieszo.

– Kto to? – szepnął Corban.

– To Jotun – odpowiedział Mort. W jego głosie pojawiła się duma i... I coś jeszcze.

Ekscytacja?

– A prowadzi ich nasz król – dodał olbrzym.

Rozdział dwudziesty trzeci

MAQUIN

Maquin wyszedł z tunelu i zamrugał, przez moment oślepiiony. Znalazł się w samym środku cichego półmroku lasu Forn, ale po ciemnościach panujących w tunelu miał teraz wrażenie, że trwa najjaśniejszy dzień w jego życiu.

Po pokonaniu hufca Gundula zebrali w zdobytym obozie mnóstwo zapasów, które załadowali na wozy. Dzięki pomocy ludzi z Drassil, napotkanych przez Fidele oraz zwiadowców Albena zdołali szybko odszukać stary tunel olbrzymów, prowadzący do twierdzy. Podróżowali nim przez ponad księżyc w wilgoci, chłodzie i niemalże całkowitych ciemnościach, aż wyszli na powierzchnię przez boczny korytarz, nie chcąc podejść za blisko do Drassil.

Za plecami Maquina wyłonili się inni: Alcyon, Raina i Tain, a także Veradis z wojownikami, którzy walczyli pod jego dowództwem na trakcie. Maquin słyszał już o tym, jak mur tarcz pod dowództwem młodzieńca wytrzymał napór przynajmniej trzykrotnej przewagi wroga, a potem rozbił go w natarciu. Słyszał też o tym, jak Veradis skrzyknął następnie swych ludzi i stawiał zacięty opór Kadoshim, którzy o mało ich nie rozbili.

Niezły wyczyn, pomyślał. Hufiec Gundula liczył parę tysięcy wojowników, a my straciliśmy tylko setkę ludzi. Gundul padł, a armia Carnutanu została rozbita. Co więcej, Jael nie żyje.

Za każdym razem, gdy Maquin wracał do tej chwili myślami i uświadamiał sobie, że wypełnił obietnicę daną Kastellowi, czuł

w sercu niezwykłą lekkość, zupełnie jak dziecko, które budzi się w dniu swojego imienia.

Wypełniłem przysięgę, powtarzał sobie.

Czuł, że się uśmiecha, choć wspomnienie Kastella nadal budziło ból w jego sercu.

Brakuje mi cię, przyjacielu, myślał.

Z tunelu wyłonił się Alben, pogrążony w rozmowie z ludźmi, na których natknęli się w puszczy.

Dobrze, że ich mamy. Pomogą nam odnaleźć hufiec Jasnej Gwiazdy.

Maquin ruszył w ślad za starym zbrojmistrem. Wspólnie z dwoma tuzinami wojowników ostrożnie przeczesali okolicę wokół tunelu, z którego wyłaniała się reszta hufca.

Lepiej, żeby nas teraz nikt nie zaatakował, pomyślał.

Minęło sporo czasu, zanim hufiec przygotował obozowisko – trzeba było oczyścić teren, wykopać jamy na paleniska i rozłożyć broń.

Fidele dostrzegła go na skraju obozu i ruszyła ku niemu, eskortowana przez kilku nowych przybocznych. Jak zwykle na jej widok Maquin poczuł, że zapiera mu dech w piersiach. Z przyjemnością patrzył, jak kroczy ku niemu, a ona dostrzegła jego spojrzenie i uśmiechnęła się doń nieśmiało.

Jak w ogóle do tego doszło? Ja i Fidele, pomyślał i parsknął śmiechem ku koronom drzew. Znaleźliśmy się w samym sercu lasu Forn z wrogiem sprzymierzonym z Kadoshim. Mamy przeciwko sobie ogromną przewagę, czeka nas tylko ból i śmierć, a mimo to nie pamiętam, bym kiedykolwiek był tak szczęśliwy.

Gdy Fidele podeszła bliżej, Maquin ujął jej dłoń i ucałował ją. Uśmiechnęła się i pogładziła go po policzku, a potem wtuliła się w niego. Objął ją, a kątem oka ujrzał, że jej nowi przyboczni wyglądają na nieco dezorientowanych i zakłopotanych.

A niech ich szlag, pomyślał. Skoro Fidele się nimi nie przejmuje, to ja też nie mam zamiaru.

– A więc, moja pani – powiedział po chwili, gdy odsunęli się od siebie. – Wygląda na to, że słońce nadal świeci.

– Pora się pożegnać z tym tunelem – odparła i się wzdrygnęła.
– Tak. A teraz ruszamy prosto na Drassil.
– Tak – szepnęła, a na jej twarz wpłynęła zaduma.
Maquin ujrzał ból i troskę w oczach ukochanej.
– Tam, gdzie Nathair – powiedział na głos to, o czym myślała.
– To prawda – zgodziła się. – I Lykos – dodała po chwili. Wciąż nie potrafiła mówić o nim bez nienawiści w głosie.

I trudno się jej dziwić, pomyślał Maquin. Sam czuł przypływ wściekłości na wspomnienie o władcy Vin Thalun i wyrządzonych przez niego krzywdach, o których Fidele odważyła się mu opowiedzieć. Przez umysł wojownika przemknęły przebłyśki własnych cierpień, płomieni i bólu zadanego przez ostrze noża i rozżarzony pręt do piętnowania. Odruchowo dotknął znamienia, które Lykos wypalił mu na ramieniu.

Lykos, pomyślał. Kolejny łajdak, którego mam zamiar zabić przed końcem tej wojny.

* * *

Maquin zerknął przez szparę w zaroślach i wypuścił powietrze z sykiem.

– A więc to jest Drassil – wymamrotał.

Przez wiele lat słyszał o tym miejscu jedynie w starych opowieściach, które snuto w zimne noce przy trzaskającym ogniu i przekazywanym naokoło bukłaku z miodem. Nigdy nawet do głowy mu nie przyszło, że zobaczy twierdzę na własne oczy.

Przed sobą widział szeroką równinę, skrupulatnie oczyszczoną z drzew i zarośli.

Strefa śmierci dla każdej atakującej armii, pomyślał.

Na środku równiny wznosiła się potężna forteca z wysokimi murami i mocną bramą z wrotami wykonanymi z dębowego drewna. Nad murami wznosiły się wieże, ale nad nimi górował ogromny, oszałamiająco gruby pień gigantycznego dębu, tak wielki, że Maquin w pierwszej chwili nie wiedział, na co patrzy. Gałęzie

dębu rozciągały się we wszystkie strony nad zabudowaniami niczym starożytny obrońca.

Drassil i jego wielkie drzewo. Niezły widok, trza przyznać, pomyślał Maquin i spojrzął na towarzyszy: Albena, paru zwiadowców i Alcyona, który dołączył do nich. Wszyscy wydawali się wstrząśnięci widokiem, nawet olbrzym. Z obojętnością na twierdzę patrzyli tylko wojownicy, którzy odnaleźli ich w lesie, a potem pokazali im drogę w głąb Fornu.

W końcu już ją widzieli, przemknęło Maquinowi przez myśl. Ba, żyli w niej.

Ich przewodnicy utrzymywali, że ich własny obóz często zmieniał miejsce. Najlepszym sposobem trafienia do niego było więc zbliżenie się do Drassil i odnalezienie którejś z grup zwiadowczych.

Nad bramą powiewał proporzec ze srebrnym orłem na czarnym tle.

A więc tak oto spełniają się nasze najgorsze obawy, pomyślał Maquin. Nathair przejął fortecę. Czy został ktoś, z kim można jeszcze się sprzymierzyć? Jeśli nie, to pokonaliśmy całą tę drogę na marne.

Na jego oczach bramy Drassil rozchyliły się powoli. Skrzypienie drewna i dudnienie żelaznych zawiasów poniosło się po równinie. Ze środka wyłonili się jacyś ludzie – przynajmniej setka – którzy ruszyli na południe, w stronę lasu. Gdy znaleźli się bliżej, Maquin zauważył, że część z nich to wojownicy w czerni i srebrze Tenebralu z długimi tarczami, przemieszani z mniej zdyscyplinowaną gromadą w skórzanych pancerzach, uzbrojoną w okrągłe puklerze i krótkie miecze, noszone przy biodrze.

To Vin Thalun, uświadomił sobie i odruchowo odsłonił zęby. Może sam Lykos nimi przewodzi?

Nim się zorientował, prześlizgiwał się już bezszelestnie między drzewami, podążając w tym samym kierunku co ludzie na równinie. Za sobą słyszał szelest kroków, co oznaczało, że przynajmniej część jego grupy podążyła za nim.

Patrol wroga wniknął w las na południu i podążał starą, niemalże zarośniętą ścieżką, wijącą się przez labirynt masywnych, dostojnych drzew.

– Co ty wyczyniasz? – szepnął mu do ucha Alben.

Wojownik-uzdrowiciel przekradał się równie sprawnie jak on, uważając, by nie zwrócić na siebie uwagi. Alcyon przemykał kilka kroków za nimi.

– Jest ich za dużo jak na nas!

– Wiem, ale ciekawi mnie, co robią – szepnął Maquin. – Po co wyszli z twierdzy?

– Dobre pytanie – mruknął Alben.

Szli za nimi jeszcze przez chwilę i odkryli, że w gęstwinie leśnej wycięto nowe ścieżki. Patrol co rusz się zatrzymywał – Tenebralczyki ustawiali wówczas krąg tarcz, a Vin Thalun brali się do wycinania następnej połączy lasu.

– Może próbują zbudować kolejną drogę z Drassil? Tak jak Gundul? – szepnął Alben, gdy we trójkę zalegli na skraju skarpy i wpatrywali się w poczynania wroga.

Maquin burknął w odpowiedzi. Przyglądał się uważnie Vin Thalun, próbując dopatrzeć się jakichś szczegółów. Jak dotąd nie wykrył wśród nich Lykosa, ale dłonie aż go świerzbiały, by złapać za nóż. Ależ on ich nienawidził...

– Chyba już czas się wynosić. – Alben poklepał Maquina po ramieniu.

– Zaczekajcie – zadudnił Alcyon. – Coś tam się dzieje.

Niespodziewanie w powietrzu pojawiło się napięcie. Zapadła cisza, którą naraz przerwał świst, a po nim mokry chlast rozrąbywanego ciała. Rozległy się wrzaski Vin Thalun i orlej gwardii. Maquin wyteńczył wzrok i ujrzał rękojeść niewielkiego toporka, sterczącego z czaszki któregoś z Vin Thalun. Sami topornicy wypadli z zarośli chwilę później. Byli to potężni wojownicy, odziani w skóry i futra, z brodami i włosami zaplecionymi w warkocze, podobni do tych odnalezionych przez Fidele. Z przeciwnej strony atak przypuściły inne grupy – w kolczugach oraz czerwonych płaszczach bądź w samych tylko skórzanych pancerzach. W tych ostatnich Maquin dopatrzył się czegoś znajomego.

Naraz rozległy się głucho ryki i okrzyki bojowe. Z leśnego półmroku wyłoniły się kolejne postacie, przypominające ludzi, ale

potężniejsze, zbrojne w wielkie młoty i topory.

Olbrzymy! Co tu się wyprawia, zastanawiał się Maquin, który naliczył ich przynajmniej dziesięć. Olbrzymy szarżowały na wrogi patrol niczym lawina.

Napastnicy atakowali więc z trzech stron i wdarli się między wroga, choć Tenebralczyki nadal próbowali utworzyć swój mur.

Nie pozwólcie im na to, modlił się w myślach Maquin. Doskonale wiedział, jak zabójczy okazał się tenebralski mur tarcz. Na własne oczy widział go w Haldis, kiedy pod dowództwem Veradisa złamał potęgę olbrzymów Hunen. Kilkanaście czarnych tarcz zdołało się złączyć z trzaskiem, a inni przebijali się ku nim, tworząc niewielki kwadrat. Zza tarczy wysuwały się już krótkie miecze i pierwsi napastnicy padli na ziemię.

– Nie mam zamiaru siedzieć bezczynnie! – burknął Maquin, po czym podniósł się i zerwał do biegu. Wiedział, że Alben i reszta za nim podążą.

Uniósł ręce, zacisnął dłonie na rękojeściach mieczy i wyszarpnął je w biegu.

– Kurgan! Kurgan! – wykrzyknął nacierający Alcyon.

Bitwa zamarła na moment, gdyż wielu walczących odwróciło się, by spojrzeć na przybyszów.

Ha, udało się przyciągnąć ich uwagę!

Maquin uśmiechnął się złowieszczo.

Obiegł tenebralski mur od flanki i ciął wojownika w kostkę pod brzegiem tarczy. Jego miecz zazgrzytał o nagolenniki, a w tej samej chwili spod tarczy wystrzeliło ostrze. Maquin zdołał uskoczyć i chwilę później wpadł między Vin Thalun. Wystarczyło pół tuzina uderzeń, by czterech znalazło się na ziemi martwych bądź konających, a Stary Wilk wydał z siebie dziki ryk radości. Czuł, jak szła bitewny obejmując nad nim panowanie. Parł wśród piratów niczym uosobienie śmierci. Parował ich ciosy, rąbał, pchał. Któryś z jego mieczy utknął w ciele przeciwnika, na co Maquin wyciągnął nóż i nie zwalniał.

Za sobą ujrzał Alcyona, który rąbał w mur tarcz dwoma długimi toporami znalezionymi w obozie Gundula, trzymając się poza

zasięgiem ich krótkich mieczy. Zaczepił ostrze topora o krawędź jakiejś tarczy i wyszarpnął trzymającego ją wojownika z szyku, po czym jednocześnie rąbnął go drugim toporem między szyję a ramię. Człowiek padł z chrapliwym, bełkotliwym wrzaskiem, bryzgając naokoło krwią, a Alcyon wyciągnął topór. Nim zdążył jednak wykorzystać zdobytą przewagę, inny wojownik wypełnił lukę w szeregu.

Czterech rozjuszonych Vin Thalun skoczyło na Maquina. Ten zawahał się, po czym zerwał się do biegu i wpadł między nich. Pierwszym ciosem rozrąbał któremuś gardło, potem chlasnął innego mieczem po przedramieniu, odrąbując rękę wraz z puklerzem. Zablockował czyjś cios znad głowy, uskoczył przed pchnięciem i posłał kolejnego przeciwnika na ziemię, zahaczywszy stopą o jego kostkę. Zakończył jego życie krótkim cięciem i przeskoczył nad trupem, by zmierzyć się z czwartym wojownikiem.

Okrażali się powoli. Zbryzgany krwią Maquin był pochylony, a z jego ostrzy ściekały czerwone krople. Uśmiechnął się szeroko do młodego Vin Thalun, który wpatrywał się w niego intensywnie, aż jego oczy rozbłysły, gdy wreszcie go rozpoznał.

– To Stary Wilk – wymamrotał. – Stary Wilk! – wrzasnął i rzucił się do ucieczki.

Maquin rozejrzał się w poszukiwaniu innego przeciwnika, ale z oddziału Vin Thalun pozostała jedynie desperacko broniąca się garstka. Zerknął przez ramię – mur tarcz maszerował na północ, usiłując się przebić do Drassil, choć Alben, Alcyon i ich zwiadowcy nadal próbowali go zatrzymać.

Alcyon raz jeszcze rąbnął toporem w tarczę, aż po całym szeregu rozeszło się drżenie, ale najwyraźniej nie wyrządził wrogowi żadnej szkody. Wtedy pojawiły się inne olbrzymy, które, zamiast rzucić się na mur tarcz, skupiły swą uwagę na Alcyonie. Okrażyły go, grożąc mu toporami i młotami. Jeden z nich zamierzył się na Alcyona toporem, ale ten odbił cios.

– Przestańcie! – krzyczeli odnalezieni przez Fidele zwiadowcy z Drassil. – Oni są z nami!

Obce olbrzymy nie zwracały jednak na nich uwagi.

W oddali Maquin ujrzał szeregi orlej straży znikające w lesie. Rozwścieczony ich ucieczką, spojrzął na obce olbrzymy i skoczył na przeciwnika Alcyona. Uderzył całym ciałem w wewnętrzną stronę jego kolana. Przewrócił go na ziemię i błyskawicznie uklęknął na jego piersi, przytykając ostrze miecza do jego gardła.

– Nie takich podziękowań się spodziewaliśmy – warknął.

Naraz spomiędzy olbrzymów wyłonił się młodzieniec w koszulce kolczej i czerwonym płaszczu. Miał muskularny kark i długie ramiona. Wpatrywał się w niego, jakby oczom nie wierzył.

– Maquin? – szepnął.

Ten uniósł ostrze, stanął nad przewróconym olbrzymem i parsknął śmiechem.

– Tahir?

Młody człowiek uśmiechnął się szeroko i rozłożył ręce. Padli sobie w ramiona, śmiejąc się głośno i poklepując się po plecach.

– Myślałem, że cię zabili! – wołał Tahir. – Ciebie i Orgulla! Broniliście przecież tych drzwi pod Dun Kellen...

Po jego policzkach płynęły teraz łzy, a Maquin uświadomił sobie, że sam również nie jest w stanie powstrzymać płaczu. Miał przecież przed sobą Tahira, ostatniego żyjącego brata i towarzysza broni z Gadrai! Przyjaciela z innego życia!

– Trafiliśmy do niewoli Vin Thalun – mruknął Maquin. – Zrobili z nas niewolników.

– A Orgull? – spytał Tahir.

– Nie przeżył. – Maquin pokręcił głową. – Powiedz lepiej, co z Haelanem!

Tahir zwiesił głowę.

– Przeżył. Udało nam się dotrzeć do rodziny Orgulla, ale zostaliśmy rozdzieleni podczas bitwy o Drassil. Mam nadzieję, że jeszcze żyje...

Podszedł do nich jeden z toporników, wysoki, muskularny mężczyzna z warkoczem w gęstej brodzie.

– Znałeś mego brata? – spytał.

– To Wulf – przedstawił go Tahir. – Brat Orgulla.

Maquin widział już podobieństwo.

– Tak – odparł. – Nigdy nie poznałem zacniejszego człowieka.

Wulf ponuro pokiwał głową.

– Ale co ty tu w ogóle robisz? – wyrwało się Tahirovi.

– Długa historia, bracie. – Maquin się uśmiechnął.

– Cóż to znowu za zamieszanie?! Przecież to nie jedyny gladiator, który dotarł tak daleko na północ! – odezwał się inny człowiek, drobny i żyłasty, z ostrym uśmiechem. Podobnie jak Maquin, również wolał skórzany kaftan od ciężkiej kolczugi. Nie nosił zarostu, a jego skóra była zbrązowiała od słońca.

– Javed? – rzucił Maquin. – Czy ja właśnie przebyłem most mieczy?

– Jeszcze nie – oznajmił Javed i podszedł bliżej, po czym rąbnął Maquina pięścią w brzuch. Ten stęknął i skulił się. – To za to, że zostawiłeś mnie na arenie Vin Thalun, a sam uciekłeś ze śliczną dziewczyną! – wyjaśnił i parsknął śmiechem.

Poklepał Maquina po ramieniu i pomógł mu się wyprostować. Ten kaszłał, nadal próbując nabrać tchu.

– Cholera, naprawdę cieszę się, że cię widzę, Stary Wilku! – Javed uśmiechnął się szeroko.

– Ja też się cieszę – wykrztusił Maquin, gdy już odzyskał głos. – Wygląda na to, że nie ja jeden mam tu do opowiedzenia historię.

– Wszyscy mamy sobie sporo do powiedzenia – rzekł stojący za nimi Alben – ale może najpierw powstrzymajmy kolejny krwawy konflikt między olbrzymami.

Benothi, którego przewrócił Maquin, podniósł się i wbił nienawistne spojrzenie w Alcyona, który odpowiedział tym samym.

– Fachen! – zawołał Tahir. – To nasi sojusznicy! Przybyli nam z pomocą!

– Ale to Kurgan! – odpowiedział Fachen, jakby te dwie kwestie były dlań niemożliwe do pogodzenia.

Alcyon uśmiechnął się szyderczo.

– Tak, a ja jestem Tahir z Gadrai, zabójca olbrzymów! Ale to było moje stare życie! W tym nowym jesteśmy braćmi i towarzyszami broni, a skoro ten Kurgan przybył, by walczyć obok nas, on również nim się stał!

Fachen wymienił spojrzenia z pozostałymi Benothi.
– Odłożysz stare krzywdy i żale na bok? – zagrzmiął.
– Tak – odparł Alcyon i opuścił oba topory.
– Cóż, dobrze więc – rzekł Fachen. – Witamy w Drassil.

Rozdział dwudziesty czwarty

VERADIS

Veradis maszerował przez las Forn u boku Krelisa. Fidele, Maquina i Albena widział tuż przed sobą, a Alcyon, Raina i Tain nikli gdzieś z przodu. Szli z garstką nowych olbrzymów oraz paroma innymi, których Alben i Maquin spotkali w lesie.

To klan Benothi, jak twierdzi Alben, pomyślał Veradis. W Domhainie widziałem jednego Benothi na rozkazach królowej Rhin. Miał na imię Uthas...

Za jego plecami maszerował ich hufiec, który układał się w długą, wijącą się kolumnę, niknącą wśród drzew. Wokół zapadał już zmierzch, który skutecznie ograniczał widoczność. Alben wtajemniczył ich już w sytuację – Drassil w istocie wpadło w ręce Nathaira, który rozbił armię Corbana, ale ci, którzy przeżyli bitwę, przegrupowali się i prowadzili z wrogiem partyzancką wojnę na wyniszczenie. Podążali teraz, by do nich dołączyć.

– Długo już idziemy – mruknął Krelis.

– Tak – przytaknął Veradis i zerknął na brata, wysokiego i potężnego, niemalże dorównującego wzrostem olbrzymowi, który prowadził ich przez Forn. – Masz odciski, bracie?

– Bywało gorzej. – Krelis spojrzał na niego z góry.

– Cieszę się, że wreszcie walczę u twego boku – rzekł Veradis.

Przez wiele lat panowało między nimi napięcie. Nigdy nie złapali za miecze, ale bywało blisko. Prawdziwą przyczyną zatargu był konflikt między Veradisem a jego ojcem.

Oraz to, jak ojciec odnosił się do Nathaira, pomyślał Veradis. Być może nigdy mu tak naprawdę nie ufał. I w sumie wyszło na to, że miał rację, ale jestem pewien, że w sercu Nathaira nadal kryje się dobro. Przecież został sprowadzony na złą stronę przez Calidusa. To ten Kadoshim zawlókł go na ścieżkę, z której nie ma odwrotu.

– Tak – burknął Krelis. – Ja też.

Dobrze, że obaj znaleźli się znów po tej samej stronie.

Z półmroku wyłoniły się niewyraźne postacie. Ludzie idący przed nim zamarli, a serce Veradisa ścisnęła panika. Złapał za miecz i strząsnął tarczę z pleców, przeświadczony, że ma naprzeciwko siebie Kadoshim.

Nie, uświadomił sobie po chwili. To wojownicy Jehar! Nieskażeni przez demony!

Spomiędzy drzew wyłaniali się inni ludzie i Veradis rozpoznał tych, których przedstawiono mu jako Tahira i Wulfa. Potem ruszyli w górę po zboczu łagodnego wzgórza. Na jego płaskim szczycie znajdowało się obozowisko hufca buntowników. Namioty zbudowano ze skór zwierzęcych i splątanych gałęzi, a w jamach płonęły ogniska.

– Witamy w naszym obozie – rzekł Tahir do Veradisa z szerokim uśmiechem.

Był młodym człowiekiem o mocnej, wyrazistej szczęce oraz otwartej, szczerzej twarzy. Veradis od razu go polubił.

Rozejrzał się dookoła, próbując oszacować liczebność sojuszniczego hufca po ilości namiotów, łóżek, ogni i stojaków z bronią.

Mamy siedem setek zbrojnych. Tych jest czterystu, może trochę więcej. Widywano już większe armie na Ziemiach Wagnanych, tego jestem pewien.

Ludzie z Ripy przystąpili do stawiania namiotów, układania broni i kopania dziur na ogniska, a wtedy wielu miejscowych przyszło im z pomocą, bez względu na to, czy byli Jehar, olbrzymami Benothi czy też Isiltirczykami. Veradis zwrócił uwagę na panujące wśród nich poczucie wspólnoty, niwelujące różnice wynikające z płci czy rasy.

Gdy upewnił się, że wszyscy jego ludzie mają co jeść i pić, Tahir i Wulf wezwali go na naradę.

– Dokąd idziemy? – spytał, gdy w ślad za dwoma wojownikami wszedł w gęsty las masywnych, wysokich drzew.

– Na spotkanie z naszymi przywódcami – rzucił Tahir przez ramię.

A więc wreszcie poznam Corbana. Tak długo uważałem go za swego wroga, tak długo miałem go za Czarne Słońce z przepowiedni. Teraz ma się stać moim sojusznikiem, pomyślał Veradis i pokręcił głową. A więc to on jest Jasną Gwiazdą. Dziwne to czasy. Nathairze, cóż ty zrobiłeś...

Szli krętą ścieżką, wydeptaną wśród gęstych zarośli. Veradis usłyszał plusk płynącej wody, a potem wyszli na otwartą, płaską polanę, zakończoną urwiskiem, dołem którego zapewne płynęła rzeka. Przez moment wydawało mu się, że słyszy jakieś warczenie, ale plusk płynącej wody zagłuszał wszystko.

Na skraju urwiska nad domniemaną rzeką stała siwowłosa, chuda staruszka, która odwróciła się ku nim. W jej oczach błysnęła przenikliwy spryt.

Nie była tam sama – polanę osłaniali Jehar, których widok nadal przejmował Veradisa dreszczem, a przy ogniu znajdowało się dwoje olbrzymów. Pierwszy z nich był siwowłosym starcem o sękatych, muskularnych ramionach, przywodzących na myśl stare drzewo. Jeden z jego oczodołów był pusty i zarośnięty, a drugie, zdrowe oko zmierzyło ostro Alcyona. Obok klęczała olbrzymka, również silnie umięśniona, ale przy swoim towarzyszu wydawała się smukła. Miała płynne, czarne włosy, a widząc nieznanomych, pochwyciła za włócznię.

Na spotkanie wyszedł im Jehar, którego oszczędne ruchy zdawały się uosobieniem wdzięku. Veradis rozpoznał w nim Akara, jednego z oficerów Sumura, który pomógł Cywen przy wyciąganiu strzały z ciała jej ogiera.

A Cywen? Gdzie ona się podziewa? Założę się, że usłyszałbym od niej: „A nie mówiłam?”, pomyślał Veradis i się uśmiechnął.

– Akar? – odezwał się.

Jehar zamarł w pół kroku i zmarszczył brwi. Spojrzał na Veradisa, omiół wzrokiem wszystkich jego towarzyszy, zatrzymując się przy Alcyonie, i znów skupił uwagę na młodzieńcu.

– Jesteś pierwszym mieczem Czarnego Słońca – rzekł ze spokojem.
– Przybyłeś tu, by rzucić nam wyzwanie czy może to element zdrady?

– Ani jedno, ani drugie – odparł Veradis. – Moje oczy otwały się naprawdę. Nie jestem już pierwszym mieczem Veradisa.

Akar nadal się w niego wpatrywał.

– To ty – zagrmiał białowłosy olbrzym, wstając. Veradis zauważył, że przenosił ciężar ciała na lewą nogę, a ogromną dłoń przycisnął do żeber.

Niezagojona rana, przemknęło mu przez myśl.

– Walczyłem z tobą w Murias – rzekł siwowłosy olbrzym, idąc ku Alcyonowi. – Dzierżyłeś topór z gwiazdnego kamienia.

– Miło cię ujrzeć, Balurze Jednooki – rzekł Alcyon.

– Doprawdy? – Siwowłosy olbrzym zatrzymał się krok przed nim.
– Służyłeś Czarnemu Słońcu i jego *aingeal dubh*. – Urwał i splunął. – Jego czarnemu aniołowi.

– On rzucił na mnie czar i kontrolował każdy mój krok. Byłem dlań jak niewolnik, ale zrzuciłem klątwę. Jestem już wolny i chcę walczyć przeciwko Mrocznemu Aniołowi.

– A więc jesteś sługą Nathaira oraz Calidusa – rzekł Akar. – I teraz tak po prostu mamy cię zaakceptować jako sojusznika?

– On mówi prawdę – wystąpiła Fidele. – Wszyscy mówią prawdę. Jestem Fidele, wdowa po królu Aquilusie, Najwyższym Królu Tenebrału.

– Znam cię – rzekł Akar. – Widziałem cię, jak stoisz obok Nathaira.

– To mój syn – odparła kobieta. – Ale już go nie popieram. – Spoglądała na Akara z dumą i odwagą. – A ja ciebie widziałam w Jerolin! – dodała. – Gdy służyłeś jako oficer w armii Sumura, podwładnego Nathaira.

Akar pokiwał głową, uznając słuszność argumentu Fidele.

– Nasz wróg może już ogłosić zwycięstwo – rzekł Alben – jeśli ci, którzy się mu opierają, przestaną sobie ufać.

– A kim ty jesteś? – spytał Akar.

– Nazywam się Alben i jestem zbrojmistrzem Ripy. Łączy mnie przyjaźń z Meicałem i od wielu lat należę do jego stronnictwa. Gdzie się podziewa?

Akar spojrział na niego ponuro.

– Meical poległ. Poświęcił swe życie w Drassil, by wielu z nas mogło uciec.

– Co? Meical nie żyje? Nie wierzę!

– Jego głowa została zatknięta na włócznie na głównym placu Drassil – rzekł Akar. – To wielki cios dla nas wszystkich.

Alben zasłonił dłonią oczy i pokręcił głową, a wtedy głos zabrał Maquin, który jak dotąd stał cicho:

– To dobrzy, prawi ludzie, a przybyli tu, by zaoferować swą pomoc. Gdy mówię, że przybyliśmy tu, by walczyć z Asrothem i jego sługami, mówię za nas wszystkich. Wszyscy zostaliśmy przez nich skrzywdzeni, wszyscy ponieśliśmy przez nich wielkie straty. Chcąc się tu dostać, musieliśmy stoczyć wiele bitew, ale zdołaliśmy zniszczyć hufiec Gundula, króla Carnutanu oraz zabić Jaela, króla Isiltiru. – Urwał na moment, a w jego oczach coś błysnęło. – Gundul miał ze sobą niemalże czterotysięczny hufiec, który przebijał się przez puszcę, by was zniszczyć, ale odnieśliśmy zwycięstwo. Jego ludzie padli w boju bądź zostali rozpędzeni. Co więcej, przejęliśmy mnóstwo zapasów: broni, wody, opału i jedzenia – oznajmił, wzruszając ramionami. – Jeśli nam nie ufacie i nie chcecie naszej pomocy, wystarczy słowo, a odejdziemy. Wrócimy do Tenebralu bądź gdziekolwiek indziej, a Nathair wygniecie was wszystkich, słabych i podzielonych.

Na polanie zapadła cisza.

– Wreszcie ktoś odezwał się z sensem – przemówiła ostro stojąca przy ogniu siwowłosa kobieta. – Zakończcie już te sprzeczki – dodała, obrzucając Akara wściekłym spojrzeniem.

– Zostałem już raz oszukany i nie pozwolę, by znów do tego doszło – rzekł Akar obronnym tonem. – A Gar uczynił mnie dowódcą tego hufca na czas swej nieobecności.

– Prawda – rzuciła staruszka. – Wszyscy powinniśmy zachować czujność. Niemniej ci ludzie nie kłamią, a przynajmniej ja tak sędzę. Mówią prawdę, a ich intencje są szczerze. A co do Gara... Cóż, oddał ci dowództwo i jestem przekonana, że dokonał właściwego wyboru. Jeśli chodzi o odrąbywanie głów Kadoshim, nie masz sobie równych, ale do zwycięstwa trzeba czegoś więcej. Trzeba, na przykład, pozyskać sojuszników, zarówno mężczyzn, jak i kobiety. – Skinęła Fidele. – Zwłaszcza tych, którzy przebyli długą drogę i pokonali wiele trudności, by do nas dotrzeć i zaproponować swą pomoc. Poza tym, jeśli to ci nie wystarcza i chcesz odgrywać mądrą, powołując się na swą rangę, z przyjemnością dołączę do zabawy. Pamiętaj, że jestem Brina, doradczyni Corbana, twego Jasnej Gwiazdy, a więc trzeba mnie słuchać!

Dźgnęła Akara w pierś kościstym palcem, a ten aż się wzdrygnął, a po chwili skinął głową. Veradis nie miał pojęcia, czy dał się przekonać, czy też po prostu ustąpił.

Być może jedno i drugie, pomyślał. Ta Brina budzi strach!

Olbrzym zwany Balurem również pokiwał głową. Obszedł Alcyona, mierząc go wzrokiem.

– Jesteś Kurgan. Między naszymi klanami nie ma wiele miłości.

– Prawda – odparł Alcyon.

– Lecz to przeszłość – odezwała się naraz olbrzymka, która stanęła obok Balura. – Te konflikty należą do innych czasów, dramatycznych i smutnych. Jestem Ethlinn i jestem córką Nemain. Głoszę, iż trzeba zbudować nową epokę, w której zamiast pięciu klanów olbrzymów będą istnieć jedynie dwa: ten, który walczy dla Asrotha, oraz ten, który się mu sprzeciwia.

– Ethlinn? – syknął Alcyon, a na jego twarzy pojawiło się coś nowego. Wstrząs? Nadzieja? – Niespodziewanie olbrzym padł na kolana. – Tak – szepnął, wpatrując się w nią. – Czas na nową epokę. Na stworzenie nowego klanu. Jestem za tym.

Ethlinn się uśmiechnęła.

– Dobrze więc – rzekł Balur, spoglądając na oboje.

Pokiwał głową i wyciągnął rękę ku Alcyonowi. Ten ujął jego przedramię w powitaniu wojowników i dźwignął się na równe nogi.

– Miło cię poznać, Alcyonie z klanu Kurgan.

– Cóż, cieszę się, że się dogadujecie – odezwał się Krelis. – Ale jest jeszcze coś, o co chętnie spytam.

Wszyscy przenieśli na niego spojrzenia.

– Gdzie jest ów Corban, o którym tyle słyszałem?

Znow zapadła cisza. Brina opuściła głowę, wciągnęła głęboko powietrze i wyprostowała się.

– Został wzięty do niewoli.

– Przez Nathaira? – szepnął Veradis ze zgrozą.

– Nie, to nie był Nathair – rzekł Akar.

– Olbrzymy Jotun – burknął Balur.

– Ale niektórzy z nas już udali się w ślad za nim – dodała Brina.

Nagle gdzieś zza skraju polany dobiegł dziki warkot oraz trzask łamanych gwałtownie zarośli, po czym głośny brzęk, jakby zgrzyt pękającego metalu. Z ciemności wychynął jakiś kształt. Na polanie zapanowało zamieszanie, a Veradis i jego towarzysze chwycili za broń, formując szereg. Alcyon również się zerwał, a Maquin zasłonił Fidele z mieczem w jednej ręce i nożem w drugiej.

W mroku pojawił się samotny wilkun. Widzieli jego szeroki pysk oraz wielki łeb, reszta ginęła wśród cieni.

Veradis odruchowo zrobił krok w tył.

Wilkun, toczący pianę z pyska twór, uformowany z mięśni i futra, wkroczył na polanę. Z jego wielkich kłów ciekła ślina, uniesione wargi drgały we wściekłym grymasie, po białym futrze ciągnęły się liczne blizny. Z karku zwierzęcia zwisały żelazne ogniwa łańcucha, a na ich końcu kołysały się resztki drewnianego słupa.

Veradis czuł, jak na moment opuszcza go odwaga. Mocniej pochwycił miecz, żałując, że nie zabrał tarczy.

I całego muru tarcz, jeśli chodzi o ścisłość, pomyślał. To nie jest zwykły wilkun. Zbyt wielki, zbyt potężny...

Wtem pojawiła się Brina, która ruszyła w stronę straszliwej bestii.

Oszalała! Ta staruszka już jest martwa, przemknęło Veradisowi przez myśl.

– No, już dobrze, kochanie – powiedziała, podchodząc do zwierzęcia. Wyciągnęła ku niemu rękę, a drapieżnik przycisnął łeb

do jej dłoni, a potem trącił pyskiem jej pierś, przez co staruszka zatoczyła się do tyłu.

Ja chyba śnię, pomyślał Veradis.

– Przedstawiam wam Burzę – rzekła staruszka z głębokim, nieskrywanym uczuciem w głosie, odwracając się ku zszokowanym przybyszom. Veradis zamrugał i odzyskał oddech.

– Burza? – wykrztusił. – Ta wilkunica, która należy do Corbana?

– Nie ujęłabym tego w ten sposób – powiedziała Brina. – Wygląda to raczej tak, że oni należą do siebie.

– Stanowią watahę – dodał Tahir.

– To co w takim razie robi ten łańcuch na karku tego czegoś? – spytał Krelis.

– Jej. Na jej karku – poprawiła Brina i podrapała wilkunicę pod brodą, co jej się najwidoczniej spodobało. – Biedactwo ma za sobą długą rekonwalescencję. – Dłoń Briny znalazła się na wysokości blizny na ramieniu Burzy, nagiej i pozbawionej futra. – Została poraniona, broniąc Corbana przed próbującymi go pojmać olbrzymami. O mało nie zginęła i naprawdę długo balansowała na granicy życia i śmierci, ale doszła do siebie. Nigdy nie czuła się równie dobrze.

– To czemu przywiązaliście ją łańcuchem do słupa? – spytał Maquin.

– Bo od chwili, gdy zdołała po raz pierwszy się podnieść, próbuje się zerwać i ruszyć po śladach Corbana. Nie mogłam jej na to pozwolić. Byłby to dla niej zbyt wielki wysiłek – wyjaśniła Brina, po czym odpięła łańcuch i ściągnęła go z karku wilkunicy.

– Nic jej już nie dolega? – spytał Krelis.

– Właśnie złamała drewniany pal grubości twojej nogi – rzekła Brina. – Osobiście wbity w ziemię przez Balura. Co więcej, przegryzła również żelazny łańcuch. Tak, myślę, że nic jej już nie dolega.

Burza spojrzała na nich wszystkich, przez moment węszyła intensywnie, a potem uniosła łeb i zawyła. Głuchy zew poniósł się daleko po polanie, przeciągły i żałosny, aż nagle wilkunica napięła mięśnie i skoczyła przed siebie. Rozległ się trzask tratowanych,

miażdżonych zarośli i naraz zwierzę znikło. Pozostało po nim jedynie wibrujące w powietrzu echo wycia.

– Dokąd pędzi? – spytał Krelis.

– Myślę, że to dość jasne – powiedziała Brina. – Pognała za Corbanem.

Rozdział dwudziesty piąty

LYKOS

Lykos rozparł się na krześle i pociągnął łyk z kielicha, aż miód pociekł mu po brodzie. Beknął głośno i się rozejrzył.

Zasiadał w kamiennej sali, zewsząd otoczony uczującymi rodakami, którzy pociągali tęgo z pucharów i kufli, rozprawiali, turlali kości po planszach, a od czasu do czasu rzucali się na siebie. W walce nie sięgali po nic ostrego z wyjątkiem własnych zębów.

Po prawej stronie piętrzył się stos kosztowności – srebra i złota, kielichów, talerzy, torkwesów, broszy, naszyjników, świetnych mieczy i zdobnych pochew, odebranych poległym bądź znalezionych w rozmaitych zakamarkach tej starożytnej, dawno zapomnianej fortecy. Jego wojownicy spoglądali nań z szacunkiem i tytułowali go „najhojniejszym” oraz „złotym władcą”. W skrócie był panem wszystkiego, co ujrzał, a na swe rozkazy miał liczną drużynę bitnych wojowników. Jego marzenia się spełniły.

A więc dlaczego dokucza mi taka nuda?, zastanawiał się.

Wydął policzki i znów beknął.

Wrota do sali nagle stanęły otworem i do środka wszedł żołnierz z orlej straży. Miał na sobie błyszczącą zbroję i wypolerowany napierśnik z czarnej skóry. Rozejrzył się, a potem zaczął się przedzierać między biesiadnikami, aż zatrzymał się u stóp króla piratów.

– Czego? – spytał Lykos.

– Król Nathair i lord Calidus chcą się z tobą zobaczyć, mój panie – rzekł wojownik.

Lykos westchnął.

– I pewnie nie mogą poczekać? – burknął i podniósł się z krzesła. Starał się nie wykonywać gwałtownych ruchów, ale i tak się zatoczył.

– Tak, mój panie. Prosili, byś się pośpieszył.

– Co znowu? Znow trzeba stracić jakichś więźniów? Przecież chyba można poczekać do rana.

– Nie, panie. Wraca patrol. Widziano, jak przemierzają równinę.

– O, tak lepiej – burknął Lykos.

Złapał pas z mieczem, przewieszony przez oparcie krzesła, i zarzucił go sobie na ramię. Szybkim krokiem ruszył w ślad za orlim gwardzistą i wyszedł w mrok, otoczony przez dziesięciu zaprzysiężonych przybocznych. Drassil należało do nich, ale nie zawadziło zachować ostrożności, tym bardziej że do uszu Lykosa wciąż dochodziły plotki o ludziach, których znajdowano martwych lub którzy przepadali bez śladu.

Na pewno nie będę to ja, pomyślał. Czyli co? Wraca patrol? A więc dobre wieści.

Wysyłanym za mury twierdzy żołnierzom nakazywano powrót przed zachodem słońca i rzadko się zdarzało, by wracali w nocy, ale tego dnia patrol nie powrócił wcale i zaczęto sądzić, że został wycięty do nogi.

Sześćdziesięciu moich ludzi, myślał Lykos ze złością, bo nie po raz pierwszy tracił wojowników podczas takich eskapad. Szedł szybko, bo orli gwardzista narzucił ostre tempo, ale Lykos nie miał nic przeciwko. Cieszył się, że ma coś do zrobienia.

Któż by pomyślał, że stanę w baśniowym Drassil jako zwycięzca wielkiej bitwy, w przededniu zrealizowania mych najdzikszych marzeń, a mimo to będę cierpieł nudę.

Spojrzał na kamienne wieże oraz wijące się nad nimi gałęzie wielkiego drzewa i skrzywił się.

Nie cierpię tego miejsca, pomyślał. Jestem żeglarzem, a moje żywioły to sól i żagle. Nie powinienem się godzić na zamknięcie w tym... w tym otoczonym murami więzieniu!

Skręcili w szeroką ulicę, prowadzącą do bram. Gdy tylko znaleźli się na dziedzińcu, w nozdrza Lykosa wdarł się smród.

Łajno draiga i gnijące trupy, przemknęło mu przez myśl.

Pochodnie osadzone w żelaznych uchwytach migotały na murach. W ich blasku odrąbane głowy nadziane na włócznie stawały się koszmarami z uśmiechami szaleńców. Na szczycie muru stali Calidus oraz Nathair, wpatrzeni w dal.

– Cieszę się, że postanowiłeś do nas dołączyć – mruknął Calidus, opromieniony nieodległym blaskiem ognia.

Z jego rozkazu wokół mur twierdzy wykopano szereg jam, w których płonęły ogniska, przez co Drassil wyglądało, jakby strzegł jej krąg płomieni. Calidus chciał w ten sposób powstrzymać nocne wypadki wroga – wojownicy Jehar podkradali się bowiem pod mury, zarzucali liny z kotwiczkami i wdzierali się na górę, a potem siali śmierć wśród wartowników, aż któremuś udawało się wszczać alarm bądź zamachowcy natrafiali na Kadoshim. Jak dotąd krąg ognisk spełniał swe zadanie i w jego migotliwym blasku Lykos ujrzał grupkę ludzi, zmierzających ku bramom. Dostrzegł wiele tarcz, co oznaczało, że większość stanowią orli gwardziści.

Vin Thalun zaś wielu nie widzę..., pomyślał.

– Mam wrażenie, że wychodząc na patrol, prezentowali się jakby trochę lepiej – zauważył.

– Cieszę się, że dzielisz się z nami oczywistościami – warknął Calidus.

On też chyba nie czuje się tu najlepiej, uświadomił sobie Lykos. Zważywszy na to, że niewiele mu brakuje do podbicia całego świata, powinien być szczęśliwszy.

Przemierzający równinę wojownicy zbliżali się do bram. Calidus nakazał swoim ludziom, by otwarto wrota, a potem odwrócił się i ruszył w dół po schodach, powiewając płaszczem niczym falą cienia.

Lykos i Nathair spojrzeli po sobie.

– Są tacy, którym nigdy nie dogodzisz – rzekł Vin Thalun i uśmiechnął się krzywo, widząc w odpowiedzi jedynie kamienne spojrzenie króla Tenebrału.

Nikt nie ma poczucia humoru w tym przeklętym lesie, pomyślał.

Gdy Lykos zszedł na dół, bramy już się zamykały. Ujrzał kilku swoich ludzi, którzy siadali na ziemi, wyczerpani do cna, bądź opierali się o siebie. Calidus rozmawiał z kapitanem orlej straży.

– Zostaliśmy napadnięci – mówił młody wojownik. Wydawał się bez sił. – Olbrzymy, miotacze toporów i inni... Gdyby nie mur tarcz, nigdy byśmy się stamtąd nie wyrwali.

– Sprawnie wam to poszło – parsknął Lykos, nie mogąc się powstrzymać. – Moich ludzi, jak widać, porzuciliście bez wahania.

Nathair spojrzał na niego ponuro.

– Próbowaliśmy ich osłonić, panie – rzekł orli strażnik. – Próbowaliśmy wciągnąć ich w nasz czworobok, ale wróg atakował szybko i bez litości. Nie było na nic czasu. Orla straż też poniosła wielkie straty.

Jakby to miało mi coś wynagrodzić...

– I żadnych śladów zwiadowców Gundula czy Lothara? – spytał Calidus.

– Nie, panie, ale zaczęliśmy wycinać szlak. Kolejny patrol dotrze dalej i...

– Na moich ludzi już nie liczcie – warknął Lykos i odszedł, zanim Calidus zdołał zareagować. Podeszedł do swoich niedobitków. Z oddziału liczącego sześćdziesięciu zbrojnych, który tego ranka wymaszerował przez bramy Drassil, pozostało ich zaledwie sześciu.

Jeden patrol kosztował mnie prawie tylu ludzi co cała bitwa o tę cuchnącą kupę gnoju, pomyślał.

– No i? – spytał ze znużeniem.

Jeden z wojowników spojrzał na niego.

– Widziałem Starego Wilka – rzekł.

– Co?

– Starego Wilka. Był wśród napastników, zboczony krwią, uzbrojony w te swoje noże. Czuliśmy się, jakbyśmy znaleźli się naprzeciwko niego na arenie. – Vin Thalun zadrżał, a Lykos poczuł w sercu falę lęku.

– Mylicie się – powiedział. – Gdyby to był naprawdę Stary Wilk, żaden z was by nie wrócił.

– Opadło go czterech naszych – rzekł wojownik. – Zarąbał ich bez wysiłku, jakby nie byli ludźmi, a manekinami ze słomy. Udało mi się uciec tylko dlatego, że powstrzymałem go na moment, a potem olbrzymy zaczęły się kłócić, co przyciągnęło jego uwagę.

Lykos złapał wojownika za skórzaną kamizelę i postawił go gwałtownym szarpnięciem.

– Nie kłam! Mów prawdę! Jeśli dowiem się, że zrobiłeś mnie w konia...

– To był on! Przysięgam na wszystkie świętości! – zapewnił go wojownik. – Widziałem go w akcji na Panos i stawiałem na niego pieniądze. Widziałem go również w Jerolin. To na pewno on!

– Ja też go widziałem – dodał ktoś inny. – Nie z bliska, ale nie mam wątpliwości. To był Stary Wilk.

Lykos się odwrócił. W głowie mu wirowało.

Był w wieży Brikan, na skraju lasu Forn, i uciekł stamtąd. Możliwe więc, że w istocie kryje się gdzieś w puszczy. A skoro on tam jest, być może towarzyszy mu Fidele...

Niespodziewanie nuda znikła, a w jego sercu pojawił się lęk oraz podniecenie.

Znów czuję, że żyję, pomyślał.

* * *

Lykos skrzywił się, słysząc wrzaski. Znów stał na dziedzińcu, gdzie powoli nadzieвано na pal kolejnego jeńca, kiedy jego uwagę przyciągnął jakiś ruch. Odwrócił się i ujrzał Nathaira, który opuszczał plac w asyście kilku strażników.

Za miękki na to jest, przemknęło Lykosowi przez głowę. Niektórzy ludzie po prostu nie nadają się na władców. Ciekawe, co Calidus obiecał mu, by go przekonać do pozostania w Drassil.

Sam Calidus stał przy stajniach i wpatrywał się w pozostałych jeńców, których wyprowadzano z dziedzińca. Nadal było ich ponad dwie setki. Lykos dostrzegł wśród nich ciemnowłosą Cywen o twarzy ściągniętej grozą i pustych oczach.

Mało przyjemny początek dnia, pomyślał. Nikt nie lubi patrzeć na to, jak jego towarzysza nadzieją na rożen. Nikt nie lubi słuchać jęków i wrzasków człowieka umierającego w ten sposób. W takiej śmierci nie ma ani odrobiny godności.

Cywen, idąc z opuszczoną głową, wyminęła Lykosa, ale wtedy przypadł do niej Calidus. Złapał ją za koszulę i powłókł przez dziedziniec, a Vin Thalun, zaintrygowany takim pokazem emocji, podążył za nim.

Może wreszcie jakaś rozrywka, zastanawiał się.

Dogonił ich w cieniu, rzucanym przez wrota stajni. Calidus złapał dziewczynę za kark i wygiął do tyłu.

– Gdzie jest twój brat? – wysyczał jej w twarz. – Gdzie on jest? Dlaczego nie przyszedł po ciebie? Dlaczego ich nie ratuje? – Machnął ręką w stronę wrzasków. – Przecież nazywają go Jasną Gwiazdą! Zbawcą całego świata! Obrońcą niewinnych!

Wrzeszczał coraz głośniejsze, tryskając drobinkami śliny, ale Cywen wpatrywała się w niego bez słowa. W jej oczach błyszczała nienawiść.

Furia Calidusa naraz wytraciła swą moc. Odtrącił Cywen ze wzgardą, a dziewczyna zatoczyła się i padła na ziemię. Poderwała się i ruszyła w ślad za pozostałymi więźniami, ale zatrzymała się po paru krokach.

– Powinieneś się cieszyć, że Corban czekał tak długo – oznajmiła. – Bo przynajmniej zyskałeś kilka dni życia.

– Przestań wygadywać głupoty – parsknął Calidus.

– Bądź pewien, że kiedy w końcu przybędzie, ciebie odnajdzie pierwszego. Zabiłeś naszą matkę. Corban tego nie zapomni.

– Liczę na to – rzekł Calidus. Wsunął rękę pod płaszcz i wyciągnął stamtąd coś, co przypominało stary, zasuszony kwiat, fioletowy i najeżony kolcami.

Czy to oset, zastanawiał się Lykos.

Calidus obracał kwiat między kciukiem a palcem wskazującym. Jego usta rozciągnęły się w starczym, szyderyczym uśmiechu.

Cywen przez moment spoglądała na kwiatek zaskoczona i zmieszana, aż nagle w jej oczach błysnęła furia. Rzuciła się na

Calidusa, ale ten wymierzył jej siarczysty policzek, czym posłał ją na ziemię. Oszołomiona dziewczyna próbowała się podnieść, ale w tym czasie Calidus skinął na kryjącego się w cieniach Kadoshim, który skoczył na Cywen, pochwycił ją i wywlókł z dziedzińca. Dziewczyna pluła i parskała niczym dziki kot, ale wnet znikła za rogiem.

* * *

Lykos opuścił rozgrzany od słońca dziedziniec i wszedł w chłód wielkiej sali. Stopnie biegły tu łagodnym półkręgiem wzdłuż ścian, tak wielkie i szerokie, że przypominały rzędy siedzeń w amfiteatrze. Nad sobą widział kamienne ściany, po których biegły inne rzędy schodów, prowadzące do przemyślnie skonstruowanych wież. Podłoga sali, szeroka i płaska, znajdowała się poniżej poziomu gruntu. Tu i ówdzie płonęły na niej ogniska.

W samym centrum wznosił się pień ciemnego, ogromnego drzewa, masywny, szerszy od sali biesiadnej w Jerolin. Pień znaczyły potężne sęki, tu i ówdzie odpadała kora, widać też było ciągi zaschłej żywicy. W kilku miejscach ziały czarne dziury, wydrążone przez gryzonie bądź ptaki. Na oczach Lykosa barwna zięba sfrunęła z góry i zręcznie wylądowała na skraju niewielkiej dziupli, zamarła na moment z dziobkiem pełnym słomy i mchu, po czym wskoczyła w ciemność.

Między korzeniami drzewa znajdował się rzeźbiony tron, który zdawał się wyrastać spomiędzy nich. Zasiadał na nim szkielet olbrzyma, przytwierdzony do oparcia wielką włócznią, którą zadano mu śmierć.

Skald, najwyższy król olbrzymów, pomyślał Lykos. Przekłuty niczym zarzynana świnia. Dobry przykład na to, że wielcy tego świata również mogą nisko upaść.

Po prawej stronie tronu zawieszono topór z gwiazdowego kamienia, przymocowany ciężkim łańcuchem. Po lewej wznosił się wielki, czarny kocioł, wyższy i szerszy od każdego olbrzyma, przypominający rozdętą ropuchę.

Przed zgromadzonymi Skarbami ustawiono długi, szeroki stół, przy którym odbywały się narady. Calidus stał teraz przy nim, oparty o blat. Lykos zszedł ze schodów, zbliżył się do stołu i, zignorowany przez starca, nalał sobie puchar ciemnoczerwonego wina. Siorbnął głośno i oblizał usta. Calidus spojrzał na niego jak na irytującego insekta.

Cóż, dla człowieka, który ma tak wielkie plany, zapewne nie jestem niczym więcej, pomyślał Lykos.

Znów pociągnął łyk i oblizał się głośno. Starzec spojrzał nań niecierpliwie.

– Przestań – warknął. – Kiedyś możesz przez to zginąć.

– Co mam przestać? Pić wino? Jesteś chyba zbyt surowy. Mam doprawdy niewiele rozrywek w życiu i...

– Nie mam na myśli picia wina – przerwał mu Calidus i wbił w niego spojrzenie, którego intensywność obudziła w Lykosie niepokój.

Część twarzy starca była poczerniała i pokryta bliznami po tym, jak Alcyon i Veradis wepchnęli go w płomień, a po srebrnych włosach zostały jedynie rzadkie kępki. Jego dawna uroda znikła bez śladu.

– Mam na myśli twoje upodobanie do celowego prowokowania innych – ciągnął Calidus. – To zły nawyk.

Lykos uniósł brew, po czym wzruszył ramionami.

Pewnie ma rację, pomyślał.

– Będę pił ciszej – powiedział z uśmiechem i dopił resztę. – Na co spoglądasz?

– Na Skalda, włócznie, topór, kocioł oraz wielkie drzewo. Tyle czasu upłynęło, a mimo to tocymy tę samą wojnę.

– No tak. Choć tym razem jesteśmy bliżej końca, prawda?

– Bliżej, ale nadal jest tyle do zrobienia. – Calidus zgrzytnął zębami.

– Nie to chciałem usłyszeć – burknął ponuro Lykos. – Nie lubię tego miejsca. Moim ludziom się tu nie podoba. Co rusz giną kolejni, wyrżnięci na patrolach bądź dziabnięci nożem podczas gry w kości.

Nawet nie zauważył, by Calidus choć drgnął, ale nagle uświadomił sobie, że stoi z nim twarzą w twarz, a ten zaciska mu dłoń na szyi. Lykos zatoczył się na stół.

– Myślisz, że interesuje mnie to, co ty chcesz słyszeć? – wysyczał Calidus. – Myślisz, że obchodzi mnie to, co się podoba bądź nie podoba twoim ludziom? – Zacisnął mocniej dłoń. – Ja też nie chcę tu być! Mierzi mnie wasze towarzystwo, robaki, brzydzą mnie wasze małostkowe żądze. Czułbym się o wiele lepiej, gdyby was wyrżnięto, a wasze ciała zawieszono na hakach, gotowe na ucztę.

On mnie potrzebuje. Nie zabije mnie, myślał Lykos.

Skupił całą swą wolę, by utrzymać bezruch. Robił wszystko, by nie odpowiedzieć agresją.

Niespodziewanie Calidus się cofnął. Uścisk silny jak imadło znikł, a Lykos pochylił się do przodu, kaszląc.

– Nie chciałem cię urazić – wyrzęził, odzyskawszy oddech.

– Przesadziłem – rzekł Calidus. Nie patrzył na niego, a na szkielet Skalda oraz Skarby.

Innych przeprosin nie będzie, uświadomił sobie Lykos.

Nagle rozległy się czyjeś kroki. Calidus spojrziała na przybysza, a Lykos powiódł wzrokiem za nim. Po schodach kroczył ku niemu Nathair w asyście swej gwardii honorowej. U boku króla zaś szedł Legion. Z jakiegoś powodu wydawał się większy od innych demonicznych wojów. Chodził w taki sposób, iż wydawał się wręcz emanować mocą.

Być może dlatego, że w jego ciele upchnęło się wielu Kadoshim, pomyślał Lykos.

Nad jego głową jak zwykle unosiła się chmara much.

– Dobrze, możemy więc zaczynać – rzekł Calidus i gestem dał Lykosowi znać, by usiadł. Zachowywał się tak, jakby zgoła zapomniał o furii, która całkiem nim zawładnęła ledwie chwilę temu.

Lykos usiadł, napełnił raz jeszcze swój puchar i oparł się wygodnie, kładąc but na drewnianym stole.

Cóż, przekonajmy się, o czym dowiemy się na tym posiedzeniu, pomyślał. A co do ciebie, Calidusie, wiedz, że niniejszym dodałem

twe imię do listy ludzi, których pragnę zabić.

Rozdział dwudziesty szósty

NATHAIR

– Zaczekaj na mnie – powiedział Nathair do Caesusa.

Kapitan oraz eskorta zatrzymali się, a król wraz z Legionem zeszli na dół.

O, Lykos już tu jest, pomyślał Nathair. Co za odmiana. Zazwyczaj dociera ostatni, i to zataczając się.

Podszedł do stołu, usiadł i zauważył, że napełniono już dla niego puchar.

Władca piratów uśmiechnął się doń szeroko i uniósł kielich na powitanie. Nathair nie znosił jego towarzystwa – w jego bliskości zawsze musiał panować nad sobą, by nie chwycić za miecz i go nie wypatroszyć.

Poślubił moją matkę... Wystarczy, że na niego spojrzę, a już mi się robi niedobrze, myślał.

Calidus wyjaśnił mu, że był to manewr polityczny, mający na celu wzmocnienie więzi między Tenebralem a Trzema Wyspami, ale Nathair nie dał się przekonać.

Bzdury. Lykos i moja matka... Na własne oczy widziałem, jak się w nią wpatrywał podczas rozprawy w Brikan.

– Pyszne wino, przyjacielu! – powiedział do niego Lykos i upił łyk. Strużka wina pociekła mu po brodzie.

Nathair powstrzymał grymas niechęci i upił zaledwie łyček. Nie chciał, by podczas rozmowy z Calidusem wino zaćmiło mu umysł.

Pijany pirat, opętany przez demona typ, nad którym unoszą się roje much, i na pół spalony Kadoshim, podsumował w myślach

swoich sojuszników. Jak mogłem upaść tak nisko?

Nie po raz pierwszy zadawał sobie to pytanie. Wstyd i nienawiść do siebie od dawna kotłowały się w jego sercu.

Tęsknię za czasami, kiedy wraz z Veradisem prowadziliśmy armię ku przygodzie, a Calidus był tylko doradcą.

Świadomość tego, że nim manipulowano, znów zalała mu serce gorącym gniewem.

Nie. Przestań. Skup się na szczegółach, napomniął sam siebie. Dokonałeś wyboru. Przebyłeś swą drogę. Teraz musisz doprowadzić zadanie do końca i osiągnąć zwycięstwo. Skup się na tym, a po wojnie...

– Witaj – rzekł Calidus. – Mam wieści.

– Mam nadzieję, że przedstawisz nam sposób na zniszczenie wroga, który obozuje w lesie i napada na wszystkie moje patrole, które wyślemy za mury Drassil! – rzekł Nathair.

– Na moje również – burknął Lykos.

Calidus zmarszczył brwi.

– Niedobitki wroga okazują się trudne do wytepienia i muszę przyznać, że stanowią utrapienie dla naszych patroli.

– Utrapienie? – mruknął Lykos pod nosem. – Jeśli uznasz śmierć za utrapienie, czemu nie.

Spojrzenie, którym Kadoshim obrzucił pirata, ociekało nienawiścią.

– Bez względu na to, jakimi słowy określisz naszych wrogów, są oni problemem, z którym należy się uporać – rzekł Nathair. – Potrzeba nam więcej ludzi. Oto rozwiązanie. Jedyne.

– Dlatego muszą tu przybyć nasi sojusznicy – stwierdził Calidus.

– Mógłbyś wysłać Kadoshim – wtrącił Lykos. – Jestem pewien, że ucieszyliby się na kolejne okazje do rozlewu krwi. Prawda, Legionie?

– Śmierć moich wrogów przynosi mi rozkosz – odezwał się Legion niskim, chrapliwym głosem, w którym pobrzmiwały echa wielu innych głosów, układające się w chór potępionych. – Ich zniszczenie, rozszarpywanie ciał i miażdżenie kości...

– Tak, tak, tak – przerwał mu Calidus. – Rozumiemy twój entuzjazm, Legionie, ale odpowiedź brzmi: nie. Nie będę wysyłał

Kadoshim z taką misją. Oni mają o wiele poważniejsze zadanie do wykonania.

Czy raczej: ich siły topnieją i nie są ci w smak kolejne straty, tym bardziej że nadal masz do dyspozycji tysiące Vin Thalun i moich dzielnych Tenebralczyków, pomyślał Nathair.

– Ale chętnie wysysałbym oczy z głów i szpik z potrzaskanych kości moich wrogów – wymamrotał Legion, ale urwał, gdy Calidus uniósł dłoń.

– Lothar i Gundul budują swe drogi od prawie sześciu miesięcy – odezwał się Nathair. – Po co w to brną, skoro mamy tunele?

– Bo większość z nich jest niedostępna – odparł Calidus. – I nie chodzi mi wcale o to, że zostały zawalone. W mroku pod lasem Forn żyją istoty, którym cały hufiec nie dałby rady. Poza tym – machnął dłonią – tunele zostały zbudowane w innych czasach. Potrzebujemy traktu Lothara, bo połączy nas z południem. Uzyskamy dzięki niemu trakt prowadzący do Helvethu i dalej do Tenebralu. Droga Gundula zaprowadzi nas na południowy zachód i ułatwi wędrówkę na wielkie równiny Carnutanu i do pasących się tam stad krów. Nie możemy zlekceważyć możliwości zaopatrzenia. Droga Jaela na zachód jest niemalże gotowa. Gdy Lothar i Gundul dotrą do nas, Drassil otworzy się na Ziemię Wygnanych. Potrzebujemy tych traktów.

Nathair pokiwał głową i spytał:

– A ile jeszcze czasu będą potrzebowali, by do nas dołączyć?

– I w ten sposób dochodzimy do wieści, dla których was tu zebrałem – rzekł Calidus. – O świcie dotarł posłaniec od Lothara, który poinformował mnie, że armia Lothara znajduje się jakieś trzydzieści mil na południe stąd. Budowa drogi postępuje w dobrym tempie, a Lothar ma pod swoimi rozkazami około trzy tysiące mieczy.

No, wreszcie dobra wiadomość, pomyślał Nathair.

– A co z Gundulem? – spytał.

– Od Gundula nie mamy na razie żadnych wieści – odparł starzec.

– Pchnąłem ku niemu kilku posłańców – dodał i wzruszył ramionami. – Powinien być bliżej niż Lothar.

– Ja też mam wieści – odezwał się Lykos, nadal rozparty na swym krześle. – We wczorajszym ataku na nasz patrol uczestniczył Maquin.

– A kto to? – Calidus zmarszczył brwi.

– Więzień, który uciekł w towarzystwie Veradisa i tenebralskiego hufca.

Gdzieś za murami kryje się Maquin... A to oznacza... To oznacza, że jest z nim moja matka! A może nawet Veradis, pomyślał Nathair.

Poczuł nagły ucisk w żołądku. Złapał się stołu, przekonany, że za moment zwymiotuje. Oddychał głęboko.

Czy oni walczą przeciwko mnie? To chyba niemożliwe.

Ucieszył się na wieść o ucieczce matki, bo nie podobało mu się to, że znalazła się w mocy Calidusa. Starzec wpatrywał się teraz w niego.

– Maquin, tak? – zdołał wykrztusić Nathair. Próbował zachowywać się normalnie i kontrolować swe emocje.

– Tak. Stary Wilk, jak z lubością przezywają go moi ludzie.

– Jeśli to prawda – wtrącił Calidus – prawie na pewno towarzyszy mu hufiec z Ripy.

– A więc powinniśmy zrobić wszystko, co w naszej mocy, by przyspieszyć dotarcie ludzi Lothara – stwierdził Nathair.

– Niewykluczone – rzekł Calidus. – Dotarcie posiłków z pewnością ma swoje dobre strony, ale nie zapominajmy, co jest naszym ostatecznym celem.

– Mamy zgromadzić wszystkie Siedem Skarbów, Calidusie. To najważniejszy cel, prawda? Musimy sprowadzić Asrotha do świata materialnego – odpowiedział Nathair.

Siedzący obok niego Legion poruszył się na krześle i warknął z entuzjazmem.

– Prawda – rzekł z zapałem Calidus. – To z tego powodu się tu znaleźliśmy. Jak dotąd udało nam się zgromadzić trzy spośród nich: kocioł, włócznię i topór.

– Trzy z siedmiu! – parsknął Nathair. – A co z pozostałymi?

Calidus obrzucił go zimnym spojrzeniem spod ciężkich powiek.

– Mam powody, by wierzyć, że kielich i naszyjnik wkrótce znajdą się w naszych rękach. A przynajmniej w rękach moich agentów.

Czyli jest lepiej, niż przypuszczałem, pomyślał Nathair.

– A co z dwoma ostatnimi? Z torkwesem i sztyletem? – zapytał.

Calidus się skrzywił.

– Z tego właśnie powodu wezwałem was na to spotkanie. – Milczał przez moment, jakby się wahał, aż wreszcie powiedział: – Od pewnego czasu szukam w Drassil pewnej komnaty, gdzie przypuszczalnie odnajdę wskazówki co do miejsca ukrycia dwóch ostatnich Skarbów.

– Co to za komnata? – spytał Lykos.

– To kuźnia, w której wykuto Siedem Skarbów – westchnął Calidus ze zmęczeniem.

– No to ci pomożemy – rzekł Nathair. – Im więcej ludzi weźmie udział w poszukiwaniu, tym większa szansa, że ją znajdziemy.

– Właśnie – rzekł Calidus i zmarszczył brwi.

– A co z przybyszami, którzy szwendają się po puszczy? – spytał Lykos. – Nie będą chyba siedzieć z założonymi rękami?

– Cóż takiego mogą począć? – spytał Calidus i wbił ostre spojrzenie w Lykosa, a potem westchnął, najwyraźniej znużony rozmowami na tak przyziemne tematy. – Dobrze, widzę, że ta sprawa naprawdę was dręczy. Podejmę więc pewne kroki, by rozprawić się z naszymi niechcianymi gośćmi. – Osłonił usta dłońmi i zawołał: – Trigg! Chodźże tutaj!

Trigg, półolbrzymka, która wskazała im tajne wejście do fortecy, pojawiła się na schodach, wysoka i niezgrabna. Nathair nie widywał jej od dnia przybycia do Drassil, ale z pewnością trzymała się gdzieś w pobliżu.

Podeszła bliżej. Jej twarz była szeroka i kanciasta, a ramiona długie i już muskularne.

– Jestem – burknęła niechętnie.

– Trigg, o ile dobrze pamiętam – odezwał się Calidus – nie masz sobie równych w skradaniu się po lesie i szpiegowaniu ludzi tak, by ciebie nikt nie zauważył.

Trigg wzruszyła ramionami, potwierdzając jego słowa.

– Na naszym progu obozują niechciani goście. Chciałbym, byś ich dla nas odnalazła, byśmy mogli wyruszyć i ich pozabijać.

Rozdział dwudziesty siódmy

CORBAN

Corban wyszedł na dziedziniec osady Gramma.

Choć już chyba nie powinno się jej tak nazywać, pomyślał. Teraz to, jeśli wierzyć słowom Morta, pierwsze osiedle klanu Jotun po tej stronie rzeki od czasu Plagi.

Minęły już cztery noce od przybycia gromady olbrzymów Jotun, które pokonały kamienny most i zostawiły Pustkowie daleko za sobą. Rudowłosy olbrzym stał teraz za Corbanem i wpatrywał się w niego, jakby chłopak był szczurem złapanym w beczce z ziarnem. Nie odzywał się często, a na pewno nie tyle co Varan, co bardzo Corbana frustrowało.

Muszę znaleźć Varana i sprawdzić, czy ma więcej czasu. Ale najpierw...

Rozejrzał się dookoła i odnalazł wzrokiem stos żelaznych prętów, które idealnie się nadawały do tego, co chciał zrobić. Podniósł jeden z nich. Był ciężki i źle wyważony, ale Corban wiedział, że niczego lepszego nie znajdzie.

Co oni chcą wykuć z tego żelaza?, zastanawiał się. Coś mi się nie wydaje, by mieli na myśli narzędzia rolnicze.

– Po co ci to? – spytał Mort podejrzliwie.

– Cóż, jeśli sobie myślisz, że chcę zakręcić tym prętem nad głową i przebić się ku wolności, to jesteś w błędzie – rzekł Corban. – Chodź, chętnie ci pokażę.

Ruszył w górę wzniesienia, wzdłuż budowanej właśnie nowej głównej sali, a gdy dotarł na szczyt, zatrzymał się i nabrał powietrza

w płuca. Było wciąż wcześnie, a ognista kula słońca wspięła się właśnie nad horyzont. Nad rzeką w dole leniwie kłębiły się mgły. Młodzieniec zacisnął powieki, odepchnął od siebie setki kłębiących się myśli oraz zmartwień i przybrał pierwszą pozycję tańca miecza. Ujął pręt w obie dłonie i wznosił go nad głowę.

Nurkujący sokół.

Żelazny pręt był daleki od ideału, ale Corban przechodził z pozycji w pozycję, trwając w każdej do chwili, gdy jego mięśnie zaczynały płonąć z bólu. Świat zewnętrzny powoli przestawał mieć znaczenie, aż Corban dotarł do ostatniej pozycji, zwanej pyskiem dzika. Wyprowadził pchnięcie oburącz ku górze, uwolnił ostrze, zakreślił nim i zamarł w połowie obrotu. Stopy miał szeroko rozstawione, a pręt zastygł w poprzek, broniąc jego ciała. Mięśnie go bolały, nadgarstki i ramiona pulsowały, a gojąca się noga aż tętniła z wysiłku. Corban zamknął oczy i bez wahania rozpoczął kolejny taniec miecza. Płynnie przechodził z układu w układ, odnajdując tempo oraz rytm, które pozwalały mu zapanować nad każdym ruchem. To on władał tęym kawałkiem żelaza w rękach, a nie ono nim. Odtwarzał taniec miecza, który wpoił mu Gar, a który przez lata wrósł w jego naturę. Dodał do niego pozycje, których nauczył go Halion, oraz kolejne, wraz ze wszystkim, co poznał od czasu opuszczenia Dun Carreg – kopnięcia w kostkę, uderzenia czołem, wbijanie kolana w krocze, strząśnięcie cięższego oręża oraz każdy, najmniejszy nawet ruch nadgarstka, ramienia i stopy, który mógł pomóc w przejęciu inicjatywy. Miał wielu nauczycieli – Gara, Haliona, Conalla, Coralen, Tukula, Tahira i Balura – a wszystkie ich lekcje połączył w jeden płynny taniec. Płasał z tęym kawałkiem stali, jakby zewsząd otaczali go wrogowie.

Gdy się zatrzymał, wokół panowała cisza, którą przerywał jedynie jego chrapliwy oddech. Corban słyszał ponadto dudnienie serca w piersi i szum odległej rzeki. Przetarł oczy przedramieniem i rozejrzał się, powoli wracając do rzeczywistości.

Kilkanaście olbrzymów przerwało pracę i wpatrywało się w niego. Niektóre zamarły w połowie uderzenia młotem. Mort,

założywszy ramiona na szerokiej piersi, patrzył nań ze zmarszczonymi brwiami.

Corban przestąpił z nogi na nogę i nagle poczuł się zażenowany. Odniósł żelazny pręt tam, gdzie go znalazł, a Mort podążał za nim, jeszcze bardziej nieszczęśliwy i rozdrażniony z powodu swej roli.

– Wy nie macie w zwyczaju ćwiczyć? – spytał Corban olbrzymia.

Jedyną odpowiedzią było kamienne spojrzenie.

Corban chodził po osadzie, wszędzie natrafiając na dowody tego, że populacja olbrzymów znacznie się zwiększyła. Z otworów w dachach opustoszałych domostw unosił się dym, wszędzie uwijały się tykowate olbrzymiątka, które śmiały się i uganiały za psami, a dorośli tłukli rozwieszane pranie lub zasiadali na krzesłach przed domami, gdzie zajmowali się ostrzeniem toporów, patroszeniem ryb bądź szyciem.

Niewiele się różnią od nas, pomyślał Corban.

Jego uwagę przykuło jakieś domostwo, z którego buchały fale gorąca i dobiegał odgłos walenia młotów. Podszedł bliżej, przywabiony zapachem rozgrzanego żelaza. Niespodziewanie zalały go wspomnienia z beztrudnej przeszłości i niezliczonych dni, które spędził w kuźni z ojcem. Przypomniawszy sobie, jak ujmował rozżarzone żelazo i trzymał je na kowadle, jak zanurzał je później w cebrze z wodą, wymieniał olej i rozżarzał palenisko. Przypomniawszy sobie lekcje ojca, który pokazywał mu, jak usuwać skazy z formowanego żelaza za pomocą ognia, oleju i pracy. Ujrzał jego wielką dłoń na swojej, gdy uczył go, jak uchwycić młot. Słyszał jego śmiech, gdy palenisko buchało ogniem i przypalało im włosy na ramionach.

Pogrążony we wspomnieniach, stał przez moment nieruchomo, a gdy podniósł wzrok, ujrzał olbrzymia w grubym, skórzanym fartuchu, który unosił kowalski młot.

To Varan, uświadomił sobie po chwili. A więc ma więcej niż jedno zadanie w tym hufcu. Jest nie tylko uczniem uzdrowicielki, ale i kowalem. Znam to uczucie.

Olbrzym uderzał lekko w ułożony na kowadle niewielki element większej całości. Jego ruchy były opanowane, niemalże delikatne. Dopiero po chwili Corban zrozumiał, nad czym pracuje olbrzym.

To kolczuga! Ale dziwnego kształtu.

Varan uniósł głowę, dostrzegł Corbana, ale natychmiast znów skupił się na pracy. Mocował szerokie skórzane pasy do kolczugi oraz przytrzymujące je pierścienie.

– Co to? – spytał Corban między jednym uderzeniem młota a drugim. Musiał mówić głośniej, bo palenisko nieprzerwanie syczało i skwierczało.

– Pancierz dla niedźwiedzia – rzekł Varan, nie odrywając oczu od pracy.

Dla niedźwiedzia!

– Chodź, pokażę ci – powiedział olbrzym i starannie, z uwagą rozwiesił swe narzędzia. Potrząsnął kolczugą i przerzucił ją sobie przez ramię.

Gdy wyszli z kuźni, Mort zastąpił drogę Corbanowi i powiedział coś w mowie olbrzymów, ale Varan warknął w odpowiedzi. Przez moment oba olbrzymy mierzyły się spojrzeniami, aż na obliczu Morta pojawił się dobrze już znany grymas, po czym ustąpił z drogi. We trzech weszli do długiego pomieszczenia z wysokim, sklepionym sufitem, wspartym na wysokich belkach.

To zagrody dla niedźwiedzi, pomyślał Corban.

Każda zagroda była trzy, cztery razy większa od końskich boksów w stajni w Dun Carreg. Varan szedł wzdłuż nich, a Corban podążał za nim, zaglądając do środka. Niektóre zagrody były puste, inne zajęte przez niedźwiedzie.

Olbrzym zatrzymał się przed furką do jednej z zagród i przekazał kolczugę Corbanowi, a sam sięgnął do wysokiej beczki, wyłowił z niej wielkiego łososa, odsunął zasuwę i otworzył szeroko furkę.

– *Dia duit mo fiacail fada stór* – oznajmił.

Znajdujący się w środku niedźwiedź był ogromny, a jego ciemnobrązowe futro upstrzone było czarnymi plamkami. Spod górnej wargi sterczał samotny kiel, bo drugi został ułamany w połowie długości. Corban rozpoznał w nim zwierzę Varana, na grzbiecie którego pokonał połowę długiej podróży z Drassil. Olbrzym wyrzucił łososa w powietrze, na co niedźwiedź zerwał się zaskakująco szybko i złapał rybę w wielki pysk. Pochłonił ją

kilkoma kłapnięciami, a potem trącił Varana wielkim łbem. Olbrzym uśmiechnął się i potarł jego uszyska. Niedźwiedź rozchylił pysk, odsłaniając kolejne ostre, pożółkłe zęby.

Niepokoi mnie jakoś ten widok, pomyślał Corban, przyglądając się niedźwiedziowi podejrzliwie, ale pewnie inni ludzie czują się tak samo na widok mnie i Burzy.

Na wspomnienie wilkunicy poczuł ostre ukłucie bólu w brzuchu, jakby ktoś wbił mu tam cienki, srebrny nóż i go obrócił. Próbował o niej nie myśleć, bo świadomość straty była niemalże nie do zniesienia.

Varan wytrzepał wełniany koc i narzucił go niedźwiedziowi na grzbiet, a potem skinął na Corbana. Młodzieniec podał mu kolczugę, którą olbrzym założył na zwierzę, a potem pochylił się pod jego brzuchem i znów dał znać Corbanowi. We dwóch zapinali i regulowali mocowania zbroi na podbrzuszu, a potem wokół nóg niedźwiedzia. Na koniec olbrzym przypiął kolczugę do grubego, skórzanego kołnierza na karku zwierzęcia. Corban zaś cofnął się i przyjrzał bestii uważnie.

Zwierzę Varana już wcześniej budziło grozę, ale teraz wyglądało jak narzędzie zniszczenia.

– Nie jest za ciężka? Nie będzie się przesuwac w biegu? – spytał Corban.

Varan poklepał niedźwiedzia po muskularnej piersi i równie silnych łapach.

– Długoząb mógłby ponieść trzech takich jak ja – odparł, gładząc go po karku z uczuciem. – Pancierz jest ciężki, ale nie tak ciężki jak ja. Szybko się do niego przyzwyczai, a co do drugiego pytania, to nie. Została porządnie przymocowana i nie zsunie się.

– Szkoda, że Burza czegoś takiego nie miała – powiedział Corban. W jego gardle utknęła włochata kula, gdy ponownie przypomniał sobie wilkunicę. Zamrugnął i otarł łzy, a Varan wpatrywał się w niego z powagą.

– Życie to jeden wielki ciąg strat – oznajmił.

– Tak, trudno się temu sprzeciwić – rzekł Corban. – Ale przypuszczam, że niektórzy z nas stracili więcej od innych.

– Ale gdy przyjdzie co do czego, każdego spotyka taki sam los – rzekł Varan. – Wszak każdy z nas samotnie mierzy się ze śmiercią.

Corban przytaknął.

– Ja jednakże uważam, że ważne jest to, co przytrafia się przed śmiercią. Wszyscy umieramy, ale ilu z nas naprawdę żyje?

Varan przechylił głowę, wpatrując się intensywnie w młodzieńca.

– Wydajesz się... interesujący – rzekł. – Nie tego się spodziewałem.

– Cóż, wszyscy lubimy wyrabiać sobie zdanie o tym, czego nigdy nie widzieliśmy. Ja uważałem olbrzymy za podstępne bestie, czające się w mroku. Poznałem jednak wielu z was i widzę, że jesteście tacy jak my. Uthas zabił Nemain, jest mordercą. Balurowi i Ethlinn powierzyłbym natomiast własne życie. Nawet tu dostrzegam różnice między wami. Na przykład ty jesteś o wiele bardziej gadatliwy od Morta – dodał, wskazując rudzielca stojącego za nim.

– Rozmowa z tobą to nic złego – rzekł Varan. – Nie sądzę, byś mógł stąd uciec.

Jeszcze zobaczymy, pomyślał Corban.

– A co do Morta, cóż... Zabiłeś mu brata w Drassil.

To sporo wyjaśnia, przemknęło Corbanowi przez głowę.

– *Agus beidh mé tú a mharú* – odezwał się Mort z półmroku.

– Choć to nie była do końca moja wina – rzekł Corban. – Jego brat pierwszy chciał mnie zabić. A teraz Mort został moim strażnikiem. Czy to mądra decyzja?

– Mort to zastępca Ildaera i uczy się sztuki dowodzenia. Pilnowanie ciebie ma mu wpoić umiejętność panowania nad sobą.

Corban spojrział na Morta, który wpatrywał się w niego ponuro.

– Nie wiem, czy to przynosi rezultaty.

– Nadal żyjesz – uświadomił mu Varan.

Co racja, to racja. Pytanie brzmi – jak długo jeszcze, pomyślał Corban.

– Widziałem cię na wzgórzu. – Varan zmienił temat. – Jak wymachiwałeś prętem żelaza.

– Och, tak. To pomaga. – Corban postukał się palcem po głowie i sercu. – Wiesz, więzicie mnie tutaj, a moi przyjaciele i bliscy być może walczą o życie.

– Było na co popatrzeć – ciągnął Varan z dziwnym spojrzeniem. Na jego ustach pojawił się niemalże uśmiech. – Rozumiem, że wszyscy twoi wrogowie już nie żyją?

– Tylko w mojej głowie – burknął Corban. – Sporo ich zgromadziłem, sam rozumiesz, a więc zawsze jeszcze paru się znajdzie.

– Pamiętam, co powiedziałeś Ildaerowi – zadudnił Varan. – O tym, że trzeba wybrać stronę.

– Tak.

– Dało mi to do myślenia.

I dobrze, powiedział do siebie Corban i dodał na głos:

– Ildaer wydaje się rozważnym wojownikiem.

– Jotun to klan rozważnych olbrzymów – odparł Varan. – Jak na kogoś spośród nas, Ildaer to raczej zapalczywy typ.

– Jest z nas najlepszy! – rzekł dobitnie Mort, przyglądając się obu rozmówcom spod przymrużonych powiek.

– To dzielny przywódca i odważny wojownik – zgodził się Varan. – Dobrze nami dowodził i wiele dla nas osiągnął.

– A wasz król? – spytał Corban.

– Eld, nasz władca, ma za sobą długie życie. On to dopiero jest rozważnym mężem – odparł Varan, a Mort parsknął w półmroku.

A więc ich król ma na imię Eld, pomyślał Corban.

– Eld był świadkiem Plagi – wyjaśnił Varan. – Widział, jaką krzywdę wyrządziła klanom olbrzymów, a więc postanowił wycofać się z walk i powiódł Jotun na północ, w poszukiwaniu bezpieczeństwa. Mój klan mieszka tam od prawie dwóch tysięcy lat. Przeżył dzięki temu, że zachowaliśmy rozwagę i ostrożność. Co więcej, zdołaliśmy zwiększyć naszą liczebność. Nie sądzę, by inne klany miały się równie dobrze.

– Ilu was jest? – spytał Corban, myśląc o wielkiej gromadzie, którą widział w trakcie przekraczania rzeki.

Dziesięć setek? Piętnaście?, zastanawiał się.

– Wystarczająco wielu – rzekł Varan. – Jesteśmy liczniejsi od każdego innego klanu olbrzymów, a zawdzięczamy to tylko rządóm naszego króla.

– A więc dlaczego wyruszył na południe teraz, gdy rozpoczęła się Wojna Bogów? – spytał Corban.

– Nie wiem, jak to wyrazić w twoim języku. Mamy... no, *grúpaí? Faicsin?* Nie wszyscy myślimy tak samo w obrębie naszego klanu, a zwłaszcza dotyczy to młodych olbrzymów, które przyszły na świat po kataklizmie. Mamy różne poglądy. Niektóre z nas łakną sławy oraz honoru i marzą o chwale wojennej, podczas gdy inne nadal zalecają rozwagę i ostrożność, czyli najbezpieczniejszą strategię. Wielu spośród nas słucha Ildaera, dumnego i silnego olbrzyma, który chciał wrócić na południe i odebrać utracone ziemie. Pustkowie nie jest żyzną krainą, sam rozumiesz. Życie tam nie należy do łatwych.

– Czyli Ildaer stanął na czele powstania? Wzniecił bunt, który Eld zdławił, a niedobitków wygnał na południe?

– Och, nie – odparł Varan. – Eld trzyma się starych zwyczajów. Pielęgnuje tradycje i honor. Wierzy w to, że krzywdę należy pomścić, a gościa uszanować. Wpoił te zasady wszystkim Jotun i to dlatego Ildaer traktuje cię z szacunkiem, a nie jak więźnia. Dobrze pamięta to, czego nauczył go król. Eld wierzy, że dawne zasady pomogły Jotun przetrwać trudne czasy. Zauważył to, jak wielką popularnością cieszy się Ildaer, ale zamiast traktować go jak rywala czy parweniusza, mianował go przywódcą wojennym Jotun i pozwolił mu zabrać drużynę na południe. Nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, ile Ildaer zdoła osiągnąć. Najbardziej cyniczni spośród nas mogą sobie szeptać, że Eld sądził, iż Ildaer postrada podczas misji życie. Ba, może nawet miał na to nadzieję... – Varan uśmiechnął się do Corbana. – Ten jednakże zdobył ziemie! – Ostatnie słowo wymówił z czcią, jakby mówił o największym ze Skarbów. – Ildaer zdobył wielką sławę wśród Jotun, a jego imię jest na ustach nas wszystkich. Niektórzy zaczynają mówić, że Eld być może jest zbyt stary i zbyt przezorny. Nadeszły nowe czasy, rozpoczęła się nowa era. Pora, by Jotun się podnieśli i odzyskali to, co utracili. Dlatego właśnie Eld tu przybył.

– A co ty o tym sądzisz? – spytał Corban.

– Ja? Ja ruszyłem na południe z Ildaerem. Byłem jednym z młodych, którzy pragnęli chwały i sławy wojennej, ale pobierałem wówczas nauki u Hali, a ona jest oczami i uszami naszego króla w drużynie Ildaera. Jest mądrą olbrzymką, ale bardzo ostrożną. Bywa, że przezorność okazuje się mądrością. Bywa też, że przez przezorność przemawia lęk, a lęk z mądrością nie ma nic wspólnego. Myślę, że być może przejąłem po trosze jej sposób myślenia. – Znow wzdrynął ramionami i uśmiechnął się. – Prawdę powiedziawszy, nie wiem, co mam myśleć. Wierzę jednak, że Jotun wymrą na północy. Poza tym, na Pustkowiu nie ma życia. Będzie tak, jak mówisz: każdy z nas umrze, ale nie wszyscy zazną życia.

– Czyli masz się za przezornego wojownika, ale na wszelki wypadek wykonałeś pancerz dla swego niedźwiedzia.

– Tak. – Varan się uśmiechnął. – Sporo widzisz. Zresztą, jak sam głosisz, trwa Wojna Bogów. Bywa, że bitwa sama cię dopada, bez względu na to, jak bardzo jesteś ostrożny.

Ja uciekałem przez wszystkie królestwa zachodu, a Wojna Bogów i tak mnie dopadła, pomyślał Corban.

– Tak – zgodził się głośno. – Mam podobne doświadczenia. Co myślisz o Eldzie? Dołączy do wojny? Będzie chciał walczyć z Asrothem? – zapytał z nadzieją, wpatrując się w zagrody pełne wielkich bestii.

Mnóstwo niedźwiedzi i dosiadające ich olbrzymy. Taki hufiec mógłby odwrócić losy każdej bitwy, pomyślał.

– To już usłyszysz od niego.

– Muszę z nim porozmawiać – rzekł Corban.

– Twoje życzenie wkrótce się spełni. Póki co towarzyszy mu Ildaer, ale bez wątpienia niebawem wezwie cię przed oblicze Elda.

– Dlaczego?

– By zdecydować o twoim losie – rzekł Varan, wpatrując się w człowieka bez emocji. – Słowo króla jest prawem.

Rozdział dwudziesty ósmy

CORALEN

Coralen niemalże bezszelestnie przemknęła między drzewami, czego już nie dało się powiedzieć o dwójce jej towarzyszy.

Farrell i Laith są niezgrabni jak dwa woły, pomyślała.

Zacisnęła zęby i spojrzała za siebie. Szli traktem Jaela, jakieś dwadzieścia kroków za nią. Coralen nie była zwolenniczką podróżowania drogami, bo czuła się na nich zbyt odsłonięta, ale musiała przyznać, że był to najszybszy sposób na wydostanie się z Fornu.

Dzięki ci za to, Jaelu, choć nie wydaje mi się, byś miał naszą wygodę na względzie, pomyślała.

Farrell i Laith nie dzielali jej uprzedzeń w związku z drogą. Farrell biegł jako pierwszy, czerwony na twarzy i mokry od potu. Młot wojenny wystawał mu znad muskularnych ramion. Pozdrowił Coralen skąpym skinieniem, gdyż na nic więcej nie było go stać.

Za nim podążała Laith, która wydawała się być w nieco lepszej kondycji, choć różnica nie była wielka. Olbrzymka wpatrywała się w ziemię pod swoimi stopami, zawzięta i zdecydowana. Przedzierali się przez wszystko, co zagrażało im drogę – miażdżyli z trzaskiem gałęzie, tratowali krzaki, wyrywali pnącza. Coralen opanowała pokusę, by znów syknąć na nich karcąco.

To nie ma sensu, powiedziała sobie. Próbowalam już i nic to nie dało, a trzeba przyznać, że i tak nieźle sobie radzą. Przebiegliśmy całą trasę z Drassil na skraj Fornu i nie odpadli po drodze!

Coralen narzuciła ostre tempo. Każdego dnia zrywali się przed świtem i podążali po śladach niedźwiedzi aż do zapadnięcia całkowitych ciemności. Wędrowali w ten sposób przez cały księżyc, głównie biegnąc, a mimo to uciekający ciągle powiększali swą przewagę.

Te niedźwiedzie są za szybkie!

Las wokół nich przerzedzał się od jakiegoś czasu, a rzeka rozlewała się na północ coraz szerzej, wdzierając się na bardziej otwarte tereny.

W tym tempie jutro ujrzymy osadę Gramma, stwierdziła Coralen.

Z tą myślą wpadła na porębę, gdzie po drzewach pozostały jedynie pniaki. Po lewej mignęła jej jakaś postać, którą okazał się Gar. Po prawej wyłonili się Dath i Kulla.

Przynajmniej o nich nie muszę się martwić, pomyślała. Pewnie zdołaliby podkraść się nawet do Burzy tak, by nie zauważyła.

Serce jej ścisnął ból na myśl o wilkunicy, którą widziała po raz ostatni, gdy zwierzę było na skraju śmierci. Wyszepiała w duchu modlitwę w jej intencji. Rzadko się uciekała do modlitw, ale była gotowa zrobić wszystko, by pomóc Burzy.

Jej myśli zatoczyły koło i powróciły do Corbana. Przypomniała sobie, jak wściekła się na niego przed bitwą o Drassil.

Pocałowałam go, a co on na to? Nic! Cóż, co prawda nie stał jak kulek i odpowiedział na pocałunek, co samo w sobie było miłe, ale potem... Dobra, rozmówię się z nim, jak już wyciągnę go z tarapatów.

Wspięła się po zboczu pagórka i ujrzała szerokie, rozległe łąki. W oddali wznosiło się wzgórze, od północy opływane przez połyskliwą rzekę. Coralen zamachała i reszta ich niewielkiej grupki skreśliła ku niej. Spotkali się przed szczytem wzniesienia. Farrell sapał przez moment ciężko, a jego wielka klatka piersiowa unosiła się i opadała.

– Osada Gramma ma nowych mieszkańców – zauważyła Coralen, przyglądając się kolumnom dymu, wznoszącym się znad wzgórza. Zerknęła na Gara, przypomniawszy sobie chwile, gdy byli tu poprzednio. Na nowo poczuła żal po stracie Tukula.

Jego ojciec był niezwykłym człowiekiem i nie ma co do tego dwóch zdań, pomyślała.

Kamienna twarz Gara nie zdradzała żadnych uczuć.

– Naprzód – oznajmił. – Stercząc tu i gapiąc się, nie zdołamy ocalić Corbana.

Farrell zarządził, ale po chwili znów biegli po widocznych już tropach niedźwiedzi. Zbiegli ze wzgórza i popędzili po łące w stronę wzniesienia, na którym zbudowana była osada Gramma.

* * *

– On tam jest! – powiedziała Coralen do Gara.

Rozłożyli obozowisko w niewielkim zagajniku, znajdującym się jakieś dwie mile od osady, gdzie pozostawali niewidoczni ze wzgórza. Cała szóstka wpatrywała się w osadę Gramma, w miarę jak słońce powoli kryło się na zachodzie, a zabudowania ciemniały. Od czasu do czasu widywali postacie, które wędrowały po zboczach, zdarzało się też, że zimny wiatr przywiał niski ryk niedźwiedzia.

– Jesteś tego pewna? – spytał Gar.

Coralen, Dath i Kulla spędzili cały dzień na zwiadzie wokół wzgórza.

– Tak – odparła dziewczyna. – Chyba że zabrali go na drugi brzeg rzeki w głąb Pustkowia.

– W życiu nie widziałem tyle olbrzymów – rzekł Dath. – Nie sądzę, by na północnym brzegu zostały jeszcze jakieś. Po co miałyby go gdzieś zabierać, skoro chyba wszyscy zgromadzili się tutaj?

– Dziwne to wszystko – rzekła Laith z zadumą. – Jotun na ogół nosa nie wyściubiają za granice swej ojczyzny.

– Opowiedz mi o nich – poprosił Gar.

– Jestem młoda – oznajmiła Laith – ale wedle naszych opowieści Jotun uciekli na Pustkowie zaraz po Pladze i ukryli się tam. Ich król, Eld, o ile dobrze pamiętam, wolał się wycofać, niż wziąć udział w konflikcie.

– Może po prostu był rozważnym przywódcą – mruknął Gar.

– Mówiono o nim, że lubił trzymać się starych tradycji.

Gar potarł podbródek, zamyślony.

– Ilu ich tam jest? – spytał Farrell. Odzyskał już siły po wyczerpującym biegu i wyglądał teraz o wiele groźniej.

– Przynajmniej tysiąc – rzekł Dath. – A pewnie więcej.

– A więc nie da się ich wszystkich pozabijać – burknął Farrell. – Co wyklucza pierwszy plan.

– A jak wygląda drugi plan? – spytał Dath.

– Mam pewien pomysł – oznajmił Gar.

* * *

Coralen obudziła się przed świtem. Wstała i przeciągnęła się, a potem bezszelestnie przekradła się na skraj obozowiska, skąd Gar prowadził obserwację. Stała obok niego i oboje patrzyli na słońce, które wyłoniło się zza horyzontu i zalało osadę Gramma różowym ogniem.

– Mam wrażenie, że przez całe moje życie to właśnie ten chłopiec był moim słońcem. Centrum mojego świata – rzekł Gar.

– To już nie chłopiec – powiedziała łagodnie Coralen.

– Dla mnie zawsze nim będzie. – Głos Gara nie był głośniejszy od szeptu. – Ba, więcej niż tylko chłopcem. To mój chłopak. Syn, którego nigdy nie miałem.

– Dzisiaj go zobaczymy. Wyrwiemy go stamtąd i zabierzemy ze sobą – powiedziała Coralen, czując, jak łzy rozmazują jej świat.

Plan Gara był szalony. Nie mieli żadnych szans, ale z drugiej strony nie mieli też innych możliwości.

– Zgadza się – burknął Gar. – I niech niebiosy mają w opiece każdego, tak człowieka, jak i olbrzyma, który spróbuje nas powstrzymać.

Obdarzył ją uśmiechem, który Coralen nieczęsto widziała na jego obliczu, a potem uściśnął jej dłoń.

Pozostali również byli już na nogach. Farrell oglądał swój młot, Laith oliwiła noże, Dath sprawdzał brzechwy strzał. Gar wyszedł

spomiędzy drzew i spojrział na wszystkich.

– Ruszamy po Corbana – powiedział.

I tylko śmierć nas powstrzyma, dodała w myślach Coralen.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

RAFE

– Co oni zrobili z moją wieżą! – wrzasnął Morcant.

Wydostanie się z bagien zabrało im aż dziesięć dni. Połowa hufca Rhin wysiadała właśnie z łodzi, a pierwsi ludzie docierali już do łąk, które okalały wieżę Morcanta, a raczej to, co z niej zostało.

Czyli niewiele.

Z samej wieży pozostał jedynie szkielet wypalonych belek, palisada w większości się zawaliła, a jej resztki przypominały poczerniałe, gnijące zęby wiedzmy.

Za sobą Rafe słyszał kobiecy głos, który przebijał się przez pomruk głosów wojowników, co nie działo się często w tym hufcu. Przyszło mu do głowy, że jeszcze nie tak dawno nie wychwyciłby tak delikatnego dźwięku.

Od czasu, gdy napiłem się z tego pucharu, jestem innym człowiekiem, uświadomił sobie. Zaszła we mnie zmiana. Nigdy dotąd nie było we mnie tyle życia. Jestem silniejszy, szybszy, a mój wzrok i słuch są o wiele lepsze niż kiedyś.

Ów kobiecy głos należał do Roisin, jedynej żywej osoby, którą znaleźli w ruinach Dun Crin. Wyszła z łodzi na drewniany pomost, a wojownicy gromadzili się wokół niej, by jej pomóc.

Jak na więźnia cieszy się sporą popularnością, pomyślał Rafe, choć dobrze rozumiał powody tego stanu rzeczy. Sam z lubością wpatrywał się w jej kształtne kostki, kuszące uda, skórę jasną jak śmietana i czarne włosy, nadal połyskliwe pomimo długiej przeprawy przez bagna.

Choć nie wydaje mi się, by Rhin podobała się uwaga, jaką ściąga na siebie Roisin, dodał w myślach. Ma szczęście, że Rhin uznała ją za użyteczną. W przeciwnym razie ogryzałyby ją już ryby w jednym ze strumieni.

* * *

– Rozdzielili się – zameldował Rafe. – Podzielili się na trzy oddziały, które udały się odpowiednio na wschód, zachód i północ.

– W co pogrywa ta mała zdzira? – parsknęła Rhin i rozparła się na swoim krześle. Jej skórę pokrywał pot, a srebrne włosy były potargane.

Stojący za nią Uthas mruknął coś cicho.

– Co? – warknęła Rhin. – Długo jeszcze będziesz się tak za mną czaił, stękał i kołysał się jak gnijące drzewo? Jeśli masz coś do powiedzenia, po prostu to powiedz!

Jej cierpliwość najwyraźniej się skończyła, pomyślał Rafe.

– Ewnis – rzekł Uthas, a Rafe wykrył w jego głosie nową nutę. Czyżby to był gniew? A może pogarda?

– Być może ci to umknęło, ale spędziliśmy właśnie ponad księżyc, włócząc się po tych cuchnących bagnach w poszukiwaniu mojego zaginionego regenta. Nie wiem, czy zginął, czy uciekł, ale na pewno go już nie ma.

To ja go szukałem, pomyślał Rafe. Ty tylko siedziałaś na łodzi i wydawałaś rozkazy.

Spędził sporo czasu, przeszukując ogromny obszar wokół północnej części jeziora. Natrafił na jakieś ślady, które kończyły się na brzegu strumienia. Odniósł wrażenie, że idący tamtędy człowiek spotkał się z kimś innym. Nie miał pewności, ale wydawało mu się, że coś wielkiego zostało wrzucone do strumienia. Przez dłuższą chwilę sprawdzał dno włócznią, a nawet wskoczył do wody, ale niczego nie znalazł.

Nie ma się czemu dziwić, pomyślał. W tych bajorach aż roi się od węży, węgorzy i Asroth wie czego jeszcze, a cała ta hałastrą potrafi

się sprawnie uwinąć ze zwłokami.

Nie miał żadnych dowodów, ale coś mu mówiło, że to właśnie tam Evnisa spotkała śmierć.

– Myślę, że zginął na tych bagnach, moja pani.

– Tak, dzieliłeś się już swą opinią. Szkoda, że tylko opinią, bo wolałabym usłyszeć fakty.

Rafe nie odezwał się.

– Jesteś utalentowanym tropicielem – rzekł Uthas, czym zaskoczył Rafe'a. Jak dotąd rzadko się do niego zwracał. – Pierwszym ze zwiadowców królowej Rhin, który powrócił.

Nic dziwnego. Jestem wśród nich najlepszy, pomyślał Rafe.

– Pamiętam drogę, którą zaprowadziłeś nas do Dun Crin – ciągnął Uthas. – Pamiętam, jak dostrzegłeś czapkę na drugim brzegu jeziora. Jak odnalazłeś trop w Dun Crin tam, gdzie wszyscy inni tropiciele zawiedli.

– A co to ma wspólnego z Evnisem? – zapytała Rhin.

– Bez względu na to, co się z nim stało... – zaczął Rafe, ale się zawahał. Nie podobało mu się taksujące spojrzenie, jakim obrzucił go olbrzym.

– Raczej nie miał tego na sobie – dokończył za niego Uthas.

– To wiemy! Ale gdzie miałyby to trzymać? – spytała Rhin. Patrzyła teraz na Rafe'a. – Dorastałeś w domostwie Evnisa, prawda? Gdyby miał coś naprawdę cennego, gdzie by to schował?

– Masz na myśli wspaniałego ogiera czy dobrego psa, pani? – spytał Rafe.

– Nie, nic z tych rzeczy! – warknęła Rhin. – Czy dla was, tropiciele, cenna rzecz to zawsze coś żywego?

– Czyli miecz, tak? Srebro? Złoto?

– Już prędeż.

– Pewnie w jego wieży w Dun Carreg – rzekł Rafe. – Spędzał tam mnóstwo czasu. Głównie przesiadywał w komnacie na samym szczycie, gdzie nikt nie miał prawa mu przeszkadzać.

Rhin i Uthas przez moment spoglądali na siebie. Na obliczu królowej znów pojawił się uśmiech.

Od dawna nie widziałem, by się uśmiechała, pomyślał Rafe.

– A więc ruszamy do wieży Evnisa – oznajmił Uthas.

– A co z Edaną? – zaprotestowała Rhin. – Nie mogę pozwolić, by się włóczyła po okolicy. Asroth jeden wie, co jej może do głowy strzelić.

– Poślij za nią Morcanta – rzekł Uthas. – A my się zajmiemy ważnymi sprawami.

– Ale oni udali się w trzy strony świata!

– A więc rozdziel hufiec – zaproponował olbrzym. – Jest wystarczająco duży.

Racja, pomyślał Rafe. Mamy tu ponad tysiąc zbrojnych.

– Jeśli wracacie do Dun Carreg – odezwał się – jeden z oddziałów udał się właśnie w tamtym kierunku. Weźcie dość ludzi, by się z nimi uporać. Morcant niech weźmie resztę, by zająć się pozostałymi.

Rhin spoglądała na niego z zadumą.

– Jak na tropiciela okazujesz się bardzo przydatny w wielu innych sytuacjach – stwierdziła. – Czemu ja wcześniej tego nie zauważyłam? Zaczynasz mi przypominać Braitha.

Rafe zauważył, że Uthas pochylił się ku niemu i wpatrywał się w niego, marszcząc krzaczaste brwi.

Rhin powoli omiotła młodzieńca wzrokiem.

– Zastanawiam się, czy podobieństwa kończą się na tym – rzekła.

Rozdział trzydziesty

CORBAN

Corban obudził się wcześniej i zerwał z posłania, a potem zaczął krążyć po pokoju. Sprawdzał wytrzymałość swej gojącej się nogi – rozciągał mięśnie i znów je rozluźniał, aż doszedł do wniosku, że jego kończyna ma się lepiej niż wczoraj, niemalże idealnie.

Mimo to czuł napięcie. Ciężko mu wspomnienie rozmowy, którą odbył poprzedniego dnia z Varanem. Miał nadzieję, że Ildaer i Eld będą chcieli go zobaczyć wieczorem, ale do tego nie doszło.

Dziś. Na pewno wezwą mnie dziś, próbował się przekonać. Od przybycia Elda upłynęło aż pięć nocy. Wygląda na to, że król Jotun ma czas na wszystko.

Westchnął z irytacją.

Gdybym tylko zdołał go przekonać, by stanął po naszej stronie. By podjął walkę z Asrothem.

Otworzył drzwi i wyszedł na dziedziniec, kierując się ku stercie żelaznych prętów. Mort podążał za nim w milczeniu. Młodzieniec, wybrawszy sobie odpowiedni drąg, udał się na szczyt wzgórza, gdzie jego opiekun jak zwykle oparł się o stertę materiałów budowlanych z pogardliwym uśmiechem. Dołączyło do niego kilku młodych wojowników, którzy pozdrowili go głośno. Emanowali energią i buńczucznością.

A więc to członkowie drużyny Ildaera, pomyślał Corban.

Odetchnął głęboko i przybrał postawę nurkującego sokoła.

„Zaczynaj” – przemówił w jego umyśle Gar.

Gdy zakończył, jego ciało spływało potem, pierś unosiła się i opadała, a mięśnie bolały. Spokój, który dawał mu taniec miecza, rozchodził się po jego ciele, choć ku rozdrażnieniu Corbana rozpraszał się niemalże natychmiast, jakby wyciekał z niego kropla po kropli, ustępując miejsca frustracjom ze świata zewnętrznego.

Czuł się jednocześnie wściekły i bezużyteczny. Spojrzał na olbrzymy zajęte codziennymi sprawami, budową, pracą.

Czy one nie widzą, jakie to wszystko bezsensowne, zastanawiał się. Jeśli Asroth przybierze cielesną postać, nikt nie umknie przed jego gniewem, wszystko zamieni się w pył i zgliszcza. Muszę się stąd wyrwać. Muszę odnaleźć Cywen, Gara, Coralen, Farrella i Datha.

Jego wzrok padł na rudowłosego Morta, opartego o stertę drewna kilkanaście kroków dalej.

– Potrenujesz ze mną? – zapytał.

Olbrzym wydawał się zaskoczony. Spojrzał na swoich towarzyszy, zbrojnych w młoty i topory przytroczone do pleców.

– Miałbym z tobą trenować? Nie, człowieczku. Gdybym musiał z tobą walczyć, nie bawiłbym się w udawanie – rzekł i poklepał swój topór. Pozostałe olbrzymy zamruczały z aprobatą.

Szkoda. Muszę komuś przywalić, pomyślał Corban.

– To może ktoś z was ma ochotę? – zwrócił się do pozostałych.

Jego uwagę przykuły czyjeś ciężkie kroki. Szedł ku niemu Ildaer w asyście Varana.

– Chodź ze mną – rzekł przywódca wojenny Jotun. – Pora, byś poznał naszego króla.

* * *

Nowa sala główna była wielka. Wzniesiono ją w tym samym miejscu co starą, ale okazała się szersza, wyższa i głębsza. Sufit wspierały kamienne kolumny, po których ciągnęły się spiralne wzory runów. Dach nadal był nieukończony i jasnoblękitne niebo przecinał szkielet belek.

Eld siedział na podwyższeniu po przeciwnej stronie sali. Był równie wysoki jak inne olbrzymy, ale gdy Corban podszedł bliżej, wyczuł w nim swego rodzaju kruchość i bezbronność. Król miał bladą karnację, upstrzoną ciemnymi plamami, a jego skóra wydawała się cienka jak papier. Jego siwe włosy były delikatne niczym pasemka pajęczyny, a wąsy opadały aż na pierś. Zasiadał na tronie, strojny w bogate szaty z wełny, wypolerowany skórzany pancerz i płaszcz z białego futra, a jego dłonie były ciężkie od pierścieni. Jego jedyną bronią był sztylet u boku. Rękojeść ostrza owinięto w skórę poznaczoną plamami od potu, a głowicę i jelec wykonano z osobliwego, ciemnego żelaza.

Eld przyglądał się prowadzonemu ku niemu młodzieńcowi małymi, czarnymi oczyma. Po jednej stronie tronu stała Hala, odziana w skromne szaty z wełny i skóry, a po drugiej wojowniczką z jasnymi włosami upiętymi w warkocz, który spływał po jej ramieniu niczym żmija. Zza jej pleców wystawała rękojeść długiego miecza. Tatuaz kolczastej winorośli oplatał jej nadgarstek i wił się wyżej, niknąc w rękawie kolczugi. Przyglądała się Corbanowi z chłodną obojętnością.

– A więc oto twój jeniec – odezwał się Eld starym, drżącym głosem, przywodzącym na myśl świst wiatru wśród kamyków.

– Tak, mój panie. – Ildaer pochylił głowę.

Corban wpatrywał się w króla Jotun niczym dziecko oczarowane występem cyrkowców na wiosennym festynie. Eld był tak sędziwy, iż zdawać by się mogło, że przy gwałtowniejszym ruchu zamieni się w dym i rozwieje na wietrze.

Ildaer szepnął coś do Morta, na co rudzielec uderzył Corbana w tył głowy, a ten zatoczył się i padł na jedno kolano.

– Ukorz się przed Wielkim Królem! – warknął olbrzym.

Corban nosił się z zamiarem ukłęknięcia bądź przynajmniej ukłonięcia się, ale gniew, który nie opuszczał go ostatnio ani na moment, wezbrał gwałtownie. Wstał, obrzucił Morta wściekłym spojrzeniem, a potem przeniósł wzrok na władcę.

– Cieszę się z naszego spotkania, Eldzie, królu Jotun – rzekł, patrząc starcowi w oczy.

Mort uniósł rękę do kolejnego uderzenia.

– Powstrzymaj się – rzekł Eld, wpatrując się w Corbana. – To nasz gość. Dopóki tu jestem, dopóty będziemy przestrzegać zasad. – Spojrzał z dezaprobatą na Ildaera, potem wpatrywał się przez moment w oczy Morta, aż na końcu skupił uwagę na Corbanie. – Ildaer powiedział mi, że ubiłeś trzech spośród nas.

– Nie byłem sam – odpowiedział Corban.

– Tak. Słyszałem o twoim wilkunie. Padł ponoć. – Starzec zuł przez moment wargę. – Tak czy owak – podjął – zginęło trzech naszych, z czego dwóch nie zostało zagryzionych czy poszarpanych.

– To było zacięte starcie. – Corban wzruszył ramionami, myśląc o swoich połamanych żebrach i strzaskanym kolanie.

Wojowniczką parsknęła, ale młodzieniec nie wiedział, co nią powodowało. Szacunek czy pogarda?

– Ildaer powiedział mi też, że jesteś znaczącą figurą w toczącej się wojnie – rzekł Eld, spoglądając na obręcz na ramieniu więźnia. – Powiedz mi więc, kim ty naprawdę jesteś i jaką rolę odgrywasz w tej wojnie?

Pora, bym odsłonił karty, choć nie wiem, czy mnie to uratuje, czy może pogrąży do reszty, pomyślał Corban.

– Nazywam się Corban ben Thannon. Niektórzy nazywają mnie Jasną Gwiazdą, czempionem Elyona. Stoję na czele hufców, które walczą z Asrothem, jego Kadoshim i wszystkimi, którzy za nimi podążają.

Zapadła ciężka cisza. Wszyscy wpatrywali się w niego. Hala pochyliła się ku Eldowi i szeptała mu coś do ucha, a Ildaer mruzczał coś za plecami Corbana.

Niespodziewanie stary król wbił wzrok w Ildaera, a jego oblicze wykrzywił grymas furii. Zacisnął dłoń na rękojeści noża, aż kłykcie mu pobielały. Wyciągnął go do połowy, a Corban ujrzał, że ostrze było matowe, niemalże czarne.

– Wygląda na to, Ildaerze, że pochwyciłeś znacznie więcej, niż sądzisz! Zastanowiłeś się choć przez moment, w jakie niebezpieczeństwo się pakujesz? Przyszło ci do głowy, że wciągasz w nie wszystkich Jotun?

Już nagle nie wydaje się taki kruchy... Jest wściekły, pomyślał Corban.

– Za tak ważnego jeńca można sporo ugrać! – Ildaer zadarł podbródek, choć w jego głosie pojawiła się nuta zwątpienia.

– A także narazić się na niemałe ryzyko – rzekł Eld. – Co zrobimy, gdy Calidus lub jego czempion przybędą tu, by szukać Jasnej Gwiazdy! Co zrobimy, jak go tu zastaną? Wśród Jotun? Ech! – Eld potrząsnął głową i skrzywił się z pogardą. – Ściągniesz na nas nieszczęście!

– Nie to zaplanowałem – rzekł Ildaer. – Możemy ofiarować go Asrothowi i Calidusowi, czym zasłużymy sobie na wielką łaskę i miejsce w nowym porządku świata. Ocalilibyśmy wówczas nasz klan.

Chce grać lękami Elda przeciwko niemu samemu, pomyślał Corban.

– Calidus. Tak... – mruknął Eld. – To strateg. Być może jeśli zareagujemy szybko, będziemy mogli naprawić twą gafę i ocalić klan.

Spojrzał w dół i uświadomił sobie, że o mało nie wyciągnął sztyletu. Westchnął chrapliwie i wsunął go do pochwy.

– Nie możecie oddać mnie Calidusowi! – odezwał się Corban.

Eld znów zwrócił swą uwagę na więźnia.

– Nie ty będziesz mi mówił, co mogę zrobić, a czego mi nie wolno – rzekł. – To ja zdecyduję o twoim losie. – Wzruszył ramionami, wpatrując się w młodzieńca. – Jasna Gwiazda – mruknął. – Ależ ten czas zleciał. – Westchnął do siebie i dodał: – Muszę mieć na względzie przyszłość mego klanu. Muszę zrobić wszystko, by Jotun przetrwali. Póki przebywasz wśród nas, będziesz traktowany z szacunkiem. Jesteśmy honorowym ludem i robimy wszystko tak, jak należy. Wiedz, że moja decyzja w stosunku do ciebie będzie podyktowana jedynie troską o los Jotun. To nic osobistego.

Wielka mi pociecha, pomyślał Corban, a głośno powiedział:

– Nie możesz sprzymierzyć się z Asrothem! Byłeś świadkiem Plagi i wiesz o nim więcej niż ktokolwiek z nas. Jemu nie można zaufać!

– Widziałem, jak Asroth szczuje olbrzymy na siebie, to prawda – szepnął Eld i pogładził rękojeść długiego sztyletu. – Widziałem też, jak Ben-Elim przesłaniają słońce niczym chmara kruków i lecą przed siebie, siejąc śmierć. Nie mieli litości, nie mieli współczucia, nie wiedzieli, czym jest przebaczenie.

Corban potrząsnął głową.

– Możemy sprawić, by do tego nie doszło. Razem. Masz możliwość, by zrobić coś w tej sprawie. Możesz dołożyć starań, by historia się nie powtórzyła.

Eld wpatrywał się w niego w zadumie.

Słucha mnie, pomyślał Corban.

– Jeśli nie powstrzymamy Asrotha, ten wkroczy do naszego świata i przybierze czyjeś ciało, a wówczas wszyscy jesteśmy martwi – ciągnął. – Widziałem tylko ułamek tego, do czego zdolni są Kadoshim, a był to straszny widok. Nie będzie już kryjówek, nie będzie bezpiecznych miejsc. Nie będzie życia w pokoju. Zostaniecie wyrznięci. Stańcie po mojej stronie, a powstrzymamy tę falę ciemności.

Rozejrzał się po sali i upewnił się, że wszyscy go słuchają. Na twarzach olbrzymów szalały sprzeczne emocje. Corban skupił się więc na Eldzie.

– A gdzie w tym wszystkim jest Meical? – spytał Król Jotun.

– Meical zginął – odparł Corban bez namysłu, na co wstrząśnięty Eld otworzył szeroko usta.

– Zginął? – powtórzył, a w jego głosie zadrżał lęk. – A więc ta wojna już została przegrana!

I po co ja to mówiłem?, pomyślał Corban.

– Nie, nie jest! – warknął. – Dopóki oddycham, dopóty jest nadzieja. Śmierć Meicala to nie koniec świata. – Znow poczuł gniew na wspomnienie swego doradcy. – Wciąż jeszcze są Jehar! – ciągnął. – Są wojownicy z Isiltiru, dawni poddani Gramma, olbrzymy Benothi i tylu innych we wszystkich krainach Ziemi Wymaganych.

– Jehar? – odezwała się Hala. – Myślałam, że ten starożytny zakon zniknął wieki temu!

– Wyjechali z ukrycia, by stawić czoła Asrothowi – odparł Corban.

– A Benothi? – tym razem odezwała się jasnowłosa wojowniczką.
– Jest Balur Jednooki, jego córka Ethlinn i inni, którzy uszli z życiem z Murias.

– Balur... – zadrwił Eld.

– Ethlinn... – szepnęła wojowniczką.

– Za późno na to wszystko, Sig – warknął Eld. – Żyjemy chwilą obecną i na niej trzeba się skupić, a nie na tym, co mogłoby się wydarzyć.

Wojowniczką zmarszczyła brwi, ale nie odezwała się ani słowem.

– Wciąż uważam, że powinniśmy oddać Corbana temu Calidusowi – nalegał Ildaer. – Zasłużylibyśmy w ten sposób na łaskę zwycięzców.

– Może i racja – zamyślił się Eld. – Ale przywiódłoby to Jotun o wiele bliżej Wojny Bogów, niż mi się to podoba. Przez całe tysiąclecie próbowałem ochronić mój klan, a teraz... – Wciągnął powietrze, mamrocząc pod nosem. – Oto moja decyzja – rzekł i rozparł się na tronie. – Ildaerze, zabierzesz tego Corbana na Pustkowie i tam go zabijesz, po czym wrzucisz jego zwłoki do jakiejś dziury. Będziemy się wypierać, że kiedykolwiek nas odwiedził.

Corban poczuł, jak przesywa go lęk.

– A czemu nie zabić go tu? – Mort się skrzywił.

– Im mniej naszych to ujrzy, tym mniej będzie o tym gadać – warknął Eld. – A Calidus prędzej czy później zjawi się tu, szukając go.

Mort pokiwał głową.

Eld obrzucił wzrokiem wznoszoną dookoła niego budowlę.

– A my musimy opuścić to miejsce.

– Co? – warknął Ildaer.

– Znaleźliśmy się za blisko wojny i musimy się od niej oddalić. Musimy wróć na Pustkowie i ruszyć na północ, za Góry Kościane lub jeszcze dalej.

– Nie! – wykrzyknął Mort. – Nie możemy tego zrobić! Osiągnęliśmy tak wiele...

– Cisza! – warknął Eld. Z jego ust trysnęły kropelki śliny. – Ildaerze, zapanuj nad swoim szczeniakiem, bo rozkażę Sig, by się

nim zajęła. – Umilkł, po czym podjął: – Oto moja decyzja – mówił teraz głosem surowym i zimnym niczym zimowy wiatr. – Corban ma zostać zabrany stąd i stracony, i to jak najprędzej. Im szybciej znajdzie się daleko od mego klanu, tym lepiej. Ildaerze, chciałem uczynić cię moim dziedzicem w nagrodę za wszystko, co osiągnąłeś dla Jotun, ale wykazałeś się pochopnością i lekkomyślnością. Ściągnięcie klanu na południe nie było mądrą decyzją. Muszę dogłębnie przemyśleć zarówno twoje postępowanie, jak i przywileje, którymi cię obdarzyłem.

Potrząsnął głową niczym rodzic strofujący niesforne dziecko. Stojący obok Corbana Mort napiął mięśnie, a młodzieniec kątem oka ujrzał, że kostki na dłoniach Ildaera pobielają. Eld zaś znów zacisnął dłoń na rękojeści sztyletu. Jego palce muskały ciemne żelazo jelca.

Corban zmarszczył brwi.

– Ten sztylet – odezwał się. – Wykonano go z... – I nagle zrozumiał. – Z gwiazdnego kamienia – szepnął.

– Zabierz go stąd, Ildaerze! – warknął Eld i machnął dłonią w stronę wejścia do sali. – I to już! Zabierz go na Pustkowie, najszybciej jak twój niedźwiedź was poniesie!

Ildaer złapał Corbana za kołnierz i chciał powlec go za sobą, ale młodzieniec stawiał mu opór.

– Trzeba go zniszczyć! – wrzasnął, szarpiąc się.

– Ten sztylet należy do mnie! – warknął Eld, kręcąc głową.

– Nie jesteś w stanie uciec! Nie zdołasz się ukryć! Nie ma miejsc, gdzie cię nie dopadną! – wrzeszczał Corban. – Calidus cię odnajdzie! Dotrze za tobą na skraj świata, by zdobyć ten sztylet.

– Won! – warknął Eld i machnął bladą dłonią. – Im szybciej go zabijecie, tym lepiej.

– To pierwszy rozkaz, który mi się podoba – szepnął Mort do Ildaera. Chwycił Corbana i powłókł go w stronę wyjścia.

Młodzieniec nie przestawał się miotać i szarpać, więc Mort rąbnął go pięścią w brzuch. Corbanowi zebrało się na mdłości. Wciągnął gwałtownie powietrze i zakaszłał. Kątem oka ujrzał szyderczy uśmiech Morta i zmarszczone brwi Varana. Zanim wyciągnięto go z sali, ujrzał wpatrzonego weń Elda.

Rudzielec wyszarpnął więźnia na słońce i powlókł go za sobą po dziedzińcu. Corban zdążył już dobiec do siebie po uderzeniu i zerwał się na nogi, ale olbrzym się nie zatrzymywał. Ildaer szedł kilka kroków za nimi. Mort odzywał się urywanymi syknięciami do olbrzymów gromadzących się wokół niego, a te rozbiegały się w różnych kierunkach. Inne stały i wpatrywały się w niego. Twarz Corbana owionął żar z kuźni, a potem uświadomił sobie, że zacierają ku zagrodom dla niedźwiedzi.

Naprawdę chcą mnie zabić, pomyślał.

– Trzymaj go! – rzekł Ildaer i znikł w budynku.

Mort pchnął Corbana twarzą w błoto.

– Nie kłamałem – oznajmił, stając nad nim i trącając go butem. – Sprawi mi to wielką przyjemność.

Nachylił się, złapał więźnia za tunikę i dźwignął go z ziemi.

Ten zaś wykorzystał sposobność i z całej siły kopnął Morta w krocze. Olbrzym skulił się, a Corban odtoczył się i zerwał. Rozejrzał się gorączkowo dookoła, ale zewsząd otaczały go olbrzymy. Mort krzywił się, ale powoli, niepewnie podnosił się na równe nogi.

Nie ucieknę stąd, zdał sobie sprawę Corban.

Wtedy dostrzegł stertę żelaznych prętów, którymi ćwiczył. Złapał jeden z nich.

– No dobra. – Olbrzym ściągnął topór z pleców. – A więc będę musiał się bronić. Jeśli zginiesz...

Wzruszył ramionami.

Na progu wejścia do stajni zamajaczyła ogromna postać Ildaera, który natychmiast zrozumiał, co się wydarzyło, i spochmurniał. Corban powoli cofał się przed oboma, próbując nie spuszczać żadnego z oczu. Dostrzegł, że inni również się zbliżają.

Skoro i tak mają mnie zabić, bez walki mnie nie wezmą, zdecydował.

W jego sercu wzbierała panika, ale ostatnia myśl sprawiła, że spłynął na niego spokój.

Wolałbym walczyć u boku przyjaciół i bliskich, ale skoro mam zginąć tu...

Rozejrzał się. Wszystko nagle stało się ostrzejsze, wyraźniejsze.

Cóż, niech będzie, co ma być, postanowił. I zobaczymy, kogo uda mi się zabrać ze sobą.

Rozstawił stopy i wzniósł pręt do pozycji nurkującego sokoła.

„Zaczynaj” – odezwał się Gar w jego głowie.

– Zapraszam! – rzucił Corban do Morta. – Chodź, a wyślę cię do brata.

Olbrzymowi nie spodobały się te słowa. Ruszył na przeciwnika, kręcąc toporem nad głową. Jego twarz wykrzywiła furia.

– Gniew jest wrogiem – przypomniał Corbanowi szeptem Gar.

Młodzieniec czekał nieruchomo. Pamiętał swe treningi z Balurem na dziedzińcu Drassil. Patrzył na topór, który zakreślił łuk i zaczął opadać, by rozplatać go od czaszki aż po krocze, a mimo to nadal nawet nie drgnął.

Naraz usunął się o raptem pół kroku i zamachnął się prętem, który odtrącił topór Morta. Nie miał zamiaru go parować, gdyż był to najlepszy sposób na zdruzgotanie obu nadgarstków. Ciężkie ostrze odepchnięte w bok wbiło się w ziemię w eksplozji pyłu, a Corban zamachnął się i rąbnął prętem w kolano Morta. Olbrzym zawył z bólu i padł na ziemię.

Wtedy młodzieniec dostrzegł Varana po prawej stronie i wycelował w niego swą bronią. Ten uniósł ręce i cofnął się, ale pozostałe olbrzymy nadal się zbliżały.

Chcą mnie osaczyć, pojął Corban.

Któryś rzucił się na niego, a on zamachnął się prętem i rąbnął przeciwnika w nadgarstek. Rozległo się chrupnięcie pękającej kości, a olbrzym zatoczył się do tyłu. Ktoś inny przypadł i złapał Corbana za ramię, ale ten zdążył rąbnąć go prętem w głowę i powalić na ziemię. Ułamek sekundy później młody wojownik odbił ciśniętą w niego włócznię i rąbnął jakiegoś olbrzyma w szczękę, na co ten obrócił się i padł. Corban, nadal otoczony przez olbrzymy, cofnął się ku bramom.

Nagle zjawił się Ildaer. Młodzieniec czekał na to, otoczony kręgiem powalonych przeciwników.

Przywódca wojenny Jotun rzucił się na niego. Corban zdzielił go prętem w ramię i odtrącił, ale inni już go pochwycili i wyrwali mu pręt z rąk. Szarpał się, tłukł pięściami, ale Jotun trzymały go mocno. Owładnięty paniką, wierzgał coraz gwałtowniej. Poczł, że ucisk trzymających go dłoni słabnie, ale wtedy coś rąbnęło go w głowę, a przed jego oczami eksplodowały gwiazdy. Świat się rozmył.

Wtedy skądś dobiegły krzyki.

Osuwający się na ziemię Corban usłyszał głosy olbrzymów, które wykrzykiwały pytania i rozkazy, a potem rozległ się inny głos, skądś mu znajomy.

– Co, do ciężkiej... – warknął Ildaer.

Ktoś podniósł Corbana, a ten ujrzał najdziwniejszą rzecz na świecie.

Przez bramę przeszedł właśnie samotny mężczyzna w czarnej kolczudze i spodniach. Wysoko nad głową trzymał miecz w pochwie. Otaczały go olbrzymy, które mierzyły ku niemu bronią, ale pozwalały mu przejść, a wręcz go eskortowały.

Mężczyzna wykrzykiwał to samo zdanie. W pierwszej chwili jego słowa wydały się Corbanowi niezrozumiałe, gdyż całą uwagę skupił na wpatrywaniu się w tego człowieka w czerni, podczas gdy jego serce zalewał strumień emocji. Najpierw pojawił się szok, później radość, strach i miłość.

Patrzył bowiem na Gara.

Rozdział trzydziesty pierwszy

CORALEN

Coralen zatrzymała się za starym płotem i wpatrywała się w osiedle na wzgórzu. Widziała Gara, który przeszedł przez nowo wybudowaną bramę i został otoczony przez olbrzymy. Ku jej ogromnemu zaskoczeniu nawet nie próbowały go zabić.

A przynajmniej na razie, pomyślała. Cóż, jak dotąd wszystko idzie po naszej myśli.

Po lewej dostrzegła Datha i Kullę, którzy przekradali się przez wysokie trawy. Farrell i Laith zmierzali z innej strony, kryjąc się wśród drzew i krzewów nad brzegiem rzeki. Jeśli dobrze wyliczyli czas, powinni już być niedaleko osady.

– I tak za późno, by cokolwiek zmieniać – mruknęła Coralen do siebie. Spojrzała na mury i uświadomiła sobie, że wartownicy zniknęli.

Pewnie zaintrygowało ich przybycie Gara, pomyślała. Świetnie się bawią, bez wątplenia, chyba że już postanowili go zabić.

Nabrała tchu i rzuciła się do biegu przez wysokie trawy. Gnała prosto na mur. Kątem oka dostrzegła, że Dath i Kulla poszli w jej ślady. Kulla wyprzedziła Datha i przypadła do palisady nawet przed nią, a potem oboje znikli za krzywizną muru. Coralen spojrzała w górę, pewna, że ujrzy tam twarz olbrzyma, ale nic takiego się nie stało. Odetchnęła kilkakrotnie, wyjęła linę z za pasa, zawiązała pętlę i wyrzuciła ją. Sznur zacisnął się na blance. Dziewczyna sprawdziła, czy trzyma odpowiednio mocno, a potem zaczęła się wspinać, opierając się stopami o kamienny mur.

Kilkanaście uderzeń serca później znalazła się na szczycie. Głos Gara przebijał się wśród wrzawy czynionej przez olbrzymy.

Dobra, do dzieła!

Przeskoczyła przez blanki, przetoczyła się i zeskoczyła na dach jakiegoś budynku, bojąc się, że wpadnie przy okazji na jednego z olbrzymów. Na szczęście do tego nie doszło – jej stopy uderzyły w strzechę, po czym od razu padła na brzuch. Zerknęła za siebie i przekonała się, że na murach w istocie nie było nikogo, a kilka olbrzymów zmierzało po schodach na dziedziniec.

Na murze po lewej pojawił się Dath, który przykucnął wśród cieni i nałożył strzałę na cięciwę. Kulla wylądowała miękko obok niego. Coralen podpełzła do krawędzi dachu i wyjrzała na zewnątrz.

Nad szczytem wzgórza wznosiła się nowa, wybudowana do połowy wieża. Na dziedzińcu zaś zebrały się setki olbrzymów, które wpatrywały się w Gara. Ten nadal stał z mieczem w pochwie wzniesionym nad głową i raz za razem wykrzykiwał swe wyzwanie.

A gdzie, u licha, jest Ban, zastanawiała się Coralen.

I wtedy go dostrzegła, a jej serce aż podskoczyło z radości.

A więc póki co wciąż żyje!

Rozdział trzydziesty drugi

CORBAN

Corban nie wierzył własnym oczom.

To Gar! I stoi tutaj, ledwie pięćdziesiąt kroków ode mnie!

Chciał podbiec do przyjaciela, uściskać go, nawrzeszczyć na niego i kazać mu uciekać. Jego przybycie do osady Gramma nie mogło się skończyć niczym dobrym. W sercu młodego wojownika niespodziewanie obudziło się poczucie winy.

Przybył tu dla mnie i przeze mnie zginie!

– Jestem Garisan ben Tukul, przywódca Jehar – krzyczał Gar. – Wyzywam Ildaera, przywódcę Jotun, na pojedynek!

Powtarzał te słowa raz za razem, przechodząc przez tłum olbrzymów. Z jakiegoś powodu nadal go nie zabiły, a co więcej rozstępowały się przed nim i pozwalały mu przejść.

Ildaer wyprostował się i z głęboką bruzdą na czole odwrócił się od Corbana.

– Znam cię – rzekł, idąc ku Garowi.

– Tak, znasz – odparł ten.

Byli już blisko siebie. Ildaer zatrzymał się kilkanaście kroków od Gara, a wtedy tłum się rozstał i pojawiła się Sig, a za nią Eld i Hala.

– A co to za nowe szaleństwo, które na nas ściągnąłeś? – Eld zwrócił się do Ildaera.

– Jestem Garisan ben Tukul, przywódca Jehar. Wyzywam Ildaera, przywódcę Jotun, na pojedynek!

– Tak, to już wszyscy słyszeliśmy – warknął Eld. – Wytłumacz nam, co tu robisz.

– Ildaer zabił mi ojca.

– Ach. – Sędziwy Eld zwrócił się ku Ildaerowi. – Doprawdy?

– Tak. – Ildaer wzruszył ramionami. – Walczyłem też z tym chuderlakiem i pokonałem go. Dokończyłbym robotę, gdyby ten tam – wskazał na Corbana – nie wezwał całego swego hufca!

– Uciekłeś przed Balurem Jednookim! – wrzasnął Corban.

– To bez znaczenia – rzekł Gar. – Dla mnie ważne jest tylko to, byś ze mną walczył. Musisz ze mną walczyć! Rzuciłem ci wyzwanie, a Jotun przestrzegają zasad honoru.

Ildaer zerknął na Elda i Halę, a potem spojrział na Gara.

– Jestem Ildaer, przywódca wojenny Jotun. Zająłem te ziemie dla mego klanu. Ty zaś jesteś larwą i będziesz jak larwa zmiażdżony. Mort, zabierz mi go sprzed oczu i naucz go, czym jest ból.

– Stać – oznajmił Eld, patrząc to na Gara, to na Ildaera. – Jesteśmy Jotun. Inne klany być może zarzuciły dawne tradycje, ale my nie. Ten człowiek rzucił ci wyzwanie!

– Chyba nie mówisz poważnie – zadrwił Ildaer. – Przecież to robak, a robaki się tępi.

– Ale ma rację – odezwała się Hala. – Przyznałeś, że zabiłeś mu ojca, ma więc prawo wyzwać cię na sąd mieczy!

– To szaleństwo! – burknął Ildaer, patrząc ze złością na Elda.

– Jesteś przywódcą wojennym Jotun – rzekł Eld. – Naprawdę chcesz utracić nasz szacunek przez niego? – Wskazał Gara.

Ildaer stał przez chwilę. Zerknął na Morta, znajdującego się nieopodal w tłumie olbrzymów, po czym kiwnął głową.

– Dobrze – oznajmił i uniósł młot. – Chodź więc, skoro tak bardzo pragniesz śmierci.

– Czy pozwolicie mi odejść, jeśli wygram? – Gar spojrział na Elda i Halę.

– Oczywiście – warknął Eld. – Nie jesteśmy mordercami!

– Ale on pójdzie ze mną! – Gar wskazał Corbana i po raz pierwszy spojrział na niego. Ich oczy się spotkały i jakże wiele zdołali sobie przekazać przez tę krótką chwilę.

– Nie sądzę – rzekł Eld. – Chyba się zagalopowałeś! Masz prawo rzucić Ildaerowi wyzwanie, ale nic w naszych zwyczajach nie mówi

o tym, byś miał prawo do jakichkolwiek łupów.

Gar wzruszył ramionami i spojrział na Ildaera, po czym wyciągnął swój krzywy miecz i odrzucił pochwę. Olbrzym machnął parokrotnie ramionami i rozstawił szeroko stopy, górując nad człowiekiem.

Gar ujął miecz w obie dłonie i wzniósł go nad głowę. Czekał.

– Ha, widziałem już tę sztuczkę. – Ildaer się roześmiał. – U niego! – Wskazał Corbana. – Twój ojciec też po nią sięgnął, choć niewiele mu dała. Wszyscy walczycie tak samo, a więc zapewne giniecie tak samo.

– Zaczynajcie – oznajmił Eld.

Gar i Ildaer skoczyli na siebie. Miecz Gara z głośnym brzękiem uderzył w żelazne mocowania na drzewcu młota olbrzyma i odepchnął go w bok, po czym Jehar wykorzystał sposobność, przypadł bliżej i rąbnął jeszcze dwa razy. Ildaer zatoczył się do tyłu. Z ran na jego twarzy i przedramieniu ściekała krew, ale Gar nie zatrzymywał się. Jego miecz poruszał się z taką szybkością, iż wręcz zlewał się w oczach. Ildaer złapał młot oburącz niczym zwykły kij i odbijał ciosy z największym trudem, ale z wolna odzyskiwał równowagę i zaczął wykorzystywać oba końce młota. Głowicą odbijał uderzenia Gara i przypuszczał ataki na jego pierś i twarz, a przy tym usiłował sięgnąć go drugim zakończeniem, zaopatrzonym w długi kolec. Wykonał serię ataków i zwodów, testując możliwości przeciwnika, a ten atakował, uskakiwał i wirował. Sprawnie unikał każdego uderzenia olbrzyma, który cofał się powoli w górę wzgórza ku Corbanowi. Po jego twarzy spływała krew przemieszana z potem.

Gar zdawał się nacierać coraz szybciej. Każdy jego atak zlewał się z poprzednim w morderczą kombinację, a ostra klinga krzesła snopy iskier na drzewcu młota przeciwnika i zostawiała na jego ciele kolejne rany – na wierzchu dłoni, na udzie, na ramieniu. Gar nadal nie miał na sobie nawet draśnięcia.

Okrzyknął ciężko dyszącego Ildaera.

– Myślisz o swoim ojcu? – spytał olbrzym.

– Codziennie – odparł Gar i przypuścił kolejny atak, którym zmusił olbrzyma do cofnięcia się o kolejny krok.

– Myślisz, że cierpiał? – sapnął Ildaer, który odtrącił uderzenie w gardło, uskoczył i zamachnął się oburącz młotem na brzuch przeciwnika. Chybił o włos, gdyż Gar zdołał odskoczyć.

Corban zauważył, że na twarzy Gara pojawiło się napięcie, a jego dłonie zacisnęły się mocniej na mieczu.

Gniew jest wrogiem, pomyślał Corban. Kontroluj go. To właśnie gniew zgubił cię ostatnim razem, a Ildaer dobrze o tym pamięta.

Gar rzucił się naprzód, zamarkował uderzenie z lewej, ciął nisko, ale Ildaer zdołał odbić cios głowicą młota, po czym sam pchnął kolcem, zahaczając nim o głowę przeciwnika. Gar zatoczył się, a jedno oko zalała mu krew z rozciętego czoła. Corban odruchowo chciał mu skoczyć na pomoc, ale olbrzymy mocno go trzymały. Stali samotnie na zboczu, podczas gdy tłum podążał za walczącymi w kierunku dziedzińca. Na moment Gar zniknął Corbanowi z oczu, zasłonięty przez widzów, a wtedy umysł młodego wojownika wypełnił dziki, bezgłośny wrzask, zrodzony przez rozpacz i panikę. Nie mógł pogodzić się z tym, że Gar może zginąć ledwie kilka kroków dalej, a on nic nie będzie mógł na to poradzić.

Niespodziewanie rozległo się głośnie łupnięcie i dłoń trzymająca nadgarstek Corbana znikła. Ten podniósł rękę i spojrział na nią, jakby nie mógł w to uwierzyć. Olbrzym, który trzymał go przed chwilą, leżał na ziemi w kałuży krwi.

Rozdział trzydziesty trzeci

CORALEN

Coralen kątem oka ujrzała, jak Corban spogląda z zaskoczeniem na ciało olbrzyma. W tej samej chwili skoczyła na plecy drugiego i poderżnęła mu gardło. Trysnęła krew, a olbrzym osunął się na kolana, po czym padł na twarz.

– Cora?

Usłyszała głos Corbana i spojrzała na niego. Na jego czaszce widniał fioletowy guz, przez policzek ciągnęła się paskudna szrama, a pod oczami rozlewały się ciemne plamy, przez co sprawiał wrażenie, jakby właśnie odbył drogę do Zaświatu i z powrotem, ale uśmiech na jego twarzy na dwa, trzy uderzenia serca stał się całym jej światem.

– Jak wyście tu dotarli? – spytał.

– Nie ma teraz na to czasu! – Coralen złapała go za nadgarstek i pociągnęła ku cieniom rzucanym przez najbliższą budowlę.

– Co...

– Na to też nie ma czasu. Chodź! Musimy się stąd wydostać, zanim przedstawienie Gara dobiegnie końca!

– Mam uciekać? Na pewno nie zostawię tu Gara!

A więc nadal jest uparty jak osioł, pomyślała.

– To był jego plan! – burknęła. – Robimy to, co nam kazał. Dalej!

Splotła dłonie, by pomóc mu wspiać się na dach kuźni. Chciała wejść z niego na mur, a potem zeskoczyć na łąki, gdzie pozostałoby im już tylko rzucić się do szaleńczego biegu.

– Corban! – wrzasnął ktoś.

Szedł ku nim jasnowłosy olbrzym, który naraz ujrzał dwóch zabitych pobratymców. Zatrzymał się, zmrużył oczy i popędził prosto na nich. Coralen zareagowała bez namysłu. Skoczyła ku niemu ze wzniesionym mieczem i przetoczyła się pod ramieniem usiłującego ją pochwycić przeciwnika, jedną stopę zahaczając o jego kostkę, a drugą kopiąc go w goleń. Olbrzym zachwiał się, a wtedy dziewczyna rąbnęła go łokciem po nogach i ostatecznie przewróciła na ziemię.

Runął z głośnym łoskotem, wzbijając tumany kurzu. Coralen uklękła na jego piersi i przytknęła mu ostrze miecza do gardła. W tej samej chwili ktoś go z niej zerwał.

– Oszczędź go – powiedział Corban. Przeniósł wzrok z Coralen na olbrzyma i podał mu rękę.

– I znów mnie zaskoczyłeś – burknął olbrzym. – Kompletnie.

On znajduje sobie przyjaciół w najdziwniejszych miejscach, pomyślała Coralen.

Corban spojrzał na nią.

– Cholera, ale się cieszę, że cię widzę – rzekł i uśmiechnął się szeroko.

Fatalny moment na uśmiechy, stwierdziła w myślach Coralen. Chyba oberwał w łeb mocniej, niż mi się wydaje.

– Ja też się cieszę – burknęła. – Ale może pogadajmy o tym w biegu, co?

– Nie mogę tu zostawić Gara.

– Już ci mówiłam, że to był jego plan! Pokonaliśmy niezły szmat drogi, by cię wydostać, a więc nie psuj teraz wszystkiego! Tylko go zdenerwujesz!

– Powinieneś uciekać – dodał Varan.

– Czy ktoś mnie tu w ogóle słucha? – odezwał się Corban. – Nigdzie bez niego nie idę!

– Jeśli pokona Ildaera, Eld pozwoli mu odejść – rzekł Varan. – Takie ma prawo. Jeśli Ildaer wygra, cóż... Wówczas nie będziesz mógł z nim uciec, bo będzie martwy. Przestań więc gadać i zabieraj się stąd!

– Pozwolisz mi na to? – zdziwił się Corban.

– Właśnie ocaliłeś mi życie – odparł Jotun. – Jestem twoim dłużnikiem. A ty, mała kobietko, jesteś bardzo szybka. I silniejsza, niż ktokolwiek by pomyślał.

To najdziwniejsza akcja ratunkowa w moim życiu, pomyślała Coralen.

– Możemy? – rzuciła, wskazując mur.

Olbrzym złapał ich oboje w talii i dźwignął w stronę dachu, dzięki czemu Coralen i Corban wspięli się bez trudu na górę. Dziewczyna wyskoczyła i złapała się pomostu muru w chwili, gdy tłum za nimi eksplodował głośnym rykiem.

Rozdział trzydziesty czwarty

CORBAN

Corban odwrócił się.

Gar klęczał na jednym kolanie i opierał się dłonią o ziemię. Ildaer kroczył ku niemu.

Corban miał wrażenie, że wszystkie stawy w jego ciele nagle zamarły. Coralen, która jeszcze przed chwilą pięła się na mur, opadła obok niego na dach kuźni. Oboje stali i wpatrywali się w Gara.

Ildaer wznosił młot nad głowę jak ktoś, kto chce wbić w ziemię palik do namiotu. Rąbnął ze wszystkich sił, chcąc rozgnieść Gara na miazgę. Ten wydawał się oszołomiony, powolny. W ostatniej chwili odtoczył się w bok, a młot uderzył w ziemię w miejscu, gdzie był jeszcze przed momentem. Trysnęły grudki piachu. Gar podniósł się niepewnie i odsunął, powłócząc nogami.

Ildaer skoczył na niego. Nikt by się nie domyślił, że ciężkim, nieporęcznym młotem wojennym można posługiwać się z taką zwinnością. Siła i szybkość olbrzyma były wprost niewiarygodne.

Gar wykonał unik, nachylił się i znów zachwiał. Cofał się przez cały czas, ale gdy Ildaer zwolnił na moment, znów rzucił się do natarcia. Jego miecz wykonał kombinację zlewających się ze sobą pchnięć i cięć, które zostały odbite z wyjątkiem ostatniego. Gar ciął nisko, a czubek ostrza rozorał skórę buta olbrzyma i rozsiał naokoło krople krwi.

Ildaer zatrzymał się wówczas. Obaj wojownicy wpatrywali się w siebie. Obaj byli ranni i zdyszani.

– Przyznam, że jesteś lepszy od ojca – rzekł Ildaer. – Ale mimo to zginiesz.

Wolną dłonią Gar sięgnął za plecy i wyciągnął coś, co przytroczył z tyłu do pasa. Był to topór o krótkim drzewcu.

– To należało do mego ojca – rzekł. – Otrzymał go w darze od Wulfa ben Gramma. Walczył nim podczas waszego ataku, gdy rozłupał czaszkę twemu niedźwiedziowi.

Zakręcił toporem łuk i znów przeszedł do natarcia. Topór i miecz cięły powietrze, a Ildaer parował rozpaczliwie. Brzęk stali niósł się daleko. Widzowie pojedynku milczeli, pochłonięci widowiskiem, gdyż mało kto widział wcześniej wojowników tak zaciekle i tak dobrze wyszkolonych.

Naraz Gar usunął się z zasięgu ciosu młotem, cofnął się i znów runął do ataku. Olbrzym warknął i zamachnął się młotem w poprzek, celując w biodro Gara, ale ten skoczył głową naprzód na ziemię, przetoczył się pod głowicą młota i zerwał się za plecami Ildaera. Olbrzym ryknął z bólu, gdy ostrze topora utkwilo mu w nodze między kolanem a pośladkiem. Zatoczył się i padł na kolano.

Gar wstał i obszedł rannego szerokim łukiem. Nad dziedzińcem zawisła martwa cisza, gdy wstrząśnięte olbrzymy wiodły za nim wzrokiem. Ildaer złapał trzonek topora i wyrwał go, rycząc jak raniony niedźwiedź, po czym cisnął bronią w Gara. Miecz Jehar rozbłysnął i odtrącił topór. Ildaer próbował się podnieść, ale nie zdołał i znów runął na ziemię, a wtedy Gar stanął nad nim, złapał miecz oburącz i wznosił go wysoko. Klęczący Ildaer zamachnął się młotem, ale chybił i o mało sam się od tego nie przewrócił. Gar rąbnął w odpowiedzi i młot padł na ziemię z odrąbaną dłonią olbrzyma, nadal zaciśniętą na trzonku. Z nadgarstka buchnęła krew, a olbrzym wrzasnął z przerażeniem. Wówczas Gar podszedł bliżej i raz jeszcze machnął mieczem. Krzyk Ildaera urwał się w pół, a jego głowa wystrzeliła w powietrzu, spadła na ziemię i znieruchomiała u stóp Elda.

Zakrwawiony Gar stał nieruchomo i oddychał ciężko. Pochylił głowę i zamknął oczy.

Myśli o ojcu, pomyślał Corban.

Zamrugnął, by pozbyć się łez. Nagromadzone emocje dawały teraz o sobie znać. Poczul ból dłoni i uświadomił sobie, że zaciska się na niej ręka Coralen. Nie miał pojęcia, czy to ona go pochwyciła, czy może on ją.

Nad dziedzińcem poniósł się głos Elda:

– Twój pojedynek dobiegł końca, Garisanie ben Tukul. Odejdź, ale pamiętaj, że Jotun potraktowali cię z szacunkiem i wedle zasad honoru.

Gar uniósł głowę i otworzył oczy, jakby budził się z głębokiego snu.

– Nie! – wrzasnął ktoś.

Był to Mort, który stał blisko Gara i z przerażeniem oraz narastającą furią wpatrywał się w pozbawione głowy ciało Ildaera. Naraz porwał za topór i z oszalełą szybkością rąbnął Gara styliskiem po plecach, posyłając go na ziemię.

– Ildaer był naszym przywódcą wojennym! To on przywrócił Jotun dumę i zmył z nas prastary wstyd, którym przez wieki obarczał nas tchórzliwy Eld! – krzyczał Mort.

Wśród olbrzymów rozległy się gniewne pomruki.

– Dość tego, Mort – powiedziała Sig.

– Ildaer zdobył sławę w bitwie i zagarnął dla nas nowe ziemie za granicami Pustkowia, a co na to Eld? Obojętnie patrzy na jego śmierć i pozwala odejść jego zabójcy, a wszystkim nam każe wrócić na to kamieniste pustkowia, którego nigdy już nie opuścimy.

– Powiedziałam: dość! – Sig przepchnęła się przez tłum.

Eld wpatrywał się w Morta.

– Cóż, ja nie mam zamiaru wracać tam, skąd przyszliśmy – ciągnął Mort. – Walczyłem u boku Ildaera dla naszego klanu, przelewałem krew i patrzyłem na śmierć brata. Pod dowództwem Ildaera zdobyliśmy sławę i ziemie, znaleźliśmy nowy dom, odkryliśmy dumę z siebie samych, a teraz mówisz nam, że to wszystko na nic? – Wymierzył w Elda zaciśniętą pięścią. – Ja mówię „nie”! – ryknął. – Mówię „nie” tchórzliwemu królowi!

Oczy mu nabrzmiały. Splunął na sędziwego Elda, a potem rzucił się na niego, wymachując toporem. Rąbnął w wojownika, który zasłaniał króla, a ten runął na ziemię wśród bryzgów krwi.

Przez moment nad dziedzińcem wisiała cisza pełna zdumienia, a potem eksplodowało szaleństwo. Olbrzymy rzucały się na siebie, wymachując toporami i młotami. Corban rozpoznał wielu stronników Ildaera, którzy nacierali na wojowników lojalnych wobec króla. Dostrzegł Halę, która znikła wśród ciał napastników, cofającego się Elda oraz Sig, która wyszarpnęła długi miecz z pochwy i zaczęła rąbać na prawo i lewo, usiłując się przebić ku Mortowi.

Corban i Coralen spojrzeli po sobie, a potem zeskoczyli na dziedziniec.

Młody wojownik bez namysłu złapał swój żelazny pręt i wskoczył w gąszcz walczących, osłaniany przez Coralen. Oboje zmierzali tam, gdzie leżał Gar.

Z otwartych wrót do pomieszczeń z niedźwiedziami dobiegały ich dzikie ryki.

Jeśli wszystkie je łączy taka więź z jeźdźcami jak Długozęba z Varanem..., pomyślał Corban.

Nagle skręcił i wpadł do środka. Biegł wśród zagród, odsuwał rygle i otwierał szeroko furtki, a niedźwiedzie, niczym burza falującego futra, kłów i pazurów, wypadały na dziedziniec, gdzie momentalnie spotęgowały zamieszanie. Z dzikim rykiem przedzierały się przez ciżbę i miażdżyły napotkane olbrzymy, szukając swych jeźdźców.

Na dziedzińcu zapanował krwawy chaos. Olbrzymy zmagaly się ze sobą, a niektóre już dosiadały niedźwiedzi, gotowe szerzyć śmierć z ich grzbietów. Corban zaś biegł przed siebie, opętany przemożną chęcią znalezienia Gara, a Coralen cięła i rąbała każdego, kto próbował ich zatrzymać.

Corban przeskoczył nad parą olbrzymów, zwartych w zacieklej walce na ziemi, a potem coś uderzyło go w bok i posłało na ziemię. Żelazny pręt wypadł mu z ręki. Chciał się podnieść, ale but olbrzymy przygniótł mu pierś. Pochyliła się nad nim ciemnowłosa olbrzymka,

w której rozpoznał jedną z popleczniczek Morta. W dłoni trzymała zboczony krwią topór.

Odtocz się i podnieś, bo już po tobie, nakazał sobie Corban.

Naraz olbrzymka zatoczyła się w tył. Z jej piersi sterczała rękojeść sztyletu. Spojrzała ze zdumieniem na broń i cofnęła się jeszcze o krok, a wtedy rozległ się świst i z jej gardła wyłonił się grot strzały. Złapała za niego, choć w tej samej chwili kolejny sztylet wgryzł się w jej ramię i posłał ją kilka kroków w tył, aż wreszcie zwała się na ziemię jak ścięte drzewo.

Corban spojrział na mur i dostrzegł klęczącą postać z łukiem. Druga czuwała obok.

To Dath i Kulla!

Uderzenie serca późnej rzucił się na niego inny olbrzym.

– W dół! – wrzasnął ktoś za nim, a Corban odruchowo padł na kolana.

Coś świsnęło nad jego głową, a potem rozległo się chrupnięcie, a olbrzym runął na ziemię. Corban spojrział w tył i dostrzegł Farrella oraz Laith. Ogromny kowal zdusił go w potężnym uścisku.

– Przebiegłem pół świata dla ciebie, Corbanie ben Thannon – oznajmił. – Przez większą część drogi przeklinałem twe imię, ale na zęby Asrotha, mam wrażenie, że się opłaciło.

– Nie pół świata, ale pół lasu Forn – poprawiła go Laith i wyciągnęła swe sztylety z ciała zabitej olbrzymki. – On ciągle przesadza – dodała, wzruszywszy ramionami.

– To przejmująca chwila, ale przesunmy świętowanie na kiedy indziej, dobrze?! – wrzasnęła Coralen, próbując przekrzyczeć zgiełk bitwy.

– Zanim się stąd urwiemy, chcieliśmy ci coś dać! – zawołał Farrell i skinął na Laith. – Może ci się przydać!

Olbrzymka strząsnęła z pleców długiego i owiniętego w ciasno obwiązaną skórę. Zerwała sznurek, a po nim skórę.

Mój miecz! Miecz, zrobiony dla mnie przez ojca!, pomyślał Corban.

Ujął długą, oprawioną w poplamioną potem skórę rękojeść niemalże z czcią, pogładził głowicę w kształcie łba, po czym uniósł

broń i ucałował jelec.

– Zostawiłeś go w ciele jakiegoś olbrzyma – dodał Farrell.

– Jesteście prawdziwymi przyjaciółmi – rzekł Corban. Spojrzał na nich i zobaczył uśmiechy na ich twarzach. – Najlepszymi na świecie.

– Rozejrzał się po polu bitwy i zacisnął zęby. – Znajdźmy Gara i wynośmy się stąd.

– To pierwsza rozsądna rzecz, którą powiedziałeś. – Coralen wyszczerzyła zęby.

Przedzierali się przez walczących, angażując się w walkę tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne. Zbliżali się ku schodom prowadzącym do nowej sali głównej, gdyż to tam Gar zabił Ildaera. Tuż przed Corbanem skoczyły na siebie dwa rozjuszone niedźwiedzie z olbrzymami na grzbietach. Zwierzęta chlastały się pazurami i gryzły, a olbrzymy ryczały i wymachiwały toporami oraz młotami.

Corban rozglądał się gorączkowo, bo właśnie przed schodami trwały najbardziej zacięte zmagania. Na ich szczycie walczyła Sig, która wymachiwała trzymanym oburącz długim mieczem, zakreślając krwawe smugi w powietrzu. Wraz z kilkoma innymi wojownikami formowała krąg broniący wejścia.

Gwardia honorowa Elda, przemknęło Corbanowi przez myśl. Czy król Jotun jeszcze w ogóle żyje?

Olbrzymy rzucały się na Sig – młodzi, zawzięci wojownicy, którym wściekłość odebrała zdrowy rozsądek.

– Gar! – krzyczał Corban. – Gdzie jest Gar?!

Wszyscy szukali przyjaciela w tłumie walczących, kiedy nagle pojawił się Varan, trzymający Gara w ramionach. Podał go Corbanowi. Przywódca Jehar był nieprzytomny, poturbowany i posiniaczony, jakby stratowało go pół hufca Jotun, ale na widok jego unoszącej się i opadającej piersi Corban odmówił w myślach krótką modlitwę. Laith podbiegła bliżej i odebrała Gara od Varana, co Jotun skwitował uniesieniem brwi.

– Dziękuję – rzekł po prostu Corban.

Varan pokiwał głową i wskoczył między walczących. Kręcąc nad głową młotem, ruszył ku schodom i Sig, a Corban spojrzał na

przyjaciół i wszyscy rzucili się ku bramom. Jakiś olbrzym wyrósł przed nimi i wznosił młot, ale w jego oko naraz wbiła się strzała, po czym runął na ziemię. Dwa niedźwiedzie skoczyły na siebie niczym rozjuszone lawiny, ale Corban zdołał je wyminąć. Chwilę później stał już w bramie.

Trawy łąk kołysały się na wietrze. Byli wolni.

Rozdział trzydziesty piąty

CORALEN

Coralen biegła przez wysokie trawy. Jej serce waliło mocno z wysiłku. Tempo narzuciła niosąca Gara Laith, która mimo ciężaru biegła bardzo szybko, przypuszczalnie szybciej niż podczas pościgu przez las Forn.

To niezwykle, jak bardzo motywuje świadomość, że za plecami szaleje hufiec wściekłych niedźwiedzi i równie wściekłych olbrzymów, pomyślała Coralen.

Osada Gramma nikła powoli na horyzoncie za nimi, a przed nimi biegły ich cienie, rozciągnięte pośród krwawej poświaty zachodzącego słońca.

Gar, przewieszony przez ramię Laith, zajęczał i zatrzepotał powiekami.

Wkrótce będziemy musieli się zatrzymać, pomyślała Coralen.

Zerknęła na Corbana, który wyraźnie oszczędzał jedną nogę, choć dotrzymywał tempa reszcie.

Tylko tego brakuje, by teraz odniósł jakąś kontuzję. Być może niebawem będziemy musieli uciekać przed niedźwiedziami.

Gdy patrzyła na niego, w jej sercu budziły się gwałtowne emocje. Pozlepiane od potu ciemne włosy młodzieńca kleiły się do jego skóry, a rana na twarzy czerwieniała. Coralen czuła, że wciąż przepełnia ją radość z powodu zwycięstwa i udanej akcji. Miała wrażenie, iż może tak biec bez końca.

Udało się. Znaleźliśmy go, wyciągnęliśmy z niewoli i nikt przy tym nie zginął!

Ogromna ulga uświadomiła jej, że przez ponad miesiąc dręczyła ją mroczna zgroza. Zaryzykowała i znów obrzuciła Corbana spojrzeniem. Ich oczy spotkały się na moment, a Coralen szybko odwróciła wzrok.

Uśmiechnęła się, wpatrzona w wysokie chmury, które różowiały wraz ze słońcem, chowającym się za horyzontem. Emocje wypełniające jej serce podsycaly jej radość, przez co zapomniała o bólu płonących płuc i otartych stóp.

* * *

Było już niemalże ciemno, gdy dotarli na skraj lasu. Zatrzymali się przy lodowato zimnym strumieniu i pili przez moment łąpczywie, a potem rozsiedli się pod krzakami głogu, obsypanymi białymi, pachnącymi słodko kwiatkami. Gar wsparł się na łokciu i skrzywił.

– Czuję się, jakby mnie stratowało stado wołów – burknął.

Niewiele się pomyliłeś, pomyślała Coralen.

Jehar spróbował się podnieść i zasyczał z bólu. Coralen przypadła do niego.

– Najpierw cię dokładnie obejrzę. Możesz mieć co nieco połamane.

– A Ban? – spytał Gar, ignorując jej troskę. – Gdzie jest Ban?

Coralen otoczyła go ramieniem i pomogła mu wstać.

– Tu jestem – rzekł Corban, wyłaniając się z ciemności.

Przez moment patrzyli na siebie, aż Gar uniósł ręce. Wówczas Corban padł mu w ramiona i obaj uścisknęli się mocno, śmiejąc się i płacząc jednocześnie. Coralen poczuła, że powinna odwrócić wzrok, gdyż stała się świadkiem bardzo osobistych przeżyć.

– Nigdy więcej tego nie rób – rzekł Gar. – Zafundowałeś nam wesoły pościg.

– Zrobię, co mogę! – Corban śmiał się przez łzy.

– Na szczęście wróciłeś wśród swoich. – Gar ujął jego policzek.

– Prawda. Mocno oberwałeś?

– Chyba nie – odparł Gar i powoli, ostrożnie poruszył każdą kończyną. Skrzywił się dopiero, gdy zaczął obmacywać żebra i jedno z bioder. – Cóż, boli, ale chyba nic nie zostało złamane.

– I pomściłeś ojca – dodał Corban. – Twój ojciec został pomszczony.

– Tak. – Usta Gara wykrzywił ponury uśmiech. – Ildaer nie żyje.

Pozostali zbierali się już wokół nich z napełnionymi bukłakami.

– To ci dopiero była walka – rzekł Dath do Gara. – Mam na myśli twoje starcie z Ildaerem. Paręnaście razy brałem tego wielkiego wołu na cel za każdym razem, gdy myślałem, że zaraz cię zabije.

– Cieszę się, że się powstrzymałeś – odparł Gar. – W takie starcia nikt nie powinien się wtrącać.

– Sam się domyśliłem – przyznał Dath. – Powiedziałem nawet Kulli, że jeśli trafię tego olbrzyma, pewnie mnie przebijesz mieczem. Ale niepotrzebnie to przeciągnąłeś. Sądziłem, że uporasz się z nim szybciej.

Coralen pokręciła głową.

Cały Dath. Zawsze najpierw mówi, a dopiero potem myśli.

Gar wpatrywał się w niego.

– No, przepraszam – mruknął Dath.

– Nie, masz rację – rzekł Gar. – Miałem wrażenie, że rozpracowałem go już w pierwszej fazie. Byłem niemalże gotów, by zadać mu śmiertelny cios, ale przypomniało mi się, że muszę zdobyć dla was więcej czasu. Mieliście przecież wyciągnąć Corbana. Pojedynek, który kończy się po dziesięciu uderzeniach, mógłby nie wystarczyć.

– Trudno się z tym sprzeczać – stwierdził Dath.

– Uznałem więc, że go trochę przedłużę. Wydawało mi się, że poznałem już możliwości Ildaera i mogę go załatwić, gdy będę gotowy. – Gar uśmiechnął się głupkowato. – Ale popełniłem błąd. Nie wziąłem pod uwagę wytrzymałości olbrzymów.

– Czyli jednej z naszych najważniejszych zalet – wtrąciła Laith.

– Tak, powinienem być tego świadom – rzekł Gar. – I podczas gdy ja zacząłem opadać z sił, Ildaer nadal wydawał się pełen wigoru. To mi trochę pokrzyżowało plany.

Sięgnął za ramię, by złapać miecz, ale jego palce natrafiły na pustkę.

– A co się stało z moją bronią?

– Mieliśmy wokół siebie około tysiąca próbujących się pozabijać olbrzymów – powiedział Farrell. – Ciężko było się skupić na poszukiwaniach.

Gar zmarszczył brwi.

– Opowiem ci o Jotun, gdy będę zajmował się twoimi ranami – powiedział Corban, po czym oderwał pasmo materiału od koszuli i namoczył je w wodzie strumienia. Potem kazał Coralen usiąść obok Gara.

– Nic mi nie jest! – zaprotestowała wojowniczką.

– Właśnie przebiegłaś sto mil, by mnie uratować. Daj mi więc przynajmniej oczyścić ci rany. Brina nauczyła mnie tego i owego. Nie otruję cię.

Dziewczyna ustąpiła i postąpiła zgodnie z jego wolą. Odpięła skórzany kaftan i odsłoniła ranę, pozostawioną przez kolec na młocie któregoś olbrzyma. Kolec nie wszedł głęboko, ale skaleczenie krwawiło na potęgę. Corban zebrał zeschłą krew i oczyścił ranę, po czym nałożył na nią miód podany przez Kullę i zawiązał bandażem. Coralen przyglądała się jego pracy z zainteresowaniem, całkiem skupiona na każdym jej ruchu. Podobało jej się to, co widziała. Ruchy Corbana sprawiły, że poczuła się bezpiecznie.

Jak na syna kowala o łapach wielkich jak bochny naprawdę dobrze mu to idzie, uświadomiła sobie.

Corban wnet zakończył opatrywanie jej obrażeń i zajął się skaleczeniem na czole Gara, a w międzyczasie opowiedział im o wszystkim, co zaszło w osadzie oraz o tym, czego dowiedział się o Jotun. Dath i Farrell ciągle zadawali kolejne pytania, a więc Corban powrócił do samego początku niefortunnej przygody i opowiedział im o starciu na polanie oraz ranach, które odnieśli wraz z Burzą.

Nic dziwnego, że oszczędza nogę, pomyślała Coralen.

Corban urwał nagle, bez wątpienia przeżywając na nowo wydarzenia owego straszliwego dnia, po czym wziął się w garść

i opowiedział im o tym, jak oderwano go od Burzy i powleczono przez Forn.

Chciałabym powiedzieć mu, że Burza żyje, ale gdy opuszczałam obóz, była na skraju śmierci, myślała Coralen. Lepiej już nie mówić nic, by nie dawać mu fałszywej nadziei.

Słuchała w milczeniu, aż Corban dotarł do momentu, w którym olbrzymy postanowiły go zabić.

– Ujrzałem coś, o czym Eld nie chciał rozmawiać – ciągnął. – Ma jeden z Siedmiu Skarbów. Sztylet z gwiazdowego kamienia.

Wszyscy umilkli, bo wzmianka o Siedmiu Skarbach przypomniwała im o ataku na Drassil. Tym razem to Corban chciał poznać szczegóły.

Mówił głównie Gar, którzy rzeczowo, prostymi zdaniem opowiedział mu o zaskakującym ataku, draigu Nathaira, przebijającym się przez podziemne wrota, oraz legionach Kadoshim, Vin Thalun i orlej straży, o ich desperackiej walce, ucieczce oraz ofiarach.

– Co z Cywen? – zapytał Corban, gdy opowieść dobiegła końca.

– Nie mamy pewności. – Dath położył mu dłoń na ramieniu. – Brina opowiedziała, że w chwili ataku Cywen była wraz z nią w wielkiej sali, ale doszło do jakiejś eksplozji. Buchnęły płomienie, pojawił się dym i rozdzieliły się. Brina zdołała do nas dotrzeć. Czekaliśmy na Cywen, ale na próżno.

– Wróg wziął jeńców – rzekł Gar. – Słyszeliśmy, że trzyma ich w Drassil. Myślę, że jest wśród nich. Twoja siostra to odważna, sprytna i twarda dziewczyna. Jeśli przetrwała bitwę, Calidus zapewne będzie chciał trzymać ją jako zakładniczkę bądź przynętę.

Corban burknął coś pod nosem i pochylił głowę. Jego twarz zasłonił półmrok.

– Meical być może również trafił do niewoli – dodał Dath.

– Nie, Meical nie żyje – rzekł Corban z ponurym przekonaniem.

– A skąd wiesz? – zapytał Gar.

– Bo widziałem go w Zaświecie po tym, jak trafiłem do niewoli Jotun. Opowiedział mi o bitwie o Drassil i o tym, jak osłaniał waszą ucieczkę. Calidus pojmał go i kazał stracić. – Uniósł głowę. Na jego twarz padł blask księżyca. – Ścięto mu głowę.

– W Zaświecie, co? – odezwał się Dath i trącił Farrella. W jego głosie pojawił się nabożny zachwyt. – Jeden z przywilejów bycia Jasną Gwiazdą, jak sędzę.

Corban wbił wzrok w Datha. W jego sercu zmagaly się różnorakie emocje.

– Nie jestem Jasną Gwiazdą – oznajmił w końcu.

Coralen spojrzała na twarze swych towarzyszy i odkryła na nich niedowierzanie i zmieszanie. Spojrzenie Corbana było ponure i poważne.

– To prawda. Nie ma żadnego Jasnej Gwiazdy – ciągnął. – Brina i Cywen przyszły do mnie po waszym święcie – spojrzał na Datha i Kullę z lekkim uśmiechem. – Brina znalazła coś w księdze olbrzymów, co mocno ją zdumiało, bo zaprzeczało wielu rzeczom, o których opowiadał nam Meical. – Rozsiadł się i westchnął. – Zastąłem Meicala w wielkiej sali przed szkieletem Skalda. Zażądałem, by powiedział mi prawdę, a on wtedy wyznał, że... że przepowiednia to był tylko podstęp. Fortel wojenny, obmyślony przez Ben-Elim po to, by zmylić Asrotha i zaprowadzić go tam, gdzie Ben-Elim będą mogli go zniszczyć.

– A zatem kiepsko im to idzie – mruknął Farrell.

– To samo mu powiedziałem – rzekł Corban.

Gar wpatrywał się w niego.

– Opowiedz nam o tym. Powiedz, co dokładnie usłyszałeś od Meicala.

Corban spełnił jego prośbę. Coralen widziała, jak zaciska zęby między jednym zdaniem a drugim. Przeżywała wraz z nim wstrząs, gniew i rozpacz. Corban opowiadał powoli, jak Meical prosił go o wybaczenie za to, że Ben-Elim postrzegają rasy ludzi i olbrzymów jako zbiorowości, a nie jednostki, a ich celem jest zniszczenie Asrotha, raz na zawsze. Jeśli więc zginie przy tym kilka setek czy kilka tysięcy ludzi bądź olbrzymów, nie ma to dla nich znaczenia.

– Żałuję, że zginął – wycedził Farrell przez zaciśnięte zęby. Zatrzeszczały kłykcie zaciskanych pięści. – Naprawdę chciałbym zabić go raz jeszcze.

– A co z Tarczą i Burzą? – Dath zmarszczył brwi. – Skąd Meical mógł o nich wiedzieć?

– Nie wiedział – odparł Corban. – Zadałem mu to samo pytanie, na co on wzruszył ramionami i powiedział, że być może to zasługa Elyona. – Zamilkł, jakby usiłował sobie coś przypomnieć. – Meical powiedział, że nie napisał całej przepowiedni, a jedynie zasadniczą część, którą później wyszeptał do ucha Halvorowi. Przepowiednia zaś przez wieki rozrosła się i zmieniła. – Wzruszył ramionami. – Ale to on to wszystko rozpoczął.

– To nie może być prawdą – rzekł Gar i potarł dłonią twarz. – Nie sądzisz, że gdzieś doszło do pomyłki?

– Nie – odparł Corban. – I czułem się dokładnie tak jak ty. Zdradzony. Wściekły. O mało nie chlasnąłem go mieczem. To dlatego właśnie opuściłem na moment Drassil. Chciałem być sam. Chciałem wszystko przemyśleć i dojść do siebie.

Coralen spojrzała na Corbana, którego udręczona twarz zdradzała tyle rozmaitych emocji.

– Przykro mi – powiedział. – Przykro mi z powodu was oraz wszystkich tych, którzy przybyli za nami do Drassil i oddali swe życie. – Odwrócił głowę. Jego zaciśnięte mocno usta wyrażały gorycz. – Przykro mi z powodu wszystkich tych, którzy podążali za mną i wierzyli, że jestem kimś, kim naprawdę nie jestem. Wy też dotarliście aż tu i ryzykowaliście życiem oraz zdrowiem, by mnie ocalić. Ba, by ocalić Jasną Gwiazdę.

Coralen nie mogła uwierzyć w to, co słyszy. Z całego serca pragnęła wykrzyknąć, że się pomylił, coś źle zrozumiał albo że Meical zesłał na niego jakieś szaleństwo.

Ale nie, to nie miałoby sensu. Ufam Corbanowi. Nie jest głupkiem, choć chętnie bym go tak nazwała. Zresztą, wystarczy na niego spojrzeć, by poznać prawdę. Słowa Meicala złamały mu serce, choć bardziej przejął się tym, że to my zostaliśmy oszukani.

Nagle poczuła silną pokusę, by wyciągnąć ku niemu ręce, by przytulić go i pocieszyć. Musiała przywołać całą swą siłę woli, by się powstrzymać.

– Wierzę ci – powiedziała cicho.

Corban podziękował jej skinieniem głowy.

– A przybyliśmy tu, bo jesteś naszym przyjacielem, Ban – odezwał się Farrell. – Przepowiednia Meicala nie ma z tym nic wspólnego.

– Ale co zrobimy teraz? – rzekł Dath. – Jeśli Meical naprawdę kłamał? Jeśli cała przepowiednia okazała się wyssana z palca? Co teraz poczniemy?

W jego głosie pojawiła się panika. Corban potarł twarz dłońmi i uniósł głowę.

– Moglibyśmy odejść – powiedział. – Większość bliskich mi ludzi jest tu, przede mną. Moglibyśmy machnąć ręką na wojnę i śmierć i odejść, by znaleźć jakieś ciche, spokojne miejsce. Zbudować sobie inne życie.

Wpatrywali się w niego i trawili jego słowa, wyobrażając sobie taką przyszłość. Przed oczami Coralen stanęła chatka nad strumieniem. Ujrzała Corbana, jak pracuje na polu, i siebie, wracającą przez las z upolowaną sarną.

– Nie mówisz chyba poważnie – rzekł Gar.

– Sporo o tym myślałem – rzekł Corban. – Naprawdę marzę tylko o tym, by odejść i zacząć nowe życie, może wybudować gdzieś dom.

Coralen zauważyła, że Farrell i Laith spojrzeli po sobie, a zamyślony Dath pokiwał głową.

– Ale wiem, że przed Calidusem i Asrothem nie ma ucieczki – ciągnął Corban. – Oni nas znajdą. Przecież nie zależy im na niczym innym jak tylko na zniszczeniu wszystkiego, co żyje na Ziemiach Wagnanych, a my podpadamy pod tę definicję. Poza tym jest jeszcze Cywen. Nie mogę uciekać, nie wiedząc nawet, czy moja siostra żyje!

– Czyli co poczniemy? – spytał Gar, który sprawiał wrażenie, jakby już znał odpowiedź, ale chciał ją usłyszeć od Corbana.

– Będziemy walczyć. – Corban wzruszył ramionami. – Przepowiednia to podstęp, ale Calidus i jego Kadoshim są realnym zagrożeniem. Te potwory sieją śmierć wśród naszych rodaków. Nie jestem, jak się okazuje, Jasną Gwiazdą, ale potrafię utrzymać miecz w ręku. Walczyłem z Sumurem i odrąbałem mu głowę. Nie przypominam wam tego, by się chwalić, ale po prostu stwierdzam fakt. Jeden mężczyzna czy jedna kobieta – skinął Coralen, Kulli

i Laith – może przechylić losy wojny. Każdy może się jakoś przyczynić do wspólnego zwycięstwa. Może nam się to nie uda, ale nie będziemy tego wiedzieć, jeśli nie podejmiemy próby. – Westchnął. – Wiele czasu minęło, zanim doszedłem do tego wniosku. Długo borykałem się z rozpaczą, którą wzbudziło we mnie oszustwo Meicala, ale przeanalizowałem wszelkie za i przeciw. Miałem na to sporo czasu, a wy jedynie chwilę. Zastanówcie się, prześpijcie się z tym. Rano wrócimy do tematu.

– Nie ma takiej potrzeby – odezwał się Farrell. – Przynajmniej jeśli chodzi o mnie. Jesteś moim przyjacielem, Ban. Udam się tam, gdzie ty, i tyle.

– Ja też – rzekł Dath. – Byliśmy przyjaciółmi na długo, zanim rozpoczęło się to zamieszanie z „Syrenem jakimś tam”. Ba, byłeś moim jedynym przyjacielem. Tutaj – Dath postukał się palcami na wysokości serca – mieszka u ciebie samo dobro. Nie dbam o to, czy jesteś Jasną Gwiazdą, czy też nie, jesteś moim przyjacielem i podążę za tobą wszędzie. A poza tym jestem twoim przybocznym. Aż do śmierci.

– No właśnie – dodał Farrell.

Corban spoglądał na twarze towarzyszy, siedzących w półkrygu przed nim. Jego spojrzenie spoczęło na Garze, którego oblicze było jak zwykle nieprzeniknione.

– Dobra rada. – Jehar pokiwał głową. – Pogadamy później. Rankiem podejmiemy decyzję, w którą stronę pobiegniemy.

– Znów mamy biec? – jęknął Farrell.

– Ja obejmę wartę jako pierwsza – powiedziała Coralen i wstała. Przeskoczyła przez strumień i stanęła pod drzewem, Spojrzała na wschód i zachód, jakby chciała ustalić, co jest większym zagrożeniem – las Forn czy osada Gramma – a potem zwróciła się tam, skąd mogli nadejść Jotun.

Olbrzymy i niedźwiedzie, spośród których wielu chciało nas zabić, pomyślała. Co za dzień. Najpierw pojedynki, potem bitwa, a na końcu ucieczka. A teraz jeszcze wyznaczenie Bana.

Kręciło jej się w głowie od wrażeń, ale chwila samotności w mroku pomogła jej wszystko sobie poukładać. W rzeczywistości

to, że Corban nie był Jasną Gwiazdą, nie miało dla niej żadnego znaczenia. Poznała jego prawdziwą wartość, na długo zanim usłyszała choć słowo o prorocztwie. Co więcej, wiedziała, że Corban się nie myli, mówiąc o wojnie, którą trzeba doprowadzić do końca, i o wrogu, którego należało wytępić. Dobrze wiedziała, jaką decyzję podejmie po przebudzeniu. Od początku to wiedziała.

Jej towarzysze szeptali jeszcze między sobą, ale ich rozmowy powoli cichły, aż zastąpił je zgrzyt osetki na mieczu, gdy Corban z uczuciem zajął się swoim ukochanym ostrzem. Wkrótce ucichło nawet to. Wśród mroku zachrapała Laith.

Potem zaszeleściły roztrącane liście. Ktoś nadchodził. Kątem oka Coralen ujrzała Corbana, idącego wśród krzaków głogu.

Uśmiechnęła się lekko, a jej serce zabiło szybciej.

Rozdział trzydziesty szósty

CORBAN

Jest właśnie tutaj, pomyślał Corban.

– Ban, leziesz przez las jak pijany niedźwiedź – odezwała się Coralen, nawet nie odwracając głowy.

A tak bardzo się starałem, by mnie nie usłyszała!

– Nie mogłem spać – powiedział, widząc już jej sylwetkę w ciemnościach. Cień dziewczyny zlewał się z mrokiem pnia, ale blask księżyca odbił się od jej rudych włosów i wydobył z ciemności bladą, piegowaną twarz oraz ciemne plamki oczu. Serce biło mu mocno w piersi, równie mocno jak podczas bitwy czy wyczerpującego biegu z osady Gramma.

– Ja... ja naprawdę się cieszę, że was widzę – wymamrotał. – Ciebie i wszystkich. – Machnął ręką za siebie. – Jestem wdzięczny, wam wszystkim, za...

Co się ze mną dzieje? Pokonałem Sumura, demona Kadoshim z Zaświatu, a teraz nagle odebrało mi mowę!

Podeszła bliżej, tak blisko, że czuł zapach jabłek w jej oddechu.

Jak w moich snach, pomyślał.

– Jeśli nie przyszedłeś tutaj, by wreszcie dokończyć pocałunek – powiedziała – to lepiej się stąd wynoś. Jestem na ciebie zła od dłuższego czasu i naprawdę nie odpowiadam za siebie.

Corban pochylił się i niepewnie musnął wargami jej usta. Serce waliło mu głośniejszym niż kocioł wojenny Benothi. Naraz objął ją i przytulił mocniej do siebie, a wtedy poczuł, jakby wciągał go wir morski.

Gdy ich usta się rozdzieliły, sercem Corbana targnęły nagle emocje, jak w chwilach, kiedy człowiekowi wydaje się podczas schodzenia po schodach, że na dole powinien być jeszcze jeden stopień.

– Cóż, lepiej późno niż wcale – mruknęła Coralen z satysfakcją, a Corban uzmysłowił sobie, że dziewczyna się uśmiecha. Dostrzegł błysk jej zębów między rozchyłonymi ustami.

– Jabłka – powiedział.

– Co?

– Śniło mi się, że się z tobą całuję. We śnie smakowałaś jabłkami.

– Miałaś sny o mnie? – spytała Coralen, która nie wydawała się już wcale rozzłoszczona. Złapała go za koszulę i wycisnęła kolejny pocałunek na jego ustach.

Czemu myśmy tego wcześniej nie robili? Przecież to wspaniałe, pomyślał Corban.

Jego myśli rozplynęły się w nicość, a wraz z nimi poczucie czasu.

Naraz Coralen odepchnęła go, odwróciła się i przechyliła lekko głowę.

Co ja znów zrobiłem, zastanawiał się.

I wtedy on również to usłyszał. Był to pomruk przywodzący na myśl odległe grzmoty błyskawic, ale rytmiczne, coraz głośniejsze.

Nie, nie głośniejsze. Bliższe. Ja znam ten odgłos, pomyślał.

– Niedźwiedzie – rzekł.

Zerwali się. Wpadli między drzewa, przeskoczyli nad strumieniem.

– Jotun nadchodzą! – wrzasnął Corban, który poderwał miecz, leżący obok płaszcza.

Wszyscy zrywali się na równe nogi. Coralen stała i w spokoju przypinała kły wilkuna do lewej pięści. Corban podbiegł, by jej pomóc.

– Szkoda, że nie mam swoich – powiedział, dopinając ostatni spośród jej rzemieni.

– Będziemy więc musieli jakieś ci zdobyć – mruknęła Coralen i wyciągnęła miecz, wpatrzona w ciemność.

Dath przebiegł kilka kroków, uklęknął i zaczął wbijać strzały w miękką ziemię, gotów zasypać wroga kąśliwym gradem pocisków. Kulla jak zwykle czuwała przy jego ramieniu.

Gar, kuszykając, podbiegł do Corbana. Laith rzuciła mu jeden ze swoich sztyletów, a po namyśle również drugi.

– Od razu mi lepiej – oznajmił Gar i przeciągnął palcem po ich ostrzach. Sztylety olbrzymki były dlań niczym krótkie miecze.

Farrell uniósł młot. Corban rozstawił stopy i przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą, sprawdzając wytrzymałość kolana. Pulsowało tępo, ale wyglądało na to, że go nie zawiedzie.

Będzie dobrze. Musi być.

Nagle rozległ się trzask pękających, łamanych drzew. W eksplozji liści wypadł spośród nich niedźwiedź z olbrzymem na grzbiecie.

To Mort, przemknęło Corbanowi przez myśl.

Olbrzym dostrzegł go i wydał ryk zwycięstwa. Wzniósł topór nad głowę, a wtedy pojawiły się kolejne olbrzymy, których cienie były wielkie niczym skały. Corban dostrzegł ich cztery, sześć, siedem, a potem stracił rachubę, bo niedźwiedzie wpadły między nich.

Uskoczył w lewo przed szarżującym nań stworzeniem, a topór Morta świsnął mu nad uchem. Złapał miecz w obie dłonie i rąbnął ze wszystkich sił. Ostrze przeorało tylną łapę niedźwiedzia, który ryknął z bólu. Corban zawirował i wniósł miecz, przechodząc do pozycji ważki. Mort wykrzyknął rozkaz niedźwiedziowi, chcąc, by ten się odwrócił, ale ogromne zwierzę uderzyło bokiem w drzewo. Znow eksplodowały liście.

Corban dostrzegł, jak Farrell wznosi młot i odbija cios topora, który obsypał go kaskadą iskier. Laith ciskała w olbrzyma dosiadającego niedźwiedzia sztyletami. Więcej ujrzeć nie zdołał, bo Mort rzucił się do kolejnej szarży.

Młody wojownik czekał, nie zmieniając postawy, aż odskoczył w ostatniej chwili, znow wykonał piruet i ciał zwierzę po karku, jednocześnie nachylając się pod ostrzem topora Morta. Obaj, olbrzym i jego rumak, znow znaleźli się poza zasięgiem.

Corban usłyszał ryk wściekłości Kulli. Odwrócił się i ujrzał Datha, który został trafiony niedźwiedzią łapą z taką siłą, że wyleciał

w powietrze i uderzył twarzą w drzewo. Młoda Jehar niemalże przerąbała wciąż wzniesioną łapę. Cięła i uderzała z furją, aż wielokrotnie ranny niedźwiedź przewrócił się na bok i przygniótł olbrzyma. Kulla wbiegła wówczas na jego cielsko, celnym cięciem odrąbała olbrzymowi głowę i wbiła miecz między żebra zwierzęcia, przekłuwając mu serce.

Na Corbana wypadł z ciemności śpieszony olbrzym z wielkim młotem. Zamarkował uderzenie z prawej, ale pchnął młodzieńca okutym żelazem zakończeniem rękojeści. Corban zatoczył się, a olbrzym wykorzystał chwilę, by wznieść młot do ciosu. Młodzieniec wykonał unik, przypadł do przeciwnika i dźgnął go mocno, przeszywając ostrzem skóry, futra i wreszcie ciało.

Uwolnił miecz, a olbrzym osunął się na kolana. Z zagajnika głogu wypadło dwóch kolejnych jeźdźców na niedźwiedziach, które przeskoczyły nad strumieniem.

Ile ich tam jeszcze jest?, zastanawiał się Corban. Zmiażdżą nas samą tylko liczbą. Nie mamy szans...

Pierwszy niedźwiedź był okryty kolczugą, a jego kark otaczał gruby, skórzany kołnierz. Dosiadał go znany mu, jasnowłosy olbrzym.

Varan! Czyżby przybył, by mnie zabić? Albo złapać i sprowadzić na rozkaz Elda?

Patrzył, jak olbrzym pochyła się nisko i szepcze coś do ucha niedźwiedziowi. Długoząb skoczył naprzód, a Varan zakreślił młotem i rąbnął olbrzyma, który zwarł się z Garem.

On nam pomaga, uświadomił sobie Corban.

Wtedy zauważył, że Varanowi towarzyszy Sig, która rzuciła się na innego olbrzyma. Za sobą usłyszał ryk niedźwiedzia, który poderwał się na tylne nogi ze sztyletem tkwiącym w oku aż po rękojeść, po czym zatoczył się i runął z łoskotem na ziemię, miażdżąc drzewa.

Jeździec jednakże zdołał się poderwać i rozejrzeć dookoła. Była to wojowniczką, która spostrzegła Laith i ruszyła prosto na nią. Na jej drodze wyrósł Farrell. Ich młoty zwarły się z głośnym dudnieniem, a Laith krążyła dookoła, szukając sposobności, by cisnąć sztyletem.

Wtem olbrzymka posłała Farrella na ziemię i błyskawiczne przeniosła impet ataku na Laith, która nie zdołała wykonać uniku. Pchnięta na ziemię, wylądowała obok nieruchomego Farrella.

Corban usłyszał ryk niedźwiedzia i trzask tratowanych zarośli. Mort ruszał do kolejnego ataku, a olbrzymka wznosiła młot wojenny nad Laith i Farrellem.

Za daleko! Jestem za daleko, wrzeszczał w duchu Corban, pędząc ku nim.

Wtedy zjawiała się Coralen. Wpadła na olbrzymkę i chlasnęła zarówno mieczem, jak i kłami, które skrzesły iskry na kolczudze przeciwniczki. Ta zachwiała się, a wtedy Coralen wbiła jej żelazne kły głęboko w udo. Jotun ryknęła z bólu i osunęła się na kolano, wypuszczając młot z rąk, ale ostrza wojowniczkki nadal tkwiły w jej ciele. Instynktownie rąbnęła Coralen w twarz i dziewczyna runęła na ziemię. Oszołomiona, próbowała się podnieść, ale olbrzymka ją wyprzedziła. Dźwignęła się i kopnęła ją w żebra, podrywając z ziemi, a potem wzniosła okuty żelazem but nad jej głowę.

Corban przypadł do nich z dzikim wrzaskiem. Z twarzą wykrzywioną wściekłym grymasem ciął olbrzymkę ukośnie, uwalniając strugi krwi i cząstek kości z jej ciała, a potem rąbnął ponownie i raz jeszcze. Olbrzymka była martwa, zanim padła na ziemię.

Zbryzgany krwią Corban stał przez moment nieruchomo i oddychał ciężko przez rozchylone nozdrza, po czym obrócił się na pięcie i podbiegł do Coralen. Dziewczyna była oszołomiona i stęknęła z bólu, gdy młody wojownik otoczył ją ramieniem, ale bez wątpienia żyła.

Może mieć kilka popękanych żeber. Znam to uczucie, pomyślał Corban.

Uniósł ją w ramionach, posadził pod drzewem i się odwrócił.

Ich niewielkie obozowisko zamieniło się w scenę rzezi. W powietrzu unosił się smród śmierci, a blask księżyca odbijał się od wznoszonej broni i w kałużach krwi. Farrell i Laith nadal leżeli na ziemi – Corban nie miał pojęcia, czy żyli – a Kulla stała nad ciałem Datha ze wzniesionym wysoko mieczem. U jej stóp leżał inny

usieczony olbrzym. Gar walczył z niedźwiedziem bez jeźdźca, a Varan i Sig z dwoma innymi rodakami.

Naraz przed Corbanem pojawiła się kolejna bestia, a jej jeździec zmierzył go wściekłym spojrzeniem.

Mort!

Młodzieniec ruszył naprzód, wznosząc wysoko miecz. Mort warknął i uderzył piętami o boki zwierzęcia, które skoczyło przed siebie.

Tym razem nie mogę już mu po prostu zejść z drogi, bo otworzę mu drogę do ataku na Coralen. Muszę go odciągnąć, pomyślał Corban.

Rąbnął niedźwiedzia w łeb, ale ostrze odskoczyło od czaszki. Ramiona młodego wojownika zdrętwiały aż po barki, ale na łbie bestii pozostało jedynie lekkie rozcięcie.

To dlatego Gramm i Wulf nauczyli się rzucać toporami, uświadomił sobie Corban.

Cofnął się o krok i odbił uderzenie topora, którym Mort chciał ściąć mu głowę. Znow się cofnął i pchnął niedźwiedzia w ślepie. Chybił i rozorał mu policzek, czym najwyraźniej rozwścieczył bestię jeszcze bardziej. Zerknął za siebie – Coralen była zaledwie kilka kroków za nim i zdecydowanie nie nadawała się do walki.

Zawirował i ciął Morta w nogę. Poczul, jak ostrze wgryza się w ciało i szybko ponowił uderzenie w szyję niedźwiedzia, ale ten w tej samej chwili walnął go łapą. Musiał być to odruchowy ruch, gdyż przeciwnym razie wypatroszyłyby go pazurami, ale siła ciosu wystarczyła, by wyrzucić Corbana w powietrze. Impet uderzenia wybił mu powietrze z płuc. Niedźwiedź zawrócił ku niemu. Na bladej twarzy Morta pojawił się szeroki uśmiech.

Niespodziewanie spomiędzy drzew dobiegło potworne wycie, z początku niskie, lecz zwieńczone wysoką, przenikliwą nutą. Rozległ się odgłos rozrywanego poszycia i trzask miażdżonych zarośli, a potem, już znacznie bliżej, głuchy warkot, który zamienił krew Corbana w lód.

Niedźwiedź zatrzymał się i spojrzał za młodzieńca, na skraj polany. Ten zaś przetoczył się, by móc lepiej ujrzeć nowy koszmar,

który zmierzał ku nim.

Ze ściany lasu wypadł potwór, który zdawał się składać z długich kłów, kłapiących szczęk, nabitych mięśni i jasnego futra.

A cóż to za bestia z trzewi Fornu?, zastanawiał się Corban.

Nowo przybyły uderzył w niedźwiedzia. Był od niego mniejszy, ale siła i furia uderzenia wystarczyły, by posłać zwierzę na ziemię. Mort wystrzelił z siodła i uderzył w drzewo. Trzask pękającego kręgosłupa przebił się przez zgiełek bitwy.

Niedźwiedź zwarł się z nowo przybyłym we wściekłym starciu, zamieniając się w istny wir warknięć, kłapnięć i smagnięć pazurami. Przetoczyli się, aż znieruchomieli. Niedźwiedź znalazł się na dole i próbował się wyrwać, ale istota bez litości zacisnęła ogromne szczęki na jego gardzieli. Rozległ się odgłos darcia, a ryk niedźwiedzia stał się piskliwy, po czym nagle się urwał. Bestia wzniosła się nad trupa, potężna, muskularna, jasna z ciemnymi pręgami na torsie. Przez dłuższą chwilę, owładnięta szaleństwem, szarpała niedźwiedzią gardziel, po czym uniosła łeb, z głuchym warknięciem odsłoniła kły i rozejrzała się po pobojowisku. Z długich kłów ściekała krew. Jej pysk oraz łeb były wielkie, szerokie, a poplamione krwią futro znaczyły liczne blizny. Corban nagle rozpoznał blask jej bursztynowych ślepi.

– Ale przecież ty nie żyjesz – szepnął, przetoczył się i dźwignął.

To Burza!

Przypadła do niego jednym susem. Obwąchała go, a potem uniosła łeb ku niebu i zawyła z tryumfem, oznajmiając koniec polowania. Przeciągnęła szorstkim językiem po jego twarzy, trąciła go pyskiem, naparła nań całym ciałem i zasłoniła go w obronnym odruchu, po czym zaczęła dopadać go i znów odskakiwać, skamląc i liżąc go po twarzy.

Corban stał przez moment wstrząśnięty z szerokim, głupkowatym uśmiechem na twarzy. Po jego policzkach ściekały łzy.

To naprawdę ona, myślał.

Miał wrażenie, że zaraz pęknie mu serce. Ów niewysłowiony ból oraz wielka rozpacz, które ogarniały go za każdym razem, gdy wspominał Burzę i jej urwane nagle wycie tuż przed tym, jak

porwały go olbrzymy, naraz znikły i przekształciły się w oszałamiającą radość.

Zarzucił jej ramiona na kark i wtulił twarz w jej futro, szlochając i śmiejąc się jednocześnie.

Rozdział trzydziesty siódmy

CORALEN

Coralen patrzyła na szczenięcą radość Burzy i nie mogła powstrzymać uśmiechu. Dźwignęła się i, kusztykając, podeszła do nich obojga. Burza uniosła wargę i warknęła głucho, ale potem rozpoznała zapach dziewczyny i trąciła ją przyjaźnie. Coralen również płakała. Łzy złościły sobie drogę przez brud i krew na jej policzkach.

– Myślałem, że ją zabito – powiedział Corban.

– Znalazłam ją na brzegu rzeki – wyjaśniła Coralen z uśmiechem.

– Też myślałam, że nie żyje, ale wyczułam bardzo słabe bicie serca. Gdy wyruszyliśmy po ciebie, Brina nadal się nią zajmowała, ale mówiła, byśmy sobie nie robili wielkich nadziei.

– Nie wiem, co zrobiła, ale podziałało. – Corban uśmiechnął się, zmierzwił grube futro wokół karku Burzy i szarpnął ją za ucho, a wilkunica znów polizała go po twarzy szorstkim językiem. Potem przypadła do Coralen, a dziewczyna zatoczyła się i stęknęła z bólu.

– Muszę obejrzeć twe rany – powiedział Corban.

– Ja chyba mogę poczekać – odparła Coralen. – Inni potrzebują cię bardziej.

Farrell i Laith nadal się nie ruszali. Laith leżała na Farrellu. I to właśnie on jęczał.

Młoda olbrzymka zakłęła, gdy ją podnoszono, na co Coralen westchnęła z ulgą.

– Wstrząs mózgu – oznajmił Corban, patrząc Laith w oczy. – Żadnych złamań.

Gar podszedł do nich i we trójkę, najłagodniej jak się dało, sturlali Laith z Farrella. Pomogły im dwa olbrzymy, których Corban przedstawił jako Varana i Sig. Olbrzymka miała paskudnie wyglądającą ranę na ramieniu, ale mimo to dźwignęła Laith, jakby ta była dzieckiem.

– Ocaliliście nas. – Corban zwrócił się do pary Jotun. – Jesteśmy waszymi dłużnikami.

– Później o tym porozmawiamy – rzekł Varan. – Póki co weź to i zajmij się rannymi.

Podał Corbanowi torbę, a ten otworzył ją i obwąchał zawartość.

– Żywokost, krwawnik i mięta pieprzowa – dodał Varan. – Pobieranie nauk u uzdrowicielki ma swoje zalety.

– Co z Halą? – spytał Corban.

– Nieprzytomna – odparł Varan.

– Mort ją uderzył! – warknęła Sig.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek odzyska świadomość – dodał Varan.

– Przykro mi. – Corban pokręcił głową.

Sig burknęła coś pod nosem.

– Weźcie też to – dodał Varan i wręczył młodemu wojownikowi bukłak.

– Czy to brot?

– Tak. – Varan się uśmiechnął.

Corban pokiwał głową i nachylił się nad Farrellem.

– Dzięki – szepnął Farrell. – Wprost przepadam za Laith, ale lekka nie jest. Czuję się zmiażdżony.

– To może mieć jakiś związek z uderzeniem młotem w twój mostek – rzekł Corban, uciskając przepone przyjaciela. Ten stęknął z bólu.

– Może i racja – rzekł. – Rozumiem, że skoro nadal żyjemy, to chyba wygraliśmy? – Zamrugął. – Zaraz, czy to Burza?

– Tak – odparli Corban i Coralen jednocześnie.

– Wydaje się bardziej zajadła – stwierdził Farrell. – Dziksza.

Też mi się tak wydaje, pomyślała Coralen.

– A gdzie jest Dath? – spytał Farrell.

Ich uwagę przyciągnął stłumiony szloch. Odwrócili się i ujrzeli Kullę, która stała nad Dathem, leżącym twarzą w trawie z paskudnymi śladami po pazurach na plecach. Corban ostrożnie odwrócił przyjaciela, a ten nie wydał z siebie najcichszego nawet dźwięku. Jego głowa miękko opadła w ramionach Corbana.

– Proszę, tylko nie to – szepnął Farrell, podchodząc do nich.

Coralen stała i wpatrywała się w Datha bez słowa. Corban przytknął ucho do jego piersi, szukając pulsu.

– Dzięki niech będą Elyonowi – powiedział i westchnął ciężko. – Żyje.

– Żyje? – upewniła się Kulla.

– Tak. A przynajmniej na razie, choć trzeba koniecznie oczyścić tę ranę na plecach. Być może również zszyć.

Kulla opadła na ziemię, ułożyła sobie Datha na kolanach i pogładziła go po twarzy. Po jej policzkach spływały łzy.

– Jak się przebudzisz, czeka nas poważna rozmowa – szepnęła. – Jak mogłeś dać się tak poturbować?

Coralen pomogła Corbanowi i Garowi zająć się pozostałymi. Obrażenia Datha okazały się najpoważniejsze, gdyż każda rana po pazurze musiała zostać oczyszczona i wydrapana nożem, przez co ponownie zaczęły krwawić. Gdy Corban wreszcie uznał ich stan za zadowalający, posmarował każde skaleczenie miodem i mocno je zaszył. W międzyczasie Varan i Sig ułożyli razem ciała ośmiu poległych olbrzymów. Trupami niedźwiedzi się nie zajmowali. Burza właśnie wgrzyzała się w jednego z nich.

Coralen również wyszła ze starcia z kilkoma ranami i sińcami, a szczęka bolała ją w miejscu, gdzie uderzył ją olbrzym.

Dobrze, że mi niczego nie złamał, pomyślała.

Obmyła swe skaleczenia przy strumieniu, a tam przekonała się, że najbardziej ucierpiały jej żebra. W miejscu, gdzie trafiła ją noga olbrzyma, rozlewał się już purpurowy siniec wielkości ludzkiej głowy. Po chwili wahania zgodziła się, by Corban ją obejrzał. Badał ją delikatnie, ale mimo to krzywiła się z bólu. Owiązał wówczas jej żebra i podał jej miskę czegoś, co podgrzał nad ogniem. Kazał jej to

wypić wraz z brotem podanym przez Varana, na co zgodziła się bez narzekania.

Gdy wszystkie rany zostały opatrzone, było już późno, a księżyc powoli przygasał na niebie. Corban usiadł obok Coralen, która leżała na trawie, powstrzymując jęknięcia bólu. Żebra dawały o sobie znać z każdym oddechem.

– Co za dzień – powiedział cicho.

– Noc też niczego sobie – dodała. Po jej ciele rozpływało się ciepło. Jak zawsze po bitwie nachodziła ją ulga z powodu tego, że i tym razem udało im się przeżyć. Nikt z ich drużyny nie poległ. Niektórzy z nich być może na moment znaleźli się na progu śmierci, ale wszyscy nadal oddychali. Przewaga, z którą zmierzili się tej nocy, była przytłaczająca, a zwycięstwo właściwie należało tłumaczyć cudem. Spojrzała na Corbana i dostrzegła uśmiech na jego twarzy. Patrzył na nią.

– Połóż się i prześpij choć trochę – powiedziała do niego.

Położył się, a potem objął ją ramieniem i pocałował w policzek.

– Dobrej nocy – szepnął jej do ucha, a jakieś trzydzieści uderzeń serca później już chrapał. Coralen leżała i uśmiechała się, a gdy sen zaczął ją ogarniać, uświadomiła sobie, że nie wystawili straży. Potem usłyszała, jak Burza podchodzi do nich i wtula się w Corbana. Owionął ją zapach jej futra.

Dziś nie trzeba wystawiać wart, pomyślała Coralen. Wróciła Burza. Nasza wataha wreszcie jest w komplecie.

Rozdział trzydziesty ósmy

LYKOS

Lykos przechadzał się po szerokich, kamiennych ulicach Drassil w asyście dwóch tuzinów Vin Thalun. Kolejni spośród jego ludzi wychodzili z ciemnych zaułków sieni, kręcąc głowami.

Nic. Ciągle nic. Gdzie, do jasnej cholery, znajduje się kuźnia, w której stworzono Skarby?

Z początku sądził, że poszukiwania owego tajemniczego pomieszczenia mogą się okazać interesującą rozrywką, która wreszcie rozpędzi nudę. Był też bardzo podekscytowany świadomością, że w pobliżu twierdzy czai się Maquin, któremu przypuszczalnie towarzyszyła Fidele. Przez jakiś czas wyobrażał sobie, co zrobi ze Starym Wilkiem oraz Fidele, gdy ich wreszcie dorwie, po czym zaczął się zastanawiać, jak ma to osiągnąć. Jak dotąd nie wymyślił niczego sensownego. Wkroczenie na czele całego hufca do Fornu nie wydawało się rozsądnym rozwiązaniem, choćby dlatego, że Calidus przypuszczalnie nadziałby jego głowę na włócznię na samą wzmiankę o takim marnotrawstwie potencjału ludzkiego.

Calidus wydaje się ostatnio bardzo spięty, pomyślał Lykos. Musi się nauczyć odprężyć i cieszyć chwilą.

Wyciągnął zębami korek z bukłaka i pociągnął łyk, a potem beknął.

Tak jak ja, dodał w myślach.

Uśmiechnął się do siebie.

Calidus wyznaczył jemu i Nathairowi inne fragmenty fortecy do przeszukania. W chwili obecnej znajdowali się na ostatniej ulicy przydzielonej Lykosowi, prowadzącej do kolejnego zapomnianego dziedzińca. W środku wyrastało stare, sękatte drzewo. Jak dotąd nie natrafili na żaden ślad kuźni.

Przeszukaliśmy wszystkie budynki. Każdą salę, każdą wieżę, każdą stodołę oraz piwnicę. I nic, myślał Lykos. Ciekawe, czy Nathairowi lepiej się poszczęściło?

Usiadł w cieniu starego dębu, czekając, aż jego ludzie zakończą poszukiwania. Znow pociągnął z bukłaka.

Co to za smród?, zastanowił się.

Rozejrzył się. W jego nozdrza wgryzał się najpaskudniejszy zapach, z jakim kiedykolwiek się zetknął. Wstał i znow popatrzył dookoła, ale ujrzał jedynie pusty dziedziniec, swych ludzi, drzewo i jego grube korzenie, rozsadzające kamienne płyty.

Czy ja widzę dziurę między korzeniami, w cieniu rzucanym przez pień?

Usłyszał czyjeś kroki na kamieniu, ktoś zawołał jego imię. Był to jeden z jego gońców pozostawionych przy bramie, młody chłopak, który miał go odnaleźć, jeśli pojawią się wieści. Był czerwony i spocony.

– Ktoś przybył! – zawołał. – Jakiś Kadoshim.

Lykos uniósł brew. Calidus ostatnio bardzo troszczył się o swoich Kadoshim i rzadko wypuszczał ich poza bramy Drassil.

– Wygląda, jakby przepełznął przez wszystkie jamy gladiatorów na Trzech Wyspach – dodał chłopak.

– Dokąd się udał?

– Do wielkiej sali. Szuka Woskowatej Gęby.

Woskowatej Gęby. Ha!

* * *

Lykos pognał ulicami Drassil i wpadł do wielkiej sali, gdzie ujrzał Calidusa siedzącego przy długim stole przed tronem Skalda. Był

pograżony w rozmowie z Nathairem. Osłaniał ich tuzin orlich gwardzistów, zwróconych do nich plecami, a gdzieś wśród cieni czaił się Legion.

A więc ten Kadoshim jeszcze tu nie dotarł. Dobrze, stwierdził Lykos.

– Czego? – warknął Calidus na jego widok.

Maniery go zawiodły. Kiedy udawał, że jest tylko zwykłym doradcą, był o wiele uprzejmiejszy, pomyślał pirat i pozdrowił skinieniem Nathaira, który odwrócił głowę. Sposób, w jaki młody król Tenebralu mu się przyglądał – bądź unikał jego spojrzenia – przekonał Lykosa, iż ten źle mu życzy.

Musi lepiej maskować swe uczucia. Jak ja.

– Zakończyłem przeszukiwanie swej części twierdzy. Żadnych sekretnych kuźni. – Rozłożył ręce i zrobił smutną minę.

Calidus otworzył usta, by coś powiedzieć, ale wtedy spojrzał na wrota nad ramieniem Lykosa.

A więc przybył nasz Kadoshim, pomyślał władca piratów.

– Mavet, co ty tu robisz? Czyżby Gundul już przybył?! – zawołał Calidus.

Och, czyli należał do setki podarowanej Gundulowi, pojął Lykos.

Odwrócił się i ujrzał przybysza w asyście dwóch innych Kadoshim, w porównaniu z którymi Mavet w istocie prezentował się straszliwie.

Po pierwsze, brakowało mu dłoni oraz oka. Schodził po schodach, utykając, a jego ubranie oraz kolczuga były poszarpane i podarte. Błede, pokryte bliznami ciało znaczyły liczne rany.

Chyba nie przybywa z dobrymi wiadomościami, uświadomił sobie Lykos.

Mavet dotarł do stołu i opadł na krzesło, drapiąc się w zamyśleniu po oczodole.

– Pożywienia – wychrypiał.

Calidus nalał mu wina, a Kadoshim osuszył kielich do dna, przechylając głowę do tyłu.

– No? – ponaglił go Calidus przez zaciśnięte zęby.

– Gundul nie żyje – oznajmił Kadoshim, gdy postawiono przed nim tacę z chlebem, mięsem i serem. Zaczął wpychać sobie jedzenie do ust. – A jego hufiec został wyrżnięty.

– Jak? – spytał Calidus głosem zimnym i twardym jak żelazo.

– Przez ludzi odzianych tak jak ci. – Kadoshim wskazał orlą straż Nathaira.

Czyli przez Veradisa i ludzi Ripy, pomyślał Lykos.

Spojrzał na Nathaira, który wydawał się oszołomiony wieścią.

– Ale przecież hufiec z Ripy był o wiele mniejszy od carnutańskiego – odezwał się zaskoczony król. – Gundul miał ze sobą trzy, cztery tysiące ludzi!

– I setkę Kadoshim – dodał Lykos.

– To zasługa Veradisa i jego przekłętego muru tarcz – szepnął Nathair.

– Tak, użyli muru tarcz – potwierdził ochrypłym głosem Mavet. – Mieli też wielu wyszkolonych wojowników, którzy wiedzieli, jak zabijać Kadoshim. Walczył z nimi olbrzym.

– Alcyon – syknął Calidus.

– Szkoda, że mnie tam nie było – wymamrotał Legion. – Miażdżyłbym ich ciała, rozbijał im czaszki, wysysał ich kości, pożerał mięso, tańczył po trupach i wydierał z nich dusze...

– Zamknij się, Legion! – warknął Calidus.

– A teraz Veradis i hufiec z Ripy obozują gdzieś w lesie pod naszymi murami. – Nathair pokręcił głową. – Potrzeba nam więcej ludzi.

Przez długą chwilę panowała cisza, aż Calidus zerwał się na równe nogi, złapał stół za blat i wyrzucił go w powietrze. Warcząc i obnażając zęby niczym dzikie zwierzę, popędził po schodach i przypadł do kotła. Złapał za krawędź.

– Asroth! – wrzasnął. – Haruję dla ciebie od lat! Tyram i zmagam się z przeciwnościami losu, aż wreszcie znaleźliśmy się blisko zwycięstwa! Jakże blisko! Ile jeszcze czasu upłynie, nim staniemy się świadkami twojej chwały? Kiedy wreszcie staniesz przed nami w ciele?

Złapał za włócznię z gwiazdnego kamienia i z ogromną siłą wyszarpnął ją z drzewa oraz szkieletu Skalda, a potem cisnął nią w przewrócony stół. Ostrze przebiło drewno, a drzewce zadygotało, a potem rozległ się suchy trzask osypującego się szkieletu dawno zabitego króla.

A później dobiegły ich kolejne odgłosy: najpierw długi syk, a po nim trzask. Lykos spojrział z niedowierzaniem na pień wielkiego drzewa, w którym nagle pojawiły się wielkie drzwi, na tyle szerokie, by mogły w nich stanąć dwa olbrzymy obok siebie.

Calidus wybuchnął histerycznym śmiechem i wpadł w półmrok wrót, zrywając po drodze pochodnię ze ściany. Nathair w asyście Legiona udał się za nim, a Lykos podążył jako trzeci, po drodze zatrzymując się, by podnieść bukłak z miodem pitnym zrzucony ze stołu przez Calidusa.

Nie mogę zapominać o priorytetach, pomyślał.

Blask pochodni ukazał im klatkę schodową wyciętą w pniu drzewa. Ściany były śliskie i lepkie od żywicy, a stopnie prowadziły do wielkiej komnaty pełnej broni. Na stojakach ustawionych wzdłuż ścian zgromadzono wielki arsenał – młoty bojowe, topory, miecze, a także najrozmaitsze narzędzia, szczypce, dłuta, obcęgi oraz młotki. W samym środku wznosiło się wielkie kowadło, a za nim ogromne miechy i palenisko z wystygłym wieki temu żarem. Lykos wszedł głębiej do pomieszczenia. Jego kroki były niepewne, a na twarzy zastygł nabożny zachwyt. Komnata z dawnych czasów wydała mu się miejscem niemalże świętym.

To tu wykuto Siedem Skarbów: topór, włócznię, kocioł, kielich, sztylet, naszyjnik i torkwes. Tu rozpoczęła się wielka wojna, myślał.

Pociągnął z bukłaka.

Calidus przytknął pochodnię do misek z olejem na stojakach, które rozpały się z sykiem. Błękitne, migotliwe światło wypełniło pomieszczenie, a Calidus uśmiechnął się, ujrawszy ścianę pokrytą runami i rytami olbrzymów. Z początku Lykos nie potrafił zrozumieć tego, na co patrzy, aż nagle rozjaśniło mu się w głowie.

To mapa!

Patrzył na wielką mapę, która zajmowała wszystkie ściany komnaty.

– To dzieło Halvora – szepnął Calidus. – Tego, który był głosem Skalda, świadka Plagi. Ostatniego olbrzyma, który tu mieszkał.

Bardzo dawno temu, dodał w myślach Lykos.

Odnalazł na mapie Drassil, leżące w samym środku lasu Forn, otaczającego twierdzą niczym ciemna plama na ścianie. Obok Drassil wyryto symbol włóczni.

Ha, to włócznia z gwiazdnego kamienia, pomyślał.

Wodził wzrokiem, aż odnalazł kolejny symbol w Fornie, tym razem na południu.

– To Haldis – wyjaśnił Calidus – Miejsce pochówku klanu Hunen. To tam ich rozbiliśmy, tam też znaleźliśmy topór z gwiazdnego kamienia.

– A tu widzę Mikil, stolicę Jaela z Isiltiru – odezwał się Nathair. – Wyryto przy niej symbol topora.

– Ale mówicie, że topór znaleźliście w Haldis, a nie w Mikil – stwierdził Lykos. – Czyżby mapa zawierała błąd?

– Nie. Myślę, że przedstawia Ziemię Wygnanych z czasów Halvora. Mikil została wzniesiona przez Hunen – rzekł Calidus. – Władał nimi Dagda, który uczynił z Mikil miejsce swych rządów. Tam właśnie trzymał topór.

– To jak się znalazł w Haldis? – zapytał Lykos.

– Wiemy, że jeszcze jakieś pięć lat temu znajdował się w Mikil i jako relikw z dawnych czasów przynosił wielkie dochody królowi Romarowi. Potem został skradziony przez bandę najemników, którym odebrali go Hunen z lasu Forn. Następnie zabrali go do Haldis, ich ostatniej twierdzy, która nie została zdobyta przez ludzi.

A więc patrzymy na mapę Ziemi Wygnanych z czasów, gdy rządziło nią pięć klanów olbrzymów. I na miejsce ukrycia wszystkich Skarbów, pomyślał Lykos.

Wypuścił powietrze z płuc i obrócił się wokół własnej osi, oszołomiony ogromem mapy.

Ale to wszystko działo się naprawdę dawno temu. Wiele mogło się zmienić, myślał.

– O, tu na zachodzie widzę Murias – rzekł Calidus i pokazał wyrytą górę, obok której znajdowały się symbole kielicha, kotła i naszyjnika, a pod nimi napis runiczny.

– Nemain. Królowa Benothi – odczytał. – Tu jest napisane, że włada kotłem, kielichem i naszyjnikiem.

– A więc w Murias znajdowały się jeszcze dwa Skarby? – spytał Nathair.

– Nie. Podpis sugeruje, że artefakty znajdowały się we władaniu Nemain, ale niekoniecznie w Murias. Benothi władali całym zachodem. Należały do nich Dun Carreg, Dun Taras, Dun Crin i Dun Vaner. – Calidus milczał przez moment, wpatrując się w mapę. – A więc Uthas przypuszczalnie nie kłamał – mruknął. – Kielich w istocie mógł się znajdować w Dun Taras, a naszyjnik w Dun Carreg.

– A co to oznacza? – Lykos wskazał półwysep na północny zachód od Fornu, gdzie widniał ryt sztyletu oraz jakiś podpis.

– To Pustkowie – oznajmił Calidus. – A tu jest napisane: Eld. – Skubnął odłóżką skórę w miejscu, gdzie niegdyś rosła jego srebrzysta broda. – Eld królował Jotun w czasach Plagi – dodał z zadumą.

– Pamiętam Plagę – powiedział z zadumą Legion. – Śmierć, zniszczenie, bitwy z Ben-Elim.

– Ja też pamiętam – rzekł kwaśno Calidus. – Przegraliśmy.

– Teraz będzie inaczej – oznajmił Legion ze złowrogim uśmiechem.

– Eld, król Jotun? – dopytywał się Nathair.

– Tak. Władał Jotun w czasach Plagi i najwyraźniej ma lub przynajmniej miał sztylet z gwiazdowego kamienia. Wyprowadził swój klan z wojny i pomaszerował na Pustkowie, a potem nigdy już o nim nie słyszano – wyjaśnił Calidus, bawiąc się resztkami skóry.

– A więc pewnie już nie żyje? – spytał król Tenebrału.

– To zależy, czy napił się z kielicha z gwiazdowego kamienia, który przedłuży życie. Znacznie. Tak czy owak, być może już nie żyje. Mógł zostać zabity, mógł zginąć w wypadku, ale nawet jeśli nie żyje, musimy założyć, że sztylet znajduje się wśród Jotun.

– Jael z Isiltiru miał z nimi układy – rzekł Nathair. – Mówił mi o ich przywódcy.

Uszczyptał się w nos, próbując sobie przypomnieć jego imię.

– Ildaer. Nazywał się Ildaer. A co to jest? – Wskazał ostatnie miejsce na mapie, leżące na wschodzie Fornu.

Trudno było mieć pewność, ale przypominało jezioro bądź śródlądowe morze z wyspą. Niedaleko widniał symbol przerwanego kręgu. Nie, to był torkwes.

Torkwes z gwiazdnego kamienia.

Calidus uśmiechnął się do Nathaira i Lykosa. Przez moment przypominał tego, którym był przed przybyciem do Drassil.

Nic tak nie poprawia człowiekowi nastroju jak odnalezienie miejsca ukrytego Skarbu, pomyślał Lykos.

– Nathairze, wydziel ze swojej orlej straży jakieś tysiąc mieczy do osłony kotła, włóczni i topora. Sam weź jakieś dwa tysiące mieczy, by w razie potrzeby móc poradzić sobie z tym motłochem Veradisa, i pójdz w las z Mavetem, by odnaleźć Lothara. Ostrzeżesz hufiec z Helvethu przed wrogiem czyhającym w puszczy, ochronisz go przed ewentualnym atakiem z zaskoczenia i przyprowadzisz go tu najszybciej jak się da. Jeśli uda ci się skontaktować z naszym szpiegiem mieszanej krwi, wykorzystaj jej informacje. Jeśli będziesz miał możliwość zniszczenia buntowników, skorzystaj z niej.

– Plan wydaje się sensowny – oznajmił Nathair. – A co z tobą i twoimi kilkoma setkami Kadoshim?

– Mam wielką ochotę ruszyć po sztylet na północ, ale nie podoba mi się perspektywa pozostawienia pozostałych trzech Skarbów z tak szczupłą ochroną – rzekł Calidus.

Stał przez moment z opuszczoną głową, wsparty o wielkie kowadło. Bębnił palcami po starym żelazie, a po komnacie niósł się stukot długich paznokci.

– A więc – naraz uniósł głowę – skontaktuję się z Rhin i nakażę jej zebrać armię zachodu i udać się do Drassil. Po jej przybyciu Skarby będą już na pewno bezpieczne, a wtedy sam wyprawię się po sztylet.

Dobry w tym jest. Nic dziwnego, że wygrywamy, pomyślał Lykos.

– A ty, Lykosie... Myślę, że pora, byś opuścił Drassil na jakiś czas.

Trudno się z tym nie zgodzić, stwierdził pirat w myślach.

– Udasz się do Arcony i na wyspę Kletva po torkwes z gwiazdnego kamienia. Zabierzesz tylu ludzi, ilu uznasz za stosowne. Legion uda się z tobą.

– Tak – zamruczał Legion. – Wrogowie do zabicia, kości do pogruchotania, krew do rozlania i mózgi do rozbryzania. Ciała, po których będę skakać, serca, które będę wyrywać z piersi i...

– Jeśli chcesz przy tym wymordować połowę Ziem Wygnanych, proszę cię bardzo – warknął Calidus. – Tylko przynieś mi torkwes.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

CORBAN

Corbana przebudził zapach futra Burzy, wilgotnego od rosy, oraz włosy Coralen, łaskoczące go po twarzy. Nie miał nic przeciwko ani jednemu, ani drugiemu – wręcz przeciwnie, wywołały uśmiech na jego twarzy, gdyż przypomniały mu o wszystkich dobrych rzeczach, które miały miejsce poprzedniego dnia.

Coralen. Jak to możliwe, by jeden pocałunek mógł wywrzeć tak długotrwały efekt? A Burza... Naprawdę uwierzyłem, że już nie żyje. Czuję się taki... szczęśliwy. Czy to w ogóle możliwe w takich okolicznościach? W takich ponurych czasach?

Nie znał odpowiedzi na to pytanie, ale po prawdzie niespecjalnie się tym przejmował.

Nadchodził świt, który skąpał świat w różowej poświecie. Powietrze było krystalicznie przejrzyste, a niebo nad ich głowami czyste i błękitne. Na trawie i liściach migotały nieruchome krople rosy. W zagajniku rozlegały się poranne trele kosów, strzyżyków, gajówek, rudzików i drozdów, do których dołączyli goście. Na gałęziach zasiadało już bowiem kilkanaście zgarbionych, posępnych kruków, wpatrzonych w ciała niedźwiedzi i olbrzymów, ongiś potężnych i dumnych, a dziś będących jedynie zwałami mięsa, skóry i kości: ucztą dla ptaków.

Ileż ja bym dał, by jednym z tych kruków był Crať, pomyślał Corban. Dziwnie to zabrzmiało, ale tęsknię za tym starym obdartusem. Zaraz, a Dath i pozostali? Muszę sprawdzić, co z nimi.

Burza poruszyła się pod nim. Sapnęła, warknęła głucho i dźwignęła się, a Corban poszedł w jej ślady, choć w tym samym momencie jego ciało zaprotestowało. Stawy miał sztywne, sińce go bolały, a mięśnie również dawały o sobie znać. Burza trąciła go łbem, a potem napała lekko na jego tors.

Ty urosłaś! Jesteś wyższa niż kiedyś, pomyślał Corban, a potem spojrzał na jej pierś.

I masywniejsza!

Podrapał ją po pysku, zdrapał plamkę krwi z kła, wytargał za futro po bokach łba, a potem dostrzegł bliznę po pchnięciu włócznią – skrawek różowej skóry tuż nad prawym ramieniem rozmiarów jego własnej pięści. Gdy przyjrzał się dokładniej wilkunicy, uświadomił sobie, że jej ciało było istną płataniną blizn, pozostawionych zarówno przez kły i pazury, jak i przez żelazo.

Biedactwo. W co ja cię wciągnąłem? W co ja wciągnąłem nas wszystkich?

Przeciągnął się i spojrzał na Coralen.

Pocałowałem ją, uświadomił sobie.

Odetchnął głęboko i poczuł osobliwą lekkość w piersi. Dziewczyna otworzyła oczy i ujrzała go, a na jej obliczu pojawił się uśmiech. Na ten widok Corban zapragnął położyć się obok niej i być może na powrót zakosztować jej ust.

– Na co się gapisz? – spytała, nie przestając się uśmiechać.

– Na ciebie.

Ktoś jęknął za nim. Corban pokręcił głową, choć czuł, jak jego serce przepełnia coś ciepłego i przyjemnego.

Muszę się zająć rannymi!, uświadomił sobie.

– Pomóż mi – powiedziała Coralen, próbując się podnieść. Jej uśmiech ustąpił miejsca grymasowi bólu.

Wsparł ją, gdy siadała, a potem obejrzał jej posiniaczone żebra i dał nieco brotu. Gar już wstał, rozпалиł ogień i zawiesił nad nim kociołek, przy którym usiedli Kulla i Varan. Sig przeszukiwała sakwy, płaszcze i juki zabitych olbrzymów.

– Pomyślałem, że nic nam nie grozi – powiedział Gar, wskazując na niewielki ogień i kłęb dymu. – Nie sądzę, byśmy jeszcze mieli

jakichś wrogów, przynajmniej w zasięgu wzroku.

Corban spojrział nerwowo na swego najstarszego towarzysza, który od czasu rewelacji poprzedniego wieczoru prawie się do niego nie odzywał. Wiedział, że spośród nich wszystkich Gar najciężej zniesie prawdę. Wszak poświęcił całe swe życie przepowiedni oraz wierze w to, że Corban jest Jasną Gwiazdą.

Teraz już wie, że nim nie jestem. Czy ma teraz o mnie inne zdanie? Czy to zmieniło nas wszystkich?

Ta myśl przepełniła Corbana lękiem. Miał wrażenie, że ziemia osuwa mu się spod stóp, a gniew na Meicala jeszcze przybrał na sile.

– Obejrzałem już rany Datha – powiedział Gar, gdy Corban podszedł do przyjaciela. – Nie wyglądają źle, a na pewno nie wdało się żadne zakażenie. Nie budziłem ani jego, ani pozostałych.

– Ja nie śpię – odezwał się Farrell. – Tylko wszystko tak mnie boli, że nie mogę się ruszyć.

Corban pomógł stękającemu wojownikowi dźwignąć się na równe nogi, a potem podszedł do Laith, która postękiwała o wiele mniej, ale wydawała się mieć spore problemy z utrzymaniem równowagi, a w oczach nadal miała mgłę.

– Nic mi nie jest – powiedziała i odpędziła go, a potem siorbnęła gorący wywar, podany przez Gara w miseczce.

Coralen siedziała na kłodzie przy ogniu z całym swoim arsenałem przed sobą – mieczem, kłami wilkuna oraz trzema nożami. Metodycznie czyściła broń po broni, usuwając krew i brud, wygładzając szczyrby i oliwając ostrza. Corbanowi podobały się towarzyszące temu dźwięki, w których odnajdował dla siebie ukojenie.

Sig podeszła i usiadła obok Varana. Jej twarz była chłodna i pozbawiona emocji. Zdawkowo skinęła Varanowi głową, na co Corban wyciągnął ku niemu rękę.

– Pozabijaliby nas, gdybyście nie przybyli nam z pomocą – rzekł. – Zawdzięczamy wam życie.

– Nie jestem tego taki pewien – odparł Varan, wpatrzony w Burzę. – Z takimi przyjaciółmi? Mimo to z chęcią uściskę ci rękę i nazwę przyjacielem.

Uścisnęli sobie ramiona w pozdrowieniu wojowników.

– Choć chyba nie jestem pierwszym z mego rodzaju, który dostąpił tego zaszczytu – dodał, patrząc na Laith.

– Nie, nie jesteś – potwierdziła młoda olbrzymka. – Corban to popularny człowiek.

– Rozumiem – odparł Varan. – Po prawdzie przybyliśmy tu nie po to, by uratować wam skórę, choć cieszę się, że się nam to udało.

– Przybyliśmy śladem Morta – powiedziała Sig, wpatrzona ponuro w kociołek nad ogniem.

– Zabił Elda i wielu innych Jotun – dodał Varan.

– Tak czy owak jesteśmy wam wdzięczni. – Gar dolał obu olbrzymom wywaru z garnka.

– Mam coś dla was – odezwał się Varan. Sięgnął do swego plecaka i wydobyl z niego węzełek owinięty sarnią skórą. W środku znajdował się miecz Gara w pochwie oraz jego topór do rzucania. – Wyglądacie bowiem na ludzi, którzy cenią swój oręż.

Na widok broni Gar uśmiechnął się szeroko, co nie zdarzało mu się często. Z wdzięcznością podniósł miecz i topór, obrócił je w dłoniach i przyjrzał się im uważnie.

– Jestem twoim dłużnikiem – rzekł.

– Zabiłeś tą bronią Ildaera – odparła ponuro Sig. – To wystarczy.

– Wygląda na to że Ildaer planował przewrót – dodał Varan. – Tak czy owak niebawem chciał zgładzić Elda, ale gdy ten nakazał powrót na Pustkowie, postanowił przyśpieszyć działania.

– Sądziłem, że należycie do jego hufca – rzekł Corban.

– Bo tak było, ale, jak już mówiłem, Ildaer nie ufał mi do końca ze względu na mój związek z Halą. Nie podzielił się ze mną swoim planem i słusznie, bo przybyłem na południe, by zdobyć chwałę dla Jotun, a zamach na króla do tego nie prowadzi.

Sig mruknęła coś pod nosem, bez wątpienia żałując, że nie może zabić Morta jeszcze raz.

– I co teraz? – spytał Varan. – Co poczniecie? Jestem gotów zaproponować wam gościnność Jotun, jeśli chcecie z niej skorzystać. Będziecie mogli dojsć wśród nas do siebie.

– Czy przemawiacie w imieniu wszystkich Jotun? – spytała Laith.

– Tak – powiedziała Sig. – Ja przemawiam.

Miałbym zostać w gościnie u Jotun, myślał Corban. Ze wszystkich możliwych opcji tej wcale nie brałem pod uwagę. Odpoczynek brzmi kusząco, tym bardziej że rany będą nam jeszcze długo dokuczać. Wystarczy na nas spojrzeć, by zobaczyć, jak bardzo tego potrzebujemy. Ale czym by się to różniło od ucieczki? Od próby umknienia od wojny i znalezienia dla siebie miejsca spokoju i szczęścia?

Spojrzał na Coralen.

Kusi mnie ta propozycja, ale nie możemy zapomnieć o Asrocie, Calidusie i Kadoshim. Prędzej czy później będziemy musieli znów z nimi walczyć.

– Rozmawialiśmy o tym zeszłej nocy – powiedział na głos. – Podzieliłem się z wami swoimi odczuciami i powiedziałem, co ja chcę zrobić. Ale jeśli chodzi o was wszystkich...

Nie chciał przemawiać w imieniu całej grupy, nie chciał im niczego narzucać. Nie chciał ich namawiać, by zrobili coś, na co nie mają ochoty.

Gar wpatrywał się w niego z nieprzeniknioną twarzą.

– Myślę, że znasz naszą odpowiedź – oznajmił. – Nie będę przemawiał za innych, ale ja ruszam za tobą, bez względu na to, czy przepowiednia jest wyssana z palca, czy też nie. Jesteś całym moim życiem, Corbanie. Jesteś moim oddechem. Jesteś powodem, dla którego co rano otwieram oczy. Gdy odszedł mój ojciec... – Urwał na moment i odwrócił wzrok. Mięsień zadrgał w jego szczęce. – Gdy odszedł mój ojciec, świat stał się dla mnie naprawdę ciemnym miejscem. Tylko dla ciebie wstawiałem z posłania każdego dnia.

– Ale teraz, gdy już wiesz... – zaczął Corban.

– Tak, ale to nie ma dla mnie znaczenia. – Gar machnął dłonią. – Żadnego. – Przez moment milczał, pogrążony w zadumie. – Owszem, kiedyś przepowiednia była najważniejszą rzeczą na świecie, ale upłynęło mnóstwo czasu. Dziś wiem, że tak naprawdę chodzi o ciebie. Wierzę w ciebie, nie w przepowiednię. – Dźgnął Corbana palcem w pierś. – Pójdę za tobą wszędzie, nawet do piekła i z powrotem.

– Mam wrażenie, że to akurat mamy już za sobą – odezwał się słabym głosem Dath, który wreszcie się przebudził. Kulla podbiegła do niego. – Tak przynajmniej się czuję.

– Ależ ty przesadzasz – mruknął Farrell.

– Walnął mnie niedźwiedź! – przypomniał mu łucznik. – Ogromny niedźwiedź!

– Czuje się o wiele lepiej! – oznajmiła Kulla.

Corban pokręcił głową z uśmiechem.

Ci ludzie to moi przyjaciele, pomyślał. Kocham ich i jestem gotów za nich umrzeć, a oni najwyraźniej chętnie zrobiliby to za mnie.

– A więc co zamierzacie teraz zrobić? – spytał Varan.

Gar spojrzał na nich wszystkich z zimnym, paskudnym uśmiechem.

– Wracamy na wojnę – rzekł. – Bo na tym się znamy najlepiej. Asroth, Calidus i Nathair ruszą za nami, gdy odzyskają siły, a więc trzeba im wydać walkę już teraz. Lepszej szansy mieć nie będziemy. Poza tym najwyższy czas, żeby ich też zabolalo.

– O, tak – rzekł Farrell. – Trudno się z tym nie zgodzić.

Sig spojrzała na Varana.

– Podobają mi się ci ludzie – stwierdziła.

Około południa spakowali się i przygotowali do drogi powrotnej. Varan podarował im siodło jednego z zabitych niedźwiedzi, które po paru przeróbkach udało im się dopasować do Burzy. Wilkunica nie była tym zachwycona i warczała ze złością, dając Corbanowi do zrozumienia, że jest jedyną osobą, która może jej dopasować siodło, a wszystkich innych gotowa jest wówczas pogryźć, ale mimo to w momencie próby położyła po sobie uszy i próbowała uciec do lasu, by uratować swą godność. Corban krzyknął na nią, by przestała się wygłupiać i stała nieruchomo, choć wiedział, że musiało to wyglądać zabawnie.

Zeszłej nocy zabiła gigantycznego niedźwiedzia, a dzisiaj znosi moją burę, pomyślał.

W siodle posadzono Datha, który wydawał się z tego powodu równie nieszczęśliwy jak sama Burza.

– Przestań robić miny – rzekła Kulla. – Innego sposobu nie ma.

– Chcesz iść pieszo? – spytała Coralen, na co młody łucznik odpowiedział jej ponurym spojrzeniem.

Pozostali byli już gotowi. Gar sprawdził swą sakwę, zdawałoby się, że po raz ostatni, a Coralen podeszła do Corbana i pocałowała go mocno w usta. Gdy się odsunęła, brakowało mu tchu.

– A to za co? – zapytał.

– A, tak sobie – odparła Coralen i odeszła.

– No wreszcie – oznajmiła Kulla.

Corban ujrzał wpatrzonych w niego Farrella i Datha. Poczul, że zaczyna się rumienić, więc postanowił poszukać dla siebie jakiegoś zajęcia. Podszedł do Jotun. Sig stała przy niedźwiedziach i wiązała do siodła jakąś sakwę brudną od zakrzepłej krwi.

– To głowa Morta – wyjaśnił Varan. – Nasz klan potrzebuje dowodu, że go dogoniliśmy i wymierzyliśmy mu sprawiedliwość, nawet jeśli wyreczyła nas w tym obłądnie wielka wilkunica. To dla niej chciałeś kolczugi?

– Tak – odparł Corban. – Myślałem, że nie żyje.

– Ja też – rzekł Varan. – To ja cię od niej odciągnąłem owego dnia przy rzece. To zwierzę ma silną duszę. Naprawdę niełatwo jest ją zabić, bo ma coś, dla czego warto żyć. – Spojrzał na młodego wojownika, a potem na Burzę. – Chodź ze mną – powiedział i ruszył w stronę swego niedźwiedzia. Jego ogromne cielsko zasłoniło ich przed oczami pozostałych.

– Witaj, Długozębie – rzekł Corban i poklepał niedźwiedzia po grzbiecie.

Wcześniej tego dnia Varan zdjął mu kolczugę, którą zwinął i przytroczył do siodła. Teraz spojrzął na młodego towarzysza i wsunął rękę w głąb juków, z których wyciągnął coś owiniętego w futro. Wręczył zawiniątko Corbanowi, przytykając przy tym ogromny palec do ust.

Corban przyjął podarunek, po czym odsłonił nieco futro. Z wrażenia niemalże go upuścił. W środku krył się sztylet z gwiazdnego kamienia.

– Co? Dlaczego... – wysyczał, ale Varan gestem nakazał mu ciszę.

– Zabrałem go Mortowi – szepnął. – Sig go szuka, ale to ja go znalazłem. Upadł Mortowi podczas walki.

– A czemu mi go dajesz?

– Dobre pytanie – stwierdził Varan, ale nie odpowiedział natychmiast. Po chwili namysłu wzruszył ramionami. – Bo ocaliłeś mi życie, choć naraziłeś przy tym własne. Bo nie opuściłeś swoich przyjaciół, choć mogłeś uciec. Bo ci ludzie przebiegli cały las Forn, by cię znaleźć. Walczyli dla ciebie z Jotun i niedźwiedziami, ryzykowali dla ciebie własnym życiem. To więcej niż tysiąc słów. Daję ci to, bo kryje się w tobie coś niezwykłego, Corbanie ben Thannon. – Rozejrzał się, spojrzął na martwych olbrzymów oraz ich wierzchowce. – Jak sam powiedziałaś, wojna już nas dogoniła.

– Mógłbyś odjechać z nami – zaproponował Corban.

– Nie. W moim klanie panuje chaos, a nasz król nie żyje. Nie mogę teraz porzucić rodaków. – Odwrócił się i wsunął ogromną stopę w strzemień, po czym dźwignął się na grzbiet Długozęba. Zdawało się, że znalazł się teraz bardzo wysoko. – Bywaj, Corbanie ben Thannon – oznajmił. – Uważaj na siebie. Niech twoi wrogowie poczują siłę twego ramienia i ostrze twego miecza.

Corban zasłonił sztylet i schował go pod płaszczem w samą porę przed przybyciem Sig na swoim niedźwiedziu. Olbrzymka nie wydawała się szczególnie zadowolona.

– Bywaj, Varanie z klanu Jotun – powiedział Corban. – I ty, Sig pierwszy mieczu.

– Już nie jestem pierwszym mieczem. – Sig pochyliła się w siodle. – Jak mogę nim być, skoro mój król nie żyje?

– Coś mi mówi, że zawsze nim będziesz – rzekł Corban, na co olbrzymka uśmiechnęła się ponuro.

Olbrzymy zawróciły niedźwiedzie i udały się ku osadzie Gramma, a młody wojownik podszedł do przyjaciół. Kusztykając, rozpoczęli długą wędrówkę przez Forn. Wracali do Drassil.

Jesteśmy znów razem, myślał Corban. Poturbowani, ale niepokonani. Calidusie, Nathairze, miejcie się na baczności. Wracamy po was.

Rozdział czterdziesty

RAFE

Rafe biegł przed oddziałem wojska po zalanym plamkami słońca leśnym trakcie, nieustannie odbierając nowe dźwięki i zapachy. Za drzewami nadciągał już wieczór, przez co w głębi lasu tańczyły osobliwe cienie. Niuchacz i Drapichrust przemykały wśród poszycia niczym szare duchy, ale dla Rafe'a robiły tyle hałasu co stado rozpędzonych wołów.

Ich podróż trwała już dziesiąty dzień. Udało im się zwiększyć tempo dzięki temu, że oddział wędrował teraz po starym trakcie olbrzymów, przecinającym serce Baglunu, starej puszczy, która rozlewała się po Ardanie wielką plamą rdzy i zieleni, ale Rafe miał wrażenie, że przemieszczają się bezlitośnie wolno. Trudno było się jednak spodziewać, by hufiec składający się z pięciuset mieczy i wielu wozów z zaopatrzeniem na zimową kampanię podążał galopem aż do nadmorskiej twierdzy.

Młody tropiciel tęsknił już za murami z szarego kamienia, wznoszącymi się wysoko nad zatoką.

Wracamy do Dun Carreg. Do domu, myślał.

Wokół zapadały ciemności. Wśród drzew poniósł się ryk rogu.

To Rhin wzywa do rozłożenia obozu na noc, pomyślał Rafe.

Królowa podążała w towarzystwie Uthasa, a za nimi szło pięć dziesiątek Benothi, których tupot mógłby obudzić trupa. Za nimi jechała karawana wozów, ciągniętych przez muczące, kudłate woły, a dalej główna siła – pięciuset zbrojnych. Teraz wojownicy zajęci byli kopaniem dziur i rozpalaniem w nich ognisk. Tu i ówdzie nad

płomieniami wisiały już kociołki lub obracało się pieczone. Wśród drzew stali wartownicy, choć nikt nie spodziewał się ataku. Żadna siła nie mogła zagrozić hufcowi pięciuset wojowników i pięćdziesięciu olbrzymów.

Rhin rozmawiała z Uthasem, ale uniosła głowę na widok Rafe'a. Za olbrzymem stało dwóch jego przybocznych – mężczyzna z toporem i kobieta z dwoma nożami, których rękojeści wystawały zza jej ramienia.

– Rafe. – Królowa przywołała go gestem.

Tropiciel ruszył ku nim, choć z jakiegoś powodu po jego skórze spłynął dreszcz.

Uthas skinął na towarzyszkę. Ta wyrwała jeden ze swych noży, długi niczym krótki miecz, i cisnęła nim w Rafe'a. Instynkt zadziałał w porę – Rafe uskoczył i złapał sztylet za rękojeść. Stał przez moment i wpatrywał się w jego owiniętą skórą rękojeść oraz ostrze z pociemniałego żelaza. Potem spojrzał na Rhin.

– Widzisz? – zwrócił się do niej Uthas.

Królowa wpatrywała się w niego, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu.

– Gdzie jest kielich? – spytała zimno.

Rafe zrobił krok w tył. Królowa westchnęła.

– Złapcie go – rozkazała.

Dwaj przyboczni Uthasa skoczyli na niego. Rafe zatoczył się, odwrócił i rzucił do ucieczki. Nie miał pojęcia, dlaczego to robi – zareagował bez namysłu.

Ja chyba po prostu nie chcę jej go oddać, uświadomił sobie, ześlizgując się po nasypie traktu.

Biegł ku drzewom, gdy nagle rozległ się świst i coś chlasnęło go po nogach, i znalazło się między jego kostkami. Stracił równowagę i runął na ziemię. Przetoczył się i dostrzegł, że Uthas cisnął w niego włócznią tak, by niczym kij uderzyła go w nogi. Olbrzymka pędziła już na niego, wyciągając rękę, by złapać go za szyję.

Wtedy uderzyły w nią dwa kłęby szarego futra i kłapiących szczęk, przewracając ją na ziemię.

Niuchacz i Drapichrust!

Rafe zerwał się w okamgnieniu i rzucił do biegu. Za sobą słyszał dzikie warczenie i parskanie, które nagle zastąpiło przeraźliwe skomlenie, po którym znów rozległo się warczenie. Rafe wyhamował i spojrzął z siebie. Drapichrust stał nad nieruchomym ciałem Niuchacza, a drugi z olbrzymów właśnie wznosił nad psami topór.

– Nie! – wrzasnął Rafe.

– Ani kroku dalej! – Uthas był już na dole nasypu i podnosił włócznię. – Chodź tutaj albo twoje ogary posmakują ostrza topora Salacha!

Rafe, nie wiedząc, czy powinien się poddać, czy uciekać, spojrzął na Niuchacza i Drapichrusta.

Nie mam wielu przyjaciół, a na pewno nie mam żadnego innego, który byłby gotów dla mnie rzucić się na olbrzyma, pomyślał.

Wypuścił powietrze z płuc i wrócił do olbrzymów. Rhin stała na szczycie skarpy i patrzyła na tropiciela, prowadzonego ku niej w towarzystwie utykającego Niuchacza.

– Nie powinieneś nigdy, przenigdy ode mnie uciekać – powiedziała spokojnie, gdy stanął przed nią. – Bez względu na to, jak szczególny jesteś. – Musnęła palcem policzek chłopaka. Jej długi paznokieć zachrząścił po szczecinie zarostu. – No to gdzie chowasz puchar?

– Pokażę ci – westchnął.

Poprowadził ich po trakcie, po czym zeszli z nasypu i stanęli przed starym dębem. Rafe podskoczył, złapał pierwszą gałąź, podciągnął się na nią i wsunął rękę do otworu w sękatym pniu. Tam wymacał swój plecak.

Znów ogarnęła go przemożna chęć, by nie oddawać pucharu nikomu. Na samą myśl o tym, że miałby się nim dzielić bądź wręcz stracić go, poczuł przerażenie.

Mógłbym raz jeszcze spróbować uciec, przemknęło mu przez myśl.

Spojrzął w dół na Rhin oraz olbrzymy. W ich małych oczkach połyskiwała podejrzliwość. Niuchacz i Drapichrust również stały obok i przyglądały mu się. Młody tropiciel westchnął raz jeszcze

i podał plecak Salachowi, który wyrzucił jego zawartość – linę, hubkę, krzesiwo, konopną sakiewkę z ziołami, nóż, zapasową tunikę, a na końcu puchar.

Naczynie wypadło na pokrytą mchem ziemię z głośnym stuknięciem, jakby było cięższe, niż na to wyglądało. Było czarne jak krucze skrzydło i gładkie, a jego powierzchnię, ciemną niczym mrok, przesywały srebrne żyłki, przywodzące na myśl nocną burzę z błyskawicami. Wokół krawędzi ciągnęły się stare runy.

Przez moment wszyscy stali i wpatrywali się w kielich. Drapichrust obwąchał go i zaskomlał, ale wtedy odpędził go Uthas, który sięgnął po puchar odruchowo, niemalże nie zastanawiając się nad tym, co robi. Rhin wyprzedziła go.

– Ciężki – oznajmiła ze zdumieniem. – I taki zimny w dotyku!

Olbrzymka wyciągnęła ku niemu ręce, ale Rhin cofnęła puchar.

– Nie waż się go dotykać! – syknęła.

– To puchar z gwiazdnego kamienia – odparła olbrzymka. – Był w posiadaniu Benothi przez dwa tysiące lat. Kto ma większe prawo, by go dotykać?

– Eisa! – szepnął ostrzegawczo Uthas.

Puchar z gwiazdnego kamienia! Jeden z Siedmiu Skarbów! Nic dziwnego, że po napiciu się z niego poczułem się... inaczej, pomyślał Rafe.

– Straciliście go tysiąc lat temu! – warknęła Rhin do trzech wpatrzonych w nią złowrogo olbrzymów, po czym dodała: – Niemniej to już przeszłość. Mamy kielich i wkrótce podzielimy się jego mocą.

– Ale najpierw? – spytał Uthas.

– Najpierw o wszystkim dowie się Calidus.

* * *

Rafe już parokrotnie odwiedził namiot Rhin, ale tym razem wizycie towarzyszyły inne odczucia. Pochodnie strzelały i dymiły, wszędzie unosiły się kłęby dymu, migotały płomienie i czały się cienie, przez

co serce młodego tropiciela przepełnił niepokój, a jego żołądkiem targały nudności. Podjął jeszcze jedną próbę ucieczki, gdy znaleźli się na skraju obozowiska, ale Rhin nie miała zamiaru mu na to pozwolić.

– Jesteś teraz kimś szczególnym – powiedziała do niego, gdy wchodzili do jej namiotu. – Należysz do elitarnej grupy. Od tej pory masz się trzymać blisko mnie.

Rafe spojrział na nią bez zrozumienia, na co królowa parsknęła śmiechem.

– Ty nie masz pojęcia, co właściwie zrobiłeś, prawda?

Wzruszył ramionami, zbyt zawstydzony, by przyznać prawdę.

– Wiesz, co się dzieje z tym, kto napije się z tego kielicha? Jego życie się wydłuża, a właśnie się dowiedziałam, że szczęściarz staje się również silniejszy i szybszy. Jego zmysły ulegają wyostrzeniu, zwiększa się wytrzymałość...

Znów obrzuciła go długim spojrzeniem, tak intensywnym, że Rafe nie mógł oprzeć się wrażeniu, że oblażą go pająki.

– Wydłuża się życie? – spytał niespokojnie.

– Uthas napił się z kielicha dwa tysiące lat temu – powiedziała Rhin z uśmiechem. – Można rzec, że kielich dał mu nieśmiertelność.

Królowa przeszukiwała pęczek kluczy, z brzękiem odnalazła właściwy i otworzyła skrzynię, stojącą w cieniu z tyłu namiotu.

Nieśmiertelność...

– Nie czuję się bynajmniej nieśmiertelny – zadudnił Uthas. – Kości mi trzeszczą, ciało pobolewa, wzrok staje się coraz gorszy, a ramionom brakuje siły.

– Tak, i dlatego chciałbyś się napić z niego ponownie – oznajmiła Rhin i wydobyła z kufra drewnianą ramę, aksamitne zawiniątko, niewielką szkatułkę oraz żelazną miskę. – Opowiedz mi o własnych odczuciach – rzekła.

– Oraz o tym, jak go znalazłeś – dodał Uthas. – Zgubiłem puchar w Domhainie, dawno temu.

– To tam go znalazłem – zaczął Rafe i opowiedział im o tym, jak skoczył w bagno, by uratować Niuchacza, i wyciągnął go z błota wraz z drewnianą skrzynią. Opowiedział im również o tym, jak

napił się z kielicha: o cudownym uczuciu, które wnet zastąpił potworny ból, a później nicość. Spał przez dziesięć dni, a przez ten czas magia kielicha pracowała nad jego ciałem. Gdy się obudził, był odmieniony.

Rhin oraz olbrzymy wpatrywali się w niego z błyszczącymi oczami.

– Skąd wiedzieliście? – zapytał.

– Domyśliłem się – rzekł Uthas. – Twoja szybkość, twój wzrok i wiele innych rzeczy, a gdy pochwyciłeś nóż Eisy...

– Mogła mnie zabić – burknął Rafe i spojrzał na Rhin, która ustawiła żelazną misę nad niewielkim ogniem. Przed ogniem postawiła drewnianą ramę, a potem rozwinęła aksamitne zawiniątko i z wielką ostrożnością wydobyła z niego coś, co przypominało stary, pomarszczony pergamin. Rozwinęła go i przymocowała jego rogi do ramy za pomocą niewielkich haczyków.

Rafe zmrużył oczy. W niby-pergaminie widniało kilka otworów i gdy się mu przyglądał, niespodziewanie powrócił ten sam lęk co wcześniej.

– Czy to... – zaczął.

– Tak, to twarz – odparła Rhin. – A raczej skóra zdarta z twarzy wroga – dodała beztrąsko, jakby rozmawiała o podwieczorku.

Następnie otworzyła szkatułkę, z której wydobyła fiolkę wypełnioną ciemnym płynem. Otworzyła ją i wylała kilka kropel w płomień, które zasyczały głośno. We wnętrzu namiotu rozszedł się jej szept.

– *Thoghairm mé leat anois, Calidus, aingeal dubh, tríd an flesh agus fola ar mo namhaid* – oznajmiła, a potem powtórzyła obce słowa kilkakrotnie.

Pochodnie w namiocie zaskwierczały i zgasły. Mrok otulił Rafe'a niczym ciemne skrzydła, a jedynym źródłem światła pozostała płonąca misa na stole. Ustawioną przed nią skórę z twarzy, rozciągniętą na ramie, rozjaśnił pomarańczowy ogień.

Aż niespodziewanie drgnęła. Najpierw zafalowała niczym żagiel trącony wiatrem, a potem usta dawno zabitego człowieka poruszyły

się, a blask ognia w oczodołach naraz wydał się czymś zupełnie innym.

– Rhin – wyszeptała twarz głosem suchym i martwym niczym grobowiec. – Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności. Sam właśnie chciałem z tobą porozmawiać.

– Witaj, Calidusie – rzekła Rhin. – Mam wspaniałe wieści.

Po raz pierwszy w życiu Rafe ujrzał na jej twarzy uległość i lęk.

– Zdobyłam kielich z gwiazdowego kamienia.

Twarz rozchyliła wargi, po czym rozległ się urywany syk. Rafe po chwili uświadomił sobie, że to śmiech.

– To dobry dzień – oznajmił głos. – Musisz mi go natychmiast przynieść.

– Szukamy też naszyjnika. Jesteśmy blisko i wkrótce go odzyskamy.

– Znajdź go. Potem zbierz swój hufiec i zmierzaj do Drassil.

Rhin cofnęła się o krok, zamrugła, po czym zerknęła na Uthasa.

– Nasz dzień niebawem nadejdzie. – Głos przypominał szelest zeschniętych liści. – Nadszedł czas, by wypełnić przysięgę.

– Ja... Oczywiście – odparła Rhin. – To... dość nieoczekiwane. Nie sądziłam, że ten moment nadejdzie tak szybko...

– Od dawna przygotowujemy się na tę chwilę. Przelaliśmy dla niej rzeki krwi i wreszcie nadszedł czas, by działać. By rozesłać posłańców i wezwać wszystkich, którzy złożyli ci przysięgę na wierność. Wiesz, co robić.

– Wiem. Wypełnię swój obowiązek – rzekła Rhin.

– Dołóż wszelkich starań – warknęła twarz. Usta falowały i się marszczyły. – Nie życzę sobie, byś mnie zawiodła.

Naraz skóra napięła się i poruszyła. Blask ognia w oczodołach wydawał się ciemnieć, aż stał się czerwony. Wydawało się, że twarz rozgląda się po namiocie, aż jej spojrzenie wbiło się w młodego tropiciela. Ten poczuł się, jakby padł na niego czar. Chciał uciekać, wrzeszczeć, zacisnąć powieki ze wszystkich sił, ale nie był w stanie nawet drgnąć. Mógł tylko wpatrywać się w oczodoły płonące gniewem, dziką żądzą i mroczną mocą. Poczuł, jak puszczają mu zwieracze i po spodniach rozlewa się ciemna, wilgotna plama.

Minęła wieczność, nim twarz odwróciła od niego wzrok i znów spojrzała na Rhin.

– Przybądź do mnie – zasyczała, po czym skóra znieruchomiła i zaczęła ociekać niczym topniejący воск.

Jeden z psów przed namiotem zaczął szczekać. Rafe odwrócił się i wybiegł na zewnątrz, potykając się. Przepchnął się między wartownikami Rhin i popędził przed siebie, ścigany śmiechem ze środka.

Na trakcie płonęły pochodnie. Biegnący Rafe zamrugał parokrotnie, aż jego wzrok dostosował się do ciemności. Jakiś ruch przyciągnął jego uwagę. Coś poruszyło się, a potem zamigotało wśród drzew za skarpą.

Żelazo?

Tak, bez wątpienia było to żelazo. Rafe widział już, jak odbija blask ognia, i przestał mieć jakiegokolwiek wątpliwości.

Szczekanie Niuchacza i Drapichrusta stało się głośniejsze, ale psy nie spoglądały w stronę lasu. Ich uwagę przyciągnęło coś w górze, coś na namiocie Rhin.

– Co wy robicie, głupie kundle? – mruknął Rafe.

Lęk w jego sercu nie ustępował, a wnet dołączył do niego wstyd, tym bardziej, że mokra plama na spodniach zaczęła stygnąć i robić się coraz zimniejsza. Uniósł głowę i ujrzał ciemny kształt na jednym ze słupków namiotu królowej. Zmrużył oczy, a wtedy ów kształt się poruszył. Był to wielki, czarny kruk.

Rafe instynktownie podbiegł do namiotu i błyskawicznie zacisnął dłoń na pazurzastej łapie ptaka. Ten zaprotestował głośnym krakaniem, ale tropiciel ściągnął go na dół i unieruchomił jego bijące mocno skrzydła.

Nie cierpię kruków, pomyślał i zacisnął dłoń na jego karku, wpatrując się w złośliwe, inteligentne oczka ptaka.

Spomiędzy drzew dobiegło skrzypnięcie drewna.

A co to było?

– Puść mnie, zły człowieku! – zakrakał ptak.

Rozdział czterdziesty pierwszy

CAMLIN

– Pośpiesz się! – syknęła Meg. – On zaraz zabije Crafa!

Znam tego chłopaka, myślał Camlin. To Rafe. Towarzyszył Braithowi na bagnach. Vonn też go zna. Namówił mnie, bym pozwolił mu ujść z życiem...

Zauważył, jak Rafe aż się podrywa, dziobnięty z całej siły przez szamoczącego się ptaka. Uderzenie serca później posłał mu strzałę w ramię. Uwolniony Craf wystrzelił w eksplozji piór, ale zawrócił, przeorał tropicielowi twarz i dopiero potem wzbił się ku niebu, kracząc przy tym zniewagi i przekleństwa.

Wokół Rafe'a nagle pojawili się wartownicy.

No to efekt zaskoczenia mamy z głowy, pomyślał Camlin, po czym wyrwał strzałę z ziemi przed sobą i lekko nałożył ją na cięciwę.

– Teraz, Meg! – warknął, a dziewczynka zapaliła pochodnię namoczoną w smole. Tropiciel odpalił od niej strzałę, naciągnął ją i wypuścił. Syczący pocisk zatoczył łuk w powietrzu, pędząc prosto na Rafe'a, ale ten jakimś cudem uskoczył, wyrywając jednocześnie strzałę, która tkwiła mu w ramieniu.

Czyżby zauważył drugą strzałę, lecącą na niego? Nie, to chyba niemożliwe...

Płonący pocisk wbił się w słupek namiotu. Ogień natychmiast przeskoczył na płótno i rozszedł się z chciwym trzaskiem. Z cieni pomiędzy drzew wyleciały kolejne strzały i na trakcie rozległy się wrzaski bólu, a Camlin z satysfakcją zauważył, że worki z ziarnem

stanęły w ogniu. Wystarczyło kilka uderzeń serca, by wrogie obozowisko zamieniło się w płonące piekło.

– Jeszcze jedna! – Meg trąciła go w żebra.

Camlin podpalił drugą strzałę i wycelował. Z głównego namiotu wypadały jakieś postacie, głównie olbrzymy, ale wśród nich była również Rhin.

Cóż, gdyby udało mi się wpakować strzałę w serce tej starej zdiury, Edana miałyby powód do świętowania, pomyślał Camlin.

Wycelował i zwolnił cięciwę. Wiedział, że strzała trafi, ale niespodziewanie ujrzał błysk żelaza, a potem strzałę wirującą w powietrzu. Drogę zagroził jej Rafe z mieczem w dłoni, patrzący prosto na niego.

Czy on właśnie odbił moją strzałę, pomyślał Camlin z gniewem, do którego nagle dołączył lęk. Widywał już podobne popisy zręczności, ale nigdy podczas nocnej walki, kiedy wokół szalały chaos, śmierć i płomień.

Jego ludzie, co do jednego znakomici strzelcy, zasypywali rozciągnięty na trakcie obóz wroga ognistymi pociskami. Camlin znów naciągnął cięciwę, tym razem nie zawracając sobie głowy podpaleniem grotu, ale Rhin już biegła i jego pocisk wbił się w ramię jakiegoś olbrzyma.

Lepsze to niż nic.

Zazgrzytał piach i żwir pod nogami człowieka zsuwającego się po zboczu skarpy. To Rafe pędził na niego w asyście dwóch wielkich psów, a za nim zbierali się już ludzie i olbrzymy w czerni i złocie.

– Pora się zbierać! – oznajmiła Meg i znikła w mroku.

– Nie mylisz się, mała, ale ja sobie pozwolę na jeszcze jedną strzałę – mruknął Camlin i napiął łuk.

Jeden z wojowników w czerni i złocie stoczył się z nasypu i już się nie podniósł.

– No! – Camlin wyrwał garść strzał z ziemi. – Teraz pora się stąd wynosić!

Odwrócił się i wskoczył w zarośla.

Jego planem było zniszczenie jak największej ilości zapasów Rhin i przetrzebienie jej sił. Z tego, co zdołał zauważyć, wiele wozów już

płonęło, a więc należało uznać zadanie za wykonane. Wiedział, że jego ludzie dadzą sobie radę – cała dwudziestka była tropicielami.

Ścigało go warczenie psów i trzask tratowanych zarośli, o wiele za bliskie jak na jego gust.

Pędził przez ciemny las, słysząc szelest stóp biegnącej przed nim Meg. Podążali wzdłuż ścieżek wydeptanych przez lisy i zające, które przemierzali już niejednym razem i doskonale zapamiętali. Camlin planował bowiem zasadzkę od pewnego czasu i prawdę powiedziawszy, liczył na to, że uda mu się wyrządzić wrogowi więcej strat. Nie sądził, że trzeba będzie tak szybko rzucić się do ucieczki.

To wina Rafe'a, pomyślał. Zapewne dostrzegł ogień, gdy zapalałem strzały. To stąd wiedział, dokąd biec. Tak, to przez niego i jego psy.

Zaklął pod nosem.

Uduszę Vonna za to, że kazał mi puścić tego drania żywym.

Słyszał już cichy plusk rzeki przed sobą. Wiedział, że gdy do niej dotrze, będzie mógł przestać bać się psów.

Jeszcze kilka kroków...

Z tyłu poniosł się odległy, złowieszczy ryk rogów.

Czyżby Rhin wzywała swoich ludzi do odwrotu? Taką przynajmniej mam nadzieję.

Wpadł na bezdrzewną polanę, ciągnącą się wzdłuż brzegów rzeki i ujrzał Meg, stojącą na pniu przewróconego drzewa i przyzywającą go gestami. Wyhamował ostro, nabrał głęboko tchu i napiął mięśnie do skoku. Księżyc zalał polanę oraz rzekę bladym światłem, które migotało nad wodą niczym rozrzucony srebrny pyłek.

Naraz coś uderzyło go w plecy. Zawirował, padł na ziemię, potoczył się po trawie, mchu i ściółce. Łuk i strzały wyfrunęły w powietrze. Zatrzymał się po chwili, kaszląc i prychnając. Obmacał się w poszukiwaniu broni i ujrzał ogara, który zrywał się na równe nogi kilka kroków dalej.

Dostrzegł łuk i rozrzucone wokół niego strzały. Skoczył ku nim, zacisnął dłoń na łączysku, porwał jakąś strzałę, przetoczył się i napiął cięciwę. Słyszał już łomot psich łap, a gdy się odwrócił, ujrzał wyskakującego psa.

Wypuścił strzałę w chwili, gdy na polanę wypadli inni – Rafe, kolejny ogar, potem jakaś olbrzymka. Grot wbił się prosto w pierś skaczącego psa, który zaskamlał i padł na leśne runo. Życie wyciekło z niego w jednej chwili. Rafe wrzasnął i rzucił się na przeciwnika z żądzą mordy wymalowaną na twarzy.

Camlin zerwał się, chwycił za miecz, odwrócił się i rąbnął młodego tropiciela, który wykonał niebywale szybki unik. Wtedy były banita smagnął go łukiem. Dopisało mu szczęście – trafiony Rafe zachwiał się i padł na twarz.

Camlin rozejrzał się w popłochu. Meg znikła bez śladu. Oszołomiony Rafe leżał na ziemi, a drugi z ogarów obwąchiwał nieruchome ciało pierwszego. Olbrzymka z bronią w ręku szła już na niego.

Olbrzymka, ogar i Rafe, z którym nagle trzeba się liczyć, pomyślał Camlin. Ciut za duża przewaga jak na mój gust.

Nadal miał miecz oraz łuk, ale strzały leżały rozsypane na ziemi. Świsnęło rozcinane powietrze. Camlin odruchowo padł na ziemię, by uniknąć lecącego w niego noża, a zrywając się na równe nogi, zdołał rąbnąć olbrzymkę w stopę. Usłyszał przy tym trzask, co obudziło w nim nadzieję, iż złamał jej jakąś kość.

Coś znów uderzyło go w głowę. Zakręcił się i padł na twarz.

Nie ma czasu na wylegiwanie się, pomyślał, widząc kuszykającą ku niemu olbrzymkę.

Wtedy uświadomił sobie, że wypadł mu miecz.

Szlag!

Olbrzymka była już przy nim i wtem przygniotła go zdrową stopą do ziemi, wybijając mu powietrze z płuc.

– Ani się rusz, ty mała fretko! – warknęła i uniosła jeden ze swych noży.

Rozległo się chrupnięcie i olbrzymka wykonała chwiejny krok do tyłu. Z jej czoła ciekła krew.

Co to?

Meg znów wyrosła na swej kłodzie z garścią pełną kamieni, którymi ciskała teraz w olbrzymkę. Kolejnym trafiła ją w twarz. Wojowniczką ryknęła z bólu i osunęła się na kolana.

– Uciekaj! – wrzasnęła Meg do Camlina.

Dobra rada, pomyślał.

Zdołał się podnieść. Kręciło mu się w głowie i przebiegł kilka chwiejnych kroków, kiedy wyrosła przed nim ciemna postać, która pochwyciła go i przyparła do drzewa.

Rafe.

Pozbawiony broni Camlin nie miał zamiaru walczyć czysto. Uderzył chłopaka kolaniem w krocze i rąbnął go czołem w nos, ale on nadal go nie puszczał. Zacisnął dłonie na gardle Camlina mocniej, niż ten by się tego spodziewał.

– Zabiłeś. Mi. Psa! – wycharczał.

Camlin szarpał się. Wbił kciuk w ranę, usiłował zerwać, odgiąć, połamać palce zacisnięte na jego gardle, ale na młodym tropicielu nie robiło to żadnego wrażenia.

Jak on to robi, zastanawiał się Camlin. To nie... To niemożliwe!

Robiło mu się ciemno przed oczami, gdy usłyszał krakanie i trzepot skrzydeł. Twarz Rafe'a przeorały ostre pazury, celujące w jego oczy. Ucisk na gardle Camlina natychmiast zelżał. Były banita ześlizgnął się po pniu drzewa, kaszląc i parskając, a Rafe cofnął się, przyciskając dłonie do twarzy.

Craf, chyba cię wycałuję, pomyślał Camlin.

Zerwał się, odepchnął od drzewa, i zataczając się, ruszył w stronę skraju lasu. Dostrzegła to olbrzymka, która pokusztykała za nim i wyciągnęła rękę, która zacisnęła się na jego kaftanie.

Wynoszę się w cholere i nikt mnie nie zatrzyma, nawet olbrzym, pomyślał Camlin.

Szarpnął się gwałtownie i skoczył naprzód. Olbrzymka zatoczyła się, a potem oboje przewrócili się o zeschnięty pień drzewa i potoczyli na łeb, na szyję ku rzece.

Rozdział czterdziesty drugi

VERADIS

Veradis przeszedł wzdłuż szeregu zbrojnych. Tu wyprostował tarczę, tam sprawdził, czy jest trzymana należycie mocno, jeszcze gdzieś indziej pchnął, by się upewnić, czy wojownik zachowuje odpowiednią postawę. Miał przed sobą oddział składający się ze stu czterdziestu ludzi, ustawionych w siedem szeregów po dwudziestu. Wzniesione tarcze formowały mur.

Lepiej, pomyślał. O wiele lepiej.

Tarcze były mocne i nachodziły na siebie w odpowiedni sposób. Oddział należycie chronił obie flanki, a ostatni manewr został przeprowadzony błyskawicznie. Jego podkomendni coraz lepiej utrzymywali szyk podczas marszu, a przynajmniej szereg nie rozpadał się, gdy tylko ruszali z miejsca. Najlepsze jednak było to, że wszyscy wierzyli w sens tego, co robią. Przed bitwą z hufcem Gundula ludzie przydzieleni Veradisowi nie byli przekonani co do sensu wznoszenia muru tarcz, a co gorsza uważali walkę w szyku za rzecz niegodną wojownika.

Ale przekonało ich to, że przeżyli, podczas gdy wróg wyginał, pomyślał Veradis. Tak, wówczas na własnej skórze sprawdzili wartość muru tarcz. Widzieli, jak hufiec Gundula rozbija się o nich niczym fala. Jak giną napastnicy.

Ale to wciąż nie są moje Kły Draiga. To nie weterani dziesiątek bitew, przeskoleni w marszach, manewrach, osłanianiu boków i tyłu formacji i reagowaniu na dziesiątki sygnałów wygrywanych na rogach. Jak ci ludzie mieliby stawić czoła tamtym?

Odpowiedź nasuwała się sama.

Jeśli dojdzie do starcia, zginą wszyscy.

Na samą myśl o tym, że miałyby stanąć w szranki z Kłami Draiga, Veradisowi robiło się niedobrze. Jak mógłby zabijać ludzi, których szkolił, którymi dowodził i których szanował? Jak mógłby ruszyć do ataku na własnych towarzyszy broni?

Pomyślę o tym kiedy indziej, postanowił. Teraz mam inne zmartwienie. Muszę wyszkolić tych tutaj.

Wykrzyknął rozkaz. Mur tarcz się rozpadł, a mężczyźni odkładali osłony i dobierali się w pary, by trenować walkę wręcz.

– Nie dajesz im chwili wytchnienia! – zawołał ktoś za nim.

Veradis odwrócił się i ujrzał Javeda, przywódcę Uwolnionych, jak nazywano wszystkich, których wyrwano z niewoli Lykosa.

– Nie bardziej niż inni – odparł Veradis i pozdrowił skinieniem Jehar, którzy zebrali się pod drzewami, by przeprowadzić taniec miecza.

Gdzieś indziej olbrzymy ćwiczyły walkę z wojownikami z Isiltiru, w większości noszącymi czerwone płaszcze i uzbrojonymi w miecze oraz włócznie, ale również odzianymi w futra i wymachującymi toporami. Veradis dowiedział się, że ci ostatni są niedobitkami z pewnej osady na północy, a przewodził im poważny wojownik o imieniu Wulf. Młody Tenebralczyk od razu go polubił.

– Na mój gust dajesz im naprawdę niezły wycisk. – Javed nie przestawał się uśmiechać.

– Zbyt wielki jak dla ciebie? – spytał Veradis.

– Mam za sobą trening w jamach gladiatorów – odparł Javed.

– Niektórzy z twoich kompanów nadal trenują. – Veradis wskazał Maquina, który właśnie wrócił z porannego biegu, a teraz walczył przeciwko szóstce wojowników, którymi dowodził w hufcu Ripy.

– Stary Wilk jest jedyny w swoim rodzaju – odparł Javed.

– Nic nie wskazuje na to, by trening robił mu jakąś krzywdę. Mnie ciągle ćwiczenia utrzymują w dobrej kondycji – rzekł Veradis. – I nie mam na myśli tylko ciała, ale również umysł.

– Ja wierzę w sens ćwiczeń – stwierdził Javed. – Ale wolę ćwiczyć w walce z wrogiem, który krwawi i umiera. To dlatego zgłaszam się

na ochotnika do każdego oddziału, który rusza na wroga. Codziennie.

Jego uśmiech znikł. W oczach zapłonęła nienawiść.

– Jest tylko jedna rzecz, której jestem całkowicie pewien – rzekł Veradis. – Nadciąga wielka bitwa i albo będziemy na nią gotowi, albo wszyscy zginiemy.

– Poważnie podchodzisz do swoich zadań, co nie? – odezwał się Javed, znów z uśmiechem, i ruszył przed siebie. – Ale o mnie się nie martw. Ja ginąć nie mam zamiaru.

Veradis znalazł trzech ludzi do wspólnego treningu, po którym, spocony i zmęczony, podszedł do strumienia, by się opłukać. Przez chwilę odpoczywał, oparty o drzewo. Jak okiem sięgnąć, wszędzie widział obozową rutynę. Ludzie znosili chrust na opał i wiadra wody, szykowali posiłki, cerowali odzież, naprawiali broń. Gdzieś przemknęła Brina, wywarkując rozkazy tuzinowi ludzi. Podążał za nią jakiś olbrzym. Gdzieś indziej szereg wojowników ćwiczył strzelanie z łuku. Każdej salwie towarzyszył łomot grotów wbijających się w tarcze, a potem pojawiała się kobieta, która sprawdzała celność. Miała na imię Teca i pochodziła z jakiejś wsi na północy Narvonu.

Ludzie lasu, myśliwi, wyzwoleńcy, wojownicy, olbrzymy, myślał Veradis. Co za zgraja...

Wypuścił powietrze z płuc.

Czy my w ogóle mamy jakiegokolwiek szanse na zwycięstwo? Jest nas za mało, mamy gorszą pozycję, a przeciwnik góruje nad nami doświadczeniem. Calidus dobrze to wszystko rozegrał. Świetnie się przygotował na tę wojnę. Nie zwyciężymy. Potrzeba nam więcej mężczyzn. Więcej kobiet. Więcej olbrzymów. Więcej wojowników. Mam nadzieję, że ów Corban wróci do nas na czele wielkiego hufca. Tak, to byłoby coś.

Westchnął.

– Przeszkadzam? – odezwał się obcy głos. Fidele stała kilka kroków za nim.

– Oczywiście, że nie, moja pani – odparł i zaczął się podnosić.

– Proszę, siedź – odezwała się. Podeszła bliżej i usiadła obok niego. Wokół zamarło kilku czujnych strażników.

Fidele miała na sobie strój tropiciela – wełniane spodnie, wełnianą koszulę i mocną skórzaną kamizelę. Veradis dostrzegł dwa noże za jej pasem, a rękojeść trzeciego wystawała jej z buta.

Kobieta zauważyła jego spojrzenie i wybuchnęła ciepłym, szczerym śmiechem.

– Ucieczka przed Vin Thalun pomogła mi wypracować nowe przyzwyczajenia – oznajmiła. – Poza tym miałam dobrego nauczyciela. – Zerknęła między drzewami na Maquina i uśmiechnęła się na jego widok. – W dziwnych czasach żyjemy – dodała.

– Nie mnie to oceniać, moja pani. Choć, jeśli wolno mi mówić szczerze, wyglądasz na szczęśliwą.

– Wolno ci, a jakże. – Fidele pochyliła lekko głowę. – I to prawda, jestem szczęśliwa.

Znów spojrzała na Maquina i przez moment przyglądała się jego unikom. Przemykał między partnerami do ćwiczeń niczym leśna mgła. Ani jedno ostrze go nie musnęło.

– Poza tym, kto wie, co kryje przyszłość – powiedziała cicho, a potem spojrzała z powrotem na Veradisa. – Póki co żyjemy i tylko to się liczy.

– W rzeczy samej – zgodził się Veradis.

Fidele zmieniła się bardzo od chwili, gdy widział ją po raz ostatni. Była wówczas żoną króla i matką jego księcia. Wydawała się wręcz stworzona do tej roli, urodzona, by piastować wysoką pozycję u boku Aquilusa, ale mimo to tutaj, w samym sercu Fornu, wydawała się spokojniejsza i bardziej rozluźniona. Nigdy dotąd nie widział w niej takiej pogody ducha.

– Chcę znów ujrzeć mego syna – powiedziała pośród ciszy.

Ja też, pomyślał Veradis. Chcę z nim porozmawiać, tylko i wyłącznie porozmawiać. Tak jak kiedyś, gdy nie było przy nas Kadoshim czy Calidusa.

– Dlaczego?

– Bo on nie jest złym człowiekiem.

– Nie jest – zgodził się Veradis.

– Bo został oszukany i...

Veradis pokręcił z żalem głową.

– Tak, ale już przejrzał na oczy. Podczas naszej rozmowy w Brikan doskonale wiedział, co się dzieje i w co został wplątany. Możesz mi zaufać. Analizowałem tę rozmowę tysiąc razy.

– A więc został wkręcony w coś, z czego nie zdawał sobie sprawy. Zmuszony do wstąpienia na ścieżkę, z której nie może już uciec. Nathair jest dumnym człowiekiem i niechętnie przyzna się do takiego błędu, ale nadal może wybrać...

– Już dokonał wyboru – rzekł z gniewem Veradis. Zdrada przyjaciela nadal bolała go niczym krwawiąca rana. – Poprosił mnie, bym stanął po jego stronie, a jego wyjaśnienia były jakże logiczne, jakże naturalne.

Westchnął z rozdrażnieniem, przypominając sobie argumenty, które Nathair przedstawił mu w Brikan. Przypomniał sobie słowa o tym, że historię spisują zwycięzcy i że wszystko, czego się w życiu nauczyli, okazało się kłamstwem. Że Elyon i Asroth, Kadoshim oraz Ben-Elim byli jedynie stronami konfliktu, walczącymi frakcjami, zupełnie jak Ardan czy Cambren. W jego ustach wszystko to brzmiało jakże logicznie.

Zastanawiałem się wielokrotnie nad tym, co teraz powiedziała Fidele, pomyślał Veradis. Chcę, by tak brzmiała prawda. Chcę wierzyć, że Nathair wróci na właściwą ścieżkę, jeśli tylko będzie miał sposobność. Ale czy na pewno by to zrobił?

– Tak czy owak to zaledwie słowa, domysły – rzekł. – Nathair znalazł się w Drassil z pięcioma tysiącami mieczy. Ma ze sobą nie tylko orlą gwardię, ale również Vin Thalun i Kadoshim. Oraz Calidusa. To niemożliwe...

– Być może – stwierdziła Fidele.

– Czemu mi o tym mówisz, moja pani?

– Bo tylko ty jesteś w stanie zrozumieć to, co czuję. Nathair był dla ciebie niczym brat. Wiem, że w twoich słowach kryje się prawda, ale jeśli będę miała sposobność, porozmawiam z Nathairem. – Urwała i spojrzała Veradisowi w oczy. W jej spojrzeniu kryło się wielkie

cierpienie. Wyciągnęła rękę i ścisnęła jego nadgarstek. – Czy pomógłbyś mi? Gdyby...

Veradis wpatrywał się w nią, nie wiedząc, co powiedzieć.

Nathair zabił własnego ojca, pomyślał. Czy nadal wierzyłaby w niego, gdyby o tym wiedziała? I tak, było w nim dobro, kiedyś, wiem o tym.

– Ja...

Spomiędzy drzew wyłonił się Maquin, spocony, ale uśmiechnięty.

– Tu się schowałeś! – powiedział i musnął Fidele palcami po ramieniu, kierując się w stronę strumienia. Po drodze zrzucił przyodziewek i wskoczył do wody, opryskując Veradisa i jego towarzyszkę lodowato zimną wodą. Oboje aż podskoczyli.

– Zastanów się nad tym – powiedziała Fidele i ponownie uścisnęła jego nadgarstek.

* * *

– A więc tak wygląda Drassil – rzekł Veradis.

Wraz z Maquinem, Alcyonem i Tainem dołączył do grupy zwiadowczej, którą dowodził Tahir. Leżeli teraz wszyscy w szeregu i spoglądali spomiędzy zarośli na równinę, otaczającą fortecę, jej wyniosłe mury, wysokie wieże i wyrastające w samym sercu gigantyczne drzewo o poskręcanych konarach.

Nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałem, pomyślał Veradis.

Był wczesny poranek, a słońce nadal miało długą drogę w stronę zenitu.

– Pomagałeś w budowie tej fortecy? – szepnął Tain do ojca.

– Nie, mój synu! – Alcyon zachichotał. – Urodziłem się jakieś tysiąc lat później.

Umilkli, gdy nad szerokimi bramami Drassil pojawiły się jakieś postacie. Potężny głos wzywał Corbana, by przybył na ratunek swym poddanym. Veradis poczuł, jak krew w jego żyłach zamienia się w lód, a ten natychmiast topnieje w ogniu rodzącej się wściekłości.

– Oto Calidus! – oznajmił. Wyczuł, że leżący obok niego Alcyon napiął mięśnie, a jego syn odwrócił wzrok.

Chwilę później po równinie poniosły się przeraźliwe wrzaski.

– Co tam się dzieje? – spytał Veradis.

– Właśnie skazali jakiegoś więźnia na śmierć – rzekł ponuro Tahir.

– Codziennie ma miejsce taki sam spektakl. Calidus wyzywa Corbana, a gdy ten się nie zjawia, ktoś umiera. Gdyby tu był, z pewnością wyszedłby do walki.

– Calidusa ciężko zabić – stwierdził Veradis, a Alcyon potwierdził głuchym mruknięciem.

– Sumur też uchodził za niepokonanego, a mimo to Corban ściął mu głowę pod tą właśnie bramą, między dwoma armiami. Wierz mi, że było na co popatrzeć.

Veradis poczuł, jak jego szacunek do Corbana rośnie niepomiaralnie. Tymczasem wrzaski stawały się coraz bardziej przeraźliwe i coraz trudniejsze do zniesienia. Przemawiał przez nie niewyobrażalny ból i równie wielkie przerażenie. Młody wojownik zaczął się modlić w myślach, by tortura wreszcie dobiegła końca. Pomyślał o Cywen – swego czasu żywił nadzieję, że udało się jej przeżyć najazd na twierdzę, ale teraz zaczął się martwić, czy to nie ona tak wrzeszczała.

Jak Nathair może znieść coś takiego?, zastanawiał się. Jak on może stać i biernie się temu przyglądać?

– A więc Calidus ma więźniów. Jeńców zgarniętych po bitwie.

– Tak – odparł Tahir. – Codziennie skazuje kolejnego na śmierć.

– Musiał ich więc zgromadzić spory tłum.

– To prawda. Pierwszego dnia po bitwie wypuścił jednego z nich wolno, kobietę Jehar o imieniu Ilta. Twierdzi, że Calidus trzyma w niewoli całe setki ludzi.

Setki...

– Musimy ich wydostać! – oznajmił Veradis.

– Z chęcią – mruknął Tahir. – Ale byłbym wdzięczny za podsuniecie sposobu.

– Cóż, zastanówmy się nad tym. Co dwie głowy to nie jedna.

– O, moja matka też tak mówiła.

Zacząli się powoli odczołgiwać w głąb lasu, gdy wrota Drassil zaskrzypiały i zaczęły się rozwierać. Z zalanej cieniami bramy wyłonił się potworny kształt, szeroki i przysadzisty. Ujrzeni zagięte nogi, szpony niczym zakrzywione sztylety oraz szeroki, gadzi łeb. Na jego grzbiecie siedział dumnie wyprostowany, wysoki mężczyzna z czarnymi włosami. Miał na sobie wypolerowany pancerz z ciemnej skóry, na którym widniał biały orzeł. Poły sobolowego futra unosiły się na wietrze.

– Nathair – szepnął Veradis.

Pozostali milczeli, zastygli w bezruchu.

Draig kroczył przed siebie. Gadzi łeb przesuwał się to w jedną, to w drugą stronę, a ogon pozostawał w ciągłym ruchu. Za nim maszerował oddział wojska. Widzieli szeregi mężczyzn z długimi tarczami i srebrnymi hełmami, którzy z idealną precyzją zawrócili na południe i podążyli za królem.

Kły Draiga Nathaira, pomyślał Veradis. Moi ludzie.

– Przypominają mi ciebie – rzucił Tahir do towarzysza, spoglądając na jego napierśnik z białym orłem. Hufiec z Ripy nosił srebro i czerń Tenebralu, ale na piersiach, zamiast orła, mieli wieżę Ripy.

– Nie tak dawno temu stałem na ich czele. Byli moimi ludźmi – rzekł Veradis.

– Jesteś pewien, po czyjej stronie stoisz teraz? – spytał Tahir.

Szczery człowiek. Mówi to, co mu leży na sercu, przemknęło Veradisowi przez myśl.

– Och, tak – potwierdził ponuro. – Oni walczą dla Asrotha, choć wielu z nich zapewne nie zdaje sobie z tego sprawy. Ja już nigdy nie wejść na tę ścieżkę. Nie zmusi mnie do tego ani przysięga, ani miłość, ani nawet lojalność wobec przyjaciela.

Rozdział czterdziesty trzeci

CAMLIN

Porwany nurtem rzeki Camlin parsknął, a olbrzymka, która płynęła obok niego, złapała go za włosy i wepchnęła mu głowę pod powierzchnię. Szarpał się i miotał. Płuca mu płonęły, a gdy przez przypadek wciągnął łyk wody, ogarnęła go panika. Wyszarpnął się olbrzymce, wynurzył głowę nad powierzchnię wody i rozpaczliwie nabrał tchu.

Przynajmniej prąd znosi mnie we właściwym kierunku, ku Edanie i reszcie hufca, pomyślał. Może mimo wszystko zdołam ujść z życiem.

– Mam cię! – usłyszał warknięcie tuż przy uchu. Ogromna łapa zacisnęła się na jego ramieniu.

Próbował kopnąć ją pod wodą, ale ramię olbrzymki okazało się dłuższe od jego nogi, a poza tym woda stawiała opór i raczej nie wierzył w to, że udałoby mu się kopnąć ją wystarczająco mocno.

Prąd wyniósł ich na otwartą przestrzeń, gdzie nagle opromienił ich księżyc. Camlin spojrzał w małe oczy olbrzymki, przepełnione żądzą mordy.

Nagle olbrzymka uderzyła w podtopione drzewo z takim impetem, iż rozległ się głośny trzask pękającej gałęzi. Uścisk ogromnej dłoni na ramieniu tropiciela znikł, gdy olbrzymkę porwał wir.

Nie żyje?, pomyślał Camlin.

Pochwycił złamaną gałąź, dzięki czemu utrzymywanie się na powierzchni naraz stało się łatwiejsze. Olbrzymka znów zjawiała się

w polu widzenia, gdy prąd pchnął ją ku Camlinowi. Na jej czole widniała ciemna rana, a w oczach pojawiła się mgła. Z rozchylonych ust wyrwał się jęk.

I wtedy zaczęła tonąć.

Z niejasnych dla siebie powodów Camlin niespodziewanie ruszył ku tonącej. Podpłynął do niej i pochwycił jej ogromne ciało, próbując je utrzymać nad powierzchnią wody. Opierając się o ułamaną gałąź, unoszącą się na rzece, dźwignął olbrzymkę nieco wyżej, by oddalić ryzyko utonięcia.

Coś ciemnego przesłoniło na moment blask księżyca. Rozległ się cichy świst powietrza i nad głową płynącego tropiciela przemknął Craf.

Jestem dłużnikiem tego ptaszyska, pomyślał Camlin.

Potem rozległ się rytmiczny plusk. Meg wiosłowała zawzięcie w małym czólnie, które wspólnie robili przez kilka dni, tak drobnym, że ledwie mieściło ciało dziewczynki.

– Co ty wyprawiasz? – zapytała, zrównawszy się z płynącym.

– Próbuję się nie utopić! – parsknął Camlin.

– No to po co ci ta olbrzymka? – ciągnęła mała.

Dobre pytanie...

– Jakoś tak przyszło mi do głowy, że dobrze byłoby ją ocalić.

– I jak ci idzie? – Meg uniosła brew.

– Średnio – przyznał. – Ciężka się robi.

– No to ją puść!

Nie, chyba nie, pomyślał Camlin. Ta olbrzymka wyszła z namiotu Rhin! Może wiedzieć co nieco o tym, co tam się działo!

– Wiosłuj naprzód! Powiedz Halionowi, że złapałem sporą rybę! – burknął i wypluł nieco wody.

* * *

– Czyżbym widział szczura rzecznego! – zawołał ktoś.

To Baird, uświadomił sobie Camlin. Dzięki niech będą Elyonowi, bo miałem już dość tej rzeki.

Ruszył naprzód, młóćąc wodę wolną ręką, aż poczuł hak, który złapał go za kaftan. Chwilę później został bezceremonialnie powleczony w kierunku brzegu.

– Witaj z powrotem wśród nas – odezwał się Halion, wciągnąwszy Camlina na suchy ląd.

– Teraz to bardziej przypominasz rzecznego szczura niż Meg – powiedział stojący za nim Baird. – Co ty nam właściwie przywlokłeś?

– Meg co prawda ostrzegła, że złapałeś olbrzymkę – dodał Halion. – Ale miałem spore problemy, by w to uwierzyć.

– A moglibyście w międzyczasie mi pomóc? – warknął Camlin, próbując wciągnąć nieprzytomną olbrzymkę na brzeg.

Rozległ się plusk, gdy kilka osób wskoczyło na płyciznę, by przyjść tropicielowi z pomocą. Do Haliona i Bairda dołączył Lorcan oraz jego przyboczny Brogan. Baird sprawnie obszukał ciało olbrzymki, wyjął jej noże zza pasa oraz jeszcze jeden, długi jak miecz, który był przytroczony do pleców. Jedna z pochew była pusta.

Nóż został na polanie, pomyślał Camlin, a głośno dodał:

– Lepiej szybko ją skrepujcie. Jest silna jak wół.

– Niezłą niespodziankę nam sprawiłeś – rzekł Baird.

– Mam nadzieję, że odpowie Edanie na kilka pytań – oznajmił Camlin. Dobrze wiedział o nienawiści, którą jednooki weteran żywił do olbrzymów.

– W porządku – odparł tamten. – To twoja rybka, a więc ty ją będziesz patroszyć, ale szczerze powiedziawszy, nie sędzę, by udało ci się wyciągnąć z niej coś oprócz kłamstw.

Odchrząknął i splunął do rzeki, po czym, nie zwracając sobie głowy delikatnością, przystąpił do wiązania nadgarstków olbrzymki grubą liną.

– Jest cięższa od mojej matki, gdy wypila beczkę miodu – burknął Brogan Bezkarki, gdy powlekli olbrzymkę na brzeg, przeklinając i chlapiąc naokoło wodą.

Pochwycona zaczęła odzyskiwać przytomność, gdy mężczyźni wiazali ją do drzewa. Najpierw gwałtownie drgnęła, a potem poruszyła się parokrotnie niemrawo, najwyraźniej cierpiąc z powodu rany głowy.

– Tylko spokojnie, dziewczę – oznajmił Brogan. – Siedź nieruchomo albo zrobisz sobie krzywdę.

– Dziewczę! – parsknął Baird. – Prędzej wydrze ci wciąż bijące serce z piersi i je pożre, niż się do ciebie odezwie. To potwór!

– Mnie bardziej przypomina kobietę – oznajmił Brogan. – Całkiem sporą, przyznaję, ale moja ciotka Berit też do małych nie należy.

Baird pokręcił głową z niesmakiem.

* * *

Słońce wstawało, gdy Camlin spotkał się wreszcie z Edaną. Czuł się już nieco lepiej, bo wysuszył się i nałożył na siebie świeże ubranie, ale ciało nadal miał obolałe i poznaczone siniakami po starciu na polanie. Utykał, a do tego dokuczała mu świadomość, że stracił łuk, a pochwa jego miecza była pusta.

Co ze mnie za dowódca?, myślał. Organizuję zasadzkę, a potem daję się pobić olbrzymce do spółki z jakimś zasmarkanym tropicielem i gubię całą broń.

Pocieszało go to, że wszyscy członkowie jego zespołu powrócili szczęśliwie do obozu, a hufiec Rhin mocno oberwał. Większość wozów stanęła w ogniu. Spłonęły też namioty, uciekła większość koni, a do tego kilkunastu wrogów oddało życie.

Edana siedziała na kłodzie i zajadała gorącą owsiankę z miski. Obok niej przy ognisku kuczał Vonn, zajęty grzebaniem w żarze i popiołach. Powitał Camlina skinieniem głowy.

– Usiądź – powiedziała królowa i podmuchała owsiankę. – I zjedz coś. Wyglądasz, jakbyś miał zaraz opaść z sił.

Camlinowi zaburczało w brzuchu. Usiadł na kłodzie obok Edany i z wielką ochotą nałożył sobie porcję owsianki, choć gardło bolało go przy każdym przełkniętym kęsie. Przypomniało mu to o Rafe'ie, który próbował go udusić.

– Dobra robota! – powiedziała Edana. – Wszystko wskazuje na to, że misja została zakończona powodzeniem, a co najważniejsze, wszyscy wrócili cali i zdrowi. Łącznie z tobą!

Spojrzała na niego znacząco i uśmiechnęła się.

Czasami człowiek po prostu ma szczęście, pomyślał Camlin.

– Gdzie twój łuk? – spytała królowa.

– Zgubiłem go – odparł ponuro.

– Nie wyglądasz bez niego dobrze – stwierdziła.

A czuję się jeszcze gorzej, dodał w myślach.

– Ponoć przyprowadziłeś mi więźnia?

– Tak – odparł i między jednym kęsem a drugim opowiedział Edanie o zasadzce. – Widziałem Rhin i puściłem w nią strzałę, ale zamiast tego trafiłem jakiegoś olbrzymia.

– Szkoda – rzekł Vonn.

– Tak, wielka szkoda – stwierdził Camlin i podjął opowieść, a gdy był blisko końca, nad jego głową rozległo się trzepotanie skrzydeł. Wylądował Craf.

– Patrzcie, co Craf znalazł! – zaskrzeczał kruk.

Na kolana Camlina spadł jego łuk. Był podrapany, a cięciwa prezentowała się fatalnie, ale po pobieżnych oględzinach Camlin nie miał wątpliwości, że szybko przywróci go do użytku. Uśmiechnął się do Crafa, który podskakiwał, bardzo z siebie zadowolony.

– Zaczynam dochodzić do wniosku, iż naprawdę zacne z ciebie ptaszysko – stwierdził tropiciel.

– Camlin uratował Crafa przed złym człowiekiem – mruknął ptak.

– Chodzi o Rafe’a – objaśnił Camlin. – Próbował skrócić mu kark.

– Łajdak – burknął Craf.

– Rafe? – zdziwiła się Edana. – Ciągłe do nas powraca.

Niczym złośliwa klątwa, pomyślał Camlin.

– Tak. Jeśli chcecie znać moje zdanie, żałuję, że ten drań ciągle dycha – rzekł na głos i spojrzał wymownie na Vonna, który udawał, że tego nie widzi. – O mały włos by mnie zabił – dodał, masując się po szyi. – On się zmienił. Nie wiem jak, ale nie jest taki jak kiedyś.

– Bo napił się z kielicha z gwiazdnego kamienia – stwierdził Craf.

Wszyscy spojrzeli na kruka.

– Craf wszystko usłyszał – ciągnął ptak. – Rafe znalazł puchar i napił się z niego. Rhin, olbrzymy, wszyscy chcą teraz się napić. Puchar daje siłę. Szybkość. Długie życie.

Zgromadzeni wpatrywali się w ptaka bez słowa.

– Rhin powiedziała Calidusowi. Calidus to zły człowiek. Bardzo zły. – Kruk zatrzęsł się od szponów aż po dziób, mierzwiąc pióra.

– Kto to taki? – spytała Edana.

– Kadoshim. Kompan Nathaira. Zabił mamę Corbana.

– Zabił Gwenith? – spytała Edana.

– Craf powiedział, że on zły! Bardzo zły! Kazał Rhin znaleźć naszyjnik i wrócić do Drassil! – krakał Craf, podskakując. – Craf mówił i mówił! Wojna Bogów! Siedem Skarbów! Niebezpieczeństwo!

– Widzicie już? – syknął Vonn. – Czaimy się po lasach, a tymczasem świat się kończy. Ta wojna jest o wiele większa, niż wam się wydaje!

– Craf ciągle wam mówił! – darł się ptak. – Nikt nie słucha Crafa! Zapytajcie olbrzymki Camlina! Była tam.

– Dobry pomysł – stwierdziła Edana.

* * *

Baird chlusnął pojmanej wiadrem wody w twarz, na co ta natychmiast poderwała głowę i otworzyła oczy.

– Chyba przyciągnęliśmy jej uwagę. – Wojownik zwrócił się do królowej.

Na czole olbrzymki widniała wielka, paskudna rana, a ściekająca krew zaschła na całym jej obliczu, pokrytym sińcami i skaleczeniami. Olbrzymka zmrużyła małe, czarne oczy, mierząc ich wszystkich spojrzeniem, które w końcu skupiła na Edanie.

– Jestem Edana ap Brenin, królowa Ardanu – powiedziała dziewczyna. – A kim ty jesteś?

– *Téigh go dtí ifreann* – odparła olbrzymka. Uniosła się wyżej na pniu, do którego ją przywiązano, wyprostowała się i zadarła buntowniczo głowę.

Craf wylądował na gałęzi nad głową Edany.

– Trochę grzeczniej, proszę – zakrakał.

A więc Craf zna ich mowę, uświadomił sobie Camlin.

Olbrzymka spojrzała na ptaka. Zmarszczyła czoło i zmrużyła oczy.
– Fech? – zapytała. Opór na jej twarzy zastąpiła zgroza.

Fech? Pamiętam tego ptaka, pomyślał Camlin. To kruk, którego Edana pielęgnowała w Domhainie, a potem wysłała na północ do Corbana z wiadomością. Craf mówił, że Fech do nich dotarł, ale został później zabity.

– Tak, to Fech – powiedziała Edana, a Craf sfrunął i usiadł na ramieniu Edany.

– Tak, ja Fech – rzekł. – Mów grzecznie.

Olbrzymka wpatrywała się w niego. Zamrużyła, by strącić kroplę krwi z powieki.

– *Ní féidir liom a thuiscint* – szepnęła.

– We wspólnej mowie – zażądał Craf.

– Nic nie rozumiem – wyjąkała olbrzymka, która nagle wydała się przestraszona.

Być może Fech miał jakiś wpływ na olbrzymy Benothi, pomyślał Camlin. Był w końcu posłańcem Nemain, ich królowej.

– Zdradziłaś Nemain – oznajmił Craf.

Olbrzymka cofnęła się niczym uderzona.

Oj, ptak chyba wpadł na ten sam pomysł, pomyślał Camlin. I celnie ją ugodził.

– Ja... Nemain dokonała złego wyboru...

Craf zatrzepotał skrzydłami i zakrakał.

– Nemain była dobra! Zamordowaliście Nemain!

– Nie, ona spadła! Uthas mówił, że spadła!

– Została zepchnięta – parsknął Craf.

Świetnie udaje Fecha. Cieszę się, że pamięta to wszystko.

– Nie... – szepnęła olbrzymka. – A więc kto... – Urwała. – Uthas?

– Uthas! Uthas! Uthas! – zakrakał Craf. – Zły olbrzym!

– Ja... Fech? – Pojmana spojrzała na Crafa, a w jej spojrzeniu pojawiło się błaganie.

– Uthas morderca – burknął Craf.

– Co robiliście zeszłej nocy w namiocie Rhin? – zapytała Edana.

Olbrzymka odwróciła wzrok i zacisnęła mocno usta.

– Powiedz jej! Powiedz! – zakrakał Craf. – Powiedz jej o pucharze!

– A po co? – szepnęła olbrzymka, wpatrzona w ziemię. – Po co miałabym to robić?

– By naprawić swe winy – oznajmił Crafa. – Dla Nemain.

Olbrzymka spojrzała na Crafa. Wyprostowała się, zadarła głowę, a po jej płaskiej twarzy przemknęły kolejno emocje – duma, lojalność, poczucie zdrady, rozpacz. Nie minęła chwila, gdy znów opadła i pochyliła głowę.

– Rhin skontaktowała się z Calidusem w Drassil. Sięgnęła po prastare zaklęcie krwi i kości i opowiedziała mu o tym, że mamy puchar z gwiazdznego kamienia – szepnęła.

– Więcej! – wrzasnął Crafa. – Opowiedz o wszystkim.

Olbrzymka westchnęła.

– Calidus kazał Rhin zebrać hufce, odnaleźć naszyjnik w Dun Carreg i ruszyć do Drassil.

Zapadła cisza, przerywana jedynie cichym szumem rzeki i świstem wiatru wśród gałęzi.

– A nie mówiłem? – szepnął Vonn.

Rozdział czterdziesty czwarty

UTHAS

Uthas szedł po kamiennym moście, ciągnącym się między Dun Carreg a stałym lądem. Morski wiatr szarpał jego płaszczem. Spojrzał na Rhin, która jechała za nim na rumaku bojowym. Osłaniał ją Salach, a za królową ciągnęła się długa kolumna jej udręczonego hufca, a raczej tego, co z niego pozostało. Większość wozów z zaopatrzeniem spłonęła, co oznaczało, że przynajmniej mogli zwiększyć tempo podróży. Szyk zamykał hufiec Benothi – pięćdziesiąt olbrzymów w kolczugach i skórzanych pancerzach.

Też mi hufiec, pomyślał Uthas. Raczej to, co z nas zostało.

Morze na północnym zachodzie migotało w promieniach zachodzącego słońca, a na północnym wschodzie Uthas widział chmary pyłu, wzniecone przez posłańców Rhin, pędzących po trakcie olbrzymów z wieściami dla Gerainta. Wojewoda Cambrenu miał zacząć zbierać armię zachodu.

Nadszedł już czas, pomyślał Uthas. Wojna Bogów dobiega końca i nadchodzi ostateczna bitwa, która zadecyduje o losach tych ziem i wszystkich, którzy tu mieszkają. A co więcej, mamy kielich. I być może naszyjnik.

Nie umiał powstrzymać uśmiechu, gdy przechodził pod Kamienną Bramą na dziedziniec Dun Carreg. Przed sobą widział Rafe'a z samotnym ogarem. Pochmurny młodzieniec szedł ze spuszczoną głową, ale nawet z tej odległości Uthas widział długie, czerwone szramy na jego twarzy, pozostawione przez ptasie szpony. Na jednym ramieniu miał bandaż z czerwoną plamą.

Rana po strzale, pomyślał Uthas. Grot wszedł głęboko w mięśnie ramienia, ale nie wygląda na to, by sprawiało mu to wielki problem. Kolejny dowód na to, że napił się z kielicha.

Przyśpieszył kroku i zrównał się z Rafe'em. Za nim na bruku zadudniły końskie kopyta. Rhin podjeżdżała do nich.

– Zaprowadź nas do wieży Evnisa – zwróciła się do Rafe'a, który skinął jej z kwaśną miną i ruszył przodem.

Rozpacza, bo zeszłej nocy stracił psa, pomyślał Uthas. Ja straciłem Eisę.

Razem z Rhin i Salachem szli ulicami Dun Carreg, a za nimi podążała gwardia honorowa królowej, licząca dwudziestu zbrojnych. Próżno było wypatrywać tłumów – nikt nie wyszedł na powitanie władczyni, choć Uthas dostrzegł wielu wojowników rozstawionych w różnych punktach twierdzy.

Rafe pchnął wrota. Zazgrzytały zardzewiałe zawiasy i wszyscy weszli na niewielki dziedziniec u stóp opuszczonej wieży, masywnej i przysadzistej, liczącej sobie najwyżej sześć czy siedem pięter. Wzdłuż ściany ciągnął się szereg psich bud. Pies Rafe'a podbiegł, by je obwąchać, ale one również okazały się puste. Za wieżą wznosił się mur twierdzy, przy którym ona sama wydawała się niewielka. Uthas dostrzegł schody, pnące się ku koronie muru, zza którego dobiegał szum fal, uderzających o klif.

– Jesteśmy na miejscu. – Rafe wskazał stopnie prowadzące do szerokich drzwi wieży.

– Zaprowadź nas do komnaty Evnisa – poleciała Rhin, zsiadając z konia.

Wejście obrosło gęstymi pajęczynami, które rozciągały się i wreszcie pękały pod naporem ciała Rafe'a. Cała czwórka znalazła się w szerokiej sieni i ruszyła po spiralnych schodach w górę, zostawiając ślady na zakurzonych stopniach. Na samej górze znajdowało się półpiętro, a tam niewielkie drzwi, prowadzące do mrocznej, ubogo wyposażonej komnaty. Na jej umeblowanie składały się łóżko, stół i krzesło. Na ścianach wisiały gobeliny.

– To była komnata Evnisa. – Rafe wzruszył ramionami.

– Znajdźcie naszyjnik! – przykazała im Rhin.

Uthas i Salach przystąpili do przeszukiwania pomieszczenia. Salach odsuwał meble od ścian, a Uthas wodził palcami po zimnym kamieniu, aż natrafił na niewielkie wgłębienie w ścianie i długą rysę, która wyglądała jak pęknięcie. Obadał je uważnie, po czym naparł mocno. Ze środka buchnęło stęchłe powietrze, rozległo się szczęknięcie i pojawił się obrys drzwi. Rhin zaklaskała i roześmiała się, a Uthas otworzył drzwi. Okazało się, że prowadzą do malutkiej komnaty. Stał tam stół z krzesłem, a na ścianie widniał uchwyt na pochodnię. Na stole stał kosz, na tyle wielki, że można by w nim ukryć księgę. Uthas podszedł bliżej i od razu poczuł bijącą ze środka moc.

Zajrzał do kosza.

Księgi nie ujrzał.

Leżał tam natomiast naszyjnik.

* * *

Uthas siedział przy stole w jednej z komnat zamkowych. Towarzyszyli mu Rhin oraz Salach, a przy otwartym oknie stał Rafe i wpatrywał się w mrok nocy.

Obok dzbana z winem oraz kubków królowa Cambrenu rozstawiła swe napawające przerażeniem instrumenty magiczne. W żelaznej misie trzaskał ogień, a zerwana skóra twarzy już została rozwieszona na drewnianej ramie.

Obok nich leżały dwa inne przedmioty, które co rusz przyciągały uwagę Uthasa. Jednym był naszyjnik: ciemny kamień wielkości jaja, owinięty srebrnym drutem i oprawiony w srebrny łańcuch, a drugim kielich, większy od pozostałych, ale niczym się nie wyróżniający.

Kielich z gwiazdnego kamienia.

Uthas spoglądał na niego pożądliwie. Oderwał wzrok dopiero, gdy ujrzał jakiś ruch. Rhin otworzyła fioletową fiołkę i wylała kropelki krwi na płomień. Te zasyczały, buchając jasnym ogniem, a potem rozległ się oschły głos królowej:

– *Thoghairm mé leat anois, Conall, slayer agus bhfeallaire ghaoil, tríd an flesh agus fola ar mo namhaid* – powtarzała, aż jej słowa całkowicie wypełniły umysł Uthasa. Nie widział niczego poza skórą i płomieniami, nie słyszał niczego poza jej mrocznymi słowami.

W istocie to mroczne słowa, pomyślał. Morderca i zdrajca własnej rodziny...

Skóra na ramie zafalowała, a potem rozciągnęła się, formując parodiujące życie rysy twarzy. Spomiędzy wyschniętych ust wypadł świszczący oddech, przywodzący na myśl trzask płomieni lub szelest zakurzonego pergaminu.

– Na kły Asrotha, Rhin, ależ ja tego nie lubię – rozległ się podszyty strachem głos.

– Nie musisz tego lubić – odparła królowa. Blask płomieni padał na jej wynędzniałą twarz, poznaczoną głębokimi zmarszczkami, zalaną plamami cieni.

– Tak, tak... Ale dziwne to uczucie. Jakby na twarzy zaciskała mi się dłoń z zimnymi palcami.

– Posłuchaj mnie lepiej – odezwała się Rhin rozkazującym tonem. – Zbierz swój hufiec. Nie mam na myśli gwardii honorowej czy kilku setek ludzi, których akurat znajdziesz w pobliżu. Ściągnij wszystkie siły Domhainu i poprowadź je do Dun Carreg.

– Co? Ale...

– Rób to, co ci mówię – syknęła Rhin. – I to szybko, albo będę musiała znaleźć sobie nowego regenta Domhainu.

– Dobrze, dobrze, nie musisz się unosić – odparł Conall. – Zrobię, co mi każesz. Nie zapomniałem, kto mnie wyniósł do tej godności. Chciałem tylko dać do zrozumienia, że nie jest to łatwe zadanie i tyle.

– Gdyby było łatwe, każdy mógłby je wypełnić – odparła Rhin. – Masz się tu stawić w ciągu jednego księżycy.

– Będę na czas – rzekł Conall.

Nie sądzę, żeby naprawdę chciał to powiedzieć, pomyślał Uthas.

– Dobrze. Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć. Do zobaczenia za jeden księżyc. Aha, Conall?

– Tak?

– Naostrz miecz.

Rhin odchyliła się na krześle, przerwała połączenie i uniosła kielich. Trzymając go niepewną ręką, upiła kilka sporych łyków, a kiedy już doszła do siebie, rozwinęła rulon pergaminu, obciążyła jego rogi, zanurzyła pióro w kałamarzu i zaczęła pisać. Zakończywszy list, nabrała szczyptę proszku i posypała nim napisane zdania. Potem skinęła na Rafe'a.

– Przekażesz to Morcantowi – rzekła. – Koniec rozbijania się po Ardanie. Ma się tu stawić. Wobec tego, co się teraz dzieje, Edana to doprawdy mały problem. Zanieś mu ten list i sprowadź go tu.

– W porządku – burknął Rafe.

Rhin poruszyła się na krześle i spojrzała na niego krzywo.

– Moja pani – dodał Rafe.

Królowa obdarzyła go zimnym uśmiechem i musnęła palcem jego twarz. Jej długi paznokieć obwiódł szramę po pazurze, ciągnącą się od skroni aż po podbródek.

– Masz wielki potencjał, mój młody tropicielu – oznajmiła. – Czekają cię wspaniałe sukcesy, a ja pomogę ci je osiągnąć, w miarę jak ty będziesz pomagał mnie.

– Tak, moja pani. – Rafe przełknął ślinę.

– Ruszaj już! – powiedziała Rhin, a Rafe wyszedł pośpiesznie z komnaty.

Królowa włożyła swoje magiczne pomoce do kufra, a po nich naszyjnik z gwiazdnego kamienia. Zatrzasnęła wieko i przekręciła klucz w zamku. Na stole pozostał jedynie puchar z gwiazdnego kamienia, stojący obok dzbanka.

– Cóż, ten moment wreszcie nadszedł – oznajmiła Rhin i spojrzała na Uthasa. – Chwila, na którą oboje czekaliśmy. Pora się napić.

– I słusznie – zgodził się Uthas, zaskoczony drzeniem we własnym głosie.

Królowa naląła sobie wina do kielicha, a potem ujęła Uthasa za rękę i poprowadziła go ku wewnętrznym drzwiom, za którymi stało szerokie łóżko.

– Przez jakiś czas nie będziemy w stanie się podnieść – oznajmiła. – Pozostaniemy więc tu, pod strażą naszych przybocznych. A kiedy

się przebudzimy...

Uśmiechnęła się sennie do Uthasa, wprowadzając go do komnaty, a potem zamknęła drzwi.

Usiadła na łóżku, uniosła kielich do ust i pociągnęła kilka długich łyków. Uśmiechnęła się ponownie i podała puchar olbrzymowi. Gdy ten zaczął pić, królowa naraz otworzyła szeroko oczy, a z jej ust wyrwał się jęk ekstazy. Kropelki wina na jej ustach były czarne niczym krew.

Uthas dobrze pamiętał, z czym się wiąże picie z pucharu. Przygotował się na ekstazę i cierpienie.

Pił chciwie i błyskawicznie opróżnił kielich. Poczul, jak wino trafia do żołądka, a po całym ciele rozchodzi się ciepło, które wnika do jego żył i płynie dalej. Rozkosz przybierała na sile z każdą chwilą. Rhin opadła na łóżko i wiła się z uśmiechem rozanielenia. Jej dłonie zaciskały się na wełnianej pościeli. Uthas miał wrażenie, że jego ciało zamieniło się w płynne złoto, gorące, topniejące. Nie był już w stanie wytrzymać w pozycji siedzącej. Jęknął z rozkoszy i się roześmiał.

Chwilę później Rhin zaczęła wrzeszczeć.

Rozdział czterdziesty piąty

HAELAN

Trwała ciemna noc. Haelan przemykał od jednej plamy cienia do drugiej. Garnek biegł przed nim, a za sobą chłopak słyszał Cywen i Buddaia.

Dziewczyna miała dla nich wieści, a więc wspólnie wracali do nory Haelana. Od czasu pierwszego spotkania z Cywen chłopiec częściej wychodził z Garnkiem na nocne poszukiwanie jedzenia i zapasów.

Zmieniłem się od chwili, gdy Buddai się zerwał i zaprowadził mnie do Cywen, pomyślał. Nie czuję już tak wielkiego strachu.

Cieszył się, że wreszcie był przy nim jakiś dorosły, ktoś, kto mógł podejmować decyzje i brać na siebie odpowiedzialność. Lęk towarzyszył chłopcu na co dzień od tak dawna. Swain był starszy od niego i było go stać na o wiele więcej, ale mimo to Haelan miał wrażenie, że ostateczne decyzje dotyczące życia w ich podziemnej kryjówce spadały na niego. Kiedyś bardzo by się z tego cieszył, zwłaszcza w czasach, gdy bez przerwy musiał wypełniać polecenia Tahira, ale teraz, gdy posmakował niezależności, nie miał już na nią większej ochoty.

Wolność i niezależność nie są takie fajne, jak mówią, myślał.

– Haelan, zatrzymaj się! – syknęła Cywen.

Chłopiec wślizgnął się do wnętrza zacienionej sieni, a dziewczyna stanęła za nim, by złapać tchu. Buddai wpatrywał się w nią, wywaliwszy wielki jęzor.

– Co się dzieje? – szepnął Haelan.

– Wydawało mi się, że coś słyszę – odpowiedziała Cywen. – Za nami.

Haelan wbił wzrok w ulicę czarną jak węgiel. Jedynym źródłem światła był przesłaniany chmurami księżyc oraz gwiazdy, równie blade i odległe jak w domu.

Odczekał tuzin uderzeń serca, potem pięćdziesiąt i sto.

– Nie słyszę... – zaczął, ale przerwało mu warknięcie Garnka. Po chwili dołączył do niego Buddai.

To kiepski znak, przemknęło Haelanowi przez myśl.

Wymienił się spojrzeniami z Cywen, która wydawała się równie przerażona jak on. Oboje puścili się biegiem w dół ulicy, a psy popędziły za nimi.

Kto to? Jakiś przypadkowy patrol czy może ktoś nas śledzi? Może pijany Vin Thalun, który wybrał złą drogę i się zgubił?

Tak czy owak, Cywen i Haelan nie mogli sobie pozwolić na to, by ktoś ich widział. Chłopak dobywał wszystkich sił, a mocno bijące serce podchodziło mu do gardła. Co chwila skręcał i zagłębiał się w boczne uliczki, które prowadziły w głąb forticy.

Po chwili gnali już po nierównych płytach ich dziedzińca. Garnek wskoczył w ciemną dziurę między korzeniami dębu, jakby był to wyścig, który szczurołap uparł się wygrać. Haelan wtoczył się w ciemność za nim, kolejna wpadła Cywen, a potem oboje się odtoczyli, by uniknąć przygniecenia przez ogromnego Buddaia.

Haelan ruszył już krętym korytarzem, ale dziewczyna złapała go za ramię.

– Poczekaj – syknęła. – Musimy wiedzieć, kto to jest.

Pojął wagę jej słów. W ciszy zajęli miejsca przy wejściu. Buddai przypadł do Cywen, a Garnek do Haelana. Czekali wśród mroku.

Czas płynął powoli, odmierzany uderzeniami serca Haelana i sapaniem Garnka. Oczy chłopca dobrze dostosowały się do ciemności, choć smród dobiegający z sąsiedniego tunelu przeszkadzał mu coraz bardziej, aż stał się nie do wytrzymania.

Wtem usłyszał jakiś odgłos, który dobiegał zza wejścia, przypominającego teraz jedynie szarą plamę w ciemności tunelu. Przemknęła tam jakaś postać, która przesłoniła blask księżyca.

Ukucnęła, zaczęła węszyć, aż wreszcie wsunęła do tunelu głowę. Dłoń Cywen wystrzeliła naprzód. Pochwyciła przybysza i wspólnie stoczyli się w głąb dziury. Buddai warknął i doskoczył bliżej. Warczenie narastało, aż wreszcie pies kłapnął zębami. Rozległo się stłumione jęknięcie, a po nim przekleństwo.

– Nie, nie, przestań! Haelan, pomóż mi! – rozległ się paniczny okrzyk. Nie należał do Cywen.

Ja znam ten głos, pomyślał Haelan.

Wszyscy zamarli. Do środka tunelu wpadł blask księżyca i twarz nieznajomej osoby nagle stała się widoczna.

Trigg!

Haelan roześmiał się i zarzucił jej rękę na szyję.

* * *

– Witaj w naszym domu! – powiedział, stojąc na środku kryjówki, otoczony szczeniętami. Swain i Sif znajdowali się za nim.

Nadal nie mógł się nacieszyć widokiem półolbrzymki. W osadzie Gramma połączyła ich niesprecyzowana, krucha przyjaźń, a potem Trigg pomogła mu uciec przez szukającymi go ludźmi Jaela. Z wielkim wstydem musiał przyznać, że od czasu ucieczki z niewoli nie pomyślał o niej ani razu, ale teraz cieszył się na widok znajomej twarzy, która przypominała mu o innych, lepszych czasach.

– Spójrzcie, kto przyszedł – zwrócił się do Swaina i Sif, gdy Trigg wpadła do niewielkiej komory i niezgrabnie przewróciła się na ziemię.

Gdy wstała i pokazała twarz, w oczach skonfundowanego Swaina pojawił się najpierw przestach, a potem wściekłość.

– To ta zdrajczyni! – warknął i sięgnął po nóż za pasem.

Haelan skoczył, by go zatrzymać.

– Hej, co tu się dzieje? O co wam chodzi? – spytała zaskoczona Cywen.

– Podczas ataku na osadę to półkrwi plugastwo zdradziło cię, Haelan! – zawołał Swain. – To ona cię wydała ludziom Jaela.

Powiedziała im, że chowasz się w piwnicy!

– Ale przecież to nie ma sensu! – rzekł Haelan. – To właśnie Trigg wyciągnęła mnie z piwnicy i pomogła mi uciec z osady!

Trigg siedziała w kącie z nogami podciągniętymi do piersi i wyglądała naprawdę żałośnie.

– A więc czemu go zdradziłaś i pokazałaś zgrai Jaela, gdzie on się kryje? – spytał Swain i zmarszczył brwi, wpatrując się w Trigg.

– By przestali torturować twego ojca i Gramma. – Półolbrzymka wzruszyła potężnymi ramionami. – Wiedziałam, że Haelana już tam nie ma, bo go stamtąd wyciągnęłam.

– No to dlaczego później uciekałaś? – spytał Swain spokojniejszym głosem. Jego gniew częściowo ustąpił.

– Bo Wulf chciał mi wypruć flaki! – oznajmiła Trigg jadowitym głosem. – Nie chciał mi uwierzyć, choć próbowałam mu wszystko powiedzieć. Oczywiście nikt nie chciał mnie bronić, bo jestem tylko półkrwi plugastwem. – Spojrzała na podłogę. Jej głos drżał, a w oczach pojawiły się łzy. – Ludzie Wulfa gonili mnie i próbowali zabić. Uciekałam, aż stopy zaczęły mi krwawić. – Pokręciła głową i wykrzywiła usta. – Wszyscy uwierzyliście, że mogłabym was zdradzić. Bez wahania – dodała i wydmuchała nos. – Gramm przyjął mnie pod swój dach! Podarował mi dom! – mówiła teraz głośno, niemalże krzycząc. – Nigdy bym go nie zdradziła!

– Ciszej bądź! – wtrąciła Cywen. – Bo ściągniesz na nas Kadoshim.

– Dlaczego nie próbowałaś mnie znaleźć? – spytał Haelan. Wina, która wzbierała właśnie w jego sercu, sprawiła, że przybrał obronną pozycję. – Przecież właśnie się nam ujawniłaś! Przemówiłbym w twoim imieniu! Wyjaśniłbym Wulfowi, co dla mnie zrobiłaś!

Ani razu o niej nie pomyślałam po ucieczce, pomyślał.

– Próbowałam – odezwała się ciszej Trigg. – Udałam się za tobą do Fornu i próbowałam się zbliżyć, ale wszędzie czuwali zwiadowcy. Nieźli byli, zwłaszcza ta rudowłosa dziewczyna...

– Coralen – podpowiedziała Cywen.

– Byli tam też ludzie Wulfa. Wiedziałam, że gdybym się im pokazała, zabiliby mnie, nim udałoby mi się do ciebie zbliżyć –

mówiła, patrząc na Haelana, a w jej oczach czaiło się ukryte oskarżenie.

– Cóż, najważniejsze, że już mnie znalazłaś – odparł Haelan, robiąc wszystko, by w jego głosie zabrzmiała beztroska, której wcale nie czuł. – Gdy znajdziemy Corbana i resztę, wyjaśnię im wszystko. Corbanowi, Wulfowi, każdemu. I wszystko już będzie dobrze.

– Masz na myśli Corbana Jasną Gwiazdę?

– Tak – odparł Haelan.

– To mój brat – dodała Cywen, przyglądając się Trigg zmrużonymi oczami. – Jak się dostałaś do Drassil?

– Podążałam za wami.

– Jesteśmy tu już od ponad sześciu miesięcy – powiedziała dziewczyna. – I żyłaś tu przez cały ten czas? Ukrywałaś się?

– Nie – burknęła Trigg. – Zaszyłam się w Fornie, mając nadzieję, że zdołam ujrzeć Haelana – dodała z twarzą wtuloną w kolana. – Ale nie udało mi się.

– Założę się, że zima była dla ciebie ciężkim przeżyciem – rzekł Haelan. – Tyle tam dzikich stworzeń...

Trigg pokiwała głową z udreką. Haelan poczłapał bliżej i ujął jej dłoń, choć w pierwszej chwili próbowała ją wyrwać.

– Tak mi przykro, Trigg – powiedział. – Prawdę powiedziawszy, zapomniałem o tobie i wstyd mi z tego powodu. Byłem przestraszony, gdy napadnięto na osadę Gramma, ba, przerażony! A tym mi pomogłaś. Wyciągnęłaś mnie z piwnicy. Bez ciebie bym zginął. A potem, gdy Corban przybył nam z pomocą... – Spojrzał na Trigg, a w sercu poczuł falę współczucia. – Nigdy więcej o tobie nie zapomnę.

Trigg uściśnęła jego dłoń. Przez moment spoglądała mu w oczy, aż odwróciła głowę.

– Dużo myślisz o tym Corbanie? – spytała.

– Tak – odparł Haelan. – To nasz przywódca. Odważny człowiek. Ufam mu i udałbym się za nim... Cóż, wszędzie.

Wzruszył ramionami. Trigg wpatrywała się w niego z zadumą.

– Nikt cię nie wytropił w Drassil? – spytała ją Cywen.

– Jestem ostrożna – odparła półolbrzymka.

– Cóż, teraz możesz zatrzymać się z nami – rzekł Haelan. – Nie musisz się obawiać, że ktoś cię złapie. Nikt nas tu nie znajdzie.
Trigg spojrzała na niego spod półprzymkniętych powiek.
– Dziękuję – rzekła.

Rozdział czterdziesty szósty

VERADIS

Veradis siedział przy ogniu i metodycznie zajmował się swoją bronią. W ruch szły osełka, olej i szmatka.

Nathair ma pod rozkazami dwa tysiące wojowników z orlej gwardii, myślał. Lothar, budujący drogę z Helvethu do Drassil, ma dalszych kilka tysięcy. Maquin miał słuszość, proponując uderzenie na Gundula, nim ten dotrze do Drassil. To samo trzeba by zrobić z Lotharem, ale jak? Potrzeba nam więcej mieczy. Jak wydostać więźniów z Drassil?

Było już późno, a migoczące między drzewami ogniska przywabiwały ćmy i inne stworzenia, które kryły się na skraju kręgu światła. Alcyon i Tain siedzieli wśród Benothi, którym towarzyszyli Brina i Balur. Veradis naraz się podniósł i podszedł do nich, przyzywając po drodze grupkę wojowników.

– Mam pewien pomysł – zwrócił się do Alcyona. Rozejrzał się i zaczął podnosić gałęzie, potrząsając nimi. – Mógłbyś mi to ściąć? – poprosił olbrzyma, wskazując gałąź grubości jego nadgarstka.

Ten uniósł brew, ale podniósł się, poderwał topór i rozrąbał gałąź jednym cięciem. Veradis podniósł ją, po czym wyciągnął nóż, odciął pomniejsze gałązki i oskrobał z kory.

– Mogę pożyczyć jeden z twoich toporów? – poprosił olbrzyma.

Odciął pasmo materiału od swego płaszcza i przywiązał trzonek topora do gałęzi. Powstało coś, co przypominało topór na trzonku włóczni.

– Mur tarcz – zwrócił się do wojowników, którzy zgromadzili się za jego plecami. Ku jego wielkiemu zadowoleniu ci płynnie zwarli tarcze z głośnym trzaskiem. – Jak cię zwa? – spytał jednego z olbrzymów.

– Fachen – padła odpowiedź.

– Cóż, Fachen, jak już mówiłem, mam pewien pomysł, ale najpierw muszę to sprawdzić. Byłbyś taki dobry i pomógł mi w tym?

Olbrzym zmarszczył brwi.

– W porządku – rzekł i wstał.

Veradis stanął za murem tarcz, złapał za tarczę i miecz ćwiczebny. Zerknął za krawędź osłony i zauważył, że Fachen ma na plecach młot wojenny.

– Zaatakuj mnie! – zaproponował. – Spróbuj rozbić mur tarcz, jeśli potrafisz.

Fachen spojrzał na pozostałych. Jego spojrzenie zawisło na Balurze, który siedział wsparty o drzewo z założonymi ramionami i przyglądał się sytuacji z zainteresowaniem. W końcu olbrzym złapał w obie dłonie swój młot, rozpędził się i rąbnął w tarczę Veradisa. Uderzenie okazało się potężne i wojownik aż się cofnął o krok, a jego ramię zdrętwiało, ale impet ataku został w znacznym stopniu wytracony przez pozostałe tarcze, zwarte z osłoną Veradisa.

Pęd pchnął Fachena na mur tarcz, który zafalował, ale szereg wytrzymał. Drewniany miecz Veradisa wystrzelił i dziabnął olbrzyma w nadgarstek, na co ten stęknął z bólu.

– Już nie żyjesz albo właśnie umierasz – rzekł Veradis i opuścił tarczę.

– Drwisz sobie ze mnie? – Fachen cofnął się i uniósł młot do kolejnego ataku.

– Nie. Pokazuję jedynie, jak niebezpieczny jest mur tarcz, nawet dla olbrzymów.

– Nie przyłożyłem się tak, jak należy. – Fachen wzruszył ramionami.

Brina parsknęła, a Alcyon się uśmiechnął. Veradis zaś spojrzał na tarczę i ujrzał wygięte drewno.

– Moim zdaniem przyłożyłeś się aż zanadto – stwierdził.

Kątem oka zauważył, że zbliżają się inni: Wulf i Tahir, Krelis i Alben, Maquin, Fidele oraz kilku jej przybocznych.

– Musimy traktować mur tarcz z należyтым szacunkiem – ciągnął.
– To zabójcza machina, która sieje śmierć i mnoży wdowy. Nikt przed nim nie ucieknie, nikt nie ma na niego sposobu. Nie dają mu rady niezrównani w walce Jehar, nie poradzą sobie z nim olbrzymy, którym nie sposób dorównać siłą. Nathair wymaszerował z dwoma tysiącami ludzi, z których wielu to weterani walki w murze tarcz. Stoczyli wiele bitew i żadnej nie przegrali.

– Bo nigdy nie walczyli z Benothi – rzekł Fachen.

– Prawda – odparł Veradis. – Choć myślę, że niektórzy spośród was starli się z nimi w bitwie o Drassil. Niemniej ludzie Nathaira stawili czoła Shekam oraz ich draigom w Tarbeshu, a potem toczyli bitwę z Hunen w Haldis. Oba klany rozbiły się o mur tarcz.

– Kłamiesz – oznajmił Fachen.

– Nie, to prawda – stwierdził Alcyon.

– Skąd to wiesz? – zagrzemiał Balur Jednooki.

– Wiem, bo tam byłem – rzekł Veradis. – Dowodziłem murem tarcz i sam walczyłem w pierwszym szeregu. Zniosłem nawałnicę ich młotów i toporów.

– Naprawdę walczyłeś z Hunen? – spytał Balur.

– Tak. Calidus doprowadził do tej kampanii, bo szukał topora z gwiazdnego kamienia.

– A dlaczego walczyliście z Shekam? – spytała Ethlinn, która wstała i podeszła, by przyjrzeć się uszkodzeniom na tarczy Veradisa.

– To również robota Calidusa – wtrącił się Alcyon. – Miał swoje powody, by rozbić Shekam.

– Ale przecież to jeźdźcy draigów – rzekł Balur takim tonem, jakby czyniło ich to niezwycięzonymi.

– Trzeba powiedzieć, że draigi sprawiły nam nieco problemów – przyznał Veradis. – Ale mimo to Shekam zostali rozgromieni i jedynie garstka uciekła z pola bitwy. Nathair to strateg i znakomity generał, który zawsze widzi prostą drogę do zwycięstwa. Mur tarcz to jego pomysł.

– To właśnie mur tarcz zmógł Balura w bitwie o Drassil. – Ethlinn się zamyśliła.

– Tak, to prawda – powiedział Jednooki. – Zmiażdżyłem tuzin ludzi, ale kolejni błyskawicznie wypełniali wyrąbaną szczelinę. – Bezwiednie dotknął ramienia, a potem boku. – Zadali mi wiele ran.

– Jak my to rozbijemy? – spytał Tahir. – Poprowadziłem atak na mur tarcz w wielkiej sali Drassil. Nie obyło się bez wielu strat.

– Na pewno nie jest niezwyciężony – rzekł Maquin.

– Nie. Mur tarcz, podobnie jak każda broń czy narzędzie, ma swe mocne i słabe strony – powiedział Veradis.

– Kadoshim rozerwali go pokazowo – zauważył Maquin.

– Tak, bo im akurat rana w brzuchu czy gdziekolwiek indziej nie przeszkadza w walce. Nam raczej tak. Kadoshim w niczym nas nie przypominają i nie powinniśmy się posługiwać ich przykładem podczas rozbijania muru tarcz.

– Co więc proponujesz? – spytał Maquin.

– Gdybyśmy walczyli z nimi na wzgórzu, moglibyśmy stoczyć na nich wozy czy kłody drewna – rzekł Tahir i się rozejrzał. – Ale w Fornie nie ma w sumie wielu wzgórz.

– Teren ma znaczenie – przyznał Veradis. – Mur tarcz najlepiej sprawdza się na otwartej, płaskiej przestrzeni, a więc trzeba odpowiednio wybrać miejsce do walki.

– A jeśli się nie uda? – spytał Maquin.

– Być może istnieją inne metody – stwierdził Veradis. – Ale przede wszystkim potrzebujemy teraz kuźni oraz kowali, którzy potrafią wykonywać broń.

– Możemy wykopać kuźnię – oznajmił Balur. – Widziałem już, jak to się robi. Fachen zaś nie ma sobie równych w wykuwaniu ostrzy.

– Ja też potrafię poruszać mieczem i kuć żelazo – burknął Wulf. – Ale skąd weźmiemy narzędzia i surowiec?

– Żelaza mamy sporo – stwierdził Alben. – Wśród łupów, zebranych w obozie Gundula, znalazło się wiele wozów pełnych węgla, żelaznych prętów i narzędzi.

– A na co ci ta kuźnia? – Brina zwróciła się do Veradisa. – Co chcesz w niej robić?

Tenebralczyk uniósł topór przywiązany do gałęzi.

– Pokażę wam. Mur tarcz! – rozkazał. Jego ludzie zwarli szereg i unieśli tarcze, a Veradis ruszył na nich.

Rozdział czterdziesty siódmy

CAMLIN

Camlin prowadził swój niewielki oddział wąskim szlakiem. Miał pod rozkazami czterdziestu najlepszych łuczników, tropicieli i myśliwych, których wyszukał w zbieraninie służącej Edanie. Szli rozciągnięci w pojedynczy szereg, by nie zdradzić wrogowi swej liczebności, choć Camlinowi wydawało się mało prawdopodobne, by ktokolwiek miał ich śledzić. Ci, którzy być może mieliby na to ochotę, umierali właśnie na trakcie olbrzymów.

Kolejna karawana z zaopatrzeniem zniszczona, pomyślał. Trochę ziarna spłonęło, reszta została skradziona, a Rhin znów straciła trzy czy cztery tuziny najlepszych wojowników. Dobry dzień, trzeba przyznać. Poza tym Crafa da mi znać, jeśli ktoś mnie ściga.

Od chwili, gdy Camlin wyciągnął z rzeki olbrzymkę Eisę, upłynęło zaledwie dziesięć dni. Były banita nie przepadał za rozmowami o Wojnie Bogów i Siedmiu Skarbach, ale Crafa mu nie odpuszczał. Przeklęty kruk pojawiał się zawsze, gdy strudzony tropiciel próbował odpocząć, siadał mu na ramieniu i zaczynał paplać o Kadoshim, śmierci i końcu świata.

Camlin zadrzał.

Dręczyły go również wspomnienia Rafe'a. Sporo myślał o jego przemianie w szybszego, silniejszego człowieka, która tylko uwiarygodniała rewelacje Crafa i Eisy. Nie podobało mu się to.

Bogowie, anioły i demony. Co jeszcze? Osobiście wolę to, co można zabić w walce, a mity i bajdy do tej kategorii nie należą.

Przeszył go dreszcz na myśl o tym, że wszystko, co robili, było zaledwie niewielkim fragmentem wielkiej całości. Nie, zupełnie mu się to nie podobało. Wcale a wcale.

Lepiej w ogóle nie zawracać sobie tym głowy i znaleźć sobie coś do roboty, pomyślał.

Ostatnie rozwiązanie przynosiło skutek. Jego oddział przeprowadził serię uderzeń na wozy z zaopatrzeniem, grupy wojska, a nawet na barkę kupiecką, która płynęła po rzece Tarin do Dun Carreg. W każdym napadzie rabowali jedzenie i pieniądze.

Camlin wnet zauważył pierwszego wartownika, pilnującego ich obozu. Mężczyzna czuwał wśród cieni z napiętym łukiem. Tropiciel podniósł rękę na powitanie. Wiedział, że został rozpoznany, tym bardziej że Meg pobiegła przodem i zaanonsowała jego rychły powrót.

Dobrze, że wartownicy zachowują czujność, pomyślał.

Niebawem znalazł się w środku obozowiska, które ostatnimi czasy zaczęło się rozrastać. Wieści o powrocie Edany rozeszły się po Ardanie i do lasu Baglun zaczęli napływać ochotnicy. Camlin nie darzył ich wielkim zaufaniem – świadomość, że jeden z nich może się okazać szpiegiem bądź zabójcą, spędzała mu sen z powiek, ale Edana miała rację. Bez pomocy ludu Ardanu nie miała szansy stworzyć armii, która mogłaby zrzucić Rhin z tronu.

Zastał Edanę w jej namiocie, który był zaledwie prymitywną konstrukcją z pozszywanego byle jak płótna żaglowego, ale spełniał swoje zadanie. Królowa naradzała się akurat z Bairdem i Halionem. Camlin opowiedział im o udanym ataku, a wtedy centralny słupek namiotu zaskrzypiał. Tropiciel ujrzał ciemny kształt przez płótno dachu.

Craf. Ten ptak nie byłby w stanie oprzeć się pokusie podsłuchiwania!

– Więcej jedzenia dla nas, a mniej dla nich – mówił z uśmiechem.
– Ziarno jest już w drodze. Pozostawiłem kilku chłopaków, by je tu sprowadzili. Rhin zaś zasyła się w Dun Carreg. Moi ludzie twierdzą, że nie opuściła fortecy od wielu dni. Schodzą się natomiast zbrojni. To dopiero początek, ale wygląda na to, że nasza olbrzymka mogła

mieć rację. Przez ostatnie cztery dni przez Kamienną Bramę przejechało czterysta mieczy. Niewykluczone, że Rhin zbiera siły.

– By ruszyć do Drassil – zamyśliła się Edana.

– Wojna Bogów – zakrakał Craf siedzący na namiocie.

Niech go szlag, pomyślał Camlin.

Do namiotu weszli Vonn i Lorcan, którzy właśnie zakończyli spotkanie z Pendathranem, a za nimi do środka wślizgnął się potężny Brogan.

– Dobre wieści, moja przyszła żono! – odezwał się Lorcan z entuzjazmem.

Edana skrzywiła się. Camlin dobrze wiedział, że nie miała zamiaru brać na poważnie zrękowin, ustalonych wieki temu, ale nikt jeszcze nie powiedział o tym Lorcanowi.

Ktoś musi chłopaka oświecić, pomyślał.

– Pendathran przemierzył sporą połąć wschodniej części Ardanu – ciągnął Lorcan. – Twierdzi, że lud jest po twojej stronie. Wielu ludzi dołączyło do jego oddziału. Gdy go opuściliśmy, miał pod rozkazami dwie setki zbrojnych.

Z bagien wokół Dun Crin wyruszył na czele pięćdziesięciu, przemknęło Camlinowi przez myśl.

– To naprawdę dobre wieści – rzekła Edana. – A Drust? Mamy jakieś wieści od niego?

– Posłańcy od Drusta pojawili się niedawno. – Vonn spojrzał na Lorcana spod zmrużonych brwi i stanął obok niego. – Narvończyk obozuje w Ciemnym Borze. Rozesłał wieści o twoim powrocie na zachodzie kraju, a teraz działa na północy. Wysłał też do Narvonu posłańców, którzy opowiadają o twoim powrocie. On też zbiera ludzi, których ma już ponad setkę.

– Rozmawialiśmy z wieloma podróżnymi na trakcie – odezwał się Lorcan szybko, robiąc krok naprzód. – Wszyscy słyszeli o twoim powrocie, a wielu wydało się... – przez moment szukał odpowiednich słów – ostrożnie zadowolonych.

– Sytuacja rozwija się więc zgodnie z naszym planem – oznajmiła Edana i spojrzała Camlinowi w oczy.

Lepiej niż planowaliśmy, pomyślał.

Edana zadała jeszcze kilka pytań Lorcanowi i Vonnowi, po czym kazała im coś zjeść i udać się na spoczynek. Po chwili przywołała jednak Vonna ponownie. Lorcan czaił się przez moment przy wejściu do namiotu, a potem odszedł z nieodłącznym Broganem.

Edana spojrzała na czterech najbliższych przybocznych, a potem westchnęła i wstała, jakby podjęła decyzję.

– Chodźcie ze mną – zwróciła się do nich, po czym wyszła z namiotu i poprowadziła ich wzdłuż brzegu rzeki. Camlin usłyszał świst skrzydeł nad głową, a potem cichutki tupot stóp w okolicy.

Craf i Meg. Mają więcej wspólnego ze sobą, niż im się wydaje, pomyślał.

Zatrzymali się przed Eisą, która została spętana i przywiązana łańcuchami do drzewa. Strzegło jej kilku zbrojnych.

– Nie będę cię trzymać w niewoli – rzekła Edana. – To nie ma sensu. Niebawem musimy przenieść obóz, a wojownicy potrzebni mi są gdzieś indziej. Szkoda marnować ich na pilnowanie więźniów. Poza tym nie podoba mi się przetrzymywanie kogokolwiek. Lepsza chyba czysta śmierć niż niewola, co? A więc...

Edana skinęła na strażników. Nim Eisa zdołała choćby drgnąć, wszyscy skoczyli na nią, złapali ją za ramiona i unieruchomili. Baird stanął za nią, jedną ręką złapał ją za włosy, a drugą przyłożył jej nóż do gardła.

– Ale nie mam na myśli egzekucji – powiedziała Edana i przekręciła klucz w kajdanach Eisy, uwalniając ją.

– Nie masz pojęcia, ile bólu mi teraz sprawiłaś! – odezwał się Baird, zawiązując olbrzymce oczy.

– Możesz odejść – ciągnęła Edana. – Moi ludzie zabiorą cię do lasu daleko stąd i dalej już będziesz musiała radzić sobie sama. Baird, daj jej nóż, gdy zdejmiesz jej opaskę z oczu.

– W porządku – burknął wojownik, choć wcale nie wydawał się z tego powodu zadowolony.

Złapał za więzy Eisy na jej nadgarstkach i postawił olbrzymkę mocnym szarpnięciem, po czym poprowadził ją wzdłuż brzegu rzeki w asyście kilkunastu zbrojnych.

– Cóż, tego się nie spodziewałem – rzekł Camlin, wydymając policzki. – Choć nadal istnieje spora szansa, że zginie, włóczęc się po Baglunie.

– Crafa pokaże drogę z lasu – mruknął kruk ze swojej gałęzi.

– Dziękuję – powiedziała Edana.

– Proszę bardzo!

– A z wami chciałam o czymś porozmawiać. – Edana zwróciła się do Camlina, Vonna i Haliona. – Myślałam o tym, co usłyszałam od olbrzymki i od Crafa. Tak, Vonnio, od ciebie również. – Spoglądała na nich przez moment. – Myślę, że powinniśmy coś zrobić z tymi Skarbami, które rzekomo znajdują się w Dun Carreg.

– Tak – burknął Halion i pociągnął się za krótką brodę. – A co dokładnie?

– Myślę, że ktoś powinien wykraść ten puchar i naszyjnik.

Gałąź nad nimi skrzypnęła i zakołysała się.

– Tak! – zakrakał Crafa.

Rozdział czterdziesty ósmy

RAFE

Rafe galopował po zielonych łąkach. Po prawej stronie miał rzekę Tarin, szeroką i ospałą na ostatnim odcinku blisko morza, a po lewej ciągnął się las Baglun, istne morze liści i kory, falujące aż po horyzont. Przed sobą widział już szare wieżyce Dun Carreg na tle migotliwych fal. Uśmiechnął się.

Dom.

Obok niego biegł samotny Drapichrust. Rafe nadal nie przyzwyczał się do tego, że nie towarzyszy mu Niuchacz. Po psie pozostał tylko niewielki kurhan, który wznosił w Baglunie, na polanie przy rzece, gdzie Niuchacz został zabity przez Camlina.

Ukatrupię tego łajdaka, pomyślał Rafe. Już go miałem, gdyby nie ten przeklęty kruk. Jeśli go kiedykolwiek jeszcze zobaczę, sukinsyn nie przeżyje tego spotkania.

Pochylił się w siodle, by spojrzeć na hufiec, który pędził za nim. Pięciuset ludzi na czele z Morcantem w lśniącej kolczudze i błyszczącym hełmie. Z ramion wojownika spływał czarno-złoty płaszcz, powiewając na wietrze i upodabniając go do bohatera z dawnych legend.

Ależ ja go nie znoszę, pomyślał Rafe. Cholerny fircyk... I co z tego, że potrafi machać mieczem?

Rafe zastał Morcanta, gdy ten palił wieś na wschód od Baglunu, czym z pewnością próbował wyładować swą frustrację. Nadal bowiem nie znalazł sposobu na powstrzymanie ataków Edany.

Ma tylko kilka setek ludzi, pomyślał Rafe. Cóż może działać? Wywołać nieco zamieszania, ale to i tak tylko wrzód na tyłku. Boli, denerwuje, ale nie zabije.

– Daleko jeszcze do Dun Carreg? – spytał Morcant, zrównawszy się z nim.

– Ja już widzę twierdzę. – Rafe wskazał kierunek.

Morcant zmrużył oczy.

– Masz dobry wzrok – mruknął, a potem spytał: – Słuchaj, a co Rhin zrobiła z Roisin?

– O ile się orientuję, trafiła do lochów pod twierdzą – odparł Rafe.

– Do lochów? Przecież to nie miejsce dla damy, zwłaszcza tak czarującej jak Roisin! – stwierdził Morcant.

Naraz uwagę Rafe’a przyciągnął jakiś ruch. Dojrzał wysoką postać o długich kończynach, która wyłoniła się z półmroku Baglunu.

Olbrzymka!

Nieznajoma utykała na jedną nogę. Szła z pochyloną głową.

– Eisa! – zawołał Rafe i popędził w jej kierunku, ciesząc się, że może się oddalić od Morcanta.

Olbrzymka była poturbowana i posiniaczona. Jedna noga wyróżniała się opuchlizną, na twarzy widniały skaleczenia, a na czole zasychała spora rana. Tylko w jednej pochewce nadal miała nóż. Na widok Rafe’a uniosła dłoń w pozdrowieniu.

* * *

Kopyta zadudniły na moście, prowadzącym do Dun Carreg. Dziwnie było ujrzeć olbrzymy na murze nad Kamienną Bramą. Rafe spojrział na Eisę, która kuszyła u jego boku. Olbrzymka uniosła się dumą i odmówiła ułożenia się na noszach.

– Uthas nakazał przeszukać cały las, ale nie mogliśmy cię znaleźć – powiedział, kryjąc wyrzuty sumienia. Proponowano mu udział w poszukiwaniach, ale odmówił. Wolał pogrzebać Niuchacza, a potem siedzieć przy jego kurhanie i opłakiwać jego śmierć.

– Uderzyłam głową o gałąź w rzece. – Eisa dotknęła długiego rozcięcia na czole. – A potem obudziłam się na brzegu.

– Sporo czasu minęło, zanim wyszłaś z lasu.

– Bo do małych nie należy. – Eisa wzruszyła ramionami.

– Fakt – przyznał Rafe.

– Możesz iść za mną do zamku. – Morcant zwrócił się do Eisy. – A ty, tropicielu, idź po Roisin. Powiedz, że kazałem ją wypuścić z lochów, a potem przyprowadź ją do mnie.

Rafe zdusił wściekłą odpowiedź i ograniczył się do skinienia głową.

* * *

Zastał Roisin w zimnym lochu. W rogu celi stało wiadro na jej potrzeby.

– Masz udać się ze mną – powiedział.

Była królowa leżała na prycy. Ciemne włosy miała rozrzucone na ramionach. Wyciągnęła ku niemu rękę.

– Czuję się taka osłabiona – rzekła zmysłowym głosem, a Rafe ujął jej dłoń bez namysłu. Skóra Roisin była gładka i ciepła.

– Tędy, moja pani – powiedział i poprowadził ją po korytarzach i schodach twierdzy.

– Dokąd mnie prowadzisz? – spytała.

– Wkrótce się dowiesz – burknął.

Niebawem znaleźli się w opuszczonej części zamku, gdzie ich kroki odbijały się echem od ścian długiego korytarza. Za zakrętem Rafe ujrzał kilku doborowych przybocznych Rhin oraz parę olbrzymów, które pełniły straż wśród cieni i spowitych pajęczynami posągów. Zbliźali się do komnat, w których Rafe po raz ostatni widział Rhin, aż wreszcie stanął przed drzwiami jednej z nich i zapukał.

– Wejść! – oznajmił głośno Morcant.

Siedział przy stole i popijał miód z pucharu. Na widok Roisin wstał, uniósł jej dłoń i ją ucałował.

– Nie mogę uwierzyć w to, że trzymano cię w lochu, moja pani! – oznajmił. – Cóż za okropny błąd. Postaram się go jakoś naprawić.

– Nie sądzę, by królowa Rhin darzyła mnie wielkimi łaskami – odparła Roisin i opuściła skromnie oczy.

– Cóż, jesteś jej więźniem – stwierdził Morcant. – Ale więźniem królewskiej krwi. Mogę cię zapewnić, że Rhin na pewno nie miała zamiaru cię tak potraktować. Gdy znajdę tego, kto cię zamknął w lochu, obedrę go ze skóry. Jak tylko dowiedziałem się o twoim losie, natychmiast posłałem służącego, by cię uwolnił.

Morcant zerknął przy tych słowach na Rafe'a.

Służącego?

Przez twarz Rafe'a przemknął grymas gniewu.

– A jeśli trafiłam do lochu na rozkaz królowej? – zapytała Roisin.

– Cóż, wówczas wstawię się za tobą – rzekł Morcant. – Póki co jednak Rhin tu nie ma i nie będzie jej jeszcze przez jakieś dziesięć dni.

Obdarzył Roisin konspiracyjnym uśmiechem.

– Rozkazałem, by znaleziono dla ciebie odpowiednie szaty. Przydzielę ci też służącą. Jesteś jeńcem wojennym, ale my nie jesteśmy zwierzętami. Zasługujesz na odpowiednie traktowanie i sam tego dopilnuję.

– Dziękuję. – Roisin uniosła wzrok. – Nie masz pojęcia, jak bardzo jestem ci wdzięczna.

Wytrzymała przez chwilę jego spojrzenie, a w komnacie zapadła cisza.

– Możesz iść! – Morcant zwrócił się do Rafe'a, machając lekceważąco dłonią.

Mam nadzieję, że Rhin dorwie cię i zamieni w ropuchę, pomyślał Rafe i zamknął za sobą drzwi.

Rozdział czterdziesty dziewiąty

NATHAIR

Nathair rozsiadł się wygodniej na grzbiecie swego draiga. Nieobecny gestem poklepał go po karku i usłyszał w odpowiedzi głuchy pomruk, dobiegający z głębi jego piersi. Potwór przedzierał się przez gęstwinę lasu Forn, wydeptując ścieżkę. Za sobą Nathair słyszał tupot stóp dwóch tysięcy ludzi, a przed sobą widział posłańca o imieniu Helred, który przybył z wiadomością od Lothara.

Opuścili Drassil dziesięć dni temu. Każdy kolejny dzień wędrówki przez puszcę nie różnił się niczym od poprzedniego. Wciąż otaczał ich niekończący się ocean dębów i jesionów. Wciąż ze wszystkich stron napierał na nich las, nieustępliwy i ponury.

Mimo to Nathair czuł się rażniej. Nie miał wątpliwości, iż przyczyną tego stanu rzeczy było to, że znalazł się daleko od Drassil, od Calidusa, Kadoshim, Lykosa oraz Vin Thalun, od miejsca, gdzie wszystko wciąż przypominało o tym, czyja ręka wskazała mu drogę.

Tu mogę myśleć i planować, powiedział sobie. Wreszcie znalazłem się w miejscu, gdzie nikt nie śledzi każdego mego kroku, gdzie nikt nie odczytuje każdej mej myśli. Żałuję tylko, że zmierzam w niewłaściwym kierunku – na południe, a nie na północny-zachód. Szkoda, że muszę nadzorować Lothara, a nie szukać sztyletu z gwiazdnego kamienia.

Jego dobry nastrój znikł, gdy przypomniał sobie o tych okolicznościach.

Czyżby Calidus mi nie ufał?, zastanawiał się. A może myśli, że nie jestem w stanie podołać zadaniu?

Jego umysł przepełniły scenariusze, bitwy, konfrontacje, z których każda mogłaby wyznaczyć inną drogę w jego życiu.

Ale skoro mamy zapewnić bezpieczeństwo trzem Skarbowom w Drassil, potrzeba nam więcej ludzi. Teraz moim wrogiem stał się Veradis. Nieprawdopodobne, co on zrobił z hufcem Gundula. Nie możemy go lekceważyć.

Spojrzał na prawo i lewo, rozglądając się po cieniach Fornu.

Veradis może być teraz wszędzie, pomyślał. Może przez cały czas mieć mnie na oku. Ale czy naprawdę byłby w stanie zaatakować?

– Helredzie, daleko jeszcze?! – zawołał do posłańca.

– Przynajmniej kilka nocy – odparł jego towarzysz. Był starszym mężczyzną, a w jego brodzie znać było więcej siwizny niż czerni. Miał na sobie strój tropiciela: mocne buty, porządne spodnie, wełnianą tunikę, skórzaną kamizelę oraz płaszcz. W ręku trzymał włócznię, a u pasa nosił jedynie nóż.

Na pewno zna swe rzemiosła, pomyślał Nathair. Jest jedynym z dziesiątki, wysłanej przez Lothara, który zdołał dotrzeć do Drassil.

Draig uniósł łeb i wysunął długi język, by posmakować powietrze. Drgnęły potężne mięśnie karku, gdy stwór obrócił łeb w jedną, a potem w drugą stronę. Zwolnił.

Helred zauważył to i zaczekał na króla.

– Coś się dzieje? – zapytał.

Wszyscy już słyszeli o rozgromieniu hufca Gundula. Powszechnie wiadano również o napadach i zasadzkach na każdy oddział, który wyszedł z Drassil i odważył się zapuścić w las.

Nathair uniósł rękę. Zadęto w rogi, których posępna muzyka poniosła się między drzewami. Hufiec zatrzymał się karnie.

– Co to takiego? – szepnął Nathair i rozejrzał się.

W puszczy panowała cisza, jedynie wiatr szeleścił wśród gałęzi, a nad nimi gniewnie krakała wrona. Choć król wyteżał wzrok, nigdzie nie widział błysku żelaza ani sylwetek kryjących się ludzi. Nigdzie nie słyszał skrzypnięć napinanych cięciw czy zgrzytu mieczy wyciąganych z pochew. Nic nie sugerowało zasadzki.

Strzelił wodzami. Draig raz jeszcze wysunął język i nagle ruszył przed siebie. Skręcił w prawo, zbaczając z ich traktu, i skierował się

prosto na gęsty zagajnik, pełen pnączy i kolczastych krzewów. Przebił się przez nie, tratując zarośla, i wypadł na polanę, gdzie zatrzymał się i spojrzał na zwłoki leżące na mchu. Nie, nazwanie znaleziska zwłokami byłoby wielką przesadą. Nathair widział jedynie kości odarte ze skóry, mięsa, a nawet chrząstek. Draig już omiałał szkielet językiem. Rozchylił szczęki, ale Nathair powstrzymał go ostrym rozkazem. Wielki stwór kłapnął zębiskami i spojrzał na jeźdźca ponuro.

Patrzyli na szkielet dorosłego, dużego wilkuna. Był nietknięty od pyska aż po ogon. Masywna czaszka była gruba, a ze szczęk wyrastały długie, zakrzywione kły.

– To nie jedyny – rzekł Helred, który obszedł wielki szkielet. – Tam jest drugi. O wiele mniejszy. Może to szczenię tamtego. Spójrz, panie. Złamał łapę.

Wskazywał przednią łapę mniejszego szkieletu, która utknęła w jakiejś dziurze, być może króliczej norze. Wyglądało na to, że szczeniak wpadł w norę i złamał kończynę. Nie mógł się wydostać, a więc dorosły osobnik pozostał przy nim, by go chronić.

Co nie skończyło się dlań dobrze, pomyślał Nathair.

Ukucnął przy szkieletach i szturchnął żebro ostrzem miecza. Kość była nieskazitelnie gładka, jakby oczyszczona przez garbarza. Zazwyczaj na zwłokach pozostawały jakieś skrawki mięsa i skóry, czasem kawałki futra i chrząstki, bez względu na to, jak przy nich żerowano. Tu nie było niczego.

– Kto za to odpowiada? – spytał Nathair.

– To Forn. – Helred wzruszył ramionami. – Może te wilkuny zostały zabite przez jedno stworzenie, a później obżarte przez kolejne. Lepiej się stąd wynosić – dodał, rozglądając się podejrzliwie. Jego uwagę przyciągnęło krakanie odległych kruków.

– Tak – mruknął Nathair. – Jedz – nakazał draigowi.

Gruba kość tylnej łapy dorosłego wilkuna z trzaskiem znikła w paszczy bestii.

Gdy Nathair znów znalazł się na czele ruszającego w drogę hufca, spojrzał raz jeszcze na polanę, gdzie dokonali odkrycia.

To tylko kolejna śmierć wśród drzew Fornu, pomyślał. Jedna z wielu. Niedługo będzie ich tu aż nadto.

Rozdział pięćdziesiąty

CYWEN

Cywen uniosła przednią nogę Tarczy.

– Spokojnie, tylko spokojnie – szepnęła, czując oddech konia na głowie. – Dobry koń, grzeczny koń – powtarzała, biorąc się do pracy.

Za pomocą małego, tępego nożyka oczyszczała kopyta, a potem zaczęła je piłować, gdyż rozrosły się na skutek bezczynności.

Musisz zacząć się ruszać, myślała. Zacząć biegać. Cóż, ale tak czy owak cieszę się, że tu jesteś i nic ci się nie stało.

Wyprostowała się i przejechała dłonią po muskularnym grzbiecie ogiera. Ten trącił ją łbem i zarżał.

– Ja też za nim tęsknię – powiedziała cicho. – Ale Corban wróci tu szybko. Sam zobaczysz.

Słyszając imię jej brata, ogier postawił uszy i znów cicho zarżał, a potem wygiął szyję i potarł łbem o jej głowę. Cywen poklepała go mocno, aż z sierści buchnął pył, i rozejrzała się po stajni.

Tyle pustych zagród, pomyślała. Po przybyciu do Drassil mieliśmy prawie trzysta koni, a pozostało raptem siedemdziesiąt. Wszystkie trafiły do wygłodniałych brzuchów.

– Ale przynajmniej lepiej tu pachnie – mruknęła, patrząc na tę część stajni, w której trzymano draiga Nathaira. Król Tenebralu wyjechał jakieś dziesięć dni temu.

I miejmy nadzieję, że długo nie wróci, przemknęło jej przez myśl.

Za każdym razem, gdy spoglądała na legowisko draiga i czuła jego smród, choć po woni królewskiego rumaka pozostał jedynie cień, przypominał jej się Haelan i jego nora.

Smród draigów musi skądś się brać, myślała. Muszą gdzieś tu być. Gdzieś pod Drassil.

Zamyślona, złożyła pocałunek na pysku Tarczy, uniosła taczkę wyładowaną łąjnem i sianem, i wyjechała na światło słoneczne.

Jeden z Kadoshim stał z założonymi ramionami, wsparty o ścianę stajni. Nie spuszczał Cywen z oczu. Pilnował zarówno jej, jak i innych sprawnych na ciele więźniów, zajmujących się pracą w stajni. Podążył za dziewczyną, gdy dołączyła do pozostałych, również pchających taczki z łąjnem. Kiedy wyjechali na dziedziniec, odwróciła wzrok od wbitych tam pali i trupów, które zwisały z bram niczym makabryczne ozdoby.

Przed sobą ujrzała Hild, która właśnie doszła do siebie po ranach odniesionych podczas bitwy. Była żoną Wulfa i matką Swaina oraz Sif. Za każdym razem, gdy Cywen na nią patrzyła, czuła ukłucie winy. Wciąż nie powiedziała jej o tym, że ich dzieci żyją, są bezpieczne, a do tego ukrywają się bardzo blisko. Ryzyko jednakże było zbyt wielkie.

Czy wydałaby nas?, zastanawiała się Cywen. Czy oparłaby się pokusie ujrzenia dzieci? Sama nie może uwierzyć w to, że udało im się przetrwać w ukryciu w samym środku tego gniazda żmij, a do tego wychować szczenięta Burzy i Buddaia. A teraz mamy kolejną podopieczną, Trigg. Dołączyła do nas dziesięć dni temu i wydaje mi się, że nawiązała jakąś więź z Haelanem, choć ten ją opuścił. Spija słowa z jego ust i robi wszystko, by sprawić mu przyjemność.

Była to dziwna świadomość i z jakiegoś powodu budziła niepokój w duszy dziewczyny.

Ale to nie jedyna rzecz, której w niej nie rozumiem. Wyczuwam w niej coś kruchego. Nie jest to załamanie czy świadomość klęski, ale coś zbliżonego do tego.

Skręciła za stajniami, idąc w kierunku ukrytego dziedzińca, gdzie ku swemu zaskoczeniu ujrzała rusztowanie, na którym zawieszono pięć łodzi. Wydawały się ukończone, a robotnicy zajęci byli uszczelnianiem kadłubów. Gdy Cywen podeszła bliżej, w jej nozdrza wgryzł się zapach smoły i oleju sosnowego.

Czemu oni budują łodzie w samym sercu lasu Forn, setki mil od najbliższego morza?

Zastanawiała się nad tym przez chwilę w kolejce do wypróżnienia taczki. Kiedy wreszcie wyrzuciła zawartość na stertę gnoju, zawróciła i skierowała się znów ku stajni, ale na jej drodze pojawiła się jakaś Kadoshim.

– Nóż – odezwała się i wyciągnęła dłoń, w którą wżarł się brud, tworząc skomplikowane wzory.

Cywen miała ochotę się sprzeciwić, ale widziała, co się działo z tymi, którzy sprzeciwiali się Kadoshim. Pochyliła się i wyjęła nóż z buta, gdzie umieściła go po oczyszczeniu kopyt Tarczy.

– I tak jest tępy – mruknęła.

– Nawet tępym nożem można wyrządzić sporo krzywdy. Przynajmniej takim jak ty – oznajmiła Kadoshim z uśmiechem, który wywołał u Cywen dreszcze.

Wtedy rozległy się jakieś głosy. Serce dziewczyny zalała nienawiść, gdy wyróżniła spośród nich głos Calidusa. Wyrzała z za ciała zagradzającej jej drogę Kadoshim i dostrzegła znienawidzonego starca, który sprawdzał łodzie w asyście Lykosa. Zamienili kilka słów, po czym władca piratów zaczął wymachiwać rękami i strofować robotników.

Za Calidusem i Lykosem dostrzegła inne postacie. Jedną z nich otaczał rój much.

Och, tego nienawidzę jeszcze bardziej, pomyślała.

Demon szedł blisko innej postaci, wydając się niemalże jej strzec. Postać miała na sobie płaszcz z kapturem i kryła się w cieniach, ale Cywen i tak ją rozpoznała. Nóż wysunął się jej z dłoni, gdy palce zapomniały, że go trzymają.

Patrzyła na Trigg.

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

LYKOS

Lykos z zamkniętymi oczami musnął dłonią poszycie jednej z niedawno wybudowanych łodzi, rozkoszując się jego kształtem i mocno wciągając w płuca zapach smoły. Mógłby przysiąc, że niemalże słyszy krzyk mew, a potem oczami wyobraźni ujrzał Fidele.

Ech, czemu ja nie mogę wyrzucić tej suki z głowy? Wszystko przez to, że wiem, iż przebywa w pobliżu. Wspaniale byłoby wyrwać się stąd i znów poczuć kołysanie pokładu pod stopami, nawet gdyby przyszło mi płynąć po wodach rzeki. Wówczas szybko bym o niej zapomniał.

Rozchylił powieki i ujrzał Calidusa wpatzonego prosto w niego. Starzec zacisnął usta w cienką linię.

– Pytałem, kiedy będą gotowe.

Lykos przyjrzał się łodziom uważniej i zauważył, że za zakładanie dulek wziął się sam Alazon, jego najlepszy szkutnik.

Choć to przecież nie statki, pomyślał. To zwykłe łodzie wiosłowe, acz świetnie dostosowane do długiej podróży w górę rzeki.

Tuż obok leżały krótkie maszty, liny na takielunek, żagle utkane z wełny i zestawy wiosel.

– Musimy tylko zaczekać, aż wyschnie smoła. Moglibyśmy wyruszyć jutro bądź nawet dziś wieczór – rzekł.

– Dobrze. Przygotuj wszystko do drogi. Wybrałeś już swoich ludzi?

– Tak.

Zgrai gorszych, paskudniejszych zbirów ze świecą by szukać, pomyślał. Legion będzie dobrze do nich pasować.

– A reszta przygotowań?

– Kończymy pakowanie. – Lykos wzruszył ramionami.

Muszę zabrać tyle miodu, by starczyło mi do Arcony, dodał w myślach.

– Wyruszyście więc dziś wieczór. Jeśli będziecie w stanie wydostać się z Drassil bez zwracania na siebie niczyjej uwagi, tym lepiej. Nie chcemy, by ci bandyci w lesie nam w czymkolwiek przeszkodzili.

Chyba że Fidele zechce mnie jeszcze raz dziabnąć, pomyślał Lykos. Bez wątpienia przywiodłaby ze sobą swego wiernego Starego Wilka.

Uniósł rękę do policzka i wymacał nierówną bliznę w miejscu, gdzie Maquin odgryzł mu kawałek mięsa. Na moment dał się porwać wyobrażeniom ich spotkania. W każdej wizji Maquin ginął pierwszy. Z wrzaskiem.

Calidus wydał usta.

– Mam nadzieję, że mogę na tobie polegać? – spytał. – Podołasz zadaniu?

– Oczywiście – burknął Lykos.

– Niepokoi mnie to, jak trudno ci się na czymkolwiek skupić. Czy mam ci przypomnieć, jak ważne jest to zadanie i ile od niego zależy?

– Możesz mi zaufać. Wrócę z tym torkwesem, w co nie powinienes wątpić. Rozpoczęcie podróży pod osłoną ciemności jest dobrym pomysłem, bo nasi wrogowie w lesie przypuszczalnie będą przyglądać się murom.

– Tak, zgadza się. A skoro już mowa o tej bandzie w lesie... Trigg, podejdź no tu.

Półolbrzymka zrobiła niepewny krok naprzód i wychynęła z cieni.

– Znalazłaś ich?

Zapadła cisza, zbyt długa jak na gust Lykosa.

– Tak – bąknęła w końcu Trigg, nie unosząc głowy. Nadal miała założony kaptur.

– A więc? – odezwał się Calidus. – Gdzie są?

– Przenoszą się z miejsca na miejsce, by uniknąć pojmania. Muszę tam wrócić.

– Rozumiem – odparł Calidus i przygładził odrastającą powoli brodę. – A uda ci się prześledzić ich trasę z odkrytego przez ciebie obozu?

Znów zapadła cisza.

– Pewnie tak – odparła Trigg.

– A gdzie jest ów obóz? Ten, który odkryłaś, zanim się stamtąd wynieśli?

– Na północny zachód stąd. – Trigg wskazała kierunek ruchem podbródka. Wydawała się ponura, niechętna.

Wie więcej, niż mówi, pomyślał Lykos.

– Czy pojawił się jakiś problem? – Calidus podszedł do Trigg i wbił wzrok w jej oczy. Legion stanął za nią, otoczony chmarą bzyczących irytująco much.

– Nie – odparła Trigg. – Ale Forn jest niebezpieczny. Wolę być tutaj.

– Jasne. Możesz zostać tu jak długo chcesz po tym, jak się uporamy z tą zgrają. Zostaniesz też wynagrodzona.

– Dziękuję – burknęła półolbrzymka.

– Wspaniale. Sytuacja zaczyna się rozwijać pomyślnie – rzekł Calidus. – Przygotuję oddział, który poprowadzi cię w las. I to jutro. Nie włócz się więc za daleko. Jeśli nie będę mógł cię odnaleźć, gdy będziesz mi potrzebna, wpadnę w złość. A nie spodobam ci się, gdy jestem rozgniewany.

Calidus to mistrz niedopowiedzeń, przemknęło Lykosowi przez myśl.

– Będę w pobliżu – obiecała Trigg.

– Dobrze. – Calidus klasnął w dłonie. – Wszyscy do roboty. Lykos, masz tu być o północy ze swoimi ludźmi oraz miodem.

Lykos parsknął w odpowiedzi. Calidus odszedł w asyście Legiona, a Trigg umknęła gdzieś w prawo przy pierwszej dogodnej okazji, chcąc znaleźć się jak najdalej od Kadoshim. Lykos odprowadził wszystkich spojrzeniem, które ostatecznie pochwyliło oddalającą się Trigg.

Mam sporo do zrobienia, ale coś mi się w niej nie podoba, pomyślał.

Ruszył w ślad za półolbrzymką.

Z początku miał wrażenie, że włóczy się bez celu po szerokich ulicach. Trzymał się w odpowiedniej odległości za nią, przeskakując z jednej plamy cienia w drugą, ale po jakimś czasie dopatrzył się sensu w jej ruchach.

Zatacza coraz ciaśniejsze kręgi. Kieruje się do wielkiej sali.

Wkrótce znaleźli się przed nią. Wrota były szeroko otwarte, strzeżone przez orlą gwardię. Żołnierze przyglądali się Trigg podejrzliwie, gdy wchodziła do środka, a potem wyprostowali się na baczność na widok Lykosa.

Skarby oraz wejście do pradawnej kuźni zostało odgradzone liną, a straż pełniła tam grupa Kadoshim. Pod ścianami sali czuwali kolejni orli strażnicy.

Tymczasem Trigg zatrzymała się na schodach i spojrzała w dół na kocioł. Lykos skrył się w jednej z licznych klatek schodowych, które prowadziły do komnaty i wież na wyższych kondygnacjach.

Co jej strzeliło do głowy? Jeśli ma ochotę skraść jakiś Skarb, kiepsko się do tego zabiera.

Naraz Trigg drgnęła i ruszyła po innych schodach w górę. Po chwili znikła Lykosowi z oczu, ale pirat podążył w ślad za nią, najciszej jak umiał.

Dotarł do zwieńczonego łukiem wejścia, zostawiając za sobą wijące się spiralnie schody. Trigg stała na końcu korytarza i wpatrywała się w jakieś drzwi, po czym uniosła rękę, cofnęła zasuwę i weszła do środka.

Co ona tu robi?, pomyślał Lykos i zmarszczył brwi.

Nie przypominał sobie, by ktokolwiek zapuszczał się do tego korytarza. Większość ich wojska stacjonowała w budynkach ciągnących się w półkręgu między wielkim drzewem a bramami Drassil. Tylko Calidus spał w komnacie znajdującej się w ogromnym pniu drzewa, bo nie chciał oddalać się od Skarbów. Lykos przemknął najciszej jak umiał przez korytarz i zatrzymał się przed otwartymi drzwiami.

Zajrzał do środka.

Stał na progu komnaty, w której ktoś kiedyś mieszkał. Na łóżku widział skotłowaną pościel, siennik został pocięty i rozrzucony, wszędzie panował nieład. Po zakończeniu głównego starcia bitwy o Drassil wielu wojowników Calidusa długo nie mogło wyjść z szalu i miotało się po całej fortecy. Z tego, co Lykos widział, wewnątrz komnaty mogło paść ofiarą jakiegoś oszalałego Kadoshim. Znajdowało się tam bowiem zbyt wiele rzeczy, które Vin Thalun uznałby za cenne i z pewnością zabrałby ze sobą. Gdzieś błysnęła porządna kolczuga, a w kącie leżała niezła tarcza o krawędziach okutych żelazem. Widniały na niej ślady po uderzeniach miecza, które podkreślały jej wartość. Dostrzegł również parę solidnych butów, w które wszyto nagolenniki.

To dobry sprzęt, pomyślał. Musiał należeć do kogoś wysoko postawionego, pewnie oficera bądź przywódcy.

Trigg chodziła powoli po komnacie i rozglądała się. Dostrzegła kolczugę, podniosła ją, otrzepała, a potem zwinęła i ukryła pod płaszczem. Potem wzięła do ręki miskę, z której pociekła spleśniała owsianka. Odrzuciła ją i powróciła do poszukiwań.

Co ona robi?

Znów zatrzymała się po kilku krokach i podniosła z podłogi jakiś przedmiot. Było to coś uszytego ze skóry, ale błysnęła tam również stal, przez co Lykos pomyślał, że jest to pas z nożami, ale wtedy półolbrzymka zaczęła naciągać sobie ów przedmiot na dłoń, a później na przedramię, a Lykos zauważył, że była to skórzana rękawica, z której sterczały trzy zakrzywione szpony. Trigg zapięła rzemienie, by rękawica trzymała się lepiej, a potem machnęła nią na próbę.

Czymś takim można nieźle kogoś poszatковать, pomyślał Lykos. Nie chciałbym znaleźć się przed kimś, kto włada taką bronią.

Trigg zdjęła rękawicę, zwinęła ją i również schowała pod płaszczem.

Dobra, dość już tego, postanowił.

– Co ty robisz? – spytał, wchodząc do komnaty. Niedbałym ruchem dobył krótki miecz.

Wystraszona Trigg cofnęła się o krok.

– Nic – bąknęła.

– Nie tak to wygląda. – Lykos szedł przez zdewastowany pokój. – Wygląda na to, że zbierasz sobie różne rzeczy. Pytanie brzmi: po co?

Półolbrzymka wzruszyła ramionami. Lykos ocenił wzrokiem szerokość jej barków oraz długość ramion.

Nie wolno jej lekceważyć, stwierdził. Jest silna i szybka.

Wycelował w nią ostrzem miecza.

– Zgromadziłaś bardzo ładne pamiątki, ale mam nieco wątpliwości co do tej kolczugi. Wydaje się nieco za krótka na ciebie. Ciekawe, co Calidus sobie o tym pomyśli.

Trigg zacisnęła zęby i szerzej otworzyła małe oczy.

Nie podoba jej się taka perspektywa, pomyślał Lykos.

– Nie mów mu – syknęła Trigg.

– Czemu nie?

– Bo on tego nie zrozumie. On wszędzie szuka zrad i spisków, które nie istnieją, a ja... A mnie się po prostu podoba ta kolczuga. Jest taka... błyszcząca...

Zerknęła za plecy Lykosa. Na drzwi.

Ocenia swoje szanse w walce ze mną, uświadomił sobie z zaskoczeniem. Cholera, mnie potrzeba informacji, a nie jej krwi.

– Gdzie jest wrogi obóz? – zapytał. – Widziałaś go. Chcę wiedzieć dokładnie, gdzie się znajduje.

– Powiedziałałam już, że się przenoszą. Regularnie.

– Kiedy ostatni raz go widziałaś?

– Przedwczoraj – bąknęła.

– Powiedz mi, gdzie się znajduje! – syknął Lykos i zrobił krok ku niej, wznosząc miecz.

– Na północnym zachodzie.

– To już powiedziałaś, ale otacza nas puszcza! Potrzebuję bardziej precyzyjnych informacji.

Półolbrzymka przyglądała mu się przez długą chwilę.

– Musisz wyjść przez pierwsze wyjście z północno-zachodniego tunelu a potem udać się na północ. Przy rzece skreć na zachód, aż wejdiesz na trakt Jaela. Pół mili dalej znajduje się wzgórze, u stóp

którego leży szkielet wielkiego niedźwiedzia. Stamtąd idź jeszcze pół mili na zachód. Tam był obóz.

– Wielkie dzięki! – Lykos uklonił się lekko.

– Pilnują go liczne strażę. A poza tym pewnie już się przenieśli.

– To bez znaczenia – odparł pirat, cofając się do drzwi.

– Czemu chcesz się dowiedzieć, gdzie leży ich obóz?! – zawołała z nim Trigg, gdy przestąpił przez próg.

– Muszę odwiedzić pewnego starego przyjaciela, o którym nie mogę przestać myśleć – odparł Lykos i wyslizgnął się na korytarz.

Rozdział pięćdziesiąty drugi

CYWEN

– Gdzie jest Trigg? – wypaliła Cywen, wpadając do kryjówki.

Garnek, Buddai i szczeniaki opadły ją ze wszystkich stron, a Sif wymruczała przekleństwo, zbierając roztrącone kamienie i orzechy.

Na zewnątrz było już ciemno. Minęło sporo czasu od chwili, gdy Cywen ujrzała Trigg w towarzystwie Calidusa oraz Lykosa, ale do tej pory nie miała sposobności, by się wymknąć.

– Grasuje – odparł Haelan. – Może i jest wielka, ale zbieranie żywności dobrze jej wychodzi. Zawsze wraca z czymś dobrym.

Uśmiechnął się szeroko, a Swain burknęła:

– Pojęcia nie mam, jak ona to robi.

– Nie ma z tym problemów, bo to zdrajczyni! – oznajmiła Cywen. – Widziałam ją dzisiaj z Calidusem.

– Och, to plugastwo półkrwi! – syknął Swain.

– Przecież to nie ma sensu! – stwierdził Haelan. – A więc dlaczego nie przywiodła Calidusa tutaj? Dlaczego nadal jesteśmy wolni?

– Sama tego nie rozumiem. – Cywen zmarszczyła brwi. – Ale wiem, co widziałam. Patrzyłam na Trigg w towarzystwie Calidusa i Lykosa.

– Może nas obserwują? Może myślą, że możemy im się na coś przydać? – stwierdził Swain, z trudem panując nad wściekłością. – Może ich szpiedzy nie spuszczaają z nas oczu nawet teraz?

– Nie, Garnek i Buddai już dawno by ich wywęszyli. – Haelan pokręcił głową.

– Jesteś pewien? – spytała Sif i zbliżyła się do Swaina, łapiąc go za rąbek koszuli.

Niespodziewanie w tunelu rozległ się jakiś odgłos. Zamarli, nasłuchując, aż odgłos przekształcił się w kroki i usłyszeli wołanie Trigg.

– Zabiję ją! – warknął Swain i zaczął przetrząsać swój worek, skąd wyrwał nóż i złamany trzonek włóczni bądź siekiery.

– Najpierw pytania – syknęła Cywen, gdy Swain rzucił jej nóż. Przywarła plecami do ściany w miejscu, gdzie tunel wchodził do jamy, i zdmuchnęła najbliższą pochodnię. – Zachowujcie się normalnie – dodała. – Zobaczymy, ile nam się uda z niej wyciągnąć.

Chwilę później Trigg precyzyjnie się przez otwór wejściowy i zeskoczyła na dół, po czym podniosła się z uśmiechem.

– Skąd ta radość? – spytał Swain drżącym głosem. Nie był w stanie zapanować nad złością.

Trigg zmarszczyła brwi.

– Gdzie byłaś? – dodała Sif.

Zdobywanie informacji nie jest ich mocną stroną, pomyślała Cywen.

– Szukałam jedzenia – odparła półolbrzymka.

– Głodna jesteś? – spytał Haelan.

O, lepiej, przemknęło Cywen przez głowę.

– Tak – burknęła Trigg. – Podziwiacie tego Corbana? – dodała niemalże nieśmiało.

– Tak, oczywiście – odparł Haelan, udając, że jest zajęty rozrywaniem bochenka chleba na pięć równych kawałków. – To nasz przywódca. No i ocalił nas.

– Myślisz, że ucieszyłby się na widok tego? – spytała półolbrzymka, wyciągając zawiniątko spod płaszcza.

– A co to? – spytała Sif.

Trigg rozwinęła tkaninę. Jedną ręką uniosła kolczugę, a drugą skórzaną rękawicę z trzema zakrzywionymi sztyletami, które przypominały szpony.

– To rękawica z kłami wilkuna! – oznajmił Haelan. – Należała do Corbana.

Oraz jego kolczuga, dodała w myślach Cywen.

– Skąd to masz? – spytał Swain jadowitym głosem.

Trigg obróciła gwałtownie głowę.

– Potrafię się wkraść niemalże wszędzie – odparła.

– Nie mam pojęcia, jak możesz chodzić po fortecy w blasku dnia. Jesteś półolbrzymką! Nie kłam, przecież nie jesteś niewidzialna!

Dość już usłyszałam, postanowiła Cywen.

Wyskoczyła z cienia i kopnęła Trigg w wewnętrzną stronę kolan. Półolbrzymka padła z łoskotem na ziemię, ale zdołała się przy tym obrócić, złapać Cywen i pociągnąć za sobą, a przy tym rąbnąć ją pięścią w twarz. Przed oczami dziewczyny eksplodowały gwiazdy. Zachwiała się i padła na zimną ziemię, ale na Trigg skoczył już Swain. Przetoczyli się, zwarci w walce, a wtedy zewsząd opadły ich szczeniaki. Haelan i Sif trzymali się z daleka, najwyraźniej nie mając pojęcia, w jaki sposób pomóc.

Do Trigg przypadł Buddai i zacisnął kły na jej ramieniu, a Cień uderzyła ją w pierś, gdy próbowała się podnieść. Wtedy do walki znów dołączyła Cywen – złapała rękawicę z kłami Corbana i przycisnęła je do gardła Trigg. Żelazne ostrza nakłuły jej skórę.

– Dość! – warknęła Cywen.

Buddai nadal trzymał ramię półolbrzymki i warczał złowieszczo. Pozostałe szczeniaki powarkiwwały i kąsały nogi Trigg. Ze skaleczeń ciekła już krew. Cień stała na piersi półolbrzymki i warczała głucho, wpatrzona w jej twarz. Z kłów młodego zwierzęcia ściekała ślina.

– Zabierz je! – szepnęła Trigg.

– Stój! – rzuciła Cywen do Buddaia.

Haelan cmoknął głośno. Cień spojrzała na niego, po czym niechętnie zeskoczyła z ciała Trigg, by stanąć u jego boku. Sif podbiegła do zamroczonego Swaina, który próbował się podnieść.

– Dlaczego? – spytała Trigg.

– Widziałam cię z Calidusem – oświadczyła Cywen.

Jej słowa odebrały Trigg resztkę woli walki. Jej ramiona obwisły, głowa opadła.

– Jesteś zdrajczynią! – wysyczał Swain, który zdołał wreszcie powstać. Zacisnął pięści.

– Nie powiedziałam im nic o was ani o tym miejscu! – odparła Trigg.

– Pracujesz z Calidusem? – spytał Haelan z bólem w głosie. – Nie rozumiem... Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi!

– Jestem twoją przyjaciółką! – odezwała się Trigg błagalnym tonem. – Jestem nią, choć mnie porzuciłeś, zapomniałeś o moim istnieniu, zostawiłeś mnie na śmierć.

– Wyjaśnij nam wszystko – rozkazała Cywen.

Trigg spojrzała na nią wyzywająco, ale nagle jej twarz wzburzyły emocje, nad którymi ledwie panowała.

– Zrobiłam coś strasznego – wyznała. – Ale wówczas nie zdawałam sobie sprawy z konsekwencji. Byłam taka wściekła. Cierpiałam wielki głód, przemarzałam do szpiku kości... Myślałam, że przyjdzie mi umrzeć. A wszystko było twoją winą, Haelanie. Twoją i Wulfa. Ale teraz jest mi tak przykro... Naprawdę chciałabym cofnąć czas czy jakoś naprawić me winy... To dlatego wam pomagam, dlatego przyniosłam rzeczy Corbana...

– O czym ty mówisz? O jakiej strasznej rzeczy? – dociekał Haelan.

Półolbrzymka spoglądała na nich. Jej usta zadrżały, a po policzkach spływały łzy.

– Pokazałam Calidusowi drogę do Drassil.

Pokazała Calidusowi drogę do Drassil, pomyślała Cywen. Tylu zabitych przez nią jedną. Hufiec rozbity, Meical nie żyje...

Wraziła końce szponów głębiej w gardło Trigg. Nie mogła powstrzymać żądy, by odebrać zdrajczyni życie. Przez jej umysł płynęły twarze poległych, a gdzieś w tle rozlegały się wrzaski torturowanych każdego dnia jeńców.

– Mam informacje! – wypaliła Trigg. – Ważne informacje!

– Co takiego? – spytał Haelan, rozpraszając myśli Cywen o zemście.

– Informacje o Siedmiu Skarbach! O planach Calidusa!

– Mówże więc! – rozkazał Haelan.

Trigg opowiedziała im więc wszystko, co wiedziała – o starożytnej kuźni w głębi drzewa, o lokalizacji sztyletu i torkwesu z gwiazdowego

kamienia, o misjach Lykosa, Nathaira i Lothara oraz o ruchu oporu, kryjącym się w lesie Forn.

– Widziałaś ich? – szepnął oszołomiony Swain.

– A Corban? – spytała Cywen. – Co z nim?

– Nie ma go tam – powiedziała Trigg, a Cywen odniosła wrażenie, że jej serce nagle przestało bić. – Ale żyje. A przynajmniej żył jakiś czas temu. Słyszałem, jak o nim rozmawiano. Został porwany przez Jotun, a część twoich przyjaciół wyruszyła mu na ratunek.

Dzięki Elyonowi, pomyślała Cywen. Teraz przynajmniej wiem, dlaczego nie odpowiedział na wyzwanie Calidusa.

– A mama i tata? Też tam są? – spytała Sif ze łzami w oczach.

– Widziałam Wulfa. – Usta Trigg drżały. – Ale Hild nie.

– Bo Hild jest ze mną w szpitalu – wyznała Cywen, która nie była w stanie już znieść udręki w oczach dzieci.

– Czemu więc dopiero teraz nam o tym mówisz? – jęknął Swain.

– Ze strachu – odparła Cywen. – Wyjaśnię wam to później i wtedy też przeproszę was jak należy.

Wpatrywała się w Trigg, próbując przetworzyć w głowie to, co właśnie usłyszała.

Jak ja mogę jej zaufać?, zastanawiała się. Już raz nas zdradziła. Nie rozumiem jej.

– Dlaczego to robisz? – zapytała. – Wszak dokonałaś wyboru. Zawarłaś pakt z Calidusem i zostaniesz przez niego wynagrodzona. Po co w ogóle tu z nami siedzisz? Po co udajesz, że jesteś przyjacielem? Po co przyniosłaś broń Corbana, by jeszcze bardziej wkupić się w nasze łaski?

Trigg drgnęła, a potem usiadła pod drzewem. Buddai warknął.

– Bo ja taka nie jestem – wyznała. – Mam na sumieniu zbrodnię, ale też wiele czynów, które wypływają tylko i wyłącznie z lojalności. Jeśli chcesz mnie osądzać, weź pod uwagę wszystkie moje czyny, a nie tylko jeden błąd.

Z jej oczu płynęły łzy, a na obliczu pojawił się żal, jakiego Cywen nigdy dotąd nie widziała. Półolbrzymka rozejrzała się, aż jej spojrzenie spoczęło na Haelanie.

– I nie chcę być sama. Myślałam, że Haelan jest moim przyjacielem.

Przez moment milczeli. Każde z nich próbowało przemyśleć rewelacje Trigg, aż Cywen nabrała tchu.

– Oni muszą się dowiedzieć – powiedziała. – Nasi przyjaciele. Nasz hufiec przecież czai się gdzieś w pobliżu. Muszą się dowiedzieć o Skarbach, o Jotun, o Lykosie. – Spojrzała na twarze Haelana, Swaina i Sif, jakże poważne, tak przestraszone. – Uciekamy stąd. I to jeszcze dziś.

Rozdział pięćdziesiąty trzeci

CAMLIN

Camlin stał na brzegu rzeki i poprawiał kolczugę. Pod spód założył lnianą koszulę oraz wełniany podkoszulek, ale mimo to kolczuga dalej ocierała mu ramiona.

– Nie podoba mi się to – mruknął, przywiązuując żelazny hełm do pasa.

– Przestań narzekać, bo wyglądasz całkiem atrakcyjnie – rzekła Edana. – Nawet jeśli barwy się nie zgadzają.

Camlin skrzywił się i zarzucił czarno-złoty płaszcz na ramię. Stał obok Vonna, który miał podobny strój.

– Myślę, że wystarczająco przypominamy ludzi z hufca Rhin – burknął tropiciel. – Dobrze, że taszczyliśmy cały ten ich sprzęt.

– Nie podoba mi się to, że wyruszącie we dwóch – rzekł Halion, który stał obok Edany z troską wymalowaną na twarzy.

– We troje! – pisnęła Meg z okolicy łodzi.

– Nawet nie myśl, że wyśiądziesz razem z nami! – Camlin pogroził jej surowo palcem. – I tym razem zrobisz to, o co cię proszę, bo w następnej wyprawie już nie weźmiesz udziału!

– Będziesz musiał mnie związać! – burknęła Meg.

– To się da załatwić – rzekł stanowczo Camlin. – Halionie, pamiętaj, że wszystko dokładnie omówiliśmy. Żeby zdobyć Dun Carreg, potrzebowalibyśmy minimum tysiąca mieczy. Im nas mniej, tym łatwiej wślizgnąć się do środka, dorwać, co trzeba i wiać. Vonn jest mi potrzebny, bo tylko on wie, gdzie znajdował się sekretny

pokój jego ojca. Ja zaś przydaję się wszędzie tam, gdzie trzeba się skradać bądź coś ukraść.

– Cóż, rozumiem. Ale byłbym szczęśliwszy, gdybyście mieli ze sobą kilku twardzieli – odparł Halion.

– A więc zapewne ucieszysz się z tego, że mam zamiar im towarzyszyć – odezwał się ktoś za jego plecami.

Wszyscy odwrócili się i ujrzeli Lorcana, który wyszedł z cieni między drzewami. Towarzyszył mu Brogan z długą włócznią. Obaj ubrani byli w czerń i złoto Rhin, a Brogan usiłował wcisnąć na głowę źle dopasowany hełm.

Byłem przekonany, że to tajna misja, pomyślał Camlin.

– Nie – oznajmiła Edana. – Jesteś dziedzicem tronu Domhainu. Nie możesz wdzierać się do wrogich twierdz!

– Nie wydajesz mi rozkazów, Edano. Jesteśmy sobie równi – oznajmił Lorcan i zacisnął usta w zaciętą linię. – Ani ty, ani nikt inny nie macie prawa, by kazać mi pozostać w obozie.

Zapadła cisza. Edana wyglądała, jakby właśnie połknęła osę. W końcu spojrzała na Camlina.

– To twoja misja – rzekła. – Co sądzisz?

Nieźle radzi sobie z mieczem, pomyślał Camlin. Widziałem go podczas treningów. A towarzystwem Bezkarkiego nigdy nie wzgardzę.

– Będziesz słuchał moich rozkazów? – spytał Lorcana. – I niczego nie kwestionował?

– Wypełnię każde polecenie – odparł chłopak, wyczuwając rychłe zwycięstwo. – Bez wyjątku.

Tropiciel spojrzał na Vonna, który wzruszył ramionami.

– Dobra. Szkoda czasu, więc lepiej ruszajmy w drogę – rzekł Camlin.

Z tymi słowami wdrapał się do łodzi, którą skradł podczas zwiadu za granicami lasu. Ułożył obok siebie łuk, z którego zdjął cięciwę, a potem owinął go mocno w sarnią skórę. Halion zaś przygarnął Lorcana do piersi.

– Uważaj na siebie, braciszku – powiedział, a chłopakowi błysnęły oczy.

Chwilę później Vonn i Brogan chwycili za wiosła i łódź ruszyła z prądem. Edana i Halion stali na nabrzeżu, machając im na pożegnanie.

Wypłynęli z Baglunu niedługo po zapadnięciu zmroku. Wtedy dobili do brzegu, przenieśli łódź przez niewielką płyciznę, i powiosłowali jeszcze kawałek, do miejsca, w którym wody wpadały do rzeki Tarin. Przez niebo przemknął jakiś ciemny kształt, a głośne krakanie zdradziło im, że Craff bynajmniej ich nie opuścił.

– Gospodarstwo Darola – mruknął Vonn.

Camlin ujrzał, że młody wojownik wpatruje się w niewysokie wzgórze na północy, które wznosiło się na drodze do Dun Carreg. Przeszył go nieprzyjemny dreszcz, a w żołądku zagościły nudności, gdy przypomniał sobie, że napadł to miejsce, gdy jeszcze należał do bandy Braitha. Źle wspominał tę chwilę, bardzo źle. Ich akcja zakończyła się śmiercią kobiet i dzieci.

Mam na sumieniu wiele złych czynów, a w jeszcze większej ilości wziąłem udział, ale teraz wszystko wygląda inaczej, myślał. Jestem innym człowiekiem. Mam powód, by walczyć. Mam przyjaciół. Mam ludzi, w których wierzę. Nie mogę zmienić przeszłości, ale mogę teraz być lepszym człowiekiem.

Rzeka płynąca po nadbrzeżnych terenach stawała się coraz szersza, a nad ich głowami wyrastały granitowe klify. Wnet prąd rzeczny starł się z pływem morskim, przez co wiosłowanie stało się trudniejsze. Camlin i Lorcan również chwycili za wiosła, a Meg na dziobie wypatrywała płycizn i skał. Fale z pluskiem rozbijały się o kadłub. Dno łodzi otarło się o coś ze zgrzytem i na kilka uderzeń serca utknęli na jakiejś przeszkodzie, ale fala poniosła ich dalej.

– To kiepski odcinek wybrzeża na nocne wiosłowanie! – zawołał Vonn, przekrzykując szum fal.

Teraz mi to mówi?, pomyślał Camlin.

* * *

Przed nimi w ścianie klifu majaczyła już ciemna paszcza jaskini. Camlin wodził wzrokiem po stromych skałach, które wydawały się składać z rozmaitych odcieni ciemności. Zza postrzępionych chmur wyłonił się księżyc, którego blask na moment posrebrzył zwieńczone pianą fale.

Zdołali dotrzeć do zatoki Dun Carreg, jakimś cudem unikając wpadnięcia na skalisty brzeg czy którąś ze zdradzieckich podwodnych skał. Meg przytrzymała łódź, unosząc się lekko na łagodnych falach, a Camlin z Vonnem, Lorcanem i Broganem czekał przed wejściem do jaskini, która wdzierала się głęboko w klif, na którym wznosiła się twierdza Dun Carreg.

– Muszę przyznać, że to miejsce nie przywołuje dobrych wspomnień – oznajmił, wpatrując się w ciemną otchłań, w którą właśnie mieli wkroczyć.

Gdy znaleźli się za pierwszym zakrętem, Camlin sięgnął do plecaka i wydobył suchą pochodnię. Rozniecił ogień i oświetlił ścieżkę, śliską od wody morskiej i wodorostów. Szum fal w zwężającym się podziemnym kanale został za nimi, a przed sobą czwórka śmiałków miała już ścianę jaskini, a przynajmniej tak im się wydawało. Camlin bowiem bez wahania wszedł w skałę i nie zatrzymywał się, choć napotkał opór, zupełnie jakby szedł przez wodę. Rozległo się cmoknięcie w uszach i nagle znalazł się po przeciwnej stronie. Stał w szerokim przejściu i wpatrywał się w potężne schody, prowadzące w kierunku ciemnego korytarza.

Za nim przez iluzję przepchnęli się Vonn, Lorcan i Brogan.

– Średnie uczucie – mruknął Brogan, a potem rozdziawił usta na widok ogromnego szkieletu, który leżał na ziemi przed nimi. – Co to?

– Och, to białozmij, którego usiekliśmy, gdy przechodziliśmy tędy poprzednio – rzucił lekko Vonn.

– Jest ich tu więcej? – Brogan rozejrzał się dookoła.

– Pewnie się wkrótce dowiemy – rzekł Camlin i rozpoczął długą wspinaczkę do Dun Carreg.

* * *

– O, to tu – rzekł Vonn, wskazując ciemniejszy cień na ścianie przed nimi. Mieli za sobą wyczerpujące godziny spędzone na wędrówce po schodach, które wydawały się nie mieć końca.

– Gdzie? Co? – spytał Lorcan, który pomimo ciemności i wiszącego nad nimi śmiertelnego niebezpieczeństwa wydawał się niezwykle pogodny. – O czym ty mówisz?

– O wejściu do wieży mego ojca – odpowiedział Vonn i podprowadził ich bliżej. Stanęli przy wielkiej dziurze w granicy, która została częściowo zamurowana, a częściowo zabita deskami. Przez szpary widać było, że prowadzi do jakiejś piwnicy.

Zerwali kilka desek. W środku nie widzieli żadnych oznak życia.

– Pusta – stwierdził Vonn. – Tak właśnie myślałem. To tu mieszkała kiedyś moja matka. Tu też umarła...

Urwał, porwany wspomnieniami, na co Camlin poklepał go niezdarnie po plecach.

– Tędy. – Vonn otrząsnął się i wprowadził ich do środka.

Weszli po schodach do wielkiej sali przyjęć, gdzie ujrzeli dwie pary drzwi. Jedne zostały uchylone i wpuszczały do środka strużkę srebrzystego blasku księżyca. Vonn jednakże szedł dalej po schodach, zatrzymując się co krok, by oświetlić stopnie pochodnią. Zmarszczył brwi.

Camlin również widział, co zaniepokoiło towarzysza. W kurzu odcisnęły się ślady stóp.

Vonn popędził na górę i wpadł do niewielkiej, skąpo umeblowanej komnaty. Przez pojedyncze okno do izby wpadał blask księżyca. Okiennice wyrwano z zawiasów i rzucono na podłogę, zerwano też i podarto wiszący na ścianie gobelin. W miejscu, gdzie się znajdował, widniały otwarte drzwi.

Vonn zaklął i podszedł bliżej, by zajrzeć do środka.

– Wyprzedzili nas! – oznajmił i rąbnął pięścią w ścianę ze złością.

– Na pewno coś da się jeszcze zrobić! – Optymizm Lorcana nadal nie słabł.

– Co takiego? Mamy się zakraść do zamku i wykraść go Rhin sprzed nosa? – spytał gorzko Vonn. – Nie wiem, czy Camlin jest aż tak dobry w złodziejskim fachu.

– Ale ja jestem – zakrakał ktoś z otwartego okna.

Rozdział pięćdziesiąty czwarty

RAFE

Rafe kroczył korytarzem, w którym znajdowały się nowe komnaty Roisin. Słyszał dobiegający z nich śmiech i zgrzytnął zębami ze złością.

Nie dość, że Morcant to nadęty bufon, to jeszcze teraz uległ wdziękom jakiejś uwodzicielki, pomyślał. Nie sędzę, by spodobało się to Rhin.

Uśmiechnął się złośliwie na tę myśl.

Od powrotu do Dun Carreg upłynęło kilka dni. W międzyczasie Rafe dowiedział się, że Rhin i Uthas napili się z kielicha z gwiezdneho kamienia, ale jeszcze się nie przebudzili. Młody tropiciel wykorzystał więc wolny czas, by na powrót zaznajomić się z fortecą. Zwiedził wieżę Evnisa, przystanął przy psich budach, którymi się kiedyś zajmował, a potem wędrował po korytarzach Dun Carreg, przywołując dawne wspomnienia. Drapichrust podążał za nim niczym cień, nie odstępując go ani na moment.

Tego dnia akurat towarzyszył mu paskudny nastrój, bo na każdym kroku przypominał sobie ową znienawidzoną noc, kiedy wyzwiał Corbana na sąd mieczy i przegrał. Tę noc, kiedy Corban i jego wilkun zabili mu ojca. Szedł do Rhin w nadziei, że już się przebudziła.

Niczego nie chcę tak bardzo, jak wreszcie wyruszyć na tę wojnę, myślał. Rhin powiedziała, że udamy się do Drassil, a to właśnie tam będzie Corban. Może uda mi się wyzwąć go na kolejny sąd mieczy. Naprawdę nie mogę się tego doczekać.

Wielokrotnie wyobrażał sobie tę chwilę, a każda wizja kończyła się tym, jak upokorzony Corban błaga go o darowanie życia. Gdy Rafe dotarł do komnaty Rhin, na jego twarzy malował się szeroki uśmiech.

Wartownicy powitali go zdawkowymi skinieniami, a jeden z nich otworzył przed nim drzwi. Rafe wszedł do środka i wzdrygnął się, gdy przypomniał sobie, jak królowa kontaktowała się z Conallem za pośrednictwem skóry zdartej z czyjejs twarzy.

Blat stołu został już uprzątnięty. Pozostała na nim tylko jedna rzecz – stara skrzynka wyłożona czarną, aksamitną poduszką. Leżał na niej naszyjnik ze srebra i gagatu.

Nie, nie z gagatu, pomyślał Rafe. Wykuto go z kamienia z upadłej gwiazdy.

Patrzył na cieniutkie, srebrne druty, które oplatały czarny kamień niczym srebrne żyłki przenikające czarne serce. Wpatrującemu się weń Rafe'owi wydawało się, iż kamień pulsuje, a po chwili odniósł też wrażenie, że słyszy szepty, unoszące się i wirujące wokół niego. Potrząsnął głową, nieco oszołomiony. Poczul się niepewnie.

– Nic ci nie jest? – spytał Salach, unosząc brew. Stał z Eisą przy otwartym oknie, przez które wpadał szum fal i słonawy posmak morza. Eisa wyglądała już znacznie lepiej niż w chwili, gdy, zataczając się, wyszła spomiędzy drzew Baglunu.

– Nie, nic – burknął Rafe. – Co z Rhin?

– Bez zmian. – Salach ruchem głowy wskazał zamknięte drzwi. – Dalej leży tam z Uthasem. Magia kielicha działa.

Rafe pamiętał to uczucie. Pamiętał ekstazę, a potem ból. Pamiętał też przebudzenie i falę nowych doznań, które zalały jego zmysły.

– Ile czasu ty potrzebowałeś, żeby się przebudzić? – spytała Eisa.

– Morcant twierdzi, że dziesięć dni. – Rafe wzruszył ramionami.

– Minęło już szesnaście – burknął Salach.

Rafe przyciągnął sobie krzesło i usiadł przed naszyjnikiem, wpatrując się w niego.

– Miałam dziwne sny zeszłej nocy. – Eisa zwróciła się do Salacha. – Ujrzałam w nich Nemain. – Wpatrywała się intensywnie

w przybocznego Uthasa. – Przemówiła do mnie. Nazwała mnie zdrajczynią.

– Zdrajca czy bohater, wszystko zależy od punktu widzenia – mruknął Salach.

– Jak ona zginęła? – spytała Eisa.

– Już ci mówiłem. Zaatakowała naszych sojuszników przy bramach Murias. Uthas rzucił jej wyzwanie. Pokłócili się, a potem doszło do walki. Nemain poślizgnęła się i wypadła z okna wieży. To był tragiczny wypadek i tyle.

– Aha, już sobie przypomniałam. – Eisa pokiwała do siebie głową, ale Rafe zauważył, jak zerka na bliźniacze ostrza topora Salacha, wznoszące się znad jego pleców niczym żelazne skrzydła.

Naraz skrzypnęły otwierane drzwi. Na progu stanęła Rhin. Jej siwe włosy były rozczochrane, ale wydawała się młodsza, rańniejsza. Jej skóra odzyskała połysk, a oczy lśniły energią. Odrzuciła głowę do tyłu i parsknęła ciepłym, dźwięcznym śmiechem. Za nią widać było Uthasa, który poruszył się na łóżku i usiadł, pocierając skronie.

– Jadło i napitki! – zawołała Rhin i klasnęła w dłonie, wchodząc do komnaty. Nogi wciąż miała słabe, a chód chwiejny jak u nowo narodzonego źrebięcia, które stawia pierwsze kroki. Złapała Rafe'a za rękę, spojrzała mu głęboko w oczy, co bardzo młodzieńca zaniepokoiło, a potem oblizała usta. – Ależ ja mam apetyt!

W wejściu zamajaczyła ogromna sylwetka Uthasa. Olbrzym zataczał się jak pijany, ale on również wydawał się młodszy, a jego skóra nie była już tak szara.

Salach i Eisa zaczęli mówić jedno przez drugiego, a Uthas parsknął tubalnym śmiechem. Rhin nadal trzymała Rafe'a za rękę i patrzyła mu w oczy, o wiele zbyt intensywnie jak na jego gust.

Do środka wpadł podmuch chłodnego powietrza, a potem rozległ się trzepot skrzydeł. Rafe odwrócił się i ujrzał, jak do środka wlatuje coś czarnego. Na stole wylądował ptak, który wyhamował przed skrzyneczką i pochwycił dziobem srebrny łańcuszek naszyjnika z gwiazdnego kamienia. Przez chwilę stał na stole i rozglądał się naokoło paciorkowatymi oczkami, aż odnalazł wzrokiem Rafe'a.

W komnacie zapadła cisza – ludzie i olbrzymy wpatrywali się w gościa z niedowierzaniem i oszołomieniem.

Niespodziewanie kruk wzbił się w powietrze i wyleciał przez okno.

Rozdział pięćdziesiąty piąty

CAMLIN

Camlin patrzył, jak kruk wypada z okna.

– Mam! – wykrzyknął z satysfakcją Lorcan, gdy złapał naszyjnik i zakołysał nim.

– Szybko! – popędził ich kruk.

Nie tak szybko, pomyślał Camlin. Jego ramię, trzymające napiętą cięciwę, zaczynało już drżeć. W oknie pojawiła się czyjaś głowa. Zwolnił strzałę – nieznajomy cofnął się w porę, a on usłyszał trzask grotu odbijającego się od kamienia. Z wnętrza dobiegł głuchy ryk.

– Prowadź – burknął Camlin.

Odwrócił się i pognął za Vonnem przez ciemną, opuszczoną ulicę. W komnatach zamkowych rozlegały się głośnie wrzaski, którym po chwili zawtórował ryk rogów. Camlin i pozostali pędzili przez labirynt uliczek. W oknach zapalały się światła, otwierały się drzwi, pojawiali się wojownicy, którzy pośpiesznie naciągali buty albo przypinali pasy z mieczami. Tam, którądy biegli, twierdza budziła się do życia.

Vonn prowadził ich do wieży Evnisa i jako pierwszy wpadł na dziedziniec. Za nim podążali Lorcan i Brogan, a Camlin osłaniał tyły. Przebiegli przez otwartą przestrzeń ku kamiennym schodom i otwartym wrotom, przez które mogli dotrzeć do tuneli i uciec.

Camlin naraz wyhamował i wykrzyknął ostrzeżenie.

Przecież zamknęliśmy drzwi, wychodząc z wieży, pomyślał.

Ktoś wypadł z cieni w głębi wieży i rzucił się na Vonna. Potoczyli się po schodach. W wejściu zamajaczył olbrzym, a Camlin, który

odwrócił się i spojrzał za siebie, ujrzał kolejnych ludzi oraz olbrzymy w bramie.

Na zewnątrz nie wybiegniemy, uświadomił sobie. O tunelach też trzeba zapomnieć.

Rozejrzał się w panice, aż dostrzegł schody za psimi budami, wiodące na zewnętrzny mur. Bez namysłu złapał Lorcana za płaszcz i pchnął go w tym kierunku. Brogan skoczył w ślad za chłopakiem. Ułamek sekundy później Camlin naciągnął już łuk. Puścił strzałę w tłum wdzierający się przez bramę, usłyszał dziki wrzask, ale nie spojrzał, kto dostał. Miast tego skupił się na człowieku, z którym zmagał się Vonn. Chciał jakoś pomóc, ale walczący zwarli się ciasno, przetoczyli się i znieruchomieli.

– Rafe? – stęknął Vonn.

Jego przeciwnik zamarł na moment. Camlin naciągnął strzałę, przez chwilę próbując nie myśleć o tupocie stóp nadbiegających zbrojnych, i zwolnił cięciwę. Rafe skądś się zorientował, co mu grozi, choć Camlin nie miał pojęcia, czy młodzieńca ostrzegł brzęk cięciwy, czy może jego własny instynkt. W każdym razie uskoczył w bok, porzucając Vonna, a strzała wymierzona w gardło wbiła się w mięśnie uda.

Z wejścia wypadł na nich olbrzym. Rafe ryknął z mieszaniną bólu i wściekłości, a Camlin rzucił się do biegu. Vonn następował mu na pięty. Przemknęli obok rzędu drewnianych bud i popędzili po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz. Z każdą chwilą byli coraz wyżej. Camlin słyszał posapywanie Vonna za swymi plecami i widział już ogromnego Brogana, który czekał na nich na murze.

Co zrobimy, jak znajdziemy się na górze?, zastanawiał się Camlin.

Obok ucha świsnęła mu ciśnięta włócznia, która niegroźnie uderzyła o schody i zsunęła się ze stukotem.

– Nachyl się! – ryknął Brogan i rzucił własną włócznią nad ich głowami. Jej ostrze z siłą młota rąbnęło w pierś wojownika ścigającego Vonna, rozrąbując ogniwa kolczugi. Mężczyzna runął na śpieszących za nim towarzyszy.

Camlin znalazł się już na szczycie murów, gdzie w twarz uderzył go zimny wiatr. Vonn wskoczył na górę za nim. Brogan przypadł do

pierwszego ścigającego ich prześladowcy i ciał go ukośnie przez policzek i szczękę, po czym uchwycił miecz oburącz i rąbnął następnego, który spadł ze schodów.

Camlin wypuścił strzałę w tłum ścigających ich ludzi, usłyszał wrzask i znów naciągnął cięciwę. Kolejny wróg runął na ziemię.

Mógłbym tak strzelać przez całą noc, pomyślał. Pod warunkiem, że uzupełniano by mi kołczan.

Nie odrywając oczu od wrogów na schodach, dotknął dłonią piór strzał wystających z futerału. Naliczył ich około dziesięciu, może dwanaście.

Jego uwagę przyciągnęły krzyki z innej części muru, gdzie zbliżała się ku nim grupka wojowników. Za moment będą otoczeni.

Muszę coś wymyślić i to szybko, przemknęło mu przez głowę.

– Ktoś ma jakiś pomysł?! – wrzasnął.

– Miałem nadzieję, że to ty jesteś od tego – sapnął Vonn i w ostatniej chwili odbił włócznię wymierzoną w Brogana.

Naraz na schodach przed Broganem wyrósł olbrzym z obosiecznym toporem i natarł nań wściekle, zmuszając Domhaińczyka do cofnięcia się. Brogan bronił się zaciekle, ale widać było, że długo takiego naporu nie wytrzyma. Camlin wycelował więc w serce olbrzyma i zwolnił cięciwę. Ułamek sekundy później cios mieczem rozłupał strzałę na pół. Pojawił się Rafe, wpatrzony w Camlina.

Przebiłem mu strzałą udo!, pomyślał Camlin. Nie powinno go tu być! Ależ ja żałuję, że nie zabiłem tego smarkacza, gdy była ku temu okazja.

Brogan cofnął się o krok, a potem jeszcze jeden, aż dotknął plecami murów.

– Dość! – zawołał ktoś na schodach.

Olbrzym spojrział za siebie. Szedł ku niemu człowiek w srebrzystej kolczudze i czarnych skórach.

– Morcant – mruknął Camlin z nienawiścią.

– Nigdzie stąd nie pójdziecie – powiedział Morcant, unosząc dłoń, by powstrzymać wojowników osaczających grupkę Camlina. Ci

zatrzymali się w odległości kilkunastu kroków, trzymając miecze i włócznie w pogotowiu.

Za Morcantem zgromadziło się kilku innych wojów, częściowo zakrytych przez cienie, a wśród nich kolejny potężny olbrzym, w którym Camlin ze zdumieniem odkrył Eisę.

– Możecie tu walczyć aż do śmierci, bo odwagi wam pewno nie brakuje – ciągnął Morcant, wzruszając ramionami. – Możecie też oddać nam naszyjnik oraz jego. – Wskazał Lorcana. – Och, doskonale wiem, kim jesteś, Lorcanie ben Eremon – dodał. – Innymi słowy, chcę Lorcana i naszyjnik. Jeśli spełnicie moje żądania, reszta będzie mogła odejść.

– Jesteś kłamcą z kurwy rodzonym – odparł spokojnie Camlin, po czym prychnął. – Z takimi jak ty nie ma sensu się układać.

– Macie moje słowo honoru – rzekł Morcant.

– Czyli bardzo, bardzo mało. – Camlin się roześmiał.

Morcant zmrużył oczy.

– Pamiętam cię z Ciemnego Boru. To ty jesteś tym łaszującym się przydupasem Braitha. Od dawna prześladujesz mnie jak wrzód na dupie. Chyba zabiję cię bez wstępów.

– On jest mój! – wrzasnął Rafe, stojący kilka kroków dalej.

Camlin zerknął na pozostałych. Vonn marszczył brwi. Zacięta twarz Brogana wyrażała gotowość na wszystko. Lorcan żuł wargę.

To dobry chłopak, ale głowę wciąż ma nabitą opowieściami o chwale i szlachetności, pomyślał Camlin. Pewnie chciałby ocalić nas wszystkich.

– Morcant to żmija! – szepnął do niego. – Nie możesz mu wierzyć!

– Doskonale rozumiem twój tok myślenia – rzekł Morcant. – Cóż, ale skoro nie chcesz zaufać mnie, być może zaufasz komuś innemu.

Skinął na kogoś z tyłu. Wojownicy rozstąpili się, by przepuścić postać w płaszczu z kapturem, bez wątpienia kobietę. Weszła stopień wyżej od Morcanta i zatrzymała się, by ściągnąć kaptur. Lorcan zasyczał.

– Mama... – szepnął.

– Och, Lorcanie, mój chłopcze – powiedziała Roisin drżącym głosem.

Miała zginąć na bagnach!, pomyślał Camlin.

– Wybaczam ci, kochanie – rzekła Roisin do syna. – Rozumiem cię. Byłeś zauroczony Edaną, ale ten czas już minął. Dołącz do mnie i napraw wszystko, co zepsułeś!

– Sama zmusiłaś mnie do podjęcia decyzji. Przecież twój plan był od początku do końca zły! A poza tym, co z Rhin? – spytał chłopak. – Sama mówiłaś, że chce nas zabić. Bez przerwy to powtarzałaś!

– Wiele rzeczy się zmieniło – odparła Roisin. – Rhin ma teraz większych wrogów i większe zmartwienia. Rozmawiałam z Morcantem, który został wyniesiony do rangi regenta Ardanu i znajduje się w kręgu najbliższych współpracowników królowej. Rhin nie podobają się rządy, jakie Conall zaprowadził w Domhainie, i szuka kogoś, kto będzie władał naszą ojczyzną w jej imieniu. Być może wybór padnie na nas. Na ciebie. Morcant mówi, że jeśli ukłęknie przed nią i złożysz jej przysięgę na wierność, Rhin okaże ci łaskę.

– Mam jej służyć? – parsknął Lorcan. – Przecież ona zabiła mi ojca!

– Tak – przyznała Roisin. – Był to straszliwy czyn i bez wątpienia błąd, ale to wojna, a podczas wojny ma miejsce wiele złych rzeczy. Musimy się skupić na przyszłości. Czasem trzeba po prostu sobie wybaczyć i inaczej ułożyć życie, zarówno dla nas samych, jak i dla mieszkańców Domhainu.

– A co z moimi towarzyszami? – spytał Lorcan.

Waha się, pomyślał Camlin. Niewykluczone, że Roisin dogadała się jakoś z Morcantem, by uratować własną skórę i syna, ale nie sądzę, by Morcant pozwolił nam odejść.

– Pamiętaj, że Morcant to kłamca! – zawołał do chłopaka.

– Dość tego! – prychnęła Roisin. – Lorcanie, chodź do mnie. – Wyciągnęła dłoń. – Proszę! – dodała.

– Obiecujesz, mamó? Nic im się nie stanie?

– Oczywiście, kochanie.

– Przysięgasz na moje życie?

– Na twoje i na moje własne.

– Nie rób tego! – syknął Camlin.

– To nasza jedyna szansa – odparł Lorcan cicho. – Roisin nie skrzywdzi mnie, bo to moja matka, a ponadto widziałem, jakie wrażenie wywiera na mężczyznach. Potrafi ich omotać tak, że są gotowi wszystko dla niej zrobić. Spójrz tylko, jak Morcant na nią patrzy! Trafię do niewoli, ale kto wie? Może jeszcze zdołasz mnie ocalić. Niemniej najpierw musisz wyjść stąd żywy.

I wtedy, nim Camlin zdołał go pochwycić, Lorcan ruszył w dół schodów ku matce.

– Zapomniałeś o naszyjniku – odezwała się Roisin. – Błagałam o twoje życie na kolanach i wyjednałam ci przebaczenie, ale tylko pod warunkiem, że oddasz naszyjnik.

– Jest tu – odparł Lorcan.

Podczas walki zawiesił go sobie na szyi i wsunął pod kolczugę, skąd wyciągnął go teraz, mocno zaciskając dłoń na łańcuszku. Zszedł jeszcze kilka stopni i ujął wyciągniętą dłoń matki.

– Uwolnij ich. – Lorcan zwrócił się do Morcanta.

– Oczywiście – rzekł regent Ardanu, po czym zrobił krok naprzód i wbił chłopakowi nóż w szyję.

Roisin wrzasnęła, patrząc, jak jej syn osuwa się na ziemię. Ostatnim wysiłkiem woli Lorcan wyrzucił naszyjnik w powietrze. Morcant powiódł za nim wzrokiem i wyciągnął rękę, by go pochwycić, kiedy nagle załopotwały skrzydła i wielkie, czarne ptaszysko złapało klejnot w locie. Dłoń Morcanta zacisnęła się na pustce. Craf uleciał w noc.

Roisin wyła i szlochała, tuląc słabnącego syna. Jedną dłoń oparła na jego szyi, próbując zatamować obfity krwotok.

Na schodach pojawiła się kolejna postać w płaszczu. Była to Rhin, która poderwała rozpaczającą kobietę i jednym szarpnięciem, bez wysiłku postawiła ją na równe nogi.

– Myślałaś, że rzuciłaś czar na mego Morcanta? – warknęła. – Że jest już twoją marionetką?

Pchnęła Roisin nożem w brzuch, obróciła go w ranie i wyszarpnęła. Roisin wciągnęła gwałtowne powietrze i zacisnęła dłonie na ranie. Kolana się pod nią ugięły i padła na schody.

– Głupia baba. – Morcant uśmiechnął się i kopnął Roisin, która bezwładnie potoczyła się po stopniach.

Brogan ryknął niczym rozwścieczony byk, napiął ogromne mięśnie i runął do dzikiej szarzy w dół schodów.

– Stój! – zawołał za nim Camlin, ale owładnięty furją wojownik nie słyszał już głosu rozsądku. Myślał tylko o tym, by pomścić Lorcana. Rzucił się w sam środek grupy na schodach, roztrzając ich wszystkich, nawet olbrzymy. Kilka osób się zachwiało, inni potoczyli się w dół, ktoś z wrzaskiem spadł ze schodów, a oszalały Brogan nadal parł naprzód.

Camlin spojrział na Vonna. Wiedzieli, że go nie zatrzymają.

– Skaczemy! – zawołał Camlin.

– Nie przeżyjemy tego! – odparł Vonn.

– Możliwe. – Camlin wzruszył ramionami. – Ale wedle mnie mała szansa to i tak lepiej niż całkowity brak szans.

Wskoczył na blanki. Vonn zawahał się, ale poszedł w jego ślady.

– Do zobaczenia! – zawołał Camlin. Wiatr porwał jego słowa, gdy skoczył w mrok.

Rozdział pięćdziesiąty szósty

LYKOS

Lykos zarzucił plecak na plecy i przeszedł przed swoimi zgromadzonymi ludźmi.

Moi żeglarze, pomyślał.

Wybrał swoich najlepszych wojowników, tych, na czele których ruszał do abordażu w samym środku bitew morskich. Wielu spośród nich towarzyszyło mu od samego początku walki o zjednoczenie Trzech Wysp, a to oznaczało, że nieraz broczyli po kostki we krwi. Patrzył na osiem dziesiątek maszyn do zabijania, na wojowników sprawdzonych w setkach starć, pokrytych wieloma bliznami, które stanowiły najlepszy dowód ich waleczności.

Twardzi ludzie, co do jednego, myślał.

Zerknął na niebo. Księżyc w pełni zalewał świat odcieniami błękitu i mroku, a przejrzyste chmury migotały, jakby utkano je ze złota.

Rozległy się kroki i na dziedziniec wszedł Calidus, a za nim Legion i kolejni Kadoshim.

– Wszystko gotowe? – spytał starzec.

– Tak.

– Od wielu lat wspólnie podejmujemy wszelkie wysiłki, aż znaleźliśmy się bardzo blisko celu. Okazałem ci lojalność. Wyniosłem cię do godności władcy Vin Thalun, tego, który wreszcie zawładnął wszystkimi trzema wyspami. Pamiętasz, czego kiedyś pragnąłeś?

– Pamiętam – szepnął Lykos. Myślami powrócił do wietrznej, gwieździstej nocy, którą spędził na szczycie wzgórza, otoczony migotliwym aksamitem morza. Przypomniawszy sobie ognisko, garnek i krew.

Asroth, pomyślał, bezwiednie odnajdując bliznę na dłoni.

– Kiedy wygramy tę wojnę, otrzymasz o wiele więcej – ciągnął Calidus. – Czeka cię nagroda, która przekracza twoje najśmielsze wyobrażenia.

Cóż, potrafię sobie wyobrazić całkiem sporo, ale podobają mi się te słowa, pomyślał Lykos, choć słowa Calidusa przypomniały mu o jednym tylko marzeniu.

Fidele. Tak, ona starczyłaby za całą nagrodę. Ale co z Nathairem? Nie sądzę, by spodobało mu się to, co sobie wymyśliłem.

Obliznął usta.

– Potrzebujemy torkwesu z gwieźdznego kamienia. – Calidus położył mu dłoń na ramieniu i zaciskał ją coraz mocniej. Lykos poczuł ból, ale nawet nie drgnął. – Przynies mi go, a w ten sposób przybliżysz koniec wojny.

– Przyniosę ci go – obiecał Lykos. – Prędzej zginę, niż cię zawiodę.

– To dobrze. – Calidus się uśmiechnął. Jego zęby błysnęły w blasku gwiazd. Rozluźnił dłoń, zaciśniętą na ramieniu pirata. – A więc ruszajcie.

Ludzie Lykosa unieśli pięć wielkich łodzi i ruszyli w drogę. Wielkie wrota zaczęły się rozchyłać. Calidus zatrzymał się przy bramie, a władca piratów wkroczył w ciemność tunelu o kamiennych ścianach, zmierzając na zalane mrokiem łaki. Obok niego szedł Legion, a dziesięciu innych Kadoshim tworzyło straż tylną i przednią.

Razem jest nas dziewięćdziesięciu dwóch, pomyślał Lykos. Na pewno nie jest to największy hufiec w historii wojen, ale więcej ludzi mi nie trzeba. Trzeba działać szybko i sprawnie, a gdy przyjdzie co do czego, przyda mi się kilku twardzieli za plecami.

Szybko przemierzali równinę, weszli między drzewa i przez jakiś czas podążali traktem Jaela. Zeszli z niego, gdy skręcił na północny

zachód, po czym zaczęli przebijać się przez gęstwiny, kierując się na północ. Wkrótce Lykos usłyszał plusk fal.

Rzeka była szeroka i migotała pianą, a prąd wydawał się silny. Pokonanie setki mil w górę tej bestii wydawało się wyczynem nie lada, ale to i tak było lepsze od przedzierania się przez Forn.

Lykos uważnie nadzorował wodowanie łodzi. Patrzył, jak cumowano je do drzew, jak wsuwano ruple na miejsca, układano wiosła w dulkach i ustawiano maszty ze związanymi mocno żaglami. Wiatr był zbyt słaby, by mogli z nich skorzystać.

– Chłopaki, jak skończycie, odpocznijcie chwilę – odezwał się. – Ja niedługo wrócę. Hesp, Damas, za mną.

Odwrócił się i ruszył na zachód wzdłuż biegu rzeki. Dwóch Vin Thalun ruszyło w ślad za nim.

– A ty dokąd się wybierasz? – Legion dołączył do nich, a wokół zabzyczały chmary much.

– Muszę się spotkać ze starym przyjacielem – rzekł Lykos.

– A misja? – warknął Legion.

– Nie ucierpi – odburknął Lykos. – Daleko się nie wybieram.

Legion ruszył za nim. We czterech przedzierali się przez gęste zarośla, przełazili przez pnie zwalonych drzew i wymijali zagajniki, starając się zachować jak największą ciszę. Przez cały czas starali się, by rzeka pozostawała w zasięgu słuchu. Wnet dotarli do drogi Jaela, wspięli się po nasypie i zeszli po drugiej stronie, po czym pokonali jeszcze kawałek drogi.

Czy ta zdzira półkrwi powiedziała prawdę?, myślał Lykos, walcząc z ochotą, by zatrzymać się i ruszyć w drogę powrotną. Zachowuję się jak idiota. Po co ja podejmuję takie ryzyko? Przecież Calidus ze skóry by mnie obdarł, gdyby się dowiedział.

Zerknął na Legiona.

Jeszcze kilka kroków i zawracam, postanowił.

Mimo to szedł naprzód. Obsesja ciągnęła go niczym ogromny magnes, aż wreszcie Legion wyciągnął rękę i złapał go za nadgarstek. Nie było to przyjemne doznanie, bo dłoń Kadoshim okazała się zimna i lepka. Na skórze Lykosa natychmiast usiadły muchy.

– Musimy wyruszyć przed świtem! – oznajmił Legion. – Dalej nie idziemy.

Lykos poczuł przyływ gniewu. Nie podobało mu się to, że Calidus ciągle wydaje mu rozkazy, i nie miał najmniejszego zamiaru pozwolić na to, by inny Kadoshim uległ wrażeniu własnej wspaniałości i też zaczął nim pomiatać.

Naraz Legion gwałtownie obrócił głowę. Przechylił ją na bok i zaczął nasłuchiwać i węszyć.

– Co się dzieje? – szepnął Lykos, opierając dłoń na rękojeści krótkiego miecza.

– Coś przed nami – oznajmił Legion i znów wciągnął powietrze. – Coś martwego.

– Pokaż mi! – rzekł Lykos, czując podniecenie.

Legion ruszył przodem, aż zatrzymali się przed ogromnym ciemnym kształtem. Lykos również poczuł zapach zgnilizny. Wyciągnął dłoń i namacał futro, a pod nim kości. Potem dostrzegł łeb, z którego odpadło już mięso, odsłaniając długie, ostre zęby.

– Co to takiego? – wymamrotał Legion.

– Ogromny niedźwiedź – odparł Lykos i uśmiechnął się szeroko, po czym podjął wędrówkę.

– Jeszcze tylko kawałek – szepnął w mrok.

Rozdział pięćdziesiąty siódmy

FIDELE

– Jak się dostaniesz do środka? – Fidele zwróciła się do Veradisa.

– Jeszcze tego nie wiem. – Veradis zmarszczył brwi. – Trzeba będzie jakoś odwrócić uwagę wroga, by nie przyglądano nam się zbyt.

Fidele stała przed dowódcami ruchu oporu, którzy spoglądali na Veradisa i setkę jego wojowników w czerni i srebrze Tenebrału. Napierśnik Veradisa został wypolerowany na wysoki połysk, a biały orzeł jaśniał mu na piersi. Stojący za nim ludzie poczernili własne pancerze, by ukryć wieżę Ripy.

Fidele uniosła wyżej pochodnię i uważnie przyjrzała się pierwszemu szeregowi.

– Wystarczy byle inspekcja, by rozgryźli wasz podstęp – powiedziała nie po raz pierwszy.

– Dlatego właśnie musimy przeprowadzić akcję w nocy – Veradis wzruszył ramionami – i trzeba nam czegoś, co zmyli ich czujność.

– Możemy przeprowadzić pozorowany atak na mury Drassil i narobić hałasu – rzekł Balur.

– Naprawdę myślisz, że to mądry plan? – Fidele zwróciła się do Veradisa.

Szarpnął się za krótką brodę.

– Nie – rzekł w końcu. – Ale w Drassil są jeńcy, którzy giną dzień po dniu. Nasi rodacy.

Dobry z niego człowiek. Oddałabym wiele za to, by Nathair wyrósł na kogoś takiego, pomyślała Fidele i poczuła ból w sercu na

wspomnienie syna.

– Jeśli przedostaniemy się do wnętrza, zaprowadzę was do szpitala, gdzie trzymani są wszyscy więźniowie – odezwała się Ilta z rodu Jehar, która stała w szeregu z ludźmi Veradisa. Wdziała napierśnik, a długie, czarne włosy zwinęła i ukryła pod żelaznym hełmem.

– Nie rozpoznają cię? – odezwał się do brata Krelis. – Nie licząc Kłów Draiga, którzy udali się z Nathairem, o ile nadzieja cię nie zawodzi, jest jeszcze wiele innych osób, które mogą cię rozpoznać. Na przykład Calidus. Ba, wedle moich rachub w twierdzy jest jeszcze około dwóch tysięcy orlich strażników.

– Wiem – mruknął Veradis. – Przyszło mi do głowy, by zagotować trochę kory i przefarbować włosy.

* * *

– No i będzie ciemno.

– Mogę cię zastąpić – oświadczył Krelis.

Boi się o brata, ale nigdy wprost tego nie przyzna. Szuka więc innego sposobu, pomyślała Fidele.

– Nie wydurniaj się. – Brina parsknęła z pogardą. – Wzrostem dorównujesz olbrzymowi, a chodzi o to, by nikt nie zwrócił na was uwagi.

– Powinniśmy się z tym wstrzymać – uznał Alben. – I lepiej sobie wszystko przemyśleć.

– Dlaczego? – spytał Veradis. – Każdego dnia giną kolejni ludzie. Poza tym niczego więcej nie wymyślimy. Ruszam tam dziś.

Spojrzał na Fidele i Brinę, które z wolna wyrastały na prawdziwe przywódczynie ich grupy.

Fidele zmierzyła go uważnym spojrzeniem.

Podziwiam go za odwagę i determinację, ale wiem, że ta akcja może się zakończyć klęską, pomyślała.

– To będzie śmiałe uderzenie – rzekł z uśmiechem Javed. – Będą o nim śpiewać pieśni. Chętnie bym do was dołączył.

– A kto ci zaufa, że nie złapiesz za nóż na widok Vin Thalun? – spytał Wulf.

– Nie – rzekł Veradis. – Zabiorę tylko moich ludzi. Dyscyplina i umiejętność walki w murze tarcz okażą się tu niezmiernie istotne. Twój potencjał przyda się gdzieś indziej – dodał, patrząc na Javeda. – A więc? – Przeniósł wzrok na Brinę i Fidele.

Stara uzdrowicielka skinęła krótko głową.

– Idź więc z naszym błogosławieństwem – rzekła Fidele. – I wróć do nas żywy.

– Zrobię, co będzie w mojej mocy. – Veradis się uśmiechnął.

* * *

O, tam jest!, pomyślała Fidele, patrząc na wracających zwiadowców, a w ich liczbie Maquina. Lubiała ulgę, która zawsze przepełniała jej serce, gdy mężczyzna powracał bezpieczny.

To przecież Forn, gdzie grożą nam nie tylko Kadoshim, Vin Thalun i orla straż, dodała w myślach.

Uśmiechnęła się szeroko, rozkoszując się widokiem jego szczupłej, umięśnionej sylwetki i płynnym wdziękiem i oszczędnością ruchów. Ani jeden gest nie był wykonany na próżno. Naraz Maquin dostrzegł ją i jego surowe, ostre oblicze, poznaczone wieloma bliznami, niespodziewanie rozjaśnił uśmiech.

– Co się dzieje? Mam wrażenie, że ktoś rozrzucił kopniakiem mrowisko – odezwał się, miażdżąc ją w objęciach i całując w usta. Fidele uwielbiała momenty, gdy oboje zapominali o jej statusie oraz pozycji i po prostu byli sobą, jakby świat dookoła nich nie istniał.

– Veradis poprowadzi do Drassil oddział, który ma odbić jeńców – odparła.

– Co? Wiem, że zastanawiał się nad tym, ale nie miałem pojęcia, że chce wyruszyć dziś. Lepiej pójdę i spytam, jak najlepiej mu się przydam – oświadczył Maquin i cofnął się o krok.

– Przedstawię ci cały plan – powiedziała Fidele, po czym złapała go za rękę i odciągnęła na bok. – Ale potem.

– Po czym?

Fidele uśmiechnęła się i pociągnęła go za sobą. Wnet stanęli na brzegu wąskiego strumienia, porośniętym trawą i dzikimi kwiatami, gdzie była królowa rozesłała niedźwiedzie i jelenie futra i przygotowała niezłą ucztę – bukłak z dwoma kubkami, nieco pieczeni oraz ugotowanych warzyw.

– Co to za okazja? – spytał Maquin.

– Chciałam z tobą porozmawiać – powiedziała Fidele. – W tym trybie życia rzadko nam się trafia chwila prywatności.

– Trudno się nie zgodzić – odparł.

– A więc zapraszam! – Wskazała futra.

Maquin rozparł się wygodnie, a Fidele naląła mu puchar miodu z ostatnich zapasów, zrabowanych z obozu Gundula. Patrzyła, jak pije, a on ani na moment nie spuszczał z niej wzroku. Potem w ciszy zjedli posiłek, nie śpiesząc się, rozkoszując się swoim towarzystwem oraz tym, że nie muszą nic mówić. W końcu Fidele naląła Maquinowi jeszcze trochę miodu, a gdy mała uczta dobiegła końca, kobieta wyprostowała się i oznajmiła:

– Chciałam z tobą porozmawiać o tym, co się wydarzy... po tym wszystkim.

Maquin zamrugął.

A więc niczego się nie spodziewał, pomyślała. Wygląda na to, że nawet mistrza gladiatorów można czasem zaskoczyć.

– Ty jesteś królową, a ja... – Urwał i zmarszczył brwi. – Ja już nie mam pewności, czym właściwie jestem. Najpierw byłem przybocznym, potem jednym z Gadrai, a następnie niewolnikiem i gladiatorem. Nie wiem, jak należałoby mnie teraz nazwać, poza tym, że jestem szczęśliwym człowiekiem.

Uśmiechnął się do niej lekko, nieśmiało, co wręcz nie pasowało do oblicza straszliwego, bezwzględnego wojownika.

– Ale, bez względu na to, co chcesz powiedzieć, zrozumieć to. Na twoich barkach spoczywa odpowiedzialność za całe królestwo i...

– Cicho bądź – nakazała mu Fidele.

Maquin przez moment sprawiał wrażenie człowieka, który chce się pokłócić, ale wzruszył tylko ramionami, oparł się na łokciu

i czekał na to, co od niej usłyszy.

– Niełatwo ulegam iluzjom. Potrafię przejrzeć to, co nas otacza i wiem, że wojna przypuszczalnie skończy się śmiercią – powiedziała Fidele. – Nie tylko nas dwojga, ale wszystkich, którzy opowiedzieli się po tej stronie konfliktu. Mamy przeciwko sobie przewagę liczebną, a co więcej, nasz wróg budzi grozę. Musimy walczyć z Kadoshim, z całym narodem Vin Thalun, a także – pokręciła głową – z moim synem i armią Tenebralu. Mimo to walczymy, bo tak właśnie należy. Walczymy, choć nasze szanse na przeżycie...

– Są niewielkie – dokończył za nią Maquin.

– Tak. Niemniej może wydarzyć się cud. Może uda nam się jednocześnie przeżyć i zwyciężyć, i w związku z tym chciałabym, byś wiedział, że dla mnie to, co nas łączy, jest najważniejsze na świecie. I zawsze pozostanie najważniejsze. Nie w tej chwili, nie do końca wojny, ale przez resztę życia, aż po mój ostatni oddech.

* * *

– Jesteś dla mnie wszystkim – dokończyła, a wtedy wreszcie opuściła ją odwaga i pochyliła głowę.

Nie słyszała niczego, ani plusku strumienia, ani odgłosów, wydawanych przez wojowników Veradisa, szykujących się do wypadu. Maquin nagle drgnął i przypadł do niej. Pochylił się i ucałował ją w usta. Serce Fidele biło jak szalone.

– Wróciłem do ciebie z królestwa śmierci – szepnął drżącym głosem. – Dla mnie to, co nas łączy, od zawsze było najważniejsze, a słowa, które od ciebie usłyszałem, to najwspanialszy dar, jaki kiedykolwiek otrzymałem. Wypisałaś je właśnie na moim sercu i na mej duszy.

– A więc pozwól, że obdaruję cię jeszcze czymś – powiedziała z uśmiechem. Jej serce tłuło się dziko, gdy złapała go za skórzany kaftan i przyciągnęła do siebie.

* * *

Maquin chrapał cicho, oddechem łaskocząc Fidele w ucho. Leżała obok niego i muskała palcem jego mocną szczękę, szyję oraz pierś, co chwila natrafiając na kolejną bliznę. Leżeli spleceni pod futrami, aż Fidele uznała, że czas najwyższy się wyswobodzić. Wstała i ubrała się, a potem pochyliła się i ucałowała mężczyznę w policzek.

– Wybacz mi – szepnęła, a potem dołączyła do Agosta, który czekał na nią kilkanaście kroków dalej w asyście paru zbrojnych.

– Wszystko gotowe – powiedział wojownik i wręczył Fidele włócznię.

– Kto zostaje z Maquinem? – spytała.

– Spyr – rzekł Agost.

W odpowiedzi wystąpił młodszy, ciemnowłosy wojownik.

– Przekaż mu to, kiedy się obudzi – powiedziała Fidele i dała Spyrowi zwinięty pergamin. – Co pewnie nie nastąpi aż do południa.

Brina robi porządne eliksiry nasenne, pomyślała.

Poprosiła ją o wywar kilka dni wcześniej, tłumacząc się trudnościami z zaśnięciem, a wlanie go do bukłaka z miodem okazało się błahostką.

Na pewno chciałby mnie powstrzymać, bojąc się o moje bezpieczeństwo, ale ja wiem, że postępuję słusznie, dodała w myślach. Muszę to zrobić i już.

– Chodźmy więc – powiedziała i poszła przez obóz na czele sześciu przybocznych.

Veradis i jego ludzie ruszali właśnie w drogę. W blasku pochodni widać było olbrzymy, przemieszczające się między drzewami niczym widma. Fidele oraz jej ludzie dołączyli do tylnej straży. Przez jakiś czas maszerowali wraz z podkomendnym Veradisa, aż na znak Agosta odeszli nieco, zatrzymali się przy wielkim drzewie i zaczęli, aż reszta zbrojnych zniknie w ciemnościach.

– Tędy, moja pani – rzekł Agost i ruszyli na wschód.

Fidele planowała odnaleźć trakt Jaela i podążać nim na południowy wschód. Stamtąd chcieli pójść po śladach, które

pozostawił za sobą draig oraz hufiec Nathaira.

Odnajdę mego syna i porozmawiam z nim, pomyślała. Sprowadzę go do nas, jeśli zdołam, a jeśli nie...

Jej dłoń opadła na nóż przy pasie.

Znów poczuła żal na myśl o tym, że zataiła swój pomysł przed Maquinem. Żałowała teraz, że nie zwierzyła mu się, a co gorsza, podała mu wywar, by za nią nie podążył.

Nad jej głową zabzyczała mucha. Fidele odpędziła ją machnięciem, a wówczas pojawiły się kolejne, głośne i natrętne. Idący przed nią Agost zwolnił, a potem zatrzymał się, wpatrując się w mrok.

– Uwaga! – wrzasnął i z sykiem wyrwał miecz z pochwy.

Jeden z przybocznych Fidele padł na nią, bryzgając krwią z rozprutego gardła.

Kobieta pochwyciła włócznię oburącz, rozstawiła szeroko nogi i wycelowała grotem w ciemność. Naraz usłyszała za sobą szczęk oręza. Odwróciła się i ujrzała swą straż, uwikłaną w zacieklą walkę z postacią odzianą w czerń, zbrojną w zakrzywiony miecz. Strach zacisnął jej żelazną dłoń na sercu.

Kadoshim! Co oni tu robią? Moi ludzie... Co ja najlepszego zrobiłam?

Usłyszała głucho postękiwania Agosta. Zwróciła się w jego stronę i ujrzała, że wymienia ciosy z brodaczem w skórzanym pancerzu, uzbrojonym w krótki miecz. Jego skóra w blasku księżyca wydawała się blada.

Człowiek. Lepiej...

Zacisnęła zęby i wbiła włócznię prosto w jego udo. Wstrząśnięty wojownik odwrócił ku niej głowę, a wtedy Agost odebrał mu życie potężnym cięciem. Błysnęły żelazne pierścienie w zaplecionej w warkocze brodzie.

To jeden z Vin Thalun, uświadomiła sobie Fidele.

Obracając się, ujrzała kolejnego ze swych ludzi, który padł, siejąc naokoło czarną krwią. Ktoś złapał ją za nadgarstek. Zamachnęła się włócznią niczym kijem, ale zamarła, gdy przekonała się, że był to Agost z zakrwawioną twarzą.

– Tędy! – warknął.

Fidele spojrzała na walczących.

– Zapomnij o nich! Walczą o to, byś ty przeżyła. Ruszą za nami, jeśli będą w stanie! – sapał Agost, wlokąc kobietę za sobą, ale niespodziewanie wyrósł przed nimi cień z wzniesionym zakrzywionym mieczem. Fidele miała mgłę w oczach, a bzyczące naokoło muchy tłumiły wszelkie inne dźwięki. Pchnęła na ślepo, ale poczuła, jak ostrze włóczni wgryza się w ciało.

Kadoshim rąbnął w drzewce i rozłupał je na pół. Naraz dopadł go Agost i ciął go mieczem po gardle, ale przeciwnik zdążył złapać ostrze, wyrwać je wojownikowi z ręki i cisnąć w zarośla. Wówczas Fidele wyrwała nóż i rzuciła się na demona, dziabiąc go po szyi, gotowa odrąbać mu głowę, ale ten zignorował ją i chlasnął usiłującego powstać Agosta. Jego zakrzywione ostrze wgniotło hełm wojownika i posłało go na ziemię.

Czyjaś dłoń wczepiła się we włosy Fidele i oderwała ją od Kadoshim. W tej samej chwili potwór złapał Agosta i poderwał go w górę. Rozległ się mokry chrzęst, a Agost wrzasnął przeraźliwie i zamachał ramionami, po czym umilkł i zwiśł bezwładnie. Słysząc było tylko odgłosy wydawane przez posilającego się demona.

Fidele zwalczyła nudności. Przypomniała sobie o nożu i spróbowała się odwrócić, by dźgnąć napastnika, ale czyjaś pięść wyrznęła ją w szczękę. Oślepiła ją eksplozja gwiazd, a siły wyciekły z jej ciała niczym woda z przedziurawionego wiadra. Gdyby nie obca dłoń, nadal wczepiona w jej włosy, osunęłaby się na ziemię.

– Witaj, Fidele – rzekł Lykos.

Rozdział pięćdziesiąty ósmy

CYWEN

Cywen leżała na pryczy i wpatrywała się w strażnika z Vin Thalun przy drzwiach. Było ciemno i przypuszczalnie już dawno minęła północ, ale wojownik pilnujący szpitala nadal nie spał.

O tej porze zazwyczaj już chrapiesz, pomyślała Cywen.

Usłyszała za sobą skrzypnięcie, gdy ktoś poruszył się na łóżku.

Hild. Może coś podejrzewa...

Cywen miała ogromną ochotę opowiedzieć jej o swoim planie. Chciała zdradzić go wszystkim. Pragnęła przebiec przez szpital i ostrzec wszystkich, że ta noc właśnie nadeszła. W szpitalu trzymano ponad dwustu więźniów, z których nikt nie wymagał opieki lekarskiej. Jeden z nich był po amputacji nogi i poruszał się o kulach, inny stracił rękę poniżej łokcia, ale wszyscy byli sprawni umysłowo i gotowi podjąć decyzję o ucieczce.

Myślałam o tej chwili tak długo, a teraz, gdy przyszło co do czego, jestem przerażona, pomyślała Cywen. Pozostały nam już tylko dwie opcje – ucieczka albo śmierć.

Przełknęła ślinę, bo zdawała sobie sprawę z tego, że jeśli ich złapią, nie zostaną po prostu straceni. Skończą nabici na pal.

Nie myśl o tym, upomniała się.

Wiedziała, że takie myśli wywołują jedynie lęk i niezdecydowanie, a przecież za moment wstanie słońce i robi się za późno.

Podciągnęła koc wysoko aż po szyję, a wtedy ostrożnie i bardzo powoli wyjęła z ukrycia wilkunie szpony Corbana i zapięła je sobie na nadgarstku.

Czekała, przyglądając się strażnikowi spod opuszczonych powiek. Vin Thalun poruszył się. Jego powieki już zaczynały opadać, gdy rozbudził go czyjś śmiech na zewnątrz.

Teraz albo nigdy, pomyślała Cywen i wyslizgnęła się z pryczy.

Strażnik spojrział na nią i skrzywił się, a ona wskazała mu wiadro w kącie pomieszczenia, które spełniało rolę latryny dla więźniów. Skinął z niechęcią głową. Cywen przeszła przez salę i zniknęła mu z oczu, a wtedy przewróciła wiadro kopniakiem, złapała się za brzuch i pochyliła z głośnym jękiem.

– Co się dzieje?! – zawołał z irytacją Vin Thalun i podszedł do Cywen, by położyć jej dłoń na plecach, na co ta wbiła mu szpony wilkuna w gardło i pchnęła go plecami na ścianę.

Strażnik zatoczył się, próbował krzyczeć, ale z jego ust wydobył się jedynie syk. Ześlizgnął się powoli po ścianie, pozostawiając na niej krwawy ślad. Źrenice uciekły mu w tył głowy.

Cywen stała jak sparaliżowana i słuchała łomotu swego serca. Wpatrywała się w drzwi, przeświadczona, że te zaraz staną otworem, a do środka wtoczy się horda Vin Thalun.

– Co ty wyprawiasz? – zasyczał ktoś. Była to Hild, która podniosła się z pryczy.

Inni też siadali i mrugali – Cywen widziała wśród nich kobiety i mężczyzn z osady Gramma oraz wojowników z hufca Jaela.

– Niech ktoś założy te łańchy! – szepnęła Cywen, ściągając zabitemu skórzaną kamizelę oraz pas.

Nóż zabrała dla siebie, ale skrzywiła się, gdy zważyła go w dłoni – był o wiele za ciężki, by nim rzucać. Resztę przekazała Yalricowi, byłemu wojownikowi Gramma, który miał na tyle długą brodę, że mógł uchodzić za Vin Thalun. Szeroki uśmiech na jego twarzy, gdy zapinał pas wokół bioder, zdradzał, iż był gotów wykonać zadanie.

– Pomóżcie mi – stęknęła Cywen i z pomocą Hild zawlokła trupa w ciemny kąt sali. Wokół zbierali się już inni, zszokowani i skonfundowani, pośpiesznie się rozbudzając.

– Co się dzieje? – szepnął ktoś.

– Wynosimy się stąd – odparła cicho Cywen. – I to teraz!

– Nie! Szanse, że... – zaczął ktoś, o wiele za głośno jak na jej gust.

– Mamy dziś dokładnie taką samą szansę powodzenia jak jutro czy pojutrze, ale w międzyczasie ktoś znów zginie na palu – warknęła Cywen. – Ja uciekam i zabieram ze sobą każdego, kto również chce się stąd wynieść.

Spojrzała na Hild. Surowa kobieta odwzajemniła jej spojrzenie i skinęła sztywno.

– Którędy? – zapytała.

– Przez okno z tyłu, a potem zielnik. Jest tam tunel...

– Skąd ty to wiesz? – zapytał Yalric.

– Bo go widziałam. Nie ma czasu na wyjaśnienia. Ruszamy.

Zapadła cisza, po czym więźniowie zaczęli się przygotowywać. Niektórzy budzili pozostałych śpiących i szeptem przekazywali im instrukcje, a Cywen wybrała z szafy Briny wszystko, co mogło mieć jakieś zastosowanie. Niebawem zgromadzili się u stóp szerokich schodów, które prowadziły na balkon.

Na zewnątrz rozległ się tryumfalny okrzyk i czyjś śmiech, co oznaczało kolejnego zwycięzcę w grze w kości.

– Możemy skoczyć na strażników – zaproponowała Hild. – Mamy przewagę!

– Narobimy hałasu! – zaprotestowała Cywen. – Pojawią się inni. Musimy uciec stąd po cichu, nim ktokolwiek się zorientuje.

Spojrzała na Yalrica, który siedział na krześle strażnika, odsuniętym nieco od ognia, by zasłaniały go cienie. Narzucił na siebie płaszcz, ale nie zmyliłby w ten sposób nikogo, kto zechciałby się mu baczniej przyjrzeć. Wojownik zerknął na nią i skinął głową. Dobrze wiedział, co się wydarzy, jeśli jakikolwiek Vin Thalun przejdzie przez te drzwi.

Wyprowadzę ich stąd, postanowiła Cywen.

Odwróciła się i popędziła po schodach. Skręciła do swego pokoju, opromienionego blaskiem księżyca, który wpadał przed otwarte okno. Przypadła do szafy, podniosła luźny panel, wyrwała księgę Briny i wsunęła ją do kieszeni płaszcza. Inni znaleźli się już na górze i Cywen pomagała im przechodzić na drugą stronę. Ludzie przemykali przez zielnik i kryli się wśród liści.

Już dziesięć osób!

Kolejna była Hild. Serce Cywen waliło jak młotem, ale mimo to uśmiechnęła się na myśl o rychłym spotkaniu kobiety z jej dziećmi.

Nagle po fortecy rozszedł się łoskot przypominający odległe uderzenia pioruna, rytmiczne, powtarzające się. Potem od murów odbił się ryk rogów, a po nim dało się słyszeć pokrzykiwania ludzi i tupot wielu stóp.

Co tam się dzieje, na moce Zaświatu?, pomyślała Cywen.

Wszyscy uciekinierzy, zarówno w pokoju, jak i na balkonie czy w zielniku, zamarli, sparaliżowani tą samą myślą.

Oni wiedzą!

Cywen jednakże szybko uzmysłowiła sobie, że to bezpodstawne domysły. Tak, po ulicach biegali zbrojni, ale przecież oddalali się od szpitala, miast się do niego przybliżać.

– Ruszajcie! – szepnęła i pociągnęła kolejną osobę.

Naraz drzwi do szpitala stanęły otworem i ktoś wyszczełał rozkaz. Rozległy się krzyki, zazgrzytała stal.

Cywen przypadła do balkonu i ujrzała Vin Thalun wpadających do wnętrza. Yalric zerwał się, ciął mieczem. Chlusnęła krew, a najbliższy pirat runął z rozchlastanym gardłem. Wojownik przeskoczył nad padającym ciałem i natarł na wroga, ale Vin Thalun było zbyt wielu i Yalric musiał się cofać. Padł kolejny pirat, z wyciem zaciskając dłonie na ranie ziejącej w brzuchu, ale w tej samej chwili Yalric zawirował, potknął się i runął, nie mogąc dłużej odpierać nawały ciosów. Chwilę później znikł wśród napastników.

Do środka wciąż wpadali nowi Vin Thalun, rozglądając się. Niektórzy biegli już po schodach. Ktoś dziko dął w róg.

Nie mamy broni! To będzie rzeź, pomyślała Cywen.

– Naprzód! – wrzasnęła, wpadając do swego pokoju. W oknie zapanował ścisk, gdyż zbyt wielu ludzi usiłowało uciec naraz.

Nie, to nie może się tak skończyć!

Niektórzy uciekinierzy ulegali panice. Zawracali i wpadali z powrotem do sali, gdzie z wrzaskiem rzucali się na nich Vin Thalun. Cywen cofnęła się o krok, poprawiła rękawicę z kłami wilkuna, a potem sięgnęła do kieszeni płaszcza.

– Ucieczka albo śmierć – powtarzała półgłosem.

Vin Thalun zamajaczyli w przejściu. Cięła pierwszego po twarzy, pozostawiając na niej trzy krwawe pręgi. Wojownik zatoczył się, ale inni rzucili się już na nią, chcąc ją pochwycić. Cywen jednym machnięciem odrąbała komuś palce, potem przeorała czyjeś udo i pchnęła innego pirata w gardło. Z każdym ciosem cofała się o kilka kroków, aż odwróciła się i rzuciła do ucieczki. Gnała prosto na okno, choć wciąż przełaziło przez nie parę osób. Wpadła na nich z rozpędu i posłała wszystkich na dół, a potem sama wyskoczyła.

Spadła na liście i łodygi. Wokół eksplodowała wilgotna ziemia, która oblepiła jej twarz i wdarła się do nosa. Cywen zerwała się i stęknęła z bólu. W oknie pojawili się Vin Thalun, którzy zaczęli już przełazić w ślad za nimi.

W ogrodzie zielnym panował chaos. Ponad setka jej towarzyszy niedoli tłoczyła się i rozglądała dookoła, nie mając pojęcia, co uczynić. Z głównego dziedzińca leżącego za rogiem wybiegali Vin Thalun. Rumor wielu stóp zdradzał, że nadciągali kolejni.

Cywen zauważyła Hild i złapała ją za rękę.

– Tędy! – wrzasnęła. – Za mną!

Ruszyła biegiem, prowadząc uciekinierów, ale drogę zastąpili jej Vin Thalun. Cywen wyhamowała.

– Poddajcie się – oznajmił jeden z nich. – A unikniecie śmierci.

Cywen sięgnęła do kieszeni płaszcza i znalazła fiolkę osobliwego kształtu. Cisnęła nią w człowieka, który się odezwał. Naczynko rozbiło się o jego pierś, a płyn, opryskawszy ludzi dookoła, wniknął w skórzany pancerz.

– Cóż to znowu? Chcesz, żebym się przemoczył i zaczął kichać? – Wojownik wyszczerzył zęby. Jego towarzysze parsknęli śmiechem.

Wtedy Cywen cisnęła drugą fiolką, tym razem czarną, również rozbijając ją o pierś pirata.

– Dobra, dość już tego – oznajmił Vin Thalun i zrobił krok naprzód. – Powiedziałem, że was nie pozabijam, ale tak czy owak może trochę zabolec – dodał z obleśnym uśmiechem.

– *Fuil agus tine, salann agus lasair* – wysyczała Cywen.

Po piersi przeciwnika przemknęła iskra i nagle buchnęły błękitne płomienie, które pochłonęły go w okamgnieniu. Zawirował,

wymachując ramionami, przy czym wpadł na towarzyszy, a płomienie chciwie przeskoczyły na kolejne ciała. W powietrzu poniosł się swąd płonącego mięsa.

Cywen pędziła, a Hild i pozostali za nią. Nagle rozległ się tupot stóp i inny Vin Thalun wyskoczył z cieni, powalając dziewczynę na ziemię. Wierzgała i kopała, ale napastnik uderzył ją w twarz puklerzem przytroczonym do ramienia.

– Widziałem twoje dzieło, wiedźmo! – warknął z nienawiścią i przerażeniem, po czym gwałtownym szarpnięciem postawił ją na nogi. – Podpaliłaś moich chłopców!

Powlókł ją z powrotem na dziedziniec przed wejście do szpitala. Vin Thalun, którzy jeszcze przed chwilą grali tam w hacele wokół ogniska, teraz zaganiali zbiegłych więźniów. Cywen zerknęła przez ramię i ujrzała Hild oraz kilkoro innych, którzy czaili się pośród cieni i wpatrywali w nią. Próbowwała dać im znać, by uciekali.

Ale dokąd? Przecież nikt z nich nie miał pojęcia, dokąd chciałam ich zabrać.

Wojownik, który złapał Cywen, rzucił ją na ziemię przed wejściem do szpitala, złapał włócznię i wbił ją między dwie płyty.

Nadzieję mnie, pomyślała dziewczyna. Tu i teraz.

Znalazła w sobie jeszcze trochę siły i zaczęła się szarpać między prześladowcami, sycząc, plując, kopiąc i gryząc, ale trzymali ją mocno, aż ktoś zdzielił ją w tył głowy i posłał na kolana. Zakreśliło jej się w głowie, a świat wokół pociemniał, rozplynął się.

Potem postawili ją szarpnięciem i przywiązali do włóczni. Widziała, jak rozbijają krzesła i stołki, a potem gromadzą drewno wokół niej.

– Lubisz ogień, co? Lubisz podpalać innych? Cóż, zaraz się przekonasz, czy podoba ci się taka śmierć – mruknął któryś z Vin Thalun i wsunął pochodnię w płomienie.

Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty

VERADIS

– Otwierać bramy! – wrzasnął Veradis, biegnąc ku bramom Drassil.

Ludzie podążali za nim w luźnym, nierównym szeregu. Z północnego odcinka fortyfikacji nadal dobiegał zgiełk. Veradis zerknął tam i ujrzał płonąca gałąź, która przeleciała nad murem i spadła do wnętrza. Buchnęły wrzaski.

Prawda, Alcyon mówił coś o odwróceniu uwagi wroga, ale tego się nie spodziewałem, pomyślał.

Spojrzał na coraz bliższą bramę, wciąż zamkniętą. Na murach pojawiły się cienie, opromienione blaskiem pochodni. Z lasu za nimi wychynął Balur oraz tuzin Benothi, wymachujący bronią i wywrzaskujący groźby, od których cierpła skóra.

Oni mają wyglądać na naszych wrogów, a my mamy udawać przerażenie!

Odruchowo przyśpieszył i raz jeszcze wrzasnął, by otwarto bramy, a w duchu pomodlił się, by go posłuchano.

Pozostało dwieście kroków, a wrota nadal były zamknięte.

Otwierajcie! Niech was szlag trafi!, wrzeszczał Veradis w swojej głowie.

Nagle wrota skrzypnęły, a między nimi pojawiła się szczelina światła. Otworzyły się na tyle szeroko, by Veradis i jego przebrana banda zdołali się przecisnąć, nadal zachowując szyk, a potem się zatrzasnęły. Kilkanaście uderzeń serca później rozległa się seria łupnięć, gdy Balur i jego towarzysze uderzyli w bramę.

Dziedziniec był oświetlony ogniskami i koszami z żarem. Było tam tłoczno od orlej gwardii oraz Vin Thalun, a Veradis miał wrażenie, iż dostrzegł wśród nich również kilku czających się Kadoshim. Konie rżały i tupały w stajniach, ciągnących się wzdłuż dziedzińca, a nad nimi unosił się dym, efekt dywersji Alcyona przy północnym murze.

Oni myślą, że to otwarty szturm, uświadomił sobie Veradis. Czyżbyśmy właśnie wymierzyli gniazdu szerszeni zbyt silnego kopniaka? Czy zdołamy się wyrwać z tego pandemonium?

Wśród kłębow dymu ujrział wiele postaci. W pierwszej chwili przyszło mu do głowy, że spogląda na szyki zbrojnych, ale gdy dym się rozwiął, zrozumiał, na co patrzy. Były to równe szeregi mężczyzn i kobiety nadzianych na pale. Na twarzach trupów zastygło bezgraniczne przerażenie, a w nozdrza Veradisa wdarł się smród gnijących ciał.

Zwalczył chęć zwrócenia zawartości żołądka, a potem opanował pokusę, by wyszarpnąć miecz z pochwy i zacząć rąbać wszystkich dookoła, każdego, kto przyczynił się do tej zbrodni bądź przynajmniej na nią pozwolił.

Naraz pojawiły się przed nim jakieś twarze. Wciągnął powietrze w płuca i stłumił żądzę krwi, tym bardziej, że rozpoznał już kilku żołnierzy z orlej gwardii. Na szczęście nie był to nikt z Kłów Draiga, ale i tak ucieszył się, że nie zdejmował hełmu, ufarbował włosy i upačkał sobie twarz błotem.

– Przynoszę wieści dla Calidusa od króla Nathaira – wydyszał do pierwszego człowieka, który się nawinął. – Gdzie on jest?

– Chyba na północnym murze – odparł tamten. Był to młody wojownik, pełen energii, ale zdenerwowany. Z napięciem spoglądał na bramę, która dygotała, w miarę jak Balur ciskał w nią różnymi przedmiotami.

Veradis zerknął na Iltę, odzianą w srebro i czerń Tenebralu, z włosami związanymi i ukrytymi w żelaznym hełmie. Kobieta wystąpiła z szeregu i ruszyła przodem, a Veradis i pozostali pośpieszyli za nią.

– Musimy działać szybko! – rzucił do Ilty, dogoniwszy ją. – Bo nigdy się stąd nie wydostaniemy.

Jehar pokiwała głową. Wiodła ich pustymi, kamiennymi ulicami, wśród górujących nad nimi wież i murów. Poruszające się lekko nad ich głowami gałęzie sprawiały, że cienie i światło układały się w nieprzeniknione wzory.

Nie mogłem się nadziwić Jerolin, gdy ujrzałem to miasto po raz pierwszy, ale Drassil..., pomyślał Veradis.

Naraz dobiegły go jakieś okrzyki.

– Już jesteśmy prawie na miejscu – zawołała Ilta. – Na końcu tej ulicy znajduje się dziedziniec, a budynek na jego końcu to szpital.

– Formacja marszowa – rozkazał Veradis, a jego ludzie wyrównali szyk. Ilta dołączyła do szeregów.

Oddział zwolnił, przez co bardziej przypominał orlą straż, w czym pomogła dodatkowo panująca wokół ciemność. Wkroczyli na dziedziniec i ruszyli w stronę budowli górującej po przeciwnej stronie. Przed wejściem zgromadził się tłum, w większości Vin Thalun. Było ich pięć, może sześć dziesiątek, co ciężko było ocenić w migotliwym blasku ognia. Wojownicy otaczali grupę stłoczonych ludzi na kolanach.

Z przodu zaś widać było słup, przed którym rozniecono ogień. Płomienie pięły się już po płaszczu przywiązanej do słupa dziewczyny, która wrzeszczała i miotała się dziko. Veradis poznał ją od razu.

To Cywen!

– Przestańcie! – wrzasnął i ruszył ku Vin Thalun. Wyciągnął krótki miecz i zaczął tłuc nim o tarczę. Wojownicy z Ripy poszli w jego ślady.

Wszyscy odwrócili ku nim głowy.

– Przestańcie! – powtórzył, przedzierając się przez pierwszy szereg Vin Thalun, aż drogę zagroził mu jakiś wojownik.

– Uwolnijcie ją! – rozkazał Veradis, usiłując przepchnąć się dalej.

– Wiedźma spłonie i tyle! – warknął Vin Thalun.

– Kazałem ci ją uwolnić! Calidus chce wszystkich jeńców! – warknął Veradis. Nadal próbował się przepchnąć, ale pirat znów stanął mu na drodze.

– Możesz zabrać pozostałych, ale ona zostanie tu, póki nie spłonie.

Veradis z początku zamierzał powiedzieć strażnikom, że Calidus nakazał mu przejąć więźniów, i liczył na to, że uda się ich wyprowadzić ku wolności bez rozlewu krwi. Teraz uświadomił sobie, że w istocie mógł przeprowadzić ten plan. Mógłby zabrać stąd wszystkich, ale musiałyby poświęcić Cywen.

Rąbnął Vin Thalun w twarz umbem tarczy i ujrzał, jak zatacza się ze zmiążdżonym nosem, plując zębami. Doskoczył i rąbnął ponownie, tym razem posyłając go na ziemię. Inny Vin Thalun skoczył na niego, ale na drodze stanęła mu Ilta. Ciężka pirata, który próbował się zasłonić, ale mimo to zdołała wbić mu miecz w czaszkę. Vin Thalun padł, a kobieta wyswobodziła miecz i spojrzała na wroga z wściekłością.

– Prawda i odwaga! – wrzasnęła.

Vin Thalun zamarli na moment, wstrząśnięci, a potem rzucili się na nich ze wszystkich stron, wyjął. Miecz Veradisa zaśpiewał, zostawiając krwawe smugi w powietrzu. Młodzieniec, zasłaniając się tarczą, przebijał się ku Cywen. Widział już, że niektórzy więźniowie próbują ją uwolnić, a inni skaczą na Vin Thalun. Buchnęły płomienie i Veradis zatoczył się w tył. Rzucił się nań jakiś pirat, który zamachnął się mieczem, ale Tenebralczyk posłał go kopniakiem w płomienie, które buchnęły żywiej. Przeskoczył nad ciałem wrzeszczącego wroga, wznosił tarczę i runął przez ogień prosto na słup. Przewrócił go, ale pęd przeniósł go dalej – wypadł z płomieni i przetoczył się po bruku.

Spojrzał na spalone, poczerniałe drzewce włóczni, do którego przywiązana była dziewczyna.

Gdzie ona jest? Wpadła w ogień? Przeoczyłem ją?

Zerwał się na równe nogi, ale nigdzie nie widział jej ciała. Mimo to przygotował się, by wskoczyć w płomienie.

– Miło cię znów ujrzeć, Veradisie – usłyszał za sobą znajomy głos. Cywen!

Rozdział sześćdziesiąty

HAELAN

Po fortecy niosły się odgłosy walki oraz ryk rogów, w które dęto na alarm. Haelan biegł ulicami miasta, a obok niego sunęły Buddai i Garnek.

Co tam się dzieje? Czyżby plan Cywen się nie powiódł?, zastanawiał się chłopak.

Pozostawił Swaina i Sif na straży Trigg, którą skrepowali, gdyż nie mieli pojęcia, co można by z nią zrobić. Cywen opuściła ich wcześniej, obiecując, że powróci z resztą więźniów. Przykazała im też szykować się do drogi. Chłopiec miał wrażenie, że miało to miejsce dawno temu, tym bardziej że niebawem po ulicach poniósł się zgiełk walczących, a Cywen jak nie było, tak nie było. Haelan uznał więc, że ma już dość czekania.

Przebiegł przez ulicę, prowadzącą do ogrodu zielnego, ale wtedy zwolnił. Czuł już dym i słyszał odgłosy walki. Psy biegły dalej, więc po chwili wahania Haelan ruszył za nimi i wpadł w sam środek sceny szaleństwa.

Najpierw ujrzał trupy, wiele trupów, w tym niektóre popalone bądź wciąż dymiące, a potem wielkie ognisko płonące na samym środku dziedzińca, a wokół niego walczących. Jedną z nich była Cywen, która właśnie przetaczała się po ziemi, szczepiona w starciu z jakimś Vin Thalun. Buddai skoczył ku nim, ale pirat zginął, nim pies do nich przypadł.

Cywen podniosła się chwiejnie i spojrzała na podbiegającego do niej chłopaka.

– Spóźniłaś się – oznajmił. – Martwiłem się o ciebie!

Wtedy ujrzała go Hild, która aż rozdziawiła usta.

– Swain i Sif ucieszą się na twój widok – powiedział do niej Haelan.

– Co? – syknęła.

– Nie chciałam ci o tym mówić z wielu powodów. Dziabnij mnie nożem, jeśli masz inne zdanie – odezwała się Cywen, gdy na twarzy starszej kobiety pojawiły się szok, nadzieja i radość.

– Co tu się dzieje?! – zawołał Haelan, rozglądając się.

Widział więźniów, walczących z Vin Thalun, co jeszcze potrafił zrozumieć, ale tych pierwszych najwyraźniej wsparła orla gwardia Tenebralu. Kilka kroków dalej widział jednego z nich, zwartego w walce z dwoma Vin Thalun. Ich przewaga nie robiła na nim żadnego wrażenia, gdyż na oczach Haelana jeden z nich runął z krwią sikającą z krocza, a drugi, rąbnięty w usta krawędzią tarczy, padł w ślad za nim, plując zębami. Gwardzista dobił obu oszczędnymi pchnięciami i odnalazł wzrokiem Cywen.

– Musimy uciekać! – powiedział. – Musimy dostać się do bram, nim ucichnie zamieszanie wywołane przez Balura.

A więc on jest po naszej stronie!, uświadomił sobie Haelan. Co tu się wyrabia?

– Jaki masz plan na wydostanie nas stąd? – spytała Cywen.

Veradis zrzucił z ramion plecak, z którego wyciągnął czarny napierśnik, żelazny hełm oraz krótki miecz w pochwie z pasem.

– Mam dla was ciuchy na zmianę! – Uśmiechnął się. – Wyjdziemy stąd drzwiami frontowymi.

– Gdzie są Swain i Sif? – dopytywała się Hild.

– W norze! – odparła Cywen. – Też chcieliśmy się stąd dziś wyrwać, ale nie przez bramę – zwróciła się do Veradisa.

– Musimy ich odnaleźć! – odezwała się Hild. – Nie ruszę się stąd bez moich dzieci! Powiedz mi, gdzie jest ta nora!

– To zbyt skomplikowane. Zaprowadzę cię – rzekła Cywen. – Veradisie.

* * *

Wojownik nie wydawał się tym zachwycony, ale jego uwagę odwrócili kolejni Vin Thalun, którzy wdarli się na dziedziniec, krzyknęli z furją i rzucili się do ataku.

– Mur tarcz! – wykrzyknął Veradis.

Haelan ujrzał, jak stojący za wielkim ogniem wojownicy zwierają tarcze, szykując się do ataku.

– Chodźmy! – odezwała się Cywen i podrapała Buddaia po łbie. – Wynosimy się stąd.

Ruszyli biegiem na wschód, a Veradis posłał za nimi trzech swoich ludzi, by strzegli ich tyłów. Za plecami Haelana znów rozgorzały odgłosy walki.

Po chwili pędzili już ulicami. Po raz pierwszy od dawna chłopak nie zawracał sobie głowy chowaniem się wśród cieni, ale jakimś cudem udało im się uniknąć ściągania na siebie uwagi. Wielkie grupy wojowników, spowite cieniami i oświetlone drgającym blaskiem pochodni, przebiegały sąsiednimi ulicami.

Haelan skręcił w boczną odnogę i jeszcze przyśpieszył. Garnek usiłował złapać go zębami za pięty, jakby właśnie uczestniczył w najlepszej zabawie świata. Po chwili wpadli na opuszczony dziedziniec, na środku którego wznosił się samotny dąb. Cywen wyprzedziła go i ześlizgnęła się do dziury.

– Zaczekajcie tu! – zawołała przez ramię.

Haelan wyhamował przy jednym z wielkich korzeni. Przypadła do nich Hild wraz z trzema wojownikami. Oparła dłonie na kolanach i sapała, usiłując zaczerpnąć tchu.

– Gdzie... oni... są? – wydyszała.

– Tam! – Haelan wskazał ręką.

Hild zerknęła do środka, a potem zrobiła krok w ciemność, skąd wyjrzała mała, blada, brudna twarzyczka. Haelan rozpoznał w niej Sif.

Dziewczynka wyczołgała się na zewnątrz niemalże z lękiem, a Haelan uświadomił sobie, że nie opuszczała nory od ponad trzech

księżyców. Założyła wielki plecak, przez który wydawała się dwa razy większa. Gdy ujrzała Hild, z jej ust wyrwał się stłumiony szloch. Rzuciła się matce w ramiona, a ta uniosła ją w powietrze, całując jej policzki. Tuliły się do siebie i szlochały z radości.

– Mamo? – szepnął ktoś za nimi.

Z nory wylazł Swain. Wokół jego nóg kłębiło się kilkoro szczeniąt, które rosły jak na drożdżach i sięgały już chłopcu do ud. Hild i Sif przygarnęły Swaina do siebie. Cała trójka śmiała się i płakała jednocześnie, a Haelan czuł, jak i jemu wilgotnieją oczy. Zamrugał pośpiesznie.

Pojawiły się pozostałe szczenięta, a za nimi kolejna twarz, płaska, szeroka i kanciasta. Uciekinierka wyczołgała się niezdarnie, a wtedy okazało się, że nadal ma dłonie skrępowane w nadgarstkach.

Trigg.

Półolbrzymka uklękła, a potem wstała. Patrzyła na Haelana, Hild i orlą gwardię. Za jej plecami wyrosła Cywen, a z nią ostatnie szczenięta. Cień zatrzymała się przy Haelanie.

– Musimy uciekać! – zawołała Cywen.

– A co z nią? – Swain spojrzał na Trigg.

– Zabierzcie mnie ze sobą! – poprosiła półolbrzymka.

– Jak my możemy ci zaufać? – spytała Cywen.

Trigg obrzuciła ją błagalnym spojrzeniem.

– Mogła nas wydać, ale tego nie zrobiła – stwierdził Haelan. – Nie możemy zignorować tego, co już ma na sumieniu, ale nie sądzę, by źle nam życzyła. Niech Corban ją osądzi. To on nami przewodzi.

Zza skraju dziedzińca dobiegły jakieś krzyki i naraz z ciemnej uliczki wychynęły dwie dziesiątki orlich gwardzistów.

– Ho, ho! – zawołał ktoś. – A co tu się wyprawia?

Haelan spojrzał na Cywen, czekając na jej decyzję.

Uciekamy? Próbujemy się wyłgać?, zastanawiał się. Walka odpada, jest ich zbyt wielu!

Cywen szeptała coś gorączkowo do jednego z wojowników, którzy do nich dołączyli. Ten po chwili odwrócił się ku przybyszom i podniósł rękę.

– Znaleźliśmy kilku zbiegów – rzekł, idąc ku nim.

Nowo przybyły popatrzył na Haelana i jego towarzyszy. Zawiesił spojrzenie na Trigg. Podszedł krok bliżej, a wtedy zauważył szczenięta. Zmarszczył brwi.

Buddai warknął.

Wówczas wojownik przyjrzał się rozmówcy, a zwłaszcza jego czarnemu napierśnikowi.

– Gdzie jest twój orzeł? – zapytał i odruchowo oparł dłoń na rękojeści miecza.

Wtedy wojownik Veradisa pchnął go w gardło, uwolnił broń i rzucił się na kolejnych przeciwników. Miecze jego towarzyszy z sykiem wysunęły się z pochew, gdy zasłonili plecami Cywen i pozostałych.

Trzech na dwudziestu... Nie mają szans!, pomyślał Haelan. Nie wyrwiemy się stąd, mamy przeciwko sobie zbyt wielką przewagę. Nawet jeśli jakoś uda nam się przedrzeć, podejmą pościg! Dopadną nas! Co tu robić?

– Tunel! – zawołała Cywen. – To nasza jedyna szansa! Naprzód!

Tunel!

Tamtędy właśnie planowali uciec z Drassil, choć nie byli pewni tej drogi, a nawet się jej obawiali.

Dokąd tamtędy dotrzemy?, zastanawiał się Haelan. Czy tą drogą uda się w ogóle wymknąć z fortecy?

Niezdecydowanie wyparowało, gdy ujrzał szarżujących na niego wojowników. Odwrócił się i runął do ucieczki, ciągnąc za sobą Cień. Zmierzał prosto do nory.

Za plecami usłyszał szczęk oręza. Wiedział, że Cywen i pozostali zwarli się w zacieklej walce, słyszał dziesiątki warknięć, sapnięć i wrzasków. Biegając, zerknął przez ramię i ujrzał jednego z gwardzistów leżącego na ziemi w kałuży krwi i szarpanego przez sforę szczeniąt. Sif i Swain wrzeszczeli na zwierzęta, ciągnąc matkę w stronę drzewa. Oboje bez wahania wskoczyli do nory, matka podążyła za nimi z większą ostrożnością, a na samym końcu do środka wdarły się psy.

Trigg, której ręce nadal były związane, stała na skraju, wpatrzona w Haelana i krzyczała co sił w płucach. W tejże chwili jakaś dłoń

pochwyciła chłopaka za płaszcz i szarpnęła go ostro w tył. Haelan zakrztusił się i poleciał na ziemię. Mignęła mu skrzywiona twarz, osłonięta stalowym hełmem, a potem wylądował na plecach. Rozległo się warknięcie i Garnek zacisnął kły na łydce wojownika. Cień naskoczyła na niego z drugiej strony.

Gwardzista stęknął z bólu, strząsnął z siebie Garnka, wzniósł miecz i rąbnął Cień głowicą w łeb. Suczka padła z głośnym skamleniem, ale zerwała się i przypadła do Haelana. Obnażyła kły, gotowa go bronić. Wojownik zaklął i ruszył na nich, wznosząc miecz.

– Nie! – wrzasnął Haelan. Przeszło mu przez głowę, że Corban byłby bardzo rozczarowany, gdyby któremuś ze szczeniąt Burzy stała się krzywda.

Wtedy Trigg przeskoczyła nad nim i ruszyła na gwardzistę. W biegu bez wysiłku zrzuciła więzy. Równie łatwo uniknęła wrogiego cięcia, złapała przeciwnika za ramię i szarpnęła mocno. Głośny trzask oraz następujący po nim przeraźliwy wrzask zdradziły chłopakowi, że kości bez wątpienia zostały złamane. Tymczasem Trigg rąbnęła mężczyznę w twarz, miażdżąc mu nos i posyłając go na kolana, a wtedy złapała go obiema rękami za głowę i obróciła nią ostro. Wojownik osunął się na ziemię, a zdyszana Trigg stanęła nad nim i wykrzywiła usta.

Haelan zdołał się podnieść. Gdzieś po prawej stronie znów rozległ się szcęk oręża i chłopak dostrzegł kolejnych gwardzistów, którzy biegli na niego ze wzniesioną bronią. Trigg również ich dostrzegła. Poderwała Haelana z ziemi i cisnęła nim z ogromną siłą. Chłopak nie miał pojęcia, że w jej ramionach kryje się aż taka moc. Przez kilka uderzeń serca leciał jak pocisk, aż rąbnął w ziemię z głuchym stęknięciem i przetoczył się. Otoczyła go ciemność, a wilgotna woń ziemi oraz korzeni zdradziły mu, iż na powrót znalazł się w dziurze, prowadzącej do ich nory.

Któryś ze szczeniaków polizał go po twarzy. Haelan poderwał się i wyjrzał na dziedziniec w porę, by dostrzec Garnka i Cień, którzy wpadli do środka w ślad za nim. Dalej widział Trigg zmagającą się z pół tuzinem gwardzistów oraz Cywen wraz z ostatnim pozostającym przy życiu wojownikiem Veradisa, również otoczonym

przez licznych wrogów. Buddai, szybki jak błyskawica, właśnie skoczył na swego przeciwnika.

– Cywen! – wrzasnął Haelan.

Dziewczyna odwróciła głowę. Kły wilkuna ociekały krwią, a drugą, wolną dłonią sięgnęła pod płaszcz, po czym niespodziewanie rzuciła się do ucieczki, krzycząc na wojownika, by poszedł w jej ślady. Haelan usunął się na bok, by zrobić im miejsce. Oboje wskoczyli do środka, a za nimi runął ogromny Buddai.

– Ruszajcie! – rozkazała im Cywen, wskazując ciemność w drugiej odnodze tunelu, tej, do której jak dotąd nikt się jeszcze nie zapuścił. – Ty też! – warknęła na Haelana, który przepchnął się, by widzieć to, co się działo na zewnątrz. – Wszyscy stąd uciekamy!

– A co z Trigg? Trigg! – wrzasnął Haelan, który wychylił się z dziury.

Dojrzał ją między nogami nadciągających gwardzistów. Widział, jak podnosi głowę i spogląda na niego. Na jej obliczu pojawił się dziki uśmiech, a potem znów rzuciła się do walki. Samym impetem roztrąciła kilku napastników, ale szybko opadli ją inni, wznosząc miecze. Patrzył, jak wróg ją osacza, usłyszał jej krzyk, widział, jak pada.

– Nie! – wrzasnął i zaczął się wyczołgiwać z jamy, ale Cywen złapała go, ściągnęła w dół i pchnęła w ślad za Swainem i pozostałymi.

Spojrzał jeszcze za siebie i ujrzał w jamie twarz jakiegoś gwardzisty. Dziewczyna chlasnęła go kłami wilkuna po twarzy i wojownik odskoczył z wrzaskiem, ale w jego miejsce pojawili się inni.

Wtedy Cywen cisnęła małą fiolką i wrzasnęła coś, co zabrzmiało naprawdę dziwacznie. Haelan potknął się, a po jego plecach spłynął dreszcz. Rozległ się głuchy szum wiatru i znikąd pojawił się wściekły, żarłoczny ogień, który buchnął prosto na ich prześladowców, wycofujących się z rozpaczą.

Cywen odskoczyła i wpadła na plecy Haelana. Płomienie szalały, a woń drewna i soków mieszała się ze smrodem płonących ciał.

Naraz wrzaski palących się ludzi zdusił chrzęst osypującej się ziemi.
Część sufitu nory zapadła się.

– Naprzód! – wrzasnęła Cywen i pchnęła Haelana.

Chłopak potknął się i wpadł na tych, którzy szli przed nim.

Zmierzamy w mrok, pomyślał.

Rozdział sześćdziesiąty pierwszy

VERADIS

Veradis przygniótł Vin Thalun butem do ziemi i przebił go mieczem. Przeciwnik zachłusnął się krwią i znieruchomiał, a młodzieniec uniósł głowę. Mur tarcz pod jego dowództwem nadal utrzymywał pozycję, a wokół niego zalegały ciała zabitych piratów.

Wygląda na to, że wybiliśmy ich do ostatniego, pomyślał.

Wytarł miecz do czysta i wsunął go do pochwy. Przez moment wsłuchiwał się w głuchy łoskot i dzikie wrzaski, odbijające się od murów. Balur, Alcyon i pozostałe olbrzymy nadal siali zamieszanie.

Długo to jednak nie potrwa.

– Przybyliśmy tu, by wydostać was z Drassil! – wrzasnął Veradis. Podniósł wysoko napierśnik, płaszcz, hełm oraz pas, które wcześniej wyrzucił z plecaka, by wszyscy mogli je ujrzeć. – Niech każdy z was wybierze sobie kogoś z moich ludzi. Każdy ma sprzęt dla jednego uciekiniera!

Spojrzał na ich twarze, ciemne, brudne, zakrwawione.

– Już! Na co czekacie?! – ryknął.

Na dziedzińcu wybuchło kolejne zamieszanie. Veradis stał i słuchał bicia własnego serca, które odliczało czas. Patrzył na wschód, bo tam pobieгла Cywen.

Szybciej, szybciej, dziewczyno!, ponaglał ją w myślach.

– Jesteśmy gotowi! – poinformowała go Ilta.

Tylko pięciu ludzi Veradisa padło w walce, a do oddziału dołączyło stu osiemdziesięciu ośmiu jeńców.

Stu osiemdziesięciu ośmiu ludzi, którzy nie zginą na palach, myślał. Stu osiemdziesięciu ośmiu wojowników, którzy dołączą do nas w Fornie. O ile się stąd wyrwiemy.

Stanął przed nimi.

– Wychodzimy stąd jako orla gwardia. Ruszamy przez bramy, by odeprzeć wroga nacierającego na mury! – oznajmił z dzikim uśmiechem. – Nie wychylać się i zachować spokój, a wnet usiądziecie z przyjaciółmi i bliskimi przy ogniu!

Odpowiedziały mu ochryple wiwaty, po czym ruszyli, utrzymując jako taki szyk. Jeńców, którzy oczywiście nie potrafili maszerować w szeregach, upchnięto w środku w nadziei, że nikt nie zwróci uwagi na ich brak wykształcenia.

Ulice wydawały się mniej zatłoczone niż podczas marszu do szpitala. Veradis widział niewielkie grupki wojowników, głównie Vin Thalun, ale wymijał je bez emocji, jakby mieli dokładnie takie samo prawo przebywać w obrębie twierdzy jak oni. Mimo to serce przez cały czas podchodziło mu do gardła.

Gdzie jesteś, Cywen?, myślał. Wpatrywał się w cienie rzucane przez budynki i zerkał za siebie, ale nigdzie nie było ani śladu zuchwałej dziewczyny.

Na ulicy pojawiło się więcej zbrojnych. Minęły ich dwie dziesiątki orlich gwardzistów, których znajomy tupot obudził w sercu Veradisa niemalże nostalgię. W oknach paliły się światła. Minęli buchające ogniem kuźnie, potem szeregi koszar, aż ujrzeli główny dziedziniec Drassil, za którym wznosiły się bramy fortecy.

Veradis uniósł pięść i warknął rozkaz. Wojownicy zatrzymali się nierówno, a Veradis raz jeszcze rozejrzał się uważnie w poszukiwaniu Cywen i jej towarzyszy.

Gdzie ona się podziewa?, zastanawiał się. Jak mogę opuścić twierdzę bez niej?

– Nie możemy tu stać bez końca! – syknęła do niego Ilta. – Tkwimy jak gęś z łbem na pieńku katowskim!

Veradis wciągnął powietrze w płuca. Szarpnął za pasek przytrzymujący hełm i ruszył w stronę centrum placu, przepędzając każdego, kto znalazł mu się na drodze.

Młody mężczyzna ruszył mu na spotkanie. Był to jeden z oficerów, których widział wcześniej.

– Otwórzcie bramy – rzucił do niego Veradis.

– W jakim celu? – zdziwił się tamten.

– Mam przeprowadzić kontruderzenie na wroga i odrzucić go od murów!

– Nie dostałem takich rozkazów! – Młodzieniec zmarszczył brwi.

– Właśnie dostałeś je ode mnie! – oznajmił Veradis, któremu dawny autorytet pomógł odpędzić strach.

Kapitan zawahał się i przeniósł wzrok na ludzi Veradisa.

– Nie takie mamy procedury! – rzekł. – Rozkazy otwarcia bramy zawsze dostarczane są przez Jehar.

Masz na myśli Kadoshim, pomyślał Veradis. Jesteś równie nieświadom jak ja kiedyś. Ciekawe, co byś zrobił, gdybyś znał prawdę?

– Zaistniały nowe okoliczności! – warknął. – Jeśli nie wyprowadzę mojego oddziału i nie ruszę na te olbrzymy, lada moment wedrą się na mury!

– Ale przecież dopiero co wróciłeś do Drassil! – Młody oficer nie przestawał marszczyć brwi. – Czemu teraz chcesz poprowadzić kontratak?

– Zgłosiłem się na ochotnika – rzekł Veradis i poklepał plecak. – I mam nowe rozkazy dla króla Nathaira. Ciemność zapewni dobrą osłonę, bo wróg czai się wszędzie dookoła.

Jego słowa wywierały odpowiedni efekt, bo widział, jak młody gwardzista zaczyna się wahać.

– Nie mam na to czasu! – warknął z wściekłością. – Pchnij gońca do Calidusa! Niech on ci wyjaśni szczegóły swego planu!

Spojrzał przy tym znacząco na nabite na pale ciała na dziedzińcu, po czym raz jeszcze smagnął młodzieńca wzrokiem. Ten zawrócił na pięcie i wykrzyknął rozkaz otwarcia bram.

– Naprzód! – wrzasnął Veradis i wkroczył do tunelu w grubym murze obronnym Drassil.

Gdy połowa jego oddziału wniknęła już w cień, zatrzymał się i raz jeszcze spojrzał na dziedziniec w nadziei, że ujrzy nadbiegającą

Cywen.

Nigdzie jej nie widział.

Mijały go ostatnie szeregi, gdy do głowy wpadła mu nowa myśl.

Brama jest otwarta, ja mam pod rozkazami zbrojny hufiec, a w ciemnościach szaleją olbrzymy. Czy kiedykolwiek przytrafi się podobna okazja? Czy mielibyśmy szanse na zwycięstwo? Razem jest nas około tysiąca, a wroga trzy, cztery razy więcej...

Z półmroku słabo oświetlonej ulicy wyłonili się Kadoshim. Na ich czele kroczył Calidus, za którym powiewał czarny płaszcz, przywodzący na myśl dym. Zmienił się bardzo – jego imponująca broda znikła, wiecznie młodą skórę pokrywały teraz ohydne strupy, a z włosów pozostały jedynie kosmyki.

Może i trudno cię zabić, ale przynajmniej można cię zranić, ty łajdaku, pomyślał Veradis.

Calidus spojrział na niego w tejże właśnie chwili, zupełnie jakby usłyszał jego myśli. Rozpoznał go, a w jego oczach rozblęśla nienawiść. Warknął głucho.

– W nogi! – szepnął Veradis. – W nogi! – powtórzył głośnie.

Kadoshim podskoczyli na rozkaz Calidusa i rzucili się ku niemu. Roztrącali ludzi, tratowali ich, przeskakiwali nad nimi. Veradis nigdy dotąd nie widział, by ktoś poruszał się równie szybko.

Tupot stóp Veradisa odbił się echem od ścian tunelu. Wypadł na równinę, zagrzewając ludzi do większego pośpiechu. Po dziedzińcu niosły się krzyki oraz wrzaski rozpędzonych Kadoshim, a na murach wydzierali się wartownicy. Niebawem powietrze przecięły pierwsze włócznie. Kilku, kilkunastu uciekinierów padło, przeszytych stalowymi grotami, ale reszta gnała naprzód, coraz dalej w mrok.

Veradis, biegnąc, spojrział przez ramię i ujrzał pierwszych Kadoshim, którzy wypadli za bramę. Gnali po otwartej przestrzeni z niewyobrażalną prędkością. Ich wzniesione nad głowę zakrzywione miecze odbijały blask księżyca.

Dopadną nas, uświadomił sobie. Nie ma co uciekać. Może część z nas zdoła osłonić ucieczkę pozostałych.

Wykrzyknął rozkaz i odwrócił się. Wyciągnął miecz i uniósł tarczę, kilkunastu innych wojów poszło w jego ślady, w ich liczbie

Ilta.

Kadoshim zbliżali się błyskawicznie. Pięciu z nich wysforowało przed resztę. Veradis widział już błysk ich ciemnych zębów, odsłoniętych w radosnym, okrutnym uśmiechu.

– Trzeba im odcinać łby! – wrzasnął.

Naraz spomiędzy traw poderwały się jakieś kształty, które szybko przeistoczyły się w ludzi i olbrzymy, uzbrojonych w topory i młoty. Veradis rozpoznał jednego z nich.

– Naprawdę sądziłeś, że pozwolę ci zagarnąć całą chwałę dla siebie?! – zawołał z szerokim uśmiechem Krelis, po czym z wyciem rzucił się na Kadoshim, a jego ludzie za nim.

Veradis widział, jak Balur Jednooki jednym cięciem ścina głowę jednemu z Kadoshim, a nad bezgłowym trupem z sykiem formuje się ciemna mgła z parą lśniących, czerwonych ślepi. Zjawą wrzasnęła z furją, ale rozwiął ją wiatr. Inny olbrzym padł, przygnieciony przez dwóch Kadoshim, ale z tymi szybko rozprawili się Alcyon z Tainem, którzy wymachiwali toporami, jakby cięli drzewa.

Po równinie poniósł się ryk rogu. Calidus przyzywał demony do domu.

Pierwsza fala została ścięta, ale reszta okazała zaskakującą dyscyplinę. Kadoshim zawrócili i pognali z powrotem ku Drassil. Veradis zaś uniósł miecz ku niebu i ryknął z tryumfem.

Udało się!

Rozdział sześćdziesiąty drugi

HAELAN

Haelan brnął przez nierówny tunel, potykając się o stare korzenie. Zamykał ich niewielką grupę, prowadzoną przez Cywen, a obok niego cichutko dreptały Buddai i Cień. Chłopak nie obawiał się pościgu, a przynajmniej nie tak szybko. Wszak wejście do tunelu zapadło się po tym, jak eksplodował ów tajemniczy pożar.

Czy to była robota Cywen?, zastanawiał się.

Wciąż czuł smród palących się ciał, wciąż słyszał echo wrzasków płonących ludzi. A Trigg, nieszczęsna Trigg... Łzy znów wypełniły mu oczy, blask pochodni się rozmazał. Wystarczyło, by zamknął powieki, a widział jej oblicze i czuł na sobie jej wzrok w chwili, gdy zdecydowała, że poświęci za nich życie.

Naraz światło pochodni zgasło, gdy Cywen znikła za rogiem. Po kilku krokach Haelan przekonał się, że tunel skręcił nie w bok, a w dół. Dziewczyna zsuwała się, czepiając się korzeni, aż dotarła do miejsca, które wydawało się być ślepym zaułkiem. Zatrzymała się i mocno tupnęła, a potem ukucnęła, by przyjrzeć się ziemi, w którą wnikały korzenie.

Smród, który napływał z tunelu, wydawał się teraz silniejszy. Miał kwaśny posmak, który przylegał do gardła i wydawał się przypalać włosy w nozdrzach.

Cywen kilkakrotnie uderzyła końcem pochodni w ziemię, a potem wstała i wspięła się po korzeniach na górę.

– Tam jest jeszcze jeden tunel, ale musimy się do niego przekopać
– powiedziała.

– Co to za smród? – Hild się skrzywiła.

– Dobre pytanie – stwierdziła Cywen. – Mnie przypomina smród łajna draiga.

– Łajno draiga! – oznajmił wojownik z Tenebralu, który przedstawił się imieniem Arcus.

– Tak, draiga. To ma sens – powiedziała Cywen. – Coralen opowiadała raz, że natknęła się na norę draiga podczas jednej z wypraw na północny wschód Drassil. Był to wielki pagórek otoczony kupami łajna, pocięty wydrążonymi tunelami.

Mówiła też o tym, że jeden z tych potworów próbował ją pożreć, dodał Haelan w myślach.

– To może być część tego samego gniazda – ciągnęła Cywen. – Wszak owe tunele mogą się ciągnąć przez całe mile.

– Istnieje tylko jeden sposób, by się przekonać – rzekł Arcus i zeskoczył. Twarda, ubita ziemia nagle skruszyła się pod jego ciężarem i wojownik osunął się w dół. Pochwycił się korzeni, po czym zaczął schodzić, aż pochłonął go mrok.

Cywen, trzymając pochodnię, zaczęła opuszczać się jego śladem, a za nią zeskoczył Buddai.

– Podawajcie mi szczenięta – przykazała, oddawszy pochodnię Arcusowi.

Psiakom niezbyt się spodobało to, że opuszczano je w głąb ciemnej dziury. Marszczyły pyszczki i powarkiwały głucho.

Nigdy dotąd nie widziały draiga, pomyślał Haelan, ale na pewno wiedzą, że ten zapach nie oznacza niczego dobrego.

Następnie na dół opuściła się Sif, a po niej Swain i Hild. Jako ostatni zszedł Haelan, trzymając się jedną ręką starego korzenia. Arcus pomógł mu stanąć na dole, a wtedy zeskoczył Garnek. Ciężko obwąchała chłopca, zaskomlała i owinęła się ciasno wokół jego nóg.

Dzięki światłu, rzucanemu przez pochodnię, Haelan mógł się wreszcie rozejrzeć. Znaleźli się w tunelu o wiele większym od tego, przez który przedzierali się przed chwilą, tak szerokim, że wszyscy mogliby stanąć w nim obok siebie. Tunel był okrągławy, a na ścianach i podłodze widniały długie szramy pozostawione przez

grube pazury, zupełnie jakby został nimi wydrążony. Ziemia była sucha i twarda, a powietrze zatechłe.

Co zrobimy, jeśli ten tunel donikąd nie prowadzi? Co, jeśli na jego końcu czekają tylko głodne draigi?, pomyślał Haelan.

Spojrzał w dziurę nad swą głową.

Cóż, pewnie udałoby nam się wspiąć na górę, ale nie wiem, co byśmy zrobili z Buddaiem, Garnkiem i szczeniakami, zwłaszcza gdyby gonił nas wściekły draig.

Zadrżał, próbując o tym nie myśleć.

– I co teraz? – spytał Swain.

– Teraz ruszamy naprzód i będziemy szli, aż znajdziemy drogę wyjścia – odparła Cywen.

– Mówiłaś, że twoja przyjaciółka znalazła tę norę draigów na północny wschód od Drassil? – spytał Arcus.

– Tak.

– Cóż, ten tunel biegnie w dwóch kierunkach – powiedział Arcus i machnął pochodnią naprzód. Ciemność zdawała się pożerać jej blask. – Mam wrażenie, że idąc tędy, będziemy się kierować prawie na północ. Rozumiem, że to dla nas najlepszy kierunek.

Stali i wpatrywali się w nieprzeniknioną ciemność, czyhającą za kręgiem światła. Cisza, ciężka i dławiąca, wydawała się niemalże namacalna.

– A jeśli nie ma stąd ucieczki? – spytała Sif drżącym głosem. – Wówczas nie ma znaczenia, dokąd się udamy.

O tym samym myślałem, ale wolałem nie mówić tego na głos, przemknęło Haelanowi przez głowę.

Hild przytuliła dziewczynkę mocno.

– Znajdziemy drogę wyjścia, nawet gdybym miała osobiście wygrzebać ci tunel.

Arcus wyjął nową pochodnię z plecaka Haelana, odpalił ją od innej i wzniósł wysoko. Płomień zamigotał słabo jakby trącony oddechem umierającego człowieka.

– Cóż – rzekł Arcus. Przez jego twarz przemknęło coś na kształt uśmiechu.

– Dobrze. – W głosie Cywen pojawił się ślad tryumfu. – Przeciąg oznacza, że gdzieś tu jest wejście. Mówiłam wam, że te tunele wyprowadzą nas na wolność.

Wyprowadzą nas na wolność. Cudownie, pomyślał Haelan. Pozostaje więc chodzić po nich, aż znajdziemy wyjście, i mieć nadzieję, że nie natkniemy się po drodze na głodnego draiga.

Uznał, że pozostali nie docenią takich wniosków, więc ograniczył się do pogłaskania Cień po łbie.

– Dobra, ruszajmy – mruknął Arcus. Uniósł wysoko pochodnię i złapał za miecz, wpatrując się podejrzliwie w mrok. Cywen z Buddaiem szli za nim, potem Swain, Sif i Haelan z Garnkiem, a na końcu Hild z własną pochodnią. Na szczęście szczenięta wydawały się nadal mocno poruszone. Z podkulonymi ogonami trzymały się środka ich niewielkiej grupki, a ich uszka drgały na każdy hałas.

Nie dodaje to otuchy, pomyślał Haelan, przyglądając się im. Na ogół niczego się nie boją.

Szli przez ciemny, cuchnący tunel, który wił się we wszystkie strony i wkrótce Haelan stracił wszelką orientację. Czasami docierali do rozwidlenia, którego odnogi odbiegały w nieznanym kierunku. Zatrzymywali się wówczas, nasłuchiwali i unosili pochodnię, by przekonać się, skąd wieje wiatr. Bywało, że czekali naprawdę długo, nim płomień drgnął po raz pierwszy.

Gdy przystanęli przy piątym czy szóstym rozstajach, Haelan wyczuł pod nogami coś twardego. Nachylił się, odgarnął ziemię z wierzchu i ujrzał zagrzebany w niej długi, zakrzywiony szpon. Pociągnął go kilkakrotnie, aż zdołał uwolnić, a wtedy obejrzał go uważnie w blasku pochodni. Jego znalezisko było jasne niczym kość, szerokie przy jednym końcu i zwężające się przy drugim.

– To pazur draiga – powiedziała stojąca za nim Cywen.

– Chyba za duży, co? – spytał Haelan.

– Widziałam draiga Nathaira z bliska. To bez wątpienia szpon którejś z tych bestii.

Stali i w milczeniu wpatrywali się w znalezisko. Każdy trawił własne wnioski.

– Tędy – rzekł Arcus, spoglądając na pochodnię.

Ruszyli kolejnym szerokim korytarzem. Haelan spojrział na pazur raz jeszcze i wsunął go do plecaka.

Ściany i podłóżę wydawały się teraz bardziej miękkie. Chłopak potknął się i w ostatniej chwili oparł o mokrą, wilgotną ścianę. Miał wrażenie, że jego dłoń nurza się w błocie, w którym coś się wije. Szybko odzyskał równowagę.

Idąc, wyteżał słuch, próbując dosłyszeć coś – cokolwiek – poza krokami oraz sapaniem ich grupy, które wydawało się nieproporcjonalnie głośne.

Jak długo jesteśmy w drodze?, zastanawiał się. Przeszliśmy już chyba wiele mil za murami Drassil!

Znów znaleźli się na skrzyżowaniu, gdzie Arcus uniósł pochodnię najpierw przed jedną, a potem drugą odnogą. Haelan spojrział na ziemię, szukając wzrokiem kolejnych szponów, i dostrzegł, że ziemia przy jednej z jego stóp wygląda nieco inaczej, jakby niedawno została poruszona. Nachylił się, zmarszczył brwi i wtedy pojął prawdę.

– Już tu byliśmy.

– Co? – odezwały się Cywen i Hild.

Pozostali pochyłili się nad nim.

– Spójrzcie – powiedział. Wyciągnął pazur z plecaka i wsunął go do otworu w ziemi. Pasował idealnie.

Arcus zaklął.

Nigdy się stąd nie wydostaniemy, nawet jeśli nie natkniemy się na draigi, pomyślał Haelan. Miał wrażenie, że zaraz się rozplacze. Jak zdołamy odnaleźć drogę pośród tych duszących ciemności?

I wtedy przyszedł mu do głowy pomysł.

– Sif, czy nadal masz swoje kamyki?

– Pewnie – odparła dziewczynka.

– A oddałabyś mi je?

– Po co? – spytała podejrzliwie.

– Proszę, Sif! Chcę coś sprawdzić!

Mała niechętnie pogrzebała w plecaku i wyciągnęła prosty woreczek pełen kamieni.

– Proszę.

Haelan pogrzebał chwilę w worku i wyciągnął kamień, który zawierał element kredy. Ostrożnie położył go na ziemi i popchnął naprzód.

– Co ty robisz? – spytała Sif.

– Cofnijcie się – nakazał Haelan i popędził wszystkich w kierunku, z którego przyszli, aż kamień znikł w ciemnościach. – A teraz, idąc naprzód, patrzcie pod nogi.

Gdy blask pochodni Arcusa omiótł kamień, ten zamigotał niczym klejnot.

– Dobra robota – oznajmił wojownik, a Cywen poklepała Haelana po plecach.

– Oddacie mi je teraz z powrotem? – spytała Sif.

– Nie! – odpowiedzieli wszyscy jednocześnie.

* * *

Haelan szedł teraz obok Arcusa. Wojownik udawał spokój, skupiony na ścieżce odsłanianej blaskiem pochodni. Reszta drużyny podążała za nimi w milczeniu.

Od chwili, gdy Haelan wpadł na pomysł wykorzystania kamieni Sif jako punktów orientacyjnych, przebyli długą drogę. Kamyki bardzo się przydały, bo dwukrotnie już dotarli do miejsca, w którym je pozostawili. Przy każdym, na który się znów natknęli, Haelan układał drugi.

Wtem z oddali dobiegło dudnienie, przywodzące na myśl odległy grzmot pioruna, niemalże zbyt niski, by go usłyszeć. Psy jednak usłyszały go wyraźnie, gdyż zatrzymały się, uniosły łby i nastroszyły uszy. Cień uniosła wargę i zawarczała. Ludzie zamarli, wsłuchując się w odległy odgłos, który to opadał, to znów narastał, aż ucichł.

Czy to tak brzmią draigi?, pomyślał Haelan z ukłuciem strachu.

Cywen wymieniła się spojrzeniami z Arcusem i Hild. W dalszą drogę udali się w milczeniu.

Smród staje się coraz intensywniejszy, uświadomił sobie Haelan.

W istocie, przybierał na sile z każdym krokiem. Chłopak oddychał przez usta, próbując w ten sposób załagodzić jego oddziaływanie, ale w rezultacie zaczęło go piec gardło.

Niespodziewanie korytarz się skończył i weszli do komory szerokiej na pięćdziesiąt kroków, przywodzącej na myśl żołądek węża po tym, jak pożarł swą zdobycz. Wszędzie dookoła piętrzyły się sterty łąjna szerokie niczym tarcza bojowa, a wysokością dorównujące Haelanowi. Cywen nachyliła się nad jedną z nich, a Haelan dotknął innej palcem. Miała twardą skorupę niczym gotowana glina bądź chleb zbyt długo pozostawiony w piecu, z tym wyjątkiem, że była szorstka. Haelan szturchnął mocniej, a wtedy skorupa pękła i z wnętrza z sykiem uwolnił się gaz. Potem wyciekło stamtąd coś gęstego i lepkiego niczym ropa spod zdartego strupa. Smród był tak powalający, że Haelan o mało nie stracił przytomności. Cywen również z trudem powstrzymała nudności i cofnęła się o kilka kroków.

– To łąjno draiga – oznajmiła, gdy znów mogła oddychać. – Mam wrażenie, że draigi żyją wedle swoich przyzwyczajień i zawsze załatwiają potrzeby w tym samym miejscu. Myślę, że z tej komory nie korzystały już od dawna. To łąjno jest stare. To, które wynosiłam ze stajni Nathaira, nie miało skorupki. Pozostawało miękkie nawet po tym, jak przeleżało cały księżyc na śmietniku.

– Może wygrzebały sobie nową komorę – zasugerował Haelan.

– Niewykluczone, że masz rację – powiedziała Cywen, próbując przywołać pokrzepiający uśmiech, co nie wyszło jej najlepiej.

Bo przecież wciąż mamy szansę, że na nią natrafimy, pomyślał Haelan.

Korytarzem przetoczył się kolejny grzmot: rytmiczny, rozbrzmiewający echem, aż w końcu ucichł. Był o wiele głośniejszy od poprzedniego.

Sif pociągnęła nosem.

– Wynośmy się stąd – zaproponował Swain.

Znów spojrzeli po sobie i ruszyli w drogę.

Nie możemy zawrócić. Możemy tylko iść naprzód, pomyślał Haelan.

Brnęli przed siebie, a w jego sercu narastały złe przeczucia, które krążyły wokół jego lęku. Wiedział, że gdyby draig ich tu dorwał, nie mieliby szans. Mogliby tylko umrzeć.

Straszną śmiercią, dodał w myślach.

Koniec w brzuchu draiga nie wydawał mu się szczególnie pociągający.

Rozumiem śmierć w walce, nawet jeśli wróg zwycięży, myślał. Walka o słuszną sprawę ma przecież jakiś sens. Ale nie chciałbym umierać po to, by jakieś zwierzę mogło się nażreć.

Weszli do kolejnej sali, o wiele większej od poprzedniej. Swain odpalił więcej pochodni i rozdał je wszystkim. Komora była okrągła i wychodziło z niej kilka tuneli: sześć, może osiem. W jej środku piętrzył się kolejny wzgórek, ale o wiele niższy i szerszy od stert łąjna. Wyglądał, jakby usypano go z różnych przedmiotów, zebranych razem, jak dynie w Dzień Zimowego Przesilenia.

Haelan uświadomił sobie, że zbliża się ku niemu, aż potknął się o coś leżącego na ziemi. Gdy się rozejrzał, pojął, że wszędzie dookoła spoczywają kości. Dostrzegł żebra, dalej kręgosłup, długą czaszkę, potężne kły wystające ze szczęki.

Czyżby wilkun?, zastanawiał się.

Szedł dalej, ostrożnie stawiając stopy. Wtem ujrzał kość z palcami, leżącą obok ludzkiej czaszki z wielką dziurą.

Jest źle. Naprawdę źle.

Coś połaskotało go po twarzy i szarpnęło za włosy. Minął moment, nim zrozumiał.

To wiatr!

Pochodnia Arcusa załopotowała, gdy wojownik stanął przed jednym z wyjść. Haelan rozejrzał się i już wiedział, że wszyscy to poczuli, bo wystarczyło kilka uderzeń serca, a na ich twarzach pojawiła się nadzieja. Przemierzył kilka ostatnich kroków dzielących go od stosu i wpatrywał się weń przez moment, wznosząc wysoko pochodnię.

Znajdował się w płytkiej, okrągłej niecce, podobnej do tej, które kopali w lasach, by rozpalić w środku ogień.

Tylko że tu coś usypano.

Widział dwadzieścia, trzydzieści przedmiotów wielkości jego głowy, mniej więcej owalnego kształtu. Po ich powierzchni rozlewały się rozmyte kolory, przywodzące na myśl farbę unoszącą się na wodzie.

– Haelan, co to takiego? – syknęła Cywen.

Przełknął ślinę.

– Nie wiem! Przypominają... jaja?

– Nie... Tylko nie to... – szepnęła dziewczyna.

Buddai, Garnek i szczeniaki nagle zaczęli warczeć.

Rozdział sześćdziesiąty trzeci

CYWEN

Cywen oparła dłoń na karku Buddaia. Po jej plecach spływały dreszcze zgrozy, gdy wpatrywała się w wijący się kształt, który wyłonił się z cieni i wkroczył do komory. Był wyższy od konia i dwakroć tak szeroki, a jego długie cielsko wspierało się na krzywych, potężnych nogach. Łeb miał potężny, z płaskim pyskiem, z którego sterczały zakrzywione kły przywodzące na myśl sztylety. Przez moment draig stał nieruchomo jak kamienny posąg, jedynie z jego pyska wysuwał się język, którym smakował powietrze. Potem uniósł łeb i zaryczał.

Odgłos był ogłuszający, a podmuch niemalże zdmuchnął pochodnię Haelana. Cywen przycisnęła dłonie do uszu. Ziemia drżała pod jej stopami, a wokół draiga unosiły się tumany pyłu.

Arcus coś krzyczał i wskazywał tunel, z którego dobiegały mocne powiewy wiatru. Wszyscy rzucili się do biegu. Cywen wpadła do środka jako ostatnia, oglądając się za siebie. Ujrzała draiga, jak pędzi przez komorę ku niej, a z pozostałych tuneli dobiegały już ryki innych draigów.

Była zbyt przerażona, by myśleć spójnie. Gnała przed siebie.

Jest w tunelu! Tuż za mną!, powtarzała sobie.

Zmusiła się do jeszcze większego wysiłku. Niemalże czuła obecność doganiającego ich potwora, słyszała chrzęst, z jakim kłapał szczękami, próbując ją pochwycić.

Gdy korytarz zakręcił, wpadli do kolejnej komory. Arcus przebiegł ją w poprzek i znikł w jedynym tunelu, którego wylot znajdował się

na przeciwległej ścianie. Hild i Swain deptali mu po piętach. Haelan ze szczeniakami i Garnkiem biegł, potykając się, za nimi, a uciekającą grupę zamykała Cywen, której towarzyszył Buddai. Łoskot czyniony przez ścigającego ją draiga napełniał ją przerażeniem.

Potem ujrzała przed sobą światło.

Było blade i słabe, wydawało się ledwie plamką w oddali, ale nadzieja dodała jej sił. Przyśpieszyła, ale w tej samej chwili zrozumiała, że nie zdoła się stąd wyrwać. Draig był tak blisko, że czuła już smród jego oddechu.

Sięgnęła w głąb płaszcza, próbując sobie przypomnieć, gdzie trzymała odpowiednie fiolki, aż złapała dwie z nich w nadziei, że to właściwe połączenie. Cisnęła nimi o ziemię, brzęknęło rozbijane szkło.

– *Fola agus lasair, comhlacht agus tine!* – wrzasnęła.

Rozległ się odgłos ssania, zupełnie jakby tunel nabrał tchu, po czym z hukiem eksplodował ogień. Moc wybuchu popchnęła ją naprzód. Draig zaryczał z bólu i wściekłości. Cywen zaryzykowała spojrzenie przez ramię i ujrzała ścianę ognia ciągnącą się w poprzek tunelu. Między płomieniami dostrzegła ostre zęby i skórzasty pancerz bestii.

Biegła dalej, potykając się i opierając jedną ręką o ścianę. Przypomniała sobie, że nadal ma rękawicę Corbana na ramieniu. Z każdym krokiem światło stawało się większe i jaśniejsze, aż w końcu wypadła z tunelu. Jej towarzysze pędzili po zboczu wzgórza, które nagle wyrosło przed nimi.

Spojrzała za siebie w głąb tunelu. Płomienie nadal szalały, ale draig właśnie się przez nie przedzierał.

– Idzie tu! – wrzasnęła i popędziła w górę zbocza, niemalże na czworakach. Potknęła się o kamienie na szczycie i ujrzała wokół siebie las. Trwał dzień i po ciemnościach tunelu półmrok Fornu wydawał się nieznośnie jasny. Drzewa wznosiły się nad nią, ale ona widziała tylko kolejne sterty łąjna, ciągnące się dookoła niej w nierównym półkręgu.

Naraz drzewa zadrżały, a z tunelu wypadł draig. Cywen dogoniła Haelana, złapała go za dłoń i pociągnęła za sobą. Draig szarżował z rozwartymi szczękami i doganiał ich z przerażającą prędkością, miażdżąc zarośla.

Cywen skoczyła w bok, ciągnąc za sobą chłopaka. Oboje wpadli w stertę łąjna, która eksplodowała wokół nich. Draig wyhamował, rozrywając ziemię i runo leśne wielkimi pazurami. Cywen dźwignęła się na ręce i nogi. Wycierała łąjno z oczu, nosa i twarzy, walcząc z mdłościami. Haelan szarpał się w jej ramionach, parskając i dławiąc się. Otaczający ich smród zdawał się gęsty niczym morską mgłą.

Draig wyłonił się przed nimi. Nisko pochylony łeb znalazł się tak blisko, że Cywen ujrzała ślinę ściekającą z zakrzywionego kła. Przerazenie odebrało jej wszelką swobodę ruchu i nie była w stanie nawet wrzasnąć. Haelan, sądząc po zgrozie na jego obliczu, doświadczał tego samego.

Łeb draiga przesuwiał się to w jedną, to w drugą stronę na jego muskularnej szyi, a cielsko przesłoniło cały świat. Potwór wydawał się skonfundowany – szukał czegoś, czego nie mógł znaleźć. Przesuwiał się, rozglądał, rozrył szponem ziemię tuż obok stopy Cywen.

Nie czuje naszego zapachu, zrozumiała Cywen. Przysłoniła go woń łąjna. Ale czemu nas nie widzi? Czyżby przez to, że się nie ruszamy? Bądźmy więc cicho, cichutko...

W oddali rozległy się krzyki. Hild wybiegła z za drzewa, a z nią Arcus i pozostali. Wołali i machali rękami.

Próbują nas ocalić, uświadomiła sobie Cywen.

Draig zaryczał gniewnie i runął ku ich towarzyszom, oddalając się od dziewczyny i chłopaka.

– Ruszamy! – syknęła Cywen. Złapała Haelana za kołnierz i pociągnęła go za sobą, gnając za draigiem.

Pędzili przez las tratowany i rozrzucany przez potwora. Słyszeli jego rytmiczny tupot i zgrzyt pazurów o przeszkody. Cywen dojrzała zataczający łuki ogon, a gdzieś dalej sylwetki uciekających przyjaciół. Mignęło futro umykających szczeniąt.

Draig nie widział mnie ani Haelana, gdy byliśmy nieruchomi i wysmarowani łańnem. Jego najważniejszym zmysłem musi więc być węch, co ma sens, skoro spędza większość czasu w tunelach. A co ze wzrokiem? Na pewno widzi nas, kiedy się poruszamy... A gdybyśmy się zatrzymali? Nie, wówczas wyczułby zapach pozostałych.

Wrzaski niosły się po lesie. Strach dodał Cywen siłę, dzięki czemu jeszcze przyśpieszyła.

Draig wzniósł się nad Hild i Sif, zasłoniętymi przez Arcusa, który trzymał czerwony od krwi miecz. Cywen wrzasnęła coś bez słów i sięgnęła w głąb płaszcza.

Draig spojrzął za siebie i rąbnął w nią ogonem, czym wyrzucił ją w powietrze. Uderzyła w ziemię kilka kroków dalej, przetoczyła się i zaplątała w pnącza. Uniosła głowę i ujrzała potwora, który pojawił się nad nią z rozwartą paszczą.

Wtedy skoczył na niego Buddai. Jego kły wyszarpnęły czerwone szramy na skórze draiga, ale pies nie był w stanie przebić się przez pancerz i wgryźć się w jego ciało. Spadł na ziemię i uskoczył przed zataczającymi łuk szponami, które rozprułyby go jak stary worek.

Cywen wspięła się na kolana, zachwiała, sięgnęła w głąb płaszcza.

Wtedy na draiga rzucił się Arcus. Trysnęła krew z przebitego mieczem boku. Draig ryknął z bólu i targnął się, wyszarpując broń z garści wojownika, po czym odmachnął się ogonem i trafił mężczyzną prosto w pierś. Ten przeleciał kilka kroków, uderzył plecami o drzewo i osunął się na ziemię. Draig już był przy nim. Przygwoździł go łapą do ziemi, pochylił łeb i zacisnął szczęki na jego głowie, którą oderwał jednym szarpnięciem potężnego karku, zmiażdżył i przełknął.

Sif wrzasnęła, zasłaniając sobie usta rękami. Draig zauważył ją i ruszył ku niej, a dziewczynka stała w miejscu i nie przestawała histerycznie wrzeszczeć. Hild skoczyła ku córce, a Cywen, zataczając się, próbowała nadążyć za draigiem. Wszędzie widziała ruch – szczenięta pod wodzą Cień skakały na potwora i szarpały go zębami. Buddai rzucił się do kolejnego ataku i tym razem zdołał zatopić kły

w tylnej łapie draiga, uwalniając krwotok czarnej krwi. Garnek tymczasem wgrzyzał się w jego przednią łapę.

Draig zignorował psy, tak jak człowiek zignorowałby natrętne muchy. Rozwarł paszczę nad Sif, ale wtedy pojawiła się kolejna postać. Swain wyskoczył i uchwycił się długiego kła w dolnej szczęce potwora. Oplótł nogami jego kark, jakby chciał się po nim wspiąć jak po gałęzi. W jego dłoni pojawił się nóż, którym zaczął dźgać miękką tkankę we wnętrzu paszczy potwora. Ciosy chłopaka były szybkie i pełne wściekłości, a ślinę ściekającą z pyska potwora zabarwiła krew. Draig wspiął się na tylne łapy i potrząsnął łbem. Hild dopadła Sif, zgarnęła ją w ramiona i biegła dalej.

Draig padł na przednie łapy z impetem, od którego zadygotała ziemia. Rozwarł paszczę i znów zaryczał, aż wypełnił świat swą wściekłością. Swain jakimś cudem nadal trzymał się jego kła, choć nie dotykał już nogami ziemi. Kołysał się pod żuchwą bestii i nadal dźgał ją nożem, choć tym razem w gardziel. Draig potrząsnął całym ciałem niczym pies po kąpieli w morzu, odrzucając Swaina, Buddaia, Garnka i szczeniaki we wszystkie strony.

Cywen obiegła go od tyłu, uniknęła wyrzuczonego w powietrze szczenięcia, wyłowiła dwie kolejne fiolki, ale zawahała się. Skóra bestii wydawała się bardzo gruba, a więc lepiej było cisnąć nimi w głowę, gdzie znajdowały się oczy oraz wnętrze pyska, przypuszczalnie najwrażliwsze części ciała.

Draig przedzierał się w ślad za Swainem, który zdołał zerwać się na równe nogi i ruszyć za mamą i siostrą. Łeb potwora wystrzelił, a szczęki zacisnęły się na nodze chłopca. Szarpnął i poderwał go w górę. Ten wrzasnął przeraźliwie, a Hild wyhamowała.

Cywen zrozumiała, że szukanie sposobności do celnego rzutu rozmija się już z sensem. Rzuciła obiema fiolkami w łuskowany bok zwierzęcia. Płyny z obu naczyń zmieszały się, a wymruczane po cichu magiczne słowa wznieciły jasne, oślepiające płomienie, które objęły całe ciało bestii. Draig zaryczał z bólu i wypuścił Swaina. Haelan i kilkoro szceniąt wypadli z zarośli. Przypadli do chłopca i odciągnęli go na bok. Swain wrzasnął, łapiąc swą zakrwawioną nogę, a oszalały z bólu, palony żywcem draig machnął na oślep

pazurzastą łapą. Haelan w porę rzucił się na ziemię, ale pazur draiga zahaczył jedno ze zwierząt, rozszarpując je na krwawy strzęp.

Haelan krzyknął z przerażenia i wściekłości. Zerwał się, wyszarpnął toporek z za pasa i przypadł do łapy potwora. Wpił się w nią i zaczął jak szalony rąbać po stawie.

Cywen dobiegła od tyłu i wbiła szpony wilkuna w ogon draiga. Wyszarpnęła je, pozostawiając na skórze długie szramy. Potwór zamachał wściekle ogonem i odwrócił się ku dziewczynie, podczas gdy Haelan nadal wpijał się w jego łapę. Cywen uskoczyła przed szponami, a Buddai wślizgnął się pod podbrzusze draiga, skąd wyskoczył z zakrwawionym pyskiem. Do ataku powróciły również szczenięta, a Garnek wgrzyzł się w łapę, do której przywarł Haelan.

Draig oszalał z bólu i wściekłości. Ostatnie płomienie gasły na jego grzbiecie, pozostawiając poczerniałe fragmenty skóry. Naraz uderzył łbem w bok i zahaczył kłębem o ramię Cywen. Oślepiąca bólem dziewczyna zatoczyła się i padła, a bestia runęła w ślad za nią. Buddai skoczył na draiga, wbił kły w jego policzek i kości czoła, ale potwór odrzucił go wściekłym targnięciem łba. Pies przeleciał w powietrzu i rąbnął w ziemię kilka kroków obok Cywen z chrupnięciem pękających kości. Podciągnęła się, niemalże pełznąąc w stronę ukochanego psa, a wtedy draig znów podniósł się nad nimi i rozwarł paszczę.

Zginiemy. Wszyscy zginiemy!, uświadomiła sobie Cywen.

Otoczyła Buddaia ramieniem, a ogar zaskamlał, próbując się podnieść. Polizał ją po twarzy.

Naraz coś zaświergotało i w gardzieli draiga niespodziewanie utkwiała białopióra strzała.

A po niej kolejna.

Następnie rozległ się głośny świst i w boku potwora pojawiła się rękojeść sztyletu. Draig wyryczał wyzwanie, ale w jego głosie pojawiła się frustracja. Czuł już, że z lasu wyłania się ku niemu obca, niszczycielska moc.

Z cieni wypadła Burza, która przypominała istną błyskawicę mięśni, kłów i futra. Wilkunica odbiła się i uderzyła w bok draiga. Jej

potężne szczęki zacisnęły się na muskularnej szyi potwora, a kły weszły głęboko. Zwierzęta przetoczyły się po runie leśnym, wzniesając eksplozję ziemi, draig miotał się bowiem jak szalony, machając dziko łapami i ogonem.

– Prawda i odwaga! – wrzasnął Corban, który wypadł z zarośli, wznosząc wysoko miecz.

Obok niego biegł Gar, z drugiej strony Coralen, a za nimi Farrell z młotem na długim trzonku. Przy Farrellu susami sadziła najeżona sztyletami Laith oraz drobna Kulla. Uderzyli na draiga w dwóch falach – najpierw przypadli doń Corban, Coralen i Gar, wycinając mieczami długie, krwawe szramy w grubym pancerzu potwora, po czym odskoczyli, by zrobić miejsce dla Farrella i Kulli. Młot i miecz opadły jednocześnie. Laith za ich plecami ciskała jednym sztyletem za drugim.

Draig znów stanął na tylnych łapach, próbując zerwać Burzę z grzbietu. Smagnął ogonem nowych przeciwników. Corban przeskoczył nad nim, runął naprzód, ujął miecz w obie dłonie i wbił go draigowi w miękkie podbrzusze. Naparł ze wszystkich sił, a potem obrócił miecz w ranie i wyrwał go z ciała potwora, uwalniając strumień niemalże czarnej krwi. Draig zaryczał i padł na ziemię, na nowo wzniesając eksplozję liści i ziemi. Jego łeb opadł bez sił. Ciało przeszył ostatni dreszcz i potwór zdechł.

Corban stanął nad Cywen i wyciągnął ku niej dłoń. Burza trąciła nosem Buddaia, który zamachał ogonem, tłukąc nim o ziemię. Cywen chwyciła brata za rękę, a ten pomógł jej wstać.

– A więc wciąż pakujesz się w kłopoty – oznajmił z szerokim uśmiechem i objął ją mocno.

Rozdział sześćdziesiąty czwarty

MAQUIN

Maquina przebudziło jasne światło oraz ból głowy. Obrócił się na bok w nadziei, że ujrzy obok siebie Fidele, ale okazało się, że leży sam, a futra i koce po stronie królowej są już chłodne. Wstawał świt i powietrze nadal było rześkie, a przy płynącym nieopodal strumieniu gromadziła się mgła. Usiadł powoli, a wtedy powróciły do niego wspomnienia z zeszłej nocy. Uśmiechnął się szeroko, gdy przypomniał sobie słowa Fidele.

„Jesteś dla mnie wszystkim”.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej, a potem dostrzegł bukłak i potarł skronie.

Chyba się starzeję, pomyślał, gdyż w głowie nadal miał zamęt. Kilka kubków miodu i śpię przez całą noc.

Z trudem uklęknął przy strumieniu, zanurzył głowę aż po ramiona w lodowatej, orzeźwiającej wodzie i poderwał ją, parskając. Z oddali dobiegły go owacje i wiwaty, co przypomniało mu o planowanej akcji ratunkowej Veradisa.

Miałem zgłosić swój udział, uświadomił sobie. Sądząc po wiwatach, obyli się beze mnie, choć umknęła mi bitwa godna pieśni.

Naciągnął buty, wełnianą tunikę i skórzaną kamizelę, przerzucił pas z mieczem przez ramię i ruszył w stronę obozu.

Najpierw ujrzał Veradisa, który wraz z bratem prowadził długą kolumnę wojowników – Alcyona, Balura oraz przypuszczalnie wszystkich Benothi, a także wielu, wielu ludzi, głównie wojowników z Ripy w czerni i srebrze. Większość zrzucała płaszcze i hełmy,

witana z radością przez Isiltirczyków, ludzi Wulfa i Uwolnionych Javeda. Wszyscy cieszyli się na widok przyjaciół wracających do domu. Ludzie się obejmowali, wybuchali śmiechem, niektórzy płakali.

A więc udało mu się, pomyślał Maquin, patrząc na Veradisa. Trudno sobie wyobrazić, co on tam przeżył. Ech, chciałbym usłyszeć tę opowieść! Ale najpierw ważniejsze sprawy. Gdzie Fidele?

Wtedy dostrzegł młodego, ciemnowłosego mężczyznę z Ripy, który szedł ku niemu. Rozpoznał w nim członka nieoficjalnej gwardii honorowej Fidele.

– To dla ciebie, panie – rzekł wojownik i wręczył mu zwinięty pergamin. Nie spojrział Maquinowi w oczy.

– Nie jestem niczym panem – mruknął Maquin i spojrział na zwój. Widniała na nim pieczęć Fidele. Naraz coś ścisnęło mu serce, coś, co przywodziło na myśl chłodny wiatr w letni dzień.

– „Wyruszyłam na poszukiwanie Nathaira – czytał. – Dałam ci zeszłej nocy eliksir na sen, bo wiedziałam, że będziesz próbował mnie od tego zamysłu odwieść lub, jeśli nie dam ci się przekonać, ruszysz za mną. Muszę porozmawiać z Nathairem na osobności, bo wiem, że pozostało w nim dobro. Muszę tylko wydobyć je na światło dzienne.

Wszystko, co usłyszałeś ode mnie wczoraj, to prawda. Każdy mój czyn, każde moje słowo. Niemniej odnalezienie Nathaira to zadanie tylko i wyłącznie dla mnie. On jest moim synem. Proszę, wybacz mi”.

Pod tym słowami widniał jej podpis.

Maquin pochylił głowę i przycisnął list do piersi. Przetoczyła się przezeń fala emocji. Zabolalo go to, że Fidele nie zaufała mu i uciekła się do podstępu. Rozgniewał go fakt, iż dał się oszukać, ale najmocniejszym uczuciem był lęk, który wgryzł się w jego żołądek.

Forn to niebezpieczne miejsce, pomyślał. Sama przeprawa...

– Kiedy odeszła? Ilu wzięła ludzi? – Zwrócił się do młodzieńca.

– Kazała mi, bym prosił cię o cierpliwość, panie – rzekł.

– Równie dobrze mógłbyś prosić słońce, by nie wstawało! – warknął Maquin i zbliżył się do młodego wojownika, który tym razem spojrział mu w oczy.

Odważny z niego chłopak, ale ja nie mam na to czasu, pomyślał Maquin.

Jego gniew znów wezbrał, spotęgowany lękiem o Fidele. Zacisnął pięści.

– Jak cię nazywają?

– Spyr, mój pa... – odparł młodzieniec, ale Maquin przerwał mu głuchym warknięciem.

– Nie nazywaj mnie tak! Oczekuję od ciebie lojalności, ale nie powstrzyma mnie to od wyprucia ci flaków!

Nawet nie drgnął ani nie dotknął swej broni, ale wojownik cofnął się o krok.

– Ona ruszyła za Nathairem, ty głupcze! – syknął cicho Maquin. – Będzie wędrować przez dziesięć dni przez Forn, a potem wejdzie w sam środek obozu wroga. Myślisz, że Nathair pozwoli jej stamtąd wyjść? Ten człowiek zdradził swój ród, swe królestwo, ba, całe Ziemie Wygnanych!

Nie odrywał wzroku od Spyra.

– Zapytam cię więc raz jeszcze! Kiedy ruszyła w drogę i ilu wzięła ludzi?

– Sześciu. – Spyr wpatrywał się w ziemię.

– A kiedy wyszła?

– Zeszłej nocy. Wtedy, gdy Veradis poprowadził swoich ludzi do Drassil.

Sprytny plan. Zapewne nikt ich nie zauważył, pomyślał Maquin.

Zastanawiał się przez moment, po czym zawrócił na pięcie i poszedł z powrotem do strumienia. Napełnił wodą kilka bukłaków, napchał sucharów do plecaka, obejrzał swój ekwipunek i zarzucił go na ramię. Sprawdził noże i ruszył przez obozowisko, starając się wymijać cieszących się ludzi, aż dostrzegł Tekę i zmienił decyzję. Podszedł do niej.

– Potrzebuję twojej pomocy – powiedział. Wiedział, że Teca jest najlepszą tropicielką w ich armii. – Fidele strzeliło coś do głowy i opuściła nas. Muszę ją dogonić, zanim wpakuje siebie i nas wszystkich w wielkie kłopoty.

Teca obrzuciła Maquina długim spojrzeniem.

– W porządku. Ruszajmy w ślad za nią.

Nie zwlekali. Chwilę po tym, jak udali się w drogę, Maquin usłyszał za sobą kroki. Odwrócił się i ujrzał zawstydzonego, upokorzonego Spyra.

Chłopak tylko wypełniał rozkazy, pomyślał.

Skinął mu głową, by do nich dołączył i we troje ruszyli przez las, podążając po śladach pozostawionych przez setkę ludzi Veradisa i dwa tuziny olbrzymów. Po chwili Teca zatrzymała się i obejrzała połamane liście czerwonej paproci. Następnie przyjrzała się ziemi, po czym poderwała się i ruszyła ku zaroślom z dala od szlaku wydeptanego przez hufiec Veradisa.

Szli w milczeniu, a w głowie Maquina krążyły czarne myśli na podobieństwo wron, kołujących nad polem bitwy.

Wilkuny, draigi, niedźwiedzie, nietoperze... Włóczy się tu tyle bestii, które mogłyby ją pożreć... Forn to jeden wielki drapieżnik. A jeśli Fidele uda się dotrzeć do Nathaira, co on jej zrobi?

Zdławił pokusę, by ruszyć biegiem przez las. Powiedział sobie, że musi pozwolić Tece pracować. Tropicielka zaś zatrzymała się i wbiła wzrok w ziemię przed sobą. Maquin, spięty i zdenerwowany, obszedł ją.

Najpierw ujrzał chmary bzyczących much, tak gęste, że przypominały dym unoszący się nad ogniem. Potem poczuł intensywny, duszący smród krwi i odchodów. Między drzewami zalegały trupy. Spyr zaklął i podbiegł naprzód, by uklęknąć przy pierwszym ciele.

– To Clem – szepnął i spojrzał na Maquina z poczuciem winy w oczach.

Maquin przeszedł przez polanę, szybkimi spojrzeniami omiatając czterech czy pięciu zabitych wojowników z Ripy. Potem dostrzegł kolejne ciało – w skórzanych spodniach oraz skórzanej kamizeli. Jego krew zamieniła się w lód, gdy nachylił się i ujrzał żelazne pierścienie w jego brodzie.

– Vin Thalun – wysyczał.

Wstał, a potem dostrzegł kolejne ciało leżące na brzuchu. Spyr odwrócił je, a Teca syknęła z przerażeniem. Twarz poległego została

nadjedzona – górna warga oraz policzek były ogryzione aż do kości, a jedna z gałek ocznych zwisała na nerwie – ale nadal można było rozpoznać Agosta.

– Tędy! – Teca przywołała ich gestem – Tędy odeszli!

Pokazywała na wschód.

Tym razem Maquin ruszył biegiem. Trop był wyraźny i łatwo było za nim podążać.

Nie wracają do Drassil, przemknęło mu przez głowę. Myśl ta obudziła w nim zdumienie pomimo zimnej furii przepełniającej serce. A więc gdzie mieliby się udać? I po co?

Przebiegli przez trakt Jaela i po śladach dotarli na błotnisty brzeg rzeki.

– Łodzie – oznajmiła Teca, wodząc palcami po głębokich bruzdach w błocie. – Więcej niż jedna.

Fidele wpadła w ręce Vin Thalun, a ci wsadzili ją na łódź i odpłynęli, pojął Maquin. Na pewno stoi za tym Lykos.

Padł na kolana. Twarz wykrzywiła mu wściekłość. Nie przestawał parskać i warczeć niczym zwierzę pochwycone w pułapkę.

– Powinniśmy wrócić. Potrzebujemy więcej ludzi – rzekła Teca.

– A więc wracaj – odparł Maquin. Widział sens w jej słowach, ale nie potrafił opuścić tego miejsca. Na samą myśl o oddaleniu się od Fidele czuł fizyczny ból w sercu. – Ja zostanę. Przeszukam brzeg rzeki.

– Ja też zostanę – oznajmił Spyr. – Pomogę w...

Urwał. Widać było, że dręczy go poczucie winy.

I żał, pomyślał Maquin. Stracił dziś towarzyszy broni, ludzi, z którymi był blisko związany.

Teca stała przez moment i wpatrywała się w niego.

Pewnie próbuje ocenić, czy można mi zaufać. Czy nie odbiło mi do reszty.

Zmusił się, by odwrócić wzrok od rzeki i spojrzeć tropicielce w oczy.

– Liczy się tylko Fidele. Dzika furia w niczym mi nie pomoże, a więc zapanuję nad nią – rzekł głosem mroźnym jak zimowy

deszcz. – I przysięgam na Elyona na niebie i Asrotha w czeluściach, że ją odnajdę. A jeśli stanie się jej krzywda...

Zgrzytnął zębami, a z jego gardła wyrwał się odgłos niemający nic wspólnego z ludzką mową. Zacisnął dłoń na rękojeści noża, wyrwał go z pochwy i przejechał ostrzem po dłoni. Wyciągnął rękę przed sobą i zacisnął pięść, aż pobielwały mu kostki. Do rzeki ściekły czerwone krople.

– Poleje się krew.

Rozdział sześćdziesiąty piąty

CAMLIN

Camlin zakaszłał, a jego pierś przeszył ból. Otworzył oczy na jasne, oślepiające światło. Miał wrażenie, że wpatruje się w słońce.

Umarłem, pomyślał.

Znów zakaszłał. Płuca mu płonęły, a gardło paliło. Czuł smak soli. Bolały go plecy oraz ramię.

Nie, nie umarłem. Czuję ból. Umarłego chyba nic nie boli. Myślę, że wtedy to człowiek już nic nie czuje.

W jego polu widzenia pojawiła się piegowata buzia w nazbyt wielkim hełmie, spod którego uciekały rude kosmyki. Głowa przesłoniła oślepiające światło.

To Meg, uświadomił sobie Camlin. Budzi mnie.

Dziewczynka pochyliła się i objęła go. Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale zdobył się jedynie na ochryply skrzek, jakby gardło wydrapano mu nożem garbarza. Spróbował więc usiąść, co wzbudziło kolejne fale bólu. Ruch wyzwolił ból dziesiątek pomniejszych obrażeń, które próbował zignorować. Jęknął głucho.

Znajdował się w ich łodzi. O burtę pluskały fale. Na dziobie siedział Craf przypominający potargany, sparszywiały galion, a Vonn i Brogan wiosłowali za jego plecami jak szaleni.

– Ty nie żyjesz. – Camlin zdołał wychrypieć do Brogana.

Wojownik o byczym karku był przemoczony do suchej nitki, a na jego twarzy od brwi aż po szczękę rozlewał się wielobarwny siniec.

– To samo mu powiedziałem – burknął Vonn.

– Powinienem nie żyć – zgodził się Brogan. Jego wydatne mięśnie napinały się z wysiłku.

– Wszyscy powinniście nie żyć. – Meg się skrzywiła. – Czekałam tam, gdzie się umówiliśmy, gdy nagle woda wystrzeliła z głośnym pluskiem po obu stronach łodzi. Myślałam, że jakiś wodny potwór chce mnie pożreć, ale okazało się, że to tylko ty i Vonn spadliście z nieba. Craff pomógł mi was znaleźć. Z Vonnem było mniej roboty, bo parował i próbował pływać, ale ty unosiłeś się na wodzie jak kłoda. Myślałam, że nie żyjesz. Vonn wciągnął cię do środka, a ja tłukłam cię po żebrach, aż zacząłeś wreszcie oddychać. Potem się porzygałeś, o mało nie zakaszlałeś na śmierć, znowu porzygałeś i straciłeś przytomność.

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

– A potem z nieba zleciał Bezkarki. Poszła niezła fala. Cud, że łodzi nie wywróciła.

– Ha – burknął Brogan.

– Nieźle się umordowaliśmy, próbując go wciągnąć – dodała Meg.

– Nic dodać, nic odjąć – wykrztusił Vonn między jednym pociągnięciem wiosła a drugim.

– A czemu właściwie jeszcze żyjesz? – Camlin zwrócił się do Brogana.

– Cóż, byłem na schodach. Tłukłem wszystkich naokoło i zrzucąłem ich w dół, aż porwałem za miecz, ale wtedy zamajaczył jakiś ogromny kształt. Olbrzym, pomyślałem sobie.

– Ten, z którym walczyłeś? – szepnął Camlin. – Ten z toporem?

– Nie. Okazało się, że to olbrzymka. Ta kobieta, którą więziliśmy. To ona mnie rąbnęła – Brogan wskazał siniec. – Walnąłem w mur, że aż echo poszło. Próbowałem uciekać, ale dopadła mnie, podniosła i...

– Co nie mogło być łatwe – skomentowała Meg.

– ...i przerzuciła mnie przez mur.

Camlin pokiwał głową.

Chciała go zabić czy ocalić?, zastanawiał się.

A potem przypomniał sobie, dlaczego Brogan rzucił się na wroga na schodach.

– Przykro mi, chłopaki – rzekł. – Nieźle namieszałem. Lorcan...

– To nie twoja wina – odezwał się zasmucony Brogan. – Nie dałoby się zatrzymać Lorcana. Trzeba by go najpierw związać.

I tak trzeba było postąpić, pomyślał Camlin. Jego duma zapewne by ucierpiała, ale nadal by żył.

– Biedny Lorcan – wykrakał Crafi, siedzący na dziobie. – Morcant zły człowiek.

Oj, tak. Trzeba go zgładzić, dodał w myślach Camlin.

– Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy – warknął Brogan i zacisnął pięści na wiosłach, aż pobieleły mu kostki.

– Ostrożnie z nim – rzekł Vonn. – Dużo gada, ale mieczem włada jak mało kto.

– Jeszcze zobaczymy – odparł Brogan.

– No i naszyjnik przepadł. – Camlin pokręcił głową.

– A co to jest, w takim razie? – Meg wyciągnęła czarno-srebrny naszyjnik z kieszeni.

– Crafi złapać naszyjnik! – zakrakał ptak. – Crafi mądry.

– Cholera, nie mogę ci tego odmówić, chłopie! – odezwał się z ulgą Camlin.

Mam nadzieję, że to zetrze uśmiech z gęby Rhin, pomyślał.

Obejrzał się dokładnie. Był przemoczony do suchej nitki, ale jakimś cudem ocalił miecz, który nadal tkwił w pochwie, a w kołczanie przy pasie pozostało mu kilka strzał.

– A mój łuk? – spytał.

– Przepadł w wodzie. – Meg pokręciła głową.

Baglun rósł w oczach. Camlina przeszył dreszcz, gdy uświadomił sobie, jak bardzo są widoczni.

Musimy się gdzieś schować, pomyślał.

Dotarli do brodu, który przecinał nurt rzeki. Wyleźli z łódki i zaczęli przeciągać ją przez płyciznę. Ich buty zgrzytały na kamykach. Crafi zataczał kręgi, unosząc się w górę, aż zakrakał i runął ku nim. Czwórka śmiałków zatrzymała się na samym środku brodu i spojrzała na Dun Carreg, wyrastający w oddali niczym żelazna iglica.

– Nie! Tam! – zakrakał Crafi i skreślił na północ, odrywając ich spojrzenia od fortecy.

Camlin zamrugał, zmrużył oczy, a potem je przetaił.

– Na zęby Asrotha – wyszeptał.

Na trakcie olbrzymów, ciągnącym się na północ od Dun Carreg, oraz na otaczających go terenach roiło się od ludzi. Patrzyli na wielotysięczny hufiec, żelazne hełmy, ostrza migoczące w blasku wschodzącego słońca i morze płomieni. Nadciągnął hufiec Rhin.

Rozdział sześćdziesiąty szósty

CORBAN

Corban siedł obok siostry. Utykała, była poturbowana i posiniaczona, ale nie miała żadnych złamań. Obok niej z trudem siedł Buddai, choć chwilę wcześniej zdobył się na to, by przez chwilę podokazywać z Burzą.

– Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię widzę, Cy – rzekł Corban. Otoczył ją ramieniem, przyciągnął do siebie i ucałował w czoło. – Opowiedz mi, jak wyrwałaś się z Drassil.

Wysłuchał opowieści w skupieniu, wydymając policzki i kręcąc głową.

Moja siostra to bohaterka z dawnych legend, pomyślał, po czym podzielił się z nią tą myślą.

Cywen szturchnęła go łokciem w żebra.

– Ale to ty zabiłeś draiga! – powiedziała.

– Tak, ale nie sam. Miałem sporo pomocy, a myślę, że ty sama zdołałaś go wcześniej nieco zmiękczyć.

Spojrzał wymownie na szpony wilkuna, przymocowane do nadgarstka Cywen, i zaschła krew na ostrzach.

– To twoja broń – powiedziała.

Szli między drzewami Fornu. Coralen prowadziła ich w stronę polany, gdzie po raz ostatni widzieli obóz. Tropicielka miała nadzieję, że nowy obóz będzie gdzieś w pobliżu i zostaną spostrzeżeni przez zwiadowców czy wartowników.

Corban czuł wielką radość na myśl o tym, że wreszcie wraca do swoich, ale w jego sercu jednocześnie narastały napięcie oraz

niepokój. Podróż powrotna z osady Gramma okazała się... cóż, przyjemnym doświadczeniem. Spędził wiele dni z rzędu w towarzystwie najlepszych przyjaciół. Często się śmiali, mnóstwo rozmawiali – a przynajmniej Dathowi nie zamykały się usta – a do tego miał czas dla Coralen.

A to było naprawdę fajne. Bardziej niż fajne. Najlepsze na świecie, pomyślał.

Zerknął na jej rude włosy, rozświetlane pojedynczym promykiem słońca. Wyglądały, jakby płonęły. Uświadomił sobie, że wystarczyło mu na nią spojrzeć, by zaczął się uśmiechać.

Teraz jednak powrócili, co oznaczało, że będzie musiał wyjawić wszystkim prawdę o Meicalu i jego przepowiedni. Nie miał na to najmniejszej ochoty.

Wraz z Cywen opowiadali sobie o tym, co im się przytrafiło podczas rozłąki, ale dziewczyna urwała, gdy opisywała los swych współwięźniów.

– Calidus wyksztąpił pewien rytuał – podjęła po długiej przerwie.
– Był przekonany, że kryjesz się wraz z innymi w lesie i co rano rzucał ci wyzwanie. Oczywiście nie doczekał się odpowiedzi, a wtedy zabijał jednego z jeńców. Nadziewał ich na włócznie. Nie chciałam ci o tym mówić, ale skoro wróciłeś do nas, pewnie i tak byś się dowiedział. Lepiej, byś usłyszał to ode mnie.

Corban poczuł mieszaninę wstydu i wściekłości.

Jestem powodem, dla którego zabito kolejnych ludzi, pomyślał.

Zacisnął zęby tak mocno, że zadrgały mu mięśnie szczęki. Cywen wpatrywała się w niego.

– Mam ci wiele do opowiedzenia – ciągnęła. – O Calidusie, Siedmiu Skarbach i planach naszych wrogów.

Usłyszeli za sobą kroki i ujrzeli biegnącego Haelana. Towarzyszył mu jego biały pies-szczurołap oraz jedno ze szczeniąt Burzy. Corban nie mógł uwierzyć w to, jak bardzo wyrosły. Szczeniak, na którego patrzył, już osiągnął rozmiary dorosłego ogara. Brązowa, cętkowana sierść oraz pysk czarny jak noc sprawiały, że psiak sprawiał niepokojące wrażenie, a jego bursztynowe oczy odbierały pewność siebie.

– Chciałem cię przeprosić. – Haelan wpatrywał się w Corbana. Po jego policzkach ciekły łzy.

– Nie zrobiłeś nic złego – odparł Corban. – Chciałem ci podziękować za to, że tak dobrze zajmowałeś się szczeniakami. Robią świetne wrażenie!

Wszyscy spojrzeli na Burzę otoczoną swym potomstwem. Szczenięta uganiały się wokół niej, łapały ją zębami, przetaczały się po ziemi i skakały niczym małe owieczki. Burza zaś nie mogła zdecydować, czy udawać szlachetną obojętność, czy też może igrać z nimi, jakby sama była szczeniakiem. Co rusz przewracała się na bok, trącała młode łapami, chwytając ich łebki między swe ogromne szczęki, a potem zrywała się i udawała, że nikogo nie dostrzega.

– Mylisz się – powiedział Haelan. – Zrobiłem coś złego. Przecież Burza miała sześć szceniąt, a zostało ich zaledwie pięć.

– A co się stało z szóstym?

– To ten draig... – zaczął Haelan, po czym opuścił głowę. Ramiona mu zadrżały. – Ten draig zabił Zaciekłego. Stał nad Swainem i próbował go bronić, głupi pies.

Haelan szlochał przez moment, po czym spojrział do tyłu. Corban zrobił to samo. Ranny Swain, którego nogę opatrzyli najlepiej jak się dało, był niesiony przez Laith, obok której kroczyli Hild i Farrell. Na barkach wojownika siedziała Sif.

– Czasem odwaga i głupota są tym samym – powiedział Corban – ale nie można nikogo za to besztać. To nie była twoja wina, Haelanie. Nie możesz sprawić, że ktoś przestanie być tym, kim jest. Nie możesz zahamować jego instynktu. Te szczeniaki są z krwi Burzy i Buddaia. W ich żyłach płynie odwaga oraz lojalność. Są gotowe za ciebie zabijać i ginąć, bo cię kochają.

Spojrział na Burzę z łzą w oku.

– Bronił mnie wielokrotnie i wiem, że gdyby nie ona, nie byłoby mnie tu dziś. Dla niej zrobiłbym to samo.

Zmierzył Haelanowi włosy.

– Wykonałeś świetną robotę, ale żyjemy w mrocznym, okrutnym świecie, w którym codziennie dzieją się sprawy poza naszą kontrolą.

Spojrzał na szczeniaka, który dreptał przy Haelanie. Sięgnął chłopcu do pasa.

– Ten chyba stał się twoim cieniem.

– Tak ją nazwałem! – Na twarzy chłopca pojawił się uśmiech. – Ze względu na sierść. Wygląda jak cień, gdy przemieszcza się w ciemnościach.

– W takim razie to imię zdecydowanie do niej pasuje – rzekł Corban.

– Mam coś jeszcze. – Haelan sięgnął do plecaka i z niemałym trudem wyciągnął kolczugę. – To należy do ciebie.

– Prawda! – rzekł Corban. – Skąd to masz? Była w mojej komnacie, wraz z kłami...

Spojrzał na Cywen.

– Jedno z naszych przyjaciół zdołało to odzyskać. – Haelan pociągnął nosem.

– Jestem wam za to bardzo wdzięczny. – Corban uniósł kolczugę. – Wykuli ją dla mnie Farrell z Laith, a coś mi mówi, że niebawem będę jej potrzebował.

Ścisnął ramię chłopaka.

– Dziękuję.

Gar i Coralen, idący przed nimi, zatrzymali się, a dziewczyna wzniosła pięść.

– Proszę bardzo – odezwała się. – Już są.

Zarośla zadrżały i ożyły, a dookoła zaroilo się od odzianych na czarno wojowników z krzywymi mieczami. Corban rozpoznał Akara, ongiś rywala, a teraz przyjaciela Gara. Obaj Jehar uścisnęli się, a wtedy Akar ujrzał Corbana i opadł na kolano. Pozostali uczynili to samo.

Całkiem o tym zapomniałem, pomyślał Corban.

* * *

Corban wszedł do obozu, wyprostowany i zdecydowany. Wieści o jego powrocie szybko się rozeszły i między drzewami niosły się

wiwaty. Rozpoznawał wiele twarzy, uśmiechał się i pozdrawiał znajomych, ścisnął dłonie, poklepywał po ramionach, tu i ówdzie wymieniał kilka słów. Natknął się na Wulfa, który uśmiechnął się na jego widok, a potem zapomniał o nim, przebiegł obok i padł na kolana przed żoną i dziećmi, by szlochając, zagarnąć ich w ramiona. Corban ujrzał też Tahira, który na widok Haelana osunął się na jedno kolano i wybuchnął płaczem, a chłopak rzucił mu się w objęcia. Zobaczył także wiele nieznanych sobie twarzy, należących do ludzi w czerni i srebrze Tenebralu. Choć Cywen opowiadała mu o tym, kto dołączył do hufca, odruchowo oparł dłoń na rękojeści miecza.

Zauważył również kilka nieznanych mu olbrzymów, w tym jednego z pasmem ciemnych włosów, biegnącym wzdłuż wygolonej czaszki.

Sporo się wydarzyło podczas mojej nieobecności, pomyślał.

A potem ujrzał Brinę.

Uzdrowicielka stała na niewysokim pagórku. Wydawała się drobna, blada i znużona. Corban zerwał się do biegu, pochwycił ją w ramiona, ścisnął mocno i zakręcił nią wokół siebie, śmiejąc się i płacząc.

– Już dość, ty wole! – stęknęła Brina. – Dość! Żebra mi połamiesz.

Corban postawił ją na ziemi, ujął za ramiona i obejrzał od góry do dołu. Uśmiechała się do niego, a na jej policzkach migotały łzy. Wyglądała na starszą, a zmarszczki na jej twarzy były głębsze. Zauważył też szarą bladość, która wcale mu się nie spodobała.

Znów przygarnął ją do siebie i ucałował w policzek. W innej sytuacji by go przegoniła, ale teraz się nie broniła, a nawet sama go ucałowała.

– A więc znalazła cię – stwierdziła, patrząc na Burzę. – Tak sądziłam.

– Coralen powiedziała mi, że ją uzdrowiłaś – rzekł Corban. – Że zgarnęłaś ją śmierci sprzed nosa.

– Tak, twarda z niej sztuka – powiedziała Brina i z uczuciem podrapała wilkunicę pod brodą. Ta trąciła staruszkę nosem, niemalże ją przewracając.

– Dziękuję – rzekł Corban.

– Możesz to odpracować. Najpierw pomóż mi zorganizować ten motłoch, a potem przepędź tę demoniczną zgraję z Drassil i pokaż Calidusowi oraz Nathairowi, co się dzieje z ludźmi, którzy mnie denerwują.

– W porządku! – Corban się uśmiechnął.

Podeszli do nich inni – Gar i Coralen oraz Dath i Kulla.

– A więc udało ci się utrzymać Datha przy życiu jeszcze przez chwilę? – Brina zwróciła się do Kulli.

– Tak – odparła dziewczyna z powagą. – Choć robił wszystko, by mi to utrudnić.

Smagneła Datha mrocznym spojrzeniem.

– Niedźwiedź mnie zdzielił, Brina. To nie moja wina.

– Akurat – odparła uzdrowicielka, choć nie udało jej się zamaskować uśmiechu.

Za plecami staruszki wyrosły potężne postacie Balura, Ethlinn i olbrzyma z groźną fryzurą.

– Twój widok przynosi ulgę moim starym oczom – rzekł Balur do Corbana i wyściskał go niczym ojciec syna.

– Ja też się cieszę, że cię widzę – powiedział Corban. – I ciebie, Ethlinn, Królowo Klanów.

Ethlinn uniosła brew, ale uśmiechnęła się do niego.

– Rozmawiałem o tobie z Jotun – ciągnął Corban.

– Z Eldem? – spytała Ethlinn.

– Tak. Zanim go zabito.

– Eld nie żyje?

– Tak. Później wam o tym opowiem. A kim ty jesteś? – Corban zwrócił się do ciemnowłosego olbrzyma. Przyjrzał się mu uważnie. – Skądś cię znam.

– Jestem Alcyon z klanu Kurgan – odparł olbrzym. – I wiele o tobie słyszałem, Jasna Gwiazdo. Twoja siostra nie przestawała o tobie mówić podczas naszej długiej podróży z Dun Carreg do Murias. Parokrotnie usłyszałem: „Mój brat cię zabije”, choć przyznam, że zapewne chodziło jej bardziej o Calidusa niż o mnie.

Corban zmarszczył brwi.

– Alcyon! – zawołała Cywen, zbiegając ze wzgórza. – Jak ty się tu znalazłeś?

Wpatrywała się w niego, z początku z podejrzliwością, a potem pokręciła głową.

– Od samego początku wiedziałam, że nie jesteś taki jak oni. Że jest w tobie coś innego. Dobroć.

Alcyon uklonił się jej z wdzięcznością.

– Cieszę się, że żyjesz – rzekł. – I przykro mi z powodu wszystkich nieprzyjemności, które spadły na ciebie.

– Ale jak udało ci się wyrwać Calidusowi? – dopytywała się Cywen.

– Udało mi się zrzucić jego czar – odparł Alcyon. – W czym pomógł Veradis.

– Też tutaj jest? – Cywen się uśmiechnęła. – Wyrwał się z Drassil?

– Tak, tam idzie! – Alcyon wskazał ludzi, którzy szli ku nim w górę zbocza.

– Przedstawię cię naszym nowym sojusznikom. – Brina odezwała się do Corbana, a potem rozejrzała się, jakby oprócz trójki mężczyzn szukała jeszcze kogoś. – Dziwne – oznajmiła. – Gdzie jest Fidele?

– Fidele? – zdziwił się Corban.

– To matka Nathaira, ale nie zgadza się z tym, co robi jej syn. Dobra kobieta, dobra przywódczyni, szanowana i kochana przez lud. Lubię ją.

Corban zmarszczył brwi i spojrzał na staruszkę uważnie.

– Brina, czy ty piłaś?

– Co?

– Pierwszy raz słyszę, byś kogokolwiek lubiła.

– Lubię Burzę. – Brina dźgnęła go kościstym palcem. – I naciesz się tym, bo to długo nie potrwa.

Trójka mężczyzn podeszła bliżej. Jeden z nich, wzrostem mało co ustępujący olbrzymowi, wyciągnął ramię do Corbana.

– Jestem Krelis ben Lamar – rzekł i uściśnął przedramię Corbana w pozdrowieniu wojowników. – Władca Ripy. Sporo o tobie słyszałem.

Otaksował go wzrokiem i dodał:

– Choć sądziłem, że będziesz większy.

Corban wzruszył ramionami, spojrział mu w oczy i rzekł:

– Miło mi cię poznać. Szczerze powiedziawszy, nigdy nie słyszałem o tobie ani o Ripie, ale cieszę się, że tu jesteś. Słyszałem też, że przywiodłeś spory hufiec, za co jestem ci jeszcze bardziej wdzięczny.

Krelis wbił w niego wzrok, ściągnął brwi i parsknął śmiechem, a potem trącił łokciem stojącego obok mężczyznę z surową twarzą. Ten aż się zachwiał.

– Lubię go – oznajmił. – A to mój młodszy braciszek, Veradis ben Lamar – dodał.

– Czy my się już spotkaliśmy? – spytał Corban, marszcząc brwi.

– Tak. Przez moment. – Veradis wpatrywał się w niego z powagą. – Choć było ciemno, a ty narzuciłeś na siebie skórę wilkuna i przypiąłeś sobie szpony do ręki.

– W Domhainie? – Corban zwięźlił powieki.

– Tak. Wyzwałeś Nathaira do walki, a ja podjąłem wyzwanie, bo byłem wówczas jego pierwszym mieczem, ale moi ludzie wciągnęli mnie z powrotem do muru tarcz.

– Już pamiętam. Dlaczego to zrobili?

– Bo się obawiali, że on mnie zabije. – Veradis wskazał ruchem głowy kogoś za plecami Corbana. Ten odwrócił się i ujrzał Gara, który wpatrywał się w tenebralskiego wojownika bez emocji.

– A ty zabiłeś mi przyjaciela. – Veradis postąpił ku Garowi. – W Dun Carreg.

Niespodziewanie pojawiło się napięcie. Corban pamiętał, że towarzyszył Garowi, gdy ten wyrznął grupę wojowników w czerni i srebrze. Orlą gwardię Nathaira.

Ludzi, którzy zamordowali mi ojca.

Naraz Corban uświadomił sobie, że sam walczy z pokusą, by dobyć broni. W jego sercu pojawił się irracjonalny gniew na człowieka stojącego przed nim, ale zdusił emocje dosłownie w ostatniej chwili.

– Jeśli był okryty tak jak ty, nie mogę tego wykluczyć – odparł Gar. – Zabiłem tej nocy paru spośród was.

Palce ręki, którą Veradis zacisnął na mieczu, zauważalnie drgnęły.

– Tej nocy w Dun Carreg Gar starł się z orlą gwardią jedynie w sali biesiadnej – odezwał się Corban chłodnym, opanowanym głosem, z trudem utrzymując panowanie nad sobą. – Też tam byłem i widziałem każdy jego ruch. Gar rąbał ich z zemsty, bo właśnie zabili mi ojca.

– Ojca? – Veradis nie spuszczał oczu z Gara.

Corban otworzył usta, ale nie padł z nich żaden dźwięk. Miał wrażenie, że jego słowa pogrążają się w wielkiej fali.

– Nathair przebił mieczem serce Thannona – powiedział Gar. – Po tym, jak został zaatakowany przez waszą orlą gwardię. Miał przeciwko sobie wielu, wielu przeciwników. A wiedz, że Thannon był dla mnie jak brat – ciągnął Gar. – Był najwspanialszym człowiekiem, jakiego poznałem, nie licząc mego ojca oraz Corbana.

– Mojego ojca opadło dwunastu orlich gwardzistów – mówił Corban monotonnym głosem, jakby recytował litanie. – A on nie cofnął się, bo wasi ludzie zaatakowali i zamordowali naszego króla Brenina w obecności Nathaira. Waszego króla.

Veradis oderwał wzrok od Gara i przeniósł spojrzenie na Corbana. Chwila ciszy przeciągała się.

– Nie miałem o tym pojęcia – rzekł w końcu Veradis i opuścił głowę. – Mój przyjaciel był wśród nich. Miał na imię Rauca i był dobrym człowiekiem. W jego sercu na próżno szukać by zła czy zawiści. Wypełniał rozkazy króla, a był posłuszny i lojalny. Został oszukany podobnie jak i ja.

Gar wpatrywał się w niego z kamienną twarzą.

– A więc i ja przepraszam za jego śmierć – rzekł w końcu. – Twój przyjaciel jest w tym samym stopniu ofiarą zdrady i mactwa jak Thannon, a jego śmierć powinna zostać pomszczona.

– Tak. Od początku tak mówiłem – odparł Veradis. – Ale teraz widzę, że kto inny ponosi winę za jego śmierć. To Nathair odpowiada za wszystko.

Dłoń trzymająca miecz opadła. Wojownik odetchnął ciężko.

Corban naraz uświadomił sobie, że wokół niego zapanowała cisza. Cały hufiec przyglądał się wymianie zdań. Serce waliło mu głośno i szybko.

– Cóż, ja tam się cieszę, że mamy to za sobą – odezwał się Krelis. – O mało nie zmoczyłem sobie spodni.

Trącił brata.

– Nie rób już takich numerów, co? – szepnął, choć wszyscy go usłyszeli.

Veradis zrobił krok naprzód i wyciągnął rękę do Corbana. Ten zawahał się, ale uściśnął ją.

– Cieszę się, że się spotkaliśmy, Corbanie – oznajmił Veradis. – Jest mi przykro z powodu koszmaru, który ściągnął na ciebie Nathair. Przykro mi też, że odegrałem w tym pewną rolę, ale przysięgam ci tu i teraz, na oczach tysiąca świadków, że zrobię wszystko, co w mej mocy, by naprawić te krzywdy i pomścić poległych.

Corban wpatrywał się Veradisowi w oczy, ale ujrzał w nich jedynie szczerość, przekonanie oraz autentyczny żal. Choć jeszcze przed chwilą niewiele brakowało, by skoczyli na siebie z bronią, uznał, że lubi tego człowieka.

– Wystarczy mi to w zupełności – oznajmił, a Veradis pokiwał głową.

Wtedy wystąpił trzeci członek ich grupy, srebrnowłosy starzec.

– Nazywam się Alben i swego czasu miałem wątpliwy zaszczyt piastowania urzędu zbrojmistrza i nauczyciela tych dwóch potępieńców – rzekł, mierząc Krelisa i Veradisa surowym spojrzeniem. – Czekam na ten dzień od lat. Jestem bowiem stronnikiem Meicala podobnie jak wasz król Brenin za życia. Jestem gotów oddać za ciebie życie, Jasna Gwiazdo.

Corban wpatrywał się w starca, a w jego sercu pojawiło się współczucie dla niego.

Kolejny, który został oszukany i wykorzystany i poświęcił całe swe życie kłamstwu.

Nabrał tchu.

Miejmy już to z głowy, pomyślał.

Odwrócił się i wszedł na szczyt pagórka.

– Cieszę się, że wróciłem! – zawołał, na co zebrani odpowiedzieli głośnym rykiem.

– Cieszę się, że przyszło mi znów ujrzeć tak wielu spośród moich braci i sióstr. Cieszę się też, że mogę ujrzeć tak wiele nowych twarzy. Pewnie niejeden z was się zastanawia, dlaczego nie wziąłem udziału w bitwie o Drassil i jak doszło do tego, że wpadłem w niewolę olbrzymów Jotun.

Rozejrzał się dookoła. Wielu zebranych kiwało głowami.

– Opuściłem Drassil, nieświadom grożącego fortecy niebezpieczeństwa, gdyż pokłóciłem się z Meicałem, moim doradcą Ben-Elim. Udałem się do lasu, by przemyśleć sobie to, co od niego usłyszałem. A dowiedziałem się, że proroctwo, o którym nam opowiedział i na które się bez przerwy powoływał, było jedynie podstępem wojennym, intrygą uknutą przez niego oraz Ben-Elim, by zmusić Asrotha oraz Kadoshim do ruchu.

Urwał i odczekał chwilę, aż do wszystkich dotarło, co właśnie powiedział. Niektórzy ze słuchających go ludzi wydawali się wstrząśnięci, a inni przerażeni, jak choćby Alben i wielu Jehar. Niektórzy zareagowali z gniewem, jeszcze inni patrzyli na niego z niedowierzaniem.

– A więc co to wszystko oznacza? Co ty właściwie chcesz nam przekazać?! – zawołał Wulf.

– Chcę powiedzieć, że wielu z was poparło mnie w przekonaniu, że jestem Jasną Gwiazdą z proroctwa. Myślę, że powinniście poznać prawdę. Pamiętacie chyba, że prawda i odwaga to dwie wartości, którymi kieruję się w życiu, wpojone mi przez ojca. Jeśli więc nie chcecie już stać po mojej stronie, macie ku temu prawo. To wasz wybór.

– Meical cię okłamał? – spytał Akar, za plecami którego zgromadziło się wielu Jehar.

– Tak – rzekł Corban. – Ben-Elim pragną wygrać wojnę z Asrothem i jego Kadoshim. Stworzyli proroctwo, by wywabić Asrotha z jego fortecy w Zaświecie i postawić go w sytuacji, w której Ben-Elim będą mogli go zaatakować z nadzieją na zwycięstwo. Wszyscy jesteśmy tylko pionkami w tym planie.

– Ben-Elim nas zdradzili! – Akar pokręcił głową. – Przez całe życie wierzyliśmy w kłamstwa.

– Wykorzystali nas – stwierdził Corban.

– Ale Asroth nie jest kłamstwem! – wykrzyknął Gar, który wystąpił naprzód. – Calidus, Nathair, Vin Thalun i reszta naszych wrogów również nie są kłamstwem. Ben-Elim wykorzystali nas i oszukali, ale przecież nadal mamy tego samego wroga! Wciąż toczymy tę wojnę, a ja, bez względu na wszelkie proroctwa, będę szedł za Corbanem aż po śmierć!

Corban spojrzał na Gara. Nie był w stanie wykrztusić choćby słowa.

– Ty jesteś Jasną Gwiazdą! – wrzasnął ktoś głosem bardziej piskliwym od pozostałych i pobrzmiwającym gniewem. Corban podejrzewał, że należy do Haelana.

– Tak! Zabiłeś Sumura! Nikt inny by temu nie podołał! – Akar uniósł głowę. – Ty jesteś naszym Jasną Gwiazdą!

– Jasna Gwiazda! – wykrzyknął Dath, wpatrując się w Corbana z szerokim uśmiechem.

– Jasna Gwiazda! – zagrzmiała Ethlinn.

– Jasna Gwiazda! – wykrzyknął ktoś inny, po nim następny.

Wnet skandujących wsparły setki głosów.

Corban zaś kręcił głową.

– Ale przepowiednia jest kłamstwem! – oznajmił, gdy okrzyki ucichły.

– No i co z tego?! – huknął ktoś znajomym głosem. Był to Javed, przywódca Uwolnionych. – Ja mam to w poważaniu, tyle ci powiem! Nawet nie przyszło mi do głowy, by iść za tobą ze względu na proroctwo! Zrobiłem to dlatego, że mnie ocaliłeś! Stałem po twojej stronie, dlatego że moi wrogowie wciąż gdzieś tam są i jeśli nie stawię im czoła, zabiją mnie albo co gorsza znów wtrącą do niewoli. Dalej chcę ich zabijać! Proroctwo nie ma z tym nic wspólnego!

– Wreszcie, Javed, w czymś się zgadzamy! – wykrzyknął Corban, a wokół pagórka poniósł się śmiech.

– Śmierć naszym wrogom! – zagrzmiął Javed.

– Śmierć naszym wrogom! – wsparł go Wulf.

– Śmierć naszym wrogom! – powtórzyli pozostali.

Ku niebu buchnęły krzyki, w których drżał ból niesprawiedliwości, wspomnienie spalonych domów i wymordowanych bliskich, tęsknota za poległymi przyjaciółmi i ukochanymi.

Corban zaś obracał się i patrzył na ponad tysiąc mężczyzn i kobiet, którzy zgodnym chórem skandowali trzy słowa. W jego wspomnieniach przesuwały się zbrodnie popełnione przez wrogów, śmierć obojga rodziców oraz jego króla, klęski w Ardanie i Domhainie, rzeź osady Gramma.

– Śmierć naszym wrogom! – huknął wraz z towarzyszami.

Rozdział sześćdziesiąty siódmy

CYWEN

– Śmierć naszym wrogom! – wrzeszczała Cywen.

Przed oczami miała Ronana umierającego w Ciemnym Borze, jego krew na swych dłoniach oraz matkę konającą w jej objęciach. Oczyma wyobraźni widziała zabitych i rannych w osadzie Gramma, słyszała codzienne wrzaski ofiar Calidusa w Drassil.

To wszystko musi dobiec końca, a jedynym sposobem jest śmierć, myślała. Śmierć Calidusa, Kadoshim, Lykosa i Nathaira.

Powoli okrzyki milkły, a w tłumie zapadała cisza, która rozchodziła się po lesie. Cywen wpatrywała się w brata, na twarzy którego widziała rozmaite emocje. Naraz ktoś otoczył ją ramieniem. Odwróciła się i spojrzała w wymizerowane oblicze Briny.

– Witaj, moja uczennico – rzekła staruszka, wpatrując się w nią z troską. – Dobrze, że już wróciłaś, bo mam tu tyle do zrobienia. Przydałaby mi się czyjaś pomoc. Potrzebuję kogoś, kto będzie wypełniał moje polecenia.

Cywen roześmiała się, choć jej wesołość była zabarwiona odrobiną szaleństwa.

– Nigdy nie sądziłam, że ucieszę się z dnia, w którym będę mogła wrócić do wyznaczanych mi przez ciebie obowiązków.

– Cóż, z pewnością nie będziesz posiadać się z radości. – Usta Briny lekko drgnęły. – Myślę jednak, że wpierw mogłabyś się napić herbaty z miodem.

Na skraju obozu wybuchło kolejne zamieszanie. Pojawiła się kobieta w skórach i futrach, ściskająca łuk w rękę, która pędziła

między drzewami i namiotami po zboczu pagórka. Cywen rozpoznała w niej jedną z pierwszych osób, które dołączyły do nich w Narvonie. Pochodziła ze wsi wymordowanej przez Kadoshim.

Teca. Ma na imię Teca, przypomniała sobie Cywen.

Kobieta biegła w górę zbocza, przepychając się przez tłum. Na widok Corbana troska na jej twarzy ustąpiła miejsca zaskoczeniu, a potem radości.

– Wróciłeś! – zawołała z uśmiechem.

– Tak! Witaj, Teko! – odkrzyknął Corban. – Co się dzieje?

Uśmiech kobiety znikł.

– Fidele została uprowadzona! – oznajmiła.

Znów wybuchło zamieszanie. Setki ludzi zaczęło krzyczeć jednocześnie.

– Milczeć! – huknął Balur i ponownie zapadła cisza.

– Opowiedz nam o wszystkim, Teko – powiedziała Brina ponurym głosem.

– Fidele nocą opuściła obóz. Nikt jej nie zauważył, bo dołączyła do oddziału Veradisa. Z tego, co rozumiem, postanowiła dotrzeć do Nathaira w nadziei, że zdoła przemówić mu do rozumu i ściągnąć go z mrocznej ścieżki.

Po obozie rozeszły się szmery i przekleństwa.

– Ale niedługo po opuszczeniu obozu została napadnięta i wzięta do niewoli, a jej ludzie polegli. Wśród zabitych był jeden Vin Thalun. Najdziwniejsze jednak jest to, że ich ślady wiodą ku rzece, a nie do Drassil. Maquin przeszukuje brzegi, ale potrzeba nam pomocy.

Cywen poczuła się, jakby ktoś rąbnął ją młotem.

Lykos!

Alben szedł już ku nim. Wykrzykiwał rozkazy i organizował grupę, która miała wyruszyć z Teką i poszerzyć obszar poszukiwań.

– Ja wiem, gdzie ona jest! – wykrzyknęła Cywen, idąc naprzód. Jej głos utonął wśród zgiełku, ale Alben ją zobaczył.

– Gdzie?

– Lykos ją pojmał, a zmierza do Arcony.

Alben wpatrywał się w nią z przerażeniem.

– Lykos – szepnął, a potem zwrócił się do Teki.

– Zbierz dwudziestu ludzi. Sprowadźcie tu Maquina.

– Pora chyba na naradę dowódców – oznajmiła Brina i klasnęła w dłonie. – Za mną!

Po chwili Cywen znalazła się na niewielkiej polanie. Siedziała na pniaku pośród tych, których obecność Brina uznała za niezbędną. Nieopodal pośród cieni krążyła Burza, która wydawała się większa. Ba, wręcz straszliwsza.

Choć w takich czasach nie będę na to narzekać, pomyślała dziewczyna i rozejrzała się. Miała wokół siebie Jehar, olbrzymy, wojowników i byłych niewolników.

Doprawdy dziwna z nas zbieranina, przeszło jej przez głowę.

Brina podała jej kubek z herbatą.

– Powiedz nam wszystko, co wiesz – poprosił ją Alben.

– Poczekaj. – Brina uniosła dłoń. – Zaczekajmy na Maquina. Wkrótce tu dotrze, a Cywen nie będzie musiała się powtarzać.

– Kto to jest Maquin? – spytał Corban.

– To przyboczny Fidele, a zarazem jej kochanek – odparła Brina.

Cywen uniosła brew, słysząc te słowa, Krelis zakaszłał w dłoń, a Veradis się zaczerwienił.

Brina zawsze wygłasza prawdę taką, jaka jest. Lub taką, jaką ją widzi, pomyślała Cywen.

– A do tego jest jednym z nielicznych ludzi w tym motłochu, których lubię – dodała uzdrowicielka. – Jest skupiony na jednym i nie owija w bawełnę. Niektórzy powiedzieliby nawet, że jest zgryźliwy.

A więc to męska wersja ciebie, Brino, pomyślała Cywen.

– No i jest zabójcą. Nie człowiekiem, który umie zabijać, tak jak reszta z was. On jest prawdziwym zabójcą. Spójrzcie mu w oczy.

– Prawda – mruknął Javed. – To najlepszy gladiator w dziejach, a to oznacza, że jest lepszy ode mnie.

Zakręcił dłonią w powietrzu i uśmiechnął się szeroko.

– Jeśli akurat jest w formie, rzecz jasna.

– Fidele to całe jego życie – stwierdziła Brina. – Myślę, że nie będzie nawet próbował robić dobrego wrażenia.

Rozległy się liczne kroki i pojawiła się Teca, prowadząc kilku ludzi. Wśród nich kroczył mężczyzna, którego Cywen natychmiast rozpoznała z opisu Briny. W jego ruchach czaiła się zwinność i surowa elegancja, a oczy bezustannie poszukiwały zagrożenia. Nie był szczególnie wysoki ani dobrze zbudowany, ale emanował siłą. Każdy jego ruch znamionował tłumioną potęgę. Młodość miał już za sobą, a we włosach, ongiś czarnych, przeważała siwizna. Twarz pokrywały liczne blizny, brakowało mu też kawałka ucha.

To bez wątpienia ów Maquin, pomyślała Cywen. Przypomina mi jeden z tych granitowych głazów, które sterczą z morza niedaleko Dun Carreg, starych i nadkruszonych, ale wciąż twardych, nadal niepokonanych.

– Po co tu jestem? – warknął krótko, ostro, jakby miał problem z oddychaniem.

– Cywen mówi, że ma informacje dotyczące porwania Fidele – powiedział Alben. – To siostra Corbana, który dopiero co do nas wrócił.

Wskazał samego Corbana. Maquin pozdrowił go nieobecny skinieniem głowy.

– Mów więc. – Obrzucił dziewczynę wilczym spojrzeniem.

– Lykos został wysłany przez Calidusa z zadaniem – odparła Cywen. – Calidus planuje zagarnąć Siedem Skarbów dla siebie. Potrzebuje ich wszystkich, by odprawić rytuał, który uwolni Asrotha i jego Kadoshim. Ci wówczas pojawią się na Ziemiach Wygnanych i przybiorą cielesne postacie.

– To już wiemy – rzekła Brina.

– Cóż, w każdym razie odkrył, gdzie się wszystkie znajdują, a przynajmniej gdzie należy ich szukać.

– W jaki sposób? – przerwał Javed.

– Odnalazł komnatę ukrytą w głębi drzewa w wielkiej sali Drassil. W środku była kuźnia, w której wykuto wszystkie Skarby. Na ścianie znajdowała się mapa wykonana przez Halvora, doradcę Skalda, a przedstawiająca prawdopodobną lokalizację wszystkich Skarbów.

Balur i Ethlinn spojrzeli po sobie.

– Słyszałem plotki o tym miejscu – rzekł Jednooki. – Ale nigdy go nie widziałem.

– Wedle mapy kocioł, naszyjnik i kielich znajdowały się w Benocie, rządzonym przez Nemain. – Cywen powtarzała słowa przekazane jej przez Trigg. – Włócznia jest w Drassil. Sztylet mają Jotun, a torkwes trafił do Arcony. O toporze wiemy.

– Mieszkałem w Arconie, nim trafiłem do niewoli Calidusa – syknął Alcyon. – Nigdy jednak nie słyszałem nawet plotki o jakimkolwiek Skarbie!

– Wedle mapy znajduje się na jakiejś wyspie, leżącej na wielkim jeziorze. Jak się ta wyspa nazywała? Kletfar?

– Kletva – szepnął Alcyon. – Siedziba cieni i śmierci. Nikt się tam nie zapuszcza.

– Nazwa się zgadza – rzekła Cywen. – Cóż, Alcyonie, tam właśnie wybiera się Lykos. Chce zdobyć torkwes z gwiazdznego kamienia.

– Czemu rzeką? – spytał Maquin.

– Bo ta wypływa z Arcony – warknął Alcyon. – Przecina Fornicznym wygodna droga.

– Ilu ludzi wziął ze sobą? – Maquin zwrócił się do Cywen.

– Nie byłem przy tym, jak odpływali – powiedziała dziewczyna. – Ale mieli pięć łodzi. Pięć wiosłowych łodzi zbudowanych właśnie w tym celu.

– Ile wiosła miała każda z nich? – zapytał ją Javed.

Cywen zastanowiła się.

– Trzy z jednej burty i trzy z drugiej. Razem sześć.

– Pięć sześciowiosłowych łodzi. – Javed pokiwał głową. – Przy setce ludzi byłyby zbyt ciężkie, a więc zapewne Lykos wziął ich nieco mniej. Postawiłbym na osiem, góra dziewięć dziesiątek.

– Innymi słowy, niezbyt wielka wyprawa – stwierdził Corban.

– Nie. Raczej niewielka grupa wypadowa, która szybko się przemieszcza i mocno uderza. Zapewne wziął swoich najlepszych weteranów. – Javed zerknął na Maquina, który skinął głową ledwie zauważalnie.

– Dzięki – rzekł i odwrócił się, by odejść.

Alben złapał go za ramię.

– Nie możesz iść sam! – zawołał. – Nie dasz sobie rady.

– Potrzebujemy tego torkwesu – powiedział Corban, wstając. – Fidele musi zostać uratowana, a Lykosa trzeba powstrzymać. Ktoś musi udać się w pościg, ale Alben ma rację. Jeden człowiek to z a mało.

Podszedł do Maquina.

– Jesteś gotów objąć dowództwo? – spytał. – Brina mówi, że nigdy nie owijasz w bawełnę, nawet jeśli masz do przekazania nieprzyjemną prawdę. Czy o sobie również będziesz mówił szczerze?

Maquin przyjrzał się Corbanowi, jakby widział go po raz pierwszy.

– Tak, jestem gotów – rzekł ponurym głosem.

– Otrzymasz dwa zadania. Po pierwsze, będziesz musiał odbić Fidele, a po drugie, sprowadzić torkwes.

– Fidele jest dla mnie ważniejsza od Skarbu – rzekł Maquin, ale zamilkł na moment, pogrążony w myślach. – Ale powiedziała mi, że wszyscy zginiemy, jeśli nie pokonamy Calidusa i Kadoshim. Jeśli więc torkwes ma nam pomóc w zwycięstwie, tak, sprowadzę go, jeśli będzie to w mojej mocy.

– Wybierz więc tych, których chciałbyś zabrać ze sobą – powiedział Corban.

– Potrzeba mi ludzi twardych i wytrzymałych, takich, którzy będą w stanie za mną nadażyć – powiedział Maquin, rozglądając się. – Vin Thalun nazywali mnie Starym Wilkiem – warknął. – Teraz przekonają się, że wcale się nie pomylili. My będziemy wilkami, a Lykos stanie się zwierzyną.

– Udam się z tobą, Stary Wilku – rzekł Javed. – I myślę, że kilku spośród moich Uwolnionych z chęcią do nas dołączy. Na pewno ucieszą się z okazji do przetrzebieńia Vin Thalun i szansy na zabicie Lykosa.

– Na ilu możemy liczyć? – spytał Maquin.

– Jest nas pięć dziesiątek, jeśli wszyscy się zgodzą.

– Dobrze. Ale to za mało.

Wówczas wystąpili Alcyon, Teca i Alben. Maquin pokiwał głową, ale potem spojrział na Albena.

– Czeka nas długi bieg – mruknął. – A ty niedawno zostałeś ranny.

– Dochodzę już do siebie – odparł Alben. – Poza tym, jeśli nie będę mógł nadażyć, pozostawcie mnie za sobą. Wezmę nieco ludzi z Ripy. Fidele zamieszkała w ich sercach i wielu będzie chciało wziąć udział w pościgu.

– A więc dobrze – rzekł Corban. – Bez łodzi czeka was długa, wyczerpująca podróż. Lepiej zacznijcie przygotowania.

Maquin, któremu nie trzeba było tego dwa razy powtarzać, odszedł pośpiesznie.

– Jak się czujesz? – Brina zwróciła się do Cywen.

– Lepiej – odparła.

Corban krążył wokół, spoglądając na pozostałych dowódców.

– Musimy wymyślić sposób na wygranie tej wojny – rzekł. – Ale nie było mnie z wami naprawdę długo. Zacznijmy więc od tego, jak przedstawia się nasza sytuacja.

Zebrani przekazali Corbanowi informacje odnośnie do liczebności ich sił, łącznie z odbitymi więźniami, a potem przez moment rozmawiali o taktyce, którą narzucił im Gar przed opuszczeniem hufca. Mieli nękać wroga przy każdej dogodnej okazji, ale unikać otwartych starć.

– Z początku z Drassil codziennie wychodziły patrole – mówił Akar. – Vin Thalun, orla gwardia, nawet Kadoshim. Sądził, że zostaliśmy rozbici, i chcieli nas wygnieść, ale źle się to dla nich skończyło.

Cywen przypomniała sobie obszarpaną bandę pobitych Vin Thalun, kuszykających przez otwarte bramy fortecy.

– Dali sobie więc spokój z patrolami – zakończył Akar.

– I nikogo już nie wysyłają? – zapytał Corban. – Nawet zwiadu?

– Nikogo – oznajmił Akar z dumą w głosie. – Odkąd Nathair wyszedł, by odnaleźć Lothara, bramy Drassil pozostają zamknięte. Otwarto je tylko, by wpuścić Veradisa. Widzicie? Kolejne zwycięstwo osiągnięte fortem.

– Fortem? – spytał Wulf. – Mało powiedziane!

– Sama przepadam za porządnymi zasadzkami – powiedziała Coralen, która usiadła obok Corbana i lekko musnęła go dłonią.

O, wygląda na to, że wreszcie coś między nimi drgnęło!, pomyślała Cywen.

Krelis opowiedział Corbanowi o tym, jak wyeliminowali zagrożenie ze strony hufca Gundula oraz o armii Lothara, która przebijająca się ku nim przez puszcę, osłaniana przez dwa tysiące wojowników z orlej straży Nathaira.

– Nie powinniśmy pozwolić im na to, by dotarli do Drassil – uznał Corban. – Z dała od siebie będą słabsi.

– Zgadza się – rzekł Veradis.

– Musimy więc znaleźć sposób na to, by piętnaście setek zbrojnych pokonało sześć tysięcy i to najlepiej bez strat.

– Nie będzie to łatwe – rzekł Veradis. – Gundul był nieprzygotowany i wzięliśmy go z zaskoczenia. Ponadto Lothar jest ulepiony z innej gliny. Znam go z czasów, gdy służył królowi Brasterowi jako wojewoda. Odniosłem wrażenie, że jest zdolnym, skutecznym dowódcą. Dzielnie stawał do walki pod Haldis, ale nie przepada za innowacjami.

– Co to oznacza? – spytał Krelis.

– Że jest taki jak ty – odparł Veradis. – Nie lubi zmian.

– Prawda. – Krelis pokiwał głową. – Nie lubię zmian.

– Teraz jednak ma Nathaira i dwa tysiące orlej straży – ciągnął Veradis. – Taki mur tarcz niełatwo jest rozbić.

– Ale musimy ich pokonać! – rzekł Corban.

– Pracujemy nad kilkoma metodami. – Veradis uśmiechnął się lekko.

– A co z mocą ziemi? – Corban spojrzał na Brinę, a potem na Ethlinn. – Wy, olbrzymy, dobrze ją opanowałyście, prawda?

– Sytuacja nie przedstawia się tak jak kiedyś – odparła Ethlinn. – Przed rozpadem na klany wszyscy władaliśmy mocą ziemi, ale z biegiem czasu nasza wiara osłabła. Nie wiem, do jakiego stopnia pojęliście sekrety tej mocy, ale wiara... Cóż, jest ważna.

Cywen poczuła ciężar księgi wewnątrz swego płaszcza.

Istnieje wiele form mocy ziemi, pomyślała. Mamy drogę wiary, o wiele potężniejszą, ale bardziej zawodną oraz drogę krwi i kości, która jest trudna i wymaga ofiar.

Zerknęła na Brinę. Stara uzdrowicielka spoglądała na nią niczym jastrzęb.

– Pozostało wśród nas kilkoro, którzy wciąż władali mocą ziemi – ciągnęła Ethlinn. – Jak choćby Uthas i Nemain. Wśród reszty moc dawno wygasła.

– Każdy trakt okazuje się ślepym zaułkiem, jeszcze zanim na niego wkroczymy – stwierdził Corban. – A co z Calidusem i jego Kadoshim? Co teraz knuje?

– Ani razu nie opuścił Drassil – rzekł Akar.

– I nie opuści – dodała Cywen. – Nie przestaje myśleć o Skarbach. Chce chronić te, które wpadły mu w ręce, jak i te, które zamierza zdobyć.

– A więc wróciliśmy do tematu Skarbów – zauważył Corban.

– Mam wrażenie, że Skarby z gwiazdznego kamienia zadecydują o zwycięstwie w tej wojnie, w ten czy inny sposób – oznajmiła Brina.

– Mam w głowie pewien pomysł, ale bardzo niebezpieczny i obarczony wielkim ryzykiem. Da się go zaś zrealizować tylko wtedy, gdy wszystkie Skarby znajdą się w jednym miejscu.

Przecież Calidus tylko na to czeka, pomyślała Cywen.

– Trzy znajdują się w Drassil – rzekła Ethlinn. – A dziś dowiedzieliśmy się o pozostałych. Torkwes jest w Arconie, a sztylet u Jotun, co oznacza, że kielich i naszyjnik nadal są w Benocie.

– Rhin je przejęła – powiedziała Cywen. – Albo przejmie. Tak w każdym razie utrzymuje.

Wszyscy na nią spojrzeli.

– Rhin i Calidus jakoś się ze sobą komunikują. Pewnie za pomocą mrocznej magii – dodała i zerknęła na Brinę. – Calidus wezwał Rhin tutaj. Kazał jej zebrać armię i jechać do Drassil wraz ze Skarbami.

– A więc Drassil to serce sieci – mruknął Veradis.

– Prawda – zgodziła się Ethlinn.

– Jeśli Cywen się nie myli, brakuje tylko jednego Skarbu. – Brina stuknęła się długim palcem po brodzie. – Sztyletu.

– Wcale nie brakuje.

Corban zatrzymał się i sięgnął pod płaszcz. Odczepił od pasa noszoną z tyłu pochwę i pochwycił rękojeść czegoś, co przypominało

krótki miecz, podobny do tego, który Veradis nosił przy biodrze. Wyciągnął go z pochwy, a wtedy Cywen ujrzała, iż ostrze jest czarne jak węgiel.

– Oto sztylet z gwiazdnego kamienia – oznajmił Corban.

Rozdział sześćdziesiąty ósmy

RAFE

Rafe podniósł się z pryczy i przeciągnął na próbę, sprawdzając stan rannej nogi.

Jest lepiej, stwierdził, opierając na niej ciężar ciała. Rana powoli się goiła i pokrywała swędzącym strupem. Wycięcie strzały z nogi okazało się niełatwym zadaniem. Dwóch olbrzymów musiało go przytrzymywać, gdy uzdrowiciel wydłubywał nożem grot.

Ten Camlin ma coraz więcej na sumieniu, pomyślał.

Rafe widywał już ludzi, którym ostrze przeciwnika wgryzło się głęboko w mięśnie, i wiedział, że jeśli rekonwalescencja potrwa cały księżyc, powinien uważać się za szczęściarza.

Kto by pomyślał, że wystarczy łyk ze starego, kamiennego kubka, a będę dochodził do siebie dwa razy szybciej od normalnego człowieka?

Upłynęło zaledwie dziesięć dni, odkąd Camlin wpakował w niego strzałę i uciekł z naszyjnikiem z gwiezdneho kamienia.

Od strony Kamiennej Bramy dobiegł ryk rogów.

Czyżby goście?

Forteca i wieś pękały już w szwach. Dziesięć dni temu Geraint sprowadził do Dun Carreg cztery tysiące wojowników, co odrobinę poprawiło nastrój Rhin, rozwścieczonej utratą naszyjnika.

Drapichrust wstał, przeciągnął się i podszedł, by polizać Rafe'a po dłoni. Tropiciel naciągnął spodnie, nałożył nowe buty oraz lnianą koszulę, a potem zapiął zdobiony srebrem pas z mieczem i ruszył ku murom, by dowiedzieć się, dlaczego dęto w rogi.

Zajmował tę samą komnatę w wieży Evnisa, w której spał jako młody chłopak. Zamiótł podłogę, przyniósł świeżą pościel oraz nieco słomy na psie legowisko. Był tu o wiele szczęśliwszy i spał również lepiej.

Na dziedzińcu przed Kamienną Bramą zbierał się już tłum. Rafe wspinał się po szerokich schodach na wieżę wznoszącą się nad bramą, co czynił często, by zmniejszyć ból nogi. Gdy znalazł się na murach, spojrzał na łagodne, porośnięte łąkami wzgórze na północny wschód od wsi, gdzie roило się od namiotów, ludzi i tymczasowych zagród dla koni. Dalej krajobraz przecinał trakt olbrzymów, na którym Rafe dostrzegł kolejny oddział, liczący przynajmniej tysiąc zbrojnych.

Usłyszał za sobą tupot butów olbrzymów. Na dziedziniec wkroczyli Uthas, Salach i Eisa, a za nimi Rhin, jej wojewoda Geraint oraz dwa tuziny przybocznych. Tłum rozstępował się przed nimi. Królowa wspięła się po schodach, a tam dojrzała Rafe'a i podeszła bliżej.

– Dzień dobry, skarbie – powiedziała z uśmiechem i przesunęła palcem wzdłuż jego kręgosłupa, po czym zacisnęła dłoń na jego pośladku.

– Wasza Królewska Mość! – Rafe pochylił głowę, rumieniąc się.

Po przebudzeniu ze snu wywołanego przez kielich z gwiazdowego kamienia Rhin odwiedziła go już dwukrotnie. Za każdym razem spędzała u niego całą noc i pozostawiała go o świcie wycieńczonego i całkowicie wytrąconego z równowagi. Wciąż nie mógł oswoić się z myślą, że został kochankiem królowej. To wszystko wydarzyło się tak szybko!

Choć są pewne plusy, pomyślał, a jego dłoń spoczęła na rękojeści nowego miecza. Przy każdej wizycie Rhin przynosiła mu podarunek – za pierwszym razem był to srebrny torkwes, a za drugim miecz z zacną pochwą i pasem.

– To Conall – oznajmiła Rhin. – A minęło zaledwie dwadzieścia sześć nocy, odkąd go wezwałam!

– Zapewne jechał nocą, moja pani – rzekł Rafe.

– W istocie. A więc naprawdę zależy mu na tym, by zachować pozycję regenta w Domhainie – odparła Rhin i uśmiechnęła się do młodzieńca.

Nie był to przyjemny uśmiech. Rafe dobrze pamiętał ową noc w Dun Taras, kiedy to dzięki magicznym zabiegom Rhin stał się świadkiem ucieczki Haliona, uwolnionego z lochów przez swego brata Conalla.

Rhin nie potrafi zapomnieć ani wybaczyć, pomyślał.

Szybko wypatrzył samego Conalla, który na czele niewielkiego oddziału jechał ku wrotom fortecy. Z dumą dosiadał dereszowatego ogiera. Spojrzał na mury i dostrzegł Rhin, a chwilę później kopyta jego rumaka załomotały na bruku szerokiego mostu. Wjechał pod łukiem Kamiennej Bramy na dziedziniec, gdzie zatoczył ciasny krąg i z gracją zsunął się z siodła.

Padł na kolano przed idącą po schodach Rhin, ujął jej dłoń i ucałował.

– Wstawaj – nakazała mu, a on podniósł się z szerokim uśmiechem.

Miał na sobie podróżny strój, ale mimo to prezentował się iście po królewsku. Przywdział wełnianą i skórzaną odzież najwyższej jakości, a na szyi zawiesił złoty torkwes. Warkocz wojownika oplótł złotym drutem, a na ramiona zarzucił płaszcz w zieleni i błękicie Domhainu. Rafe zauważył przynajmniej dwa noże przy pasie, przy czym zarówno pas, jak i pochwy były świetnej roboty i zdobione srebrem.

Wygląda na to, że Conallowi podoba się życie władcy, ale najwyraźniej stare przyzwyczajenia umierają powoli, pomyślał. Założę się, że ma przy sobie przynajmniej pół tuzina noży, które sprytnie ukrył.

– Nie sądziłem, że kiedyś jeszcze przyjdzie mi tędy przejechać – rzekł Conall, z zadumą patrząc na masywny kształt Kamiennej Bramy, po czym przeniósł wzrok na Rhin. – Muszę przyznać, że świetnie wyglądasz.

– Myślę, że to przez morskie powietrze. – Rhin się uśmiechnęła.

– Nie ma wątpliwości – odparł Conall i raz jeszcze otaksował ją wzrokiem, co najwyraźniej sprawiło jej przyjemność.

– Nie wyglądasz mi na gotowego do wojny – stwierdziła.

– Ubrałem się tak, by dotrzeć tu jak najszybciej – rzekł Conall. – Ale nie bój się, pani. Przywiozłem kolczugę, tarczę oraz hełm.

Uśmiechnął się i dodał:

– Przyszło mi do głowy, że gdzieś na końcu wędrówki czeka nas bitka.

– Masz rację – stwierdziła Rhin. – Na bitwę możesz liczyć, choć najpierw czeka nas naprawdę długa droga. Wyruszamy jutro. Dziś twoi ludzie i ich wierzchowce powinni wypocząć, Conallu.

– A dokąd nas ta droga zawiedzie, jeśli wolno spytać?

– Do Drassil.

* * *

Rafe wszedł do komnaty Rhin i przekonał się, że nie dotarł tam jako pierwszy. Conall siedział z butami na stole i powitał tropiciela szerokim uśmiechem.

– Miło cię ujrzyć, chłopcze – rzekł z ujmującą szczerością.

Rafe zdążył się już przekonać, że Conall taki właśnie był. Potrafił okazać serdeczność starego przyjaciela bądź furię lodowej zamieci. Nie było go stać na żadną subtelność ani też na stany pośrednie. Okazywał swe emocje otwarcie.

– Ciebie też – odparł Rafe, bo naprawdę lubił Conalla.

– A więc nie wybierasz się z nami do Drassil? – ciągnął Domhainczyk. – Wielka szkoda, bo to niezwykle miejsce, a do tego czeka nas porządna bijatyka.

– Rafe dołączy przecież do nas, nieprawdaż? – rzekła Rhin, wychodząc z sypialni. Miała na sobie strój do jazdy konnej: wełniane spodnie, długie buty i skórzaną kurtę z futrzanym kołnierzem. Jej srebrne włosy oplatał złoty drut. Emanowała zdrowiem i energią o wiele młodszej kobiety. Jej skóra jaśniała, a oczy skrzyły.

– Dołączę – rzekł Rafe. – Gdy uporam się z moim zadaniem.

Wymienił się spojrzeniami z królową. Do komnaty weszli Uthas i Salach, a za nimi Geraint. Wszyscy zasiedli przy stole w przedpokoju Rhin, nie licząc Salacha, który tradycyjnie zajął miejsce za plecami Uthasa.

– Co za dzień – powiedziała Rhin. – Jutro o brzasku rozpoczynamy długą podróż. Poprowadzimy całą armię na zachód do owianego legendami Drassil.

– A co nas tam oczekuje, moja pani? – spytał Geraint.

– Bitwa oraz krew – odparła Rhin. – Zwycięstwo i chwała!

Conall uderzył dłonią w blat stołu. Uśmiechał się szeroko.

– Nasi sojusznicy już tam są – ciągnęła Rhin. – Mam na myśli Nathaira i lordów sojuszu. Nathair potrzebuje nas. Zewsząd otaczają go wrogowie, a więc musimy się śpieszyć.

– Zgromadziliśmy ponad cztery tysiące ludzi na łąkach, nie licząc oddziału Conalla – poinformował ją Geraint. – Co więcej, przez następne dziesięć dni traktem olbrzymów będą napływać posiłki. Jednakże podróż w istocie będzie ciężka, tym bardziej że zapewne będziemy musieli przedzierać się przez zimowe zawieruchy.

– Tak – rzekła Rhin. – Nie mylisz się, Geraint, i cieszę się, że jak zwykle patrzysz na wszystko z praktycznego punktu widzenia. Musimy postawić na szybkość. Weźcie tyle wierzchowców, ile się dwa, a zapasy załadujcie na konie juczne. Wozy zostawiamy na miejscu. Nie będziemy wlec się jak ślimaki przez Ziemie Wygnanych. Nie, szykujcie się na ostre tempo! Na wyścig ku największej bitwie naszych czasów. Nie wolno nam zawieść!

– Czyli czeka nas taka wojna, jaką lubię najbardziej – oznajmił Conall. – Nie znoszę czekać na bitwę. Popędzimy na nich co sił! Ha!

Raz jeszcze entuzjastycznie rąbnął w stół.

– Będziemy podróżować przez ziemie naszych sojuszników – ciągnęła Rhin. – Zapewniono mnie, że w każdej kolejnej fortecy zostaniemy mile powitani, a nasze zapasy zostaną uzupełnione. Co do zimy... Jeśli nie będziemy się ociągać, dotrzemy na skraj Fornu przed pierwszymi mrozami. Od ludzi, których doświadczeniu ufam, wiem, że pory roku w Fornie wyglądają inaczej niż poza nim. Nie

przybierają ekstremalnej formy. Musimy więc utrzymać odpowiednią prędkość, a wszystko będzie dobrze.

– Kiedy ruszamy? – spytał Conall.

– Jutro o brzasku – odparła Rhin. – Morcant, pozostaniesz w Ardanie jako regent.

– A co z Edaną? – spytał Morcant.

– Ta rozpuszczona zdzira nadal sprawia wam kłopoty? – spytał Conall.

– Odrobinę – odparła Rhin, przyglądając mu się uważnie.

Wie, że jego brat Halion jest tu i walczy dla niej?, zastanawiał się Rafe. Ba, na pewno!

– Dlatego właśnie zostaniesz tu, Morcant. Pozostawię ci piętnaście setek zbrojnych, co powinno ci w zupełności wystarczyć do wygnania jej bandy z nory i zapędzenia do kurhanu. A potem przyprowadzisz mi resztę swoich ludzi.

– Uczynię, jak każesz – rzekł Morcant.

– Świetnie, a więc pozostaje nam przygotować się do wymarszu. – Rhin klasnęła w dłonie i odsunęła krzesło, które zachrobotowało o podłogę. Nagle zatrzymała się i spojrzała na nich wszystkich. – Gdy wypełnimy nasze zadanie, Ziemie Wygnanych staną się innym miejscem.

* * *

Rafe stał z Morcantem na szczycie Kamiennej Bramy, przyglądając się, jak ogromna, licząca niemal pięć tysięcy ludzi armia Rhin rusza w drogę. Promienie letniego słońca zamieniały hufce w migotliwą falę płynącą na wschód.

– Jest na co popatrzeć – rzekł Rafe.

– Prawda – zgodził się Morcant. – A jeśli wypełnisz swe zadanie, niebawem do nich dołączymy.

– Już ty sobie tym głowy nie zaprzataj – mruknął Rafe.

Morcant skrzywił się pogardliwie i zszedł z murów. Młody tropiciel zaś stał i wpatrywał się w odchodzącą armię.

Szkoda, że nie mogę im towarzyszyć, pomyślał. Ruszają ku pieśni, którą długo się będzie przekazywać w zimowe wieczory.

– Dołączę do nich – szepnął do siebie. – Muszę się spotkać z Corbanem.

Ale najpierw trzeba odnaleźć ten naszyjnik, dodał w myślach.

Rhin przyszła do niego zeszłej nocy i wyłożyła mu, że musi dostarczyć jej naszyjnik, nim dotrą do Drassil. W przeciwnym razie straci życie. Nie miał wątpliwości, że Rhin jest do tego zdolna, bo była przestraszona – nie, przerażona! – na samą myśl o tym, że dotrze do Drassil bez naszyjnika.

Odzyskam go. To kwestia życia i śmierci, postanowił.

Rhin powiedziała mu jeszcze jedno:

„Interesuje mnie ów Camlin, o którym tyle słyszałam. Zabił mi Braitha, pokrzyżował szyki Ewnisowi i Morcantowi na bagnach Dun Crin, a potem wślizgnął się do mojej własnej fortecy i okradł mnie. Ten człowiek ma zginąć”.

Zabiję go z przyjemnością, pomyślał Rafe.

Rozdział sześćdziesiąty dziewiąty

FIDELE

Fidele stęknęła, budząc się.

Chyba lepiej się nie budzić, pomyślała. Lepiej nie wiedzieć, gdzie się znalazłam. Nie zniosę kolejnego dnia słuchania jego głosu i patrzenia na jego twarz.

Nie po raz pierwszy miała ochotę rzucić się za burzę, pograćzyć w rzece i zakończyć to wszystko, ale coś ją powstrzymywało przed tym ostatecznym aktem. Być może nie odważyła się nań dlatego, że wciąż śniła o tym, iż ujrzy jeszcze Maquina. I stanie się świadkiem śmierci Lykosa.

– Dobrze spałaś, moja pani? – spytał siedzący za nią Lykos. – Moja żono?

Fidele nie odpowiedziała. Pirat wstał więc, objął ją, uniósł i posadził na ławce obok siebie, po czym wyciągnął jej knebel. Pierwszego dnia wędrówki najpierw usunął knebel, a potem ją uniósł, dzięki czemu Fidele zdążyła odgryźć mu kawałek ucha. Teraz uwalniał jej usta, dopiero gdy znalazła się w odpowiedniej odległości do niego.

Rozejrzała się. Siedziała w pierwszej z pięciu łodzi idących w górę rzeki. Pozostałe szły parami za nią, tworząc kształt ostrza włóczni. Było wcześniej i nad wodami kłębiła się mgła, maskując głębiny oraz wszelkie przeszkody. Fidele przyglądała się im podejrzliwie. Pierwszego dnia jedna z łodzi uderzyła w zanurzony głaz, a impet kolizji posłał któregoś z Vin Thalun do wody. Wciągali go na pokład,

gdy coś go pochwyciło. Fidele zauważyła jedynie długi, wijący się kształt i pysk pełen ostrych kłów.

Spoceni mężczyźni posapywali i napierali na wiosła. Płynęli pod prąd, ale rzeka była tu szeroka, a nurt niemrawy, więc rozwijali całkiem niezłe tempo.

Płyniemy od pięciu dni, myślała Fidele. Ale dokąd?

Puszcza gęstniała wokół nich, ale sięgające nad wodę gałęzie przerzedzały się, przepuszczając o wiele więcej światła słonecznego, niż Fidele widziała od jakiegoś czasu.

– Dokąd płyniemy? – spytała.

– Powierzono nam misję, żono – rzekł Lykos pogodnym tonem.

Wyglądał, jakby właśnie zakończył swoją turę przy wiosle, gdyż włosy miał prze poczone, a skórzany kaftan rozpięty. Fidele dostrzegła bliznę po poparzeniach pozostawioną przez Maquina.

– Co to za misja? – spytała.

– Wybieramy się do Arcony. Szukamy jednego z siedmiu Skarbów – odparł Lykos.

Do Arcony, pomyślała Fidele. Na trawiaste równiny na wschód od lasu Forn.

– Którego Skarbu? – zapytała, kierując się płonną nadzieją, iż kiedyś się uwolni i podzieli tą informacją z sojusznikami. Lykos obrzucił ją długim, uważnym spojrzeniem.

– W sumie nie ma powodu, by ci nie mówić. – Uśmiechnął się. – Nie sądzę bowiem, byś miała mnie jeszcze opuścić.

Fidele zadrżała i odepchnęła od siebie tę wizję. Gdy pojмали ją Vin Thalun, była przekonana, że zostało jej raptem parę chwil życia. Lykos bez końca włókł ją przez ciemności puszczy, związaną, zakneblowaną, zataczającą się. Sądziła, że ciągnie ją do Drassil, a tam przedstawi ją Calidusowi jako swą zdobycz, ale zamiast tego usłyszała plusk wody i ujrzała pięć łodzi. Zasiadło w nich kilkudziesięciu ponurych wojowników oraz garstka Kadoshim o czarnych oczach. Wraz z nią, jak się później okazało, wyprawa liczyła dziewięćdziesięciu dwóch ludzi. Na każdej łodzi wystarczyło więc wiosłarzy, by uformować trzy zmiany, dzięki czemu, choć statki były wyładowane po brzegi i szły pod prąd, Fidele miała wrażenie,

że poruszają się niebywale szybko. Lykos znalazł się na żegludze, to musiała mu przyznać.

– Naszym celem jest torkwes z gwiezdneho kamienia – powiedział.

– Mam pewność, że należy go szukać w Arconie.

– A Calidus potrzebuje tych Skarbów, by wypełnić swój plan – rzekła Fidele.

Spojrzała na Vin Thalun siedzących w łodzi. Niektórzy wiosłowali, jeden trzymał rumpel, pozostali odpoczywali. W skład obsady wchodziło również dwóch Kadoshim, którzy czarnymi oczami wpatrywali się w rzekę przed sobą. Na szczęście ten, którego otaczały roje much, znalazł się na innej łodzi.

Ciekawe, czy ludzie Lykosa wiedzą, co Calidus chce zrobić z Siedmioma Skarbami, zastanawiała się Fidele. Ciekawe, czy gdyby wiedzieli, byłiby równie chętni, by mu służyć?

Spędziła wiele czasu na rozmowach z Briną, kobietą, którą nauczyła się szanować. Dowiedziała się od niej wszystkiego, co zdołali odkryć na temat Calidusa i jego intryg.

– By otworzyć portal między Zaświatem i Ziemią Wygnanych – rzekła. – I umożliwić Asrothowi i jego Kadoshim przejście do naszego świata i przybranie cielesnych kształtów.

Kilka głów obróciło się ku niej.

– Otóż to! – Lykos się rozpromienił. – Przemawia przez ciebie mądrość! Podziwiam to i cenię. Zaiste, piękne ciało to nie jedyna z twoich zalet.

Fidele znów się wzdrygnęła. Jak dotąd Lykos nie próbował jej posiąść, za co czuła niewysłowioną wdzięczność, ale napełniało ją to także bezbrzeżnym lękiem.

Prędzej czy później dojdzie do tego, jeśli pozostanę w jego władzy, pomyślała. Widzę to w jego spojrzeniu. Jest wygłodniały.

Zmusiła się, by myśleć o czymś innym.

Torkwes z gwiezdneho kamienia. Jeśli jest ważny dla wroga, jest ważny również dla nas. Jeśli jakimś cudem zdołam uciec Lykosowi i wrócić do swoich, ta informacja może okazać się cenna. Lykos twierdzi, że torkwes znajduje się w Arconie. Co ja wiem o tych ziemiach? Całe królestwo to głównie trawiaste równiny i łagodne

wzgórza, które ciągną się na wschód od lasu, bez wątpienia na końcu tej rzeki. Mieszkają tam Sirakowie, których pamiętam z narady u Aquilusa. Dziwni ludzie, pokryci bliznami, z ogolonymi czaszkami, drobni, niebezpieczni, wojownicy. Podzieleni na klany, każdy z własnym królem, odwiecznie pogrążeni w konfliktach i sporach. I wszyscy, łącznie z królami, jeżdżą na kosmatych kucach, a nie na rumakach bojowych.

Wyteżyła pamięć, ale nie mogła sobie przypomnieć nic więcej.

Jeśli nie ucieknę z łodzi, wkrótce ujrzę te równiny na własne oczy, dodała w myślach.

Odwróciła się i omiotła wzrokiem brzegi rzeki, łudząc się, że dostrzeże jakiś ruch w zaroślach. Mając nadzieję, że wypatrzy Maquina.

* * *

Taflę rzeki siekł deszcz, a wokół wisiała ciemność. Łódź Fidele powoli brnęła przez noc. Na dziobie i rufie zapalono pochodnie. Dwóch Kadoshim tyrało przy wiosle, a jakiś Vin Thalun wychylał się przez dziób i rozglądał w poszukiwaniu skał czy czegokolwiek, co mogłoby ich zaskoczyć.

– Nie zatrzymamy się. – Głos siedzącego za Fidele Lykosa był bezcielesnym szeptem pośród mroku. – Będziemy wiosłować przez dzień i noc, bo chcę wrócić do Drassil przed Dniem Zimowego Przesilenia. To dobry moment, by odnowić nasze więzy małżeńskie, nie sądzisz?

– Prędzej umrę – wysyczała Fidele zimnym, pełnym nienawiści głosem.

– Och, z pewnością spróbowałabyś szczęścia, gdybym spróbował osiąść cię teraz – powiedział Lykos. Wsunął palce w jej włosy, zacisnął mocno i szarpnął gwałtownie, żeby móc wyszeptać jej do ucha:

– Zapewne wolałabyś skoczyć do wody i oddać się tym łuskowatym bestiom niż mnie.

Jego oddech cuchnął.

– Ale Calidus wrócił do Drassil. Niewiarygodne, ile potrafi zdziałać z jednym tylko lokiem.

Zatrzęsło nią z obrzydzenia, a po plecach spłynęły jej dreszcze, jakby nagle przebiegło po nich tysiąc pajęczych nóg. Pamiętała glinianą figurkę, w której uwieczono kosmyk jej włosów. Pamiętała kontrolę, jaką dała Lykosowi. Zamieniła ją w marionetkę, która spełniała każde jego życzenie, każdy kaprys, choć w głębi duszy wrzeszczała z przerażenia i nienawiści.

– Zaczekam więc – powiedział Lykos. – Możesz sobie śnić o ucieczce, podczas gdy ja będę marzył o powrocie do Drassil. Zobaczymy, czyje marzenia się spełnią.

Polizał ją po uchu. Odsunęła się od niego gwałtownie, a Lykos cofnął się, chichocząc cicho. Ułożyła się na dnie łodzi. Jej umysł przepełniało przerażenie, ale szybko nad nim zapanowała i zaczęła myśleć o innych, lepszych rzeczach. Myślała o Maquinie, o ich ostatniej nocy, o ich splecionych ciałach. Myślała o tym, jak gładziła jego twarz przed odejściem, jak wpatrywała się w jego uśpione oblicze. Zamrugnęła, by strząsnąć łzy.

Zobaczę cię jeszcze, pomyślała.

Rozdział siedemdziesiąty

RAFE

Rafe kopnął swą klacz piętami w boki, a ta przyśpieszyła do galopu. Gnał po trakcie olbrzymów, pochylony nad końskim karkiem, a wiatr szarpał jego włosy i końską grzywę. Sierść zwierzęcia znaczyły już plamy potu. Drapichrust śmigał przez łąki wzdłuż drogi.

– Jeszcze kawałek! – krzyknął Rafe i ściągnął wodze.

Zjechał w dół po nasypie i niczym północny wiatr pognał ubitym traktem przez przedmieścia Havan. Po chwili pędził już ku Dun Carreg, a wyhamował dopiero na dziedzińcu twierdzy, gdzie roilo się od konnych wojowników, głównie w czerni i złocie Rhin. Zauważył, że buty i płaszcze zbrojnych były powalane błotem, a ich konie były brudne od pyłu.

Kolejni spóźnialscy, którzy gonią Gerainta, pomyślał.

Do Dun Carreg docierały już podobne grupy, które Morcant wysyłał w ślad za Rhin, choć królowa wyjechała już dziesięć dni temu.

Rafe udał się na dziedziniec przed zamkiem, a tam zeskoczył z konia i wbiegł po szerokich stopniach do sali biesiadnej. Było tam ciemno, a w palenisku płonął niski ogień. Morcant zasiadał na podwyższeniu, a przed nim stał wojownik w czerni i złocie.

– ...jedzenie, odpoczynek oraz zapasy z naszych spiżarni – mówił Morcant do wojownika, który zdaniem Rafe'a mógł być dowódcą nowo przybyłego oddziału. Był barczystym mężem z rudą grzywą

przetkaną siwizną. Brodę z zaplecionym w warkocz zarostem przecinała blizna.

– Ilu was jest? – spytał Morcant.

– Dwieście pięćdziesiąt mieczy, panie – odparł wojownik.

– Znalazłem ich! – wykrzyknął Rafe, zatrzymując się przed Morcantem.

– Co znowu? – Morcant spojrział na niego ze znudzeniem.

– Znalazłem Edanę i buntowników! – wrzasnął Rafe. – Są w lesie Baglun!

Morcant wpatrywał się w niego przez chwilę, po czym wstał powoli.

– Grajcie na alarm – zwrócił się do najbliższego wartownika. – I przygotujcie moją zbroję.

Wojownik przypadł do drzwi sali biesiadnej, przytknął róg do ust i zadał.

– Wygląda na to, że zaraz będziecie mieli pełne ręce roboty! – Rudowłosy przybysz zwrócił się do Morcanta. – Uzupełnimy tylko zapasy i ruszamy w drogę za królową.

– Co ty bredzisz! – warknął Morcant. – Jesteście wojownikami Rhin i możecie jechać ze mną, by stawić czoła jej wrogom! Jeśli potrzeba ci zapasów, to sobie na nie zapracuj!

* * *

Rafe siedział niecierpliwie na koniu, gdy Morcant wjechał na dziedziniec na swym czarnym ogierze. Towarzyszyły mu dwie dziesiątki konnych w błyszczących kolczugach i stalowych hełmach. Jeźdźcy byli uzbrojeni we włócznie oraz tarcze, zawieszane na plecach bądź przytroczone do siodeł. Morcant zakreślił ciasny krąg na swoim rumaku.

– Pora oczyścić te ziemie z robactwa! – krzyknął. – Buntownicy uderzają znienacka, palą nasze dobra, zabijają i uciekają jak ostatni tchórze. Teraz jednak wiemy już, gdzie się gnieźdzą!

Wojownicy tłukli włóczniami o tarcze.

– Pokażemy im więc, jak walczą prawdziwi mężowie. Wrócimy do fortecy dopiero wtedy, gdy nasi wrogowie będą już martwi bądź spętani u naszych stóp.

Tym razem odpowiedziały mu głośnie wiwaty. Morcant kopnął konia piętami w żebra i wyjechał galopem przez Kamienną Bramę, a Rafe podążył za nim. Razem przejechali most i ruszyli w dół wzgórza, prowadząc niekończącą się kolumnę jeźdźców, wypływającą z głębi fortecy. Było ich siedem setek, a u stóp wzgórza oczekiwali ich kolejni. Powiększony oddział pognał po trakcie olbrzymów i skierował się na południe ku lasowi Baglun.

Rafe odnalazł obóz Edany wśród drzew nieopodal polany z kamieniem przysiąg. Buntownicy posunęli się do tego, że wycięli część okolicznych drzew, by wygodniej im się tam mieszkało. Rafe dostrzegł samą Edanę i rozważał nawet, czy nie podkraść się bliżej i nie wbić jej noża w oko, ale uznał, że frontalny atak na czele piętnastu setek zbrojnych okaże się lepszym pomysłem.

Teraz już siedemnastu setek, pomyślał i uśmiechnął się, spoglądając na ciżbę za sobą.

– Daj mi stu ludzi – rzekł. – Uderzę ze wschodu i wygnam ich na otwarty teren, a wtedy...

Uśmiechnął się szeroko.

– Wtedy się zemścimy – powiedział Morcant. – Za moje srebro, za wieżę, za upokorzenie pod Dun Crin. I za te wszystkie strzały, które Camlin wpakował w ciebie.

– Tak – zgodził się Rafe. – Pora, by Camlin odszedł z tego świata.

Rozdział siedemdziesiąty pierwszy

CAMLIN

Camlin gnał na skradzionym koniu po upstrzonym plamami słońca trakcie olbrzymów.

Choć na błękitnym niebie nie było ani chmurki, powietrze było rześkie i chłodne, a zielone liście zaczynały się złocić.

Nadchodzi jesień, a po niej nadejdzie zima, pomyślał. Kiepska pora, by mieszkać w lesie.

Towarzyszyło mu piętnastu jeźdźców, zarówno mężczyzn, jak i kobiet. W ich liczbie znajdował się Baird, który nucił coś pod nosem i drapał się w zadumie po zarośniętym oczodole. Uparł się, że dołączy do grupy Camlina, bo zżerała go nuda. Był jedynym członkiem niewielkiego oddziału, który zawiesił sobie tarczę na plecach. Pozostali, głównie myśliwi i tropiciele, woleli łuki i włócznie od mieczy i tarcz.

Drzewa Baglunu zaczęły się przerzedzać i Camlin słyszał już plusk wody na kamieniach brodu na rzece Tarin. Niebawem znaleźli się na skraju puszczy i wyjechali na otwarty teren. Przed sobą mieli rzekę, a za nią łagodne, porośnięte łąkami wzgórza prowadzące ku Dun Carreg.

Z nieba opadł ciemny cień, wrzeszcząc i kracząc.

– Wróg! Wróg! – darł się Craf.

Wtedy Camlin usłyszał coraz głośniejszy łoskot kopyt, aż zza niewysokiego wzgórza wyłoniła się grupa konnych w barwach Rhin. Z każdą chwilą wyjeżdżali kolejni. Fala wojowników w czerni i złocie wydawała się nie mieć końca.

– Na Elyona na niebie i Asrotha w czeluściach – wyszeptał Baird.

Przez długą chwilę Camlin i jego tropiciele siedzieli nieruchomo i wpatrywali się w nowo przybyłych z szeroko otwartymi ustami. Naraz od czoła wrogiej kolumny oderwał się pojedynczy jeździec, który wyciągnął miecz, wycelował go w Camlina oraz jego ludzi i wyrzeszczał okrzyk bojowy. Jego hufiec odpowiedział przerażającym rykiem, po czym wojownicy spięli konie.

Czar prysł. Camlin szarpnął za wodze i kopnął wierzchowca w boki, przeklinając jego opieszałość. Wszyscy wokół niego robili to samo. Zawracali i gnali z powrotem do Baglunu.

Tropiciele czuli, że jego serce zalewa panika. Zmagał się z wierzchowcem, próbując skierować go we właściwym kierunku. Inni wpadali na niego, ale zdołał się wyrwać, rozpędzić do galopu i wnet wpadł między pierwsze drzewa.

Wrogi hufiec z furją burzy pokonał bród. Camlin, pochylony nad karkiem konia, słyszał wokół siebie i za sobą łoskot kopyt. Z przodu widział Bairda, który pędził niczym podczas wyścigów w Dniu Letniego Przesilenia.

Ludzie Camlina skupili się wokół niego. Uciekali z zaciętymi, ponurymi minami, walcząc z własnym przerażeniem. Wszyscy wiedzieli, że śmierć może ich dopaść z każdym kolejnym uderzeniem serca. Droga umykała spod końskich kopyt, konary nad ich głowami stawały się coraz grubsze, a rozchukana lawina rumaków i wrzeszczących wojowników pochłaniała dzielący ich dystans.

Już po mnie, pomyślał Camlin.

I nagle wpadli na polanę, zalaną ostrym blaskiem słońca. Po lewej wznosił się ciemny, wysoki kamień przysiąg. Camlin ściągnął wodze. Kilku spośród jego towarzyszy zrobiło to samo, a pozostali gnali naprzód, pochyleni tak bardzo, że ich ciała niemalże zlewały się z końskimi w jedno.

Tropiciele zsunęli się z siodła i klepnęli konia w zad, a jego klacz pomknęła dalej po trakcie olbrzymów. Słyszał Bairda, nawołującego go do pośpiechu. Ześlizgnął się po nasypie, zerwał do biegu i z bijącym mocno sercem pognął wraz z tuzinem innych ku drzewom.

Wskoczyli w rozlewające się między nimi cienie, podczas gdy ścigający ich zbrojni wpadli na polanę.

Wokół Camlina zaroilo się od mało widocznych sylwetek. Jakaś drobna postać wcisnęła mu w ręce nowy łuk z wiązu oraz kołczan ze strzałami. Obrócił się błyskawicznie i przykucnął za krzakiem, próbując złapać powietrze.

– Przekonujące przedstawienie, co? – spytał Baird z dzikim uśmiechem.

– Aż za bardzo – odparł Camlin. – Chyba się sfajdałem.

Baird wybuchnął szaleńczym śmiechem.

Rozdział siedemdziesiąty drugi

RAFE

Rafe zmrużył oczy, gdy wpadł na zalaną słońcem polanę z kamieniem przysiąg. Po mrocznym lesie Baglun słońce wydało się tu oślepiająco jasne.

Gnali jednak dalej. Wróg znikł właśnie wśród cieni puszczy po drugiej stronie polany.

Prowadzi ich Camlin!, uświadomił sobie Rafe.

Na jego widok stracił panowanie nad sobą. Wszelkie plany uderzenia z boku i wygnania przeciwnika z kryjówki wydały mu się teraz stratą czasu.

To bez znaczenia, myślał. Mamy Camlina! Już nam nie ucieknie, a nasz oddział jest zbyt liczny, by ulec temu motłochowi Edany, bez względu na to, czy uderzymy z zaskoczenia, czy też nie.

Pokryty runami kamień przysiąg, wznoszący się po lewej, wydawał się ciemny i mroczny, podczas gdy polana wokół nich była rozległa i szeroka.

Nie taką ją zapamiętałem, pomyślał Rafe. Jest teraz szersza. To już nie polana, ale łąka...

I wtedy dostrzegł pniaki niedawno ściętych drzew.

– Morcant! – wrzasnął, próbując przekrzyczeć zgiełk szarży. – Stój!

Wojownik zerknął na niego, a Rafe odchylił się w siodle i ściągnął wodze. Morcant poszedł w jego ślady. Zahamował ostro, jego koń zarzucił łbem, a kopytami zarył w ziemi. Jeźdźcy przemykali obok nich i wnikali w cienie lasu. Uderzenie serca później ci sami jeźdźcy zaczęli wylatywać z siodła, jakby jakiś niewidzialny bóg wyrzucał

ich ku niebu. Konie pędziły dalej galopem. Wystarczyła chwila, by tuzin wojowników znalazło się na trakcie, tuż pod kopytami kolejnych wierzchowców, a z każdą chwilą dołączali do nich nowi.

Wtedy Rafe dostrzegł jakąś nieregularność w blasku słońca.

Liny...

– Rozciągnęli liny wzdłuż traktu! – ryknął do Morcanta.

Obaj krzyczeli i wymachiwali rękami ku jeźdźcom za sobą. Konie hamowały na kamiennych płytach traktu bądź zjeżdżały po nasypie na trawiastą łąkę. Z lasu od strony Dun Carreg nadciągały nowe dziesiątki zbrojnych. Coraz to nowi ludzie wpadali na liny, ale szarża wytraciła już swój impet i konni tłoczyli się teraz na trakcie i dookoła niego.

Niespodziewanie rozległo się głośne, przeciągłe skrzypnięcie. Rafe odwrócił się w siodle i ujrzał drzewo padające na trakt. Uderzyło w drogę z głośnym łoskotem.

To pułapka, pomyślał, a po jego plecach spłynął dreszcz strachu.

Zapadła cisza, kłęby pyłu opadały. Pszczoła pracownice uwijała się wokół kilku fioletowych naparstnic, obojętna na to, że przyszło jej dzielić łąkę z wielkim zastępem zbrojnych.

Wtedy spośród cieni wyłoniły się sylwetki mężczyzn i kobiet z długimi łukami. Trzydzieści, czterdzieści, może więcej. Uformowali nierówny szereg, wyjęli strzały z kołczanów, nałożyli je na cięciwy, napięli i...

Wystrzelili.

W blasku słońca buchnęła krew. Ludzie i konie zaczęli walić się na ziemię. Wojownicy wrzeszczeli, rumaki rżały przeraźliwie, przedśmiertne konwulsje rozrywały darń. W ciała, mięśnie i kolczugi wbiła się kolejna salwa strzał. Rafe zeskoczył z siodła i biegł obok konia, chowając się za jego ciałem. Zmierzał w dół nasypu. Morcant wykrzykiwał jakieś rozkazy, których mało kto słuchał.

Potem rozległy się okrzyki bojowe z drugiej strony traktu olbrzymów, której Rafe już nie widział. Dobiegał stamtąd szcęk oręża i kolejne wrzaski. Rafe ujrzał około pół setki konnych, skrzykniętych przez jakiegoś szybko myślącego oficera, które runęły

na łuczników. Błysnęły ostrza, zadudniły kopyta, spod których wystrzeliły ziemia oraz trawa. Mur żelaza i końskich piersi zbliżał się ku łucznikom, którzy nawet nie drgnęli. Nadal naciągali cięciwy i wypuszczali kolejne strzały. Kilkunastu jeźdźców zsunęło się z siodeł ze strzałami sterczącymi z piersi, jeden z koni potknął się i zarył w ziemi, ale reszta kontynuowała szarżę.

Od łuczników dzieliło ich już tylko pięćdziesiąt kroków, ale ci nadal ani drgnęli. Posłali jeszcze jedną salwę strzał, strącając kolejnych ludzi z siodeł, ale konnica utrzymała szyk. Pozostało tylko dwadzieścia kroków.

Rafe uśmiechnął się szeroko.

Są już martwi, pomyślał. Nie zdołają uciec na czas.

I wtedy szereg jeźdźców znikł, jakby został pochłonięty przez samą ziemię.

Rozdział siedemdziesiąty trzeci

CAMLIN

Ludzie wrzeszczeli, a konie rżały.

Camlin wypuszczał strzałę za strzałą w głąb rowu, którego wykopanie, zakrycie szkieletem z gałęzi wierzbowych i zamaskowaniem darnią i jesiennymi liśćmi kosztowało ich tyle ciężkiej pracy. Rów był pełen ludzi i koni, którzy wrzeszczeli z bólu i strachu, a nade wszystko próbowali się desperacko wydostać. Dwóch wojowników porzuciło swe wierzchowce i próbowało się wspiąć po stromym zboczu tuż przed Camlinem, wspierając się na mieczach i włóczniach, ale runął na nich Baird i jeden z nich odpadł, krztusząc się krwią, a drugi osunął się ze strzałą Camlina w oku.

– Jak myszy w beczce z ziarnem! – oznajmił Baird. Pchnął mieczem jednego z wojowników, a potem kopnął innego w głowę.

Ginęli już ostatni uczestnicy szarży. Camlin uniósł głowę i ujrzał kolejnych zbrojnych Morcanta, którzy gnali ku nim, oraz gromadę innych, tłoczących się przy przewróconym drzewie, które uniemożliwiało odwrót po trakcie. Z drugiej strony drogi dochodził zgiełk uderzenia, które przeprowadził Pendathran.

Zgryźliwy wojewoda powrócił dwa dni temu, wiodąc trzystu czterdziestu zbrojnych.

„Pora więc, byśmy sami rzucili kośćmi – powiedziała wówczas Edana. – Zwycięstwo albo śmierć!”.

I nie ma już odwrotu, pomyślał Camlin i uniósł wzrok znad rowu pełnego zmasakrowanych ciał. Raz jeszcze spojrzął na trakt, gdzie trwała zaciekle bitwa. Jak dotąd plan rozwijał się pomyślnie.

Aż nadto pomyślnie. Ucieczka przed oddziałem Morcanta przyjemności mu jednak nie sprawiła.

Dostrzegł Rafe'a wkradającego się do Baglunu dwa dni temu. Czekał na niego i zostawił dla niego trop, którym miał podążyć. Nic oczywistego – Rafe był szkolony przez Braitha, a więc należało się spodziewać, że okaże się niezłym tropicielem. Camlin pozostawił więc tylko pojedyncze ślady, by Rafe zdołał dotrzeć do obozowiska i rzucić na nie okiem. Gdy ujrzał, jak młodzieniec zawraca, był przekonany, że niedługo powróci z Morcantem i jego hufcem. W tym momencie pozostawało już tylko zwabić ich do śmiertelnej pułapki.

Jeźdźcy przegrupowywali się na łące oraz na trakcie. Padały rozkazy, miecze i włócznie celowały już w Camlina i jego drużynę.

– Gotowi, chłopcy i dziewczęta?! – zawołał Camlin i naciągnął łuk. Jego strzała przeszła gardło jakiemuś jeźdźcowi, który osunął się z siodła. Spłoszony koń umknął, wlokąc za sobą wojownika, którego noga utknęła w strzemieniu. Obok ginęli inni.

Konni ruszyli, już nie pełnym galopem, ale wolniej i ostrożniej, a mimo to dystans między nimi a łucznikami Camlina szybko się kurczył.

– Gotów! – wrzasnął Camlin i wypuścił kolejną strzałę, która odbiła się od żelaznego hełmu.

– W nogi! – krzyknął, gdy jeźdźcy wyminęli długą wyrwę z obu stron, po czym runęli na łuczników z dwóch flanek. Ci jednakże wbiegali już do lasu i rozpływali się wśród cieni. Konie z trzaskiem przedzierały się przez zarośla, mężczyźni nachylali się pod gałęziami, przeklinali, gdy ich broń wzięła w gąszczu.

Wtedy z półmroku wybiegli kolejni ludzie, a inni z rykiem poderwali się z ziemi. Przewodziła im jasnowłosa kobieta w kolczudze i skórzanym kaftanie. Spod hełmu wypływał jasny, gruby warkocz wojownika. Była to Edana, uzbrojona we włócznie, a obok niej pędził Halion.

Wojownicy z ogłuszającym rykiem wbili się między nieprzyjaciół.

Gdzieś po lewej załomotały kopyta. Camlin odwrócił się w porę, by ujrzeć rozpędzonego rumaka i jeźdźca wznoszącego miecz.

Czasami strzeżenie czyichś pleców jest tak absorbujące, że człowiek zapomina o sobie, pomyślał.

Rzucił się w tył, potknął i padł. Ostrze przecięło powietrze w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą była jego głowa. Przetoczył się na bok, w ostatniej chwili unikając końskich kopyt.

Jakby spod ziemi wyrosła kolejna postać. Przypadła do jeźdźca, błysnęła stalą, po czym odskoczyła, przecięwszy uprząż. Jeździec runął z siodłem na ziemię.

– Jest twój! – Baird uśmiechnął się szeroko i znikł między drzewami.

Camlin zerwał się, kopnął wstającego wojownika w twarz i pchnął go w usta. Strzeliły zęby, gdy wyrywał ostrze, a przeciwnik zamachał konwulsyjnie nogami i znieruchomiał. Camlin stanął nad nim, ciężko dysząc, a potem wytarł miecz w jego płaszcz i podniósł łuk.

Wróg, który zapędził się między drzewa, został silnie przetrzebiony, a niedobitki rzuciły się do ucieczki. Wojownicy Edany wybiegli w ślad za uciekającymi jeźdźcami na łąki i ruszyli do ataku na kłębiących się tam przeciwników. Pendathran na czele swoich ludzi wdzierał się już na trakt olbrzymów.

Camlin zebrał swoich łuczników i zaczął się rozglądać w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłby zadać wrogom największe straty.

– Niezła bitka! – mruknął Baird, wyrywając miecz z żeber zabitego wojownika.

– Nie da się ukryć. – Camlin nadal się rozglądał. Wciąż mieli przeciwko sobie wielką przewagę, ale w szeregach wroga panowało spore zamieszanie. Zbrojni Edany i Pendathrana wdzierali się w gromady konnych, a ich miecze i włócznie rozpruwały brzuchy ich rumaków i kaleczyły im nogi.

Może i wróg ma nadal przewagę, ale szanse mamy o wiele większe niż chwilę temu, gdy wjeżdżałem tu galopem, pomyślał.

Baird ruszył na jakiegoś jeźdźca, pochwycił tył jego siodła i wskoczył na grzbiet wierzchowca. Przejechał wojownikowi ostrzem po gardle i zeskoczył, a jeździec złapał się za broczącą krwią szyję.

W międzyczasie Camlin dostrzegł Morcanta, którego miecz był czerwony od krwi aż po rękojeść. Wokół regenta Ardanu zebrało się już kilkuset zbrojnych, ale zewsząd nadciągali kolejni. Formowali klin, który wbijał się w ludzi Edany, a jadący na czele Morcant rąbał na prawo i lewo. Jego twarz wykrzywił dziki grymas, a buntownicy padali jak muchy. Jego przyboczni poszerzali wyłom, a on sam jechał prosto na Edanę.

– Meg! – krzyknął Camlin. – Jesteś tam?

– No pewnie! – Z góry dobiegła piskliwa odpowiedź.

– Chyba pora zadać w róg!

Morcant zbliżał się do Edany, zostawiając za sobą same trupy. Camlin wyrwał strzałę z kołczanu i wycelował w pierś wrogiego dowódcy, ale na moment zasłoniła go przejeżdżająca grupa jeźdźców.

No dalej, dalej... Mam cię!

Rozdział siedemdziesiąty czwarty

RAFE

Mam cię!, pomyślał Rafe, skradając się w kierunku Camlina.

Widział, jak tropiciel wyciąga strzałę z kołczanu i mierzy w któregoś z walczących.

W Morcanta.

Rafe wyciągnął nóż i zaczął się podnosić, gdy niespodziewanie rozległ się ryk. Przestraszyło go to, bo odgłos dobiegał z góry, gdzieś nad nim. Przechylił głowę i ujrzał niewielką postać na gałęzi, dmącą w wielki róg.

Wśród walczących coś się zaczęło dziać.

Wojownicy po przeciwnej stronie traktu olbrzymów – przynajmniej dwie setki konnych zgromadzonych przy przewróconym drzewie – zdzierali czarno-złote płaszcze i uderzali na towarzyszy. Znów poniosły się wrzaski, konie stawały dęba i wymachiwały kopytami. Miecze unosiły się i opadały.

Co? Kto to?

Nagle Rafe uświadomił sobie prawdę.

To ci wojownicy, którzy przybyli dziś rano do Dun Carreg!

Wypatrzył rudowłosego kapitana, który przebijał się przez tłum przeciwników na trakcie.

Zostaliśmy zdradzeni, pomyślał ze strachem, gdyż po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że mimo wszystko mogą przegrać tę bitwę.

Ale założę się, że odegrałeś w tym sporą rolę, ty podstępny draniu!, pomyślał, wpatrując się w plecy Camlina. Ramię

przeciwnika drżało, gdy czekał z napiętym łukiem na dogodną pozycję do uwolnienia strzały.

Rafe warknął głucho i skoczył na niego.

Impet zderzenia sprawił, że strzała Camlina wyleciała w powietrze, a łuk wypadł mu z rąk. Rafe pchnął go w plecy, ale ostrze ześlizgnęło się po kolczudze ukrytej pod skórzanym kaftanem. Przetoczyli się po ziemi, a młody tropiciel zdołał zacisnąć ramię wokół gardła Camlina.

Naraz w jego głowie eksplodowały gwiazdy, a w ustach poczuł smak krwi. Przeturlał się po trawie, ale szybko odzyskał ostrość widzenia. Zerwał się z nożem w dłoni i otarł krew ciekącą z nosa.

Wiedział, co się stało. Camlin rąbnął go głową w twarz. Starzejący się tropiciel podnosił się na nogi z mieczem w dłoni.

– Miałem nadzieję, że się na ciebie natknę – rzekł.

Rafe rzucił się na niego, owładnięty żądzą mordy. Camlin odskoczył, ale okazał się zbyt wolny. Rafe uderzył go ramieniem w udo. Przeciwnik zatoczył się i Rafe ciął nożem, ale jego ostrze przeszło powietrze. W odpowiedzi zasyczał miecz Camlina. Rafe wykonał unik i znów rzucił się do natarcia.

Wystarczy znaleźć się trochę bliżej, a mój nóż załatwi sprawę, pomyślał.

Zwarli się ponownie i padli na ziemię. Rafe zdołał przygnieść Camlina i wzniósł ostrze do ciosu, gdy w jego głowie znów eksplodował ból. To przeciwnik rąbnął go rękojeścią miecza. Oszołomiony Rafe ugryzł Camlina w ramię, poderwał głowę i grzmotnął go czołem w podbródek. Tropiciel utracił na moment siły, a Rafe wykorzystał sposobność, by zacisnąć wolną rękę na jego twarzy. Zaczął wciskać głowę Camlina w ziemię, a jego palce szukały nosa, oczu, czegokolwiek, co mógłby rozerwać. Czuł narastającą panikę, w miarę jak jego dłoń zbliżała się do oczu Camlina.

Wtedy w jego głowie rozjarzył się kolejny wybuch, a świat zawirował. Nagle uświadomił sobie, że znów leży na plecach i wpatruje się w niebo oraz gałęzie drzew. Przetoczył się, walcząc z nudnościami.

Nad Camlinem stała jakaś dziewczynka, która zamachnęła się i rzuciła czymś w Rafe'a. W jego ramieniu eksplodował nowy ból.

– Ty mała zdiro! – wycharczał. Potykając się i zataczając, rzucił się w stronę dziewczynki i leżącego tropiciela. Uderzył ją dłonią, wyrzucając ją w powietrze. Mała przetoczyła się i znieruchomiała.

Stanął nad Camlinem, który zdołał się dźwignąć na kolana i szukał miecza dłońmi. Kopnął go w żebra, a potem poderwał go z ziemi i cisnął w stronę rowu pełnego martwych ludzi i koni.

– Już lepiej daj sobie z tym spokój, co? – odezwał się ktoś za nim. – Kopiesz mojego przyjaciela.

Rafe odwrócił się i ujrzał starego wojownika, drobnego i szczupłego. Jego miecz był czerwony aż po rękojeść. Miał tylko jedno oko, a oczodół drugiego zarosła blizna.

Rafe przerzucił sztylet do drugiej ręki i dobył miecza.

Rozdział siedemdziesiąty piąty

CAMLIN

Camlin splunął krwią.

Usłyszał jakiś głos. Czyżby należał do Bairda? Potem rozległ się szcęk oręża oraz sapnięcia walczących. Podniósł się niepewnie, czując ostry ból w klatce piersiowej.

Ból to dobra rzecz, uświadomił sobie. Świadczy o tym, że nadal żyję. Rafe...

Dostrzegł go kilkanaście kroków dalej. Rafe odpierał wściekłą nawałę ciosów Bairda i cofał się pod jej naporem. Jego kontratakowi brakowało wprawy, ale był szybki niczym żmija i nieugięty. Camlin zrobił krok ku nim, a wtedy dostrzegł drobny, skulony kształt w trawie.

– Meg?

Potykając się, przypadł do jej boku. Przerażony padł na jedno kolano i uniósł jej głowę. Dziewczynka jęknęła, co pozwoliło mu zaczerpnąć tchu. Miała złamaną, posiniaczoną szczękę.

Rafe...

Delikatnie ułożył Meg na ziemi i ruszył ku Rafe'owi i Bairdowi. Obaj walczący sapali ciężko, brocząc krwią z ran – Baird został cięty po przedramieniu, a Rafe w policzek.

Załomotały czyjeś kroki i pojawił się Brogan.

– To jest ten, o którym mówiłeś? – spytał Camlina, wpatrując się w Rafe'a. – Ten, który nie umiera, choć pakujesz w niego strzałę za strzałą?

– Tak, to ten – odparł Camlin.

Obaj okrążyli Rafe'a, który cofał się w stronę linii drzew. Baird napierał, robiąc zwody i wypady. Kłykcie Camlina pobieły na rękojeści miecza, gdy czekał na okazję, by runąć na Rafe'a. Brogan znalazł się po jego przeciwnej stronie i wznosił miecz.

Naraz Rafe rzucił broń na ziemię i padł na kolana, wznosząc ramiona nad głowę.

– Litości! – wrzasnął. – Litości!

Camlin zamrugał i spojrzał na Bairda oraz Brogana, którzy wydawali się równie wstrząśnięci jak on. Baird jednakże parsknął głośnym śmiechem, a Camlin, utykając, zrobił krok w stronę klęczącego młodzieńca, mierząc mieczem w jego pierś.

Zabij go, myślał. Przebij mu serce mieczem. On jest źródłem twoich kłopotów! Połóż temu kres! Zabij go!

Ostrze Camlina drżało. Rafe szlochał, a z nosa płynęły mu smarki.

– Litości – powtarzał.

Miecz Camlina opadł.

Naraz po polanie poniosła się pieśń rogu. Na kamieniu przysięg stał Vonn, który dął w instrument raz za razem, a ostre fale niosły się daleko. Camlin odniósł wrażenie, że bitwa słabnie. Ludzie zatrzymywali się i obracali w stronę Vonna.

– Edana okazuje litość! – huknął wojownik, gdy w powietrzu nadal drżały resztki ostatniego dźwięku. – Wojownicy z Ardanu, jeśli walczyście dla Rhin, złożcie broń! Edana okaże wam łaskę! Poddać się!

– Nigdy! – wrzasnął Morcant, który walczył pieszo u stóp kamienia przysięg na czele grupki być może dwóch tuzinów zbrojnych, otoczony zewsząd przez wojowników Edany. – Edana to tylko herszt tego motłochu! Prawdziwą Królową Zachodu jest Rhin!

– A ty, Morcant, jesteś dziwką Rhin! – wrzasnął Vonn. – Marionetką Cambrenu! Jeśli są wśród was wojownicy z Ardanu czy Narvonu, złożcie broń i ocalcie życie! Tę bitwę już przegraliście, ale Edana okaże wam łaskę!

Przez moment nie działo się nic, a potem wezwania Vonna usłuchali pierwsi wojownicy, a po nich kolejni i następni. Szczęk rzuconej na ziemię broni potężniał i niósł się daleko.

Morcant wrzasnął z dziką furią i rzucił się na Edanę, prowadząc do ataku garstkę przybocznych, ale wszędzie dookoła ludzie padali na kolana i wznosili wysoko ręce na znak poddania. Morcant zdołał powalić jakiegoś wojownika i znalazł się niebezpiecznie blisko królowej. Camlin dostrzegł wtedy swój łuk, pochwycił go i zrobił kilka kroków ku walczącym.

Za jego plecami nagle rozległ się głuchy łoskot i czyjeś stęknięcie, a potem odgłosy szamotaniny. Odwrócił się i zamrugał, zaskoczony i oszołomiony.

Baird chwiał się, zaciskając dłonie na brzuchu, a Rafe i Brogan przetaczali się po trawie. Camlin zrobił krok ku nim, a wtedy Rafe rąbnął Brogana w czaszkę rękojeścią sztyletu, a potem dwukrotnie powtórzył uderzenie. Brogan opadł bez sił, a Rafe wyslizgnął się spod niego i zerwał się na równe nogi.

Camlin napiął już łuk i mierzył w serce młodzieńca.

Baird, zataczając się, zrobił krok, oderwał zakrwawione dłonie od rany, westchnął i runął na ziemię. Rafe, klucząc, biegł w stronę drzew. Ramię Camlina zadrżało, a zwolniona przezeń strzała z głuchym stukotem wbiła się w pień. Rafe zawinował i znikł wśród cieni. Były banita warknął głucho i przypadł do Bairda. Ujął jego głowę, ale w jedynym oku wojownika nie było już śladów życia.

Mamrotał o litości i uronił kilka łez, a ja już opuszczam miecz, pomyślał Camlin. I tak oto Baird nie żyje. Zmiękłem. Braith wygnałby mnie z Ciemnego Boru za taką głupotę.

Pokręcił głową, zaciskając mocno usta.

Podszedł do Brogana. Jego włosy były lepkie od krwi, ale wyczuł u niego słaby puls. Spojrzał na las, ale Rafe znikł jak kamień w wodzie.

– Camlin – szepnął ktoś.

Tropiciel odwrócił głowę i ujrzał Meg, podnoszącą się z jękiem. Przypadł do niej, podniósł ją i oparł o drzewo. Odgarnął włosy z jej oczu.

– Boly mnie scenka – wymamrotała.

– Wiem, dziewczę – szepnął Camlin. – I tak szybko nie przestanie.

Raz jeszcze rozejrzał się dookoła, próbując przeniknąć wzrokiem mrok lasu, ale nigdzie nie widział już Rafe'a. Potem spojrział na

wciąż walczącego Morcanta.

Jeszcze się zobaczymy, Rafe, poprzysiągł w duchu. Dopadnę cię.

– Odpocznij, mała. Nic ci tu nie grozi, a ja zaraz wrócę – powiedział do Meg, a potem się podniósł i pobiegł przez pobojuwisko ku Edanie.

Z całego oddziału przy życiu pozostał jedynie Morcant. Na oczach Camlina zabił jeszcze dwóch wojowników w ostatniej próbie dopadnięcia królowej, ale otaczał ją już krąg zbrojnych. Na trakcie Pendathran wykrzykiwał rozkazy, organizując kolumnę jeńców, a ku Edanie i Morcantowi galopował Drust z dwoma tuzinami jeźdźców.

Udało się, pomyślał Camlin. Nie wierzę, ale naprawdę się udało. Tyle czasu układaliśmy plany, tak długo przygotowywaliśmy pułapki, wybiegi i fortele, a ja ani razu nie odważyłem się uwierzyć w to, że wygramy. A już na pewno nie dziś, gdy ujrzałem Morcanta galopującego na czele tysiąca zbrojnych.

Morcant nadal rzucał się na zbrojnych otaczających królową. Odbijał się od ich tarcz, ale rąbał je mieczem, śląc naokoło drzazgi, wrzeszczał z furją, pluł i się miotał. Nagle zbrojni rozsunęli się i wyszedł Halion. Jego ciemne włosy splecione były w warkocz wojownika, a kolczuga była czerwona od krwi. Za nim szła Edana, również zbryzgana od posoki, uzbrojona już tylko w czerwony od krwi miecz. Była wyprostowana, a na jej twarzy widniały tryumf i zaciekłość.

– Już po wszystkim, Morcant – oznajmiła.

– Ty głupia dziewucho! – warknął Morcant. – Ta potyczka nie ma znaczenia! Rhin powróci, a kiedy to nastąpi...

Spojrzał na milczących wojowników wokół siebie.

– Rhin użyźni te ziemie waszymi flakami! Wszyscy staniecie się karmą dla kruków!

– Jeśli Rhin tu powróci, zafunduję jej miłe przyjęcie! – oznajmiła Edana czystym, dumnym głosem. – Ale ten problem pozostawmy sobie na kiedy indziej. Dziś bowiem będziemy świętować odzyskanie niepodległości przez Ardan!

Wiwaty zagłuszyły ryki rogów.

Wokół Morcanta powstał wielki krąg zbrojnych, ale ludzie rozstępowali się, by przepuścić Camlina. Pozdrawiali go skinieniami i poklepywali po plecach.

– A jeśli chodzi o ciebie, Morcant... – ciągnęła Edana. – Ty sługusie Rhin! Ty morderco dzieci i kobiet!

Czyjaś dłoń wsunęła się w rękę Camlina. Spojrzał w dół. Stała przy nim Meg, która wpatrywała się w Morcanta z nienawiścią w oczach. Ten zaś widział jedynie Edanę. Patrzył na nią z dumą i wyniosłością.

– Ta polana budzi we mnie wspomnienia – ciągnęła Edana. – Przypomina mi inną polanę w Ciemnym Borze, gdzie znalazłam się z moją matką, królową Aloną. Opadli nas wówczas zbrojni, którym ty przewodziłeś. Moja matka...

Rozejrzała się dookoła.

– Zabawne, że zginiesz w ten sam sposób co ona, oszukany i zaskoczony na leśnej polanie. Moja matka umarła niedługo po waszym napadzie, wiesz?

– Pamiętam – rzekł Morcant. – Pamiętam, gdy usłyszałem te wieści. Bardzo mnie ucieszyły.

– Ja zaś będę z przyjemnością patrzeć, jak ty umierasz – odparła Edana.

Morcant splunął, a potem rzucił się na nią z niebywałą prędkością. Camlin nigdy dotąd nie widział szybciej poruszającego się człowieka. Od Edany dzieliło go kilkanaście kroków, ale pokonał je w oka mgnieniu, a jego miecz skoczył niczym żmija, mierząc w serce królowej. Camlin sięgnął po strzałę, ale w porównaniu z prędkością, z jaką atakował Morcant, miał wrażenie, że porusza się w gęstej mazi.

Naraz wyrósł Halion, który odtrącił miecz Morcanta, a jego samego rąbnął pięścią w szczękę. Poplecznik Rhin zatoczył się i padł, a Halion zasłonił sobą Edanę.

– Wstawaj – rozkazał.

Morcantowi nie trzeba było powtarzać dwa razy. Zerwał się i znalazł po lewicy Haliona, pochylony, skupiony, z wyciągniętym mieczem.

– Nawet nie jesteś z Ardanu – powiedział do przeciwnika.

– Jakby to miało jakieś... – zaczął Halion, ale Morcant rzucił się na niego.

Ostrze miecza godziło wysoko. Przyboczny królowej odtrącił je, a potem sparował cięcie z boku, na co Morcant obrócił nadgarstek i pchnął Haliona w gardło. Ten, nie spuszczając wzroku z oczu przeciwnika, znów odepchnął jego uderzenie, a potem zrobił krok do przodu, zamarkował cios w dolne części ciała, ale chlasnął ku górze i cofnął się z krwią na ostrzu. Na policzku Morcanta pojawiła się cienka rysa.

– Widziałem, jak walczysz – rzekł Halion, wzruszając ramionami, i znów ruszył na niego.

Morcant zasypywał go ciosami. Robił wypady, rąbał z boku i wyprowadzał ciosy oburącz znad głowy, ale Halion szedł przez ich nawałę niepowstrzymany. Parował, unikał i kontratakował, a Morcant cofał się, przemieszczał na prawo i lewo. Uparcie szukał luk w obronie przeciwnika. Jego ciosy nabierały tempa i zlewały się w mordercze ulewę, które spadały na Haliona ze wszystkich stron. Halion rozstawił szeroko nogi i wytrzymał przez moment nawałę, aż sam powoli przeszedł do kontrataku. Najpierw zadał pojedynczy cios, potem wyprowadził atak z parowania, następnie zdołał uderzyć dwukrotnie, aż walka zamieniła się w wymianę wściekłych uderzeń. Miecze padały z oszałamiającą prędkością, a Camlin nie mógł oderwać oczu od tego przerażającego spektaklu.

Naraz Morcant zrobił krok w tył, zrywając hipnotyczny czar, który ich pojedynek rzucił na widzów. Halion nadal patrzył mu w oczy.

Morcant oddychał ciężko. Trzymał dłoń na kolanie, z trudem wciągając powietrze, a całe ciało, niczym na lasce, wsparł na wbitym w ziemię mieczu.

– Nie walczysz tak jak twój brat – wyszeptał.

– Coś takiego – burknął Halion.

– Rhin wie o wszystkim. O twoim bracie.

– O czym ty gadasz?

– O tym, że Conall cię uwolnił. Z lochów pod Dun Taras.

Halion zmrużył oczy.

– Zabije go za to, ale nie od razu. Najpierw go wykorzysta, rzecz jasna. Ale potem...

– Kłamiesz – warknął Halion.

– Tak? A niby skąd bym wiedział, kto cię uwolnił?

Halion zmarszczył brwi.

Morcant gwałtownie przekręcił nadgarstek. Spod ostrza miecza strzelił piach. Halion się uchylił, ale Morcant już przeszedł do ataku. Jego miecz, celujący prosto w gardło przeciwnika, ze zgrzytem przejechał po jego torkwesie, ale zostawił szramę na szyi. Morcant napierał teraz bez litości – pomimo zaciętej obrony Haliona zdołał ciąć go po udzie, a potem zaczął spychać w kierunku Edany. Ich klingi zderzały się, zgrzytały o siebie i znów zderzały, aż Morcant przypadł bliżej, zahaczył nogą o but przeciwnika i pchnął go mocno w pierś, ale Halion wymknął się zgrabnym unikiem.

– Czyli czegoś się jednak nauczyłeś od Conalla – rzekł. – Sęk w tym, że ja dobrze znam te sztuczki.

– Zależy, co chcesz osiągnąć. – Morcant się uśmiechnął.

Camlin nagle uświadomił sobie, że jak dotąd Halion cały czas zasłaniał sobą Edanę, ale wykonując unik, odsunął się od niej. Młodą królową od Morcanta dzieliły teraz tylko dwa kroki.

Morcant uśmiechnął się szeroko i skoczył niczym atakująca żmija. Jego miecz zmierzał w stronę szyi dziewczyny.

W jego bok naraz wbiła się strzała. Zatoczył się w tył o pół tuzina kroków.

Camlin wkroczył do kręgu, trzymając już kolejną strzałę na cięciwie. Uwolnił ją, gdy Morcant zdołał pokonać ból i zrobić kolejny, niepewny krok ku Edanie. Grot przebił skórę i kolczugę, po czym wszedł głęboko w brzuch wojownika. Morcant stęknął, padł na jedno kolano, a miecz wysunął się z jego dłoni. Uniósł głowę, by spojrzeć na Camlina.

– Trzeba było cię zabić w Ciemnym Borze – szepnął. Zachwiał się i splunął krwią, opryskując sobie podbródek.

– Tak – burknął Camlin i podszedł bliżej. Kolejną strzałą celował w serce Morcanta. – Trzeba było. Bo teraz to ja zabiję ciebie.

Zatrzymał się dwa kroki przed nim i spojrzał na Edanę, która skinęła głową. Jego strzała wgrzyła się do połowy w pierś Morcanta, a siła uderzenia przewróciła go na plecy. Spojrzał jeszcze na Camlina i wyszeptał coś, ale jego oczy szybko zaszkliliła śmierć. Na polanie zapadła cisza.

– Powieście jego ciało na drzewie – warknęła Edana. – I oddajcie je Crafowi.

– Dzięki! – zakrakał siedzący wśród gałęzi kruk.

* * *

Camlin szedł ulicami Dun Carreg. Zbliżał się wieczór i cienie stawały się coraz dłuższe. Słońce nadal grzało go w plecy, ale wokół gromadził się już chłód.

Czuł, jak mimo odniesionego zwycięstwa ogarnia go melancholia. Weszli do twierdzy bez trudu, bo ludność miasta obezwładniła nieliczne straże, jeszcze nim Edana na czele zbrojnych wkroczyła na most prowadzący do Kamiennej Bramy. Na ulicach powitali ich świętujący ludzie, a w sali biesiadnej trwała właśnie uczta, ale on nie mógł przeboleć śmierci Bairda, dobrego, dzielnego człowieka. Wojownika, któremu ufał. Którego nazywał przyjacielem.

Niewielu mi ich zostało, pomyślał. A teraz straciłem kolejnego.

Szedł przed siebie, aż dotarł na dziedziniec przed zamkniętą Kamienną Bramą. Przy strażnicy kręciło się kilku ludzi. Camlin odpowiedział uniesieniem ręki na ich radosne pozdrowienia, wyminął ich i wspiął się po schodach. Na koronie murów natknął się na strażników. Niektórzy trzymali włócznię w jednej ręce, a bukłaki z miodem w drugiej.

W sumie czemu nie?, pomyślał Camlin. Odkąd sięgam pamięcią, to pierwsza okazja, by poświętować. Dobrze pamiętam noc, gdy upadła ta forteca, a my zostaliśmy zmuszeni do ucieczki. Nigdy nie zapomnę naszego rejsu i wędrówki przez dwa królestwa. Ale udało się wrócić.

Dostrzegł samotną postać, która stała na murze i wpatrywała się w dal. Był to ogromny mężczyzna o karku potężnym jak u byka. Camlin podszedł doń i stanął u jego boku. U stóp stromych murów rozciągał się cały świat. Zachodzące słońce malowało łąki, lasy, pastwiska i zatoki odcieniami czerwieni i bursztynu.

– Jestem zaskoczony, że jeszcze żyjesz, Bezkarki – rzekł Camlin. – Znaczą, cieszę się.

– Mam mocny łeb – burknął Brogan. Jego czaszkę obwiązano bandażem.

– Ha, pewno.

Stali przez moment w ciszy, którą przepelniała zażyłość i sympatia. Spoglądali na szarość zmierzchu, powoli wnikającą w świat.

– Jutro ruszam za Rafe'em – odezwał się Camlin. – Zaraz o brzasku.

Brogan zerknął na niego.

– Wydawało mi się, że zostaniesz tu przez jakiś czas.

– Zrobiłem, co do mnie należało – mruknął tropiciel. – No i mamy naszyjnik. Nie zdam się tu na wiele, a myślę sobie, że przydałby się Corbanowi i reszcie.

– To jedyny powód, dla którego chcesz nas zostawić? – spytał Brogan.

– Nie. Myślę, że Baird zasłużył sobie na lepszy los niż to, co go spotkało. Nie mam ochoty na świętowanie ze świadomością, że Rafe nadal przebywa na wolności. Wydaje mi się, że udał się prosto do Rhin, a jedynym, co przychodzi mi teraz do głowy, jest posłać go w ślad za Bairdem.

Brogan burknął pod nosem i spojrzał raz jeszcze na pejzaż wokół twierdzy.

– Idę z tobą – rzekł po chwili.

Cienie stawały się coraz gęstsze i na murach zapalono pochodnie. Camlin miał wrażenie, że gdzieś za mostem dostrzega jakiś ruch. Wydawało mu się, że wychwycił sylwetkę ciemniejszą od cieni, ale choć wyteżał wzrok, nie ujrzał nikogo ani niczego.

Potem usłyszał czyjeś kroki. Odwrócił się i zobaczył Edaną, która wkroczyła na dziedziniec. Zrzuciła już zakrwawioną kolczugę, ale nadal miała na sobie spodnie, koszulę i skórzany kaftan, a przy pasie nosiła miecz. Założyła też nieco lepszy, szary płaszcz Ardanu, obsyty gronostajem. Towarzyszyli jej Halion i Vonn. W ciemnościach zaszeleściły skrzydła, a potem na kamieniu zachrobotwały szpony.

– O, a więc tu jesteś – rzekła Edana, wchodząc po schodach. – Wszędzie cię szukałam.

– Dlaczego, moja pani? – Camlin pochylił głowę. Musiał przyznać, że widok młodej królowej wracającej do domu po latach ucieczki, walki i życia pod gołym niebem sprawił mu przyjemność. Uśmiechnął się do niej.

– Co cię tak bawi? – spytała Edana.

– Do twarzy ci w tym płaszczu.

Tym razem to ona się uśmiechnęła.

– Dziękuję – odpowiedziała.

– A więc, moja pani, cóż mogę dla ciebie zrobić podczas tej oto nocy nad nocami, kiedy to powinnaś się bawić, świętować i napawać swoim zwycięstwem?

– Przyszłam cię poprosić, byś nie pił dziś za wiele – powiedziała Edana. – Bo jutro wcześniej ruszamy. Czeka nas długa podróż.

– Jaka podróż? – Camlin zmarszczył brwi.

– Wyruszam, by dostarczyć Corbanowi naszyjnik z gwiezdneho kamienia, a zabieram ze sobą tylu ludzi, ilu Pendathran uzna za stosowne mi oddać – odparła. – Rhin bez wątpienia spróbuje tu wrócić i odebrać mi królestwo, a więc dlaczego by nie zabić tej suki zawczasu? Wyświadczylibyśmy zarówno sobie, jak i światu wielką przysługę.

– Wreszcie! – zakrakał z tryumfem Craf i wskoczył w krąg światła rzucanego przez pochodnię.

Vonn zamrugał, zaskoczony słownictwem Edany, a Halion uśmiechnął się lekko.

– Chyba spędziłaś za dużo czasu z pewnym łotrem z Ciemnego Boru – rzekł Camlin. – Bo zaczynasz już myśleć i mówić tak jak ja.

Rozdział siedemdziesiąty szósty

CORALEN

Coralen przypadło stanowisko na wzniesieniu. Łuk z naciągniętą cięciwą stał oparty o drzewo, a ona spoglądała przez szczelinę w listowiu na zachodni skraj obozowiska Lothara. Słuchała miękkich rytmicznych pacnięć toporów w rękach drużyn drwali, rozkazów wykrzykiwanych do tłumów robotników oraz skrzypienia załadowanych po brzegi wozów, prowadzonych po świeżo ułożonym trakcie. Słyszała rzenie koni i brzęk łańcuchów, z którym ciągnęły kłody drewna.

A gdzieś za nimi nadciągali zbrojni Lothara.

Od połowy księżyca Coralen urządzała ataki na hufce Nathaira i Lothara, ale wojna na wyczerpanie okazała się frustrująco powolna. Wedle raportów szpiegów, którzy śledzili i nanosili na mapy postęp prac budowlanych, trakt, który bezlitośnie zmierzał ku Drassil, miał dotrzeć do twierdzy w ciągu dwóch księżyców.

Jak my ich mamy powstrzymać?, zastanawiała się.

Uniemożliwienie czy nawet znaczące opóźnienie budowy traktu okazało się niezwykle trudnym zadaniem i jeden Elyon wiedział, że Coralen dokładała wszelkich starań ku temu. O to bowiem poprosił ją Corban podczas ich ostatniej rozmowy.

„Do mego przybycia spróbuj ich spowalniać” – powiedział. – „Nękać ich, niepokój, niszczyć morale. I zabij tylu, ilu się da”.

Coralen zaplanowała i przeprowadziła już przeszło dwadzieścia wypadów. Miała pod swoimi rozkazami ponad setkę osobiście wybranych ludzi i olbrzymów, na czele których napadała na

robotników, zagrody, latryny, zapasy zboża. Ponosili niewielkie straty i zawsze pozostawiali za sobą kilka trupów, ale ich wypadki nigdy nie były tak skuteczne, jak Coralen to sobie wyobrażała. Najbardziej udany atak przeprowadzili na karawanę z zaopatrzeniem na trakcie za głównymi siłami Lothara, ale nawet to nie zrobiło wielkiego wrażenia na przeciwniku.

A wszystko przez tę przekłętą orlą straż i ich mur tarcz, pomyślała.

Bez względu na to, jaką taktykę o brała, orla straż zawsze okazywała niebywałą dyscyplinę. Bez względu na to, czy atakowała w nocy, czy też za dnia, o świcie czy o zmroku, zawsze słyszała ów znieawidzony szczeł zwieranych tarcz. Orla gwardia Nathaira zacieśniała szyk i skutecznie broniła zaatakowanych.

Corban wkrótce przybędzie tu z większymi siłami, pomyślała Coralen. My musimy jedynie siać lęk. Musimy przerzedzić ich siły i napełnić serca lękiem, nim spotkają nas w bitwie.

Poruszyła się, bo spodnie już jej przesiąkły wilgocią ziemi, na której leżała. Za sobą usłyszała idącą cicho Burzę, a po niej tupot mniejszych łapek trzech spośród jej szczeniąt. Wilkunica obwąchała jej policzek, a potem polizała ją.

– Faj – mruknęła bezwiednie Coralen.

Jej uwagę przyciągnął jakiś ruch kilkaset kroków po prawej. Przez ułamek sekundy widziała Datha, który przybierał odpowiednią pozycję. Wiedziała, że w tej części lasu przebywa jeszcze około dwóch tuzinów spośród jej podwładnych.

Skrzypnął nadciągający wóz. Szereg wartowników rozstąpił się i wypuścił oddział orlej gwardii, który wkroczył w półmrok Fornu.

Oto oni.

Sześciu ludzi szło w ciasnym szeregu, zwarłszy tarcze, a za nimi człapał kosmaty wół, ciągnący wóz. Za nim szedł kolejny. Orla gwardia formowała szeregi po obu stronach kolumny, a kolejna szóstka ubezpieczała kolumnę od tyłu. Każdemu z wozów towarzyszyła grupa ludzi z łopatami na ramionach, wpatrujących się uważnie w las.

Dwudziestu czterech strażników i dziesięciu robotników.

Wozy były wypełnione nieczystościami, które planowano wyrzucić z dala od obozu, co było rozsądnym rozwiązaniem. Zmniejszyło szanse na pojawienie się chorób.

Coralen podniosła się i ruszyła za nimi. Burza oraz szczenięta wślizgnęły się w półmrok lasu.

Niewielki konwój szedł między drzewami i zatrzymał się jakieś sześćset, siedemset kroków od obozu. Coralen przykucnęła za kolczastym krzewem, wyciągnęła strzałę z kołczana przy pasie, nałożyła ją na cięciwę i zamarła w oczekiwaniu.

Orla gwardia uformowała luźny półkrąg, a robotnicy przystąpili do opróżniania wozów.

Coralen odliczyła do pięćdziesięciu, po czym napięła łuk i wyszukała wzrokiem wojownika, który trzymał tarczę zbyt nisko. Grot trafił go w gardło. Padł na ziemię, krztusząc się krwią.

Zewsząd z bzykiem gniewnych os nadleciały strzały.

Nim zadęto w rogi i sformowano szereg, padło jeszcze dwóch wojowników oraz czterech robotników. W odpowiedzi na alarm zagrzmiały rogi w obozie. Ciśnięta z wielką siłą włócznia przebiła tarczę i posłała wojownika na ziemię.

Mają zbyt mało ludzi!, pomyślała Coralen. Wystarczy ich tylko na jeden szereg wokół wozów. Nie są w stanie wypełnić łuk i wystarczy, by padł jeden człowiek, by szereg rozciągnął się ponad miarę.

Znów świsnęła włócznia. Jeden z wołów zaryczał żałośnie.

Lada moment z obozu dotrą posiłki. Teraz albo nigdy.

Coralen wypadła z osłony i skoczyła na mur tarcz.

– Burza! – krzyknęła.

Kątem oka widziała innych, pędzących na wozy. Wśród wrogów zapanowało zamieszanie na widok wojowników wybiegających z lasu, głównie łuczników, ale również trzech olbrzymów z młotami i toporami.

Coralen zatrzymała się kilkanaście kroków przed murem tarcz. Napięła łuk i uniosła go. Dath zamarł obok niej. Orli gwardziści wpatrywali się w nią z opanowaniem, przeświadczeni, że są w stanie znieść każdą nawałę strzał czy ciosów, bo przecież ich towarzysze broni już zmierzali z odsieczą.

Wtedy śmignęła Burza, która odbiła się od ziemi, przeskoczyła mur tarcz i wylądowała za wojownikami Nathaira z głuchym, straszliwym rykiem. Jednym smagnięciem pazurzastej łapy wypatroszyła któregoś z robotników, a potem obróciła się i rzuciła najbliższemu wojownikowi na plecy. Rozległy się wrzaski, bryzgnęły fontanny krwi, a ludzie zaczęli się odwracać. Coralen i Dath posłali strzały, a któryś z olbrzymów przypadł bliżej, nadział mężczyznę na włócznię, uniósł go w górę i odrzucił w las.

* * *

Mur tarcz rozpadł się błyskawicznie. Ludzie zaczęli uciekać we wszystkich kierunkach, a wojownicy Coralen ścinali ich po drodze. Z obozu nadbiegały już posiłki.

Ciut za późno, pomyślała dziewczyna i uśmiechnęła się paskudnie, po czym wypuściła jeszcze jedną strzałę w plecy uciekającego wojownika. Potem ruszyła biegiem w ślad za dwoma innymi, którzy ze strachu przed Burzą uciekali w niewłaściwym kierunku: w stronę lasu, a nie obozowiska.

Przez chwilę przedzierali się przez zarośla, nieświadomi tego, że Coralen podąża za nimi. Jeden z nich wyrzucił tarczę, która haczyła o gałęzie, ale parli jeszcze naprzód przez moment, po czym się zatrzymali. Wojownik bez tarczy okazał się młodzieńcem z wątłym zarostem, a jego towarzysz był doświadczonym weteranem z siwizną pośród czarnych włosów. Rozglądali się, zaskoczeni.

Coralen napięła kolejną strzałę.

– Gdzie właściwie jest obóz? – spytał młodzieniec.

* * *

Starszy wojownik obrócił się wokół własnej osi.

– Tędy – powiedział i ruszył w niewłaściwym kierunku.

Strzała Coralen z mokrym młasnikiem wbiła mu się w ramię i posłała go na drzewo. Tarcza wypadła mu z ręki. Stęknął głucho,

a jego młodszy towarzysz odwrócił się błyskawicznie, dziko, łapiąc miecz oburącz. Poszycie zaszeleściło pod łapami Burzy, która odbiła się i runęła na starszego wojownika, powalając go na ziemię. Młodszy, widząc to, rzucił się do ucieczki.

Burza zacisnęła kły na przedramieniu powalonego mężczyzny i szarpnęła. Trzymany przezeń miecz zawirował w powietrzu i znikł wśród krzaków.

A wilkunica, ku zaskoczeniu Coralen, zeszła z ciała.

Co ona wyprawia?, pomyślała dziewczyna. Do tej pory bez wahania rozszarpywała wszystkim gardła!

Wtedy z cieni wybiegły szczenięta. Przewodziła im suczka z czarnym pyskiem, którą Haelan nazwał Cień.

Burza fuknęła na szczenięta i Cień podbiegła bliżej. Miała zjeżone futro i warczała na starszego mężczyznę. Ten rzucił się do ucieczki, a szczeniaki popędziły za nim.

Ach, ona uczy je polować!, pojęła Coralen.

Pozostawiła ich samym sobie i ruszyła za uciekającym wojownikiem, którego kroki cichły w oddali. Dogoniła go po niecałych pięćdziesięciu susach, kiedy w lesie poniósł się przeraźliwy wrzask.

Pierwsza lekcja Burzy, pomyślała Coralen.

W lesie wokół niej zaszła jakaś subtelna przemiana. Uświadomiła sobie, że coś jest nie w porządku. Nie słyszała śpiewu ptaków. Uciekający wojownik wbiegł na polanę. Coś zachrząściło pod jego stopami, co sprawiło, że zwolnił, a potem się zatrzymał. Na polanie wznosiły się stożkowate kopce ziemi, przynajmniej dziesięć, może więcej. Szerokością u nasady dorównywały osiom napadniętych wozów, a w górę pięły się na wysokość dwóch dorosłych ludzi. Coralen zatrzymała się na skraju polany, a po jej plecach spłynęły ciarki. Coś trzasnęło pod jej stopami. Nachyliła się i ujrzała drobne kostki ptaków, szczurów, ryjówek, a dalej większe – lisów, borsuków i saren. Zamrugnęła, uświadomiwszy sobie, że zasłana jest nimi cała polana.

Wojownik spojrzał na nią, uniósł miecz i zaczął cofać się w stronę kopców.

– Nie podchodź! – warknął do niej.

Nie musisz mi tego dwa razy powtarzać, pomyślała.

Najbliższy kopiec zaczął się poruszać.

Coralen w pierwszej chwili pomyślała, że ulega złudzeniu, ale naraz powierzchnia kopca zaczęła się mrowić. Przy nasadzie rozlał się ciemny cień, który ruszył w stronę młodego wojownika, pokonując teren w okamgnieniu. Błyskawicznie otoczył jego stopy, a potem pomknął w górę, po kostkach i łydkach, aż na kolana.

Chłopak zaczął wrzeszczeć. Uderzył rękami o nogi, ale gdy je oderwał, na dłoniach i między palcami wiło mu się coś czarnego i żywego, co momentalnie pomknęło ku nadgarstkom. Z jego palców ściekały krople krwi.

Potyając się, wystrzelił ku Coralen, nie przestając wrzeszczeć. Zgubił miecz i nadal szarpał i tłukł ciemną plamę, pnącą się po jego ciele, sięgającą już krocza, a przypominającą atrament wnikaający w pergamin. Kilka kroków przed dziewczyną padł na kolana i zaczął drapać się po twarzy, bo ciemna plama zalewała już jego usta, wdzierając się do nosa i wgryzała do oczu. Przewrócił się na twarz i zaczął tłuc nogami ziemię.

Coralen cofnęła się. Już wiedziała, na co patrzy.

Mrówki...

Były ich tysiące, dziesiątki tysięcy, a każda równie wielka jak jej palec. Zalewały ciało powalonego wojownika, szarpiąc go ostrymi żuwaczkami.

Na oczach Coralen mrówki ruszyły ku niej ciemną, niepowstrzymaną masą. Zdeptała te, które biegły jako pierwsze, poczuła, jak coś wgryza się w jej łydkę, a potem już tylko biegła. Pędziła jak szalona, szybciej niż kiedykolwiek wcześniej.

Rozdział siedemdziesiąty siódmy

CYWEN

Cywen zastała Brinę siedzącą na pniaku z księgą olbrzymów otwartą na kolanie. Uzdrowicielka spojrzała na dziewczynę i uśmiechnęła się. Na jej twarzy widniały głębokie zmarszczki.

– Ta księga – powiedziała, stukając palcem w prastare stronicę – być może zawiera odpowiedzi.

– Odpowiedzi? – spytała Cywen.

Przekazała księgę Brinie po powrocie do obozu, a uzdrowicielka, co nie zdarzało się jej często, zareagowała z niebywałym ożywieniem. Od tego czasu jednak okazywała coraz większą irytację, przynajmniej aż do tej chwili.

– Tak. W kwestii wojny. Wykryłam kilka wskazówek. Istnieje pewien czar... – Brina nagle zatrzęsnęła księgę i spytała:

– A gdzie jest Corban?

– Właśnie powrócił do obozu po ataku na siły Nathaira i Lothara.

– Chodźmy – powiedziała uzdrowicielka i zerwała się na równe nogi.

Ruszyła szybkim marszem przez obozowisko, w którym panowało spore zamieszanie. Liczący około stu ludzi oddział szykował się do nowego wypadu na siły Nathaira i Lothara. Coralen podzieliła ich w ten sposób, że część wojowników zawsze prowadziła natarcie na wroga, by ten nie miał ani chwili wytchnienia, ale z tego, co słyszała Cywen, droga wciąż przybliżała się do Drassil.

Zastały Corbana naciągającego spodnie po kąpieli w strumieniu. Na jego nagiej piersi widać było liczne sińce, a po przedramieniu

ciągnęło się długie skaleczenie. Towarzyszyli mu Gar i Farrell, w tej chwili zajęci własnymi obrażeniami.

– Chcę to obejrzeć – oznajmiła Cywen i ruszyła, by przyjrzeć się ramieniu Corbana.

– Czy da się zniszczyć sztylet z gwiezdneho kamienia? – spytała Brina, podchodząc o krok.

– Nie – odparł Corban.

– A skąd wiesz?

– Cóż. – Młodzieniec zamrugął i zmarszczył brwi. – Meical mi powiedział.

Brina zmierzyła go długim, twardym spojrzeniem i odczekała, aż sam zrozumie, co właśnie rzekł. Corban wyciągnął sztylet z pochwy i obrócił go w dłoni. Wszyscy się pochylili, by spojrzeć na matowe, czarne ostrze.

– Potrzeba nam kogoś wielkiego i silnego, by w to rąbnął – stwierdziła Cywen.

– Balur! – wykrzyknął Corban, ale olbrzym nie odpowiedział ani nie przyszedł.

– Daj mnie spróbować – oznajmił Farrell i ściągnął młot. – Połóżcie sztylet na tym kamieniu.

Corban zrobił to, o co go proszono, a Farrell wzniosł młot i rąbnął ze wszystkich sił. Rozległ się głośny huk i młot odskoczył wysoko w górę, a Farrell zatoczył się w tył. – Na sztylcie nie było nawet rysy.

– Może dałbyś radę walnąć mocniej – stwierdziła Cywen.

– Moje nadgarstki by się z tobą nie zgodziły. – Farrell się skrzywił.

– Ja bym spróbował stopić go w kuźni – zaproponował Gar.

Spomiędzy drzew wyszli Balur oraz Veradis. Olbrzym spojrział na Farrella, a potem na sztylet.

– Nie da się zniszczyć Skarbu, który został oddzielony od innych – rzekł.

– Skąd wiesz? – spytała Brina.

– Bo robiliśmy wszystko, by zniszczyć kocioł w Murias – odparł Balur. – Sam tłukłem w niego młotem przez wiele godzin. Nie,

Skarby muszą się znaleźć w jednym miejscu, a nawet wtedy, wedle tego, co mówiła Nemain, tylko słowa mocy mogą je unicestwić.

– Unicestwić – szepnęła Brina.

– Tak. Tego słowa użyła Nemain – odparł Balur.

– Czyli jednak Meical mówił prawdę. – Brina zwróciła się do Corbana.

– Przynajmniej w tej sytuacji – odparł Corban, a w jego głosie pojawiła się gorycz.

Jego zdrada naprawdę ci dopiekła, bracie, pomyślała Cywen.

– Cóż, dziękuję wam. – Brina podniosła sztylet i oddała go Corbanowi. – To było bardzo pomocne, ale mam jeszcze jedno pytanie, Ban.

– Słucham.

– W jaki sposób przedostajesz się do Zaświatu?

– Meical jakoś mnie wzywa. – Corban wzruszył ramionami. – Czy przywołuje. Sam nie wiem. A czasami...

Zmarszczył brwi.

– Bez wątpienia parokrotnie znalazłem się tam, choć Meical mnie nie wezwał, ale nie wiem, jak to się dzieje. Podczas ostatniej wizyty Meical powiedział mi, że Zaświat mnie przyciąga.

– A umiałbyś się tam przenieść z własnej woli? – nalegała Brina.

Młodzieniec znów wzruszył ramionami.

– Przemyśl to, bo to mogłoby się okazać bardzo ważne – dodała Brina.

– Zastanowię się – mruknął Corban i wyglądał, jakby już pogrążył się w rozmyślaniach.

Brina odeszła, wołając Cywen. Dziewczyna ruszyła za uzdrowicielką, ale zatrzymała się z wahaniem, gdy Veradis zwrócił się do Corbana.

– Chcę z tobą porozmawiać o Nathairze – rzekł.

– Mów więc – odpowiedział powoli Corban.

– Fidele opuściła nas, by spróbować przemówić Nathairowi do rozumu. Wierzyła, że to wciąż możliwe.

– Czy przypadkiem sam już tego nie próbowałeś? – spytał chłodno Corban.

– Tak, ale byłem nazbyt wstrząśnięty, a do tego Calidus był blisko. To on jest naszym prawdziwym wrogiem, to on jest oszustem i krętaczem, a Nathair przebywa teraz daleko od niego. Wymknął się spod jego wpływów.

– Calidus jest głową węża – rzekł Gar. – To Calidus zabił Gwenith.

– Doskonale to wiem – warknął Corban. – Calidus jest naszym prawdziwym wrogiem, ale każdy król ma swoich wojewodów na rozkazy. A kim jest teraz Nathair, jeśli nie wojewodą?

– Nathair został oszukany i zmanipulowany – powtórzył Veradis.

– Tak jak ty – odparł Corban. – Ale teraz obaj znacie prawdę. I zwróć uwagę na to, że ty jesteś tu, a Nathair nie.

Veradis zwiesił głowę. Cywen dostrzegła ból w jego oczach.

– Nathair zna prawdę i dokonał wyboru – ciągnął Corban.

– A gdyby chciał zejść ze ścieżki, którą kroczy? Gdyby zapragnął stanąć tu przed tobą i poprosić o wybaczenie? – szepnął Veradis.

Corban wpatrywał się w niego w milczeniu.

– Przebaczyłyś mu?

– Zabił mi ojca.

– To prawda. Ja również zabiłem wielu ludzi, gdy przebywałem pod wpływem Calidusa. Z całego serca żałuję każdej z tych śmierci. Mówisz o prawdzie i odwadze, podczas gdy wybaczenie może okazać się aktem największej odwagi.

Cisza się przedłużała.

– Cywen! – warknęła Brina.

Dziewczyna podskoczyła, wystraszona, i podążyła pośpiesznie za uzdrowicielką, która rozsiadła się już w cieniu wielkiego dębu. W wykopanej tam dziurze płonął ogień, nad którym wisiał kociołek. Brina szturchała drwa i zerkała na rozłożoną obok księgę olbrzymów. Cywen zatrzymała się przed nią w chwili, gdy Brina wstała i wyciągnęła z za pasa nóż. Na jej twarzy widniała zgroza przemieszana z determinacją, których Cywen nigdy dotąd u niej nie widziała.

Brina przejechała palcem po kciuku i rozcięła skórę. Krople krwi zaczęły ściekać do kociołka.

– Co ty robisz? – szepnęła Cywen, bo coś w tej scenie zmroziło jej krew w żyłach.

– Uczę się – odparła Brina. – Zaczynam ostrożnie, zaledwie od nakłucia kciuka, ale jeśli ma się udać, będziemy potrzebować mnóstwo krwi.

– Co ma się udać? – spytała Cywen.

Brina obrzuciła ją długim, smutnym spojrzeniem.

– Opanowanie zaklęcia Unicestwienia – odparła.

Rozdział siedemdziesiąty ósmy

MAQUIN

Maquin biegł wzdłuż brzegu rzeki, a wokół niego ciągnął się odwieczny las Forn, istny ocean dębów, jesionów i lip. Wojownik był zalany słonym potem, od którego piekły go dziesiątki skaleczeń, pozostawionych przez gałęzie i kolce. Każdy oddech, każde uderzenie serca odmierzały upływający czas. Czas pozostały do chwili, gdy ich dopadnie. Gdy ją ujrzy.

Fidele.

Tysiące razy wracał w głowie myślą do ich ostatniej nocy, odtwarzał każdą chwilę i analizował ją w poszukiwaniu znaków i sygnałów, które mógł odczytać. Ba, które powinien był odczytać, by zorientować się, co planuje Fidele.

Bym mógł pokrzyżować jej plany, myślał. Bym mógł ocalić ją przed porwaniem.

Za sobą słyszał trzask, z jakim przez zarośla przedzierali się Alcyon i Tain. Dotrzymywali mu kroku bez słowa skargi, biegli w upale i w deszczu, w nocy i za dnia, podobnie zresztą jak pozostali, nawet Alben.

Po drugiej stronie rzeki dostrzegł jakiś cień. Wiedział, że to Teca, a z nią Javed, za którym podążała rozciągnięta gromada Uwolnionych. Jego niewielki oddział podzielił się na dwie grupy, by móc strzec obu brzegów rzeki. Istniało wszak prawdopodobieństwo, że Lykos z jakiegoś powodu opuści łodzie i podejmie podróż pieszo. Tymczasem ich pościg trwał już cały księżyc i jak dotąd nie było

śladu, by zeszli na ląd. Od czasu do czasu natrafiali na odcisk stopy bądź ślady opróżniania kiszek, ale chwile te należały do rzadkości.

Lykos się śpieszy, pomyślał Maquin. Obawiam się, że wiosłują szybciej, niż my biegniemy. Każdej kolejnej nocy to on jest z nią, a nie ja. A gdy przypomnę sobie, co on jej zrobił...

Zmusił się, by zrobić przerwę.

Trzeba biec. Biec. Nie ma innego wyboru. Ta rzeka ma gdzieś swój koniec. Znajdę ich, a gdy do tego dojdzie, zabiję Lykosa.

* * *

Nie rozpalali ognia i jedynie nieco zamglony księżyc rozjaśniał mrok. Maquin usiadł przy brzegu rzeki, rozłamał suchara i zaczął go żuć, a jednocześnie przeprowadził swój wieczorny rytuał, polegający na sprawdzeniu obu krótkich mieczy i całego mnóstwa noży, naostrzeniu ich i naolejowaniu. Zabierało mu to sporo czasu.

Obok niego usiedli Alben, Alcyon oraz Tain. Olbrzym, który do pleców przytoczył dwie siekiery drwali, znalezione w obozowisku Gundula, podał synowi bukłak z wodą. Tain również był uzbrojony w topór, a do tego we włócznię, która miała masywne drzewce, szerokie, ciężkie ostrze oraz żelazny kolec na końcu.

– Porządna broń – skomentował Maquin.

– Dar od Balura Jednookiego – odparł z dumą Tain. – Wnet zanurzę ją we krwi naszych wrogów.

Alcyon mruknął z aprobatą.

– A więc pochodzisz z klanu Kurgan, a oni mieszkają w Arconie, tak? – Maquin zwrócił się do Alcyona.

– Tak – burknął olbrzym.

– Opowiedz mi o Arconie.

– To płaska kraina – rzekł olbrzym. – Kraina długich traw, łagodnych wzgórz i wielkich równin.

– Wiesz, dokąd zmierza Lykos? Gdzie jest ów Skarb?

– Cywen mówiła o wyspie zwanej Kletwą, leżącej na jeziorze. Znam to miejsce. Ta rzeka wypływa właśnie stamtąd. Byłem tam

dawno temu, jako chłopiec niewiele starszy od Taina.

Zmierzwił synowi włosy, a ten zrobił kwaśną minę.

Nie są wcale tak bardzo różni od nas, pomyślał Maquin. Oto młodzian, który chce być traktowany tak jak dorosły.

– Czyli byłeś tam tylko raz? – naciskał.

– Nie do końca, bo na wyspę nikt nie dociera. Powiedziano mi, że to miejsce jest przeklęte. Że mieszka tam wielkie zło i że nie wrócił nikt spośród tych, którzy się tam zapuścili.

Wzruszył ramionami i dodał:

– To miejsce, którym włada śmierć. Widziałem martwe ryby, unoszące się na wodzie i spływające rzekami. Widziałem martwe konie... Mnóstwo ich żyje w Arconie, całe stada kosmatych zwierząt, które ludzie przyuczają do jazdy.

– Czyli nikt z twoich rodaków nigdy się tam nie zapuścił? – spytał Alben. – Wygląda mi to na niezłe wyzwanie dla młodych.

– Tak. – Alcyon zachichotał. – Kilku próbowało. Ba, ja sam również. Udałem się tam z dwoma pobratymcami. Byliśmy młodzi, dumni i zadziorni. Moi przyjaciele zwali się Delg i Cota.

Pokiwał głową, a jego wąż drgnął, gdy się uśmiechnął.

– Przepełnęliśmy przez wody pełne zdechłych ryb i dotarliśmy na wyspę, ale coś skoczyło na nas ze skał. Uderzyłem się w głowę. Gdy się przebudziłem, leżałem na plaży, a po moich przyjaciółkach nie było nawet śladu. Wszędzie natomiast widziałem krew i wnętrzności. Wstyd przyznać, ale rzuciłem się do ucieczki i przebyłem biegiem trzydzieści mil. – Wzruszył ramionami.

– Nie miałem o tym pojęcia! – wykrzyknął Tain.

– Nie mów matce, że ci o tym opowiedziałem – ciągnął Alcyon. – Nikt już później się tam nie wybrał. W naszym klanie dzieci rzadko przychodziły na świat, a gdy wielu podrostków wymyka się na samobójczą misję, cóż, trzeba się o nich zatroszczyć. W swoim czasie wyspa zabrała wielu spośród moich pobratymców. Przynajmniej pół setki.

– Ile czasu może jeszcze zabrać droga do Arcony?

– Jakies dwanaście, może piętnaście nocy i znajdziemy się na pograniczu. O ile utrzymamy tempo – rzekł Alcyon i się skrzywił. –

O ile dobrze się orientuję. Upłynęło przecież sporo czasu.

Musimy zwiększyć tempo!, pomyślał Maquin.

– A co z twoim klanem? – spytał Alben. – Gdzie teraz przebywają? Może chcieliby nas wesprzeć, gdy opowiesz im o Ethlinn.

– Zrobiliby to na pewno, o ile ktokolwiek by żył – warknął Alcyon i wbił wzrok w pustkę.

– Calidus – odezwał się Tain, gdy jego ojciec zamilkł na dobre. – Napadł na nasze obozowisko z hordą Vin Thalun. Nasz klan dzielnie walczył, ale wrogów było zbyt wielu.

– Jak udało wam się przeżyć? – spytał Alben.

– Calidus potrzebował olbrzyma. – Alcyon wzruszył ramionami. – Szukał sługi, który pomoże mu w jego misji.

– A czemu wybrał ciebie? – spytał Maquin.

– Mój ojciec przewodził naszemu klanowi – odparł z dumą Tain. – Calidus zaś pojmał mnie i moją matkę dla pewności, gdyby czary, które rzucił na ojca, zawiodły.

– Mój syn i moja żona to ostatni z mojego klanu – szepnął Alcyon.

– Calidus musi zapłacić za wiele krzywd! – stwierdził Maquin.

– Lykos również – odparł Alcyon. – Poprowadził Vin Thalun do nocnego ataku na mój lud krótko po tym, jak został przywódcą ich wszystkich. Natarcie zakończyło się masakrą.

Ta wojna zaczęła się więc wiele lat wcześniej, niż sądziliśmy, pomyślał Maquin. Niebawem jednakże dobiegnie końca.

* * *

Nastał świt i Maquin znów biegł przez las. Upłynęło dziesięć dni od czasu, gdy Alcyon opowiedział im o swej przeszłości, ale Stary Wilk nie przestawał o tym myśleć. Kiedyś uważał olbrzymy za okrutnych, dzikich wrogów. Za nieludzkie bestie. Teraz jednakże powoli dochodził do innych wniosków.

Może kiedyś, gdy wojna dobiegnie końca, stara nienawiść zniknie, pomyślał. Może klany olbrzymów zjednoczą się i rozpoczną życie w pokoju z ludźmi.

Miał nadzieję, że się nie myli, ale nie miał teraz czasu ani sposobności, by móc się dłużej nad tym zastanawiać.

Najpierw muszę się zająć Fidele. I Lykosem.

Na falach rzeki ukazały się plamki piany. Maquin odniósł wrażenie, że ziemia pali mu się pod nogami.

Wciąż jest na tyle głęboka, by wiosłować, ale na tym odcinku będzie to trudniejsze, pomyślał. Co oznacza, że wreszcie nadrabiamy stracony dystans.

Okolo południa uświadomił sobie, że w lesie zrobiło się jaśniej. Drzewa wydawały się cieńsze, a przez korony przenikało więcej światła słonecznego.

Zbliżamy się do skraju puszczy!

Przyśpieszył.

Chwilę później wypadł z lasu i znalazł się na otwartej przestrzeni. Tu i ówdzie widział grupy drzew, ale między nimi ciągnęła się łąka. Niebo było błękitne i wolne od chmur i spoglądało na niego blade, zimne słońce. Teren przed nim wznosił się stromo, a wody rzeki, pieniać się, spływały po śliskich, czarnych kamieniach. Wszyscy zatrzymali się i spoglądali na kaskadę, przypominającą niewielki wodospad.

– Po czymś takim nie da się wiosłować! – zawołała Teca z drugiego brzegu, osłoniwszy usta dłońmi.

– Nie, raczej nie – mruknął Maquin.

Wkrótce odnaleźli ślady pozostawione przez kadłuby łodzi, ciągnięte po błocie, oraz ludzkie buty. Maquin wypatrywał wśród nich parę o wiele mniejszych od pozostałych, a jego serce zaczęło bić szybciej.

To ślady Fidele, pomyślał. To na pewno jej ślady.

Tropy wiodły po krętej, usłanej kamieniami ścieżce, prowadzącej w górę zbocza wzdłuż wartkiej rzeki. Maquin poczuł, jak przepełnia go nowa energia. Świadomość, że znalazł się o wiele bliżej, natchnęła go nadzieją. Wściekłość w jego sercu ścierała się z lękiem przed tym, co może zastać, gdy w końcu dopadnie Lykosa.

Dotarł na górę jako pierwszy, w chwili, gdy słońce za jego plecami zachodziło już nad Fornem. Na moment zapomniał o reszcie,

z sapaniem pnącej się za nim. Wdrapał się na granitowy głaz nad brzegiem rzeki i spojrzął na krainę zwaną Arconą.

Rozpościerał się przed nim ocean falujących traw. Łagodne wzgórza ciągnęły się daleko aż po horyzont, smagane zimnym wiatrem. Zielony krajobraz przecinała czarna linia rzeki. Powiódł wzrokiem wzdłuż niej, aż dostrzegł w oddali jezioro, wyglądające jak ciemna plama. Na samym jego środku widniała wyspa, pokryta lasem i skałami.

Na rzece niedaleko jeziora Maquin dostrzegł pięć ciemniejszych punktów, wolno zbliżających się do jego wód.

Idę po ciebie, Lykosie, pomyślał.

Rozdział siedemdziesiąty dziewiąty

CORBAN

Corban stał na skraju urwiska. Nad jego głową kotłowały się oleście czarne chmury, spowijające szczyt. Wszeptał jedno słowo:

– Meical.

Wiatr szarpał go za włosy i za płaszcz. W dole widział doliny i równiny, rzeki i jeziora, ale wszystko pozbawione kolorów, namalowane w odcieniach szarości. W oddali wznosiła się wysoka góra, wokół której uwijały się ciemne kształty przywodzące na myśl wrony lub nietoperze. Było ich tyle, że Corban miał wrażenie, jakby spoglądał na ciemną aureolę.

To na pewno nie ptaki. Patrzą na Kadoshim, pomyślał.

Zaszumiało, po czym ktoś miękko opadł na ziemię.

– Bo to są Kadoshim – rzekł Meical.

Towarzyszyło mu dwóch innych Ben-Elim, którzy mieli białopióre skrzydła i błyszczące kolczugi.

– Wyglądasz lepiej niż podczas naszego ostatniego spotkania – powiedział Corban.

Meical w istocie wydawał się silniejszy, a po czerwonej ranie na jego szyi została jedynie cienka, srebrna szrama. Miał na sobie łuskowaną zbroję, a w ręku trzymał długą włócznię. U pasa nosił nóż, a czarne włosy związał srebrnym drutem. Wyglądał jak bóg, ale Corban myślał jedynie o kłamstwach i łzach.

– Usłyszałem twe wezwanie – rzekł Meical zatroskanym głosem. – Co tu robisz?

– Obserwuję poczynania wrogów.

– Cieszę się, że tu przybyłeś. Od dawna pragnę znów z tobą porozmawiać.

Corban spojrział na niego. Gniew znów się przebudził, ale przygasł, zastąpiony czymś innym.

– Nienawidziłem cię – powiedział ze smutkiem.

– I nadal tak jest? – Meical wpatrywał się w niego oczami o fioletowym odcieniu.

– Nie. – Corban wzruszył ramionami. – Teraz, gdy myślę o tobie, najczęściej nachodzi mnie żal.

– Przykro mi – szepnął Meical, a dwaj Ben-Elim za jego plecami zeszywnieli.

– Wiem – odparł Corban. – O czym chciałeś ze mną rozmawiać?

– Odnalazłeś swoich przyjaciół?

– Niektórych. Tych, którzy nadal żyją.

– I nadal walczysz z Calidusem. Jak ci idzie?

– A po co miałbym ci o tym mówić? – Corban zmarszczył brwi.

– Ponieważ, bez względu na to, co nas dzieli, mamy wspólnego wroga. Obaj chcemy tego samego.

– Doprawdy? – zdziwił się Corban. – Nie, chyba jednak nie.

– Chcemy, by przetrwało wszystko, co zostało stworzone przez Elyona, a Asroth został zniszczony – stwierdził Meical, wpatrzony w szczyt, wokół którego tańczyły demony.

– Nie, ja chcę, by moim bliskim nic się nie stało. By moi rodzice zostali pomszczeni. By wszyscy mieszkańcy Ziemi Wygnanych byli bezpieczni – rzekł Corban. – Nie trzeba niszczyć Asrotha, by osiągnąć ten cel. Calidus i Nathair... Cóż, to całkiem inna sprawa.

Meical spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Asroth stoi za wszelkim złem, które na ciebie spadło – rzekł.

– Nie za każdym – odparł Corban. – Ale rozumiem, co chcesz powiedzieć. Wiele zła to jego dzieło i Asroth jest naszym wspólnym wrogiem.

– Nadal możemy walczyć z nim razem.

– To trudne w sytuacji, gdy już ci nie ufam – odparł Corban.

Nie przemawiała przez niego złość ani zawiść. Mówił to, co podpowiadało mu serce, i ze zdziwieniem zauważył, że jego słowa

zadały Meicalowi większy ból, niż uczyniłby to wybuch wściekłości.

– Przysięgam, że już cię nie oszukam!

Corban pokiwał głową.

– Zaufanie należy budować.

– Tak – odparł Meical. – O nic innego nie proszę.

– Czemu ich po prostu nie zaatakujecie?

– My... Cóż, podejmujemy różne działania – powiedział Meical. – Zauważyłeś pewnie Ben-Elim szykujących się do wojny podczas swej ostatniej wizyty.

Corban przypomniał sobie szcęk oręza odbijający się od murów wysokogórskiej fortecy. Przypomniał sobie tysiące skrzydlatych wojowników ćwiczących walkę mieczem i włócznią. Pokiwał głową.

– Ale Asroth jest tu dobrze chroniony. Przez wiele wieków wzmacniał obronę szczytów Ufernolu.

– Wszystko jest zawsze bardziej skomplikowane, niż się wydaje – zauważył Corban.

– Prawda! – parsknął Meical, a przez jego usta przemknął cień uśmiechu. – Tęskniłem za tobą, Corbanie, i za towarzystwem twoich pobratymców. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak bardzo się do was przywiązałem.

Spojrzał uważnie na Corbana i spytał:

– Czy Calidus zgromadził wszystkie Skarby?

Młodzieniec milczał przez moment.

– Nie, jeszcze nie – oznajmił w końcu.

– Są dla was niezwykle istotne – rzekł Meical.

– Doszliśmy do tego samego wniosku – zgodził się Corban.

– Powinniście pozwolić, bym wam pomógł. Przynajmniej mogę wam służyć dobrą radą.

Corban zmarszczył brwi.

– Brina mi doradza. Co więcej, mamy już plan działania.

– Asroth zamierza przybrać formę cielesną. – Ton głosu Meicala zmienił się i Ben-Elim przemawiał teraz z większym naciskiem. – Dajcie sobie pomóc.

– By do tego doszło, Calidus musi zgromadzić wszystkie Skarby.

– Ale ich nie da się przed nim ukryć! – rzekł Meical. – Kiedyś znajdzie je wszystkie, nawet jeśli miałyby to potrwać wiele lat. On ma niewyczerpane siły. Mógłbym wam pomóc w poszukiwaniach...

– Myślę, że wszystkie zostały już znalezione – rzekł Corban. – Rhin ma kielich i naszyjnik, losy torkwesu właśnie się ważą, a sztylet...

Urwał, nagle przeświadczony, że powiedział za dużo.

– Co ze sztyletem? – spytał Meical. – Macie go?

– Powiedziałem ci już, że ułożyliśmy plan – rzekł Corban.

– Nie chcesz chyba zniszczyć Skarbów? – spytał Meical, a w jego oczach błysnęło przerażenie.

Corban wbił wzrok w odległą górę, a potem przeniósł spojrzenie na Ben-Elim.

– Powiedziałeś mi kiedyś, że nie da się ich zniszczyć.

– Nie da się, chyba że zbierzesz je w jednym miejscu... – Meical zmrużył oczy. – Musisz opowiedzieć mi o swoim planie!

– Tak jak ty opowiedziałeś mi o swoim? – spytał Corban.

Jeden z przybocznych Meicala warknął, przypadł do młodzieńca i złapał go za koszulę i kaftan.

– A kim ty jesteś, by kwestionować Ben-Elim, ty głupi śmiertelniku? – wysyczał i poderwał Corbana z ziemi. Jego stopy zawisły nad przepaścią. – Jesteśmy Zrodzonymi z Mocy, Pierworodnymi, Strażnikami i Obserwatorami! Jesteśmy nieśmiertelni, a ty...

Ben-Elim parsknął wściekle, złapał Corbana za podbródek i obrócił jego głowę ku chmarom Kadoshim na horyzoncie.

– Widzisz ich? Oni są gotowi wziąć twój świat szturmem! Tylko czekają, by zacząć pożerać wasze ciała, ogryzać wam kości i zabarwić czerwienią wodę rzek i oceanów. Raz już byliśmy tego świadkiem i przeraziło nas to, choć była to zaledwie namiastka ich możliwości. Elyon zdołał ich powstrzymać, ale tym razem już go nie będzie.

– Zabieraj łapy! – Corban odwzajemnił spojrzenie Ben-Elim, a nienawiść w jego oczach przebiła tysiącokrotność tę, którą okazał mu podwładny Meicala, syczący teraz z furją.

Meical złapał go za nadgarstek.

– Wypuść go, Adrielu – rozkazał.

Adriel wytrzymał spojrzenie Corbana jeszcze chwilę, a potem cisnął go na półkę skalną, na której stali. Młodzieniec przetoczył się i uderzył w skałę. Podniósł się powoli. Adriel szedł ku niemu, na co Corban pochwycił za miecz.

– Masz zrobić to, co Meical ci każe! – warknął Ben-Elim. Jego oczy lśniły gniewem. – Tylko wtedy będziemy mogli mieć nadzieję...

– Dość tego! – huknął Meical, a jego głos uderzył w młodzieńca niczym północny wiatr. – Wracaj do swego świata cielesnego, Corbanie. Niebawem znów się spotkamy.

Zaczął szeptać, a świat dookoła rozmazał się. Młodzieniec zdążył jeszcze usłyszeć głosy dwóch Ben-Elim, pogrążonych we wściekłej kłótni, a potem wszystko ucichło.

* * *

Corban przebudził się oszołomiony i odurzony. Myślamy nadal przebywał w Zaświecie i wciąż miał przed oczami przepaść pod swoimi stopami. Usiadł z jękiem. W głowie rozbrzmiewały mu słowa Meicala.

Muszę opowiedzieć o wszystkim Brinie, pomyślał.

Przeciągnął się, zarzucił pas z mieczem na ramię i ruszył przez obóz w stronę strumienia.

Ludzie krzatali się, nosili drewno, gotowali wodę. Wszędzie dookoła widział setki metodycznie wykonywanych czynności. Opryskał sobie twarz zimną wodą, a po plecach spłynęły mu dreszcze.

Robi się coraz zimniej, pomyślał, patrząc na nagie, czarne gałęzie i prześwitujące między nimi szare niebo. Wszak mamy już Księżyc Łowcy. Jeszcze trochę i nadejdzie zima.

Przez moment tupał w miejscu, by rozgrzać stopy, czemu towarzyszył chrzęst miazdżonych liści. Za jego plecami rozległy się kroki.

– Wiem, że łączy nas przyjaźń – powiedział Corban. – Ale nie musisz śledzić mnie na każdym kroku.

– Mam inne zdanie na ten temat – odparł Farrell. – Na wypadek, gdybyś zapomniał, jestem twoim przybocznym i poważnie traktuję swoje obowiązki. Nie mogę pozwolić na to, byś poszedł sobie gdzieś w dal i znowu został porwany przez olbrzymy. Nie zniósłbym już takiego biegu. – Zadygotał na samo wspomnienie. – A poza tym, skoro Datha tu nie ma, cała wina spadłaby na mnie. Nigdy by nie pozwolił, bym mu się wytłumaczył.

Corban prysnął na niego wodą.

– Dobrze już, dobrze. Chodźmy więc.

W obozie panowała już gorączkowa krzątanina. Corban czuł zapachy gotowanego jedzenia i słyszał szum miechów oraz walenie młotów dobiegające z kuźni. Jehar zbierali się na taniec miecza, a Gar gestem przywołał go, by do nich dołączył. Tam, gdzie Veradis szkolił swój mur tarcz, rozlegały się ostre rozkazy i łoskot zwierających się osłon. Corban zauważył, z jaką płynnością jego podwładni przechodzą z jednego ustawienia w kolejne. W jednej chwili dodatkowe tarcze osłaniały flanki, w drugiej unosiły się, by bronić głowy przed ulewą strzał, a w trzeciej cały oddział ruszał naprzód krokiem marszowym.

– To naprawdę robi wrażenie – stwierdził Corban, a Farrell burknął z niechętną aprobatą.

W innej części obozu Wulf szkolił swoich wojowników w ciskaniu toporami, które z donośnym łoskotem wbijały się w drewno. Towarzyszyła im Laith, która rzucała sztyletami. Uśmiechnęła się szeroko do Farrella.

– Wy jesteście razem? – Corban uniósł brew.

– Ano jesteśmy. – Farrell się uśmiechnął. – Kto by pomyślał, co?

Corban poklepał go po plecach.

– Wiesz co? – odezwał się Farrell, rozglądając się po obozie. – Myślę, że jesteśmy już armią, z którą należy się liczyć.

– I nie mylisz się – odparł Corban. Choć jest nas za mało. O wiele za mało, dodał w myślach.

Gar przywoływał go energicznymi gestami.

– Czy ja doczekam kiedyś chwili spokoju? – mruknął Corban, choć bez przekonania, bo uwielbiał taniec miecza.

Gdy szedł w stronę Gara, usłyszał znajome człapanie Burzy, której towarzyszyła reszta szczeniąt. Wilkunica przypadła do niego i naparła łbem na jego pierś, a on pociągnął ją za ucho.

– Co tam przyniosłaś, mała? – spytał i spojrzał na rzemień, zawieszony na szyi Burzy.

Przymocowano do niego zwój pergaminu. Rozłożył go i natychmiast rozpoznał zamaszyste pismo Coralen. Gdy uniósł głowę, ujrzał Veradisa, Gara, Brinę, Balura i Ethlinn.

– Za niecałe trzy tygodnie hufce Nathaira i Lothara staną pod bramami Drassil – rzekł i wyduł policzki. – Musimy niebawem wykonać jakiś ruch.

Spojrzał na Veradisa, który rzekł:

– Wnet będą gotowi. Potem będziemy potrzebowali kilka dni na dalsze ćwiczenia.

– Choć nie sądzę, by potrwało to aż tak długo – stwierdziła Ethlinn. – Przypuszczam, że Balur i pozostali szybko wezmą się do roboty.

Z północnego skraju obozowiska dobiegło jakieś zamieszanie. Spomiędzy drzew wyszedł Akar na czele kilku Jehar. Zewsząd dołączali doń kolejni.

Czemu aż tylu?, zastanawiał się Corban.

Gdzieś za nimi rozległ się odgłos pękających z trzaskiem gałęzi i naraz z zarośli wyłonił się ogromny niedźwiedź, którego ze spokojem dosiadała olbrzymka. Akar i jego ludzie otaczali go ze wszystkich stron, zachowując wielką czujność, a głowa niedźwiedzia obracała się to w jedną, to w drugą stronę. Zwierzę co rusz unosiło wargę w pogardliwym warknięciu.

Na twarzy olbrzymki malowała się podobna mina. Jasne włosy miała splecione w gruby warkocz, a po jej ramieniu spływał kolczasty tatuaż. Znad barków wystawała rękojeść długiego miecza.

– Moi zwiadowcy natknęli się na nią niedaleko drogi Jaela – zameldował Akar. – Twierdzi, że cię zna.

– Tak. Uratowała mi życie – powiedział Corban. – Miło cię ujrzeć, Sig – dodał, gdy niedźwiedź zatrzymał się przed nim. Przesunął nieco pas z mieczem, by sztylet z gwiazdowego kamienia znalazł się za plecami.

Burza natychmiast zjawiała się u jego boku, a w jej piersi narastał głuchy warkot. Za nią parskwały i warczały szczenięta, choć niedźwiedź całkowicie je ignorował.

Sig rozejrzała się dookoła. Jej spojrzenie zawisło na olbrzymach, a zwłaszcza na Balurze i Ethlinn, po czym znów spojrzała na Corbana.

– Oto Sig z klanu Jotun, pierwszy miecz Elda – oznajmił głośno Corban.

– Cieszę się, że cię widzę – rzekł Balur.

Sig spojrzała na niego z góry.

– Wiem, kim jesteś, Balurze Jednooki, zabójco Skalda. A ty, jak sądzę, jesteś Ethlinn, nasienie Balura i Nemain.

– Tak, to ja. – Ethlinn uniosła wysoko podbródek. – I raduję się, że wreszcie nastał dzień, kiedy mogę spotkać jednego z potężnych Jotun. Jesteś tu mile widziana.

Sig zmierzyła ją kamiennym spojrzeniem, a potem przeniosła wzrok na Corbana.

– Mam coś dla ciebie, Corbanie Zabójco Niedźwiedzi – powiedziała i odpięła obwiązane futrem zawiniątko, przytroczone do siodła. Spadło na ziemię z głośnym chrzęstem.

Corban uklęknął, by zajrzeć do środka, i zobaczył przedziwne połączenie kolczugi ze skórzanymi paskami i żelaznymi sprzączkami.

– To dar od Varana dla twojej wilkunicy – powiedziała Sig.

Corban musnął palcami żelazne ogniwa i kunsztownie obrobioną skórę, ozdobioną runami i zawijasami.

– To zaiste wspaniały dar – rzekł z podziwem, spoglądając na olbrzymkę.

– Przekażę mu więc wyrazy twojej wdzięczności – powiedziała Sig. Szepnęła coś do niedźwiedzia i pociągnęła lekko za wodze, a zwierzę natychmiast zawróciło.

– Zaczekaj! – zawołał Corban. – Zostań! Zjedz coś z nami! Daj się ugościć!

Sig zignorowała go. Jej niedźwiedź z trzaskiem tratowanych zarośli znikł między drzewami. Corban spojrział na przyjaciół oraz dowódców, potem na pancierz, a na końcu na Burzę.

– Wygląda na to, mała, że będziesz się nieźle prezentować, gdy ruszymy na wojnę.

Rozdział osiemdziesiąty

UTHAS

Uthas biegł rączym kłusem przez łąki, czując podmuchy zimnego wiatru z północy. Wiedział, że jest w stanie utrzymać to tempo przez wiele dni, choć jeszcze nie tak dawno miały z tym ogromny problem.

Napiłem się z kielicha z gwiazdnego kamienia, myślał z zachwytem, nie mogąc się nacieszyć siłą i energią, która krążyła w jego żyłach, woniami i dźwiękami, które dopominały się o jego uwagę, a także wiedzą, iż będzie mógł żyć przez kolejne tysiąc lat bądź dłużej.

O ile zdołam uniknąć śmierci na ostrzu żelaza.

Obok niego biegł Salach, a za nim Eisa i pozostałych pięćdziesiąt olbrzymów Benothi. Towarzyszyli ogromnej armii – Uthas nie przypominał sobie, by od czasów Wielkich Wojen widział równie duże skupiska zbrojnych. Rhin zgromadziła ponad pięć tysięcy konnych wojowników, którzy pędzili teraz wśród łagodnych, porośniętych łąkami wzgórz Isiltiru. Ku niebu bił łomot tysięcy kopyt, przywodzący na myśl grzmot piorunów.

Dun Kellen, gdzie zatrzymali się, by uzupełnić zapasy, już dawno znikło za ich plecami. Zmierzali teraz na północny wschód, a zimny wiatr, który niczym pięść uderzał w twarz Uthasa, zwiastował bliskość Pustkowia. Na wschodzie ciągnęła się bezkresna zieleń Fornu, potężniejszego z każdą przebytą milą. Mogli w zasadzie już wniknąć do lasu i zmierzać w kierunku Drassil, ale Calidus zarządził, by wybrali inną drogę. Chciał, by przeszli przez Pustkowie

i odwiedzili miejsce zwane osadą Gramma, a tam rozejrzeli się w poszukiwaniu Jotun.

W oddali pojawiło się wzgórze. Obwodzące je kamienne mury połyskiwały w chłodnym słońcu.

* * *

– To robota olbrzymów – oznajmił Salach, gdy wraz z Uthasem przeszli pod łukiem kamiennej bramy na dziedziniec osady Gramma. Przed sobą widzieli niedokończoną twierdzę z kamienia i drewna.

– Pusto tu! – zawołała Eisa, która pojawiła się po drugiej stronie dziedzińca.

Inni zwiadowcy potwierdzili jej słowa.

– Ale nada się na nocleg – oznajmiła Rhin, która przejechała przez bramę w ślad za Uthasem. Jej armia rozlała się po zboczach wzgórza i okolicznych łąkach.

Uthas kroczył po opustoszałej osadzie. Wszędzie widział ślady świadczące o tym, że jeszcze niedawno to miejsce było zasiedlone. Salach wezwał go do wielkiej budowli, która okazała się być stajnią, podzieloną na wiele wysłanych sianem i słomą zagród. Uthas zmarszczył nos, czując smród.

– Nie trzymali tu koni – stwierdził Salach, którzy grzebał końcem topora w sianie, aż odsłonił kupę łajna. – Mieszkające tu zwierzęta były mięsożerne.

– A więc niedźwiedzie – stwierdził Uthas i spojrzał na przybocznego.

– Jotun – powiedzieli równocześnie.

Uthas wezwał swój klan i rozesłał podwładnych na poszukiwanie jakichkolwiek wskazówek, dokąd Jotun mogli się udać. Sam poszedł z Salachem i Eisą na szczyt wzgórza, z którego ujrzał wielką, zakręcającą rzekę i wzniesiony nad nią kamienny most. Z mostu zbiegała droga, która nikła na jałowym, kamienistym terenie.

– Pustkowie – szepnął i obrócił w palcach kiel żmija, osadzony w jego naszyjniku.

Salach i Eisa wpatrywali się w dal bez słowa.

Przeszli przez most, a po drugiej stronie odkryli ślady wielkiej wędrówki – liczne koleiny, ślady butów oraz ogromnych łąp prowadzących w głąb Pustkowie. Zatrzymali się po kilku krokach.

– A więc odeszli tędy – stwierdził Salach. – Nie ma co do tego dwóch zdań.

– Tak. Pytanie brzmi, co tu się wydarzyło? Dlaczego tu przybyli, a potem się wycofali?

Zawrócili do sali biesiadnej, po drodze wysłuchując raportów innych zwiadowców. Uthas wszedł do środka. Od rozstępujących się przed nim wojowników w czerni i złocie dowiedział się, że Rhin czeka na niego w komnacie na tyłach.

Komnata nie została wykończona – zamiast sufitu ujrzał jedynie krzyżujące się poczerniałe belki – ale królowej to nie przeszkadzało. Siedziała pochylona nad ramą, na którą naciągnięto zdartą skórę. W żelaznej misie trzaskały płomienie, które rozsyłały cienie na wszystkie strony, a skóra wyginała się i wybrzuszała w pokrętnej parodii życia. Zarówno ożywiona mocą czarów twarz, jak i sama Rhin spojrzeli na Uthasa, gdy wszedł do środka. W czerwonych oczach maski zaiskrzył spryt.

Calidus, pomyślał olbrzym.

– Jakie macie wieści? – zasyczała skóra.

– Jotun tu byli – oznajmił olbrzym. – Przypuszczam, że to oni to wszystko zbudowali – zatoczył krąg ręką – ale potem się wynieśli. Natrafiliśmy na ich ślady, prowadzące z powrotem na Pustkowie. Nie mam pojęcia, co ich do tego skłoniło – zakończył, wzruszając ramionami.

Zdarta skóra zakłęła.

– Jakie masz dla mnie rozkazy? – spytała Rhin.

– Poślij zwiadowców w ślad za Jotun. Niech ich wytropią, ale na razie nie róbcie nic więcej. Przybądźcie do mnie jak najszybciej. Kielich i naszyjnik muszą się znaleźć w Drassil. Muszą być bezpieczne! Co więcej, przypuszczam, że nasi wrogowie szykują się

do bitwy. Głupcy! Potrzeba mi waszych mieczy. Po rozprawieniu się z nimi osobiście udam się do Jotun. Jael zbudował wielką drogę, która wdziera się daleko w Forn i dochodzi do fortecy. Udajcie się na wschód, a na pewno na nią traficie. Gdy wejdziecie w puszcze, wyśle kilku Kadoshim, by was poprowadzili.

– Ile dni drogi dzieli nas od Drassil? – spytała Rhin.

– Księżyc, o ile nie będziecie się ociążać. To dobra droga.

Potem skóra padła i zwiśla bezwładnie w ramie. Przepelniająca ją parodia życia wyparowała. Rhin wbiła wzrok w płomień w żelaznej misie.

– Jeden księżyc – szepnęła.

Uthas wiedział, o czym myślała. Od spotkania twarzą w twarz z Calidusem dzielił ją tylko jeden księżyc, a wtedy ich przywódca dowiódł się, że straciła naszyjnik z gwiazdowego kamienia.

* * *

Uthas i jego Benothi byli gotowi wyruszyć w drogę o świcie, ale hufiec Rhin nie zdążył się jeszcze wyszykować. Wyglądało na to, że pięć tysięcy zbrojnych potrzebuje sporo czasu, by się posilić i zwinąć obóz. Nad łąkami i wzgórzami unosił się szcęk oręża, rżenie koni oraz tupot ich kopyt, pokrzykiwania i obelgi. Uthas stał zaś na szczycie wzgórza, otoczonego zewsząd niedokończonymi fortyfikacjami, i wpatrywał się w Forn. Świat wydawał mu się nowy, świeży, omiatany podmuchami ostrego wiatru. Niebo zasnuły szare chmury, rozdęte od deszczu. Czuł na swoich barkach ciężar przeznaczenia. Miał wrażenie, że znalazł się na krawędzi przepaści. Wystarczyło pół kroku, by runął w dół, w głąbię, z której nie było powrotu.

Czuł strach.

Ale przecież tego pragnąłem, pomyślał. Wypełniłem obietnicę złożoną Asrothowi. Odnalazłem kielich i naszyjnik, bez względu na to, co Rhin później z nim zrobiła. Zrobiłem to, co do mnie należało, a w zamian zostanę władcą wszystkich olbrzymów. Ich królem.

Ta myśl przepełniła go radością. Spojrzał na południe i w myślach ponaglił oddział Rhin.

Chętnie ruszyłbym już w drogę.

Daleko na południowym horyzoncie, za plecami szykujących się do wymarszu żołnierzy ujrzał samotnego jeźdźca, gnającego ku nim po twardej, ubitej ziemi. U jego boku mknął pies.

Był to Rafe.

* * *

Odziana w futro z soboli Rhin dosiadła swej szarej klaczy i wyjechała mu naprzeciw w asyście Conalla i Gerainta. Uthas ruszył ku nim. Spotkali się na łące za wzgórzem.

– Co ty tu robisz? – spytała Rhin napiętym głosem, w którym pobrzmiwało lekkie drżenie.

Nie tak się wita kochanków, pomyślał Uthas.

– Przynoszę wieści – oznajmił Rafe. Jego zlany potem koń oddychał ciężko, a wokół chrapów unosiły się kłęby pary. – Ważne wieści.

– Co takiego się stało? – warknęła Rhin.

Rafe ześlizgnął się z siodła i padł przed nią na kolana z opuszczoną głową.

To zły znak, pomyślał Uthas.

– Morcant nie żyje. Ardan wpadł w ręce Edany.

Usta Rhin drgnęły. Z jej twarzy odpłynęły wszelkie kolory.

– A co z naszymi? – W głosie królowej pobrzmiwał zarówno jad, jak i strach.

– Edana wciąż go ma, moja pani.

– A więc co tu jeszcze robisz? – parsknęła Rhin. – I lepiej przemyśl swoją odpowiedź, jeśli nie chcesz stracić głowy!

– Edana zmierza do Drassil! Wiezie naszymi ze sobą!

– Skąd to wiesz?

– Słyszałem, jak sama to mówi, moja pani! Na murach Dun Carreg. Rafe odwrócił głowę i oblizał usta.

– Chciałem uciekać – szepnął. – Chciałem pędzić najdalej jak się da, gdzie mnie nogi poniosą, ale nie mogłem się na to zdobyć. Nie podołałem zadaniu, z którym mnie wysłałaś, ale nadal chcę ci służyć, jeśli mnie nie odtrącisz.

Spojrzał na nią.

– A więc zakradłem się pod Dun Carreg, gdzie usłyszałem, jak Edana przedstawia swój plan przybocznym.

Rhin wpatrywała się w niego. Jej twarz przypominała zimną maskę.

– Na jakiś czas zachowasz jeszcze głowę – powiedziała. – Pojedziesz ze mną i opowiesz mi coś więcej o tych planach.

Rozdział osiemdziesiąty pierwszy

CORBAN

Corban wymknął się spod opadającego miecza Gara, ale Jehar nie dał mu ani sekundy wytchnienia. Przypadł doń zwinnie i zmusił go do zablokowania kombinacji aż czterech ciosów, wymierzonych kolejno w jego czaszkę, oko, gardło i pierś. Wiązanek zwieńczył zamaszystym cięciem, który odrąbałby Corbanowi nogę na wysokości kolana, a potem pchnął go w brzuch. Młodzieniec sparował cios i przeszedł do kontrataku. Uderzał wysoko i nisko, spychając Gara do tyłu, w kierunku wijącego się korzenia, wystającego z ziemi. Jehar w ostatniej chwili uskoczył zręcznie i w zwinnym półobrocie przeniósł się na lewą flankę Corbana. Młodzieniec zachwiał się i odbił poziomy cios, wymierzony w jego talię. Obrócił nadgarstek, by pchnąć przeciwnika w pachę, ale ten jakimś cudem uniknął jego miecza.

Potem cofnął się i skinął głową. Był to wyraz największego uznania, jaki Corban u niego widział do tej pory.

Wszędzie wokół wirowały postacie ćwiczących ludzi i olbrzymów, ale Corban skupił swą uwagę jedynie na Garze oraz jego mieczu.

Jehar ruszył do ponownego ataku i zarzucił młodzieńca nawałą ciosów. Rąbał, pchał, wirował, atakował, robił zwody i wypady, ale Corban blokował każde uderzenie i powoli przechodził do kontrataku. Przeprowadził kombinację ciosów, przy której zauważył krótką niczym uderzenie serca chwilę wahania u Gara. Wykorzystał ją i wykonał błyskawiczne pchnięcie w brzuch przeciwnika. Ten

próbował się uchylić, ale drewniane ostrze Corbana i tak wbiło się w jego ciało nieco powyżej biodra.

Corban był tak zaskoczony tym, że udało mu się dotknąć Gara, że zamarł i uśmiechnął się głupkowato.

– Chyba właśnie cię zabiłem! – oznajmił.

– Być może – burknął Gar. – A może nie, jeśli nie udało ci się przebić mi jelit.

Spojrzał na drewniany miecz Corbana, którego tępy koniec nadal napierał na jego ciało.

– Myślę, że chyba jednak chybiłeś. Odrobinę, ale mimo wszystko chybiłeś. Może byś je drasnął, przez co umarłbym w cierpieniach i wrzaskach jakieś dziesięć dni później.

Spojrzał na młodzieńca i uśmiechnął się bez wesołości.

– Ty jednakże jesteś martwy już teraz.

– Co? – Dopiero teraz Corban uświadomił sobie, że miecz Gara opiera się o jego gardło i dotyka arterii.

– Ale ja zabiłem cię jako pierwszy – zaprotestował.

– Nie. Zadałeś mi ranę, która być może ściągnęłaby na mnie śmierć za jakiś czas, a być może wcale.

– Czyli pozwoliłeś, bym cię pchnął, byś sam zadał mi groźniejszy cios?

– Tak – odparł Gar i uśmiechnął się, co było niepokojące samo w sobie. – Czasem trzeba samemu oberwać, by móc celnie uderzyć.

Wyprostował się i odepchnął drewnianą klingę Corbana.

– Niezły cios – dodał. – Przebyłeś daleką drogę, Corbanie. Dotarłeś do miejsca, w którym muszę ryzykować śmiercią, by cię zabić.

I odszedł, a młodzieniec, wciąż rozpamiętując jego słowa, ruszył w ślad za nim. Przeszedł między ćwiczącymi zbrojnymi i dotarł do ich nowego obozowiska. Przenieśli się na południe i rozłożyli bliżej nadciągających hufców Nathaira i Lothara. Ostatni księżyc wypełniły im w całości wypady na wroga, z dnia na dzień coraz bardziej desperackie. Wielu ludzi przeciwnika padło, a ich postępy zwolniły, ale prace nadal trwały. Nie było wątpliwości, że niebawem dotrą do Drassil.

Wkrótce będziemy musieli przeprowadzić frontalne uderzenie, myślał Corban. Trzeba spróbować ich rozbić, nim połączą się z Calidusem, bez względu na to, czy fortel Veradisa będzie gotowy, czy nie.

Zeszłej nocy do obozu powrócił Dath wraz z wojownikami, którzy zakończyli swą turę nękania wroga, i opowiedział im o planie, obmyślonym przez Coralen. Corban aż się wzdrygnął na samo wspomnienie. Dostrzegał w nim wielki potencjał, ale mimo wszystko...

Zauważył Brinę i skierował się ku niej.

– Brino, chciałem zasięgnąć twej rady w kwestii pomysłu Coralen...

Przerwał mu łopot skrzydeł, a potem chrapliwe krakanie kruka, dobiegające z wysoka. Corban i Brina spojrzeli w górę i ujrzeli ptaka, który kołując, opadał ku drzewom, kracząc z coraz większym podnieceniem.

– Czy to... – zawahał się młodzieniec.

– To niemożliwe! – szepnęła Brina.

A wtedy ptak zatrzepotał skrzydłami, by spowolnić opadanie, i skierował się prosto ku nim.

– Brina! – darł się. – Corban! Brina! Corban! Brina! Corban!

Nie przestając radośnie krakać, wylądował na ramieniu uzdrowicielki. Przeskakiwał z nogi na nogę, trzepotał skrzydłami, muskał dziobem włosy staruszki i pocierał ją łebkiem. Corban uśmiechał się ze wzruszeniem, a Brina mrugała, by pozbyć się łez.

– Gdzieś ty się podziewał, głupi kruku? – zapytała w końcu.

– Edana! – zakrakał Craf. – Edana nadęta! Władcza! Craf, zrób to, Craf, znajdź tamto, Craf, leć tam!

Corban i Brina spoglądali na siebie z niedowierzaniem.

– Jak ty nas znalazłeś, niezwykły ptaku? – spytał Corban, drapiąc Crafa po zmierzwionych piórkach na karku.

– Craf mądry! – oznajmił ten z oburzeniem. – Craf szukał Drassil! Znalazł was!

W międzyczasie zgromadził się wokół nich spory tłum. Przyszedł Veradis, przybył Balur, a po nich wielu innych. Przybiegła też

Cywen.

– Craf! – zawołała. – Witaj z powrotem! Przybywasz od Edany?

– Ach, Edana! – westchnął kruk. – Wiadomość! Wiadomość!

– Masz wiadomość od Edany? Czemu od tego nie zacząłeś, głupi ptaku! – zbeształa go Brina, ale z jej ust nie zniknął uśmiech.

Craf przeskoczył na ramię Corbana, na co uzdrowicielka zareagowała niechętnym grymasem.

– Edana idzie – oznajmił ptak.

– Gdzie idzie? Tutaj?

– Tak, to właśnie Craf mówi. Tutaj. Hufiec. Dwa tysiące ludzi.

Naraz wybuchł zgiełk, gdy wszyscy dookoła jednocześnie próbowali wyciągnąć z Crafa jak najwięcej informacji, ale Corban wyłowił to, co było dla niego najważniejsze. Edana stoczyła wielką bitwę i odzyskała władzę nad Ardanem, a teraz szła na czele swego wojska w stronę Drassil. Niestety, wyglądało na to, że Rhin zmierzała w tym samym kierunku.

– Trzeba ją poprowadzić! – powiedział Veradis. – Pokazać jej najkrótszą drogę. Przyda nam się dwa tysiące mieczy!

– Prawda – zgodził się Corban.

– Najkrótsza droga prowadzi przez Brikan – ciągnął Veradis. – To wieża w południowo-zachodniej części Fornu – dodał, widząc zmarszczone brwi Corbana.

– Craf zna Brikan – odezwał się ptak. – Leciał nad Brikan. Przy rzece. Kamienny most.

– O, o tym właśnie mówię – stwierdził Veradis z ulgą.

– Przekaż Edanie, by się tam udała – polecił Corban Crafowi. – Wyślemy do niej przewodnika. Niedaleko zaczyna się droga, a na jej końcu jest tunel.

– Tunel! – Craf zadrżał tak gwałtownie, że wypadło mu pióro.

– Sam nie musisz tam włączyć! Pokaż tylko drogę Edanie!

Rozdział osiemdziesiąty drugi

FIDELE

– Wyłaż z łodzi – rzekł Lykos do Fidele i przeciął dwie liny: tę, którą przywiązano ją do ławek, oraz tę, którą skrępowano jej kostki.

Z więzami pozostałymi jedynie na nadgarstkach wstała i wygramoliła się na brzeg.

Stali na kamienistej plaży, na porośniętej zielenią wyspie. Fidele widziała wokół falujące trawy, karłowate drzewa i czarne skały, a za sobą wody jeziora. Drobne fale z cichym pluskiem wdzierały się między kamienie, ale ona nie chciała na nie patrzeć. Podczas drogi po wodach jeziora widziała unoszące się na powierzchni zdechłe ryby, czuła też zapach śmierci i zgnilizny, który napływał wraz z leniwymi kłębamii mgły. Spojrzała za siebie, na przeciwległy brzeg, i dostrzegła bezkresne trawiaste równiny.

Obozowali tam zeszłej nocy. Trawy okazały się wyższe, niż sobie wyobrażała, w większości były wyższe od dorosłego mężczyzny. Gdy spoglądała na nie teraz, miała wrażenie, że dostrzega jakąś nieregularność w rytmie falowania, zupełnie jakby w jednym miejscu przechylały się pod wiatr. Potem coś plusnęło do wody. Wyteżyła wzrok, ale niczego już nie dojrzała.

– Nie ma co oglądać się za siebie – rzekł Lykos. Przywiązał dłuższą linę do więzów na jej nadgarstkach, po czym przytroczył ją sobie do pasa. – Tym bardziej że przed nami świetlista przyszłość.

Uśmiechnął się szeroko i szarpnął za sznur, by się upewnić, że nie puści.

– Nie chcę, żebyś się zgubiła na wyspie – dodał.

Zaraz po wylądowaniu posłał grupę ludzi na zwiad. By nie marnować czasu do ich powrotu, reszta Vin Thalun wciągnęła łodzie na brzeg i przycumowała je do wysmaganych wiatrem gałęzi najbliższych drzew. Kadoshim, którym przewodził ten otoczony chmarami much, bez cienia wahania ruszyli przed siebie i dotarli do poszarpanych, ostrych skał, które tworzyły naturalną barierę między plażą a samą wyspą. Przywódca demonów odwrócił się i niecierpliwie przywołał Lykosa.

– Zaczekajcie do powrotu moich zwiadowców! – odkrzyknął Lykos.

– Dość już się nasiedziałem na tych łodziach! – warknął Kadoshim. Jego głos był dziwny, zwielokrotniony, jakby w jego gardle rozbrzmiewało echo. – Pora kogoś zabić.

– Nazywają go Legion – szepnął Lykos do Fidele konspiracyjnym tonem, mocując puklerz do lewego ramienia. – Nie słynie z cierpliwości. A przez większość czasu ledwie panuje nad złością.

– Zjadł twarz Agosta. – Fidele zadrżała.

– Tak. Nie jest do końca normalny, ale przydaje się podczas rąbaniny.

Spomiędzy drzew na wyspie wyłoniły się postacie, które zmierzały ku nim bezszelestnie, aż wreszcie przebiegły między poszarpanymi skałami na brzegu.

– Co tam macie?! – zawołał do nich Lykos.

– Znaleźliśmy jaskinię! – odkrzyknął któryś z Vin Thalun. – Pozostawiłem paru chłopaków, by mieli na nią oko.

– Dobra, a więc ruszamy po skarby! – Lykos uśmiechnął się i pociągnął za więzy Fidele.

Słońce było w połowie drogi do zenitu i jaśniało na bezchmurnym niebie, choć jego promieniom brakowało ciepła. Od jeziora wiał wiatr, który wprawiał mgłę w taniec i posyłał jej kłęby na brzeg wyspy niczym fale przyboju.

Lykos wciągnął Fidele na poszarpane skały przy końcu plaży, ale kobieta poślizgnęła się i zraniła w kolano. Vin Thalun nie przestawał jej ciągnąć, na co Fidele szarpnęła za linę z frustracją. Pirat odwrócił się i smagnął ją dłonią w twarz, a ona zatoczyła się i padła na

kolana, co skończyło się kolejnym skaleczeniem. Potem pochylił się nad nią, złapał ją i powłókł na równiejszy teren.

– Nie rób tego ponownie! – warknął.

Fidele poczuła smak krwi, cieknącej jej z nosa. Spojrzała na niego z nienawiścią.

– Ileż w tobie jest ognia! – Lykos uśmiechnął się niespodziewanie.

– Chodźże, bo przegapimy najlepsze!

Pośpieszył za znikającymi ludźmi.

Teren wznosił się. Zmierzali ku ciemnym skałom wysoko nad nimi, lecz po drodze otoczyły ich drzewa gęstego zagajnika. Zarośla były tam równie gęste i kolczaste jak w Fornie i wydarły Fidele dziurę w spodniach.

Lykos dołączył do reszty ludzi. W miarę, jak pięli się coraz wyżej, Fidele wyczuwała jakąś zmianę wokół nich. Nie umiała wytłumaczyć, na czym polega ta przemiana, ale naraz poczuła, że ma gęsią skórkę, a powietrze stało się ciężkie, trudne do zniesienia. Wojownicy zwolnili i co rusz rozglądali się wokół.

– Aegusie, gdzie ta jaskinia?! – zawołał Lykos.

– Tuż przed nami! – zawołał wywołany Vin Thalun, ciemnowłosy wojownik, którego cios wrogiego miecza pozbawił części górnej wargi, odsłaniając gnijące zęby.

Spomiędzy drzew wyłonił się jakiś cień. Fidele aż podskoczyła, ale był to jedynie Kadoshim zwany Legionem.

– Znalazłeś coś? – spytał Lykos.

– Tak – burknął Kadoshim, który wydawał się nieco oszołomiony. Pociągnął nosem. – Krew.

Lykos dobył broni.

Wyszli spomiędzy drzew. Fidele poczuła naraz metaliczny smród i odwróciła głowę. Zamrugła, oślepiona blaskiem słońca.

Teren wyrównał się. Była królowa spoglądała na trawiastą polanę, która z jednej strony kończyła się spadzistym urwiskiem opadającym ku jezioru, tu i ówdzie pociętym półkami, na których wiły się smagane wiatrami drzewa. U dołu piętrzyły się skały i głazy. Po drugiej stronie polany w odległości pięćdziesięciu kroków

wznosił się stromy, poszarpany klif, w którym widniała ciemna jaskinia.

Uwagę Fidele przyciągnęło jednak coś innego.

Wszędzie widziała ciała bądź ich strzępy – poodrywane kończyny, głowy, sterty parujących jelit. Jakaś głowa stała na głazie z językiem wywalonym poza brodę. Przez dziurę w czaszce wyciekał mózg. Po trawie ciągnął się szeroki, krwawy ślad, który nikał w ciemnościach jaskini.

– Na jaja Asrotha – wyszeptał jeden z Vin Thalun.

Nad wejściem do jaskini widniały starożytne runy, wyrzyte głęboko w skale.

– *Gach fir bás* – odczytał Lykos. – Wszyscy ludzie umierają.

Wtedy opadły ich jakieś wyjące istoty, większe od ludzi, dwunogie, ale pokryte futrem. Fidele zauważyła długie pyski i zakrzywione, poźółkłe kły. Jedna z nich wpadła na Vin Thalun, który przetoczył się po polanie, gubiąc jelita z rozprutego brzucha.

Zewsząd otoczyło ich szaleństwo, krew i wrzaski.

Lykos uskoczył w bok i chlasnął futrzanego przeciwnika. Coś odbiło się od jego puklerza, a on zatoczył się i zrobił unik. To nie wystarczyło. Czyjeś ramię uderzyło go w bark z ogromną siłą i wyrzuciło go w powietrze. Pociągnął za sobą Fidele, która przetoczyła się po zakrwawionej trawie. Ziemia zadrżała od czyichś kroków tuż przy jej głowie. Kobieta ujrzała kosmatą stopę i zadarła głowę, by ujrzeć wielką, górującą nad nią postać. Mignęły jej kły i pazury potwora, który błyskawicznie pochwycił jakiegoś pirata, uniósł go i cisnął jego ciałem o swe kolano, zginając go niczym gałązkę. Fidele usłyszała trzask kręgosłupa pękającego niczym zamarznięty konar. Wojownik wrzasnął i upuścił miecz, a z jego ust buchnęła krew. Bestia odrzuciła ciało i rozejrzała się w poszukiwaniu kolejnej ofiary.

Sznur, krępujący nadgarstki Fidele, napiął się i pociągnął ją w kierunku upuszczonego miecza. Poderwała broń, ale w tej samej chwili pojawił się Lykos, ścigany przez jakiś wielki kształt. Rzucił się na ziemię, przetoczył i wyrósł tuż przed ścigającą go bestią. Nachylił

się pod brutalnym ciosem szponiastej łapy i wbił krótki miecz w brzuch potwora.

Fidele usłyszała głuche stęknięcie i ujrzała Lykosa, który uderzeniem pięści w głowicę miecza wbił go aż po rękojeść w ciało przeciwnika, a potem wyszarpnął, uwalniając strugę krwi. Stworzenie opadło na kolana, a wtedy Lykos złapał za kryty futrem łeb i szarpnął.

Najeżony kłami pysk rozchylił się szeroko, a potem rozdarł.

To tylko strój! Pozszywane zwierzęce skóry!, pomyślała Fidele.

Lykos zerwał nakrycie głowy i odsłonił ludzką twarz, choć płaską, osobliwie kanciastą, z niewielkimi, ciemnymi oczami.

Olbrzymy...

– To olbrzymy! – ryknął Lykos.

Vin Thalun zwarli szyki. Fidele szybko uświadomiła sobie, że mieli przewagę liczebną nad okrytymi futrem napastnikami i w kilka uderzeń serca padło ich jeszcze paru, a reszta została zmuszona do cofnięcia się ku jaskini.

Fidele ujęła mocniej zdobyty miecz i chlasnęła linę, która łączyła ją z Lykosem. Ten poczuł szarpnięcie, odwrócił się i ujrzał ją z bronią. Zamachnęła się na niego, ale mając skrepowane dłonie, nie była w stanie nadać uderzeniu siły. Lykos odbił jej ostrze ze wzgardliwą łatwością, po czym uderzył ją pięścią w brzuch, a potem w skroń. W głowie Fidele eksplodowało białe światło. Świat rozmył się, zakołysał, pociemniał, a ona sama runęła na spotkanie ziemi. Leżała przez moment oszołomiona, usiłując nie poddać się słabości, aż przetoczyła się na bok. W tej samej chwili Lykos ruszył naprzód, ciągnąc ją za sobą na przerąbanej w połowie linie. Szybko niczym żmija pchnął jakiegoś olbrzyma i odskoczył. Tuż po nim przypadł do niego Legion, który złapał olbrzyma za krocze i szyję, uniósł w powietrze z siłą niewyobrażalną przy takich rozmiarach i cisnął nim o głaz. Olbrzym próbował się jeszcze podnieść, ale Legion znalazł się przy nim w jednym susie, złapał go za głowę i śmiejąc się dziko, parokrotnie rąbnął jego potylicą o skałę. Muchy bzyczały, krążąc wokół niego i oblażąc masakrowane ciało.

Z wnętrza jaskini dobiegł przerażający ryk, który zapewne był sygnałem do wycofania się dla olbrzymów, gdyż jeden po drugim zniknęły w ciemnościach.

Lykos huknął rozkaz i powstrzymał swoich ludzi przed pochopną szarżą. Każdy z wojowników wyszarpnął z plecaka pochodnię. Zastukały krzesiwa, zaskwierczały rozpalane płomienie. Kilka pochodni zostało wrzuconych do środka jaskini, gdzie zapłonęły jasno, rozpraszając mrok. Nikt tam na nich nie czekał.

– Wstawaj, suko! – Lykos złapał Fidele za włosy i poderwał ją na równe nogi. – Aegus, Hesp! – warknął.

Dwóch Vin Thalun podeszło bliżej.

– Przypilnujcie jej dla mnie – rozkazał, po czym rozciął jej więzy, spętał nadgarstki świeżą liną i wręczył ją wojownikowi bez górnej wargi. Następnie obrócił jej głowę ku sobie, przyciągnął do siebie i pocałował gwałtownie w usta. Fidele wiła się, ale trzymał ją mocno.

– Niedługo się spotkamy! – oznajmił, a jego usta ozdobił ni to grymas, ni to uśmiech. – Za mną! – rzucił do pozostałych Vin Thalun i wkroczył w czeluść.

Legion i pozostali Kadoshim ruszyli śmiało jego śladem, a za nimi, z większą ostrożnością, poszli Vin Thalun.

Fidele spojrzała na swoich dwóch strażników. Aegus spoglądał na nią ze wzgardą, a Hesp, młody, jasnowłosy wojownik z twarzą pociętą bliznami, nawet na nią nie patrzył, skupiony na oczyszczaniu miecza z krwi.

Z wnętrza jaskini naraz dobiegły dzikie wrzaski. Obaj Vin Thalun zeszywnieli.

– Oni mogą tam zginąć – rzekła Fidele. – Pomyślcie tylko o tym.

Aegus szarpnął za linę, czym zacieśnił więzy. Nadgarstki Fidele zapłonęły bólem, a z jej ust wyrwało się głuche stęknienie.

– To tylko ostrzeżenie – warknął Aegus. – Żadnych gier.

Fidele spojrzała na niego z pogardą, po czym rozejrzała się. Wszędzie dookoła widziała trupy, a wysoko nad nimi krakały kruki. Kilka odważniejszych ptaków lądowało już, by rozpocząć ucztę. Fidele spojrzała dalej, ku cieniom między drzewami, gdzie wydawało jej się, że dostrzega jakiś ruch. Zmrużyła oczy i wyteżyła

wzrok. Nie ulegało wątpliwości. Ktoś zbliżał się tamtędy. Było ich wielu, lecz jedna postać zdecydowanie przodowała. Po chwili zmaterializowała się w postać mężczyzny, który biegł w górę zbocza.

Serce Fidele zamarło.

To był Maquin.

Rozdział osiemdziesiąty trzeci

MAQUIN

Maquin pędził przed siebie. Wiedział, że powinny go boleć nogi, a płuca płonąć z wysiłku, ale nie czuł ani jednego, ani drugiego. Bez litości sięgał po ostatnie rezerwy swego ciała. Nie czuł bólu ramion i pleców po tym, jak przepłynął całe jezioro, ani ciężaru ociekających wodą ubrań.

Liczyła się tylko Fidele.

Widział ją, skąpaną w blasku słońca. Stała ze związanymi dłońmi, a jedna strona jej twarzy, zaczerwieniona od uderzenia, zaczynała już puchnąć. Przeniósł spojrzenie na pilnujących ją wojowników, a jego usta uniosły się w pogardliwym grymasie. Jeszcze go nie zauważyli. Wyrwał dwa noże – jeden zza pasa, a drugi z pochwy przytroczonej do piersi – i wypadł pomiędzy drzew w sam środek pozostałości po rzezi.

Vin Thalun usłyszeli go wreszcie. Odwrócili się i znieruchomieli, a w ich oczach błysnęło niedowierzanie. Któryś wydał zduszony okrzyk strachu.

– Stary Wilk!

Maquin przeskoczył nad jakimś ciałem. Potrwało to zaledwie ułamek sekundy, ale wystarczyło, by dokładnie przyjrzeć się wrogom. Skupił uwagę na młodszym, jasnowłosym wojowniku z twarzą pokrytą bliznami i runął na niego. Jasnowłosa wykonał krótkie, poziome cięcie w talię Starego Wilka. Był to rozsądny wybór, bo taki cios nie mógł chybić. Mężczyzna nie wziął jednak pod uwagę szybkości Maquina, który pędził na niego bez wahania, nie

zwalniając. Miecz jasnowłosego zatoczył dopiero połowę łuku, gdy przybysz już wbił mu nóż w krocze. Ułamek sekundy później wpadł na niego, wyrwał ostrze, odrzucił jego ciało i już się zerwał.

– Zabiję ją! – wrzasnął drugi ze strażników, nie mogąc opanować drżenia głosu, i podniósł sznur, do którego była przywiązana Fidele. Wybałuszył oczy, wpatrując się w koniec sznura, rozciętego przez Maquina podczas krótkiego starcia z jasnowłosym.

– Dobra, a więc chodź tu! – warknął i runął na Starego Wilka, nie czekając na jego reakcję.

Pchnął Maquina w brzuch, lecz ten sprawnie sparował uderzenie. Zazgrzytała odrzucana klinga, ale Vin Thalun wykorzystał sposobność i zdzielił Maquina puklerzem w twarz. Ten wykonał sprawny unik, a potem, jakby wszystko toczyło się w zwolnionym tempie, dźgnął go zakrwawionym ostrzem pod kolano. Wróg zatoczył się i runął w tył, a wtedy Stary Wilk przygniótł go kolanem do ziemi i rozciął mu gardło drugim nożem.

Stanął nad wrogiem, zdyszany, skrwawiony, z rozchyłonymi nozdrzami.

Naraz w jego ramionach znalazła się Fidele. Wpiła się w niego, aż ich ciała stały się jednym. Maquin odsuwał włosy z jej twarzy, Fidele szeptała mu słowa do ucha, a potem połączyli się w namiętym pocałunku.

– A więc ją znalazłeś! – zadudnił zdyszany, ale uśmiechnięty Alcyon. Potem rozejrzał się dookoła, a wyraz jego twarzy błyskawicznie się zmienił, zwłaszcza gdy dostrzegł olbrzymy wśród zabitych.

– Co takiego? – rzucił, przyklękając przy jednym z nich. Wpatrywał się w jego twarz.

– To twój klan? – spytał Maquin. – To Kurgan?

– Nie wiem. – Alcyon pokręcił głową. – Niczego nie rozumiem.

Spomiędzy drzew wybiegli już inni – Teca, Javed wraz z kilkoma gladiatorami, Alben, Spyr i ludzie z Ripy. Wszyscy wpatrywali się w krwawe pobojuwisko. Maquin zaś spojrzął Fidele w oczy i łagodnie ujął jej policzki.

– Skrzywdził cię? – spytał.

– Nie zrobił mi nic gorszego niż to. – Fidele wskazała opuchnięty, posiniaczony policzek.

Zachwiała się i zatrzepotała powiekami. Maquin pochwycił ją i delikatnie ułożył na ziemi, po czym przyklęknął przy niej.

– To nic takiego – rzuciła. Bezskutecznie próbowała powstać, ale oparła dłonie na trawie i zwróciła zawartość żołądka.

– Podajcie jej wody! – Alben ukucnął przy Maquinie. – Witaj, moja pani! – Uśmiechnął się i pomógł jej się napić z bukłaka, a potem uniósł palec i kazał jej wodzić za nim wzrokiem. – Odpocznij chwilę. Otrzymałaś paskudny cios w głowę. Zaraz poczujesz się lepiej.

– Czy to się dzieje naprawdę? – Fidele dotknęła twarzy Maquina i ścisnęła Albena za rękę.

Z wnętrza jaskini buchnęły okrzyki, wrzaski i szczęk oręza.

– Lykos! – warknął Maquin.

– I naszymi z gwiazdowego kamienia – dodał Alben.

– Spyr, weź kilku chłopaków i pilnuj Fidele – rzucił Maquin, wstając. – Gdy dojdzie do siebie, zabierz ją do łodzi. Weźmiemy je ze sobą. Lykos nie będzie ich już potrzebować.

Fidele złapała Maquina za rękę.

– Zabij go! – szepnęła z zaciekłością w głosie.

– Taki mam zamiar – warknął Maquin.

– Ale uważaj na siebie! – dodała. – Są wśród nich Kadoshim.

Maquin schował noże i dobył dwóch krótkich mieczy.

– Słyszeliście?! – zawołał do swej niewielkiej drużyny. – Kadoshim! Pamiętajcie, by odrąbywać im łby!

Alcyon dobył obu toporów, pozostali chwycili za miecze. Teca spojrzała na swój łuk.

– Ja się zadowolę Vin Thalun – oznajmiła.

Maquin pochylił się i musnął ustami policzek Fidele.

– Do zobaczenia niebawem! – oznajmił i ruszył w głąb tunelu.

Teca szła pół kroku za nim ze strzałą na cięciwie, a dalej Alcyon, Tain, Javed, Alben i reszta.

Tuż za wejściem do jaskini na ziemi dopalały się pochodnie, których płomienie rzucały roztańczone dziko cienie na ściany. Maquin zmierzał szerokim podziemnym korytarzem, który wił się

w dół. Po pokonaniu pierwszego zakrętu ujrzał żelazne uchwyty wbite w ścianę. Rozkołysane płomienie rzucały blask na nieruchome ciała na ziemi – kilku Vin Thalun oraz jeszcze dwa olbrzymy w niedźwiedzich skórach. Wyminął je i pośpieszył przed siebie. Zbliżał się do wielkiej, podziemnej sali, z której dobiegał zgiełk bitewny.

Trwało tam zacięte starcie między ludźmi i olbrzymami, opromienione płomieniami z wielkich mis wypełnionych olejem. Po przeciwnej stronie sali wznosiło się podwyższenie z kamiennym tronem, na którym zasiadał jakiś olbrzym. Nawet na pierwszy rzut oka nie przypominał jednak swoich pobratymców. Dorównywał im wzrostem, ale był chudy i wyschnięty, a z jego policzków i ramion zwisały fałdy pomarszczonej skóry. Z włosów pozostały jedynie rzadkie, siwe kosmyki, odsłaniające czaszkę. Na jego szyi wisiał masywny torkwes z czarnego żelaza, wyglądający na zbyt ciężki, by olbrzym zdołał go unieść. Kilku innych otaczało go półkręgiem, stawiając zacięty opór Vin Thalun.

Na oczach Maquina jeden z Kadoshim wzniósł miecz i rzucił się na obrońców tronu. Zasypał jednego z olbrzymów gradem ciosów, które ten usiłował zablokować drzewcem topora, ale zatoczył się, gdy któreś uderzenie przebiło się przez jego gardę. Nie było wątpliwości, że przewaga była po stronie Lykosa oraz Vin Thalun i że to oni mieli wygrać to starcie.

Za nic w świecie im na to nie pozwolę, pomyślał Maquin.

Rzucił się w sam środek walki, słysząc za sobą tupot wielu kroków. Brzęknęła cięciwa Teki i jeden z piratów runął na ziemię z pierzastą strzałą, drgającą w szyi.

Wtem salę przepełnił ogłuszający ryk szarżującego Alcyona, który zatrzymał się, wzniósł oba topory i huknął:

– Kurgan!

Wielu walczących zamarło i wbiło w niego spojrzenia, a niektóre olbrzymy zawołały coś do niego w swej gardłowej mowie. Alcyon uśmiechnął się szeroko, dziko, z zaciekłością, a potem skoczył w sam środek bitwy. Roztrącił tuzin Vin Thalun, zasypujących ciosami olbrzymia, który padł na jedno kolano. Jeden z Kadoshim skoczył na

szarżującego Alcyona, który zakreślił szerokie łuki toporami i głowa demona wystrzeliła w górę, ciągnąc za sobą strugę krwi. Ciało napastnika runęło na ziemię, a z przerąbanej szyi buchnęła czarna para, która uformowała postać z czarnymi skrzydłami i czerwonymi ślepiami. Wywrzeszczała swą nienawiść i rozplynęła się niczym dym na wietrze.

Tak to się właśnie robi, pomyślał Maquin, który czuł już narastające w sercu uniesienie bitewne. Wypatroszył jednego wojownika Lykosa, innemu wbił ostrze w pachę, zawinował, uwolnił oba miecze i rąbnął trzeciego między szyję a ramię, powalając go na podłogę.

– To Stary Wilk! – wrzasnął jeden z Vin Thalun, a inni podjęli okrzyk, który niczym fala przetoczył się po podziemnej sali.

Potem do środka wpadł Javed na czele swych Uwolnionych, przypominających falę mięśni i stali.

Czas zwolnił, a świat ograniczył się do kolejnej twarzy, do błysku stali, do rozbryzgów krwi. Maquin wirował i wił się, wyrąbując sobie drogę wśród tuzinów mieczy, opadających, by rozrąbać mu żyły i odebrać życie. Odbijał wrogie ciosy i kontratakował z morderczą precyzją. Rozrąbywał gardła i brzuchy, rozcinał stawy i ścięgna, wbijał ostrza w krocza. Znaczył swą drogę coraz to nowymi trupami, ale nie przestawał szukać jednego spośród nich.

Tego jedynego.

Lykosa.

Zatrzymał się. Był teraz niczym uosobienie spokoju w sercu rozszalałej burzy.

I wtedy go dostrzegł.

Lykos z pociętym puklerzem i ociekającym krwią mieczem wdzierał się na stopnie podwyższenia, prowadząc swoich Vin Thalun i Kadoshim na garstkę olbrzymów broniących dostępu do tronu.

– Lykos! – ryknął Maquin.

Władca piratów odwrócił się i go zobaczył. Na jego twarzy pojawiły się lęk i nienawiść.

Maquin rzucił się na niego. Po drodze chlasnął jednego z Vin Thalun mocnym ciosem po biodrze i przewrócił go kopniakiem, ale wtedy na drodze wyrosła mu Kadoshim ze wzniesionym oburącz zakrzywionym mieczem. Maquin wyszedł spod ostrza piruetem i w odpowiedzi ciął demonicę mocno po szyi. Jego ostrze weszło głęboko, a głowa przechyliła się pod nienaturalnym kątem. Oblicze Kadoshim wykrzywił szaleńczy uśmiech. Nie spuszczać z przeciwnika spojrzenia czarnych oczu, runęła do kolejnego ataku. Maquin uchylił się, ale zbyt wolno i wrogie ostrze pozostawiło krwawą rysę od jego łokcia po bark. Wtedy na czole Kadoshim zacisnęła się czyjaś dłoń, która szarpnięciem odciągnęła jej głowę do tyłu. Pojawił się też zakrzywiony nóż, a kilka cięć później głowa spadła na ziemię, uwalniając rozwścieczoną, syczącą zjawę.

Gdy zniknęła, Maquin ujrzał Javeda, który odkopnął bezgłowe ciało i uśmiechnął się do Starego Wilka, a on podziękował mu skinieniem. Chwilę później Javed znikł wśród walczących.

Maquin odnalazł wzrokiem Lykosa, który wspólnie z jakimś Kadoshim wdarł się na szczyt schodów i rąbał jednego z ostatnich olbrzymów na kawałki.

Niespodziewanie sędziwy olbrzym powstał z tronu, uniósł róg i zadał ze wszystkich sił, a po sali przetoczył się chrapliwy, ogłuszający ryk. Maquin wyhamował i zacisnął dłonie na uszach. Wszyscy dookoła robili to samo.

Choć ryk rogu osłabł, Maquinowi nadal dudniło w uszach. Próbował się ruszyć, ale mógł jedynie przyciskać dłonie do głowy. Sędziwy olbrzym rozglądał się dookoła, a na jego obliczu widniała mieszanina przerażenia, żalu i odrazy.

– Nie tak to miało wyglądać! – Głos olbrzyma przypominał szelest pergaminu, a mimo to niósł się po sali. – Czyżby nic się nie zmieniło przez tyle lat? Kim wy wszyscy jesteście? Gdzie jest Ethlinn ap Balur?

– O czym ty gadasz, starcze? – wychrypiał Lykos, nadal z dłońmi na uszach.

Olbrzym spoglądał na Lykosa, tak jak Maquin mógłby spojrzeć na irytującą go muchę.

– Mówię o Ethlinn, córce Nemain, dziedzicze tronu olbrzymów! A o kim innym? To ona powinna była pochwycić za włócznie i otworzyć drzwi, a potem przybyć do mnie! Gdzie ona jest?

– Walczy z Kadoshim, którzy zajęli Drassil! – oznajmił Alcyon, występując naprzód.

– Kadoshim! – Olbrzym rozglądał się, aż zawiesił wzrok na demonie stojącym przy Lykosie, otoczonym chmarami much. – Ach, kiedy to się skończy...

– Kim jesteś? – spytał Alcyon.

– Jestem Halvor, Głos Skalda – odparł starzec. – A ty?

– Jestem Alcyon, ostatni z Kurgan.

– Alcyon? – odezwał się inny głos.

Jeden z olbrzymów w niedźwiedziej skórze zrobił krok naprzód.

– Alcyon ben Dayir? Ten, który zbiegł?

Alcyon zmarszczył brwi.

– Cota?

Otoczony muchami Kadoshim zerwał się i zataczając się, przypadł do tronu.

– Za dużo gadasz, dziadku! – warknął i wbił Halvorowi miecz w brzuch aż po jelec. Drugą ręką zerwał mu torkwes i uniósł go wysoko.

Rozdział osiemdziesiąty czwarty

LYKOS

Lykos runął w stronę stromej ścieżki wychodzącej z podziemnej sali, wzywając swych wojowników. Za plecami słyszał śmiech Legiona. Rzucił okiem za siebie i przekonał się, że Kadoshim najwyraźniej doskonale się bawił. Cisnął Halvora na ziemię i tłukł go żelaznym torkwesem, a starzec poruszał niemrawo kończynami w desperackiej próbie ucieczki.

Wrogowie otaczali ich zewsząd. Lykos zauważył Starego Wilka, próbującego odciąć mu drogę, dostrzegł paru ludzi w czerni i srebrze oraz innych, którzy przypominali gladiatorów z ich rodzimych stron.

Skąd się tu, do cholery, wzięli?

Kopnął wielką niczym tarcza misę z płonącym olejem i wychlusnął jej zawartość na szarżującego na niego wojownika. Ten wrzasnął przeraźliwie, a Lykos wyminął płomienie, przypadł do nierównej, skalnej ściany i zaczął się wspinać, by znaleźć się na ścieżce i rzucić do ucieczki. W tej samej chwili ktoś złapał go za kostki i ściągnął go w dół. Na jego brzuchu wykwitła piekąca, czerwona pręga, a nad nim pojawiła się paskudnie uśmiechnięta twarz. Błysnął nóż w dłoni.

Patrzył na Javeda.

– Podoba ci się w jamie wraz z nami wszystkimi? – warknął Javed i pchnął nożem, ale Lykos odtoczył się i rzucił puklerzem w twarz mężczyzny. Uwolniony musiał zrobić unik, co Lykos wykorzystał, by zerwać się na równe nogi i wyprowadzić uderzenie.

Gładiator uszedł spod klingi zręcznym piruetem i nagle wyrósł tuż przy Lykosie. Grzmotnął go w twarz i znów pchnął, ale Lykos zdołał uniknąć ciosu i złapał Javeda za ramię. Spróbował wznieść miecz do uderzenia, ale w tej samej chwili jego nos eksplodował bólem, a przed oczami błysnęła oślepiająca biel. Zataczając się w tył, zrozumiał, że Javed uderzył go czołem. Zdołał też dostrzec kolejne pchnięcie nożem i wiedział, że tym razem nie zdoła już go uniknąć.

Naraz czyjeś ramię oplotło się wokół szyi Javeda i pojawiła się rozpromieniona twarz Legiona. Kadoshim szarpnął gladiatora do tyłu i wgryzł się w jego kark. Ten wrzasnął, gdy zęby demona wyszarpnęły mu kawałek ciała.

– Chyba jednak przegrałeś – stwierdził Lykos, po czym wbił krótki miecz w brzuch Javeda. Obrócił go w ranie, a wrzask mężczyzny przybrał na sile, po czym utonął wśród bulgotu krwi w ustach.

W sali ponownie rozgorzało zacięte starcie. Lykos przypadł do skalnej ściany, wspiął się na ścieżkę, wciągnął jednego Vin Thalun za sobą i krzyknął na Legiona, który znów zajął się zabijaniem.

Kadoshim zauważył go i cisnął mu torkwes, który zakreślił łuk w powietrzu, wirując i odbijając błysk płomieni. Lykos złapał go zręcznie. Artefakt okazał się chłodny i ciężki, o wiele cięższy, niż na to wyglądał. Pirat zawiesił go sobie na szyi. Przez moment wydawało mu się, że słyszy jakieś szepty w głowie, ale te szybko ucichły. Przykucnął i wciągnął kolejnego wojownika na górę, lecz wtedy powietrze nad jego głową zaświstało i jeden z jego przybocznych osunął się na ziemię z nożem w gardle. Lykos rozejrzał się i dostrzegł Maquina, wyciągającego kolejny nóż z pochwy.

Pora się stąd wynosić!, uświadomił sobie.

Rzucił się do biegu, pociągając za sobą garstkę ocalałych. Pędzili w górę podziemną, wijącą się ścieżką, aż jeden z jego ludzi potknął się i padł ze strzałą w piersi. Przed sobą ujrzeli łuczniczkę, która właśnie nakładała kolejną strzałę na cięciwę.

Lykos zacisnął zęby i przyśpieszył, ale kobieta ani drgnęła. Spokojnie uniosła łuk i trafiła kolejnego wojownika, którego ciało stoczyło się po ścieżce. Trzeciej strzały wypuścić nie zdołała. Władca piratów skoczył na nią i ciął, ale wykonała w porę unik i grzmotnęła

go łukiem w bok głowy. Zatoczył się, ale zdołał się obrócić i kopnięciem trafić ją w udo. Łuczniczka cofnęła się, a jedna jej stopa znalazła się nad skrajem ścieżki. Zastygła tam na moment, jakby podtrzymywały ją niewidzialne liny, zamachała rękami, a potem runęła w dół z wrzaskiem. Lykos nie miał pewności, jak daleko było w tym miejscu do ziemi, ale też nie bardzo się tym przejmował. Liczyło się to, że nikt nie stał mu już na drodze. Z trzema ocalałymi wojownikami runął ku wolności.

Czeka mnie niezły wyścig do łodzi, pomyślał. Przydałoby się jeszcze kilku ludzi do wiosła...

Zatrzymał się na samej górze ścieżki i spojrzał na szalejący w dole chaos. Ogień rozchodził się coraz dalej i pochłonął już niemalże połowę sali, w drugiej części zaś toczyła się zaciekle walka. Większość jego ludzi padła, a z dziesięciu Kadoshim widział już tylko trzech, w tym Legiona, który zatracił się w szerzeniu śmierci. Wyglądało na to, że całkiem zaprzętnęli uwagę wroga.

Podążą za nami, jeśli zdołają się przebić, pomyślał Lykos, wzruszając ramionami, po czym przyśpieszył. Widok światła dziennego dodał mu sił. Z całego serca pragnął wydostać się z tej wyspy, choć istniał jeszcze jeden skarb, który musiał najpierw odnaleźć.

Fidele.

Wypadł na blady blask słońca i zamrugał, by jego wzrok szybciej się przyzwyczaił. Dostrzegł plecy trzech ludzi kierujących się między drzewa i uśmiechnął się do siebie, bo wśród nich zauważył postać, którą rozpoznałby wszędzie.

– Wybierzcie przeciwników – rzucił do swoich przybocznych. Sam skupił uwagę na siwowłosym wojowniku po prawicy Fidele i skoczył do ataku.

Nacierał w ciszy, bez okrzyku bojowego, ale tamci usłyszeli go i odwrócili się w porę. Wypatrzył pobladłą Fidele z szeroko otwartymi oczami, lecz drogę zastąpił mu siwowłosy weteran. Wypadł spomiędzy drzew na polanę, złapał włócznię oburącz i runął na Lykosa, mierząc w jego brzuch.

Lykos ujrzał, jak napina mięśnie, by wykonać pchnięcie. Uskoczył w bok i zamachnął się mieczem. Wrogie ostrze pozostawiło płonącą linię na jego żebrach, ale klinga pirata roztrzaskała drzewce włóczni, a potem uniosła się i wgrzyła głęboko w szyję wojownika.

Lykos strącił ciało z ostrza.

Jeden z jego ludzi padł w walce, a pozostałych dwóch otaczało drugiego strażnika Fidele. Jej samej nigdzie nie było widać.

Niespodziewanie Lykos usłyszał za sobą kroki. Uskoczył bez namysłu, a miejsce, w którym przed chwilą stał, przeszył miecz trzymany przez Fidele. Uśmiechnął się.

– Myślałaś, że już mnie nie zobaczysz? – warknął.

Odrzucił jej broń, a Fidele, wciąż celując w niego lekko drżącym ostrzem, zaczęła się cofać ku polanie. Uśmiechnięty Lykos szedł za nią. Kobieta pchnęła go w brzuch, ale jej uderzeniu zabrakło siły i znów odrzucił je bez trudu. Nacierał, a ona się cofała, choć jej kroki były niepewne, a w oczach widział mgłę.

Czyżby to wciąż skutki mojego uderzenia?, zastanawiał się.

Zatrzymała się na skraju klifu. Kilka kamyczków ze stukotem pomknęło w dół.

– Ładny widok – rzucił Lykos konwersacyjnym tonem.

Nadal przybliżał się, aż wreszcie trącił mieczem jej ostrze. Potem błyskawicznie obrócił oręż i Fidele sapnęła głucho, upuszczając broń. Na jej przedramieniu wykwitło czerwone skaleczenie.

Za sobą usłyszał szcęk oręża, a potem stęknienie bólu, po którym ktoś runął na ziemię. Wiedział, że ostatni strażnik Fidele właśnie rozstał się z życiem.

– Dość już tego – powiedział i wyciągnął ku niej dłoń.

Fidele zerknęła na skały u stóp klifu.

– Nie wygłupiaj się! – rzucił. – Chodź ze mną. Żyj! Może kiedyś znów uda ci się uciec. Któż to może wiedzieć?

Fidele rzuciła się na niego, plując i parskając. Zatoczyli się blisko krawędzi. Kobieta biła go pięściami po głowie i zdążyła mu wyryć paznokciami krwawe bruzdy na policzkach, nim złapał ją za nadgarstki. Uderzył ją mocno w twarz i potrząsnął nią, na co pobladła, a źrenice uciekły jej w tył głowy.

Ewidentnie nie otrząsnęła się jeszcze, pomyślał. Dobrze. Łatwiej będzie nad nią zapanować.

– Koniec tych wygłupów – warknął. – Idziesz ze mną.

Wtedy usłyszał czyjeś ciężkie kroki.

– Wypuść ją! – ryknął ktoś.

Rozdział osiemdziesiąty piąty

MAQUIN

Po wydostaniu się z jaskini Maquin zamarł na moment, gdyż jego oczy musiały się przyzwyczaić do blasku słonecznego. Mocno ujął dwa krótkie miecze, oba czerwone aż po jelce. Sam również był zbryzgany od stóp do głów krwią własną oraz wrogów. Rozejrzał się po polanie, na której zalegały tylko trupy, a potem ich dostrzegł.

Dwie postacie na skraju polany.

Lykos trzymał Fidele za rękę, a ona chwiała się na skraju klifu.

– Puść ją! – ryknął, idąc ku nim.

– Na pewno masz to na myśli? – spytał Lykos. – Mam ją wypuścić?

Przekreślił nadgarstek. Fidele znów się zachwiała i wygięła plecy w tył. Opierała się o skraj już tylko palcami u nóg.

– Wciągnij ją z powrotem! – zawołał Maquin. Był coraz bliżej.

– Może to zrobię – rzekł Lykos. – A może nie? Sam nie wiem. Wiem natomiast tyle, że ty się zatrzymasz. I to w tej chwili! – Ostatnie słowa wyrzeszczał co siłą, a z jego ust strzeliły drobinki śliny.

Fidele znów się zachwiała, a Maquin zamarł.

– Dobrze – mruknął Lykos. – Tak jest o wiele lepiej. Musimy ustalić parę zasad, z których najważniejsza brzmi: to ja mówię tobie, co masz robić, a nie ty mnie.

– Jesteś w potrzasku! – oznajmił Maquin. – Skończony! Lada moment pojawią się tu moi towarzysze. Jeśli pozwolisz, by Fidele spadła, zabiję cię.

Wzruszył ramionami i dodał:

– A więc wypuść ją, jeśli chcesz.

– Cóż, w ten sposób mnie nie przekonasz! – Lykos uśmiechnął się szeroko i pokręcił głową. – Posmakowałem jej wdzięków i wiem, jaki efekt wywiera na mężczyzn. Chcesz, bym ci uwierzył, że ona nie ma dla ciebie znaczenia? Doprawdy, poczułem się nieco urażony!

Z jaskini dobiegły wrzaski i ryki, które zdawały się przybliżać. Lykos zerknął w tamtym kierunku, a potem znów na Maquina.

– Zdaje mi się, że powinienem już wyruszyć w drogę, a więc powiem ci, co się teraz wydarzy. Ujmiesz jeden ze swych noży i przetniesz sobie nadgarstek. Tu i teraz. Ja zaś będę patrzył, jak się wykrwawiasz i umierasz, a potem odejdę, zabierając Fidele ze sobą. Jeśli się mi sprzeciwisz, zrzucę ją z klifu, po czym stawię czoła tobie i każdemu, kto wybiegnie z tej jaskini.

– Nie – jęknęła Fidele.

– Jedno z nas tu zginie. Wybieraj, Stary Wilku.

Maquin wpatrywał się w Fidele przez długą chwilę. Zgiełk bitwy był coraz bliższy. Lykos znów obrócił głowę w tamtym kierunku.

– Przysięgam ci na Asrotha, że jeśli przyjdzie mi tu zginąć, zabiorę ją ze sobą – warknął. – Myślisz, że tego nie zrobię?

* * *

– Jeśli Fidele nie przypadnie mnie, to nie przypadnie nikomu.

Wpatrywał się w rywala z twardą, nienawistną determinacją, wrytą na obliczu. Przesunął ciężar ciała na drugą nogę, jakby szykował się do jakiegoś gwałtownego ruchu.

– Nie! – wrzasnął Maquin. Upuścił swe miecze, wyrwał nóż z za pasa i oparł ostrze o żyłę na nadgarstku.

– Maquin, proszę, nie! – wyszeptała Fidele przez łyzy. – Jeśli zginiesz, on zwycięży, a ja nie chcę żyć w jego niewoli. Dobrze wiesz, co on ze mną zrobi!

– Ja... – wykrztusił Maquin. Nóż drżał, wsparty o skórę, po której ciekła już strużka krwi. Myśl o tym, że Fidele miałyby zginąć, była absolutnie nie do zniesienia.

– To ty masz przeżyć! – mówiła Fidele. – Musisz go zabić!

– Decyduj się! – warknął Lykos. Patrzył to na Maquina, to na wejście do jaskini. – Ciężka się robi.

Dopóki żyje, dopóty jest nadzieja. Alben i Alcyon nadciągają, pomyślał Maquin.

– Maquin! – krzyknęła Fidele z rozpaczą. – Maquin, spójrz na mnie!

Uniósł wzrok. Po policzkach kobiety płynęły łzy.

– Jeśli jedno z nas przeżyje, przeżyje też częśćka drugiego! – oznajmiła. – Kocham cię! – dodała szeptem i wyrwała rękę z uścisku Lykosa.

Przez długą chwilę zdawała się zawieszona w powietrzu, nadal wiążąc spojrzenie Maquina, a potem znikła. Lykos próbował ją pochwycić, ale jego dłonie zacisnęły się w próżni.

Maquin otworzył usta, by wrzeszczeć, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Miał wrażenie, że na jego gardle zacisnęła się żelazna dłoń, a klatkę piersiową objęło imadło. Potykając się, ruszył naprzód z wyciągniętymi rękami, aż padł na kolana, a jego ciałem wstrząsnął rozdzierający szloch. Świat zaćmiły łzy.

– Cóż, szkoda – powiedział Lykos, spoglądając w dół.

Maquin wstał i zamrugał, by pozbyć się łez.

– Teraz pora na ciebie.

Przez twarz Lykosa przemknął lęk, który natychmiast przeistoczył się w gniew. Odsunął się od krawędzi i wyciągnął miecz.

– Każdy z nas musi kiedyś zginąć – warknął.

Maquin usłyszał tupot stóp i zaczął się odwracać, gdy coś uderzyło go w plecy i wyrzuciło w powietrze. Gruchnął o ziemię i przetoczył się, gubiąc jeden z mieczy. Pociemniało mu przed oczami, a gdy odzyskał wzrok, ujrzał odzianego na czarno wojownika o twarzy białej niczym larwa, pociętej czarnymi żyłami. Czarne oczy wroga wpatrywały się w niego pośród roju much.

– Legion! – zawołał Lykos. – Nie masz pojęcia, jaką mi radość sprawiłeś!

Spośród dymów, buchających z wnętrza jaskini, wyłoniły się kolejne postacie – jacyś Kadoshim, kilku Vin Thalun, Uwolnieni

Javeda i wojownicy w czerni i srebrze. Olbrzym w niedźwiedzich skórach. Inny, wrzeszczący, spowity płomieniami, który potknął się, padł i już nie powstał.

Maquin dźwignął się. Świat dookoła niego wirował, gdy rozglądał się w poszukiwaniu Lykosa.

Zabij go! Poprosiła, bym go zabił. Zabij go. Zabij Lykosa, powtarzał w myślach.

Jego dłoń zacisnęła się na rękojeści miecza, a druga wyszarpnęła nóż zza pasa.

– Do łodzi! – wrzasnął Lykos na bestię, którą nazywał Legionem.

– Zaraz! Najpierw posmakuję oczu tego śmiałka! – zawołał Kadoshim i ruszył ku Maquinowi.

Lykos wzruszył ramionami i rzucił się do biegu. Z jaskini bowiem co rusz wypadali nowi ludzie i olbrzymy.

Maquin rzucił się na Legiona i wbił mu nóż w szczękę. Dobił go pięścią, aż ostrze zgrzytnęło o kość.

Kadoshim jednakże uśmiechnął się i złapał mężczyznę za kaftan. Uniósł go i rąbnął w twarz tak, że ten raz jeszcze poleciał, po czym uderzył o ziemię i potoczył się, gubiąc miecz. Gdy wreszcie się podniósł, ujrzał, jak Legion łapie za nóż w swej szczęce i wyciąga go powoli. Usłyszał zgrzyt ostrza przesuwającego się po kości.

– Zawsze wolę walczyć z kimś, kto się na tym zna – oznajmił demon i ruszył na Maquina.

Ten odskoczył do tyłu, a w jego dłoniach pojawiły się nowe noże. Jednym ciął po wyciągniętej dłoni Kadoshim, odrąbując mu kilka palców.

– No chodźże! – warknął Legion i skoczył na Maquina.

Ten uchylił się, rozpędzając rój much, i odskoczył piruetem.

Przestań polegać na instynkcie, powtarzał sobie. To Kadoshim. Trzeba odrąbać mu głowę, a noże się do tego nie nadają! Te muchy też w niczym ci nie pomogą.

O dwrócił się i rzucił ku płonącemu olbrzymowi. W biegu pochwycił skrawek jego płaszcza, którego jeszcze nie objęły płomienie. Zamachnął się i narzucił go na Legiona niczym płonąca sieć. Palone na popiół muchy bzyczały wściekle.

– Lepiej. Teraz cię widzę – oznajmił Maquin, po czym pochylił się i podniósł miecz z trawy. – A muszę cię dobrze widzieć, skoro mam ci odrąbać głowę.

– To ci chwyt! – zaśmiał się Legion i rzucił się na wojownika. – Choć nie wiem, czy starczy ci tej śmiałości na długo! Zaraz wyszę szpik z twoich kości!

Maquin wykonał straszliwe cięcie zza głowy. Lewa dłoń Kadoshim wystrzeliła, wirując, w powietrze.

– Będę cię rąbał na kawałki, jeśli będzie trzeba – warknął Maquin. Pochylił się i podniósł jeden ze swoich krótkich mieczy.

– Teraz to mnie rozwścieczyłeś! – odwarknął Legion i złapał ocalałą dłonią za miecz Jehar.

Ostrza zwały się, krzesząc snop iskier. Ciosy Kadoshim były tak szybkie, że trudno było nadążyć za nimi wzrokiem. Jego natarcie zmusiło Maquina do cofnięcia się. Demon atakował tak szybko i tak dziko, że wojownik wnet został przyparty do drzewa.

– Będę ucztował na twoim ciele! Powyrywam ci flaki z brzucha, a ty będziesz na to patrzył! – chrząknął Legion i uniósł miecz.

Jego ostrze weszło głęboko w pień, bo Maquin nachylił się i odtoczył, a po drodze zauważył złomek włóczni. Pochwycił go i cisnął nim w Legiona, który był akurat zajęty wyrywaniem miecza.

Ułamana włócznia przebiła się przez ogniwa kolczugi i skórę na brzuchu Legiona, a jego samego przybiła do drzewa. Nie zraziło to Kadoshim, który ruszył ku Maquinowi, przeciągając się po tkwiącym w ciele ostrzu. Mężczyzna wyrzeszczał okrzyk bojowy bez słów i skoczył na niego, unosząc miecz oburącz. Rąbnął z taką siłą, że ostrze przeszło przez mięśnie i kości kręgosłupa, by wbić się w korę. Głowa Legiona odpadła od ciała, trzymanego w pionie przez tkwiącą w nim włócznię.

Z rany na szyi wypłynął strumień czarnej mgły, który zakłębił się w powietrzu nad głową wojownika i rozdzielił na kilkadziesiąt skrzydlatych postaci. Te rozpląnęły się po polanie, przysłaniając słońce. Na Maquina spoglądały teraz dziesiątki wściekłych, czerwonych oczu. Dziesiątki skrzydeł tłukły z furją powietrze, aż wojownik poczuł podmuchy na twarzy. Naraz wszystkie demony

zawrzasnęły jednym głosem. Maquin i pozostali odruchowo zatkali sobie uszy i zachwiali się, jakby uderzyło w nich wielkie tornado.

I wtedy czarna chmura demonów zaczęła się roztopiać. Przez moment przypominała czarny, postrzępiony proporzec, rozpędzany zimnym wiatrem, którego podmuchy nadlatywały od jeziora.

Maquin poczuł dłoń na ramieniu. Odwrócił się i ujrzał Alcyona, który stał nad nim. Towarzyszyli mu Tain i inny olbrzym w niedźwiedzich skórach.

Maquin pochwycił odrąbaną głowę Legiona za włosy i uniósł ją wysoko, a potem, zataczając się, dotarł nad krawędź klifu i spojrzał w dół. Na ostrych, poszarpanych skałach, omywanych falami wody z jeziora, spoczywało ciało. Widział kończyny, wygięte pod niemożliwym kątem, widział czarne włosy na głazach, widział czerwony odcień wody.

Zachwiał się, wpatrzony w Fidele. Zaląła go fala rozpaczy tak wielkiej, tak nieubłaganej, iż miał wrażenie, że jego serce za moment przestanie bić. Żałował zresztą, że tak się nie może stać.

Po chwili uświadomił sobie, że płacze, że drży, targany niepowstrzymanym szlochem. Czuł, że za jego plecami zgromadzili się inni: Alcyon, utykający Alben, po nim cała reszta. Wszyscy stali w milczeniu i spoglądali na strzaskane ciało.

Za skałami rozpościerała się tafla jeziora, a daleko na niej Maquin wypatrzył drobną łódź. Maleńcy ludzie przy burtach wiosłowali jak szaleni ku rzece, która wiła się wśród trawiastych równin ku ledwie widocznej masie zieleni Fornu.

– Lykos! – wrzasnął Maquin.

Jego głos poniósł się daleko i jeden z ludzi na łodzi odwrócił się, by na nich spojrzeć. Wówczas Maquin zrobił krok, zamachnął się i wyrzucił trzymaną w rękę głowę wysoko w powietrze. Ta zakreśliła łuk i z niewielkim pluskiem wpadła do wody niedaleko uciekającej łodzi. Przez moment unosiła się na niewysokich falach.

– Idę po ciebie, Lykos! – wyryczał Maquin, osłoniwszy usta dłońmi. – I nikt mnie nie powstrzyma! Ani ludzie, ani demony z Zaświatu!

Rozdział osiemdziesiąty szósty

CAMLIN

Camlin wyjechał z tunelu prosto w świat pełen niezwykłości. Takich drzew, jakie otaczały go zewsząd, nie widział nigdy dotąd. Ich pnie były grube, gałęzie rozchodziły się szeroko, a pięty ku samemu niebu. Ich korony były nieco przerzedzone w związku z nadejściem zimy, a mimo to światło, przenikające między konarami, nadal wydawało się odległe i rozrzedzone. Trudno było oszacować porę dnia, ale Camlin przypuszczał, że dawno minął świt, a południe jeszcze nie nadeszło. Żyjąc w Ciemnym Borze, cenił sobie zarówno przestrzeń wokół siebie, jak i to, że mógł się tam bez trudu schować, ale tu, w Fornie, wrażenie to przybierało tysiącokrotnie na sile. Wydawało mu się, że wreszcie wrócił do domu.

Spojrzał na Meg, która jechała obok niego na kucyku. Uśmiechnął się do niej, ale widział, że dziewczynka jest tak zaskoczona widokiem, że nie zwraca na niego uwagi.

Podobnie zareagowali pozostali, nawet Edana, która jechała przy nim w ślad za dwoma przewodnikami, wojownikami w czerni i srebrze Tenebralu. Mało brakowało, by Camlin wpakował w któregoś z nich strzałę. Na szczęście Craff zdążył się rozedrzyć i ostrzec, że patrzy na sojuszników.

Sam fakt, że nauczyłem się ufać krukowi w kwestiach życia i śmierci, mówi najlepiej o tym, co przeszliśmy, pomyślał Camlin.

Przejechali jeszcze kawałek, gdy z ciemnego lasu wyłoniło się sześć postaci. Edana uniosła dłoń i wstrzymała konia. Za plecami

królowej liczący dwa tysiące ludzi hufiec wolno opuszczał tunel i rozlewał się po lesie.

W ruchach młodego, idącego ku nim wojownika widać było zwinność oraz pewność siebie. Wdział typowy dla tropicieli strój z wełny i wyprawionej skóry. Jego włosy były ciemne, twarz poważna, a podbródek okalała krótka broda. Zwracał na siebie uwagę szerokimi barami i mocną piersią, niczym u kowala. Jeden z bicepsów obwodziła srebrna bransoleta, która od razu przyciągnęła uwagę Camlina. U boku nosił dwa miecze: długi i krótki.

Po twarzy Camlina rozszedł się szeroki uśmiech.

Z zarośli wyskoczył wielki wilkun, który dołączył do idącego wojownika. Ten zatrzymał się przed nimi, spojrział na Edaną i Camlina, po czym uśmiechnął się szeroko.

* * *

– Na Elyona, jak miło cię ujrzeć, chłopcze – odezwał się Camlin.

Jego koń parsknął i boczył się, czując się niepewnie w towarzystwie wilkuna, ale tropiciel wyszeptał kilka kojących słów. Pogładził go po karku i szarpnął za wodze, a wierzchowiec się uspokoił.

– Witaj w lesie Forn, moja pani – rzekł Corban i uklęknął na jedno kolano.

Edana ześlizgnęła się z siodła i podeszła do niego.

– Corbanie, wybij sobie to klękanie z głowy! – powiedziała. – Poza tym, ty jesteś Jasną Gwiazdą z przepowiedni. Może to ja powinnam klękać przed tobą!

– Złożyłem ci przysięgę – rzekł Corban.

– Zwalniam cię z niej! – Edana machnęła dłonią.

Corban zaczął coś mówić, ale wtedy podeszli inni.

– Zrób choć raz to, co ci każą – powiedziała rudowłosa wojowniczką, która podniosła Corbana szarpnięciem. Camlin pamiętał ją z oddziału Ratha z Domhainu. Była wiecznie nadąsana i uwielbiała się klócić, ale dobrze było mieć ją ze sobą podczas walki.

Przez jego serce przetoczyła się fala emocji, gdy rozpoznał kolejnych ludzi, którzy wraz z nim umknęli z Dun Carreg owej burzliwej nocy, a potem uciekali przez Cambren i Domhain – Gara z zakrzywionym mieczem na plecach i Farrella, zaciskającego ogromne dłonie na drzewcu wielkiego młota.

– Witaj, Camlinie – odezwał się znajomy głos.

Camlin spojrział w dół i ujrzał wpatzonego weń Datha, ubranego w strój z brązowej i zielonej wełny, na który narzucił skórzany kaftan. Na jego obliczu malował się bezczelny uśmiech. Chłopak trzymał w jednym ręku łuk ze zdjętą cięciwą, a z jego pasa zwisał kołczan ze strzałami.

– Dath! – wykrzyknął Camlin, po czym zeskoczył z siodła i mocno objął młodzieńca. – Dath, mój chłopcze!

Inni poszli w jego ślady – zeskakiwali z siodeł, obejmowali i ściskali dawnych przyjaciół i towarzyszy. Nawet Brogan dał się ponieść – poderwał rudowłosą Coralen i zakręcił nią dookoła siebie.

Camlin zauważył drobną, ciemnowłosą kobietę z zakrzywionym mieczem na plecach, stojącą za Dathem. Młody łucznik ujął ją za rękę.

– Camlinie – rzekł. – Poznaj moją żonę, Kullę ap Barin. To wojowniczką Jehar.

– Żonę! Rety, chłopcze, co jeszcze ci strzeliło go głowy, odkąd się rozstaliśmy. Dzieci już macie?

– Pracujemy nad tym – odparła rzeczowo Kulla, a Dath zarumienił się niczym dojrzałe jabłko.

Camlin się roześmiał.

– A skoro już mowa o dzieciach, kto to taki? – spytał Dath, a Camlin spojrział na Meg, która zerkała zza niego na Kullę.

– A, to tylko mała przybłęda, której najwyraźniej nie mogę się pozbyć. Ma na imię Meg – rzekł Camlin, nie przestając się uśmiechać.

– Sama nie wiem, ile razy ratowałam ci życie – oznajmiła oburzona Meg. – Ostatnio obrzuciłam kamieniami Rafe’a, a wcześniej wielkiego olbrzyma. Ale dobra! Co mi tam! Następnym razem sam się ratuj.

– Niezłe z ciebie ziółko, co? – odezwał się Dath. – Miło mi cię poznać.

Wyciągnął rękę w pozdrowieniu wojownika, co najwidoczniej bardzo się dziewczynce spodobało, bo skwapliwie uścisnęła jego ramię.

– Rzucasz kamieniami? – spytała Kulla. – To przecież na nic! Nikt cię nie nauczył władania mieczem?

– Ona ma dziewięć lat – rzekł Camlin.

– Ja noszę miecz od trzeciego dnia mojego imienia – warknęła Kulla.

– Co wiele wyjaśnia – mruknął Dath.

* * *

– A więc, Meg, jak tylko wrócimy do obozu, nauczę cię, jak robić mieczem – oznajmiła Kulla i otaksowała Meg wzrokiem. – Może na początek jakimś małym.

Dziewczynka się rozpromieniła.

– Rafe? – spytał Dath, patrząc na Camlina.

– Tak – odparł tropiciel. Jego radość uleciała. – Ten drań ma sporo na sumieniu, a ostatnią jego zbrodnią było zamordowanie Bairda.

– Co?! – wykrzyknęła Coralen. Szła ku nim z Broganem.

– Tak, dziewczę – rzekł Camlin. – Rafe wpakował Bairdowi nóż w bebechy, a potem uciekł w ślad za Rhin, która też udała się do Drassil. Razem z Broganem chcieliśmy za nim podążyć i ukatrupić go w ramach zemsty, ale Edana postanowiła, że sama wyruszy w tym kierunku.

– Baird był jednym z najlepszych, najwredniejszych wojowników, jakich na oczy widziałam. – Coralen wyglądała, jakby miała się zaraz rozpłakać, ale była przy tym tak wściekła, że zwalczyła rozpacz.

– Prawda – przytaknął Brogan.

– Nie wątpię – rzekł Camlin. – Ale Rafe... Cóż, on uległ przemianie. Spojrzał na całą resztę.

– Napił się z kielicha z gwiazdnego kamienia, co najwidoczniej jakoś wzmacnia ciało. Czyni człowieka silniejszym i szybszym. No i daje dłuższe życie.

– Co do tego ostatniego, to się jeszcze przekonamy – warknęła Coralen.

– Wygląda na to, że znaleźliśmy się wśród ludzi, którzy myślą tak jak my. – Camlin odezwał się do Brogana, poklepując go po ramieniu.

– Och, tak – rzekł Brogan. – Muszę się zemścić za rozbity łeb oraz pomścić Bairda, ale dopóki ten człowiek nie zginie, nie mam zamiaru się o nic kłócić.

* * *

W obozie panowało zamieszanie. Gdziekolwiek Camlin nie spojrzał, widział ludzi i olbrzymy pochłoniętych wieloma obowiązkami. Wszyscy jednakże odrywali się od zajęć, by z wielką radością i entuzjazmem powitać Edanę i jej hufiec.

Co zupełnie mnie nie dziwi, pomyślał Camlin. Któż wzgardziłby dodatkowymi dwoma tysiącami mieczy?

Skądś dobiegł brzęk puszcanych cięciw i łoskot strzał wbijających się w drewniane tarcze.

Uwielbiam ten odgłos, dodał Camlin w myślach.

Jego oczom ukazał się szereg trzydziestu łuczników, którzy jednocześnie celowali i wypuszczali strzały.

Dath poklepał go po ramieniu.

– To mój pomysł – rzekł z uśmiechem. – Pomyślałem sobie kiedyś o tobie i twoich pułapkach. Przypomniałem sobie, ile strat byliśmy w stanie zadać, gdy strzelaliśmy we dwóch, i zadałem sobie pytanie, ile byłoby w stanie zdziałać trzydziestu strzelców.

– Cóż, wielkie umysły myślą podobnie – powiedział Camlin z uśmiechem. – Bo wpadłem na bardzo podobny pomysł. Mam własną gromadę ponad czterdziestu chłopaków i dziewcząt, którzy znają się na strzelaniu z łuku. Świetnie się sprawili w Baglunie.

- Może nasze grupy powinny się poznać – stwierdził Dath.
- Wyśmienity pomysł.
- I chciałbym, żebyś mi opowiedział o tej bitwie w Baglunie.
- Opowiem ci, chłopcze, jasne.

Gdy Corban i pozostali zajęli się wyznaczaniem miejsc dla armii Edany, zbliżyła się do nich nowa grupa. Camlin rozpoznał Brinę, ale zamrugał ze zdziwieniem na widok dwojga towarzyszących jej olbrzymów: kobiety oraz sękatego, jednookiego starca z białymi włosami. Camlin podszedł bliżej, a wtedy Corban przedstawił nowo przybyłych Edanie i wszyscy ruszyli na niewielką polankę, gdzie ułożono pniaki i kłody wokół dziury, w której płonął ogień. Corban zajął miejsce, a Camlin zauważył, że Gar i Farrell nie odstępują go na krok.

– Cóż, dziewczę, masz albo najlepsze, albo najgorsze wycucie czasu na świecie – oznajmił Krelis. – Pojawiłaś się dosłownie na dzień przed bitwą!

– Cóż, przybyłam, by pomóc! – Edana uśmiechnęła się do wielkiego wojownika.

– Muszę przyznać, Edano, że szans wielkich nie mamy – oznajmił Corban.

– Do tego to akurat zdążyłam się przyzwyczać – powiedziała Edana, a stojący za nią Vonn parsknął.

– Ruszamy jutro do bitwy tylko dlatego, że musimy – ciągnął Corban. – Nathair stoi na czele hufca liczącego jakieś cztery, pięć tysięcy zbrojnych. Jeśli nie zatrzymamy ich jutro, dotrą do Drassil i połączą się z siłami Calidusa.

– Najlepiej byłoby wybić ich z zasadzki – rzekł Camlin.

– Próbowaliśmy – prychnęła Coralen.

– W skład tej armii wchodzi dwa tysiące orlej gwardii, która osłania hufiec budujący drogę – wtrącił Veradis, młodszy brat Krelisa. – Choć jej siły zostały mocno uszczuplone.

– Szarpiemy ich i kåsamy przez ostatnie dwadzieścia mil budowy – dodał Corban. – Myślę, że nie przesadzę, jeśli powiem, że nauczyliśmy ich lęku przed nocą. Wiedzą też, że lepiej nie opuszczać

obożu w sile mniejszej niż stu wojowników. Mimo to armia wciąż jest zbyt wielka, by ją rozbić.

– A więc musimy na nich ruszyć, zanim będzie za późno – powiedziała Edana.

– Tak – rzekł Corban. – Ruszamy jutro. Nie masz pojęcia, ile nadziei dodało nam twoje przybycie.

– Wróg ma przewagę, ale zdążyliśmy przygotować parę niespodzianek – dodał inny wojownik, odziany w skóry i futra. Długie, gęste włosy splótł w grube warkocze. U pasa nosił jednosieczny topór, a drugi przytroczył do pleców.

Ma na imię Wulf, przypomniał sobie Camlin.

– Dobrze zaplanowany fortel może odwrócić losy bitwy – stwierdziła Edana, spoglądając na tropiciela.

– A więc mamy jeden hufiec w lesie i drugi w fortecy, a my znajdziemy się między nimi? – spytał Halion, który jak zwykle wolał słuchać, niż mówić.

Choć nie uchodzi mu żaden szczegół, pomyślał Camlin.

– Oczywiście spodziewamy się kontrataku ze strony twierdzy – powiedział Veradis.

– Calidus i jego zgraja niechętnie opuszczają Drassil – rzekł Wulf. – Zbyt często obrywali. Ale jutro narobimy mnóstwo hałasu i na pewno się nie oprą.

– Jak macie zamiar odeprzeć ów kontratak, skoro będziecie zajęci walką z Nathairem w środku lasu? – spytała Edana.

– Dobre pytanie – stwierdził jeden z kapitanów Corbana, młody wojownik z długimi, silnymi ramionami. Nosił imię Tahir. – Choć jeszcze nie udało nam się znaleźć na nie dobrej odpowiedzi.

Pochwycił spojrzenie Camlina i uśmiechnął się.

– Musimy szybko złamać siły Nathaira i Lothara – stwierdził Corban. – Trzeba zapomnieć o działaniach nękających, a zamiast tego uderzyć mocno i rozproszyć ich po lesie, zanim dotrą na równinę, a Calidus zdoła pchnąć posiłki.

– Szarża kawalerii na równinie przed murami Drassil mogłaby nam pomóc – zamyślił się Veradis.

– Przybyliśmy wam na pomoc i będziemy walczyć ramię w ramię – oznajmiła Edana z poważnym obliczem. – Niestety, oprócz pomocy przynoszę też złe wieści. Rhin, królowa Cambrenu, również idzie na Drassil.

– Nasi zwiadowcy donieśli już o wielkiej armii na północy – stwierdził Gar. – Wysłałem kolejnych, ale żaden jeszcze nie wrócił.

– To Rhin – powiedziała Edana. – Udała się innym traktem i z początku kierowała się na północ, ale wyruszyła w drogę dziesięć dni przed nami. Wiezie Calidusowi kielich z gwiazdnego kamienia.

– Kielich – westchnął Corban. – Czyli właściwie nie wiemy nic jedynie o naszyjniku oraz o torkwesie.

Wymienił się spojrzeniem z Briną.

– Naszyjnik jest z nami – oznajmiła Edana i skinęła na Haliona, a ten sięgnął w głąb płaszcza i wyciągnął pakunek zawinięty w skórę. Rozwinął go i wydobył naszyjnik, który zdawał się emanować cieniem. Wokół rozległy się szmery podziwu i zaskoczenia.

– Odebraliśmy go Rhin – dodała Edana.

Dath gwizdnął.

– Pewnie się nie ucieszyła – rzekł.

– A więc prawie wszystkie skarby znalazły się w jednym miejscu – szepnął Corban, wpatrzony w Brinę.

– Lada chwila Maquin i Alben mogą powrócić z torkwesem – dodał Veradis.

Brina spojrzała znacząco na Corbana, a ten skinął.

– Cra! – zawołała uzdrowicielka, spoglądając w górę.

– Jestem! – zakrakał ktoś wśród gałęzi.

– Leć no do Drassil. Zobacz, czy Rhin i jej pokurcze nie kryją się tam gdzieś!

Ech, Brina, dobrze cię widzieć, pomyślał Camlin. Dobrze też wiedzieć, że nie straciłaś pazura.

– Edana prosi ładniej! – zakrakał ptak, ale odbił się od gałęzi, która zaskrzypiała, i odleciał.

– Rhin zgromadziła sporą armię. Ma wszystkie siły zachodu łącznie z mieczami Domhainu pod rozkazami Conalla oraz Benothi

z Uthasem na czele – dodał Camlin.

– Uthas! – huknął Balur z mocą młota kowalskiego uderzającego w kowadło.

– Tak właśnie.

– Ech, zapowiada się nam krwawy dzień! – warknął Jednooki i uśmiechnął się.

– Zróbmy wszystko, by wróg wykrwawił się bardziej od nas.

– W Fornie mamy cztery, pięć tysięcy wrogów, a Rhin prowadzi drugie tyle, nie licząc wojsk w Drassil – rzekł Krelis. – Jestem za tym, by urządzić wrogom porządną rzeź, ale wychodzi na to, że będziemy mieli sporo ludzi do zabicia.

Zapadła cisza, gdy każdy myślał o jego słowach.

– Cóż, droga powstaje, gdy się po niej chodzi, jak mawiała moja matka – mruknął Tahir.

Wspólnie przystąpili więc do planowania największej bitwy od czasów Plagi.

* * *

Camlin chodził po polanie za plecami pozostałych, pogrążonych w dyskusji o rozlokowaniu oddziałów przed jutrzejszą bitwą. Rola, którą mu przydzielono, bardzo mu odpowiadała, a więc podszedł do Cywen i usiadł obok niej.

– Dobrze cię wiedzieć, mała – rzekł.

– Ciebie też, Camlinie – odparła i uśmiechnęła się, a tropiciel przypomniał sobie młodą dziewczynę, która ongiś w Ciemnym Borze nie ulękła się wyroku śmierci, który padł z ust Morcanta.

– Być może ucieszy cię to – szepnął jej do ucha – że Morcanta nie ma już wśród żywych.

Przez jej twarz przemknął grymas gniewu, gdy usłyszała jego imię. Otworzyła szerzej oczy, uświadamiając sobie prawdę, po czym zamgliły je wspomnienia. W kącikach pojawiły się łzy.

– Zabił mojego Ronana – szepnęła. – Ech, zacny był to chłopak. Wiesz, że tego dnia całowaliśmy się po raz pierwszy?

Obdarzyła go nieśmiałym, kruchym uśmiechem, który natychmiast ustąpił miejsca goryczy.

– A Morcant zrabował wszystko, co mógł.

Spojrzała na swoje dłonie, a Camlin przypomniał sobie, jak zacisnęła je na szyi rannego wojownika, próbując zatrzymać uciekające z niego życie, choć ten wykrwawił się w kilka uderzeń serca. Zatrzepotały skrzydła i na kolanie Briny wylądował Craff.

– Rhin w Drassil – burknął niechętnie. – Dużo nowych włóczy.

Znów zapadła cisza.

– No to jutro ich pozabijamy – stwierdził Krelis.

– Tak – potwierdził Corban. – Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, by zatrzymać Nathaira i Lothara. Przetrzebiliśmy ich siły, ale i tak dotrą jutro do Drassil, na co nie możemy pozwolić. Zajmiemy się więc nimi w pierwszej kolejności...

Urwał i rozejrzał się dookoła.

– Wolalbym nie toczyć walki z hufcami Calidusa i Rhin, chyba że uda się ich zwabić w las i wydać im walkę na naszych zasadach. Jeśli jednak zdołamy ich uniknąć i jeśli skutecznie rozproszymy Nathaira i Lothara...

– I jeśli Maquin powróci z ostatnim Skarbem... – szepnęła Brina.

Coś dużo tych „jeśli”, pomyślał Camlin.

– Co chcesz przez to przekazać? – spytała Edana. – Kim jest ów Maquin?

Corban i Brina spojrzeli po sobie.

– Brina ma plan – odezwał się młodzieniec. – Wymyśliła, jak zakończyć tę wojnę. Nie chodzi o pokonanie armii zgromadzonych przeciwko nam, ale Asrotha i Kadoshim.

– Jak? – spytała Edana.

Corban zaczął mówić, a kiedy skończył, na polanie zapadła cisza. W końcu Edana wstała.

– Cóż, chyba nadszedł czas, bym rzuciła okiem na to osławione Drassil – rzekła.

Rozdział osiemdziesiąty siódmy

RAFE

Rafe wbił pięty w boki wierzchowca, by nakłonić go do szybszej jazdy w górę zbocza, ku jasnemu światłu. Drapichrust szczechnął, biegnąc przy nim.

Cieszy się tak samo jak ja na myśl o wydostaniu się stąd, pomyślał Rafe.

Od dziesięciu dni armia Rhin, licząca pięć tysięcy konnych, nie szcędząc wierzchowców, gnała naprzód w ciemnościach wielkiego tunelu. Rhin wyprzedziła teraz jadącego w górę Rafe'a, a wraz z nią podążał Geraint, Conall, Uthas i Salach. Pozostałe olbrzymy Benothi znajdowały się na tyłach rozciągniętej kolumny, gdzie pełniły rolę tylnej straży.

Kopyta konia Rafe'a wnet załomotały na posadzce ogromnej sali, zdecydowanie największej, jaką kiedykolwiek widział. Puścił wodze i pozwolił klaczy, by przez moment sama jechała naprzód, a on rozglądał się dookoła, oszołomiony i wstrząśnięty.

Sala wydawała się okrągła, a jej podłogę wyłożono kamiennymi płytami, które bieging naokoło czegoś, co przypominało pień drzewa, choć od zwykłego pnia było tysiąckroć masywniejsze.

To nie może być drzewo! Patrzę pewnie na coś, co uformowano tak, by drzewo przypominało! Dzieło jakiejś magii olbrzymów!, pomyślał Rafe.

Po prawej stronie rozpoczynały się schody, które bieging wzdłuż okrągłej ściany sali i docierały do wielkich, szeroko otwartych drzwi, przez które wlewało się światło.

Tyle czasu spędziliśmy w tym tunelu, że nie wiem nawet, jaka to pora dnia, przemknęło Rafe'owi przez myśl.

Miał wrażenie, że nadeszło południe, co potwierdzał kąt, pod jakim padały promienie słońca.

Przybyłem do Drassil w południe w wigilię Dnia Zimowego Przesilenia, pomyślał.

Błade światło wnikało również do sali przez zasłonięte błoną okna, biegnące wzdłuż innych schodów oraz korytarzy na różnych poziomach ściany. Od samego patrzenia na nie Rafe'owi kręciło się w głowie.

Rhin ściągnęła konia przed starym mężczyzną, który wyglądał, jakby sporo ostatnimi czasy przeszedł. Skóra odłaziła mu płatami z czaszki, a z włosów pozostały nierówne siwe kępki, ale Rafe go rozpoznał. Rysami twarzy przypominał bowiem oblicze, które formowała zdarta z nieboszczyka skóra rozciągnięta na drewnianej ramie królowej.

A więc to Calidus, pomyślał Rafe. Spotkany twarzą w twarz nie wygląda nawet w połowie tak strasznie.

Starca otaczała gwardia wojowników Jehar o bladych twarzach, identycznych z tymi, którzy służyli im jako przewodnicy przez puszcę. Rafe naliczył ich około dwustu. Mieli na sobie czarne kolczugi, a na plecach nosili zakrzywione miecze. Ich twarze były blade niczym śmierć, ale Rafe'a zaniepokoiły przede wszystkim ich oczy: czarne niczym węgle, wgryzające się głęboko w duszę. Po plecach spłynęły mu ciarki.

Za nimi kłębili się inni wojownicy, ale ci wyglądali już jak normalni ludzie. Nosili czerń i srebro, które, jak Rafe wiedział od dawna, były barwami króla Nathaira. Stali w równych szeregach, formując ochronny kordon wokół długiego stołu oraz podwyższenia wspartego o pień ogromnego drzewa. Na podwyższeniu ustawiono wielki kocioł, a za nim stało potężne, przypominające tron krzesło przysypane stertą kości. Po jednej stronie tronu leżał ogromny, obosieczny topór, którego ostrza wykonano z takiego samego czarnego żelaza co kocioł, a po drugiej wsparto długą włócznię. Jej grot w kształcie liścia również był wykuty z czarnego żelaza.

Rhin zeskoczyła z konia i podeszła bliżej. Towarzyszył jej Uthas. We dwoje opadli na jedno kolano przed Calidusem.

– Miło mi was ujrzeć – odezwał się starzec i gestem dał im znać, by powstali. – Gdzie one są? – zwrócił się do Rhin głosem, z którego przebijała niecierpliwość.

Królowa odwróciła głowę. Rafe zeskoczył na ziemię, odpiął niewielką, drewnianą skrzynkę od siodła i popędził ku niej. Zgodnie z instrukcją, której wcześniej udzieliła mu Rhin, uklęknął i uniósł skrzynkę ku Calidusowi.

– Oto puchar z gwiazdnego kamienia – oznajmił, unosząc wieko.

– A naszyjnik? – spytał Calidus. Na jego czole pojawiła się groźna zmarszczka. Wbił wzrok w Rhin.

– Edana go przejęła – powiedział Rafe.

Ręka Calidusa wystrzeliła i zacisnęła się na szyi Rafe'a. Jednym szarpnięciem starzec poderwał go na równe nogi. Młody tropiciel rzeźił, próbując wykrztusić choć jedno słowo, ale Calidus najwyraźniej uparł się, by wydusić z niego życie. Przed oczami zatańczyły mu czarne plamki.

– Edana zmierza tu z wielkim hufcem. Wiezie naszyjnik ze sobą! – zawołała Rhin.

Dłoń zaciśnięta na gardle Rafe'a poluźniła ucisk, a on sam osunął się na ziemię. Uderzył twarzą w zimną, kamienną posadzkę. Leżał, próbując nabrać tchu, i wpatrywał się w Calidusa, a starzec, ku jego zaskoczeniu, uśmiechnął się.

* * *

Cóż to za miejsce!, dziwił się Rafe, jadąc ulicami Drassil i rozglądając się na wszystkie strony. Spoglądał na ogromne drzewo wyrastające ponad dach wielkiej sali. Jego konary i gałęzie rozchodziły się daleko nad fortecą.

Jadę przez krainę z baśni!

Gdzie nie spojrzeł, widział wysokie, kamienne budowle, a ulicami przetaczała się nieskończona rzeka wojowników. Towarzyszył

setkom jeźdźców Rhin, których prowadzono do stajni i zagród, ale na bocznych uliczkach oraz na dziedzińcach krzątali się też ludzie z innych armii i hufców. Niektórzy nosili barwy Tenebrału, inni znoszone skórzane kamizele oraz kaftany, a brody wiązali żelaznymi pierścieniami. Od czasu do czasu udawało mu się też wypatrzeć jakiegoś czarnookiego Jehar, przed którym pozostali rozstępowali się na boki, ale nie było ich wielu. Drapichrust jednakże wydawał się niczym nie przejmować. Szedł przy końskim boku i węszył, jakby po prostu rozpoczął kolejną przygodę.

Rafe wprowadził rumaka do stajni. Zdjął mu uprząż, wyszczotkował sierść, sprawdził kopyta i oskrobał je ostrym nożem. Gdy zakończył pracę, zamknął boks i ruszył wzdłuż długiego szeregu innych zagród.

Naraz coś rąbnęło w drzwi boksu po jego lewej. Odskoczył odruchowo i uderzył plecami o ścianę. Nad furtką pojawił się łeb rumaka, który poderwał się na tylne nogi i usiłował trafić Rafe'a kopytem.

Było to doprawdy wspaniałe zwierzę – srokacz pokryty białymi i brązowymi plamami. Rafe sięgnął do kieszeni i wyciągnął połówkę starego jabłka. Wyciągnął je, na co koń parsknął wściekle, ale po chwili obwąchał i skubnął.

– Proszę, bierz. Dobry koń, dobry – szepnął Rafe i poklepał go po czole.

Otworzył furtkę i wszedł do środka, by dobrze się przyjrzeć zwierzęciu. Był to wysoki, muskularny ogier, pełen energii i zapału.

– Dorodne z ciebie zwierzę. Bez wątpienia układano cię do bitwy – oznajmił, klepiąc go po boku. – W niczym nie przypominasz tej biednej klaczy, którą zajeździłem niemalże na śmierć w drodze do Drassil.

W rumaku było coś znajomego.

– Piękny koń – oznajmił ktoś nowy, wchodząc do boksu. Był to Geraint, wojewoda Rhin. – Osiodłaj go jutro dla mnie jako zapasowego wierzchowca – rzucił i wyszedł.

– Z pamięcią u mnie krucho – szepnął Rafe do rumaka, który zastrzygł uszami. – Boję się, że zapomnę. Zamiast tego możesz stać

się moim wierzchowcem.

Wyszedł na dziedziniec i wspiął się po schodach na mury nad wielką bramą Drassil. Aż gwizdnął pod nosem, gdy spojrzął na zachód i ujrzał wielką równinę, która ciągnęła się aż po ścianę drzew. Wysoka, groźna puszcza, kończąca się daleko za horyzontem, otaczała fortecę odległym, acz nieprzebytym kręgiem, nad którym opadała już czerwona kula słońca. Wysoko nad twierdzą kołysały się gałęzie wielkiego drzewa, trącane podmuchami zimnego wiatru. Rafe wyteżył wzrok i dostrzegł jakiś ruch między odległymi pniami. Jakieś zamazane sylwetki czaiły się na skraju półmroku.

Usłyszał za sobą kroki, po czym ktoś klepnął go w ramię. O dwrócił się i ujrzał Conalla. Pokazał mu sylwetki między drzewami, które wyszły już z cieni na otwartą przestrzeń. Widział około tuzina postaci, w tym niektóre konno. Trzy olbrzymy. Dwóch pieszych wojowników, w tym kobieta z ogniste rudymi włosami, odbijającymi promienie zachodzącego słońca. Drugim spośród pieszych był mężczyzna, stojący obok muskularnego wilkuna o jasnym futrze, dorównującego wzrostem koniowi.

Oddech uwiązał Rafe'owi w piersi. Serce zabiło nienawiścią.

Corban i Burza...

– Cora? – szepnął Conall. – Hal?

Obaj patrzyli przed siebie w milczeniu.

Po chwili Rafe zmierzył wzrokiem jeźdźców i wypatrzył wśród nich jasnowłosą kobietę w szarym płaszczu.

– To Edana – powiedział.

– Tak, zgadza się – potwierdził Conall.

– Jak oni dostali się tu tak szybko?

– Chcieć to móc – mruknął Conall.

Patrzyli jeszcze przez moment, aż wojownik oznajmił:

– Szukają nas.

– Kto taki?

– Dowódcy, a któżby inny? – Conall się skrzywił. – Czeka nas narada wojenna.

* * *

Rafe czuł się niezręcznie i niekomfortowo na krześle z wysokim oparciem, stojącym przy długim stole. Naprzeciwko miał kocioł oraz inne Skarby, ale tak naprawdę to ani krzesło, ani one nie wprawiały go w dyskomfort.

Prawdziwy niepokój budził w nim Calidus i to nie ze względu na upiorny wygląd. Wyczuwał w nim coś przerażającego. Miał wrażenie, że ten człowiek mógłby w każdej chwili poderżnąć mu gardło, nie przestając się przy tym uśmiechać.

Było już ciemno, gdyż w wigilię Zimowego Przesilenia zmierzch nadchodził szybko. Zapalono więc liczne pochodnie, które łopotąły wśród zimnych przeciągów. Strzegli ich wojownicy Jehar, których Rafe wypatrzył około dwóch tuzinów.

Choć wśród cieni czyha ich zapewne więcej, pomyślał.

Zadrżał i znów poruszył się niepewnie na krześle.

Po co mnie tu wezwano?, zastanawiał się. Co robi zwykły łowczy z Ardanu na naradzie wojennej, która ma zdecydować o losach Ziemi Wygnanych?

Rozejrzał się, ale jego wzrok spoczął na Skarbach – kotle, toporze, włóczni i kielichu.

Cztery spośród Skarbów. Może dlatego mnie wezwano? Bo znalazłem puchar i napiłem się z niego?

– Wróg wnet zaatakuje. – Calidus przerwał ciszę. – Jutro bądź pojutrze. Niebawem.

Rafe nie mógł na niego patrzeć. Większość jego czaszki była bezwłosa i przypominała bardziej stopioną świecę aniżeli ludzką głowę. Podobne wrażenie robiła twarz – część ust i policzek były nadwęglone, a z brody pozostało jedynie kilka kosmyków.

– Dlaczego mieliby nas tu zaatakować? – spytał Geraint. – Chodziłem po murach tej twierdzy. Są silne, nie do zdobycia. Potrzeba by wielu tysięcy ludzi, by wdrzeć się na nie i to tylko wtedy, gdyby broniła ich słaba załoga. Tymczasem wraz z naszymi

ludźmi mamy pod rozkazami jakieś siedem tysięcy mieczy. Tylko ostatni głupiec by nas zaatakował.

– Świat jest pełen głupców – zauważył Conall. – Może kilku z nich spotkało się w tym lesie?

– To nie głupcy – rzekł Calidus. – Nie doceniasz ich. Wkrótce zaatakują Nathaira i Lothara, którzy dotarli z budową drogi na odległość zaledwie kilku dni od Drassil. Nie chcą, by ich siły połączyły się z naszymi.

Geraint parsknął.

– Czy świat kiedykolwiek widział taką armię? Jesteśmy niepokonani!

– Tylko raz zebrano podobne siły. – Calidus się zadumał. – Ale od tamtych zdarzeń upłynęło już sporo czasu. Czy jesteśmy niepokonani? Owszem, o ile będziemy trzymać się razem. A kiedy się rozdzielimy?

Wzruszył ramionami.

– Nasi wrogowie wiedzą, że nie mogą dopuścić do tego, by Nathair i Lothar dotarli do Drassil, a więc będą próbowali ich powstrzymać. Zaatakują jutro bądź następnego dnia.

– Czego spodziewasz się wówczas po nas? – spytała Rhin.

– Szkoda by było przegapić taką okazję – rzekł Calidus. – Ich siły na pewno nie liczą więcej niż piętnaście setek mieczy, a więc cisną wszystko, co mają, na Nathaira.

– Edana już do nich dotarła – rzucił od niechcienia Conall.

– Co? – sapnęła Rhin.

– To prawda! – powiedział Rafe. – Właśnie widzieliśmy ją na skraju lasu. Wpatrywała się w Drassil.

– Co za zdzira – oznajmiła Rhin. – Nie mogę pojąć, jak ona śmie mnie ścigać! Mnie! Rozgniotę ją, powieszę na najwyższej gałęzi i będę patrzyła, jak kruki uczują...

– Dość – przerwał jej Calidus. – Zaczynasz gadać jak Legion. Poza tym trzeba się cieszyć z tego, że dotarła tu w ślad za nami i przyniosła naszyjnik. W przeciwnym razie nie siedziałabyś wśród nas...

– W jaki sposób dotarła tu tak szybko? – mruknął Geraint, gdy Rhin odwróciła wzrok.

– Zapewne nie my jedni potrafimy popędzać konie – rzekł Conall.

– To bez znaczenia – stwierdził Calidus. – Chyba że przyprowadziła cztery, pięć tysięcy mieczy.

Spojrzał pytająco na Rhin i pozostałych.

– Niemożliwe – odezwał się Rafe i zastanowił przez moment. – Może ma piętnaście setek, może dwadzieścia, ale na pewno nie więcej.

Calidus szarpnął za kosmyk włosów na brodzie.

– To istotne zagrożenie dla Nathaira i Lothara.

– Śmiem wątpić – stwierdził Geraint.

– Nasi wrogowie znają ten las na wylot i potrafią w nim walczyć. To nie dziki motłoch. Nie wolno ich nie doceniać. – Calidus strzepnął nieco skóry z koniuszków palców i zmarszczył brwi. – Nie zmieniamy planu. Gdy wróg zaatakuje Nathaira i Lothara, wyjdziemy i zaatakujemy ich tyły. Weźmiemy ich w kleszcze.

– W lesie? – spytał Rafe. Nie podobał mu się ten pomysł, bo sam zbyt dobrze pamiętał ostatnią leśną bitwę, w której wziął udział.

– Nie, nie w lesie. Gdy Nathair i Lothar przebiją się do równin wokół twierdzy – wyjaśnił Calidus.

O ile dotrą tak daleko, pomyślał Rafe.

– Poprowadzisz natarcie, lordzie Calidusie? – dopytywał się Geraint.

– Nie opuszczę twierdzy – odparł Calidus. – Zatrzymam też część swego hufca. Muszę pilnować Skarbów.

Geraint zmarszczył brwi.

– A nie byłoby lepiej wyprowadzić całej armii z fortecy i zmiażdżyć wroga? Moim zdaniem trzeba przeprowadzić decydujące uderzenie, które musi się zakończyć klęską przeciwnika.

– I chciałbyś pozostawić Skarby bez opieki? – syknął Calidus. Wpatrywał się w Gerainta, jakby ten postradał zmysły.

– Nie bez opieki – rzekł Geraint. – Mury Drassil i kilkaset mieczy z pewnością wystarczy, by...

– Nie – warknął Calidus. – Skarby są najcenniejsze. Trzeba je chronić za wszelką cenę.

– Pozwól, by to mój hufiec poprowadził uderzenie – odezwała się z zapalem Rhin.

– Jesteś wierną sojuszniczką, choć zawiodłaś mnie – odparł Calidus, stukając się palcem po podbródku. – A konna szarża w istocie może się okazać najlepszym sposobem, by zaatakować tyły wroga.

Uśmiechnął się do królowej.

– Jeśli domagasz się tego zaszczytu, nie będę ci go odmawiać.

– Dziękuję – rzekła Rhin. – Conallu, poprowadzisz straż przednią.

Conall spojrział na nią i uniósł puchar.

– Wyświadczasz mi wielki zaszczyt, moja pani.

W tłumaczeniu na język zwykłych ludzi oznacza to, że ty zginiesz jako pierwszy, Conallu, pomyślał Rafe. Zdobędziesz wielką chwałę na polu bitwy, ale przypuszczalnie nie wyjdiesz z niego żywy. Rhin nie zapomni ci twej zdrady.

– Geraint, Conall, dziękuję wam za wasze rady – rzekł Calidus. – Pora, byście się zajęli przygotowaniem ludzi do bitwy.

Obaj spoglądali przez moment na Calidusa, aż dotarło do nich, że ten właśnie ich odprawił. Przenieśli wzrok na Rhin, która skinęła krótko głową. Obaj wojewodowie wstali i wyszli.

Gdy Rhin nabrała pewności, że odeszli, pochyliła się ku Rafe'owi i zaczęła mu szeptać do ucha, a ten słuchał uważnie, a na koniec pokiwał głową.

Nowe zadania do wykonania oraz szansa, by powrócić do łask Rhin, pomyślał.

Calidus spojrział na Rhin i Uthasa.

– Oboje wykonaliście znakomitą robotę i zasłużyliście sobie na nagrodę. Pełne zwycięstwo jest tuż, tuż, wystarczy ręką sięgnąć.

– Pokonanie Jasnej Gwiazdy i wszystkich, którzy go wspierają, w jednej decydującej bitwie, będzie w istocie wielkim krokiem naprzód – rzekła Rhin.

– A w ich liczbie Balura i Ethlinn – dodał Uthas.

– Tak – rzekł Calidus. – Ale jutro wydarzy się coś jeszcze.

Pochylił się ku nim z twarzą ukrytą wśród cieni.

– Asroth odzyska postać cielesną – wyszeptał konspiracyjnym tonem.

Rafe poczuł, jak po plecach spływają mu dreszcze.

– Ale przecież mamy tylko cztery Skarby – stwierdziła Rhin. – Co z naszymi, sztyletem i torkwesem?

– Naszyjnik jest w rękach Edany, która czai się gdzieś w lesie. Wystarczy go jej tylko odebrać – rzekł Calidus z groźbą w głosie. – Zrehabilituj się za dotychczasowe niepowodzenia.

– Tak uczynię – rzekła Rhin. – Ale nadal nie mamy torkwes i sztyletu!

Calidus klasnął w dłonie. Z cieni wyłoniły się trzy postacie – dwóch Jehar eskortujących starszego mężczyznę o ciemnych, przetkanych siwizną włosach. Wydawał się skrajnie wyczerpany, a pod oczami miał wielkie sińce. Jego ubranie było podarte i poznaczone plamami potu, na dziesiątkach ran widniały świeże strupy, a u pasa wisiał krótki miecz. Mimo to szedł z pewnością siebie i charyzmą, którą Rafe rzadko widywał. W jego oczach płonął poskromiony gniew, a głową obracał ostro i gwałtownie niczym polujący jastrząb. Na szyi nosił ciężki, nazbyt duży torkwes z czarnego żelaza, który zdawał się go przytłaczać.

– Pozwólcie, że przedstawię wam mego najstarszego sojusznika na Ziemiach Wycznanych. Oto Lykos, władca Vin Thalun!

Lykos padł na krzesło, nalał sobie ciemnego wina i rozsiadł się, opierając jeden but na stole. Wychleptał zawartość kielicha, otarł usta, a potem zdjął torkwes i rzucił go ze wzdargą na stół. Ten przetoczył się na oczach wszystkich, aż zadygotał i zatrzymał się.

– Nie masz bladego pojęcia, przez co przeszedłem, by ci to przynieść – rzekł Lykos, a potem nalał sobie jeszcze jeden kielich.

W śmiechu Calidusa pobrzmiwało szaleństwo.

– A co ze sztyletem? – spytał Uthas. – Nie mają go Jotun?

– Mieli go kiedyś – rzekł Calidus i sam upił łyk. – Ale sytuacja się zmieniła. Asroth nie próżnuje w Zaświecie. Pojmał więźnia.

Uśmiechnął się, napawając się swym tryumfem.

– Teraz Corban, obwołany Jasną Gwiazdą, zawładnął sztyletem, i jutro wyciągnę go z za pasa jego zmasakrowanego trupa.

Rozdział osiemdziesiąty ósmy

CORBAN

Corban znów znalazł się w szarym świetle. Stał w pustym korytarzu i skądś wiedział, że znajduje się głęboko pod ziemią. Czuł nad sobą ciężar ogromnej góry. Rozejrzał się – nie dostrzegł nikogo, ale z jakiegoś powodu poczuł przymus, by ruszyć przed siebie.

Po obu stronach korytarza widział rzędy drzwi z grubego, dębowego drewna. Znajdowały się w nich okienka z żelaznymi sztabami.

Wszystkie cele, do których Corban zajrzał, były puste, z wyjątkiem ostatniej, gdzie dostrzegł wysoką, ciemnowłosą postać, odwróconą do niego tyłem. Nieznajomy złożył na plecach wielkie skrzydła z białymi piórami. Zapewne usłyszał Corbana, bo odwrócił się i ukazał mu zalaną łzami twarz. Głowę miał obwiązaną liną, która przytrzymywała knebel.

Corban patrzył na Meicala.

– Jak to... Kto ci to zrobił? – spytał.

Meical uczynił krok ku niemu, ale wtedy rozległ się brzęk wielkiego łańcucha na podłodze. Corban zauważył, że na kostki Meicala założono kajdany, a spajający je łańcuch przechodził przez obejmę w kamiennej podłodze. Ben-Elim wpatrywał się w niego oczami przepełnionymi rozpaczą.

* * *

Corban przebudził się i ujrzał wokół siebie szary świt.

Co to było? Meical w więzieniu? Czyżby został złapany przez Asrotha i Kadoshim?

Wokół przelewały się cienie. Czuł ciepło wtulonej w siebie Coralen. Poruszył się, a wtedy rudowłosa wojowniczką otworzyła oczy i westchnęła głęboko. Corban pogładził ją po policzku. Dobrze pamiętał, co ich czekało tego dnia.

Nie jestem w stanie nic zrobić dla Meicala, pomyślał.

– Już czas – szepnął.

Wstali bez słowa, ukucnęli przy nieodległym strumieniu i zmyli resztki senności z twarzy. Nadciągał zimny dzień, a woda była lodowata. Corban wzdrygnął się i sapnął. Nadal zachowując milczenie, przygotowali się do bitwy. Nawzajem dociągnęli sobie rzemienie i zapięli sprzączki. Następnie Corban wzuł buty i wciągnął kolczugę na grubą, wełnianą koszulę. Była ciężka, ale dobrze się w niej czuł. Poruszył ramionami, by dopasowała się do ciała. Coralen uniosła skórzany kaftan i nałożyła mu go przez głowę. Na jego piersi widniała czteroramienna gwiazda.

Nic już nie poradzę na te fałszywe prorocтва, pomyślał Corban. Staję przeciwko Asrothowi, Calidusowi i Nathairowi. Skoro to czyni mnie Jasną Gwiazdą, niech tak będzie.

Pomógł Coralen nałożyć jej własną kolczugę, którą ściągnęli z jakiegoś martwego orlego gwardzisty, który już jej nie potrzebował, a potem dociągnął rzemienie jej kaftana. Następnie przypiął sobie oba miecze, a Coralen – miecz i trzy noże. Rękawice z kłami wilkuna na razie przywiązali do pasów. Na koniec dziewczyna poprawiła Corbanowi torkwes z głową wilka oraz jego srebrną bransoletę naramienną.

Ujął jej dłoń i spojrzał jej w oczy. Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale ona położyła mu dwa palce na wargach.

– Żadne słowa nie wyrażą tego, co czuję – szepnęła.

– Ja kilka znalazłem – odparł Corban. – Kocham cię.

– Wiem. – Uśmiechnęła się i ucałowała go.

Ciemności ustępowały szarościom, kiedy Corban usłyszał kroki, które mogły należeć jedynie do Gara. Jego przyjaciel również był gotowy na bitwę. Miał na sobie ciemną kolczugę, włosy związane

w ciasną kیتę i miecz przytroczony do pleców, a u boku topór ojca. Obejrzał Corbana od stóp do głów i skinął głową.

Wtedy zaczęli napływać inni. Brina i Cywen przyszły razem, a po nich Farrell z zaciętą miną. Włosy i brodę zaplótł w warkocze wojownika. Znad jednego ramienia wystawał mu trzonek młota wojennego, a u pasa wisiał długi miecz. Po chwili nadeszli też Dath i Kulla.

– Gdzie jest Laith? – spytał Dath.

– Ciągłe śpi – odpowiedział Farrell, wzruszając ramionami. – Chrapie jak diabli, jeśli chcesz wiedzieć, ale nie mów jej, że wiesz to ode mnie. Nie lubi pobudek. Ale niebawem do nas dołączy.

– Jak tak dalej pójdzie, przegapi całą zabawę.

– Raczej wątpię – rzekł Farrell. – Nie sądzę, byśmy zakończyli przed południem.

Tego akurat jestem pewien, pomyślał Corban, a głośno powiedział:

– Mogłeś na nią poczekać.

– Ban, jestem twoim przybocznym. Poza tym wszyscy wiemy, jaki mamy dziś dzień. Laith mnie znajdzie, bo wie, gdzie mnie szukać. Będę przy tobie. Gdziekolwiek się znajdziesz, będziemy strzegli twych pleców.

Corban uśmiechnął się do starego przyjaciela i chciał coś odpowiedzieć, ale włochata kula w gardle przeszkodziła mu w wykrztuszeniu choćby słowa.

Trzepot skrzydeł obwieścił przybycie Crafa. Kruk wylądował na ramieniu Briny.

– Wieści! – zakrakał.

– Mówże – powiedziała Brina i podrapała ptaka po szyi.

– Torkwes znalazł się w Drassil.

Zewsząd dobiegły pytania, ale Brina przecięła je własnym:

– Jesteś pewien?

– Tak, pewien! – wychrypiał ptak. – Widziałem. Z toporem, włócznią, kielichem i kotłem.

Zapadła cisza, gdy wszyscy zebrani uświadomili sobie powagę sytuacji.

– A więc nadszedł ten moment – rzekł Dath.

W jego głosie Corban wyczuł to samo napięcie, które dusiło go w piersi, owo osobliwe połączenie lęku, ekscytacji i gniewu, w którym przewagę co chwila osiągał strach. Kulla ścisnęła dłoń Datha.

– Tak – zgodził się Farrell.

– To właśnie ten moment – szepnął Corban.

Stali w kręgu, trzymali się za ręce i spoglądali na siebie. Uśmiechali się, choć po policzkach płynęły im łzy. Chwila zdawała się trwać wiecznie.

– Tak czy inaczej, ta wojna dziś się zakończy – dodał Corban.

Wiedzieli, co ma na myśli. Zwyciężą i przeżyją albo zostaną pokonani i zginą.

– Boję się – powiedział Corban w powstałej ciszy.

– Ja również się boję – dodał Gar, a po nim inni.

– Ale wszyscy ludzie czują strach, nie tylko tchórze, ale również bohaterowie i wszyscy inni ludzie – rzekł Farrell.

– Otóż to. Liczy się nie strach, ale to, jak z nim walczymy – mruknął Dath.

– I co w tej sprawie zrobimy? – spytała Coralen, choć Corban już znał odpowiedź.

– Nic. Ruszymy do walki.

Stali nieruchomo, w milczeniu. Ściskali się za ręce i szukali własnej odwagi.

– A więc wszyscy gotowi? – spytała Brina.

– Nie całkiem – rzekł Corban. – Burza! – zawołał, a wilkunica wyłoniła się z półmroku. – Pora przygotować cię do bitwy.

* * *

Corban szedł przez obozowisko, prowadząc swoich przyjaciół. Kolczuga Burzy falowała lekko z każdym jej krokiem. Pasowała idealnie – skórzany, nabijany ćwiekami pas obwodził jej szyję, a paski i rzemienie, przechodzące pod brzuchem zwierzęcia, zacieśniały kolczugę tak, że przypominała drugą skórę. Poruszała się

i wybrzuszała z każdym napinającym się mięśniem. Corban dał już Burzy okazję, by się przyzwyczaiła do kolczugi podczas wypadów na ludzi Nathaira i Lothara. Z początku boczyła się na nowy nabytek i drapała, ale Corban podłożył pod kolczugę wełnianą derkę, przez co pancerz przestał Burzę obcierać. Przypominała teraz smukły posąg ulany z żelaza, a poruszała się z gracją i zwinnością niczym płynny metal. Corban wyczuł ciężar jej kroków przez podeszwy swych butów.

– Wszyscy gapią się na ciebie – powiedział, nie przesadzając ani odrobinę.

Wraz z Briną udał się na krótką naradę z dowódcami i przekazał im to, czego dowiedział się od Crafa. Wszyscy od razu zrozumieli, że ich sytuacja strategiczna się zmieniła. Nadal czekał ich atak na Nathaira i Lothara, ale teraz, zamiast unikać starcia z Calidusem, musieli skupić jego uwagę na równinie przed twierdzą i jeśli będzie to możliwe, wyciągnąć go wraz z armią z Drassil. Wiele momentów tej bitwy mogło pójść nie po ich myśli.

– Możemy już ruszać. – Brina zwróciła się do Corbana.

– Nie. Muszę się pokazać na polu bitwy.

Brina burknęła pod nosem, ale ustąpiła, gdyż omówili to wcześniej.

– Gdy ruszymy, trzeba będzie działać szybko – powiedziała.

– Tak – odparł Corban. – I musimy trzymać się blisko siebie.

– Właśnie. Panuj więc nad sobą i nie daj się ponieść w największą ciźbę, by ciąć i rąbać!

– Dziś nie chodzi o nic innego.

– Dobrze o tym wiem – rzekła Brina. – Ale rozsądnie wybieraj sobie ofiary.

Corban poczuł, że staruszka wsuwa mu dłoń do ręki.

– I uważaj na siebie, Ban. Niewielu zostało na tym świecie ludzi, na których mi zależy, a ty jesteś jednym z nich.

– Ja też cię kocham, Brina.

Ścisnął staruszce dłoń, a ta zachnęła się, ale w kącikach jej ust błysnął uśmiech.

Corban stanął na szczycie niewielkiego pagórka na południowym skraju obozu i czekał tam przez chwilę. Zamknął oczy, a waga tego dnia wypełniła jego głowę z siłą lawiny, niemalże odbierając mu dech.

Otworzył oczy.

Widział przed sobą całą swą armię, a wśród nich Jehar, olbrzymy oraz mężczyźni i kobiety tyłu królestw i krain.

Ardan, Narvon, Domhain, Isiltir, Tenebral...

Gdzie nie spojrzeł, widział symbol Jasnej Gwiazdy, uwieczniony na proporcach, tarczach, skórzanych kaftanach i napierśnikach. Ten symbol jednoczył ich wszystkich, niwelował wszelkie różnice i wytyczał im jeden cel. Corban patrzył na trzy tysiące pięciuset wojowników, którzy spoglądali teraz ku niemu.

Nabrał tchu.

– Dziś czeka nas walka – powiedział w stronę tłumu wojowników, nieruchomego niczym powierzchnia jeziora podczas bezwietrznej pogody.

– Wycierpieliśmy wiele krzywd. Każdy z nas poniósł jakąś stratę, każdy z nas przeżył własną tragedię, ale dziś mówimy: dość!

Wszędzie widział potakujące głowy, wszędzie słyszał pomruki aprobaty. Jego wzrok prześlizgiwał się po masie ludzi i olbrzymów. Dostrzegł Haelana, który wpatrywał się w niego błyszczącymi oczami, krzywo uśmiechniętego Camlina, Vonna, Haliona i wielu innych, a na końcu Gara.

– Jestem dumny, iż mogę stanąć przy was, bo wiem, że nikt z was nie walczy dla bogactwa, chwały czy sławy. Walczymy o coś znacznie prostszego, ale też potężniejszego!

Postukał się w pierś.

– Walczymy o tych, których kochamy.

Znów poczuł włóchatą kulę w gardle, bo przed oczami stanęli mu rodzice. Ujrzał, że wielu spośród otaczających go ludzi również walczy z łzami.

– A ta prawda da nam odwagę, której potrzebujemy! – wykrzyknął. – Dziś ruszamy na spotkanie tych, którzy zabijali nam

bliskich, zajmowali nam domy i gotowi byli sięgnąć po nasze życia. Pokażemy im, co daje nam siłę do działania. Prawda i odwaga!

Tysiące głosów powtórzyło jego wezwanie. Hasło „Prawda i odwaga” poniosło się echem nad lasem, a Corban poczuł nagły przypływ niepowstrzymanej dumy i miłości do tych ludzi. Czuł się z nimi związany braterską więzią. Tak wielu spośród tych, którzy mieli dziś ruszyć do boju, niczym się od niego nie różniło. Byli przestraszeni, zagniewani, doprowadzeni do ostateczności, gotowi stawić czoła złu w obronie bliskich i ukochanych.

– Dziś – wykrzyknął – czeka nas zwycięstwo bądź śmierć, ale bez względu na wynik bitwy dziś pomścimy tych, których nam odebrano. Dziś pomścimy krzywdy, których doznaliśmy. Dziś sięgniemy po sprawiedliwość albo zginiemy. Czekają nas ponury, mroczny i krwawy dzień, ale też dzień dumy i zemsty. Dziś bowiem nastał dzień gniewu.

– Gniewu! – podchwycili inni, a okrzyk poniósł się echem. – Gniew! Gniew!

Ryk gotowych do walki wojowników był ogłuszający. Krzyczeli z pasją, tłukli bronią o tarcze i tupali, powtarzając raz za razem wciąż to samo słowo.

– Cóż, jeśli Laith jeszcze się nie przebudziła, musi być głucha – szepnął Dath do Farrella.

* * *

– Są gotowi? – Corban zwrócił się do Veradisa.

Obaj spoglądali na przeciwną stronę obozu, skąd dobiegał szczeł oręża oraz przekleństwa Balura, głośnie na tyle, że ptaki wzbijały się ze strachem do lotu.

– Będą musieli być – rzekł Veradis.

– Veradisie. – Corban złapał wojownika za ramię. – Pytałeś mnie kiedyś o wybaczenie.

– Tak – odparł tamten, nieruchomy jak głaz.

– Moja odpowiedź brzmi: tak – rzekł Corban.

Veradis odetchnął.

– Dziękuję – odparł.

Obok niego stał Halion, który rozmawiał z Craferem siedzącym na ramieniu Briny. Wojownik pochylił się nad ptakiem i mówił coś do niego pośpiesznie cichym głosem. Gdy skończył, Crafer wykrzyczał skargę, ale pokiwał głową, a Halion odszedł.

– Miej na nas oko – powiedziała Brina do ptaka. – Nie życzę sobie żadnych paskudnych niespodzianek na polu bitwy!

– Wygrajcie i przeżyjcie! – Crafer musnął dziobem włosy Briny. – Bo Crafer będzie smutny i samotny!

Wzbił się do lotu, a Brina odprowadziła go wzrokiem.

– Uważaj na siebie, ty stary, wyliniały kruku – mruknęła.

Patrząc na Brinę i pozostałych, Corban poczuł falę strachu.

Próbowałem przygotować nas na każdą ewentualność, ale teraz już za późno na zmiany, pomyślał. Znaleźliśmy się o krok od chaosu. Każdy kolejny krok może wieść prosto do śmierci. Coralen, Cywen, Gar, Brina, Dath, Farrell...

Na samą myśl o tym, że ktoś z nich miałby zginąć, robiło mu się zimno.

Ale mimo to musimy podjąć działania. Trzeba zabić Calidusa, a kto tego dokona, jeśli nie my?

Odpiął rękawicę z pazurami wilkuna i nałożył ją na lewą dłoń. Dociągnął rzemienie zębami i zapisał sprzączki, po czym zszedł ze wzgórza wraz ze swymi kapitanami. Konie rżały i tupwały o ziemię, gdy jeźdźcy wskakiwali w siodła. Niczym wielka bestia, przebudzająca się ze snu, armia Corbana ruszyła w głąb lasu. Za nimi Burza uniosła łeb ku niebu i zawyła.

Rozdział osiemdziesiąty dziewiąty

NATHAIR

Nathair usłyszał przeciągłe, donośne wycie wilkuna, które niosło się echem po puszczy i płoszyło ptaki z gęstwiny leśnej. Odgłos zmroził mu krew w żyłach, gdyż wyczuwał w nim lodowatą, bezwzględną nienawiść. Wiedział, że nie jest jedynym, który ma takie odczucia. Orli gwardziści nieruchomieli bądź rozglądali się niepewnie, a ich szereg falował. Nawet jego draig wyczuł grozę i lekko przechylił łeb na bok. Zawahał się na moment i zwolnił, ale po chwili wyrównał tempo.

To wilkun Corbana, pomyślał Nathair. Burza. Wiem to.

Przez ostatnich kilka księżyców widywano tę bestię aż nader często. Widziano, jak przemyka wśród cieni Fornu, jak ich podchodzi, jak porywa tych, którzy zapędzili się za daleko w las. Nathair słyszał, jak ludzie rozmawiają o wilkunie wokół ognisk. W ich opowieściach urastał on do rangi nieśmiertelnej istoty.

Pokażę im, że się mylą. Niech no tylko mój draig go dorwie.

Nathair jechał na czele kolumny w samym środku oddziału złożonego z kilku setek orlej straży. Wojownicy szli w ośmiu szeregach, a robotników, którzy w pocie czoła pracowali nad budową drogi do Drassil, osłaniały z obu stron kolumny liczące po trzy szeregi.

Gdy odnalazłem Lothara, mieliśmy razem jakieś sześć tysięcy mieczy, myślał Nathair. Teraz jemu zostało jakieś trzy, a mnie niewiele ponad tysiąc. Cóż, po trzech księżycach nieustających napadów i zasadzek trzeba się liczyć z jakimiś stratami. W naszym

przypadku to jakieś dwa tysiące ludzi, jeśli chodzi o ścisłość, choć ponad setka została przyłapana na próbie dezercji. Lothar kazał ich stracić dla przykładu i trzeba przyznać, że egzekucje robiły wrażenie. Bezwzględny człowiek. Podziwiam go, choć nie daje się nim tak łatwo manipulować jak Gundulem.

Spojrzał za siebie i zobaczył Lothara, który jechał ku nim. Jego hufiec nadal strzegł kilkuset robotników tyrających na trakcie. Nakazał swoim ludziom nałożyć najlepsze pancerze, gdyż liczył się tego dnia z walną bitwą, gdyby nie udało im się dotrzeć do Drassil.

A pewnie czeka nas i jedno, i drugie, pomyślał Nathair. Corban i jego motłoch nie są w stanie nas zatrzymać, ale na pewno będą próbowali pokrzyżować nam szyki.

Zadudniły kopyta nadjeżdżającego konia. Lothar robił imponujące wrażenie na swym czarnym ogierze. Założył niedawno oczyszczoną, mieniającą się kolczugę i wypolerowany do połysku napierśnik z czarnym młotem Helvethu. Na szyi miał srebrny torkwes, na ramiona narzucił biały płaszcz obszyty gronostajem, a warkocz na brodzie oplótł srebrnym drutem. Towarzyszyło mu dziesięciu Kadoshim.

Lothar pozdrowił Nathaira zdawkowym skinieniem, jakby witał się z równym sobie, co zawsze Nathaira irytowało, a potem dłuższą chwilę zajęło mu opanowywanie rumaka, który czuł się nieswojo przy draigu. Tenebralczyk spoglądał na to z dobrze skrywaną satysfakcją.

– Ile jeszcze? – spytał Lothar, wpatrując się w mrok między drzewami.

– Gdybyśmy popędzili konie, dotarlibyśmy do Drassil, nim słońce pokonałoby połowę drogi do zenitu – odparł Nathair i wzruszył ramionami. – Ale w tym tempie ucieszę się, jak dotrzemy tam o zachodzie słońca.

– A wróg? – mruknął Lothar, rozglądając się.

– Na razie ani śladu.

– Słyszałem wycie tej bestii. Wszyscy słyszeli. Oni czekają. Zaatakują.

Wiem, pomyślał Nathair. Sam bym to zrobił na ich miejscu.

– To pstrokata zbieranina wielu hufców i wielu narodów, a każdej grupie przewodzi ktoś inny – odparł. Urwał, bo z północy dobiegł nowy, osobliwy zapach.

– Czujesz to? – zwrócił się do Lothara.

– Może to ogień. Nie zdziwiłbym się, gdybyśmy znaleźli się blisko ich obozu.

Zapach znikł równie szybko, jak się pojawił.

– Rzekomo dowodzi nimi ów Corban – ciągnął Nathair. – Ale kto to może naprawdę wiedzieć? Zresztą same rozmiary naszego hufca zapewne zniechęcą jego i tę jego zgrają do walki z nami. Bitwa bowiem może się skończyć tylko w jeden sposób.

A wtedy z cieni przed nimi zaczęli wyłaniać się ludzie.

Nathair poczuł najpierw zaskoczenie, a potem lęk, gdyż nieznajomi mieli na sobie czarno-srebrne tuniki tenebralskie. Sprawnie uformowali liczący trzydzieści tarcz szereg, a Nathair z grzbietu swego draiga zauważył, iż za pierwszym szeregiem znajduje się jeszcze pięć kolejnych. Po bokach osłaniała ich gęstwina leśna.

Dopiero po chwili dostrzegł białą gwiazdę na ich tarczach. Wprawilo go to w złość.

Hufiec z Ripy! Ludzie Krelisa! Z moimi Kłami Draiga nie mają szans!

By podkreślić swą wzgardę, Nathair zatrzymał formację dopiero po kilkudziesięciu krokach. Żołnierze stanęli jak dobrze naoliwiona maszyna, a ich tarcze zwarły się z głośnym trzaskiem. Ludzie na flankach cofnęli się, by zasłonić robotników Lothara.

Spomiędzy wrogich wojowników wyłoniła się jakaś postać. Nathair spodziewał się, że ujrzy Krelisa, ale był to ktoś, kogo znał o wiele lepiej.

* * *

W pierwszej chwili Nathair uśmiechnął się lekko. Opanował odruch zeskoczenia na ziemię i objęcia starego przyjaciela. Tymczasem

Veradis wpatrywał się w niego i gładził dłoń, na której nosił bliznę, pamiątkę po nocy, gdy poprzysięgli sobie wierność.

– Cieszę się, że cię widzę! – zawołał.

– Czemu stajesz mi na drodze, przyjacielu? – odparł Nathair.

Veradis zrobił kilka kroków i zatrzymał się niedaleko muru tarcz tenebralskiego króla.

– Bo się mylisz – powiedział po prostu.

Wystarczyło to jedno zdanie, by Nathair poczuł, jak wszystkie jego argumenty, strategie, polityczne wywody i jakże racjonalne wymówki osypują się w pył. Wiedział, że Veradis ma rację. Pochylił głowę i zacisnął powieki.

Co ja tu robię?, pomyślał. Jak ja się tu znalazłem? Czemu jestem pionkiem Asrotha?

Dobrze znał odpowiedź.

Przez moją ambicję. Chciwość. Żądzę władzy. I tchórzostwo. Jestem tchórzem. Wołałem złożyć przysięgę na wierność wrogowi, niż umrzeć z wysoko uniesioną głową i czystym sumieniem.

W jego sercu zapłonęła nienawiść do siebie samego, czysta niczym biały płomień. Uświadomił sobie, że otacza go nieprzenikniona cisza. Uniósł wzrok i ujrzał Veradisa, który wpatrywał się w niego i błagał go wzrokiem, by wreszcie podjął właściwą decyzję.

Mógłbym zawrócić, nawet teraz, myślał Nathair. Mógłbym dołączyć do Veradisa i zniszczyć wojsko Lothara. Przeważylbym w ten sposób losy bitwy i wybaczone by mi moje błędy. Wraz z Veradisem poprowadziłbym ich ku zwycięstwu.

Jakiś ruch przykuł jego uwagę. Między drzewami, gdzieś po prawej, przemknął biały cień, który natychmiast znikł. Potem znów się pojawił. Był to wilkun, który wypadł spomiędzy drzew i szedł wzdłuż szeregu z nisko opuszczonym łbem. Bursztynowe ślepiec zdawały się jaśnieć, gdy spoglądał na szeregi orlej straży. Uniósł łeb, spojrzał na draiga i zawarczał głucho. Jego sierść migotała i mieniła się niczym płynne srebro w półmroku. Z ogromnej paszczy sterczały długie, zakrzywione kły.

A więc to jest Burza, pomyślał Nathair.

Usłyszał głuchy pomruk draiga, będący odpowiedzią na wyzwanie wilkuna.

Burza podbiegła do kolejnej postaci, która wyszła z cieni. Był to młody, barczysty wojownik z czarnymi włosami, mający na sobie zwykłą kolczugę i skórzaną kamizelę. Na piersi nosił czteroramienną gwiazdę.

– To ty jesteś Corban? – spytał Nathair.

– Spotkaliśmy się już – rzekł młodzieniec. – Nie pamiętasz?

– Pamiętam – odparł król.

W istocie, przypominał sobie młodego chłopaka, który wpatrywał się w niego znad zalanej krwią podłogi, pochylony nad czyimś trupem. Obiecywał Nathairowi, że go zabije.

– Obiecałeś mi śmierć.

– Prawda – rzekł Corban.

– Możesz spróbować, jeśli znajdziesz w sobie odwagę.

Przez twarz Corbana przemknęła czysta nienawiść, ale po chwili znikła.

No, no. Potrafi nad sobą panować, pomyślał Nathair.

Corban, drżąc, nabrał tchu i spojrzał na Veradisa, a potem znów na Nathaira.

– Możesz do nas dołączyć. Jeśli znajdziesz w sobie odwagę.

– Co?

– Mógłbyś do nas dołączyć – powtórzył Corban. – To Calidus jest tu wrogiem, nie tylko naszym, ale całej ludzkości. Drogę do Drassil okupił kłamstwami, morderstwami i intrygami. Wykorzystał cię, Nathairze, ale możesz położyć temu kres.

– Dołącz do nas, Nathairze – ponaglił go Veradis. – Corban oferuje ci szansę. Odwróć się od ścieżki, którą wybrałeś. Pamiętaj, kim jesteś. Przypomnij sobie swe marzenie. Nasze przysięgi. Naszą przyjaźń.

Nathair wpatrywał się w Veradisa. Przez moment zatęsknił za prostotą dawnych czasów.

– A Corban? – zapytał.

– Wybaczy ci. To on jest Jasną Gwiazdą. Powinniśmy iść za nim od samego początku!

Wtedy w sercu Nathaira przebudziło się nowe uczucie. Zazdrość.

Wybaczyć mi?, pomyślał. Jasna Gwiazda? Nosilem ten tytuł tak długo, a ty teraz godzisz się na to, by cieszył się nim ktoś inny? Myślisz, że Corban jest kimś lepszym ode mnie?

Odniósł wrażenie, jakby w jego sercu zatrzasnęły się zimne wrota. Wyprostował się w siodle.

– Oferuję ci ten sam wybór, Veradisie. Stań po mojej stronie, ty i twoi ludzie. Bądź znów moim wojewodą, moim pierwszym mieczem, człowiekiem, którym miałeś być. Złożyłeś mi przysięgę, a przecież nie należysz do tych, którzy lekceważą dane słowo, prawda?

Veradis wpatrywał się w niego. Jego usta drżały.

– To wszystko było kłamstwem – wyszeptał.

– Przejdź na moją stronę – rozkazał Nathair, a ciszej dodał: – Mogę wszystko naprawić.

– Nie. – Veradis pokręcił głową. – Nie, nie możesz. Jak ty chcesz cokolwiek naprawić, skoro sam już nie wiesz, co jest słuszne, a co nie?

Po jego policzkach płynęły ciche łzy.

– Będziesz jeszcze długo słuchać tych głupców? – spytał Lothar.

Nie, pomyślał Nathair.

Znów poczuł zapach dymu, ale zignorował go, nie spuszczać oczu z Veradisa i Corbana.

– Sygnał: do natarcia! – zwrócił się do człowieka z rogiem. – Caesusie! – wykrzyknął, gdy trębacz zadał w instrument. – Przepędź mi tę hołotę z drogi!

– A więc sam podjąłeś decyzję – rzekł ze smutkiem Veradis, choć suchy trzask zwierających się tarcz i kroki ruszających gwardzistów pochłonęły jego słowa.

Corban i Burza wniknęli w ciemność, a Veradis zawrócił w stronę własnego muru tarcz, wykrzykując przy tym rozkazy. Ku wielkiemu zaskoczeniu Nathaira tamci zaczęli się wycofywać. Odwrót był zorganizowany i przeprowadzony z podziwu godną sprawnością – uciekający nawet nie odwrócili się do jego żołnierzy plecami – ale mimo to nie było wątpliwości, że uchodzą z pola walki.

To będzie łatwiejsze, niż sądziłem, pomyślał Nathair.

Rozdział dziewięćdziesiąty

VERADIS

Veradis wykrzyknął rozkazy i poczuł przyływ dumy, patrząc na swoich ludzi, którzy wycofywali się w zdyscyplinowanych szeregach. Dziesięć kroków, dwadzieścia, trzydzieści, kolejne. Szedł za nimi, schodząc z wydeptanej przez nich ścieżki, aż znikł między drzewami.

Już prawie.

W sercu czuł ból, fizyczną manifestację rozczarowania tym, że Nathair odrzucił propozycję pokoju.

Że nie chciał odkupić swych win.

Tyle można by ocalić, pomyślał. Tylu ludzi mogłoby ujść z życiem. Nasza przyjaźń mogłaby przetrwać.

Przestąpił nad płytkim rowem, którzy przecinał ścieżkę wydeptaną przez żołnierzy. Zrobił jeszcze dwadzieścia kroków i wciągnął powietrze w płuca.

Nathair dokonał wyboru, ja zresztą również. Pozostało tylko doprowadzić decyzję do końca.

– Balur! – krzyknął.

Po obu stronach traktu wydeptanego przez wycofującą się piechotę zamajaczyły ogromne postacie. Były to olbrzymy, uginające się pod wielkimi ciężarami. Veradis zauważył najpierw Balura, którego torsu broniła gruba płyta żelaza, uformowana tak, by chronić go od szyi po biodra. Kolejne, mniejsze płyty osłaniały jego ramiona i barki, a wokół przedramion nosił żelazne karwasze. Pancierz uzupełniały nagolenice, a na głowę założył hełm z osłoną na

nos i policzki, który rzucał cienie na jego twarz. Wyglądał jak chodząca kuźnia. Dłonie zaciskał na drewnianym drzewcu, dłuższym od włóczni, zwieńczonym potężnym, pojedynczym, złowieszczo wyglądającym ostrzem topora z długim, zakrzywionym końcem. Za Balurem wyłoniło się jeszcze dziewięć podobnie wyglądających i uzbrojonych olbrzymów, a po nich kolejne dwa tuziny w skórach i futrach, dzierżące tradycyjne młoty i obosieczne topory.

Balur szedł w stronę nadciągającego muru tarcz. Jego pobratymcy utworzyli wokół niego szereg, a ich boki osłaniała reszta.

Veradis ujrzał Lothara, który zawrócił i gnał ku swoim ludziom, by sprawić szyki, a towarzyszący mu Kadoshim zostali przy Nathairze. Na widok Balura na czele olbrzymów dosiadający draiga Nathair zmarszczył brwi, ale nie wstrzymywał natarcia. Veradis przeniósł spojrzenie na żołnierzy. Wydawało mu się, że dostrzega Caesusa w centrum szyku.

To moja pozycja, pomyślał. Sam tam kiedyś stałem wśród moich Kłów Draiga. I właśnie w tej chwili zatrzymałbym formację, kazał zewrzeć tarcze, rozstawić szeroko stopy i pozwolić, by wróg ruszył na spotkanie śmierci.

Wypuścił powietrze z płuc, gdy w tej samej chwili mur tarcz zafalował i zatrzymał się. Wykrzyczano stłumione rozkazy, a tarcze zwarły się wysoko.

– Olbrzymy was nie ocalą! – zawołał Nathair zza muru tarcz. – Już walczyliśmy z olbrzymami i zawsze wychodziliśmy z tych starć zwycięsko!

Z tymi olbrzymami chyba jednak nie walczyłeś, co?, pomyślał Veradis.

– Rozbijacze, naprzód! – ryknął, na co Balur i jego towarzysze ruszyli powoli ku nieprzyjacielowi. Każdy ciężki krok niósł się wibracjami, a mur tarcz stał nieruchomo, cichy i nieubłagany.

Czekają na ryk nacierających, na tupot setek stóp, na impet przypominający uderzenie lawiny!, pomyślał Veradis.

Zacisnął dłoń na rękojeści miecza. Nie mógł odepchnąć wrażenia, że stoi tam, wśród piechurów, swego czasu jego towarzyszy broni.

A obecnie wrogów.

– Teraz! – ryknął.

Balur i jego Rozbijacze zatrzymali się w nierównym szeregu daleko poza zasięgiem muru tarcz i krótkich mieczy wojowników.

Orli gwardziści muszą poczuć napór atakujących na swe tarcze, nim ich miecze zaczną zbierać żniwo, pomyślał Veradis.

Olbrzymy równocześnie wzniosły topory i opuściły je na głowy żołnierzy w pierwszym szeregu, po czym cofnęły je gwałtownymi szarpnięciami. Długie zakończenia toporów haczyły o tarcze i wrywały z szyku wojowników, którzy potykali się i padali na ziemię lub z trudem odzyskiwali równowagę. Topory zaś znów się wznosiły i opadały na żelazne hełmy i kryte wyprawioną skórą ramiona oraz plecy ludzi.

Orli gwardziści umierali. Pierwszy szereg w okamgnieniu stracił połowę osób wśród eksplozji krwi i dzikich wrzasków. Wyszarpywani z szyku żołnierze umierali, a w murze tarcz powiększały się wyrwy. Caesus wykrzykiwał jednak rozkazy i żołnierze z tylnych szeregów przypadli, by zastąpić zabitych.

Olbrzymy na flankach szeregu Balura doskoczyły, wzniosły młoty oraz topory i bez litości rozprawiły się z każdym orlim gwardzistą, który pozostał przy życiu. Odskoczyły błyskawicznie, a wtedy zbrojni Balura wzniesli swe topory na długich trzonach i powtórzyli przerażający atak. Ludzie wrzeszczeli, tarcze pękały, krew tryskała, a kolejni żołnierze byli wyszarpywani z szyku i padali na ziemię ku swej śmierci. Po tym, jak ofiarą Rozbijaczy padł tuzin ludzi z drugiego szeregu, Veradis dostrzegł wśród reszty pierwsze oznaki wahania. Wcześniej zajmowali miejsca poległych towarzyszy z precyzją maszyn, całkowicie posłuszni instynktowi i nawykom wyrobionym podczas szkolenia, ale teraz zaczęli się ociągać.

Ogarnia ich strach, pomyślał.

Mimo to wyrwy zostały uzupełnione, szereg się wyrównał, a tarcze znów zwały się z głośnym trzaskiem.

Za plecami Veradisa rozległy się pośpieszne kroki. Zjawił się Krelis z pochodnią.

– Jak idzie, braciszku? – spytał, spoglądając na Balura i jego rodaków, wyszarpujących kolejnych ludzi ku śmierci. Aż gwizdnął z podziwem. – Cholera, cieszę się, że jesteśmy po tej samej stronie – mruknął.

– Wszystko gotowe – powiedział mu Veradis. – Musimy tylko przetrzymać ich tu jeszcze chwilę.

– Mogę? – spytał Krelis i zamachał pochodnią nad płytkim rowem, który przecinał wydeptany szlak. Błysnęła ciecz, będąca mieszaniną żywicy i innych łatwopalnych substancji, które zbierali pod okiem Briny.

Musimy ich tu zatrzymać!, pomyślał Veradis Niech cała armia Lothara stłoczy się za nimi.

– Zaczekaj, aż zobaczymy płomienie. Tak przykazał Corban. Poza tym tylko byśmy ich ostrzegli. Cierpliwości, bracie.

– To nie jest moja najmocniejsza strona – warknął Krelis.

Na polu bitwy piętrzyły się już stosy trupów, a ziemia nasiąkła krwią, ale olbrzymy nadal wyciągały kolejne ofiary z muru tarcz, który jak dotąd nie znalazł metody na śmiercionośną taktykę.

Na miejscu Nathaira ruszyłbym naprzód, by zewrzeć się z nimi. Nie czekałbym beczynn timer, aż spadnie na mnie śmierć. Wystarczyłaby zdecydowana szarża, a olbrzymy stałyby się ofiarami! Może i mają żelazne pancerze, ale w każdym znajduje się mnóstwo luk – biodra, kolana, łokcie, brzuch. Dowódcy trudno jednakże dojrzeć takie szczegóły w ogniu walki, gdy wokół umierają ludzie, a on sam zaczyna drzeć o własne życie.

W tejże chwili trębac Nathaira zadał w róg, rzucając sygnał do szybkiego natarcia. Ku tylnym szeregom pomknęły rozkazy.

Czyli Nathairowi zostało jeszcze coś z umiejętności dowodzenia, pomyślał Veradis. Nie wolno mi zapomnieć, że to jego plan zapewnił nam zwycięstwo nad Shekam dosiadającymi draigów.

Mur tarcz ruszył, nie tak płynnie, jak by się tego Veradis spodziewał, ale maszerujący żołnierze zachowywali szyk i trzymali tarcze równo. Szeregi nie zachwiały się, nawet gdy ludzie musieli przestępować nad ciałami poległych towarzyszy broni. Veradis burknął z aprobatą. Pochwycił za róg i zagrał własny sygnał, na co

Balur odwrócił ku niemu głowę i wykrzyczał rozkaz. Jego głos poniósł się daleko i Rozbijacze zaczęli się wycofywać, aż znikli wśród drzew i cieni. Na drodze hufca Nathaira stał już tylko oddział Veradisa.

– Pamiętaj, bracie, zaczekaj na płomienie! – przypomniał Krelisowi Veradis, po czym sam zerwał się do biegu.

Pędził ku swoim ludziom, zakładając po drodze hełm i wciągając na ramię podaną mu tarczę. Stał w środku pierwszego szeregu i uśmiechnął się złowieszczo do swoich sąsiadów.

– Mur tarcz! – ryknął.

Ich tarcze zwały się z jednoczesnym trzaskiem, a Veradis zaczął się modlić w myślach, by jego ludzie wytrzymali.

Rozdział dziewięćdziesiąty pierwszy

NATHAIR

Nathair siedział i wpatrywał się w rzeź pierwszych szeregów swojej formacji. Obezwładniony przerażeniem, przez dłuższą chwilę nie mógł oderwać wzroku od Rozbijaczy Veradisa, którzy wyładowali swą furię na Kłach Draiga.

Aż się otrząsnął.

Straciłem ponad stu ludzi szybciej, niżbym zdołał ich policzyć, ale wciąż mam jeszcze tysiąc orlich strażników, pomyślał. To nie porażka, Veradisie. Zaledwie zdołałeś rozbić mi wargę.

– Daj nam się z nimi rozprawić – rzekł jeden ze stojących obok niego Kadoshim.

– Jeszcze nie – odparł Nathair.

Wstrzymał draiga. Mur tarcz szedł naprzód, a żołnierze z pododdziałów, które jak dotąd osłaniały ludzi Lothara, pośpiesznie do nich dołączali i wypełniali luki po poległych. Formacja potężniała, aż znów tworzyło ją piętnaście, dwadzieścia szeregów, a po nich szły kolejne.

Kryte żelaznymi pancerzami olbrzymy cofnęły się i zniknęły w mroku lasu. Na ich drodze stał już tylko oddział Veradisa.

Nathair poczuł przypływ gniewu na starego przyjaciela. Jak on mógł go zdradzić? Jak mógł wystąpić przeciwko niemu?

Sam wybrał sobie śmierć, pomyślał. To tylko ludzie, którzy zresztą nie umywają się do moich Kłów Draiga.

Na jego oczach oba pierwsze szeregi zderzyły się z trzaskiem, który poniósł się po lesie, strącając liście z drzew. Szereg Veradisa

wygiął się na brzegach niczym napięty łuk. Nathair wstrzymał oddech. Z każdym kolejnym uderzeniem serca spodziewał się, że wróg rozpadnie się i zacznie uciekać.

Nad polem bitwy przetoczył się kłęb dymu, który na moment przesłonił mu walczących. Słyszał tylko wrzaski, postękiwanie i głuchy łomot stali uderzającej o drewno.

Oddział Veradisa wytrzymywał napór, ale przewaga liczebna hufca Nathaira i sama jego masa zaczynała odnosić skutek. Orła straż liczyła sobie dwakroć więcej szeregów, do których wciąż dołączali kolejni. Nathair widział, że ma przed sobą przynajmniej czterystu, pięciuset ludzi.

Wtem ludzie na flankach zaczęli wrzeszczeć.

Wśród cieni lasu znów pojawiły się olbrzymy, które wyszarpywały żołnierzy z szyku i rąbały ich na kawałki.

Trzeba wygnać olbrzymy spomiędzy drzew, bo moi ludzie są dla nich łatwą ofiarą, pomyślał Nathair. To wreszcie robota dla Kadoshim.

Pole bitwy zasłonił kolejny kłęb dymu.

To nie z ognisk obozowych, uświadomił sobie Nathair i spojrzał w lewo. Przez moment nie mógł uwierzyć w to, co widzi.

Półmrok lasu zdawał się o wiele gęstszy wzdłuż zachodniej flanki, gdzie powstała ściana kotłującej się czerni. W samym jej sercu tętniło jednak pomarańczowe światło, które zdawało się kwitnąć i rozrastać.

Ogień i dym.

Wzdłuż flanki rozległy się okrzyki, ale wtedy ściana płomieni wyrosła niespodziewanie gdzieś na przedzie. Rozrastała się gwałtownie, przecięła wydeptany trakt i wgrzyła się w jego formację, odcinając ją od oddziałów Lothara i reszty chroniącej ją orlej straży. Setki ludzi pozostało z przodu i dalej walczyło z ludźmi Veradisa, nieświadome, że reszta ich oddziału została odcięta.

To nas nie zatrzyma, pomyślał Nathair. Odważny człowiek przeskoczy przez takie płomienie, jeśli będzie miał wystarczająco dużo miejsca. Pamiętam pewnego orlego gwardzistę, który zrobił coś takiego w obronie swego księcia.

Z lewej flanki nadbiegły kolejne ostrzegawcze okrzyki, gdyż nadciągnęły na nią kłęby dymu, a płomienie za nimi stały się wyraźniejsze. Cały las na zachodzie wydawał się skąpany w ich blasku.

Czy oni naprawdę planują wykorzystać Veradisa, by zatrzymał część naszych, a resztę spalić?, zastanawiał się Nathair.

Wtedy usłyszał coś jeszcze – szelest, który wydawał się przybierać na sile. Gdy spojrzał w dół, runo leśne wydawało się... falować i poruszać. Wytężył wzrok, próbując przeniknąć półmrok puszczy i dostrzegł, jak liście i źdźbła uginają się pod ciężarem jakiejś niewidzialnej formacji, fali, która niczym gruby kobierzec oleju rozlewała się po lesie, czarna i pełznąca. Była coraz bliżej.

Poczuł narastające przerażenie. Nie wiedział, na co patrzy, ale przecucie mówiło mu, że to nic dobrego. Draig zagrzmiał niespokojnie, przenosząc ciężar ciała z łapy na łapę.

A wtedy pierwszy szereg jego orlej straży, który bronił zachodniej flanki, po prostu znikł.

Żołnierzy porwała czarna fala, która sunęła w kierunku głównych sił Lothara, pochłaniając setki ludzi w dosłownie kilka sekund. Wojownicy wymachiwali rękami, przewracali się i kopali ziemię, a ich wrzaski przechodziły w skamlenie bądź po prostu urywały się w połowie. Inni podrygiwali w konwulsjach.

Kolejny szereg rzucił się do ucieczki i zlał z trzecim. Cała zachodnia linia obronna Nathaira przestała istnieć w kilka sekund. Żołnierze padali na ziemię, pochłonięci przez czarną falę lub rzucali się do panicznej ucieczki. Wspinali się po nasypie traktu i wpadali między wojowników Lothara.

Orla straż walcząca z Veradisem nie miała o niczym pojęcia, gdyż od nowego zagrożenia odgrodził ich mur płomieni.

– Cóż to, do cholery, jest? – zaklął Nathair.

Kadoshim dobyli mieczy. Trzech z nich ruszyło w stronę uciekających ku nim ludzi. Trysnęła krew, gdy któryś machnął mieczem, by oczyścić sobie drogę i po chwili stali już u dołu skarpy i wpatrywali się w przybliżającą się czarną falę.

Pierwszy z nich ciął ją mieczem, ale czerń nagle ogarnęła jego buty, rozlała się po stopach i ruszyła na spodnie. Kadoshim zaczął otrzepywać nogi, strącając jakieś grudki na ziemię, ale owa czerń nie przestawała się piąć, aż Nathair ujrzał rozdarcia w spodniach Kadoshim i ściekające przez nie krople krwi.

I wtedy już wiedział, na co patrzy.

Mrówki. Takie jak te przy Jerolin kilka lat temu. Były niepowstrzymane i odzierały z mięsa wszystko, co znalazło się na ich drodze. To ich widok podsunął mi pomysł na mur tarcz.

Przez kilka przerażających chwil siedział w siodle i patrzył przed siebie, sparaliżowany ze strachu.

Pierwszy Kadoshim odwrócił się, zrobił kilka chwiejnych kroków w górę nasypu, po czym osunął się na kolana. Wydawał się zaskoczony tym, że jego ciało nie słucha już poleceń. Wyciągnął ręce ku dwóm innym, którzy deptali niekończącą się falę ciemności, lecz po chwili padł twarzą na ziemię, wstrząsany gwałtownymi konwulsjami. Mrówki zalały jego tors i szyję, wypełniły mu usta, wgryzły się w nozdrza, szarpiąc i rozrywając jego ciało. Zadygotał jeszcze parokrotnie, aż znieruchomiał, a z dziesiątek ran buchnęła czarna mgła, która uformowała zjawę, wyrzeszczała wściekłość i znikła.

A więc są jeszcze inne sposoby, by ich zabić, pomyślał Nathair.

Czarna masa mrowiła się jak okiem sięgnąć i wdzierała się już na skarpe, a za ich plecami buchały płomienie i dymy, które ogarniały orlą straż, robotników i wojowników z hufca Lothara. Cztery tysiące ogarniętych paniką ludzi usiłowało uciec przed nieubłaganymi mrówkami. Tłoczyli się, odpychali bez litości, tratowali, a ci szczęśliwcy, którzy wyrwali się ze ścisku, biegli na południe, prosto w las.

Pierwsze mrówki oblażyły już łapy draiga. Wierzchowiec uniósł jedną z nich i zmiażdżył kilkanaście owadów z głośnym chrzęstem, ale setki kolejnych włożyło mu już na szpony i stopę. Ich żuwaczki szarpały ciało między szponami.

Draig zaryczał głucho.

Nathair szarpnął za wodze i zaczął krzyczeć draigowi do ucha. Nakazał mu odwrócić się i uciekać, co ten zrobił ze skwapliwością. Ruszył przed siebie niezgrabnym truchtem, skreślił w prawo, zbiegł po nasypie i pognał na wschód w głąb lasu, tratując każdego napotkanego orlego gwardzistę.

– Za mną! – wrzeszczał Nathair. – Za mną!

Próbował zgromadzić choć część wojowników i powieść ich ku bezpiecznej głębi lasu. Niektórzy wojownicy biegli już za draigiem, korzystając z tego, że bestia utorowała im drogę przez gąszcz. Wnet wyprzedzili falę mrówek, choć Nathair nadal słyszał za sobą wrzaski pożeranych żywcem ludzi.

Zerknął do tyłu i ujrzał, że podąża za nim przynajmniej kilka setek wojów, w tym również zastępy Lothara w białych płaszczach. Co chwila dołączali do nich kolejni.

Będę potrzebował wszystkich, którzy mogą chwycić za broń, pomyślał, bo nawet jeśli zdołamy dotrzeć na równinę przed Drassil, założę się, że będziemy musieli przebijać się do bram.

Przeklął Corbana i Veradisa, a po chwili zawrócił draiga na północ.

Rozdział dziewięćdziesiąty drugi

CAMLIN

Camlin słyszał wrzaski niosące się po lesie, wyczuwał też swąd dymu.

Zupełnie jakby ich obdzierano ze skóry gorącym nożem. I to wielu naraz, pomyślał.

– Ktoś tam chyba ma kiepski dzień – mruknął do Datha, który przykucnął obok niego.

– Niedługo się przekonamy, kto to taki – odparł młodzieniec i musnął spodem dłoni brzechwy dwóch tuzinów strzał, które wbił w chłodną, czarną ziemię lasu.

Łucznicy, zarówno kobiety, jak i mężczyźni, rozciągnęli się w długi szereg. Ich oddział liczył prawie osiemdziesięciu strzelców, z których każdy miał nałożoną cięciwę oraz pełen kołczan. Towarzyszyła im setka wojowników Jehar, a między nimi Kulla, żona Datha. Wojownikami Jehar dowodził Akar, mężczyzna o ponurym spojrzeniu i kwaśnej minie.

– To chyba oni – odezwał się Dath.

Camlin wbił wzrok w las i ujrzał kłęby dymu unoszące się między pniami. Usłyszał niski, dudniący pomruk, który przybliżał się ku nim wraz z owymi przeraźliwymi wrzaskami.

– Gotuj się! – zawołał, po czym podniósł się i rozciągnął ramiona. – I pamiętajcie: pierwszą salwę oddajemy wspólnie, a potem każdy strzela sam, najszybciej jak się da!

Wyrwał strzałę z ziemi, nałożył ją na cięciwę, napiął lekko i zamarł.

Długo czekać nie musiał.

Krzyki i wrzaski stawały się coraz głośniejsze, a potem między drzewami zamajaczyły pierwsze sylwetki. Wnet dołączyły do nich kolejne i nagle w kierunku oczekujących łuczników biegła już cała gromada niedobitków. Było ich o wiele więcej, niż Camlin był w stanie zliczyć. Wielu nosiło czern i srebro Tenebralu, choć przeważały białe płaszcze Helvethu.

– Czekamy na twój sygnał – mruknął Camlin do Datha.

Wróg był już w zasięgu, ale Dath zwlekał.

Sprytny chłopak, pomyślał Camlin. Wróg musi się znaleźć odpowiednio blisko, by grot przebił skórzany pancerz oraz kolczugę.

Uciekający przebyli kolejnych dwadzieścia kroków w cztery, pięć uderzeń serca.

– Gotuj się! – krzyknął Dath.

Osiemdziesięciu łuczników naciągnęło cięciwy. Każdy wybrał dla siebie cel w nadciągającej masie.

– Strzelać!

Strzała Camlina z furkotem pomknęła naprzód i wbiła się w gardło jakiegoś orlego gwardzisty, który padł na ziemię. Kilku biegnących za nim potknęło się o ciało i straciło równowagę. Strzały pozostałych wyszarpywały w zbliżającej się masie ludzi wielkie wyrwy, ale mimo to fala nadciągała niewzruszenie.

Nim pierwsza ofiara znieruchomiała na ziemi, Camlin wypuścił drugą strzałę. Któryś z uciekinierów zawirował i padł, po nim następny i jeszcze jeden. Ludzie Lothara i Nathaira uciekali w takim ścisku, że każdy trafiony pociągał za sobą kolejnych. Camlin strzelał bez opamiętania, a obok słyszał rytmiczny brzęk cięciwy Datha.

Ich plan nie polegał wcale na tym, by zabijać wszystkich jak popadnie, choć przerzedzenie niedobitków miało również spore znaczenie.

Tym bardziej że mają nad nami tak wielką przewagę liczebną, pomyślał Camlin.

Liczyli głównie na to, że gęsty ostrzał skłoni uciekinierów do ślepej ucieczki w głąb lasu, kierując ich na wschód bądź południe, jak najdalej od Drassil. Corban wiedział, że uciekający kiedyś

zapanują nad paniką, i nie chciał, by w lesie Forn zaroilo się od nieprzyjaciół, a więc im więcej spośród nich zgubi się i nie odnajdzie potem drogi do Drassil, tym lepiej.

No i oczywiście im więcej trupów, tym lepiej, dodał w myślach Camlin.

Po lewej zauważył mężczyznę na białym ogierze, który na czele innych konnych przemknął za linią łuczników. Obok niego podążały cienie, w których Camlin dopiero po chwili dopatrywał się Kadoshim.

Lothar i jego przybocznicy, a na dokładkę eskorta demonów, pomyślał.

Przez krótką chwilę chciał posłać w Lothara strzałę, ale konie przemknęły, zanim zdołał ująć kolejny pocisk. Wzruszył ramionami i zwrócił się ku nadbiegającej masie.

Kolejną strzałę wypuścił z takiej odległości, że grot z pewnością przebił zarówno napierśnik, jak i kolczugę. Nie zwlekał już ani chwili. Naciągał cięciwę i wypuszczał strzałę za strzałą.

Gdy dostrzegał już białka oczu nadbiegających, zrozumiał, że ostrzał nie skłoni ich do skręcenia w bok.

Zdołał posłać jeszcze jedną strzałę, gdy przez umysł przeszła mu myśl o cofnięciu się. Rozkaz nakazywał im wytrwać i utrzymać teren, choć perspektywa stratowania przez gromadę przerażonych ludzi niezbyt go nęciła.

– Dath! – wrzasnął, próbując przekrzyczeć zgiełk.

– Miej wiarę w Jehar! – odkrzyknął tamten.

Cóż innego możesz powiedzieć, skoro poślubiłeś jedną z nich?, pomyślał Camlin.

Jeszcze jedna strzała wyrwana z leśnej gleby, jeszcze jeden mężczyzna, padający na ziemię w odległości czterdziestu, pięćdziesięciu kroków. Camlin sięgnął po następną strzałę w kołczanie.

Choć zanim ją wypuszczył, mógł zalec na mchu ze zdeptaną twarzą, przeszło mu przez myśl.

Wtedy za sobą usłyszał syk wyciąganych mieczy, potem tupot stóp i ponad stu Jehar runęło przez przerwy między rozstawionymi

szeroko łucznikami. Każdy wznosił wysoko trzymany oburącz miecz, każdy wykrzykiwał to samo zawołanie:

– Prawda i odwaga!

Okrzyk odbił się echem od ściany nadbiegających wojowników. Uderzenie serca późnej Jehar wpadli między nich, siekąc i rąbiąc. W stu miejscach buchnęła krew, ku górze poleciały głowy i odrąbane kończyny, a ludzie padali niczym cięte żyto.

Łucznicy zwarli szeregi i poczęli szyc wyżej. Strzały przelatywały nad głowami Jehar i wgryzały się w sam środek nadbiegającej gromady. Nie była to łatwa sztuka – łucznicy musieli bowiem odnaleźć prześwit między niskimi gałęziami, a mimo to posłać strzałę wystarczająco daleko.

Naraz ziemia zadrżała, a powietrzem wstrząsnął ogłuszający ryk. Camlin zamarł i spojrzał z niedowierzaniem na ogromną bestię, która przedzierała się między uciekającymi wojownikami i ryczała z furją. Widział jej długie kły i szpony przypominające ostrza kos, zauważył też męczyznę w czerni i srebrze na jej grzbiecie, który ciął naokoło długim mieczem. Camlin stał jak skamieniały przez kilka uderzeń serca i patrzył, jak potwór przebija się przez ludzką masę niczym taran, po czym rusza prosto na niego.

Niespodziewanie pojawił się Dath, który wpadł na niego i zepchnął go z drogi rozpędzonego potwora. Obaj przetoczyli się po leśnym podłożu. Kątem oka Camlin zauważył, że inni również postanowili uskoczyć, a tych, którzy się spóźnili, bestia wyrzuciła z ogromną siłą w powietrze.

Potwór przemknął przez ich szereg i znikł w lesie, prowadząc setki ocalałych wojowników, większość w czerni i srebrze Tenebralu, ale także gromady białych płaszczy.

– Co to było, do jasnej cholery? – zapytał Camlin, gdy zdołał się podnieść.

– To był Nathair i jego draig – odparł Dath i splunął liśćmi.

Jehar wracali już do nich, gdyż większość uciekających nieprzyjaciół znikła. Kulla odnalazła Datha. Nad jej okiem widniało długie skaleczenie.

Podszedł do nich Akar, który wyglądał, jakby nie odniósł najmniejszych nawet obrażeń. Spoglądał w ślad za ludźmi, którzy uciekali jak szaleni przez las. Jehar wraz z łucznikami mocno przetrzebili ich liczebność. Trudno było mieć jakąkolwiek pewność w półmroku puszczy, ale Camlin był przekonany, że z wrogiego hufca zostało o wiele mniej niż cztery tysiące ludzi.

Owionął ich dym. W oddali trzaskały płomienie. Naraz Camlin zauważył mrówki, które nadciągały ku nim, przypominając czarny, mrowiący się dywan złożony z odnóży i żuwaczek. Znajdowały się w odległości kilkuset kroków, ale zwalniały i gromadziły się teraz wokół ciał tych, którzy padli od strzał i mieczy Jehar.

Miałem zamiar wyrwać część swoich strzał i zabrać je ze sobą, ale chyba sobie to daruję, pomyślał.

Mrówki były już całkowicie pochłonięte żerowaniem, ale nadal znajdowały się za blisko jak na gust Camlina.

– Ruszamy – powiedział.

– Dokąd? – spytał Akar, spoglądając za uciekinierami. Większa gromada, prowadzona przez Lothara, nadal zagłębiała się w lesie, a mniejsza podążała za draigiem.

Camlin i Dath spojrzeli po sobie, a potem na pobojuwisko, które pozostawił po sobie draig.

– Lepiej rozpocząć pościg za Nathairem i jego bydlakiem – rzekł Camlin.

– Zgoda – stwierdził Dath.

Wiedzieli, że król Tenebralu kieruje się prosto na Drassil.

Rozdział dziewięćdziesiąty trzeci

VERADIS

Veradis napał tarczą i usłyszał zgrzyt ocierającego się o nią krótkiego miecza. Nisko zadany cios zatrzymał się na żelaznych paskach na jego butach. Odruchowo przydepnął ostrze, i sam również ciął nisko. Odpowiedział mu stłumiony wrzask.

Jego sąsiad padł, trafiony wrogim ostrzem, które prześlizgnęło się wysoko nad brzegiem jego tarczy i wbiło mu się w usta. Był trzecim wojownikiem, który poległ po tej stronie. Kolejny szybko zajął wolne miejsce.

To najbardziej zacięta bitwa w moim życiu, pomyślał Veradis. Nawet walka z olbrzymami była łatwiejsza.

Wiedział tylko tyle, że sam zabił trzech ludzi, a czwartemu przeciął ścięgna w kostce, ale poza tym nie miał pojęcia, jak toczy się bitwa. Dojrzał tylko płomienie, które zdradziły mu, że zbliżają się mrówki. Wydawało mu się też, że z oddali słyszy dzikie wrzaski, ale nie miał pewności, bo wszystko zagłuszał zgiełk ich własnego starcia.

Pewien był za to, że ani on, ani żaden z jego ludzi nie cofnął się choćby o krok, i to było najważniejsze.

Wytrzymaliśmy. Wytrzymaliśmy napór Kłów Draiga. Mam wrażenie, że ta bitwa toczy się od trzech dni, ale udało nam się.

Wyjrzał znad własnej tarczy i ujrzał dobrze sobie znaną twarz. To właśnie ten wojownik położył trupem człowieka po jego lewej. Patrzył na zakrwawione, pobladłe oblicze i nie mógł się nadziwić.

To Caesus, uświadomił sobie.

Warknął głucho i zwarł się z młodym wojem tarczami, a potem pchnął pod dolną krawędzią osłony. Chciał przebić Caesusowi ścięgna, ale ostrze zazgrzytało tylko o wzmocnione żelazem buty, takie jak jego własne. Cofnął miecz w chwili, gdy przeciwnik dźgnął go w dłoń, i natychmiast pchnął górą, celując w jego oko. Trafił jednak w policzek, po czym twarz Caesusa zaala się krwią.

Rozległy się wrzaski, które potężniały z każdą chwilą. Wrogi mur tarcz zafalował i nagle Veradis zachwiał się i runął naprzód. Gdy padł na jedno kolano, zauważył, że Caesus odwrócił się i ruszył do ucieczki, a jego mur się rozpadł. Gdzieś z boku dostrzegł Balura i inne olbrzymy. Ubrane w żelazne pancerze rąbały szeregi orlej straży toporami na długich trzonkach. Za formacją wroga płonął ogień.

Kły Draiga rozpadły się, pomyślał Veradis. Wytrzymali napór od przodu, ale olbrzymów na flankach i płomieni z tyłu już nie znieśli. To twardzi ludzie, ale tylko ludzie.

Orla straż uciekała teraz w las w obu kierunkach. Veradis zauważył, że Burza skoczyła na jednego z niedobitków, przetoczyła się wraz z nim w rozbryzgach krwi, a wreszcie podniosła się nad znieruchomiłym ciałem. Spomiędzy drzew wypadli Corban i Farrell, obaj z bronią czerwoną od krwi. Corban podał Veradisowi rękę i pomógł mu wstać.

– Co z Nathairem? – spytał Veradis.

– Uciekł na wschód, na swoim draigu.

– Czyli plan zadziałał? Ogień i mrówki?

– Tak – rzekł Krelis, który wyszedł z lasu, ciągnąc jakiegoś gwardzistę za kołnierz kolczugi. Cisnął go na ziemię u stóp Veradisa.

To był Caesus.

– Gotów walczyć dla nas, chłopcze? – spytał go Krelis.

– Służę jedynie Nathairowi – odparł Caesus, wpatrując się złowrogo w Veradisa.

– Trzeba oddać temu Nathairowi jedno – rzekł Krelis. – Potrafi wzbudzać lojalność wśród swoich chłopaków.

Obrzucił brata znaczącym spojrzeniem.

– Złapaliśmy ich jeszcze paru, jak biegali po lesie – ciągnął, spoglądając znów na Caesusa. – Jakoś nie wypada przebijać ich mieczami, gdy nie są w stanie się bronić. Wszak, było nie było, to Tenebralczycy. Nie możemy jednak pozwolić na to, by się włóczyli za naszymi plecami. Nie mam też ludzi, by ich pilnować.

– Połamcie im kości – zaproponował Corban. – Pewien dobry człowiek podsunął mi kiedyś ten pomysł. Trza im złamać rękę, w której trzymają miecz, a dziś już nie podniosą przeciwko nam broni.

– Dobry pomysł. – Krelis pokiwał głową. – Podoba mi się.

Spojrzał na Caesusa i uśmiechnął się szeroko.

Spomiędzy drzew wyszła Coralen, prowadząc na czubku miecza trzech orlich gwardzistów. Zostawiła ich przy Caesusie.

Potem dołączył do nich Wulf wraz ze swymi topornikami. To właśnie oni rozniecili ogień za koloniami mrówek i pognali je na wschód, prosto na Nathaira i Lothara.

– Poszło jak z płotka. – Krelis uśmiechnął się do nich szeroko. – Ale to była ta łatwiejsza część zadania.

– Tak – zgodził się Corban. – Teraz ruszamy na Drassil, a tam czekają Rhin i Calidus.

Rozdział dziewięćdziesiąty czwarty

UTHAS

Uthas stał na murach Drassil. Bezlistne konary wielkiego drzewa drapały niebo nad jego głową, a nad nimi płynęły ciężkie, ciemne, złowieszcze chmury. Bramy Drassil zwrócone były ku zachodniej części szerokiej równiny, za którą drzewa Fornu tworzyły ścianę cienia. Zimny wiatr szarpał płaszczem Uthasa i warkoczem wojownika, a jego samego przeszywały dreszcze.

Salach trwał przy nim z naostrzonymi toporami. Jego oblicze było równie pochmurne jak niebo.

Po prawicy Uthasa stała Rhin w czerni i złocie. Z błyszczącymi siwymi włosami i grubym futrze z soboli prezentowała się nader królewsko. Obok stali Calidus i Lykos, w kolczugach i z ponurymi minami, a po obu stronach ciągnęły się szeregi czarnookich Kadoshim. Za nimi byli Benothi, ponurzy, zawzięci. Ich potężne, muskularne torsy przesłaniały kolczugi oraz skórzane pancerze, a po nadgarstkach wiły się tatuaże kolczastych pnączy, każdy ze swoim *sgedul* – Litanią – opowieścią o tych, których posłali na drugą stronę mostu mieczy.

Stanowią imponujący widok, a ich *sgedul* dziś się rozrosną, pomyślał z dumą Uthas.

Wszyscy w milczeniu patrzyli na południe: na równinę i złowieszczy Forn.

Gdzie oni są?, zastanawiał się Uthas.

Blade, jesienne słońce było w połowie drogi do zenitu, a z mrocznej zieleni puszczy dobiegała mieszanina odgłosów. Najpierw

były to wrzaski, a potem spomiędzy koron drzew zaczęły unosić się kłęby dymu, natychmiast porywane przez podmuchy zimnego wiatru. Niedługo później Uthas dostrzegł w głębi lasu płomienie, może w odległości mili, może bliżej. Wrzaski zaś potężniały i niosły się po całej puszczy.

Kiepski znak, pomyślał. Powinni się do nas zbliżyć wzdłuż traktu. Przecież tą drogą Nathair i Lothar mieli zepchnąć Corbana i jego motłoch!

Zerknął na dziedziniec, niemalże w całości zajęty przez hufiec Conalla, liczący piętnaście setek konnych wojowników. Większość z nich stała przy wierzchowcach. Za nimi na ulicach tłoczyła się piechota Gerainta – cztery tysiące ludzi. Wszyscy czekali.

Już dawno powinni wyjść w pole, myślał Uthas. Nie ma wątpliwości, że bitwa toczy się nie po myśli Nathaira i Lothara. Potrzebują naszej pomocy!

Zaproponował to Calidusowi, ale ten burknął niechętnie: „Mielibyśmy posłać jeszcze więcej ludzi w śmiertelną pułapkę między drzewami? Nie. Zaczekamy do chwili, gdy ujrzymy wroga”.

– Jakież wieści?! – zawołał Conall, który stał przy bramach, przytupując i chuchając w dłoń.

– Nie! – odkrzyknęła Rhin.

– Możemy wyjechać na równinę i sprawić szyki!

– Nie możecie wyjechać do walki z wrogiem, którego nie ma! – warknęła Rhin. – Czeka!

– Nie cierpię czekania – mruknął Conall, ale nie odezwał się już więcej, a miast tego skupił się na ogrzewaniu dłoni.

Uthas zauważył, że stoi przy nim łowczy Rafe, trzymając wodze jego konia.

Nagły syk Rhin sprawił, że olbrzym znów spojrzał na horyzont.

Wśród drzew na zachodzie pojawiły się jakieś cienie, a po nich pierwsze sylwetki. Najpierw ujrzeli młodego wojownika z wilkunem rozmiarów psa, którego sierść migotała niczym płynne srebro. Za nim pojawiło się kilku innych ludzi, trzech jeźdźców, a potem całe gromady wojowników. Uthas dostrzegł wielu ludzi w barwach Ripy, ale nie tylko – widział wojów w czerwonych płaszczach Isiltiru,

innych w skórach i futrach, przez co wyglądali jak małe olbrzymy, a za nimi prawdziwe olbrzymy, czterdzieści, pięćdziesiąt, a po nich kolejne. Większość armii zatrzymała się kilkanaście kroków za linią drzew.

– Gdzie Nathair? – Uthas usłyszał pomruk Calidusa. – Gdzie Lothar?

Kilkoro spośród nowo przybyłych szło naprzód w kierunku bram Drassil, prowadzeni przez wojownika z wilkunem. Uthas przypominał ich sobie z Murias, choć nie pamiętał zbyt wiele. Przecież walczył wówczas o życie. Wiedział tylko tyle, że zarówno chłopak, jak i wilkun urosli i spoważnieli. Corban – bo to musiał być on – nadal emanował młodością, ale szedł ze zwinnością i pewnością siebie wojownika. Miał na sobie prostą kolczugę i skórzany pancerz z czteroramienną gwiazdą na piersi. Towarzyszący mu wilkun był ogromny nawet jak na przedstawiciela tego gatunku, a jego sierść mieniła się i falowała niczym ciecz. Uthas wyteńczył wzrok i przekonał się, że była to kolczuga. Naraz bestia, jakby wiedziała, że na nią patrzy, uniosła łeb, odsłoniła kły i warknęła. Bursztynowe oczy były pełne nienawiści, a ociekające śliną kły mówiły same za siebie. Musiał się opanować, by nie cofnąć się o krok.

Za Corbanem podążała osobliwa zbieranina. Uthas wypatrzył wśród nich mężczyznę w czerni i srebrze Tenebralu z jasnym orłem na napierśniku, wojownika Jehar z rękojeścią miecza sterczącą ponad ramieniem oraz potężnego, barczystego młodzieńca, który dzierżył młot niczym młody olbrzym. Na koniu siedziała Edana w kolczudze i szarym płaszczu. Jej jasne włosy zostały splecione w gruby warkocz wojownika, a skronie obwodził złoty diadem.

Korona! Och, Rhin się to nie spodoba, pomyślał Uthas. Nie, nic z tego nie przypadnie jej do gustu.

Dostrzegł też trzy olbrzymy i oddech uwiązał mu w płucach, a Salach obok zeszywniał.

Na ich czele podążała Ethlinn, która w niczym nie przypominała już kruchej, sennej marzycielki, którą pamiętał z Murias. Szła wyprostowana, ubrana w skóry, futra i żelazo, a w ręku trzymała włócznię. Po prawej miała inną olbrzymkę, muskularną i silną. Nie

należała do Benothi – głowę miała wygoloną po bokach, a resztę włosów na czubku spłótła w gęsty warkocz.

– Kurgan? – mruknął Uthas, poruszony wspomnieniami.

Obu kobietom towarzyszył Balur Jednooki w żelaznym pancerzu. Spod hełmu wypływały mu rozsypane siwe włosy, a pusty, pokryty bliznami oczodół spoglądał prosto na Uthasa.

Żyłami olbrzyma spłynęły lęk i wściekłość. Przecież napił się z kielicha! Czuł się silny i młody! Jak ten starzec miał czelność rzucać mu wyzwanie?

Dzisiaj odejdziesz z tego świata, staruchu, pomyślał.

Corban, jego wilkunica oraz grupa sojuszników zatrzymali się w odległości pięćdziesięciu kroków od bram.

– Jeśli przysłyszycie się poddać, przyjmujemy waszą kapitulację! – wrzasnął Lykos. – Odłóżcie broń i załóżcie kaganiec bydlakowi, a my otworzymy dla was bramy.

Corban i pozostali wpatrywali się tylko w niego.

– Czyli nie?

Odpowiedziało mu milczenie. Lykos nachylił się do Calidusa i szepnął głośno:

– Ech, ci obcokrajowcy. Kompletny brak poczucia humoru!

Nawet Salach zachichotał.

Corban otoczył usta dłońmi i zawołał:

– Nie będzie kapitulacji! Nie będzie negocjacji, propozycji pokojowych czy traktatów. Przybyłem tu, Calidusie, by powiedzieć ci jedno.

– A cóż to takiego, ty arogancki szczeniaku?! – wrzasnął Calidus.

– Szykuj się na śmierć!

Corban odwrócił się i odszedł, a wilkun poczłapał za nim.

– Rhin?! – wykrzyknęła Edana z siodła.

– Widzę cię, ty zdiro! – wrzasnęła Rhin. – Ty złodziejko! Nim słońce zacznie zachodzić, zerwę ci tę tandetną błyskotkę z wystygłej czaszki!

Wiedziałem, że ta korona ją wkurzy..., pomyślał Uthas.

– Nigdy już nie wrócisz na zachód! – krzyknęła do niej Edana. – Uciekłaś stamtąd, a teraz nie masz już gdzie się schować.

Nim Rhin zdołała odpowiedzieć, Edana zawróciła konia i pogalopowała za resztą. Policzki Rhin zalał ciemny rumieniec. Cisnęła za młodą Ardanką stekiem przekleństw.

Nie chciałbym być w jej skórze, jeśli Rhin ją dziś dorwie, pomyślał olbrzym.

– Uthas! – ryknął Balur. – Ty zdrajco! Morderco Nemain! Dziś dopadnie cię sprawiedliwość!

Uthas z trudem panował nad wściekłością.

– I ty to mówisz?! – ryknął. – Wszak zabiłeś własnego króla!

Ethlinn położyła dłoń na ramieniu Balura i wystąpiła.

– Wojownicy Benothi! – zawołała. – Dziś sięgam po przywilej przynależny mi z tytułu urodzenia! Jestem Ethlinn ap Balur! Jestem Królową Klanów!

Co takiego?

Uthas spodziewał się, że Ethlinn będzie się domagać prawa stanięcia na czele wszystkich Benothi, ale te słowa całkiem go zaskoczyły. Chciała zostać królową olbrzymów?

Przecież to moje przeznaczenie!

– Stoją za mną Benothi oraz Kurgan! – wołała Ethlinn. – Nadszedł czas, byśmy na powrót stali się jednym klanem. Uthas oszukał was i zwiódł, ale wybaczę wam i przyjmę was do klanu, jeśli opuścicie go teraz. Nie przelewajcie więcej krwi swych braci i sióstr!

Następnie odwróciła się i ruszyła w ślad za Corbanem, a pozostałe olbrzymy podążyły za nią.

Usta Uthasa drżały z gniewu, a wąż dygotał.

To ja będę władcą klanów po tej bitwie! Ja!, pomyślał.

– Salach, zetnij jej głowę – syknął.

– Nie martw się o to – warknął jego przyboczny.

Gdzie są Nathair i Lothar?, zastanawiał się Uthas. Nawet bez nich jesteśmy niepokonani za tymi murami, ale przecież w lesie było sześć tysięcy mieczy! Na pewno nie wybito ich co do jednego!

W głębi Fornu buchały czarne dymy, a ogień wydawał się rozlewać coraz szerzej.

W lesie szaleje całkiem potężny pożar, pomyślał Uthas. Czyżby Nathair i Lothar zostali schwytani w potrzask i spaleni?

Zerknął na Calidusa i ujrzał, że i jego dręczyły wątpliwości.

Naraz gdzieś na południu rozległ się głośny trzask, wzmocniony rykiem. Spomiędzy drzew wyłoniła się czworonoga bestia o szerokiej piersi, brzuchu sunącym nisko nad ziemią i wygiętych łapach z mocnymi pazurami. Był to draig z człowiekiem w siodle.

Nathair!

Draig biegł naprzód, aż zatrzymał się i zaryczał, a wtedy z lasu wypadły setki wojowników, zarówno w czerni i srebrze orlej gwardii, jak i w bieli Lothara. Tenebralczyki uformowali zdyscyplinowany szyk, a Nathair wykrzykiwał rozkazy do białych płaszczy, którzy rozdzielili się na dwie grupy i zgromadzili na flankach muru tarcz niczym jasne skrzydła.

Corban i jego towarzysze rzucili się do biegu. Pędzili w stronę Nathaira, a ich wojownicy również ruszyli, chcąc odciąć Nathairowi drogę do bram Drassil.

Wtedy na południowej równinie pojawili się konni w białych płaszcach, którzy utworzyli nierówny szereg za oddziałami Nathaira. Było ich około tuzina, choć co chwila docierali nowi. Towarzyszyła im garstka pieszych w czerni.

– To Lothar i jego Kadoshim – oznajmił Calidus.

Król Helvethu podjechał galopem do Nathaira, prowadząc swą straż przyboczną. Z lasu co chwila wyłaniały się nowe grupy pieszych, potykających się i najwyraźniej zdezorientowanych, którzy jednakże szybko dołączali do przegrupowujących się oddziałów.

Jest ich przynajmniej około tysiąca, choć wciąż napływają nowi, myślał Uthas. Czyli Corban zaatakował ich i przepędził z traktu, ale sporo spośród nich zdołało przedrzeć się przez las.

Corban i jego hufiec szli szybkim krokiem na spotkanie wojsk Nathaira i Lothara. Siły wydawały się wyrównane, choć nadal docierali kolejni gwardziści i białe płaszcze.

– Będą potrzebować naszej pomocy – stwierdził Uthas.

Rhin spojrzała na Calidusa, który pokiwał głową. Wówczas zwróciła się ku dziedzincowi i krzyknęła:

– Conall! Twoje oczekiwanie dobiegło końca!

Rozdział dziewięćdziesiąty piąty

CORBAN

Corban biegł po równinie. Wokół rozbrzmiewały okrzyki bojowe oraz powtarzane głośno rozkazy, nad tupotem tysięcy stóp niósł się ryk Balura, ale młodzieniec utkwiał wzrok w Nathairze, który siedział na draigu z długim mieczem w ręku, obracał się w siodle i wykrzykiwał rozkazy do swoich wojowników. Orla straż, która zdążyła utworzyć karną formację, zcierała właśnie tarcze, a na jej flankach gromadzili się już ludzie Lothara w białych płaszczach.

Nathair jednakże znajdował się na czele szyku, odsłonięty i bezbronny.

No, nie do końca bezbronny, pomyślał Corban. Ma draiga.

Przez głowę przemknęło mu wspomnienie ojca, który osuwa się na kolana w sali biesiadnej w Dun Carreg, oraz Nathaira, który przebija mu pierś mieczem. Złapał Burzę za obrożę i popędził ją, na co wilkunica wystrzeliła naprzód, podrywając go z ziemi. Nie puszczając skórzanej obroży, wylądował na grzbiecie zwierzęcia. Wiatr cesał mu włosy i wyciskał łzy z oczu. Okrzyki jego ludzi naraz zaczęły się oddalać, gdy pędzili w stronę Nathaira.

Pozostało jeszcze dwieście kroków. Sto pięćdziesiąt. Burza niemalże leciała nad trawą.

Niespodziewanie pojawili się przed nim jeźdźcy w białych płaszczach, którzy wyprzedzili podążających za nimi Kadoshim i zasłonili sobą Nathaira. Ciemnowłosy mężczyzna ze złotym diademem gnał prosto na niego.

To Lothar, król Helvethu!, pomyślał Corban.

Warknął z frustracją.

Przeszkadzasz mi w dokonaniu zemsty!

Burza uderzyła w bok królewskiego rumaka i jednocześnie zacisnęła kły na jego muskularnym karku, a Corban wykorzystał pęd zderzenia, by rzucić się na Lothara i zerwać go z siodła. Obaj uderzyli w ziemię i przetoczyli się, wyrywając kępy trawy.

Corban odepchnął się od Lothara i poderwał na nogi, by uwolnić miecz. Skoczył na króla, który rozpaczliwie próbował wyciągnąć własną broń.

Między nimi znalazł się inny jeździec, który usiłował pchnąć w Corbana włócznią. Młodzieniec uchylił się, pochwycił drzewce w szpony wilkuna, obrócił szybko nadgarstek i szarpnął ku sobie. Trzymający włócznię wojownik wychylił się ku niemu, a wtedy Corban wraził mu miecz w pachę i przejechał szponami po końskim boku. Ranny koń skoczył naprzód, unosząc osuwającego się z siodła mężczyznę.

Lothar nadal stał tam, gdzie był przed chwilą. Jeden z jego ludzi właśnie zeskakiwał z konia, by oddać go królowi. Corban skoczył ku nim, odbił miecz królewskiego przybocznego i przeorał mu twarz szponami, czym posłał go na kolana. Błyskawicznie pchnął go w gardło i złapał za pasek Lothara, który usiłował wskoczyć na siodło. Król warknął i ruszył do walki.

Był dobrym szermierzem. Atakował mocno, oszczędnymi ruchami, ale Corban był o wiele lepszy, a w jego żyłach płynęła zimna furia. Okiełznał ją i pozwolił, by go przepełniła, ale nie zawładnęła nim. Zablockował cztery ciosy Lothara, piąte uderzenie odrzucił w bok i cofając miecz, przejechał ostrzem po jego piersi. Król Helvethu zatoczył się w tył, a Corban szedł za nim. Uchylił się przed rozpaczliwym cięciem w głowę i rąbnął Lothara w twarz głowicą miecza. Król padł na ziemię, a wtedy Corban złapał miecz w obie dłonie i przybił przeciwnika do ziemi.

Za sobą usłyszał wściekły ryk. Obrócił się i ujrzał jednego z jeźdźców Lothara, który pędził na niego ze wzniesionym mieczem. Niespodziewanie wyleciał z siodła, trafiony obuchem młota w pierś.

– Przestań tak biegać! – wysapał Farrell.

Przemknął obok nich Gar, który odbił czyjeś uderzenie, złapał konia za wodze i odrąbał głowę jeźdźcowi. Inny biały płaszcz padł na ziemię przed Corbanem ze sztyletem Laith sterzącym z brzucha.

Corban zerwał Lotharowi diadem z głowy i wskoczył na najbliższego konia pozbawionego jeźdźca. Wierzchowiec przez moment tańczył i stawiał opór, ale młodzieniec pochylił się nad jego karkiem i szepnął mu do ucha, po czym zwierzę zaczęło się uspokajać.

Większość przybocznych Lothara została już pokonana, a Gar, Farrell i Coralen rozprawiali się z niedobitkami. Nathair nadal próbował zebrać jak największą ilość maruderów pod swoimi rozkazami. Zdołał już zgromadzić znaczną siłę – orla gwardia i białe płaszcze liczyły przynajmniej tysiąc mieczy.

Corban spojrzał na Veradisa, który pokrzykiwał na swoich ludzi, formując własny mur tarcz. Balur i olbrzymy w żelaznych pancerzach nadciągali na obu ich flankach. Na bliższej pojawił się Krelis, który zrywał się właśnie do biegu na czele własnego hufca w czerni i srebrze, a za nimi pędzili ludzie z Isiltiru pod wodzą Tahira. Oba hufce gnały prosto na czarnookich Kadoshim, którzy w liczbie sześciu dziesiątek przybyli z armią Lothara.

Spomiędzy drzew wypadali kolejni zbrojni w ciemnych kolczugach. Biegli ze wzniesionymi wysoko mieczami i przez krótką chwilę pełną grozy Corban był przekonany, że to następni Kadoshim. Na szczęście rozpoznał Akara i Kullę i ku swej uldze zauważył, że pędzą przez równinę, by wesprzeć walczących z Kadoshim.

Pognał konia i puścił się cwałem między dwoma zbliżającymi się do siebie armiami.

– Wasz król nie żyje! – ryknął, przejeżdżając w pełnym pędzie przed draigiem i murem tarcz, unosząc wysoko zbryzgany krwią diadem. Powtórzył te słowa kilkakrotnie, niemalże zdzierając sobie płuca, a potem cisnął koronę w stronę stłoczonych wojowników Lothara.

Spomiędzy drzew zaświstały strzały. Białe płaszcze zaczęły padać.

Corban już miał się odwrócić i wspomóc ludzi Krelisa w walce z Kadoshim, gdy na jego ramieniu zacisnęła się dłoń Gara,

dosiadającego gniadą klacz.

– Nadszedł czas – rzekł do niego. – Nasz plan zadziałał.

Corban spojrział na bitwę, rozgrywającą się na równinie. Ujrzał twarze swoich sojuszników, poczuł wagę odpowiedzialności za nich i narastające pragnienie, by ruszyć na wroga, zacząć szerzyć śmierć i zatracić się w prostocie bitwy. Wbił wzrok w Nathaira i poczuł, jak w jego sercu rozlewa się przemożna chęć, by rzucić się na niego i odebrać mu życie.

– Posłuchaj, plan zadziałał! – powtórzył Gar i wskazał bramy Drassil, które właśnie zaczęły się rozchyłać. Wypadł zza nich strumień jeźdźców, rozlewający się po równinie niczym powódź.

Calidus pochwycił przynętę!

– Chodź! – rzekł Gar. – Możemy to zakończyć, ale musimy ruszać. I to teraz!

Corban odnalazł wzrokiem Nathaira.

To nie jest prawdziwy wróg, a jedynie kolejny pionek w grze aniołów i demonów, pomyślał. To Calidus powinien zginąć.

– Ban! – Gar szarpnął go za ramię.

– Racja – odparł Corban i razem opuścili pole bitwy.

* * *

Spotkali się z Briną w lesie na północ od Drassil, we wzniesionym tam prowizorycznym szpitalu. Grupa pomocników sędziwej uzdrowicielki czekała w nim na rannych, którzy zaczęli już napływać z równiny. Dotarła tam też grupa innych zbrojnych, wśród których były trzy olbrzymy – Corban rozpoznał Alcyona i Taina, ale nie znał trzeciego, potężniejszego i roślejszego od Alcyona, ale z identyczną fryzurą. Brina zajmowała się Maquinem, który stał wśród kilku Uwolnionych Javeda. Wszyscy byli złani potem i wyglądali na niemalże do cna wyczerpanych, ale Maquin sprawiał najgorsze wrażenie. Pod jego oczami widniały czarne plamy, a usta wykrzywiał permanentny, gorzki grymas, jakby mężczyzna drwił sobie ze śmierci i nienawidził jej, a jednocześnie łaknął.

– Fidele nie żyje – szepnęła Brina na widok Corbana i Gara. Jej palce wodziły po gardle Maquina.

– Puśćcie mnie – odezwał się Maquin. – Ruszam za Lykosem!

Mówił monotonnym głosem, a jego dłonie drżały. Zachwiał się lekko, jakby nawet utrzymanie pionowej postawy kosztowało go zbyt wiele.

Jest wyczerpany, pomyślał Corban.

– Myślę, że jeśli zaczekasz jeszcze trochę, Lykos sam wyjdzie do walki na równinie – odezwała się Brina. – Jeśli bitwa potoczy się po naszej myśli. To nieco łatwiejsze rozwiązanie niż próba wdarcia się przez bramę. Lepiej odpocznij chwilę, zjedz coś, wypij. Nie chcesz chyba dopaść Lykosa i paść przed nim ze zmęczenia, co?

– Nie ma o tym mowy – wymamrotał Maquin. – Napiłbym się wody.

Brina skinęła Alcyonowi, który podprowadził Maquina do zwalonej kłody, posadził go na niej i udał się na poszukiwanie czegoś do jedzenia i picia.

– A więc ruszamy? – spytała Brina, patrząc na Corbana.

– Ruszamy – odparł.

Zadudniły kroki. Na polanę wpadła Coralen, a za nią Dath i Kulla. Z a nimi biegli Farrell i Laith.

– Corban, to się... naprawdę... staje... denerwujące! – wysapał Farrell, oparty o drzewo. – Zaczynam mieć tego dosyć. Nie możesz, cholera, walczyć w jednym miejscu?

– Mamy dziś mnóstwo roboty! – Corban wzruszył ramionami.

– A więc nadszedł ten moment? – spytał Dath. – Działamy zgodnie z planem?

– Tak – potwierdził Corban. Popatrzył na nich, ciesząc się z chwili spokoju pośród chaosu rzezi, krwi i strachu. – Nie musicie udawać się tam ze mną.

– Och, zamknij się, Ban – szepnął Dath.

– Dokładnie – burknął Farrell. – Jakbyśmy mieli coś innego do roboty.

– Ale...

– Posłuchaj przyjaciół – odezwała się Coralen. – I rzeczywiście, zamknij się. Idziemy z tobą.

– Dobrze. – Corban pokiwał głową. – Ruszajmy więc, zanim bitwa dobiegnie końca.

– Daleko to? – spytał Farrell.

– Niecałe pół dnia drogi pieszo – odparła Coralen.

Farrell zrobił żalostną minę, jakby miał zamiar się rozplakać.

– Dlatego właśnie pożyczyłam kilka koni od Edany – rzekła Brina.
– Ruszajmy!

Ulga Farrella była fizycznie wyczuwalna.

– Dzięki za te drobne łaski – szepnął.

– Zajmij się tym, co umiesz najlepiej. – Brina zwróciła się do Crafa, który w milczeniu z pobliskiej kłody przyglądał się wymianie zdań. Uzdrowicielka podrapała go po karku i rzuciła mu coś oślizgłego. Ptak złapał przysmak i przełknął go.

– Spotkamy się w umówionym miejscu – dodała.

– Na starym dębie – zaskrzeczał Craf i zerwał się do lotu.

Rozdział dziewięćdziesiąty szósty

RAFE

Bramy Drassil rozchyliły się i Rafe ruszył w ślad za Conallem w oddziale jeźdźców liczącym prawie piętnaście setek włóczy. Zerknął przez ramię na stajnie, gdzie przywiązał Drapichrusta. Nie chciał, by pies wziął udział w masakrze. Miał dość zmartwień na głowie.

Tętent setek kopyt, odbijający się echem w tunelu bramy, zagłuszył odległy zgiełk bitewny. Kilka uderzeń serca później znaleźli się na równinie przed murami Drassil. Conall wysforował na czoło, a potem wstrzymał konia i spojrzał na mury, gdzie bez wątpienia szukał wzrokiem Rhin, a jeźdźcy wokół niego ustawiali się w szeregi liczące po sto koni. Rafe znalazł dla siebie miejsce kilka rzędów za Conallem, ale niemalże w prostej linii za nim. Poklepał konia po karku. Wciąż czekali, aż oddział konnicy zbierze się w całości.

– Piękny jesteś! – szepnął nowemu rumakowi do ucha, pochylając się nad nim. – Szkoda takiego rumaka dla Gerainta. Cieszę się, że cię znalazłem, i wiesz co? Spróbuję uchronić cię przed krzywdą, o ile obiecasz, że również będziesz się mną opiekował.

Ogier zadarł łeb i zatupał kopytami.

Pewnie wyczuwa już krew oraz bitwę, pomyślał Rafe. Nie wydaje się jednak przerażony walką. Wręcz przeciwnie, mam wrażenie, że chciałby już się rzucić w sam środek.

Wyprostował się w siodle, by ujrzeć, co tam się działo.

Nie ulegało wątpliwości, że bitwa toczyła się w najlepsze. Z południowej części równiny dobiegał bowiem głośny zgiełk. Widział walczące olbrzymy, od czasu do czasu słyszał też ryk draiga Nathaira, który sprawiał, że jego rumak parskał i kładł uszy po sobie. Rafe nie był jednak w stanie oszacować, która strona ma przewagę.

Sytuacja zmieni się już niebawem, pomyślał. Szarża piętnastu setek jeźdźców na tyły wroga powinna szybko zmusić ich do ucieczki.

Spojrzał na niebo i dostrzegł blady blask słońca wśród gęstych chmur.

Do południa będzie po wszystkim, stwierdził.

Zaryczały rogi. Conall uniósł miecz, oddał cześć Rhin stojącej na murach, i ponaglił konia, a potem zatoczył łuk na południe. Reszta oddziału ruszyła za nim, a Rafe poczuł, jak sąsiadujące z nim rumaki trącają go, idąc w ślad za pozostałymi. Strach wysuszył mu gardło i nagle pożałował, że nie pociągnął jeszcze łyka wody z bukłaka, wiszącego przy siodle.

Już za późno, pomyślał.

Pędzili teraz przez równinę prosto na tyły wroga. Huk kopyt przeistoczył się w zagłuszający wszystko grzmot piorunów, wzmocniony skrzypieniem uprzęży i chrzęstem kolczug. Rafe myślał o tym, co rzekła mu Rhin podczas narady wojennej, która odbyła się poprzedniego wieczora.

Dostałem szansę, by odkupić swe winy po tym, jak nie zdołałem odnaleźć naszyjnika, powiedział sobie.

Wyrównał szyk z jeźdźcami jadącymi po obu stronach. Nie spuszczał wzroku z pleców Conalla.

Na murach Drassil zagrały chaotycznie rogi. Ostrzeżenie!

Rozpędzony hufiec nieco zwolnił, a Conall i pozostali zaczęli się rozglądać, by sprawdzić, co się dzieje. Ludzie na murach Drassil wskazywali las na zachód od bram twierdzy. Rafe wyteżył wzrok i dostrzegł długi szereg jeźdźców, wyłaniający się spomiędzy drzew. Była ich przynajmniej setka i mieli szare płaszcze Ardanu, a przewodziła im Edana z nagim mieczem w dłoni i w błyszczącej

kolczudze, przywodząca na myśl królowe wojowniczeki z legend. Z jednej strony towarzyszył jej Vonn, a z drugiej Halion.

Oddział powiększał się z każdą chwilą. Coraz więcej jeźdźców wyłaniało się z półmroku puszczy. Ich miecze i ostrza włóczni połyskiwały w bladym świetle słońca. Rafe widział już, że jest ich przynajmniej około tysiąca, choć wciąż wyłaniali się kolejni.

Zapadła długa cisza. Oba hufce mierzyły się spojrzeniami. W zimnym, porannym powietrzu z końskich nozdrzy unosiły się kłęby pary. Rumaki przestępowały z nogi na nogę, drapały ziemię kopytami, któryś zarżał. Naraz Edana wykrzyknęła rozkaz, wskazała mieczem kierunek i popędziła konia. Jej oddział pognał za nią niczym wielka fala.

Conall krzyczał, popędzał rumaka, zawracał go szarpaniem za wodze, a Rafe i reszta szła w jego ślady. Po chwili jechali już ku rozpędzającemu się hufcowi Edany, której rumak przeszedł w galop. Ryk szarżujących Ardańczyków uderzył w Rafe'a niczym łoskot sił natury i jego żołądek znów skręcił się ze strachu. Nagle zapragnął znaleźć się gdzieś indziej.

Atak od tyłu na pieszego wroga, który mógł się zakończyć tylko zwycięstwem, był zupełnie czymś innym od szarży na rozpędzonego przeciwnika. Starcie, które ich czekało, o wiele bardziej przypominało prawdziwą bitwę.

Rafe czuł napinające się mięśnie rumaka, wyczuwał jego potrzebę, by gnać jak najszybciej. Zwierzę aż drżało z podniecenia.

To przecież rumak bojowy!, uświadomił sobie Rafe. Jemu to sprawia przyjemność!

Conall pędził przed siebie, nisko pochylony w siodle, ze wzniesionym mieczem. Prześcignął najszybszych przybocznych, kierując się prosto na Edanę i Haliona, którzy również wysforowali przed własne szeregi. Wydał z siebie dziki ryk bojowy, a potem parsknął śmiechem, a Rafe przez moment rozumiał, czym jest uniesienie bitewne, jak określali to niektórzy ludzie. Znienacka bowiem przeszła go obłądana radość i złapał się na tym, że wrzeszczy.

Wtem z niejasnych przyczyn Conall wyprostował się w siodle, wsunął miecz do pochwy i zadał w róg przy pasie, po czym wrzasnął na przybocznych, by się zatrzymali. Sam szarpnął za wodze i hufiec konnicy zaczął powoli wytracać prędkość. Zdjęty przerażeniem Rafe sam pociągnął desperacko za wodze, by nie wpaść na kogoś i nie zsunąć się z siodła, bo w takim ścisku mogłoby się to zakończyć tylko stratowaniem na śmierć. Wszędzie wokół niego jeźdźcy wytracali prędkość, a ich konie rżały dziko, a daleko na przedzie Conall nie czekał, aż koń wyhamuje. Zeskoczył z niego i ruszył naprzód.

Edana i Halion również zwolnili, a w ślad za nimi cały hufiec ardański. Halion zeskoczył z konia i ruszył w stronę brata. Wpadli na siebie, objęli się, uściskali, a oba zbrojne hufce czekały w odległości raptem kilkudziesięciu kroków. Rafe ujrzał uśmiech na twarzy Edany.

Halion i Conall wreszcie się puścili. Rafe dostrzegł łzy na twarzach obu braci.

Edana podjechała bliżej.

– Conallu ben Eremon, czy to twój sposób na poddanie się? – spytała.

Głos Conalla, głośny i wyraźny, poniósł się nad polem bitwy.

– Nazwijmy to póki co zawartym przed momentem sojuszem. – Wojownik machnął dłonią w powietrzu. – Potem dogadamy szczegóły.

Raz jeszcze wyściskał Haliona, poklepał go po plecach i ucałował w policzek.

– Ach, dobrze być znów przyjaciółmi. Brakowało mi ciebie i tej wiecznie poważnej gęby.

– A ja tęskniłem za twoimi wybrykami, ty szaleńcze! – Halion zaśmiał się.

Conall raz jeszcze spojrział na mury Drassil.

– Miałbym niby zaszarżować na własnego brata? Ta kobieta nie ma tak naprawdę pojęcia, kim jestem!

Niespodziewanie zerwał czarno-złoty płaszcz z ramion, zamachał nim nad głową i wyrzucił go daleko od siebie. Rafe z przerażeniem zauważył, że ludzie wokół niego, co do jednego wojownicy

z Domhainu, robią to samo, aż uświadomił sobie, że lepiej będzie pójść w ich ślady. Na ich twarzach nie widział zaskoczenia ani wstrząsu, a gdy spojrział na wojowników Edany, dostrzegł na ich obliczach satysfakcję i radość. Cieszyli się z tego, że ich plan się powiódł.

A więc wiedzieli o wszystkim, pomyślał Rafe. Rhin, wygląda na to, że tym razem zdradzono ciebie! Och, nie spodoba ci się to, nie spodoba. Choć na szczęście masz jeszcze jednego asa w rękawie. Mnie.

Pochylił głowę, nagle uświadomiwszy sobie, że znalazł się w samym środku wrogiego hufca. Nie życzył sobie, by Edana, Halion czy Vonn go zobaczyli.

Conall spoglądał na mury Drassil. Rafe również skierował tam wzrok. Widział wyraźnie Rhin, stojącą obok Calidusa oraz Uthasa, i wyczuwał wściekłość, która wykrzywiła im twarze.

– Myślisz, że przekaz dotarł do Rhin? – Conall zwrócił się do Haliona i Edany.

– Mogę sobie to wyobrazić – powiedziała Edana.

– Ja tam nie mam pewności – rzekł Conall. – Pozwól, że się upewnię.

Otoczył usta dłońmi i ryknął:

– Rhin, już nie jesteś królową, a więc niniejszym możesz mnie pocałować w dupę!

Opuścił spodnie i obnażył tyłek w stronę murów Drassil. Pokręcił nim trochę, wiwatując i śmiejąc się, co wywołało salwy śmiechu w obu hufcach. Nawet Rafe zachichotał.

– Myślicie, że teraz rozumie? – spytał Conall, nadal kręcąc tyłkiem w kierunku Drassil.

Od strony murów dobiegł przeraźliwy wrzask furii.

– Najwyraźniej. – Edana się uśmiechnęła.

W fortecy zagrzmiały rogi. Znów rozchyliły się bramy i ze środka wyjechali jeźdźcy, którzy uformowali szyki na równinie przed murami.

– To Geraint – rzekł Conall. – Dobry człowiek. Lubię go. I niezły z niego dowódca. Lojalny. Czeka nas ostra bitwa.

Patrzyli na roje jeźdźców, którzy wyjeżdżali z twierdzy. Przybywało ich z każdą chwilą, aż przewyższyli liczebnie hufiec z Domhainu, choć wciąż nadjeżdżali kolejni.

Conall podciągnął spodnie i wspiął się na koński grzbiet.

– Pora rozlać trochę krwi! – warknął.

Rozdział dziewięćdziesiąty siódmy

CORALEN

Coralen jechała pod gałęziami drzew w górę łagodnego zbocza na skraju lasu Forn. Za sobą miała Corbana i resztę, a gdzieś przed nią śmigiała przypominająca cień Burza. Od czasu do czasu docierał do nich odgłos walki z równiny.

Odwrócenie się od bitwy okazało się jedną z najcięższych decyzji, jakie kiedykolwiek podjęła, a wiedziała, że nie ona jedna walczy z tym dylematem.

Na szczycie wzgórza kopyta jej konia uderzyły w prastare kamienne płyty, pozostałości traktu olbrzymów, które zostały odkryte i przebudowane przez Jaela z Isiltiru.

Coralen ściągnęła wodze i zaczęła na resztę. Corban, Gar, Farrell, Laith, Dath, Kulla, Cywen i Brina wnet dołączyli do niej na trakcie i wszyscy na moment zawahali się, spoglądając na Drassil i toczącą się tam bitwę.

Na południu widzieli dwa ścierające się ze sobą mury tarcz, jeden pod dowództwem Veradisa, a drugi należący do Nathaira. Obie formacje przepychały się niczym walczące byki, a ich zacięte starcie najwyraźniej stanowiło teraz centrum bitwy, wokół którego szalały pozostałe oddziały. Coralen spostrzegła olbrzymy, draiga, czerwone oraz białe płaszcze. O wiele bliżej był kilkutysięczny oddział konnych wojowników, który sprawiał szyki niedaleko skraju lasu. Przewodziła mu jasnowłosa kobieta, która pędziła wzdłuż pierwszego szeregu i wymachiwała mieczem.

Edana, pomyślała Coralen. Nie tak zapamiętałam księżniczkę, która usiłowała zwrócić na siebie uwagę na dworze Eremona.

Oddech uwiązał jej w piersi, gdy obok Edany dostrzegła Haliona i Conalla, jej braci.

A więc Halion się nie pomylił. Conall dołączył do nich.

Uśmiechnęła się szeroko.

Połączone siły Edany kierowały się ku innej konnej armii, która wylewała się przed Drassil niczym fala czerni i złota. Z tego, co Coralen mogła dostrzec, nawet przy wsparciu hufca Conalla wróg nadal miał przewagę liczebną.

Mimo to właśnie hufiec w szarych płaszczach rzucił się jako pierwszy do szarży.

Do ich uszu dotarł odległy pomruk tysięcy kopyt, gdy oddział ruszał naprzód, nabierając prędkości, po czym nad równiną przetoczył się ogłuszający okrzyk bojowy. Armia w czerni i złocie również ruszyła z miejsca i niebawem już galopowała. Była wolniejsza od napastnika, ale większa i potężniejsza.

Oba rozpędzone hufce starły się, czemu towarzyszył ogłuszający trzask zwierających się mieczy, włóczni i tarcz. Flanki oddziału Rhin otoczyły oddział Edany.

Przez moment siedzieli i przyglądali się starciu, walcząc z ochotą, by zawrócić i do niego dołączyć. Nie mogli znieść tego, że ich przyjaciele i towarzysze walczą o przyszłość Ziem Wygnanych i być może już giną tuż przed ich oczami.

– Nie pomożemy im – warknęła Brina. – Jeśli tu zostaniemy, zginiemy wszyscy. Ruszajmy, i to szybko!

– Tak – zgodził się Corban. – I zakończmy to wszystko.

Szarpnął za wodze, popędził konia i po chwili gnali już traktem w głąb Fornu. Oddalali się od bitwy.

Rozdział dziewięćdziesiąty ósmy

UTHAS

Uthas wpatrywał się w pole bitwy. Dłoń na rękojeści włóczni zaciskał z taką siłą, że pobielaly mu kłykcie. Krzyki i wrzaski walczących słyszał teraz wyraźnie, gdyż kawaleria utworzyła wściekły wir śmierci niedaleko bram twierdzy. Szarżujące oddziały Edany wbiły się w głąb o wiele większej formacji Gerainta, przez co liczni wojownicy w szarych płaszczach znaleźli się blisko murów fortecy. Uthas widział teraz kotłującą się masę walczących. Konie rżały, kopały, wierzgały, a ludzie rąbali, kłuli i umierali.

To jednak nie będzie łatwe zwycięstwo, pomyślał. Wizja rozpędzenia byle jak uzbrojonego motłochu okazała się nieprawdziwa. Mamy przewagę po swej stronie, a także rezerwy, na które wróg nie może liczyć, ale nie będzie to łatwy tryumf. Jeśli osiągniemy zwycięstwo, będzie ono okupione wielkimi stratami. Nadszedł czas, by posłać nas na dół, byśmy uderzyli na wroga, póki ten jest związany walką.

Spojrzał na Salacha i od razu wiedział, że myślą o tym samym. Skierowali wzrok na Calidusa.

Kadoshim przyglądali się bitwie uważnie, a w ich oczach połyskiwała wściekłość, niepokój i odraza. Rhin szalała z furii – zaciskała pięści i wykrzywiała usta, wyrzucając z siebie wiązki przekleństw.

Zdrada Conalla mocno ją ubodła, pomyślał Uthas.

Calidus, drżąc, nabrał powietrza, z trudem panując nad własnym gniewem. Odwrócił się i zaczął wykrzykiwać rozkazy. Pozostała

część orlej straży zaczęła szykować się do bitwy. Na dziedzińcu rozpoczęła się bieganina.

* * *

– Lykos, zbieraj swoich ludzi! – Calidus zwrócił się do władcy Vin Thalun. – Weź każdego z wyjątkiem tych, którzy pilnują Skarbów. Wyprowadź ich na równinę i odwróć losy tej bitwy!

– Robi się – burknął Lykos.

Odwrócił się i ruszył w dół po schodach, rycząc na swoich wojowników.

Dobrze, pomyślał Uthas. Z Vin Thalun i orlą gwardią możemy liczyć na dodatkowe trzy tysiące ludzi na polu walki. Przynajmniej zgnieciemy przeciwnika przewagą liczebną.

– Pora na ciebie, Uthas. Weź swoich i zmiażdż wroga. Zbryzgaj ziemię krwią Ethlinn i Balura!

Uthas poczuł, jak przeszywa go ekscytacja, podszyta z jednej strony lękiem, a z drugiej pragnieniem. Teraz wystarczy jeden celny rzut włócznią, by spełniło się jego marzenie.

– Opróżnimy Drassil z wojska. Zalejemy wroga niczym nieubłagana powódź! – warknął Calidus.

No i dobrze. Już dawno powinniśmy byli to zrobić, stwierdził w myślach Uthas. Nadmierna troska o Skarby przyćmiła jego umiejętność wyciągania wniosków, a do tego zlekceważył talent strategiczny Corbana.

– A co ze Skarbami? – spytała Rhin, która najwyraźniej doszła już do siebie. W jej głosie pojawił się niepokój.

– Właśnie, Skarby – warknął Calidus. – Teraz będą pilnowane jedynie przeze mnie i moich Kadoshim, dzięki zdradzie twojego człowieka. Masz sporo na sumieniu.

Obdarzył królową uśmiechem pozbawionym wesołości.

– Zostaniesz ze mną i będziesz się modlić, by Skarby pozostały bezpieczne.

– Salach! – odezwał się Uthas, a jego przyboczny burknięciem zgłosił swoją gotowość. – Benothi, za mną!

* * *

Zszedł z murów jako pierwszy, słysząc za sobą tupot stóp swego klanu, a potem opuścił twierdzę przez bramę. Po bokach, niczym skrzydła, osłaniali go Salach i Eisa, a za nim maszerowali Benothi w okutych żelazem butach. Na ich twarzach malowały się ponure miny, a w rękach trzymali wielkie młoty bądź topory wojenne.

Wyjście na równinę było zupełnie innym doznaniem niż przyglądanie się bitwie z wysokich murów Drassil. W nozdrza najpierw uderzył go smród krwi i odchodów, potem usłyszał wrzaski, okrzyki bojowe, zgrzyt żelaza i łoskot zderzających się tarcz. Wszystko to zlewało się w ogłuszający zgiełk, który falował, przybierał na sile i znów cichł, w miarę jak Uthas kroczył przez pobojuwisko.

Poprowadził swój klan bokiem, nie chcąc mieszać się w walkę między dwoma konnymi hufcami. Kierował się ku starciu obu murów tarcz, bo tam widział inne olbrzymy. Raz jeszcze spojrzął za siebie, by mieć pewność, że nie idzie sam, i dostrzegł Lykosa, który wybiega z bram na czele Vin Thalun. Nie było wśród nich dyscypliny jak w szeregach orlej straży. Przypominali raczej wzburzony potok, który runął na południe, w ślad za Uthasem.

Lykos myśli tak samo jak ja, pomyślał olbrzym. Z piechurami łatwiej się walczy.

Wbił wzrok w wielkiego wojownika w żelaznym pancerzu, który zmagął się z tłumem w białych płaszczach, i puścił się ku niemu biegiem.

Rozdział dziewięćdziesiąty dziewiąty

CYWEN

Cywen opanowała dreszcz strachu, gdy minęli olbrzymie zwłoki, ogryzione niemalże do czysta przez niezliczonych leśnych drapieżców. Wciąż jednak mogła dostrzec czaszkę z płaskim pyskiem oraz długie kły, które ryły ziemię niczym kosy.

Przez chwilę pożałowała, że nie ma przy niej Buddaia, ale pies nadal utykał po walce z draigiem, więc uwiązała go na sznurze w polowym szpitalu, gdzie opiekowali się nim Sif oraz Swain. Buddai nie był z tego zadowolony, ale wielka kość dzika pomogła mu pogodzić się z losem.

Przed nią na siodle siedział Haelan, otoczony przez nią ramionami, w których trzymała wodze. Chłopak pobiegł za nimi w las w asyście Garnka i Cień, co zostało natychmiast odkryte przez Coralen i Burzę. Brina dokładnie przepytала chłopaka, co też strzeliło mu do głowy, a Haelan, ku wielkiemu zdumieniu Cywen, upierał się przy swoim. Odgadł bowiem, dokąd kieruje się ich mała grupka, i był przekonany, że będzie mógł pomóc. Brina pozwoliła mu zostać.

Niedługo później poczuli charakterystyczny smród.

Łajno draiga, pomyślała Cywen.

Konie parskają, rżą i kładły po sobie uszy ze strachu.

– Od tego momentu musimy już iść pieszo – powiedziała Coralen i wraz z Cywen poprowadziły grupę.

Smród stawał się coraz gorszy, a Cywen dostrzegła pierwsze sterty łajna. Grupa przekradała się dalej, aż ich oczom ukazał się skraj

zbocza, który prowadził do kopca draiga i tunelu, który wiódł do legowiska bestii. Wszyscy padli na ziemię i pokonali ostatnią część drogi, pełznąc, aż zatrzymali się rzędem wzdłuż skraju stoku i wyjrżeli zza niego.

– Cóż, moim zdaniem nie ma na co czekać – powiedziała Kulla rzeczowo. – Bierzmy się do roboty.

Dath złapał ją za rękę.

– Nie chcę, byś podejmowała to ryzyko – rzekł.

– Wiem, ale to jedna z tych rzeczy, które po prostu trzeba zrobić, a nikt nie zrobi tego lepiej ode mnie.

– Ja też szybko biegam – stwierdził Dath.

– Tak, ale nie tak szybko jak ja.

Dath wpatrywał się w nią z niepokojem i obawą, a Kulla pogładziła go po twarzy i uśmiechnęła się.

– Kocham cię, mój jedyny – powiedziała, a potem owinęła sobie usta oraz oczy pasmami materiału i zeszła na dół. Wyciągnęła dłoń, namacała najbliższą stertę łajna i rzuciła się w nią.

Eksplozja smrodu była tak zniewalająca, że Cywen, choć nadal leżała na skraju zbocza, zakręciło się w głowie. Dath, który uklęknął, aż się zatoczył.

Kulla podniosła się z ziemi, od stóp do głów upačkana odchodami. Zerwała opaskę z oczu, mrugnęła do Datha i ruszyła w dół zbocza do legowiska draigów. Spojrzała jeszcze raz na niego, gdy stanęła na skraju wejścia przypominającego jaskinię, po czym weszła do środka.

Cywen nigdy dotąd nie widziała, by Dath był tak przejęty i przygnębiony. Corban uścisnął jego ramię.

Leżeli i czekali, aż Cywen usłyszała głuchy ryk, dobiegający z podziemi i zwielokrotniony echem. Do pierwszego ryku dołączyły kolejne, nakładające się na siebie, aż nagle Kulla wyskoczyła z tunelu z jajem draiga pod pachą. Pędziła w górę zbocza i po kilku susach wypadła na równy teren między drzewami. Biegła, jakby jej się ziemia paliła pod nogami, w kierunku przeciwnym do swoich towarzyszy. Wtedy z ciemnej jamy wyskoczyły trzy draigi, które rozbiegły się po zboczu, przez moment smakowały powietrze

językami, a potem popędziły w ślad za Kullą, drąc ziemię zakrzywionymi pazurami. Od razu odnalazły trop, choć młoda Jehar zniknęła już między drzewami.

Doskonale wyczuwają zapach jaj, pomyślała Cywen.

I dokładnie o to chodziło.

Corban i Brina tysiące razy analizowali ten plan wraz z innymi. Wedle niego najszybszy biegacz w oddziale, umazany łajnem draiga, miał porwać jajo i uciekać, a w chwili, gdy znajdzie się u kresu sił, wyrzucić je jak najdalej od siebie i znieruchomieć. Cywen była przekonana, że to wystarczy, by stać się dla draiga niewidzialnym. Jej ta technika ocaliła życie.

W międzyczasie pozostali, korzystając z nieobecności draigów, mieli wniknąć do tunelu.

– Dalej! – syknął Corban i wszyscy popędzili w dół zbocza, aż wpadli w ciemność wejścia do jaskini. Burza, Garnek i Cień zamykali grupę.

Cywen biegła za Corbanem i Coralen, a Haelan wyprzedził ich wszystkich. Niosąc pochodnię, gnał długim korytarzem, który przeszedł w wielką komorę zawierającą gniazdo. Zwolnił, by spojrzeć na jaja, ułożone w samym środku niczym grudki węgla w kuźni, a potem przyśpieszył w kierunku wejścia znajdującego się niemalże dokładnie naprzeciwko tego, przez które wpadli do komory. Prowadził drużynę coraz dalej w głąb labiryntu.

Przed kolejnym zakrętem Corban nakazał chwilę przerwy. Wszyscy zgromadzili się wokół niego. Ślepia Burzy i Cień jaśniały w blasku pochodni.

Cywen spojrzała na rozgałęzienie, które znajdowało się przed nimi. Za nic w świecie nie miała pojęcia, które prowadziło do korzeni i szczeliny, przez którą mogli się dostać do wnętrza Drassil.

– Haelan – syknęła. – Wiesz, którądy mamy iść?

– Oczywiście. – Chłopak uniósł wysoko pochodnię. – Tędy!

Wskazywał prawe odgałęzienie.

– Skąd wiesz? – spytała Cywen.

Haelan machnął pochodnią ku ziemi. Coś błysnęło bielą i wtedy Cywen wszystko sobie przypomniała.

– Kamienie Sif! – oznajmił chłopak z tryumfem.

Rozdział setny

CAMLIN

Camlin stał na skraju lasu. Wycelował w wojownika w białym płaszczu, który wzniosł miecz za plecami Wulfa, i zwolnił strzałę, która przebiła napastnikowi gardło. Ten zachwiał się i wpadł na Wulfa, który obrócił się ze wściekłym grymasem, wznosząc topór do ciosu, a potem dostrzegł strzałę i zrozumiał, że przeciwnik nie żyje. Odepchnął trupa, spojrział na uśmiechającego się do niego Camlina, skinął mu głową i powrócił do walki. Ułamek sekundy później rąbnął jakiegoś człowieka Lothara umbem tarczy w twarz i siekł go toporem w czaszkę.

Camlin rozejrzał się za kolejnym celem.

Z początku posyłał strzałę za strzałą w gęszcz wojowników w białych płaszczach, zgromadzonych na lewej flance muru tarcz Nathaira. Szkoda było przejść obojętnie obok takiej okazji. Wraz z łucznikami Datha siali spustoszenie wśród ocalałych zbrojnych Lothara.

Teraz jednakże trudniej było o czysty strzał, gdyż na równinie rozgorzała zaciekła walka wręcz i białe płaszcze przemieszały się z ludźmi Wulfa, Kadoshim i Jehar oraz garścią olbrzymów. Balur Jednooki rąbał białe płaszcze i Kadoshim z przerażającą furją, rozsyłając naokoło odrąbane głowy i kończyny, a ku niebu – wrzeszczące zjawy. Usiłował się przebić w stronę muru tarcz Nathaira, który był większy i szerszy od formacji Veradisa i najwidoczniej powoli go zgniatał.

Kłęb dymu pochłonął Camlina i jego oddział, a potem potoczył się na równinę. W plecy łuczników buchnął żar, a trzask pożaru ogarniającego drzewa stał się zbyt bliski jak na gust Camlina. Spojrzał za siebie i ujrzał płomienie żarłocznie rozchodzące się po lesie.

Pora przyłączyć się do zabawy, pomyślał i zarzucił łuk na ramię.

– Dość już tego łaskotania! – krzyknął i porwał za miecz. – Pokażemy im, że mamy coś więcej niż tylko kołczany wypełnione pierzastymi kijkami!

Wypadł spomiędzy drzew.

– Za Ardan i Edanę! – wrzasnął, zaskoczony własnym okrzykiem bojowym.

Wpadł na jednego z wojowników Lothara i rąbnął go mieczem między szyją a ramieniem. Kolczuga wytrzymała uderzenie, ale Camlin poczuł, że złamał mężczyźnie obojczyk. Przewrócił go kopnięciem i wraził mu miecz w gardło, a potem, niesiony własnym pędem, pochwycił miecz w obie dłonie i rąbnął kolejnego wojownika prosto w głowę. Również jego przewrócił kopnięciem i rozejrzał się za kolejnym celem.

Niemniej białe płaszcze na tej flance poszły już w rozsypkę. Większość padła lub konała na ziemi, a niedobitków wchłonął mur tarcz Nathaira. Na polu bitwy pozostawała wciąż grupa Kadoshim, ale tych opadli już owładnięci świętym szalem Jehar z Akarem na czele, wsparci przez wojowników Wulfa oraz olbrzymy na czele z Balurem. W powietrzu co rusz pojawiały się kolejne ciemne, rozwrzeszczane upiory, a gdy znikł ostatni, pozostał już tylko mur tarcz Nathaira.

Camlin stał, próbując złapać dech, i przyglądał się Balurowi, który rzucił się do ataku z długim toporem.

Ten mur to niezwykły wynalazek, pomyślał. Formacja posplatana jak ogniwa kolczugi, odbijająca każdy cios.

Z przerażeniem patrzył na grupę ludzi Wulfa, którzy rzucili się do natarcia. Ich topory odbiły się od zwartych tarcz, a wówczas na powitanie tych, którzy zanadto się zbliżyli, wystrzeliły krótkie

miecze, kalecząc brzuchy, nogi i gardła. Pięciu ludzi padło w okamgnieniu.

Sam wolałbym bliżej nie podchodzić, stwierdził w myślach Camlin. Ta bestia potrafi ugryźć!

Balur i jego pobratymcy jednakże doskonale się spisywali. Ich topory spadały na stojących w szyku żołnierzy, haczyły o tarcze i wyszarpywały wojowników przed szereg, gdzie zostawali zarąbani na śmierć.

Chyba się tu nie przydam, uświadomił sobie Camlin. Żadna strzała nie przebije się przez taką ilość drewna i żelaza. Pora się rozejrzeć za inną robotą.

Na polu bitwy panował chaos. Camlin widział tylko tyle, że wszyscy dookoła niego próbują się pozabijać, a do tego z lasu wyłaniały się kolejne kłęby gęstego, ciemnego dymu. Przez moment był zaskoczony ogromem zdarzeń, których stał się świadkiem. Nigdy dotąd nie widział tylu ludzi ze wszystkich krańców Ziemi Wygnanych, pochłoniętych próbami odebrania sobie życia.

Na północy dostrzegł szare płaszcze Ardanu, zwarte w walce z ludźmi w czerni i złocie.

Powinienem być przy Edanie. Zresztą zabijanie ludzi Rhin wydaje się nie najgorszym pomysłem, uznał i rzucił się biegiem w tamtym kierunku, wiodąc swoich łuczników.

Rozdział sto pierwszy

UTHAS

– Jednooki! – ryczał Salach, wbijając włócznię w ciało wojownika w czerni i srebrze.

Mój *sgeul* rozrośnie się dziś!, pomyślał Uthas.

Na czele Benothi uderzył we flankę skłębionej masy wojowników, z których część nosiła czerni i srebro, a inni czerwone płaszcze. Uthas nie miał jednak zamiaru zmagać się z nimi. Chciał się przedrzeć do garstki olbrzymów, które walczyły za rozszalałą gromadą w czerni i srebrze. Były to olbrzymy z jego klanu, Benothi, choć niektóre założyły osobliwe pancerze z żelaza, a władały jednosiecznymi toporami na długich trzonkach.

To moi rodacy. Nie mam zamiaru ich zabijać. Jedynie Balur i Ethlinn zasługują na śmierć. Gdy zginą, reszta mi się pokłoni. Pozwolę, by Salach zabił Jednookiego. Ja chcę ujrzeć, jak Ethlinn wykrwawia się przede mną na zimnej ziemi.

I wtedy ją zauważył, jak przebija włócznią jednego z wojowników w białym płaszczu, osłaniając plecy któregoś z zakutych w stal współplemieńców.

„Jednooki boi się ciebie” – powiedział przed bitwą Salachowi. Być może miał rację, bo Salach w istocie był wielkim, sławnym wojownikiem w ich klanie. Miał na swoim koncie setkę rajdów na wroga, a jego *sgeul* liczył wiele, wiele kolców. Co więcej, zabił Sreng, przyboczną Nemain, która w sztuce władania bronią ustępowała jedynie Balurowi. Niemniej Jednooki cieszył się tą reputacją od

wielu stuleci. Był teraz sędziwym starcem, co oznaczało, że utracił wiele ze swej zwinności.

Choć nie wydaje mi się, by Jednooki bał się kogokolwiek, pomyślał Uthas. Osobiście wolę mierzyć się z pomiotem Nemain niż z nim.

Brnął wśród ludzkich wojowników ku Ethlinn. Tu i ówdzie dźgał włócznią. Walnął okutym żelazem końcem w czyjąś twarz, obrócił broń, wbił ostrze w pierś innego, uniósł go nad ziemię i rzucił nim w kolejnego przeciwnika. Jego Benothi podążali za nim, przebijając sobie drogę przez tłum wrogów. Owładnięty szalem bojowym Salach z każdym ciosem wykrzykiwał imię Balura.

Wtedy dostrzegła go Ethlinn.

Zamarła na jego widok, a potem ruszyła ku niemu, odrzucając na boki wojowników w białych płaszczach. On czynił to samo, odbierając życie każdemu człowiekowi w czerni i srebrze, który był na tyle głupi, by zająć mu drogę.

Nagle walczący po obu stronach cofnęli się, robiąc dla nich przestrzeń. Za jej plecami pojawiła się kolejna horda ludzi, kierując się na flankę muru tarcz Nathaira. Byli wśród nich topornicy w skórach i futrach oraz odziani w czerń Jehar z wysoko wzniesionymi mieczami.

Garstka, która zdołała uciec magii kotła w Murias, pomyślał Uthas.

Jehar i topornicy uderzyli na białe płaszcze, ale za nimi wyłoniły się kolejne olbrzymy, niektóre kryte blachami, inne w skórach i futrach. Wszyscy biegli ku niemu i jego Benothi, a przewodził im Balur.

Uthas poczuł ukłucie lęku.

Napiłem się z kielicha, pomyślał. Od pięciuset lat nie byłem równie silny i szybki. Ale czy to wystarczy, by pokonać Balura Jednookiego?

– Salach! – wrzasnął Uthas. – Nadciąga twój przeciwnik! Ruszaj po swą chwałę! Zapisz się w legendach! Ba, sam zostań legendą jako ten, który zabił Balura Jednookiego!

Salach, warcząc i parskając, przebiegł obok niego ze wzniesionym toporem, a sam Uthas rzucił się na Ethlinn.

Oboje zginą, pomyślał, a wtedy klany staną się moje!

Wydał z siebie pozbawiony słów ryk, złapał włócznię oburącz i pchnął, mierząc w ten sposób, by ostrze wbiło się w trzewia Ethlinn i wyszło górą, ale ona zręcznie odtrąciła jego cios, pochwyciła własną włócznię wyżej i przeorała mu kłykcie. Przeszła do błyskawicznego pchnięcia – Uthas zdołał się uchylić i ostrze Ethlinn, zamiast trafić go w oko, drasnęło go w policzek. Strużka krwi wniknęła mu w brodę.

Po lewej widział czarnowłosego Salacha, który rzucił się na Balura. Potężnym ciosem rozrąbał stylisko topora Jednookiego, który miał o wiele dłuższy zasięg, po czym przypadł bliżej.

Balur jest skończony!, pomyślał Uthas.

Odsunął się od Ethlinn i uniknął serii krótkich pchnięć w klatkę piersiową i gardło, po czym podbił jej włócznię wysoko i uderzył w żołądek tępym końcem broni. Ethlinn stęknęła głucho, ale zdołała zablokować jego kolejne ciosy. Ich włócznie zderzały się przez moment z wściekłym stukotem, po czym olbrzymka nagle znalazła się poza zasięgiem jego broni i zaczęli się okręzać. Rozległ się głośny, metaliczny łoskot, gdy Salach rąbnął Balura w pierś, krzesząc snop iskier. Jednooki zatoczył się do tyłu.

Olbrzymy utworzyły wokół nich krąg. Uthas widział swoich Benothi oraz popleczników Ethlinn, a wśród nich Kurgan. W milczeniu i z ponurymi minami przyglądali się przebiegowi obu starć.

I dobrze, pomyślał Uthas. Zobaczą, jak oboje giną.

Zamarkował pchnięcie w brzuch Ethlinn, ale uderzył niżej, w udo. Olbrzymka wymknęła się zwinnym piruetem, przypadła bliżej, pochwyciła włócznię niczym laskę i rąbnęła go w stopę. Następnie obróciła broń, by przeorać mu brzuch, ale odskoczył. Jej ostrze zdołało jedynie rozszarpać serię ogniów kolczugi, krzesząc przy tym iskry.

Ethlinn się uśmiechała.

Uthas poczuł, jak kark zalewa mu gniewny rumieniec. Jak ta krucha marzycielka śmie z niego drwić? Zapiekł, gdy do skaleczenia na policzku dostały się krople potu. Warknął i znowu pchnął, uniknął kontrataku Ethlinn, złapał jej włócznię i szarpnął

mocno, pozbawiając ją na moment równowagi. Pociągnął ją ku ostrzu swej włóczni, którą wymierzył w jej gardło, ale olbrzymka zdołała się jakoś wyrwać i grzotnęła go pięścią w bok głowy. Uthas zatoczył się i w ustach poczuł smak krwi. Cofnął się i machnął dziko włócznią, by odpędzić Ethlinn, ale stała kilka kroków dalej, poza zasięgiem jego broni, i wpatrywała się w niego.

– Miałeś nadzieję na łatwe zwycięstwo? – zadrwiła. – Zapominasz, czyja krew płynie w moich żyłach!

Oboje spojrzeli na Balura i Salacha. Jednooki prawą dłonią pochwycił stylisko topora przeciwnika, zatrzymując go w połowie ciosu, a lewą zerwał żelazny hełm ze swej głowy i grzotnął nim Salacha w twarz. Buchnęła krew, strzeliły zęby.

Uthas poczuł przypływ paniki.

– *Lasair* – krzyknął.

Wokół stóp Ethlinn buchnęły płomienie, a Uthas w tej samej chwili rzucił się do natarcia.

– *Sioc* – parsknęła olbrzymka pogardliwie i płomienie z trzaskiem zamieniły się w migotliwy szron. Uskoczyła przed pchnięciem Uthasa, jej włócznia zakreśliła łuk, a jej tępy koniec wyrzwał przeciwnika w tył głowy. Zachwiał się i obrócił, by z narastającą rozpaczą odbijać kolejne, nieustające ciosy Ethlinn.

Naraz w jego dłoni eksplodował ognisty ból i zawładnęła nim osobliwa odrętwiałość. Gdy spojrział w dół, ujrzał swe palce rozsypane na zdeptanej trawie. Włócznia wypadła mu z rąk, a wtedy Ethlinn rąbnęła go tępym końcem w szczękę. Uthas zatoczył się, aż poczuł, że ktoś go łapie i pomaga utrzymać równowagę. Była to Eisa.

– Pomóż mi – wychrypiał, ale ona wpatrywała się w niego z kamienną twarzą, aż wreszcie pokręciła głową.

– Zamordowałeś Nemain – powiedziała.

Te same dłonie pchnęły go na sam środek kręgu, gdzie padł na kolana przed Ethlinn.

Coś wylądowało z łoskotem na ziemi obok niego. Była to głowa Salacha. Ciemne włosy jego przybocznego były zmatowiały od krwi, a część twarzy została zamieniona w krwawą miazgę. Balur stanął u boku Ethlinn.

Jak do tego doszło?, myślał Uthas. Przecież to nie może się tak skończyć! Napiłem się z kielicha...

– Litości! – zawołał.

Ethlinn zmrużyła oczy.

– Nie zasługujesz na nią.

Pchnęła włócznią, a Uthas ujrzał, jak ostrze wbija się głęboko, a z rany cieknie ciemna krew. Chciał nabrać tchu, ale jego płuca nie działały już tak jak wcześniej. Świat robił się coraz ciemniejszy, aż skurczył się do tunelu wypełnionego światłem. Na jego końcu ujrzał ponurą, zawziętą twarz Ethlinn, a potem uświadomił sobie, że pada...

Rozdział sto drugi

CORBAN

Corban spojrział w górę. Sufit tunelu został przebity przez gruby korzeń, wokół którego osypała się ziemia. Powstała w ten sposób wyrwa, dzięki której mogli wniknąć do Drassil.

Stali w kupce i popijali wodę z bukłaka, zdyszani i spoceni po długim biegu przez labirynt dusznych tuneli. Prowadzący ich Haelan nie pomylił się ani razu, choć Corban stracił poczucie czasu.

– Cóż, poszło szybciej niż poprzednim razem – powiedziała Cywen.

– Bo teraz się nie zgubiliśmy – rzekł Haelan. – Wystarczyło podążać za kamykami i unikać tuneli, które oznaczone były dwoma. Poza tym biegliśmy, a nie skradaliśmy się.

Farrell burknął z niesmakiem.

– A teraz na co niby czekamy? – parsknęła Brina. – Macie nadzieję, że jakieś draigi wpadną na nasze małe przyjęcie?

Ruszyli więc po korzeniu na górę. Najpierw wspięła się Coralen, która pomogła wciągnąć na górę Haelana, Garnka oraz Cień, a potem dołączyła do nich reszta, pnąc się w stronę szarego światła. Jako ostatnia przecisnęła się Burza, uwalniając lawinę grudek ziemi.

– O, już jesteśmy prawie na miejscu! – powiedziała Cywen. – Widzicie to światło? To dziedziniec.

– Haelan, zaczekasz tu na nas z Garnkiem i Cień – rzekł Corban i zmierzył chłopaka ostrym spojrzeniem. – Przysięgnij, że stąd nie wyjdiesz!

Haelan skrzywił się.

– Przysięgam – burknął niechętnie.

– Dobrze, a więc ruszajmy – odezwała się Brina, a Cywen przez moment odnosiła wrażenie, że uzdrowicielka wygląda na przestraszoną.

Cywen jako pierwsza wyczołgała się na dziedziniec, a Corban był tuż za nią. Wciąż trwał dzień, ale słońce chyliło się już powoli ku zachodowi. Dziedziniec był pusty, a odgłosy bitwy wydawały się tu odległe i rozmyte niczym szum morza, uderzającego o klify Dun Carreg. Pozostali dołączyli do nich w ciszy. Z dziury pod korzeniami dębu wyjrzała blada twarz Haelana.

Corban ukucnął przy nim.

– Dziękuję ci – szepnął. – Gdyby nie ty, nie dotarlibyśmy tu tak szybko.

Chłopak uśmiechnął się szeroko.

– Ktoś tu po ciebie przyjdzie, gdy będzie po wszystkim – powiedział Corban i wstał.

Jeśli ktokolwiek będzie w stanie, dodał w myślach.

Nad ich głową zatrzepotały skrzydła.

– Wszystkie Skarby w wielkiej sali z drzewem – zakrakał lądujący Craf.

– Nawet torkwes? – upewnił się Corban.

– Tak, torkwes tam – potwierdził Craf. – I kocioł, włócznia, topór i kielich.

Corban dotknął sztyletu przy pasie i naszyjnika w kieszeni. Wymienili zawzięte spojrzenia i w ciszy ruszyli naprzód po wyludnionym Drassil.

Rozdział sto trzeci

LYKOS

Lykos biegł przez pole bitwy ku dwóm murom tarcz. W ręku trzymał krótki miecz, a do przedramienia przypiął puklerz. Pozostałości jego hufca podążały za nim, przypominając postrzępiony płaszcz.

Miałem cztery tysiące wojowników, a zostało mi ich ledwie piętnaście setek. Tylu ich poległo...

Ta myśl obudziła w nim gniew.

Jego pierwszą ofiarą był wojownik z Ripy.

Najdawniejsi wrogowie, pomyślał i biegł dalej z twarzą zbryzganą krwią.

Jego Vin Thalun wpadli na walczących niczym wiatr, który niesie zarazę. Gdzie uderzali, tam umierali ludzie, i prawie stu przeciwników osunęło się bez życia na ziemię, nim ktokolwiek zdał sobie sprawę z tego, że przybył nowy wróg. Ich natarcie zwolniło jednak, tym bardziej, że około dwóch tuzinów Jehar skoczyło im naprzeciw z zakrzywionymi mieczami.

Lykos wyminął ich, szukając łatwiejszych przeciwników. Zostawił wrzaski swoich Vin Thalun za sobą.

W niecałe dwa księżyce przewiosłowałem dwieście mil i stoczyłem porządną bitwę, pomyślał. Mam prawo być odrobinę zmęczony. Nawet kości mnie bolą. Jeśli będzie to możliwe, poszukam łatwiejszej potyczki.

Dochodził już do siebie po szaleńczym powrocie do Drassil, choć nie żałował, że zdobył się na tak wielki wysiłek. Dobrze było zostawić tego przekłętego Maquina daleko za sobą. Wciąż pamiętał

chwile, gdy ujrzał go na skraju klifu, jak wykrzyknął obietnicę zemsty i cisnął w niego głową Kadoshim. Tak, tamten moment nawet jemu zmroził krew w żyłach.

Zamrugnął na widok topora, opadającego prosto na jego głowę, i zrobił unik. Ostrze minęło go o włos. Rąbnął wojownika w futrach puklerzem w twarz i wbił mu miecz w udo. Krew buchnęła z rany, a przeciwnik osunął się na ziemię, blednąc straszliwie. Lykos dla samej przyjemności pchnął go w gardło i odepchnął kopnięciem, wyzwalając ostrze.

Wydał z siebie okrzyk bojowy i naraz ujrzał Nathaira na draigu, który właśnie przydeptywał jakiegoś męża w czerwonym płaszczu i pochylał łeb, by oderwać mu głowę. Chwilę później Lykos dostrzegł inną znajomą postać w czerni i srebrze Ripy. Wojownik miał gęstą, czarną brodę i był wielki niczym byk. Na oczach Lykosa powalił przeciwnika w białym płaszczu i zapamiętale uderzał długim mieczem w jego wzniesioną tarczę.

Oto i Krelis z Ripy, pomyślał Lykos. Ileż to razy ścigałeś moje okręty wojenne? Ileż to razy udaremniałeś mi napady? Zabijałeś mi ludzi? Psuć zabawę?

Uśmiechnął się szeroko i rzucił się na niego, świadom, że przynajmniej część jego ludzi znajduje się w pobliżu. Przedzierając się przez tłum walczących, zbliżał się do Krelisa od tyłu, by ciąć go po ścięgnach, ale on odwrócił się, zasłaniając ciało tarczą, i ciął szeroko w poprzek. Gdyby Lykos nie wyhamował w porę, zostałby wypatroszony. Nie dał się jednak zaskoczyć i runął do ataku w chwili, gdy miecz Krelisa przemknął dalej. Ogromny wojownik z Ripy pchnął go wielką, okrągłą tarczą, nim Lykos zdołał przyspaść bliżej i zadać cios.

– Ty podstępny, mały zaskrońcu – warknął Krelis, a potem zwęził oczy, gdy rozpoznał Lykosa. – Cóż, wygląda na to, że jednak warto było pokonać te trzysta mil do Drassil!

Krelis był znakomitym wojownikiem. Atakował zarówno mieczem, jak i tarczą, nie robił zbyt dalekich wypadów i pamiętał o obronie, a jego miecz ciął i dźgał. Lykos zaś cofał się powoli, szukając luk w obronie i mając nadzieję na udany kontratak. Jak

dotąd zdołał tylko wyszczerbić miecz, dorobić się kilku wgnieceń na puklerzu i cofnąć o trzy tuziny kroków.

Było to jednak częścią jego planu i Krelis nagle uświadomił sobie, że wraz z nieliczną grupką przybocznych znalazł się w samym środku roju Vin Thalun.

– Do mnie! – huknął donośnie, a Lykos ujrzał nadciągającą falę czerni i srebra.

Trzeba go szybko wykończyć!, pomyślał.

Vin Thalun osaczali już Krelisa, który niespodziewanie runął naprzód i walnął Lykosa tarczą, a potem ciął nisko mieczem. Zdumiony pirat zatoczył się i przyjął cios na puklerz. Od uderzenia zdrętwiało mu ramię.

– Chłopaki! – ryknął.

Potknął się o trupa i runął na ziemię, ale poderwał nieżyjącego, by zasłonić się nim przed ciosem Krelisa.

Vin Thalun zwarli się z ludźmi z Ripy, zagradzając im drogę do ich przywódcy. Trzech innych piratów przypadło do Krelisa i posłało go na kolana kilkoma ciosami po plecach. Ostrze Krelisa uwięzło w trupie, a Lykos złapał go za nadgarstek. Z pleców Krelisa bryzgała krew.

Wojownicy z Ripy zawyli i natarli na Vin Thalun z furją.

Lykos w końcu wypuścił dłoń Krelisa, wbił mu krótki miecz w pachę i uśmiechnął się, wyciągając go powoli. Krelis, wciąż na kolanach, zachwiał się i runął na plecy, patrząc na Lykosa.

– Gdzie w tym honor? – wyszeptał. Krew bulgotała mu w ustach.

– Honor bywa przeceniany. – Lykos wyszczerzył się i z uśmiechem patrzył na jego śmierć.

Rozdział sto czwarty

CORBAN

Corban ujrzał wreszcie wielką salę Drassil.

Zatoczyli szeroki łuk po fortecy, starannie wystrzegając się miejsc, w których, wedle słów Cywen, stacjonowała większość sił wroga. Trzymali się wąskich, ciemnych uliczek i starali się nie opuszczać plam cienia. Craf prowadził rozpoznanie powietrzne i ostrzegał ich, kiedy należy się schować. Przez cały czas towarzyszyło im ogromne napięcie oraz wrażenie, że znaleźli się w opuszczonym mieście. Na dziedzińcu przed wielką salą również nie było żywego ducha.

Wrota stały otworem, jak wówczas, gdy Corban mieszkał w Drassil. Na schodach przed nimi rozsiadło się w półkřęgu około tuzina Vin Thalun, którzy skupili się na grze w kości.

Czy oni nie wiedzą, że za murami tej twierdzy toczy się bitwa o przyszłość Ziem Wygnanych?, zastanawiał się Corban.

Nabrał tchu, zerknął na przyjaciół i ujrzał zawzięte, ponure twarze. Naraz Gar podniósł się i ruszył w stronę wrót oraz strażników, a Corban i reszta przemknęli bokiem wśród cieni dziedzińca.

Kilku spośród Vin Thalun uniosło głowy, ale uznali Gara za jednego z Kadoshim, do których już bez wątpienia przywykli. Gdyby lepiej mu się przyjrzeli, od razu zobaczyliby, iż nie ma czarnych oczu ani też żył na białej skórze, ale przez długą chwilę żaden z nich tego nie zrobił. Corban i Gar pokładali zresztą spore nadzieje w rozprzężeniu wśród wartowników.

Pierwszy z nich zorientował się w fortelu, gdy Gar dotarł do schodów.

– Hej! – zawołał.

Gar wyszarpnął miecz. Chwilę później dwóch Vin Thalun leżało już na stopniach, krztusząc się własną krwią. Pozostali cofali się, dobywając broni i tworząc półkrąg wokół Gara. Dwóch z nich padło, zanim jeszcze rzucili się na przeciwnika – jeden ze strzałą w szyi, a drugi z długim sztyletem między łopatkami. Wtedy między wojowników wpadła Burza. Bryzgnęła krew, poniosły się wrzaski.

Starcie zakończyło się, zanim się jeszcze na dobre zaczęło.

– Dość już tego chodzenia na palcach – oznajmił Farrell. – Coś mi mówi, że właśnie zaanonsowaliśmy naszą obecność.

Przebiegli przez wrota do wnętrza wielkiej sali.

Corban zatrzymał się i rozejrzał. Wśród korzeni gigantycznego drzewa, gdzie ustawiono tron Skalda, rozstawiono w niepełnym kręgu Skarby. Były tu: kocioł, topór, włócznia, torkwes i kielich. Pozostało miejsce dla naszyjnika i sztyletu. Na ziemi wokół Skarbów oraz między nimi wyryto osobliwe wzory i runy.

Przed nimi zaś stało dziesięciu Kadoshim, którzy wpatrywali się w Corbana i jego towarzyszy martwymi, czarnymi oczami.

Farrell zawiesił topór wojenny na plecach i sięgnął po miecz. Corban rzucił się do szarży z własnym wzniesionym wysoko ostrzem, tupiąc skórzanymi butami, a obok niego mknął wyglądający identycznie Gar.

Kadoshim skoczyli im na spotkanie. Zakrzywione miecze zasyczały, wyrywane z pochew, blade twarze wykrzywiła nienawiść. Jeden stęknął, gdy w oko wbiła mu się strzała, cofnął się chwiejnie o krok, ale po chwili znów biegł do walki. Inny zatoczył się i zatrzymał na moment, gdy w jego pierś wbił się sztylet Laith.

Obie grupy zwarły się na najniższym stopniu. Ciała i stal zwały się w chaotyczną kotłowaninę. Burza wyskoczyła i wylądowała z szyją Kadoshim między szczękami. Zacisnęła zębiska, a jej kły wbiły się głębiej. Targała, szarpała i gryzła, aż zdołała oderwać głowę, a w powietrzu wykwitła rozwrzeszczana zjawa.

Farrell odrąbał głowę temu, który miał sztylet Laith w piersi, a Gar ściał kolejnego kilka uderzeń serca później. W powietrzu zawisły dwie rozwrzeszczane zjawy. Corban wymienił serię uderzeń z jakąś wojowniczką, zatrzymał jej ostrze kłami wilkuna i ciosem miecza odrąbał jej głowę, która zatrzymała się pod nogami Coralen.

Nacierający na nią Kadoshim broczył już krwią z ran ramienia, uda i poszarpanego gardła, ale nie umniejszyło to jego zajadłości. Corban przypadł do niego i ściągnął na siebie jego uwagę, co wykorzystała Coralen, przerąbując mu kark. Głowa demona stoczyła się po schodach.

Oboje spojrzeli po sobie i znów skoczyli do walki o życie.

Naraz rozległy się okrzyki w mowie olbrzymów. Corban odwrócił się i ujrzał Brinę oraz Cywen, rzucające fiolkami w jednego z Kadoshim. Zasyczało powietrze i były Jehar zniknął wśród płomieni. Pałąc się żywcem, padł na jedno kolano, a wtedy Laith odrąbała mu głowę długim sztyletem.

Tymczasem Gar toczył zacieklą walkę z dwoma Kadoshim. Jeden z nich okrążył go szybko niczym żmija, wykorzystał moment nieuwagi i ciał po udzie. Gar zatoczył się.

– Nie! – ryknął Corban i skoczył mu na pomoc, ale wyprzedziła go Burza, która wpadła na obu Kadoshim, wyrzucając jednego w powietrze, a drugiego łapiąc kłami za ramię. Kadoshim chlasnął Burzę zakrzywionym mieczem i byłby przerąbał ją na pół, gdyby zacna kolczuga nie zatrzymała ciosu. Wtedy zjawił się Gar, który odciął mu głowę.

Padło jeszcze dwóch innych i wtedy Corban ujrzał ostatniego z nich, który ścigał Datha. Łucznik wpakował w niego kilka strzał, po czym wyrzucił łuk i porwał za miecz. Sparował kilka ciosów, ale potknął się i wylądował na ziemi. Kadoshim stanął nad nim ze wzniesionym ostrzem.

Naraz wyrosła przy nim Coralen, a po niej Corban. Demon zatoczył się, chlastany dziesiątkami ciosów, z których ostatni odrąbał mu głowę.

– Gdzie się podziewa Kulla, kiedy człowiek naprawdę jej potrzebuje? – szepnął Dath, ale zreflektował się i dodał:

– Nie mówcie jej, że powiedziałem coś takiego.
– Obiecałam jej, że będę się tobą opiekować – rzuciła Coralen, pomagając mu wstać.
– To ci dopiero krępujący szczegół – mruknął Dath.
– Każdy z nas dysponuje innymi atutami. – Coralen uśmiechnęła się i podała mu wyrzucony łuk.
– Corban! – syknęła Brina, która stanęła już przy kotle. – Skarby! Przypadł do niej i wręczył jej sztylet oraz naszyjnik.
– Bądźcie gotowi! – oznajmiła Brina. – Każdy z was. Wraz z Cywen odmówimy inkantację, a potem trzeba będzie wrzucić wszystkie Skarby do kotła. Tylko razem mogą zostać zniszczone.
– Zróbcie co do was należy! – warknął Gar i odwrócił się ku schodom oraz otwartym wrotom.

Na posadzce zalegały bezgłowe trupy Kadoshim. Wraz z pozostałymi wojownikami Corban utworzył ochronny półkrąg wokół Briny i Cywen. Pień ogromnego drzewa chronił ich tyły. Brina weszła w krąg wytyczony przez Skarby i podeszła do kotła.

Po chwili młody wojownik usłyszał głosy śpiewających kobiet:

– *Seoda cloch réalta, ó deannaigh tháinig tú, agus deannaigh beidh tú ar ais...*

„Corban!” – odezwał się znajomy głos w jego głowie. Rozejrzał się, ale nikogo nie zobaczył. Głos powtórzył jego imię, a wtedy Corban go rozpoznał.

Meical?

Poczuł się dziwnie. Naraz świat zaczął ciemnieć i Corban zamrugał. Znów usłyszał głos i poczuł, jak w głębi jego duszy pojawia się jakaś siła, która zaczyna go ciągnąć.

Wzywa mnie do Zaświatu, pomyślał.

Nie. Nie ma mowy. Nie jestem już twoją marionetką!

* * *

Corban walczył z narastającą presją. Zacisnął zęby i wyteżył siłę woli, by nie dać się porwać. Z niemałym wysiłkiem skupił uwagę na

szczegółach otoczenia. Twarz Meicala to bladła, to znów stawała się wyraźniejsza.

Corban potrząsnął głową i wbił wzrok w pobliskiego trupa Kadoshim. Uczepił się tego obrazu, by dzięki niemu zatrzymać się w tej komnacie, by nie dać się wyrwać z materialnego świata. Niespodziewanie ramię Kadoshim, przed chwilą blade i poznaczone czarnymi żyłami, zaczęło wyglądać normalnie.

Nic dziwnego, pomyślał. Przecież demon został wygnany z ciała.

Spojrzał na inne trupy, które zachowywały się podobnie. Wtedy uderzała go nowa myśl.

Tylko dziesięciu Kadoshim na straży Siedmiu Skarbów...

Głosy Briny i Cywen rozbrzmiewały echem za nim. Kryło się w nich coś kojącego i hipnotycznego, choć Corban nie rozumiał ani jednego słowa. Spojrzał na puste miejsca w kręgu Skarbów, gdzie uzdrowicielka ułożyła sztylet i naszyjnik.

Te artefakty, które przynieśli ze sobą.

Po jego plecach spłynął lodowaty dreszcz.

– To pułapka!

– Co? – warknął Gar, a wtedy wejście prowadzące do tunelu zaczęło się otwierać i ze środka wypadli Kadoshim, dwudziestu, czterdziestu, sześćdziesięciu, po nich kolejni.

Na kamiennych stopniach pojawili się też Calidus i Rhin, otoczeni przybocznymi. Za ich plecami kłębili się kolejni Kadoshim, których również było przynajmniej stu.

Calidus uśmiechał się do Corbana.

Rozdział sto piąty

MAQUIN

Maquin przemykał po polu bitwy. Unikał konnych wojowników, którzy nadal toczyli zaciekły bój po północnej stronie równiny, a przebijał się na południe, gdzie ścierały się ze sobą dwa mury tarcz. Wokół nich niczym burza wirowały oddziały z różnych stron Ziem Wygnanych, zarówno ludzie, jak olbrzymy, pogrążeni w bezlitosnej walce. Największymi grupami wśród walczących wydawali się Vin Thalun oraz ludzie z Ripy, którzy rzucali się na siebie z taką dzikością, że Maquin warknął z szacunkiem.

Jeszcze chwilę temu niewiele brakowało, by padł bez sił. Siedział w szpitalu z drżącymi rękami, ale gdy usłyszał zgiełk bitwy, przypomniał mu się Lykos. I znów miał w jednej dłoni miecz, a w drugiej nóż. Oba ostrza były czerwone od krwi aż po rękojeści.

Przed sobą ujrzał grupkę Vin Thalun, która osaczyła dwóch wojowników z Ripy, stojących ramie w ramie i broniących się zawzięcie. Maquin wskoczył w sam środek zamieszania. Ostrzem miecza otworzył jednemu z Vin Thalun gardło, nożem przerąbał innemu ścięgno, potem pchnął mieczem w dół, kopnął czyjąś kostkę, aż chrupnęły kości, sparował rozpaczliwy cios i wbił nóż w jakiś brzuch.

Jeden z Vin Thalun spojrzał Maquinowi w twarz i rzucił się do ucieczki.

– Stary Wilk! – wrzeszczał. – Stary Wilk!

Wojownicy z Ripy podziękowali skinieniem za ratunek i ruszyli za nim, podejmując okrzyk Vin Thalun, a Maquin skoczył w sam środek

ciżby. Zabijał z uśmiechem, bo w jego żyłach z krwią krążyło już uniesienie bitewne. Miał wrażenie, że wszyscy, którzy zamierzają się na niego, poruszają się za wolno, jakby brnęli w wodzie, a więc zabijał ich co do jednego. Wyczuwał w sobie różnicę i rozumiał już, na czym polegała. Niegdyś zdarzało się, że się wahał i pozwalał, by ludzie uciekali mu spod ostrzy.

To już minęło.

Kiedyś istniała Fidele. Kiedyś pragnął żyć, chciał smakować życie wraz z nią, ale Fidele już nie było. Znikła, a jemu przestało na czymkolwiek zależeć. Każdy człowiek, z którym się mierzył, bez względu na siłę, szybkość i wyszkolenie, w głębi duszy pragnął żyć. Próbował przetrwać. Myślał o jutrze.

Z nim było inaczej, a zatem walczył jak ten, który nie bał się śmierci, który się z nią pogodził i wiedział, że niebawem nadejdzie. Co więcej, nie miał nic przeciwko. Wyczekiwał jej z tęsknotą.

Ludzie przed nim padali, a za jego plecami gromadził się klin wojowników z Ripy. Spojrzał za siebie i ujrzał Uwolnionych, Alcyona, Taina i Cotę blisko siebie. Kroczyli po jego obu stronach i zabijali, rozjuszeni i zbryzgani krwią.

Szedł więc w burzę żelaza. Zabijał i szukał, a skandowane coraz silniejszym chórem hasło „Stary Wilk” unosiło się nad nim niczym stado kruków, niczym siejący przerażenie proporzec.

I wtedy Maquin go dostrzegł.

Zauważył Vin Thalun z niemalże potrząskanym puklerzem i zakrwawionym, poszczerbionym mieczem, z radością wymalowaną na brodatej twarzy, zajętego rąbaniem jakiegoś wojownika z Ripy na śmierć.

Lykos. Twoja śmierć właśnie nadeszła, pomyślał Maquin.

Rozdział sto szósty

CORBAN

– Szybciej! – warknął Corban na Brinę, wznosząc miecz.

Wszyscy tu zginiemy!, uświadomił sobie, a wokół jego serca zacisnęła się zimna pięść. Jest ich zbyt wielu. Calidus, Rhin, prawie dwie setki Kadoshim.

Poczuł falę rosnącego strachu, która odbierała mu siłę oraz przytomność myślenia.

Nie. Strach jest wrogiem. Skontroluj go, wykorzystaj!

Przypomniał sobie Gara wiele lat temu na wiosennej łące niedaleko brzegu morza. Przypomniał sobie mewy, krzyczące nad jego głową w chwili, gdy człowiek, którego miał za stajennego, zaproponował, że będzie go trenował i uczył. Że pomoże mu zapanować nad strachem.

I tak też zrobił Corban w tej chwili. Zdusił w sobie strach. Być może właśnie to było jego największym aktem męstwa tego dnia. Skupił siłę woli na opanowaniu śliskiego robaka lęku, który wił się po jego brzuchu i rozlewał po żyłach, próbując odebrać mu siłę i odwagę, próbując uczynić go gorszym, słabszym człowiekiem. Oddychał głęboko i skupił się na powodach, dla których się tu znalazł i dla których jego obecność była ważna. Na tym, co wciąż mógł zrobić. Na tych, których kochał. Zdusił lęk.

Mogę jeszcze podarować Brinie trochę czasu, nawet jeśli będzie to zaledwie kilka uderzeń serca. Być może zdoła dokończyć swe zadanie. Być może uda się jej zniszczyć Skarby, a wraz z nimi

jakąkolwiek szansę na to, że Asroth przeniknie do świata żywych. Za coś takiego warto umrzeć.

Calidus i Rhin znaleźli się już u dołu schodów i ruszyli ku nim po pokrytej kamiennymi płytami podłodze. Rhin przestąpiła nad bezgłowym trupem Kadoshim, a ich żywi bracia podążali za swym przywódcą niczym płaszcz cienia. Z tunelu co rusz wyłaniali się kolejni.

Burza zawarczała.

Brina i Cywen nadal śpiewały.

Laith zareagowała jako pierwsza. Cisnęła sztyletem w jednego z Kadoshim, który znalazł się niebezpiecznie blisko Farrella, co zerwało ze wszystkich czar. Wydarzenia potoczyły się z prędkością lawiny. Farrell ściął demonowi głowę, Burza skoczyła naprzód, a Corban, Coralen i Gar dołączyli do walki. Wrzasnęły upiory, unoszące się ku niebu, a ledwie się rozplynęły, pojawiły się kolejne.

Corban usłyszał warknięcie, a potem skomlenie Burzy. Jego miecz poruszał się z niespotykaną dotychczas prędkością, gdy próbował się do niej przebić. Obok niego walczył Gar, który wirował wokół Kadoshim w tańcu śmierci, rozsyłając naokoło odrąbane głowy i kończyny.

– Dość! – ryknął Calidus, a Kadoshim cofnęli się od zakrwawionych, zdyszanych śmiałków.

Dath leżał na plecach i wznosił miecz w obronie przed stojącym nad nim Kadoshim, ale czarnooka bestia również usłuchała rozkazu.

Po sali przeszło głośnie wycie, ludzkie, przepełnione żalem i bólem, przeistaczające się w furję.

Farrell...

Jego przyjaciel stał nad ciałem Laith, skurczonym, poskręcany, leżącym w kałuży krwi. Jej pozbawione życia oczy wpatrywały się w nicość. Farrell szlochał. Sam krwawił z tuzina ran, a jedna część jego twarzy umazana była krwią. Z klingi długiego miecza ściekały strzępy ciał Kadoshim, których ciała leżały wokół niego. U boku młodzieńca przykucnęła Burza.

Wilkunica warknęła na Calidusa, gotowa do kolejnego skoku.

– Powiedziałem: dość! – warknął Calidus.

W tejże chwili z jego ust buchnął czarny kłęb dymu, istna trująca chmura, która rozszczepiła się na dziesiątki włókien, a te ruszyły przed siebie, wijąc się po podłodze, szukając. Któraś odnalazła Burzę i oplotła jej nogi, a potem ciało niczym szybko rozrastające się pnącze. Zwierzę warknęło i położyło uszy po sobie. Czarne włókno zacisnęło się mocno i Burza przewróciła się, nie mogąc ustać na unieruchomionych łapach. Corban chciał skoczyć jej na pomoc, ale inne pasmo dymu oplotło już jego kostki i pomknęło wyżej, zamykając w zimnym uścisku jego ramiona. Poczul kwaśny smród oddechu, gdy pasmo pieściło go po szyi. Chwilę później wszyscy wili się na ziemi, nie mogąc się uwolnić.

– Jak widzisz. – Calidus zwrócił się konwersacyjnym tonem do Rhin. – Teraz, gdy Skarby są razem, moje moce potężnieją, gdyż łączy je silniejsza więź z Zaświatem.

Brina i Cywen nadal śpiewały, a Corban poczuł przepływ mocy między kotłem a Skarbami.

– Przestańcie! – warknął Calidus.

Z jego ust buchnęły kolejne kłęby czarnego dymu, które przekształciły się we włókna, oplotły obie kobiety, odciągnęły je od kotła i cisnęły na ziemię. Calidus ruszył zaś wśród poległych, minął Corbana i jego towarzyszy i stanął nad Briną.

– A więc to ty jesteś tą wiedźmą, która o mało nie zrujnowała mojego wielkiego planu i nie pokrzyżowała intryg Asrotha, których realizacja zabrała całe eony.

– Szybko się połapałeś – odparła Brina, mierząc Calidusa ostrym spojrzeniem.

– O, rogata dusza. Dobrze. Twoje wrzaski będą tym samym o wiele piękniejsze.

– Proszę, oszczędź mi tych melodramatycznych pogrózek – parsknęła Brina. – Nie budzisz we mnie strachu, a zresztą, czemu miałabym się ciebie bać, skoro jesteś tylko nienawiścią, gorącym wiatrem i mnóstwem goryczy upchniętymi w przypalonym, starym cielsku.

– Zmotywowowałaś mnie do działania. Nie ma co czekać z tymi wrzaskami – rzekł Calidus. – Przypuszczam, że do błagania o życie

się nie znizysz, a nie chcę, by ktoś mi odebrał zabawę.

Wyciągnął miecz i pchnął Brinę w pierś. Staruszka krzyknęła z bólu, gdy Calidus naparł na ostrze, wbijając je coraz głębiej, aż koniec zgrzytnął o kamień.

Nie!

W głowie Corbana rozbrzmiał cichy krzyk, a oczy zalały gorące łzy. Kopał i wierzgał, ale strużki dymu mocno go trzymały. Wpatrywał się w Brinę, widział, jak posapuje z bólu i szarpie się, a uśmiechnięty Calidus nadal nad nią stoi.

– Brina! – wykrztusił.

Obróciła ku niemu głowę. Ich spojrzenia spotkały się na moment, z ust staruszki umknął szept, a potem znieruchomiała. Krew powoli gromadziła się wokół niej i wnikała w szczeliny między kamiennymi płytami.

Z ust Corbana wyrwał się wrzask pierwotnej furii. Wybałuszył oczy, a żyły na karku i głowie nabrzmiały mu, jakby miały zaraz popękać. Przepełniony rozpaczą i wściekłością, doprowadzony do ostateczności własną bezsilnością, usiłował zerwać magiczne więzy.

Ilu spośród tych, których kocham, musi jeszcze zginąć na moich oczach?

Łzy zalały mu świat. Obrócił głowę w stronę Calidusa. Z oddali dobiegło krakanie kruka.

Proszę, Craf, nie zbliżaj się, proszę...

Calidus stał teraz nad Corbanem i spoglądał na niego, jakby młodzienc był robakiem, a on się zastanawiał, czy go rozgnieść, czy też nie.

– Pewnie się zastanawiasz, czemu jeszcze żyjesz – rzekł. – Jesteście moimi największymi wrogami na tym świecie, a do tego żalosną, pogardy godną zgrają, ale mimo to mój pan Asroth doceni taki prezent. Będzie się miał czym zabawić w wolnej chwili.

– Zabiję cię! – wychrypiał Corban. Raz jeszcze napiął mięśnie, próbując zerwać więzy, ale w końcu opadł z sił.

Calidus przyglądał mu się.

– Jacy wy, ludzie, jesteście żałośni. Słabi i targani emocjami, które prowadzą do okłamywania się i podejmowania niewykonalnych

zadań. Zdaje się, że nazywacie to nadzieją. Mimo to zawsze, bez wyjątku ponosicie porażkę. Wasze doświadczenia życiowe sprowadzają się do klęsk, nieszczęść i strat, a wy nadal nie chcecie pogodzić się z prawdą. Gatunek, który z takim zapalem trzyma się złudzeń i wypiera rzeczywistość, powinien zostać zniszczony.

Potrząsnął głową, a potem się uśmiechnął. Ukucnął obok Corbana i pogładził go po policzku palcem zakończonym długim paznokciem.

– To wszystko jest doprawdy zbyt łatwe. – Pokiwał do siebie głową. – Dobrze. Nasze spotkanie dostarczyło mi wiele radości, ale niestety muszę cię już zostawić. Mam robotę do wykonania.

Ruszył w stronę kręgu Skarbów.

– Rhin! – zawołał. – Do mnie!

Oboje podeszli do kotła. Słowa, wyszeptane pod nosem przez Calidusa, rozniosły się po sali niczym powiew wiatru. Kocioł zaczął pulsować.

– *Dark doras, idir saol na fola agus cnámh, agus saol na spiorad, beidh tú ag oscailt anois* – nucił Calidus, a Rhin dołączyła do niego.

Starzec z przypaloną twarzą, nie przestając wypowiadać niekończącego się ciągu słów, poderwał ciało Briny i wrzucił je do kotła. Ten wydawał się nabrzmiwać. Żelazne boki falowały i rozrastały się, rozsyłając naokoło wiązki czarnego światła. Każda z nich dotknęła jednego Skarbu, a te zadrgały i zaczęły czernieć, aż stały się ciemne niczym noc. Zasysały światło w głąb siebie, a cienie w Sali wydawały się pogłębiać. Przypominające mgłę wiązki czerni stawały się coraz grubsze, bardziej materialne i pulsowały niczym arterie, falując z powrotem w kierunku kotła.

– Więcej ciał – oznajmił Calidus.

Podszedł do Laith, obojętny na przekleństwa wyrzaskiwane przez Farrella, po czym podniósł ją i zawlókł w stronę kotła. Kadoshim przypadli, by pomóc mu cisnąć jej ciało do czarnej czeluści naczynia.

Z wnętrza znów eksplodowała ciemność. Rozległ się trzask, po którym Corbanowi aż zadudniło w uszach, a ze środka buchnęła wielka chmura nocy, która rozlała się po sali.

A potem usłyszał łopot skrzydeł. Wielu, wielu skrzydeł. Ich uderzenia wypełniły salę, a potem cały świat, lecz wnet zagłuszył je wrzask tryumfu i zwycięstwa.

Nagle ciemność zaczęła się cofać, jakby z powrotem zassano ją do kotła, a ze środka zaczęły się wyłaniać postacie. Byli to Kadoshim w swej prawdziwej formie – ze skórzastymi skrzydłami, o skórze białej jak mleko, kryci kolczugami, uzbrojeni w tarcze, włócznie i miecze. Z kotła wypływał ich niekończący się strumień, który rozlewał się po całej sali. Niektórzy docierali aż pod sufit, inni lądowali na kamiennej podłodze i przyglądali się swym materialnym ciałom. Niektórzy śmiali się z zachwytu, inni warczeli i parskali niczym prawdziwe uosobienie nienawiści.

Jedna z postaci z rozpostartymi szeroko ciemnymi skrzydłami opadła przed Calidusem, podnosząc kłęby kurzu. Wyglądała, jakby spływała ku powierzchni ziemi, a ta buchnęła kłębami pary i zasyczała, gdy istota dotknęła jej butami. Przybysz miał skórę bladą niczym śmierć, pociętą czarnymi żyłami jak gnijący liść, choć twarz miał przystojną, ostrą i pięknie zarysowaną. Na sinoczarnych ustach zastygł uśmiech, a po szyi spływał warkocz upleciony ze srebrnych włosów. W dłoni trzymał nagi miecz.

To Asroth!, uświadomił sobie Corban.

Przybysz uniósł pięść przed twarzą i powoli ją zacisnął. Na jego obliczu rozlała się przyjemność, jak gdyby napawał się ruchem kości, napięciem mięśni, rozciągnięciem skóry i krwią pulsującą w żyłach.

– Ach, Calidusie, najlepszy spośród moich przybocznych – powiedział i wyciągnął dłoń, by dotknąć jego policzka. – Wiernie mi służysz i za twe zasługi czeka cię nagroda, jakiej ten świat nie widział.

– Wszystko to dla ciebie i twej chwały, mój panie. – Calidus padł na kolano przed Asrothem. Rhin poszła w jego ślady.

Asroth rozejrzał się po wielkiej sali. Spojrzał na leżących ludzi, zerknął na swój przerażający legion, zgromadzony nad nim niczym mroczna aureola, co chwila zasilany kolejnymi wylatującymi z kotła demonami, których wydawała się być nieskończona ilość. W końcu

jego spojrzenie padło na Corbana i resztę więźniów, skrępowanych strugami dymu.

– A oto mój dar dla ciebie – rzekł Calidus, wstając. – Oto twój wróg, Jasna Gwiazda, i jego najbliżsi.

Usta Asrotha rozciągnęły się w czarnym, nieprzyjemnym uśmiechu.

– Czy bitwa dobiegła już końca? – zapytał.

– Nie, mój królu – rzekł Calidus. – Pola wokół Drassil roją się od tych, którzy przeciwstawili się tobie i czekają teraz na śmierć. Pomyślałem sobie, że tych tutaj warto zostawić na święto z okazji zwycięstwa. Gdy bitwa dobiegnie końca, będziesz mógł się nasycić ich wrzaskami i cierpieniem.

Asroth uśmiechnął się szerzej.

– Doskonały plan – rzekł, po czym ukucnął i pochylił się nad Corbanem. – Bez wątpienia każdy wrzask przyniesie mi wielką rozkosz – dodał. Jego oddech, wilgotny i zimny, owionął Corbana. – Zwłaszcza twój, bezczelny młokosie, który śmiałeś mi się przeciwstawić! Śmiałeś zebrać armię przeciwko mnie!

Jego oblicze zniekształcił grymas furii, a czarne oczy zdawały się bezdennymi studniami okrucieństwa i złośliwości. Corban miał wrażenie, że krew w jego żyłach zamienia się w lód.

– Później – warknął Asroth i wstał, by zwrócić się ku swoim Kadoshim. – Będziemy świętować później! – wykrzyknął. – Ale najpierw dokończmy to, po co tu przybyliśmy. Pora wyrzucić zemstę na Elyonie Wielkim Krętaczu ! Ruszajmy, by zabijać!

Wielką salę wypełnił ogłuszający ryk entuzjazmu. Asroth napiął mięśnie i wyskoczył w powietrze, a wielkie skrzydła bez trudu uniosły go wysoko. Nabierając prędkości, mknął ku jednemu z wielkich okien na dachu.

Przedarł się przez cieką błonę. Zamigotało światło dnia, ale znikło niemalże natychmiast, zasłonięte przez horde demonów, która leciała za swoim panem. Kolejni Kadoshim powiększyli otwór, rozbijając kamień i miażdżąc belki, aż niezliczona horda znów cielesnych demonów wyleciała na niebo nad Ziemią Wygnanych.

Rozdział sto siódmy

CAMLIN

Camlin wraz ze swymi łucznikami przyczał się na skraju lasu i posłał strzałę w jeźdźca w czerni i złocie. Ten osunął się na ziemię, bryzgając krwią.

Między drzewami za sobą widział uzdrowicieli oraz rannych, docierających do prowizorycznego szpitala. Uznał, że najlepiej zrobi, jeśli rozstawi swój oddział w bezpośredniej bliskości szpitala jako jego ostatnia linia obrony i będzie się starał, by nie wchłonęła go bitwa. Jednocześnie był na tyle blisko Edany, by móc przerzedzać siły Gerainta i Rhin.

Choć niełatwo jest strzelać do wojowników w kotłującej się masie, pomyślał.

Wszędzie panowało szaleństwo, a równina była zasłana trupami. Ludzie z Ardanu i Domhainu walczyli dzielnie, ale Camlin nie miał wątpliwości, że przegrywali bitwę, a hufiec Gerainta stopniowo zdobywał teren. Na południu sytuacja wyglądała podobnie. Odnosił wrażenie, że zaciekle zmagania przypuszczalnie zakończą się klęską, choć z tego miejsca nie mógł mieć pewności.

Na dokładkę dokładnie przed Camlinem, w połowie drogi między nim a bramą twierdzy, maszerował w równych szeregach oddział orlej gwardii, przypominający morze czerni i srebra, osłonięty wielkimi tarczami.

Przynajmniej tysiąc ludzi, a zapewne więcej.

Nagle ogarnęło go zwątpienie i po raz pierwszy dopuścił do siebie możliwość porażki. Jak dotąd pomimo ogromnej przewagi liczebnej

wroga utrzymywali go w szachu dzięki taktyce, fortelom i ogromnemu zaangażowaniu, ale teraz pozostała im już tylko zwykła rąbanina na płaskiej równinie. Tu nie było już miejsca na fortele czy zagrania strategiczne.

Nie wygląda to najlepiej, przeszło mu przez myśl.

Wciągnął powietrze głęboko w płuca. Przez moment zastanawiał się, czy nie złapać Meg pod pachę i nie uciekać, gdzie pieprz rośnie. Dziewczynka była niedaleko stąd – pomagała w szpitalu, bo Camlin surowo przykazał jej, by tam została. Jedynym powodem, dla którego sądził, iż mogłaby go posłuchać, było to, że bardzo przywiązała się do psa Cywen oraz jego sfory szczeniąt.

Mógłbym uciec, pomyślał. Po co ginąć za przegraną sprawę?

Potem dostrzegł Edanę, zbryzganą krwią, ze wzniesionym mieczem odbijającą cios wroga i jego dłoń natychmiast sięgnęła po kolejną strzałę. Przypomniawszy sobie bowiem, ile wiary w nim pokładała. Przypomniawszy sobie słowa, które wypowiedziała jeszcze w Ardanie:

„Oddałabym życie za ciebie. Za każdego z was”.

I robiła wszystko, by udowodnić, że nie rzuciła słów na wiatr. Szarżowała z mieczem w dłoni na wyszkolonych, doświadczonych wojowników.

Trzeba na to sporo odwagi, pomyślał Camlin. Ja również powiedziałem, że jestem gotów za nią umrzeć.

Trafił przeciwnika Edany prosto w pachę. Mimo zgiełku bitwy usłyszał jego wrzask, a potem Edana rąbnęła wroga mieczem przez hełm i strąciła go z siodła. Camlin sięgnął po kolejną strzałę, z przerażeniem konstatując, że jego kołczan się opróżnia.

Trzeba ostrożnie dobierać cele, pomyślał. Każdy musi mieć znaczenie.

Skądś nadleciał nabierający mocy ryk. Camlin zamarł ze strzałą wyciągniętą do połowy z kołczanu, wpatrując się w Drassil.

Z głębi forticy unosił się wielki, wirujący słup czegoś, co przypominało dym, który skierował się ku polu bitwy. Na oczach Camlina rozszerzył się niczym pęczniejąca chmura.

To nie jest zwykły dym, uświadomił sobie.

Wkrótce był już w stanie rozpoznać pierwsze kształty. Dojrzał ogromne skrzydła i blask słońca, odbijający się od stali. Przeszył go strach, a krew zastygła mu w żyłach.

Demony z Zaświatu. A więc to prawda. Craf się nie mylił. Przez cały czas walczyliśmy przeciwko armii demonów, choć nie wierzyłem w to aż do tej chwili.

Na jego oczach chmura opadła niżej i rozciągnęła się nad polem bitwy, przesłaniając sobą słońce. Wtedy usłyszał przerażające, rozdzierające okrzyki bojowe, z którymi demony opadły do ataku na hufiec Edany. Rębały mieczami, wyrywały jeźdźców z siodeł, unosiły ich wysoko i rzucały na śmierć. Na ich czele leciał srebrnowłosy skrzydlaty wojownik, emanujący pięknem i majestatem, który rębał naokoło długim mieczem. Przemknął nad jeźdźcami, przecinając jednego na pół.

Czyżby to sam Asroth?, pomyślał Camlin.

Zwalczył pokusę, by się odwrócić i rzucić do ucieczki.

Któraś ze skrzydlatych bestii wpadła na jeźdźca niedaleko Edany i uderzyła mocniej skrzydłami, by unieść machającego rękami wojownika wysoko w górę. Widząc to, Camlin odruchowo nałożył strzałę i napiął łuk, biorąc poprawki na siłę wiatru, jego prędkość i kąt wznoszenia demona, po czym zwolnił cięciwę.

Strzała wbiła się w bok Kadoshim i weszła głęboko pod żebra. Ten wydał stłumiony wrzask i upuścił niesionego wojownika. Rytm, z jakim uderzał skrzydłami, nagle został zaburzony. Przez dłuższą chwilę wisiał w powietrzu, a potem runął w dół, nabierając prędkości.

Uderzył w ziemię przed Camlinem, wzbijając eksplozję trawy, i przetoczył się, wymachując połamanymi kończynami i skrzydłami, aż wreszcie znieruchomiał. Spróbował się podnieść, ale Camlin wypadł spomiędzy drzew, przewrócił go kopniakiem i przebił mu mieczem gardziel.

Nie chcę, by to bydlę wstało, myślał.

Za drzew wyłonili się pozostali łucznicy, wpatrzeni w stworzenie z innego świata.

– Wygląda paskudnie, ale to stwór z krwi i kości, jak my wszyscy!
– mruknął Camlin i spojrzał na swoich towarzyszy. – Krwawią, a zatem da się je zabić!

Spojrzał na skrzydlatych Kadoshim, którzy unosili się nad polem bitwy, siejąc strach i zamieszanie.

– Co robimy? – spytał jeden z łuczników.

– Znajdźcie sobie jakąś osłonę i strzelajcie do tych bydlaków, aż wam palce spuchną!

Znów schronił się między drzewami i spojrzał na masę jeźdźców, zgromadzonych wokół proporca Edany, gotów zestrzelić każdego, któremu zamarzy się sława zabójcy królowej, zarówno człowieka, jak i demona.

A wtedy ujrzał twarz, którą od razu rozpoznał.

To niemożliwe!

Zmrużył oczy, zrobił jeszcze kilka kroków, opuszczając bezpieczny skraj lasu, i wbił wzrok w grupę jeźdźców walczących po prawicy Edany. Dostrzegł Haliona, Vonna i Conalla, który rąbał naokoło jak szaleniec, najwyraźniej doskonale się bawiąc. Za nimi pojawił się jeździec na wspaniałym srokaczu, który wyglądał, jakby bitwa sprawiała mu tyle przyjemności co Conallowi – gryzł inne konie i tłukł naokoło kopytami. Człowieka, który go dosiadał, Camlin rozpoznałby wszędzie. To ten łajdak Rafe!

Rafe popędził konia i zbliżył się do Conalla, który spojrzał na niego i obdarzył go przelotnym uśmiechem. Młodzieniec odpowiedział tym samym, a Conall na powrót skupił się na swoim przeciwniku. Camlin patrzył, jak młody tropiciel nadal przebija się między walczącymi, po czym wyciąga miecz i ze wszystkich sił pcha Conalla w plecy.

– Nie! – wrzasnął Camlin, ale nikt go nie usłyszał w zgiełku bitwy.

Ostrze Rafe'a weszło nisko, ale skierowało się ku górze, przebijając kolczugę. Conall zeszywniał, wygiął się w tył i krzyknął przeraźliwie.

Strzała Camlina musnęła ramię wyrrywającego miecz Rafe'a. Ten zerknął na ranę, po czym obrócił się w siodle i ujrzał łucznika.

Zatrzymaj się! Stój nieruchomo choć przez chwilę!, powtarzał w myślach Camlin.

Rafe jak szalony kopnął końskie boki, wbijając się głęboko w tłum walczących.

Zmierza ku Edanie!, uświadomił sobie Camlin.

Conall zachwiał się w siodle i zaczął się osuwać na ziemię.

Camlin rzucił się do biegu. Wdarł się między walczących, uniknął jakiejś opadającej klingi, rąbnął kogoś łukiem w twarz. Widział, jak Conall spada na ziemię, w błoto mieszane z krwią. Dostrzegł to Halion, który krzyknął i zeskoczył z konia, by przypaść do brata. Zniknęli mu z oczu.

Znów na moment ujrzał Rafe'a w tłumie. Z każdą chwilą był coraz bliżej niczego niepodważającej Edany.

Camlin złapał za wodze pozbawionego jeźdźca konia i wspiął się na siodło, po czym pogonił zwierzę z wrzaskiem. Pochylił głowę, unikając ciosu przelatującego nad nim Kadoshim, który wyrwał jakiegoś Ardańczyka z siodła i wyniósł go ku niebu, a potem dojrzał Haliona, który stał nad ciałem Conalla i trzymając miecz oburącz, bronił się przed opadającymi zewsząd ciosami włóczni i mieczy.

Rafe był już tuż za Edaną. Z krzywym uśmiechem unosił ramię z mieczem.

Camlin ujął ostatnią strzałę, zaklął konia, by stał nieruchomo, ujął łuk, napiął cięciwę i wycelował.

Grot wbił się dokładnie pod prawą łopatką Rafe'a. Tropiciel wrzasnął, zachwiał się, pochylił nad końskim karkiem. Spojrzał za siebie i wbił wzrok w Camlina.

Vonn obrócił się w siodle i ujrzał Rafe'a za Edaną. Krzyknął, by ostrzec królową, i cisnął przekleństwem w zdrajcę. Rafe szarpnął za wodze i rzucił się do ucieczki, a Camlin, odwiesiwszy łuk na plecy, dobył miecza i popędził za zdrajcą, płonąc z żądy zemsty. Wtedy ujrzał Haliona, który nadal trwał nad ciałem brata, zalany krwią, odbijający dziesiątki ciosów. Skręcił ku niemu, przebijając się przez tłum swoich i nieprzyjaciół. Rąbnął kogoś w plecy, komuś innemu przeciął nadgarstek.

– Wskakuj! – wrzasnął do Haliona.

– Nie zostawię go tu! – odkrzyknął wojownik i pchnął jakiegoś jeźdźca.

Camlin desperacko usiłował się do niego przebić, gdy nagle w plecy Haliona wbiła się włócznia. Na ustach wojownika pojawiła się krew. Zakaszłał, a wtedy w jego brodę wniknął kolejny strumyk krwi. Spojrzał na Camlina, zachwiał się i padł na brata.

Camlin wrzasnął z rozpaczą. Rąbał z wściekłością wrogów wokół siebie, ale nie zdołał dotrzeć do Haliona i niebawem został odepchnięty, aż wyczerpany i przepełniony żalem, wyrwał się z ciżby, ciężko dysząc.

Tylko jednak osoba wypełniała jego umysł. Rozejrzał się po polu bitwy, po czym popędził ku murom Drassil.

Czas na polowanie, pomyślał.

Rozdział sto ósmy

LYKOS

Lykos wbił wzrok w niebo. Na moment zrobiło mu się słabo, gdy ujrzał Kadoshim opadających na skrzydłach śmierci.

A więc Calidus dopiął swego, pomyślał.

Przez chwilę zastanawiał się, czy otwarcie przejścia do Zaświatu naprawdę było mądrym posunięciem, ale machnął na to ręką.

Już trochę za późno na takie rozważania, powiedział sobie. Klamka zapadła. Teraz pozostaje mieć nadzieję, że Kadoshim będą chcieli podzielić się tym światem.

Jeden z demonów przeleciał niebezpiecznie blisko nad jego głową. Pęd przelotu aż nim zakołysał. Lykos pochylił się i odruchowo zasłonił ramionami, ale rozwrzeszczany stwór przemknął nad nim i pochwycił jakiegoś wojownika z Isiltiru, wynosząc go ku niebu. Mężczyzna w czerwonym płaszczu wrzeszczał, a demon tłukł powietrze potężnymi skrzydłami, wznosząc się coraz wyżej, aż z szaleńczym chichotem wypuścił swą ofiarę. Człowiek runął w dół, obracając się i wirując, aż grzmotnął o ziemię. Jego potrzaskane, poskręcane ciało znieruchomiało.

Czy oni wiedzą, że jesteśmy sojusznikami, czy po prostu miałem szczęście?, zastanawiał się Lykos.

Z chwilą pojawienia się Kadoshim pole bitwy ogarnął zupełny chaos. Zawładnęły nim niepodzielnie rzeź, panika i śmierć zarówno wśród sojuszników, jak i wrogów.

Lykos skrzywił się, gdy w powietrzu śmignął kolejny demon, który przebił włócznią wojownika z Ripy. Zaczął się wznosić, gdy tłum

roztrącił siwowłosy olbrzym. Skoczył i zamachnął się obosiecznym toporem. Trafił Kadoshim prosto w pierś, rozrąbując go niemalże na pół. Demon runął ku ziemi, bryzgając naokoło strugami krwi, a wśród okolicznych wojowników poniósł się ryk radości.

A więc da się ich zabić o wiele łatwiej niż tych nawiedzonych Jehar, pomyślał Lykos. Materialne ciała to, jak widać, broń obosieczna. Dają przyjemność, ale z ich posiadaniem wiąże się sporo niebezpieczeństw. Może czas na taktyczny odwrót z mojej strony?

Przybycie Kadoshim oznaczało praktycznie bezsporne zwycięstwo, a Lykos odczuwał coraz większe znużenie. Po zabiciu Krelisa ludzi z Ripy ogarnął berserkerski szał. Nacierali na niego i jego ludzi z zaciekłością, którą widział jak dotąd jedynie w jamach gladiatorów. Mieli za sobą mordercze starcie i Lykos czuł, że za każdego powalonego wojownika z Ripy zapłacił życiem dwóch, a nawet trzech swoich ludzi.

Może też pora na to, by zabrać stąd wszystkich chłopaków, którzy mi zostali, i poszukać czegoś smacznego pod wieczorną pijatykę, zastanawiał się. Przecież czeka nas ucza z okazji zwycięstwa!

Naraz dobiegły do niego skandowane chórem, niesione wiatrem słowa, które zmroziły mu krew o wiele bardziej niż jakikolwiek demon z Zaświatu.

– Stary Wilk! Stary Wilk!

Lykos spojrzał w kierunku, z którego nadbiegały okrzyki. Zbliżał się ku niemu klin ludzkich wojowników, wspomagany przez kilka olbrzymów, który w przerażającym tempie przebijał się przez jego ludzi. Dostrzegł też Maquina, który znajdował się w odległości raptem kilkunastu kroków i pędził prosto na niego. Wbijał w niego wzrok, a jego oczy lśniły szaleństwem i żądzą krwi.

Lykos odruchowo zrobił krok w tył.

Powinienem był pozwolić Jelowi go zabić, pomyślał. Po co ja go brałem na niewolnika? Po co go wrzucałem do jam? Stworzyłem potwora!

Jeden z Vin Thalun padł, bryzgając krwią z rozprutego gardła, inny runął z mieczem w trzewiach, kolejny zawirował z czaszką zgruchotaną głowicą miecza Maquina. Naraz okazało się, że Stary

Wilk znalazł się w odległości zaledwie czterech, pięciu kroków. Lykosa zasłaniał już tylko jeden zbrojny.

Westchnął, spojrzął na swój poobijany puklerz, uniósł poszczerbiony, zakrwawiony miecz i warknął.

Trzeba tego Starego Wilka w końcu ubić, a jeśli robota ma być wykonana jak należy, najlepiej wziąć się za nią osobiście, stwierdził.

Gdy Maquin uderzył w zasłaniającego go Vin Thalun, Lykos rozstawił szeroko stopy, po czym, nie zwlekając, skoczył naprzód, kopnął swego pobratymca w plecy i posłał go na Starego Wilka, który się zatoczył. Potem wykorzystał sposobność i rąbnął go krótkim mieczem. Zdołał ciąć go po ramieniu, ale on w jakiś sposób przewidział ten zamysł i zasłonił się przybocznym Lykosa. Ostrze pirata pozbawiło Vin Thalun życia.

Maquin pchnął trupa na Lykosa, przez co ten się zatoczył, ale zdołał się prześlizgnąć pod opadającym błyskawicznie mieczem przeciwnika. Odtrącił puklerzem jego nóż i grzmotnął go rękojeścią miecza w twarz. Stary Wilk odtoczył się, krwawiąc z nosa.

– A więc ty też krwawisz – warknął Lykos.

Maquin otarł nos, obdarzył pirata złowrogim uśmiechem i znów na niego skoczył. Wymienili serię błyskawicznych pchnięć i rąbnięć. Wściekłe, mordercze ciosy padały pod każdym kątem, a Lykos cofał się, gorączkowo blokując każde kolejne uderzenie. Maquin nacierał z nieubłaganą furją.

Lykos rozglądał się z rozpaczą, mając nadzieję, że ktoś z jego ludzi przyjdzie mu z pomocą, ale dostrzegł trzy olbrzymy z podgolonymi głowami, które właśnie rozprawiały się z resztką jego przybocznych.

Nie cierpię, kiedy plan się wali, pomyślał.

Maquin szedł ku niemu. Ostrza noża i miecza drżały.

– Szczerze powiedziawszy, to wcale nie zepchnąłem jej z tego klifu – rzekł Lykos. – Sama się puściła.

– Nie wspominaj o niej – warknął Maquin. Na skroni pulsowała mu żyła.

– Nie była tak czysta, jak sądzisz. – Lykos się uśmiechnął, a wtedy Maquin skoczył na niego.

Pirat spodziewał się ataku, ale nie był przygotowany na tak błyskawiczną reakcję. Nawet nie dostrzegł ręki z nożem, która zostawiła bruzdę na jego udzie, a potem uświadomił sobie, że jego lewe ramię z puklerzem uwięzło w uścisku Maquina. Stary Wilk przeniósł ciężar ciała, wykonał gwałtowny ruch i Lykos wrzasnął przeraźliwie, gdy po jego ciele rozlał się ból zwichniętego ramienia. Runął niczym kukielka z podciętymi sznurkami, gubiąc puklerz.

Leżał na plecach. Twarz Maquina wykrzywił ni to uśmiech, ni to grymas. Wzniósł rękę, by zadać śmiertelny cios.

Naraz wystrzelił ku niebu, pochwycony przez śmiejącego się ironicznie Kadoshim.

Bywaj więc!, pomyślał Lykos. Nauczę się jakoś żyć z myślą, że cię nie zabiłem, o ile tym razem naprawdę zginiesz.

Chwiejnie podniósł się na nogi. Zrobiło mu się niedobrze, gdy jego ramię znów przeszył ból. Przycisnął je obronnym gestem do piersi i zaczął kusztykać ku Drassil. Czuł płonący ból uda i ściekającą po nim strużkę krwi, a jego ramię pulsowało wściekle z każdym krokiem.

Łajdak omal mnie nie zabił. Ci Kadoshim czasem się przydają, stwierdził.

Gdzieś w górze rozległ się przeraźliwy wrzask. Lykos zatrzymał się chwiejnie i spojrzał ku niebu. Maquin wił się w uścisku trzymającego go demona i raz za razem wbijał nóż w jego brzuch, rozpruwając go i uwalniając jelita, aż wyszarpnął z niego resztki życia i Kadoshim runął w dół, a Stary Wilk spadł razem z nim.

Ten upadek musiał go zabić, pomyślał Lykos. Przecież byli zbyt wysoko. Proszę, niech ten upadek go zabije... Asrocie, władco czeluści, sprzedałem ci duszę, podbiłem dla ciebie połowę Ziemi Wygnanych, a więc zrób coś dla mnie i zabij tego szaleńca!

Przerażony patrzył, jak Maquin wpełza na plecy demona i oplata się łopoczącym skórzastym skrzydłem. Rąbnęli o ziemię kilkaset kroków dalej, wzbijając eksplozję ziemi, kurzu i trawy. Lykos odetchnął z ulgą.

Wtedy skrzydło drgnęło i zostało odrzucone na bok. Maquin podniósł się znad zmaltretowanych zwłok demona z długim

skaleczeniem na czole. Utykał, ale poza tym wydawał się irytująco zdrowy.

– Elyonie na niebie i Asrocie w czeluściach – szepnął Lykos. Na plecach poczuł zimny oddech śmierci.

– Lykos! – wrzasnął Maquin.

Pirat rzucił się do biegu.

Rozdział sto dziewiąty

CORBAN

Corban leżał na zimnej, kamiennej podłodze, unieruchomiony niezniszczalnymi więzami magicznych strug dymu, i wpatrywał się w strumień Kadoshim, wylewający się z kotła. Jego przyjaciele leżeli dookoła niego, równie bezradni jak on.

To ja do tego doprowadziłem, myślał. Brina nie żyje. Laith nie żyje. Wszystko na nic.

Miał wrażenie, że na myśl o Brinie serce przestało mu bić w piersi. Dobrze pamiętał tamten wieczór, kiedy zakradł się do jej chaty i próbował coś ukraść, by udowodnić swe męstwo Rafe'owi, Edanie i pozostałym. Brina pochwyciła go wówczas i ofuknęła, ale okazała mu wielką życzliwość i pozwoliła zabrać kościany grzebień, by mógł pokazać innym, że nie jest tchórzem. Od tej pory stała się częścią jego życia. Była przerażającą, oschłą i wręcz nieprzyjemną osobą, ale pokochał ją jak członka rodziny.

A teraz nie żyje, pomyślał. Ciśnięta do wnętrza kotła niczym kawałek mięsa. Skąd Calidus wiedział, że nadchodzę? Skąd wiedział, że przyniosę mu dwa pozostałe Skarby?

Naraz przypomniał sobie głos, który słyszał w głowie tuż przed tym, jak pojawił się Calidus na czele Kadoshim. Głos wzywający go do Zaświatu.

Meical...

Corban zamknął oczy i pomyślał o Zaświecie. Skupił się na wspomnieniu fortecy, którą odwiedził ostatnim razem, gdzie trzymano Meicala. Przypomniał sobie salę tronową wykutą

w wysokich górach pośród chmur i nagle uświadomił sobie, że zaczyna wirować, coraz szybciej i szybciej, aż runął w mrok.

Otworzył oczy i ujrzał, że stoi na szczycie schodów, a świat wokół niego utkany jest z odcieni szarości. Sięgnął ręką do miecza i poczuł przypływ odwagi, gdy znalazł go przy biodrze. Widział wielkie, zwieńczone łukami okna, które otwierały się na zachmurzony świat i górskie klify. Naraz rozległ się jakiś dźwięk, który przybierał na sile z każdą upływającą chwilą, przypominający nadciągający piorun. Corban wyjrzał przez okno i dostrzegł zbliżający się skrzydlaty zastęp. Skrzydła uderzały o powietrze w równym rytmie, a powietrzni wojownicy płynęli nad chmurami i szczytami górskimi niczym białoskrzydła lawina. Nie byli to Kadoshim, lecz Ben-Elim, setki, nie, tysiące wojowników Elyona w migotliwych kolczugach. Dzierżyli włócznie i miecze o mieniających się ostrzach, a ich oczy migotały furją.

Przemknęli niczym huragan bądź ciśnięta włócznia i już po chwili znikli w oddali.

Corban spojrzał znów na schody i ruszył w dół, z początku niechętnie, a potem coraz szybciej, aż otoczył go mrok i blask pochodni. Zatrzymał się na samym dole, rozpoznawszy właściwy korytarz. Szedł przed siebie, aż dotarł do celi, w której zamknięto Meicala. Tym razem otworzył drzwi kopnięciem, miażdżąc przy tym zamek, i wkroczył do środka. Meical, zakneblowany i przykuty łańcuchami, nadal tam był. Corban wyrwał mu knebel z ust i wyciągnął miecz.

– Skąd Calidus wiedział o tym, że będę próbował zniszczyć Skarby? – spytał.

Meical nie mógł mu spojrzeć w oczy.

– Zdradziłeś mnie? – warknął Corban. – Ponownie?

– Nie ja – szepnął Meical.

– To mogłeś być tylko ty.

– Nie ja. Stoją za tym moi pobratymcy – odparł Meical. – Jak sądzisz, co tu robię, potępiony przez własny lud?

Uniósł przy tych słowach oczy i spojrzał na Corbana.

– Popierałem cię! – ciągnął. – Nie chciałem zdradzić cię po raz drugi, ale nie zrozumieli mnie. Nie chcieli słuchać.

– Co zrobili?

– Jeden z naszych dał się złapać. Wiedział, że będzie torturowany, a więc zdradził Asrothowi twój plan podczas kaźni.

– Nie rozumiem – bąknął Corban. – Po co miałyby to robić? Czyż nie chcą, bym pokonał Asrotha?

– Oni, Corbanie, chcą przede wszystkim tego, by otwarto portal do świata materialnego.

– Co?

– To było ich planem od samego początku. Od zawsze. Od tysięcy lat. Ben-Elim pragnęli stać się materialni, wkroczyć do waszego świata i chronić stworzenia Elyona. Chcieli zostać waszymi obrońcami.

Corban cofnął się o krok. Ostrze jego miecza zadrżało.

– Dokąd teraz lecą? – spytał. – Jak mogę to powstrzymać?

– Nie zdołasz już tego zatrzymać, ale może uda się jeszcze zniszczyć kocioł i wszystkie Skarby, a wówczas przejście się zamknie.

– A co z tymi, którzy pozostaną w moim świecie?

– Zostaną w nim uwięzieni. Chyba, że ich pozabijacie.

– Czy wtedy ich duchy umkną tutaj? Jak demony z ciał Jehar? Jak ty?

– Nie, Corbanie. Gdy Ben-Elim bądź Kadoshim są naprawdę materialni, a nie są tylko duchami, które zawładnęły czyimś ciałem, mogą umrzeć. Nie położy ich śmierć, nie zgubi choroba – na to jesteśmy odporni – ale ostre żelazo jest dla nas śmiertelnie niebezpieczne. Zabici w walce, wędrujemy po moście mieczy tak jak wy.

– To po co chcecie tu przybyć? Po co wam to, skoro możecie zginąć?

– Czasem nagroda jest warta ryzyka. Asroth i jego Kadoshim chcą zniszczyć całą ludzkość i zetrzeć wszelkie wspomnienia po was. Kieruje nimi żądza krwi i pragnienie zwycięstwa nad Elyonem. Dla nas, Ben-Elim – Meical wzruszył ramionami – najważniejszy jest

obowiązek. Wiemy, że to najważniejsza przysługa, jaką możemy oddać naszemu władcy, i najlepszy sposób, by udowodnić mu nasze oddanie.

Zapadła cisza.

– A więc Asrotha można zabić? – spytał Corban.

– Tak. – Meical uśmiechnął się bez cienia wesołości.

– Muszę więc wrócić i zerwać okowy!

– Gdzie się znajduje twoje ciało? – spytał Meical.

– W wielkiej sali Drassil. Calidus uwięził je więzami z dymu.

– Uwolnij mnie, bym mógł ci pomóc – rzekł Ben-Elim.

– Ty? Zaznałem już twej pomocy! – odparł z goryczą Corban.

– Przysięgam z całego serca, że nigdy cię już nie zdradzę! – błagał Meical, unosząc skute kajdanami dłonie. – Uwolnij mnie!

Corban uniósł miecz.

* * *

Corban otworzył oczy i uświadomił sobie, że jego policzek jest przyciśnięty do zimnej, kamiennej płyty. Uniósł głowę i ujrzał Calidusa, który stał przy kotle. W dalszym ciągu wypływał z niego strumień Kadoshim.

Nagle z rozszalałego wiru we wnętrzu kotła wyrwał się nowy dźwięk. Teraz, oprócz łopotu skrzydeł i wrzasków rozradowanych Kadoshim, słychać było odległe okrzyki, niewyraźne niczym gasnące sny, ale coraz głośniejsze. Potem dołączył do nich szcęk oręża.

Calidus zamarł z głową przechyloną na bok.

Corban się uśmiechnął.

Z kotła naraz zaczęły się wyłaniać postacie z białymi skrzydłami, lśniąco kolczugami i błyszczącymi ostrzami. Byli to Ben-Elim, którzy natychmiast rzucali się na Kadoshim. Zwarci z nimi w walce, unosili się ku górze bądź miotali się wokół gigantycznego pnia. Miecze zderzały się ze sobą, okrzyki bojowe krzyżowały się, ciała uderzały o ściany ogromnej budowli bądź spadały na kamienną podłogę. Inni, wciąż pochłonięci walką, cięli, pchali, warczeli i gryzli.

Na oczach Corbana pojawiała się coraz więcej Ben-Elim. Przewaga Kadoshim malała z każdym uderzeniem serca, aż w końcu białoskrzydli przybysze stali się liczniejsi od swych wrogów. Calidus spoglądał na to z rosnącym przerażeniem.

To brama, Calidusie, pomyślał Corban. Każdy mieszkaniec Zaświatu może ją przekroczyć, a to oznacza również Ben-Elim.

Pozbawieni skrzydeł Kadoshim, którzy ongiś zajęli ciała wojowników Jehar, ruszyli do ataku. Ich miecze zaczęły ciąć przypominających anioły przybyszów, odrabując im skrzydła i kończyny. Ben-Elim, którzy rzucili się na nich z góry, mieli jednak przytłaczającą przewagę i wnet w powietrzu zaroilo się od wrzeszczących zjaw. Jehar umierali jeden po drugim.

– Co się tu dzieje?! – krzyknęła Cywen.

Losy bitwy odwracają się, pomyślał Corban. O ile Meical dotrzyma słowa.

Miał wrażenie, że upływają całe dni, gdy tak leżał i wpatrywał się w gromady skrzydlatych wojowników wyłaniających się z kotła. Niemalże ogłuszony wrzawą bitewną łudził się, że ujrzy Meicala, choć wiedział, że właściwie nie ma na co liczyć.

Calidus i resztki jego Jehar zniknęli wśród walczących, a Rhin cofnęła się w cień, otoczona ciasnym pierścieniem swych przybocznych. Z przerażeniem wpatrywała się w szaleńcze zmagania wokół siebie, w Kadoshim i Ben-Elim mordujących się z dziką pasją.

I nagle z kotła wyprysnął Meical. Nie przypominał już skutej łańcuchami, przygnębioj postaci z celi, którą Corban widział jeszcze niedawno. Teraz czarne włosy miał związane na karku, a jego tors kryła pyszna kolczuga, dopasowana doń niczym druga skóra. Oczy lśniły mu furją. Wystrzelił wysoko, zawisł na moment, bijąc powietrze skrzydłami i ścinając się bez litości z jakimś syczącym Kadoshim. Corban ujrzał, jak rozcina mu skrzydło, a demon naraz traci umiejętność unoszenia się w powietrzu i wirując, spada na ziemię. Rozbił się o kamienną podłogę zaledwie kilka kroków od Corbana.

Meical upadł na niego, przygniótł do ziemi stopą opartą o pierś i roztrzaskał mu czaszkę ciosem miecza. Syknął na martwego demona niczym dzikie zwierzę, a potem rozejrzał się, wszędzie widząc odwiecznych wrogów. Białe skrzydła uderzyły powietrze i Meical zawisł nad ziemią, poszukując kolejnych przeciwników.

Porzuci nas tutaj, pomyślał Corban. Złamię przysięgę i powróci do swoich.

Wtedy wzrok Meicala padł na młodzieńca, jego przyjaciół oraz Burzę. Wisiał w powietrzu przez kilka uderzeń serca, spoglądając na dziesiątki Kadoshim, wciąż latających po sali, po czym opadł na ziemię i zwinął skrzydła. Ogień w jego oczach przygasł.

Zamruczał coś pod nosem i machnął dłonią, a dym krępujący garstkę więźniów wyparował niczym mgła w blasku słońca. Następnie Meical wyciągnął ramię ku Corbanowi, który leżał i wpatrywał się w niego, ale w końcu chwycił jego dłoń.

Wokół szalała bitwa. Corban złapał równowagę i chwiejnie podbiegł do przyjaciół. Pomógł wstać Coralen, a w międzyczasie dookoła zgromadzili się pozostali – Gar, Dath, Cywen, utykająca Burza i Farrell z zaczerwienionymi oczami. Z kotła nadal wypływali kolejni Ben-Elim, którzy unosili się już ku wielkiej wyrwie w dachu pomieszczenia, by rozpocząć pościg za odwiecznym wrogiem po niebie nad Drassil. Corban ujrzał, jak jeden z nich zmierzył Meicala przeciągłym spojrzeniem, zanim wyleciał w ślad za pozostałymi.

– Co się właściwie dzieje? – spytał Dath.

– I co teraz mamy robić? – dodała Coralen, patrząc na Corbana.

– Bierzemy się za zabijanie Kadoshim! – warknął Farrell.

Corban jednakże spojrzał na Meicala.

– Zakończymy to, po co tu przybyliśmy – rzekł, przetrzymując jego spojrzenie.

Ben-Elim pokiwał głową.

– Cywen, czy jesteś w stanie dokończyć rytuał Briny i zniszczyć Skarby? – Corban zwrócił się do siostry.

Meical uderzył skrzydłami, odwrócił się od nich i ciął trzymanym oburącz mieczem Kadoshim, który z wrzaskiem spadł na nich z góry.

– Ja... Tak, chyba tak – odparła Cywen, spoglądając na kocioł, z którego wciąż wylatywali nowi Ben-Elim.

Meical wylądował obok nich.

– Nie masz ochoty wyruszyć na poszukiwanie Asrotha? – zapytał Dath.

– Nie muszę. Wkrótce się dowie, że Ben-Elim przejęli kontrolę nad bramą. Nie może na to pozwolić, a więc tu wróci.

Dath rozejrzał się dookoła i przełknął ślinę.

– A więc lepiej bierzmy się do roboty! – stwierdził Farrell.

Rozdział sto dziesiąty

MAQUIN

Maquin dostrzegł Lykosa.

Znów próbuje uciec. Ale tym razem mu się to nie uda, pomyślał, podążając za swą ofiarą.

Bolało go całe ciało – z rany odniesionej podczas upadku ściekała mu do oczu krew, a jego kolano pulsowało wściekle, ale nadal mógł biec.

Czas na ból przyjdzie później, powiedział sobie.

Przyśpieszył, wymijając ludzi walczących o życie. Co chwila zerkał na niebo, na którym szaleli Kadoshim, tnąc, pchając bądź podrywając wrzeszczące ofiary w niebo. Sam nie szczędził ciosów mijanym przeciwnikom lub chociaż popychał ich, by walczący z nimi zyskali okazję do wymierzenia celnego pchnięcia. Raz odwrócił się i jednym chłaśnięciem odciął dłoń nurkującemu Kadoshim, który chwycił kolejną ofiarę. Przeorał mu też ostrzem skrzydło, po czym odwrócił się i znów rzucił się do biegu, nie spuszczając kuszykającego władcy Vin Thalun z oczu.

Odległość między nimi kurczyła się.

Maquin widział już skraj lasu oraz bijące spomiędzy drzew kłęby dymu. Coraz wyraźniej widział też ogień, żywy i rozszalały, płoszący zwierzęta i ptaki.

Lykos na moment zatrzymał się i wbił wzrok w Drassil. Maquin również zerknął w tym kierunku i dojrzał mężów w lśniących pancerzach, którzy na białych skrzydłach gromadnie wylatywali nad fortecę i rozprzestrzeniaли się nad całym polem bitwy. Uzbrojeni

w miecze i włócznie, atakowali Kadoshim z furią i zajadłością, jakiej Maquin nie widział nigdy dotąd, nawet w jamach gladiatorów, gdzie ludźmi powodował zwierzęcy instynkt. Na jego oczach któryś z przybyszów, spleciony z Kadoshim w morderczym starciu, uderzył w ziemię nieopodal. Walczący przetoczyli się, wzbijając eksplozję ziemi i darni, i znieruchomieli zaledwie kilka kroków przed nim, miażdżąc każdego, kto nie zdołał uskoczyć. Ich skrzydła i kończyny nadal się poruszały, ale zdołał wstać jedynie białoskrzydły Ben-Elim, który uniósł miecz i wraził go w pierś Kadoshim, przybijając go do ziemi. Demon wrzasnął, zadygotał i znieruchomiał. Ben-Elim wspierał się przez moment na mieczu, oddychając ciężko, po czym uwolnił ostrze, wydał zwycięski okrzyk i ponownie wzbił się do lotu, ku powietrznej walce.

Lykos patrzył na to szeroko otwartymi oczami, w których zamigotał lęk. Naraz znów rzucił się do ucieczki, kierując się na zachód, w stronę lasu.

Anioły, demony... Co mnie to obchodzi?, pomyślał Maquin. Nadszedł czas, byś zginął, Lykosie.

* * *

Wniknął między drzewa, gdzie ogarnął go półmrok puszczy, pełen roztańczonych cieni. Idealne miejsce na zasadzkę. Uklęknął na jedno kolano i nasłuchiwał, dotykając palcami leśnego runa. Gdy uniósł dłonie, ujrzał na nich krew. Na złamanej gałęzce kilka kroków dalej ujrzał jeszcze więcej krwi, świeżej i połyskliwej.

Zagłębiał się coraz bardziej w las, a wtedy go usłyszał. Uśmiechnął się do siebie bez wesołości, gdyż w zachowaniu uciekającego człowieka wyczuł panikę. Próbował się skradać, ale był nazbyt przerażony wizją śmierci, by robić to dobrze. Stary Wilk wkroczył na niewielką polanę, gdzie las przerzedził się nieco, bo gęste zarośla ustąpiły miejsca rozłożystem dębom. Podłoże było tu płaskie, choć porośnięte krzakami.

Maquin zamarł. Słyszał jedynie trzask przybliżającego się ognia. Nad polanką unosiły się strużki dymu.

Ruszył naprzód, gdy usłyszał szelest liści na ziemi. Odwrócił się w porę, by ujrzeć Lykosa, rzucającego się do ataku. Mierzył mieczem w jego brzuch, ale Maquin odbił ostrze ze wzdorczym parsknięciem, po czym uskoczył i chlasnął nożem. Nad wewnętrzną stroną kolana przebiegającego Vin Thalun pojawiła się czerwona kreska. Lykos zdołał jeszcze zrobić kilka chwiejnych kroków i padł na jedno kolano, ale w porę wbił miecz w ziemię, by uratować się przed upadkiem.

Maquin okrążył go ostrożnie, w odpowiedniej odległości, jak wilk obchodzący zdychającego węża, aż znalazł się przed nim.

Być może zostało nieco trucizny na jego kłach, pomyślał.

Jedna nogawka pirata była aż po but mokra od krwi ściekającej z rany na udzie. Lewą rękę Lykos przyciskał do piersi, jakby tulił dziecko. Powalana krwią i brudem twarz błyszczała od potu, w rozwartych szeroko oczach lśnił strach przemieszany z gniewem, a pierś unosiła się i opadała w miarę nierównych oddechów.

– Wstawaj – warknął Maquin.

Lykos uniósł brew, ale podniósł się, wsparty na mieczu, i stanął o własnych siłach, chwiejąc się.

– O ucieczce możesz zapomnieć – dodał Maquin.

Lykos spojrzał na swą nogę.

– Myślę, że się o to zatroszczyłeś.

Maquin wsunął miecz do pochwy na plecach i chwycił za nóż.

– Ile ich jeszcze masz? – spytał Lykos z rozdrażnieniem.

– Lepiej mieć ich zbyt wiele niż za mało – warknął Maquin.

Lykos pokiwał głową.

– Cóż, trzeba ci oddać jedno. Wygrałeś – rzekł i zaczął chichotać.

– Co cię tak bawi?

– Ty. Myślę, że masz o wiele za poważne podejście do życia. Powinieneś się częściej śmiać.

Zakaszłał i skrzywił się.

– To twoja zasługa – rzekł Maquin. – Ty mnie obrabowałeś. Zabrałeś mi wszystko. Śmiech, przyjaciół, honor, człowieczeństwo.

Opuścił głowę i dodał:

– I Fidele.

Na moment zawładnęło nim wspomnienie jej twarzy. Podszedł bliżej i bez trudu wytrącił Lykosowi miecz, który pirat podniósł w ostatej, desperackiej próbie stawienia oporu. Ostrze wyfrunęło, wirując w powietrzu, a Maquin przypadł do Lykosa i rąbnął go rękojęścią noża w ranę na ramieniu. Usłyszał głośny wrzask, po czym uderzył pirata czołem w nasadę nosa. Buchnęła krew, Lykos zatoczył się w tył, zachwiał i siadł bezwładnie pod drzewem. Maquin przypadł doń, poderwał szarpnięciem, przyparł do drzewa i wbił nóż w jego dłoń, przytwierdzając ją do kory pnia. Kolejnym nożem przybił jego przedramię, ze zgrzytem ocierając ostrzem o kość.

Wrzaski Lykosa, głośne i ochryple, powoli przeszły w bełkotliwe jęki i skamlenie.

– Proszę – błagał. – Proszę...

Za Lykosem zaskwierczał ogień. Na polanę wpadało coraz więcej dymu, a Maquin dostrzegł poruszenie wśród runa leśnego. Wokół stóp Lykosa zakłębiły się mrówki, które niczym czarny strumień uciekały przed ogniem. Maquin wycofał się na bezpieczną odległość i przyglądał się, jak Lykos patrzy na mrówki kłębiące się wokół jego stóp. Niektóre już pięły się po skórze butów i wnikały w miękką wełnę spodni. Vin Thalun otworzył szeroko oczy, gdy poczuł pierwsze ukąszenie, a po nim kolejne.

– Nie, nie, tylko nie to, proszę! – bełkotał.

Podskakiwał i szarpał się, gdy kolejne mrówki przedzierały się przez materiał i wgryzały się w jego ciało.

– Zabij mnie! Po prostu mnie zabij! Proszę! – błagał.

Mrówki zalewały już jego nogę i tłoczyły się wokół drugiej stopy, choć próbował je przydeptywać i strząsać. Podskakiwał przy tym, jakby odbywał jakiś szalony taniec.

Maquin założył ręce na piersi i cofnął się o kilka kroków, by mrówki nie zainteresowały się również nim. Na razie jednak nie było ich zbyt wiele i wydawały się całkowicie ukontentowane ciałem Lykosa.

Wnet dotarły do jego krocza.

Pirat nabrał głęboko tchu i wrzasnął. Maquin nigdy dotąd nie słyszał, by ktoś tak wrzeszczał, nawet w jamach. Vin Thalun wytrzeszczył oczy, a jego twarz nabrzmiała czerwienią. Maquin zaś nie spuszczał z niego oczu.

Jego wrzaski to przybierały na sile, to przycichały, gdy Vin Thalun tracił na moment przytomność. Maquin usiadł i sięgnął do buta, skąd wyciągnął kolejny, zabójczo ostry nóż. Lykos wyrzucił z siebie wiąznię do końca sensownych słów. Błagał Maquina, by przerwał jego tortury i zesłał nań śmierć. Ten jednakże obejrzał trzymane w dłoni ostrze, obrócił je i przyłożył do własnego nadgarstka.

Już koniec. Jael nie żyje, a Kastell został pomszczony. Ja zaś zemściłem się na Lykosie.

Mrówki zalały brzuch Vin Thalun, gdy ten zwisał bezwładnie, przytrzymywany jedynie przez ostrza, którymi Maquin przybił go do drzewa. Z nosa ściekały mu smarki, z kącika ust ciekła strużka śliny, a w oczach czaiło się szaleństwo wywołane bólem.

Maquin przycisnął ostrze do skóry. Widział, jak nachodzi na czarną żyłę. Pojawiła się kropelka krwi.

Przez polanę przebiegły echa bitewnego zgiełku, które na moment zagłuszyły trzask ognia i bredzenie konającego Lykosa. Stary Wilk miał wrażenie, że coś w nim drgnęło. Szczęk oręża i okrzyki walczących trąciły w nim czułą strunę. Uświadomił sobie, że musi odpowiedzieć na zew.

Bitwa.

Spojrzał na nóż i na kropelkę krwi na nadgarstku. Potem wstał, obrzucił ciało Lykosa ostatnim spojrzeniem i ruszył z powrotem.

Ku bitwie.

Rozdział sto jedenasty

CORBAN

Corban wraz z przyjaciółmi rozstawili się w półkřęgu, broniąc plecami kotła i Skarbów. Nad ich głowami unosił się Meical, z dziką radością rzucając się na każdego Kadoshim, który się zanadto przybliżył. Cywen zaś stanęła przy kotle i zaczęła śpiewać:

– Seoda cloch réalta, ó deannaigh tháinig tú, agus deannaigh beidh tú ar ais...

Z początku nikt tego nie usłyszał, gdyż wszędzie toczyła się zaciekle bitwa, a Kadoshim i Ben-Elim byli zanadto pochłonięci rąbaniem i rozdzieraniem się na kawałki. Corban wykorzystał chwilę, by obejrzeć Burzę. Usłyszał skomlenie, gdy przesunął dłoń po jej barku. Na lewej łapie odkrył głębokie cięcie, które ciągnęło się w górę. Oderwał kawałek lnianej koszuli i mocno obwiązał ranę. Przeszło mu przez myśl, że będzie musiał jak najszybciej powiedzieć o tym Brinie.

Brinie? Przecież ona nie żyje!, uświadomił sobie.

Przeszywały go fale wściekłości i rozpacz, które ustępowały znużeniu oraz lękowi. Ciągłe myślał o tym, z jakim rezultatem toczy się bitwa pod murami Drassil. Dręczył go niepokój o przyjaciół i sojuszników, tym bardziej że na niebie nad nimi szalał sam Asroth i jego horda demonów.

Powinienem tam być! Powinienem walczyć u ich boku!, powtarzał sobie.

Głos Cywen unosił się i opadał, a Corban czuł fale mocy przenikające przez jego ciało.

Nie, musimy dokończyć tę misję. To wszak nasza jedyna nadzieja na zwycięstwo. Jeśli zawiedziemy, nie przeżyje nikt z nas. Musimy doprowadzić to zadanie do końca. Poza tym, zostawiłem na czele Akara. On wie, co robić.

Meical znalazł się między Corbanem i Garem, co rusz zerkając ku Kadoshim, kłębiącym się w górze. Corban widział, że ciągnęło go do walki, ale opanowywał pokusę ze względu na złożoną mu przysięgę.

Naraz rozległ się ogłuszający łoskot i część dachu nad wielką salą eksplodowała. Ogromne głązy i ciężkie belki runęły, wzbijając tumany pyłu. Do wnętrza wtargnęły chmary Kadoshim. Przewodził im Asroth, a demony rozwinęły szyki za jego plecami. Zawiśli na moment, po czym rzucili się prosto w sam środek przeważającej liczebnie gromady Ben-Elim.

Meical napiął mięśnie. Zamachał skrzydłami i wzbił się w powietrze, ale tylko po to, by zająć pozycję nad Cywen. Miecz trzymał w pogotowiu, by jej bronić. Przekonał się o tym jeden z Kadoshim, który podleciał za blisko. Ostrze Meicala świsnęło i odcięta głowa demona wystrzeliła w powietrze, a jego bezgłowe ciało uderzyło w pień ogromnego drzewa.

Dath wybierał sobie cele i słał strzałę za strzałą w gęstwinę wrogów.

Z cieni sali wypadły kolejne postacie. Z jednej strony szedł ku nim Calidus na czele reszty Jehar, a z drugiej Rhin wraz z przybocznymi.

Na widok człowieka, który zabił mu matkę, zamordował Brinę i był odpowiedzialny za taką ilość śmierci i zniszczenia, Corbanem zawładnęła nienawiść silniejsza od jakichkolwiek innych uczuć. Pragnął tylko przypaść do Calidusa i wrazić mu miecz w serce.

Zrobił krok ku niemu, oddalając się od Cywen, ale wtedy poczuł czyjąś dłoń na ramieniu.

Był to Gar.

Spojrzeli po sobie.

„Gniew jest wrogiem”.

Corban nabrał tchu i opanował emocje. Meical zaś dostrzegł Calidusa i uśmiechnął się.

– Po raz ostatni widzieliśmy się właśnie tu – rzekł, a jego skrzydła zadrgały. – Odciałeś mi wtedy głowę. Pora chyba odpłacić ci się pięknym za nadobne.

Szedł ku niemu, unosząc się lekko dzięki ruchom skrzydeł. Jego oczy skrzyły gniewem. Corban widział w jego spojrzeniu liczącą eony nienawiść.

– Rhin! – wrzasnął Calidus. – Odciągnij tę sukę od kotła!

Sam zrobił krok w kierunku Ben-Elim.

– Pora, bym dokończył robotę – warknął i skoczył na Meicala. Ich ostrza się starły, a wokół Ben-Elim zaroili się Kadoshim w ciałach Jehar.

Corban skoczył Meicalowi na pomoc, ale wtedy z nieba spadła drużyna Kadoshim, odgradzając go od Meicala. Rzucili się na niego i pozostałych. Najbliższy pchnął go włócznią, ale Corban odbił ją pazurami wilkuna, przypadł bliżej i rąbnął demona z góry. Ten odsunął się i ostrze młodzieńca musnęło jedynie osłonięte kolczugą ramię, ale nie był przygotowany na pazury wilkuna, którymi Corban rozorał mu gardło.

Miejsce poległego zajął inny demon, który wzniósł do ciosu długi miecz. Corban cofał się, parując serię potężnych uderzeń, od których sztywniały mu nadgarstek oraz ramię. Naraz ktoś złapał go od tyłu i młody wojownik poczuł, że traci grunt pod nogami. Unosił się w górę! Odwrócił się i ujrzał szalony uśmiech na sino-czarnych ustach trzymającego go demona. Próbował zamachnąć się mieczem, ale nie był w stanie włożyć w ten cios siły.

Coralen zjawiała się znikąd. Skoczyła na Kadoshim, którego przed momentem usiekł, przebiegła mu po plecach, odbiła się od barków i wyskoczyła. Zdawać by się mogło, że płynie przez powietrze, aż zderzyła się z Kadoshim, który porwał Corbana. Oplotła go nogami i zanim demon zdołał zareagować, wbiła mu kły wilkuna w bok. Rozpruła ogniwa kolczugi, a z rany buchnęła krew. Kadoshim wrzasnął z bólu, zawirował w powietrzu i całą trójką runęli na ziemię. Corban grzmotnął w kamienną płytę, a potwór padł na niego, przygniatając go. Coralen ściągnęła trupa i podała Corbanowi rękę. Skinął jej z podziękowaniem.

I wtedy z łośkotem wylądował przed nimi inny Kadoshim. Spod jego szeroko rozstawionych stóp buchnął dym. Z jego ramienia spływał srebrny warkocz wojownika, przywodzący na myśl grubą żmiję.

Asroth.

Władca demonów przyjrzał się Corbanowi czarnymi oczami.

– Jasna Gwiazdo, pora, bym usłyszał twój wrzask.

Rozdział sto dwunasty

HAELAN

Haelan biegł przez tunel. Gnał jak jeszcze nigdy w życiu, bo za sobą słyszał gniewne ryki ścigających go draigów.

Goniły go, bo pod pachą ścisnął jajo.

Z początku wydawało mi się to świetnym pomysłem, ale już nie mam takiej pewności, pomyślał.

Płuca mu płonęły, a każdy kolejny oddech przychodził z coraz większym trudem.

Uwiązał Garnka i Cień w tunelu, bo nie potrzebował mieć ich ze sobą. Jeśli któremuś z nich pomyliłby się zakręt i znikłby w paszczy potwora, nigdy by sobie tego nie darował. Potem zszedł po korzeniu na niższy poziom, a gdy dotarł do komory z kopczykami łajna, wytarzał się w jednym z nich. O mało nie zwymiotował z obrzydzenia, ale jakoś doszedł do sali z jajami.

Wślizgnął się do środka, pochwycił jajo ze stosu, odwrócił się i rzucił się do ucieczki. Kilkanaście uderzeń serca później usłyszał, jak szpony ścigającego go draiga rozrywają ziemię. Słyszał jego posapywanie i chrapliwy oddech, a wtedy zrozumiał, że właściwie jest już po nim.

Za kolejnym zakrętem ujrzał korzenie dębu i poczuł przypływ nadziei. Kilkanaście kroków później wyrzucił za siebie pochodnię i rozpoczął pośpieszną wspinaczkę na górę. Czuł, jak korzeń drży i dygocze. Draig pod nim szarpał go i rozdzierał, a jednocześnie podskakiwał i wpychał pysk do dziury.

A potem zaryczał.

Haelan o mało nie wpadł do czerwonej otchłani otwartych szczęk. Z trudem powstrzymał też odruch zasłonięcia uszu, co na pewno skończyłoby się upuszczeniem jaja. Piał się w górę, aż dotarł do miejsca, w którym uwiązał Cień i Garnka. Oba psy przywarły do ziemi z uszami płasko przy głowie, a Cień warczała. Haelan przeciął linę, którą je przywiązał, i pognął przed siebie. Zwierzęta popędziły za nim.

Tunelem wstrząsnął wielki łoskot, dobiegający gdzieś z dołu. Haelan zatoczył się i padł na ścianę. Wokół od ścian i sufitu odpadały wielkie kawały ziemi. Znow rozległ się potworny zgrzyt pazurów draiga. Chłopak spojrzął za siebie i ujrzał bestię wyłaniającą się tuż przy korzeniu.

Wygrzebuje się w ślad za mną, pomyślał. Na co zresztą liczyłem!

Gnał ku światłu i kilkanaście kroków później wyskoczył przez dziurę na dziedziniec. Był pusty, a odgłosy bitwy wydawały się odległe i nieziemskie. Nie zastanawiając się ani chwili, Haelan pognął przed siebie, a oba psy trzymały się tuż przy nim. Garnek wywiesił język i wydawał się najszcześniejszym zwierzęciem na świecie.

Naraz za Haelanem rozległ się stłumiony łoskot, a potem przeciągły grzmot. Ziemia zadygotała mu pod nogami, ale nadal biegł przed siebie, coraz bardziej zrozpaczony i przerażony.

Ziemia wciąż drżała, a kamienne płyty nagle zaczęły się wybrzuszać przy korzeniach dębu w centrum dziedzińca. Chłopak stracił równowagę i padł, nadal rozpaczliwie ściskając jajko pod pachą. Pośpiesznie usiadł i spojrzął za siebie.

Kamienne płyty odpadały na boki, a między nimi buchała fontanna ziemi, kamienia i korzeni. Potem pojawił się pierwszy draig, wyczołgując się z trzewi. Wciągnął się na równy teren i otrzepał, wznosząc wielką chmurę kurzu. Potem wyłonił się drugi, a po nim trzeci stwór.

Trzy bestie stały nieruchomo i obracały łby na grubych szyjach, wysuwając języki i machając ogonami. Nagle pochwyciły zapach jaja i ich szpony zazgrzytały na kamieniach. Mięśnie wygiętych nóg zadrżały i trzy draigi rzuciły się do pościgu.

Haelan zerwał się na równe nogi i pobiegł przed siebie.

Ulice Drassil były puste. Gnał samym środkiem, nie dbając o nikogo ani o nic. Nigdy w życiu nie udało mu osiągnąć aż takiej prędkości. Minął dawne więzienie oraz szpital Cywen, gnał ulicami i alejkami, coraz bliżej głównego dziedzińca. Odgłosy bitwy stawały się coraz wyraźniejsze i uciekający Haelan dostrzegł jakieś osobliwe kształty w powietrzu, ale nie ośmielił się zwolnić ani na moment, by się im przyjrzeć. Tętent ścigających go draigów narastał.

Są za blisko. Pożrą mnie!, przeszło mu przez myśl.

I nagle był już na dziedzińcu, który również wydawał się opustoszały. Wielkie bramy stały otworem i nikt ich nie strzegł. Drassil zostało opróżnione z wojska.

Minął stajnie. Garnek szczekał z ekscytacją, a Cień sadziła susy tak ciche jak sugerowałyby to jej imię.

Draigi wpadły na dziedziniec w ślad za nimi.

Haelan przebiegł przez bramę i już był na polu bitwy. Wyhamował, widząc przed sobą chaos krwawych walk. Krew w jego żyłach zamieniła się w lód, gdy uzmysłowił sobie, że owe kształty na niebie to skrzydlaci wojownicy, najwidoczniej należący do dwóch przeciwnych frakcji, na co wskazywały czarne i jasne skrzydła. Uwijali się po niebie z hipnotyczną gracją, choć ich zmagania były równie śmiertelne jak te, które toczyły się na ziemi.

Weź się w garść!, napomniał się w myślach Haelan. Te draigi zaraz cię stratuja!

Ku swemu przerażeniu uświadomił sobie, że łajno, w którym się wytarzał, już zaschło, a teraz zaczynało od niego odpadać, odsłaniając spore partie skóry.

Draigi wyczuja mój zapach!, uświadomił sobie. Muszę się pozbyć tego jaja!

Wciągnął powietrze do płonących płuc i raz jeszcze się rozejrzał. Po prawej, a więc na północy, widział konną bitwę. Dominowali tam wojownicy w czerni i złocie, choć dostrzegał również szare płaszcze Edany, spychane w stronę zachodniego skraju lasu. Na południowym zachodzie szła wielka formacja orlej gwardii, która wdzierala się w chaos bitwy, kładąc trupem każdego, kto się

nawinał. Byli tam również Vin Thalun, garść olbrzymów oraz Nathair na grzbiecie draiga.

Haelan nie musiał się już dłużej zastanawiać.

A więc tędy!

I znów rzucił się do biegu.

Draigi wyłoniły się z bramy w ślad za nim. Zatrzymały się na moment i przez chwilę smakowały językami powietrze, ale upłynęło zaledwie kilka uderzeń serca, a ich wielkie łby z płaskimi pyskami zwróciły się w stronę jaja. Znów podjęły pościg.

Haelan widział już przed sobą tylną straż orlej gwardii – szereg kolczug i czarnych, skórzanych pancerzy, i okutych żelazem butów, tupiących w równym, zdyscyplinowanym rytmie. Dzielilo go od nich kilkaset kroków, ale słyszał już chrapliwe oddechy ścigających go draigów.

Szybciej, szybciej!, powtarzał sobie.

Siedemdziesiąt kroków. Łomot pazurzastych stóp wypełnił cały jego świat.

Czterdzieści kroków. Miał ochotę już wyrzucić jajo, ale wiedział, że wciąż jest za daleko.

Jeszcze chwila!

Któryś z draigów zaryczał, kłapnął szczękami. Haelana owionął cuchnący oddech.

Dziesięć kroków. Żołnierze zaczęli się odwracać i pierwsi z nich dojrzel draigi. Wtedy chłopak wyrzucił jajo z całej siły, a to obracając się, przeleciało nad tylną częścią orlej gwardii i wylądowało kilkanaście szeregów dalej. Haelan skręcił w lewo i zdobył się na ostatni wysiłek. Wraz z Garnkiem i Cień zaczęli uciekać, byle dalej od orlich wojowników.

Za sobą usłyszał huk, z jakim trzy draigi wdarły się w szeregi maszerującej piechoty.

Rozdział sto trzynasty

NATHAIR

Siedzący na grzbiecie draiga Nathair zamachnął się mieczem na włócznika w czerwonym płaszczu. Ostrze wgięło mu hełm i posłało go na ziemię, nieprzytomnego bądź martwego z powodu pęknięcia czaszki.

Było już późne popołudnie i blada kula słońca powoli opadała ku zieleni Fornu. Na niebie uwijali się Kadoshim, zwarci w walce z Ben-Elim.

Cieszę się z przybycia Kadoshim, pomyślał Nathair, ale Ben-Elim? Jak to w ogóle możliwe?

Jak dotąd anioły i demony nie zapuszczały się w wielkiej liczbie na południowy skraj bitwy. Nathair był wdzięczny z tego powodu, ale jednocześnie narastała w nim frustracja.

Hufiec Veradisa jest mniejszy od mojego. Tymczasem tłukę w niego od kilku godzin, a ci dalej się bronią!

Wielokrotnie próbował uderzyć na flankę Veradisa swoim draigiem, prowadząc garść przybocznych, ale olbrzymy w żelaznych pancerzach, uzbrojone w długie włócznie i topory, wsparte przez kilka dziesiątek czerwonych płaszczy z włócznieami o grubych drzewcach, w porę formowały najeżony ostrzami szereg, który powstrzymywał jego natarcie.

Zatrzymał się na moment, by obetrzeć pot z czoła i rozejrzeć się po polu bitwy. Uśmiechnął się na widok ogromnego oddziału orlej gwardii, liczącego przynajmniej tysiąc ludzi, który zmierzał ku niemu.

Calidus pewnie wysłał mi posiłki, pomyślał.

Mur tarcz przebijał się ku niemu przez rój nieprzyjaciół.

– Zwycięstwo – szepnął Nathair. Nie miał już wątpliwości, że teraz na pewno zdoła rozbić mur tarcz Veradisa.

A także całą resztę wrogów na południe od hufca Gerainta, dodał w myślach.

Niemalże czuł już chwałę zwycięzcy.

I wtedy ujrzał coś, czego z początku nie rozumiał. Za jego orlą gwardią pędziła jakaś drobna postać, która nagle wyrzuciła coś małego w powietrze. Przedmiot zakreślił łuk i wylądował w samym środku maszerującego oddziału. W tej samej chwili za ową drobną postacią pojawiły się trzy ogromne, rozpędzone kształty, pędzące prosto na orlą straż.

Były to draigi.

Co takiego?

Nathair wykrzyknął rozkaz do człowieka z rogiem, ale było za późno na jakąkolwiek reakcję. Trzy bestie wbiły się w sam środek formacji, wyrzucając ludzi w powietrze. Nathair patrzył, jak wirowali, machali rękami i spadali na ziemię, a draigi z pochylonymi łbami wdzierały się coraz głębiej. Obalały ludzi masywnymi łbami, rozdzierały ich na strzępy szponami i kłami, tratowały rannych, zostawiając za sobą jedynie krwawą miazgę. To, co chwilę temu było jego dumą, ratunkiem i szansą na odwrócenie losów bitwy, przestało istnieć w ciągu kilkunastu uderzeń serca.

Warknął z rozpacz i frustracji. Wykrzyknął kilka rozkazów swoim przybocznym, a potem wrzasnął do ucha draigowi, jednocześnie szarpiąc za wodze i bijąc go piętami. Bestia zaryczała głucho i runęła naprzód.

Wrogowie starali się go powstrzymać ciosami włóczni, ale Nathair popędzał rumaka co sił. Mimo że przyboczni próbowali oczyścić dlań drogę ku murowi tarcz Veradisa, na bokach i barkach draiga pojawiły się głębokie rany. Nathair pochylił się, ciosami miecza łamał wymierzone w niego włócznie, odrąbywał dłonie, ale nie był w stanie zatrzymać napastników. Draig ryczał z bólu, a Nathair kopał go i krzyczał nań, owładnięty szaleństwem.

Z góry dobiegł mrozący krew w żyłach wrzask. Nathair uniósł głowę i ujrzał grupę Kadoshim, którzy opadli na wojowników zagradzających drogę szarżującemu królowi. Pchali i rąbali, a jeden wyniósł wojownika w czerwonym płaszczu ku niebu i cisnął nim o ziemię. Ludzie rozpierzchali się, uskakiwali przed powietrznymi atakami, ale Kadoshim przybywało. Coraz to kolejni atakowali mur tarcz Veradisa.

Draig wreszcie przebił się przez ścianę wrogich osłon. Nathair miał teraz ludzi dokładnie przed sobą, a jego własny mur walczył po lewej. Wywrzeszczał kolejną komendę i jego draig wzniósł się na tylne łapy, po czym opadł na szereg wojowników, miażdżąc ciała i łamiąc włócznie.

A co jeśli Veradis tam jest?, zastanawiał się Nathair.

Spojrzał na twarze zabitych, a potem na oblicza tych, którzy właśnie cofali się z przerażeniem przed rozjuszonym draigiem, ale nigdzie nie widział Veradisa.

Może leży gdzieś tam, zmasakrowany tak, że nikt go już nie pozna, pomyślał.

Wiedział, że Veradis zawsze wolał walczyć w samym centrum pierwszego szeregu, gdyż tam się toczyły najzaciętsze zmagania. Zawsze go za to podziwiał, ale teraz przypomniał sobie słowa, które nie tak dawno od niego usłyszał.

Wyparł się mnie, pomyślał. Wybrał innego władcę. Innego Jasną Gwiazdę. I powiedział, że Corban mi wybaczy!

Rozjuszyło go to tak bardzo, że nie był już w stanie logicznie myśleć.

Veradis podjął własną decyzję, stwierdził. Jeśli przez to znalazł się po stronie przegranych i to jeszcze przed moim draigiem, niech tak będzie.

– Naprzód! – wrzasnął i popędził draiga w głąb szeregów wroga.

Bestia parła przed siebie, kłapała paszczą i rozszarpywała wojowników na strzępy. Z tyłu postępowali przyboczni Nathaira, tworząc klin i gdy król się rozejrzał ze swego wysokiego siodła, ujrzał, jak mur tarcz Veradisa pęka i się rozpada.

Rozdział sto czternasty

CYWEN

Cywen czuła, jak moc przenika jej ciało. Powtarzała zaklęcie Unicestwienia, rozpaczliwie próbując skupić swą uwagę na kotle, choć wiedziała, że Asroth powrócił do wielkiej sali i stał teraz przed Corbanem. Słyszała szcęk oręża, okrzyki Meicala, warczenie Burzy. Odważyła się zerknąć w bok i dostrzegła Gara, zwartego we wściekłej walce z Calidusem i jego Jehar-Kadoshim.

Muszę im pomóc, przeszło jej przez głowę, ale zaraz sama się napomniała. Nie, przecież oni walczą po to, by zyskać dla mnie jak najwięcej czasu. W przeciwnym razie wszystko pójdzie na marne...

– *Cré agus aer, tine agus uisce, ordáimse duit anois, iarann dorcha a chur ar ceal* – ciągnęła.

Naraz ktoś na nią wpadł i przewrócił ją na ziemię. Uniosła głowę i ujrzała kroczącą ku niej Rhin w asyście przybocznych. Ten, który ją uderzył, stał nad nią.

– Zabijcie tę małą zdzirę! – rozkazała królowa i machnęła dłonią.

Cywen poderwała się chwiejnie i sięgnęła dłonią pod płaszczy. Najbliższy wojownik szedł ku niej, kolejni również się zbliżali.

– *Tine agus lasair* – zawołała Cywen i cisnęła dwoma fiolkami w przybocznego Rhin.

Szkło roztrzaskało się o skórzany pancerz i naraz zbrojnego ogarnęły płomienie. Z wrzaskiem zatoczył się na sąsiada, na którego również przeskoczył ogień. W powietrzu rozszedł się zapach palącego się ciała. Obaj mężczyźni zatoczyli się, w panice próbując ugasić oblażący ich żar, a potem padli na kolana i zwałili się na

ziemię. Inni rzucili się naprzód, okrążając ich szerokim łukiem, a Cywen cofnęła się i sięgnęła po nóż.

Naraz najbliższy z napastników zwałił się ze strzałą w gardle, a potem dziewczynę zasłoniła ogromna postać z młotem. Był to Farrell.

Młodzieniec zamachnął się i rozbił obuchem czaszkę pierwszemu z atakujących, a potem rąbnął kolejnego, roztrzaskując zarówno tarczę, jak i ramię, do którego była przytroczona. Przewrócił go kopniakiem, a tymczasem kolejny zatoczył się i runął ze strzałą w piersi. Farrell zawirował i grzmotnął młotem następnego z atakujących. Cios był tak potężny, że oderwał woja od ziemi i wyrzucił w powietrze.

Reszta nagle zawahała się i utworzyła wokół Farrella krąg, zachowując bezpieczną odległość. Zza słupa płomieni, który nadal trzeszczał chciwie, wyłoniła się Rhin, którą otaczał tuzin zbrojnych – o wiele więcej, niż Cywen chciałaby teraz ujrzeć. Farrell mimo to ruszył ku nim bez wahania, a Cywen podążyła za nim, dobywając noży do rzucania. Pierwszy z nich śmignął w powietrzu i utkwiał w gardle któregoś z przybocznych.

Rhin wykrzyknęła rozkaz i jej wojownicy rozstawili się w szeregu. Ruszyli na Farrella i opadli go ze wszystkich stron. Błysnęły miecze, ale Farrell odbił je drzewcem młota i wykonał kilka wściekłych wymachów, by zyskać więcej przestrzeni. Wróg był jednak zbyt liczny. Któryś z przeciwników ciął go po ramieniu, inny trafił go w biodro i Farrell, brocząc krwią, padł na jedno kolano. Cywen cisnęła kolejnym nożem, ale wojownik, w którego celowała, odbił pocisk tarczą. Znów bzyknęła strzała i jeden z napastników zwałił się z przebitym udem, ale przyboczni Rhin nadal napierali bez litości.

Naraz pojawiła się Coralen, która wtargnęła między ludzi Rhin niczym rozsiała burza. Jej miecz i pazury wilkuna zatańczyły, siejąc naokoło krew. Ludzie padali martwi, zanim sobie uświadomili, skąd nadciąga nowe zagrożenie, a garstka ocalałych rzuciła się do ucieczki. Cywen przypadła do Farrella i pomogła mu się podnieść. Całą trójką ruszyli ku Rhin.

Królowa cofnęła się, wyciągnęła nóż z za pasa i przeciągnęła ostrzem po dłoni. Machnęła nią i roztrysnęła czerwone kropelki naokoło.

– *Sruthán!* – parsknęła.

Krew na płaszczu i kamizeli Cywen zaczęła syczeć i dymić, przegryzając się przez materiał, wyprawioną skórę i docierając do ciała. Choć jej własna skóra zaczęła skwierczeć, usłyszała, że Farrell również stęknął z bólu.

– *Uisce!* – krzyknęła, przecinając własną dłoń i spryskując krwią siebie i przyjaciół. Płonące uczucie ustało.

– Za nią! – zawołała, gdy Rhin zaczęła się wycofywać, i całą trójką popędzili za królową.

Kątem oka Cywen ujrzała, jak Corban wymienia ciosy z Asrothem, mignęło jej futro Burzy, toczącej się z jakimś Kadoshim, i znów ujrzała Rhin, przypartą do pnia wielkiego drzewa. Wraz z Coralen i Farrellem ruszyli ku niej w luźnym półkręgu.

– Nie masz już dokąd uciec! – oznajmiła Cywen.

– Jesteś taka młoda! – odparła Rhin. – I naiwna. Wystarczy chwila, by wszystko się zmieniło.

I nagle zaczęła nucić:

– *Cloch a bheith bog, fiachmhúchta bás.*

Cywen chciała zrobić krok ku Rhin, ale odkryła, że nie jest w stanie – jej nogi zaczęły wsiąkać w kamień. Owładnięta paniką, zdołała wyrwać jedną stopę z lepkiego, gęstego niczym miód kamienia, ale gwałtowny ruch sprawił, że jej druga noga zapadła się głębiej, aż po kostkę. Rozejrzała się z rozpaczą i ujrzała, że Coralen i Farrell borykają się z tym samym.

– Jak sama widzisz – powiedziała Rhin z uśmiechem – ziemia może czasem zacząć się usuwać spod twoich stóp, jeśli jesteś nieprzygotowana. Ja zaś jestem zawsze gotowa na wszystko.

Uniosła dłoń i otworzyła usta, by zanucić kolejny czar, ale nagle zaświstało rozcinane powietrze, rozległo się łupnięcie i Rhin zatoczyła się w tył z rękojeścią noża w piersi.

– Ty owładnięta żądzą władzy suko! – oznajmiła Cywen zimnym głosem. – Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, ilu ludzi w Ardanie

zginęło przez twoje ambicje? Zamordowanie Uthana, księcia Narvonu, zasadzka w Ciemnym Borze, gdzie zginął mój Ronan, zwolnienie ze smyczy tego szaleńca Morcanta...

Rhin zachwiała się i oparła o ścianę. Z miejsca, gdzie wbił się nóż, ciekła krew, ale królowa nagle uniosła dłoń, zacisnęła ją na rękojeści, skrzywiła się z bólu i wyszarpnęła broń z rany. Wyprostowała się i uśmiechnęła spokojnie.

Cywen cisnęła kolejnym nożem, ale Rhin usunęła się zwinnie niczym wąż i wirujące ostrze trafiło w ramię zamiast w pierś. Znow się zatoczyła, ale wyrwała nóż i odrzuciła go Cywen.

– O wiele trudniej mnie zabić, niż sądzisz – warknęła z pogardą, po czym zaczęła mamrotać zaklęcie, a powietrze wokół Cywen zgęstniało.

Nagle urwała i znow zatoczyła się w tył, spoglądając z zaskoczeniem na strzałę z białymi lotkami, sterczącą jej z brzucha. Zaczęła ją wyrywać, ale wtedy w jej pierś wbił się kolejny nóż. Do pierwszej strzały dołączyła druga, rzucając ją o drzewo. W jej brzuchu utkwiał następny nóż. Gardło przebił trzeci grot. Krew, ciekąca ze wszystkich ran, wnikała w jej ubranie. Z cichym westchnięciem osunęła się na ziemię, zostawiając na korze krwawy ślad.

Ziemia pod stopami Cywen na powrót stała się twarda. Dziewczyna zrobiła krok i stanęła nad ciałem Rhin.

– To za Ronana – szepnęła.

– Zaklęcie! – przypomniała jej Coralen i Cywen biegiem wróciła do kotła, układając w głowie słowa mocy.

Rozdział sto piętnasty

VERADIS

Veradis czuł, że jego mur tarcz pęka, zanim rzeczywiście do tego doszło. Stał w jednym z tylnych szeregów, zmieniawszy pozycję po raz pierwszy od chwili, gdy tarcze zwały się na polu bitwy, a uczynił to tylko dlatego, że dłoń zdrętwiała mu do tego stopnia, że nie był już w stanie dłużej jej zaciskać na rękojeści miecza. Obawiał się jednak, że bez niego w samym środku szyku, gdzie toczyła się najzaciętsza walka, mur długo nie wytrzyma. W szeregach stało wielu mężczyzn, ale Veradis wiedział że tego dnia jego przykład i rozkazy wielokrotnie uchroniły mur od pęknięcia. Oczywiście nie był w stanie utrzymać całego szeregu ani też dotrzeć wszędzie tam, gdzie między tarczami pogłębiała się szczelina, ale przez cały czas dodawał walczącym otuchy. Głos ochrypł mu od wykrzykiwania rozkazów i pochwał za każdy wysiłek, który ujrzał lub sobie wyobraził. Szydł z wrogów, prowokował ich, ryczał słowa pokrzepienia, kiedy tylko udało mu się zaczerpnąć tchu, i zabił więcej wrogów, niż był w stanie spałiętać.

I tak oto przez pół dnia utrzymali szyk, stawiając czoło przeważającym siłom wroga.

Teraz jednak jego mur tarcz ginął.

Miał wrażenie, że przez szeregi przeszło jęklive westchnienie przywodzące na myśl ostatnią konwulsję przed śmiercią. Potem usłyszał łoskot, który zachwiał ludźmi aż w dwunastym szeregu, gdzie się teraz znalazł, wnet zagłuszony rykiem draiga. Nad krawędzią tarczy ujrzał sylwetkę Nathaira.

Rzucił się na nas na draigu!, uświadomił sobie.

Wrzask z nieba sprawił, że uniósł głowę. Tam wysoko toczył się bój między istotami w czarnych kolczugach, unoszącymi się na nietoperzych skrzydłach, a białoskrzydłymi wojownikami. Ścierali się w powietrzu z furią i dzikością, jaką Veradis widział kiedyś u dwóch sokołów, walczących o tłustego gołębia, który wykorzystał okazję i umknął.

Mam nadzieję, że nie tym dla nich jesteśmy, pomyślał. Że nie widzą w nas zera.

Wtem dostrzegł ciemnoskrzydłe demony, uzbrojone w miecze i włócznie, które opadły na jego ludzi. Nad głowami walczących piechurów niesły się przeraźliwe wrzaski, które mroziły krew w żyłach. Veradis poczuł, że jego odwaga zaczyna się kruszyć. Nie miał już wątpliwości, że jego mur tarcz pękł.

Draig Nathaira szalał wśród cofających się, poszczerbionych szeregów. Niektórzy wojownicy wciąż nawet nie drgnęli, choć powodem przypuszczalnie był paralizujący lęk. Draig znów zaryczał, a wtedy Veradis dostrzegł głębokie rany na jego boku.

Orla gwardia Nathaira nacierała, dobijając rannych i tratując każdego, kto osunął się na ziemię.

– Do mnie! – wrzasnął Veradis, zbierając swoich ludzi.

Gdzieś dalej dojrzał grupy pochłoniętych walką Vin Thalun, Jehar, białych i czerwonych płaszczy, a za nimi szalejące wielkie bestie.

Draigi?, zdziwił się. A skąd one się tu wzięły?

Potwory miażdżyły wszystko dookoła siebie. Na oczach oszołomionego Veradisa jeden z nich pochylił łeb i podniósł coś z ziemi, a potem zawrócił w stronę bram Drassil. Drugi udał się za nim, ale trzeci został na polu bitwy. Gdzieś bliżej Veradis ujrzał spory oddział olbrzymów, które przebijały się ku niemu, ale były jeszcze daleko, a jego otaczali jedynie martwi bądź uciekający.

Znów rozległ się ogłuszający ryk i Veradis gwałtownie odwrócił głowę ku Nathairowi. Z przerażeniem patrzył na to, jak draig zaciska szczęki na głowie jakiegoś wojownika z Ripy, unosi go z ziemi i potrząsa niczym pies bawiący się szczurem, a potem wyrzuca konającego człowieka w powietrze. Jego serce zalał wówczas gorący

gniew. Rzucił się w stronę króla, przyśpieszając z każdym krokiem i podrywając po drodze włócznią jednego z wojowników w czerwonym płaszczu. Wyhamował kilkadziesiąt kroków przed draigiem.

– Nathair! – ryknął i wymierzył włócznią w swego byłego króla.

Ten skrzywił się, gdy dostrzegł Veradisa, rzucającego mu wyzwanie. Przyglądał mu się przez długą, przeciągającą się chwilę, a potem pochylił się w siodle, szepnął do ucha draigowi i skoczył do szarży.

Ziemia zadudniła pod pazurzystymi łapami, drącymi ziemię i darni. Draig rozwarł paszczę, by zaryczeć, a z jego kłów niczym sztylety ściekała ślina. Nathair zaś pochylił się w siodle i wznosił ramię z mieczem. Veradis widział wszystko jak w zwolnionym tempie. Rozstawił stopy i czekał na draiga przybliżającego się z przerażającą prędkością. Dzieląca ich odległość czterdziestu kroków błyskawicznie skurczyła się do trzydziestu, a potem dwudziestu. Draig znów zaryczał ogłuszająco.

Veradis uniósł włócznię i cisnął nią prosto w rozwartą paszczę potwora.

Ten zaryczał przeraźliwie, a z jego pyska buchnęła fontanna krwi. Nadal gnał na Veradisa, ale nagle jego cielskiem wstrząsnął spazm. Łapy ugięły się pod nim i runął, pchany własnym pędem. Veradis uskoczył na bok, ale za późno. Draig zahaczył o jego nogę i wprowadził go w wirowanie, a potem pazury drapnęły jego tors. Wyrzucony szponiastą łapą Veradis wystrzelił w górę. Jego pierś i kolano promieniowały wściekłym bólem.

Ziemia pojawiła się o wiele za szybko, a upadek wybił mu powietrze z płuc. Próbował skupić wzrok, ale dostrzegł tylko tyle, że draig padł i zarył w ziemię niczym lawina mięśni i kości. Wyrzucony z siodła Nathair zniknął w chmarach kurzu, wznieconych przez potwora.

Rozdział sto szesnasty

CAMLIN

Camlin podążał w górę zbocza. Wjechał między drzewa, a potem zatrzymał się, by spojrzeć za siebie.

Polem bitwy zawładnął chaos, który sięgnął również nieba, gdzie zmagali się Kadoshim z Ben-Elim. Edana i jej jeźdźcy wciąż wytrzymywali napór Gerainta, ale na południu mur tarcz Veradisa najwyraźniej ustąpił i walka zamieniła się w krwawą rzeź.

Czy to draigi?, przemknęło przez myśl Camlinowi.

Przez moment zastanawiał się, czy nie wrócić i spróbować jakoś pomóc, ale wtedy oczyma wyobraźni ujrzał jedną twarz.

Rafe.

Camlin śledził go po polu bitwy. Kilkakrotnie tracił go z oczu i znów odnajdował, ale cel zawsze był zbyt daleko, by zaryzykować stratę choć jednej z pół tuzina strzał, które zdołał wyrwać z trupów. Potem zobaczył, jak Rafe oddala się od walczących i wjeżdża po zboczu na północnym skraju pola bitwy ku ścianie drzew. Biegł przy nim szary pies. W końcu tropiciel znikł wśród drzew, a Camlin nie miał wątpliwości, że ucieka.

Tym razem nie mogę mu na to pozwolić. Jeśli jakimś cudem wygramy tę bitwę, Edana już nigdy nie będzie bezpieczna z tym typem przyczajonym wśród cieni. Poza tym, zabił Bairda i ponosi odpowiedzialność za śmierć Haliona...

Na myśl o swoich przyjaciółach Camlin poczuł ogromny żal. Zacisnął zęby, cmoknął na konia i wjechał między drzewa, gdzie otoczył go półmrok. Jechał wśród plam szarości, przecinanych

cieniami bezlistnych, poruszanych tchnieniem wiatru konarów, aż dotarł do starożytnej drogi, ułożonej ze starych kamiennych płyt, porośniętych mchem i kruszącymi się. Łatwo było na niej dostrzec ślady kopyt i Camlin przyśpieszył. Jedną dłonią trzymał wodze i łuk, a drugą muskał lotki strzały.

Naraz wstrzymał rumaka, przechylił głowę i wytężył słuch.

A co to było?

Wydawało mu się, że wychwycił jakąś ledwie dostrzegalną zmianę w nastroju lasu. Jego koń zarżał i położył płasko uszy.

Coś tu nie gra, pomyślał Camlin.

Z sunął się z siodła i przykucnął na starym trakcie. Przyłożył dłoń do zimnych porostów i granitu. Wyczuł jakąś wibrację, słabą niczym szept. Po nasypie potoczyły się kamyczki.

I naraz z zarośli wypadł Rafe, dosiadający potężnego rumaka. Wdarł się na trakt i pędził na Camlina ze wzniesionym mieczem. Dzielilo ich zaledwie kilkanaście kroków. Camlin, wciąż kucając, jakimś cudem zdołał napiąć łuk, gdy rumak Rafe'a znalazł się praktycznie przy nim. Zwolnił cięciwę, ale młodzieniec szarpnął za wodze i zdołał się uchylić. Grot zahaczył jedynie o jego ucho.

Camlin w porę porwał za miecz, przypadł do srokacza i pchnął Rafe'a.

Zwarła się stal – młodzieniec odrzucił ostrze Camlina i przeszedł do kontrataku, próbując rozszczepić mu czaszkę. W każdym ciosie kryła się niebywała siła i próbujący je parować Camlin aż się zataczał. Znów próbował przypaść bliżej, ale wielki rumak Rafe'a nie dał się już zaskoczyć i odpędził go kłapnięciem szczękami. Odskoczył więc i nagle uzmysłowił sobie, że znalazł się blisko własnego konia. Przypadł do niego, złapał za siodło i próbował wciągnąć się na grzbiet, gdy nagle rumak Rafe'a stanął dęba i zamachał kopytami. Ranny koń Camlina zarżał przeraźliwie i wystrzelił przed siebie, pociągając za sobą próbującego nań wsiąść jeźdźca, który puścił go dopiero po kilku krokach i padł z głuchym łoskotem na ziemię. Uderzył twarzą o zimny kamień i przetoczył się po szlaku, aż wreszcie się zatrzymał. Dźwignął się na jedno kolano, potrząsnął głową, sięgnął po łuk, ale nie mógł go już odnaleźć.

– Dość tego pakowania we mnie strzał, staruszkę – rzekł Rafe.

Uśmiechając się do Camlina, podjechał bliżej i ściągnął wodze. Poruszył ramieniem i skrzywił się, gdy poczuł ból, pozostawiony przez ostatni pocisk starego tropiciela.

Jak on dochodzi do siebie po tych wszystkich moich strzałach?, zastanawiał się Camlin. Chyba sam muszę się napić z tego kielicha.

– Myślałeś, że nie wiem, że za mną wędzisz? – zadrwił Rafe. – Widziałem cię. Chyba naprawdę zaczynasz się starzeć.

Prędeż ten świat szlag trafi, nim pozwolę, by ten zasmarkany gówniarz odebrał mi życie, pomyślał Camlin.

Chciał się podnieść, ale poczuł eksplozję bólu w kolanie. Nogi się pod nim ugięły. Usłyszał śmiech Rafe'a, który pognął na niego rumaka. Załomotały kopyta.

Rozdział sto siedemnasty

RAFE

Rafe poczuł, jak przeszywa go radość zwycięstwa. Camlin leżał bez sił na drodze przed nim. Nie było możliwości, by uciekł spod kopyt rozpędzonego rumaka.

Długo czekałem na tę chwilę, pomyślał. Mam już serdecznie dosyć jego strzał. Przeczuwałem, że trzeba zrobić z nim porządek, bo póki ten stary lis żyje, nigdy nie będę miał okazji, by przebić Edanę. Wygląda na to, że mój fortel okazał się skuteczny. Od początku trzeba było zwabić go do lasu i zastawić nań pułapkę.

Nagle spomiędzy drzew wyłoniły się dwie postacie, które gnały w stronę Camlina. Jedną była mała, rudowłosa dziewczynka, którą pamiętał jeszcze z Ardanu. Na głowie miała zbyt duży hełm, przypięty paskiem pod brodą. Drugą okazał się ogromny ogar z brązową, poznaczoną cętkami sierścią i szerokim pyskiem. Jego również rozpoznał – przecież to był Buddai, stary pies Thannona.

Dziewczynka złapała Camlina za ramię i pociągnęła go, ale niewiele to dało. Buddai zaś stanął przed nią oraz powalonym Camlinem i warknął głucho na nadciągającego jeźdźca. Sierść podniosła mu się na grzbiecie.

Dobrze, a więc stratuję całą trójkę, pomyślał Rafe i pochylił się niżej w siodle, po czym popędził konia.

– Cieszę się, że cię znalazłem – szepnął do niego. – Zajadłością mógłbyś obdzielić worek węży!

Uśmiechnął się szeroko.

Kątem oka dostrzegł jakieś cienie przemykające między drzewami, ale zignorował je, skupiony na trójce przed sobą na drodze. Myśl o rychłym stratowaniu Camlina przepełniła go żądzą krwi.

Buddai przykucnął, napiął mięśnie, odsłonił kły. Dzieliło ich już tylko kilkanaście kroków. Łomot kopyt o kamienny trakt wypełnił cały świat Rafe'a.

A wtedy ogier po prostu... się zatrzymał. Wyhamował na prostych nogach, krzesząc iskry na kamieniach, a Rafe wyleciał z siodła, przemknął nad głową Camlina i rąbnął w ziemię z hukiem.

Przez chwilę leżał na plecach i wpatrywał się w skrawki nieba, widoczne między nagimi, bezlistnymi gałęziami. Usłyszał tupot i w jego sercu wezbrał lęk, gdy uświadomił sobie, że to zapewne Buddai biegnie, by wyrwać mu gardło, ale niespodziewanie poczuł na twarzy szorstki język i ujrzał szary pysk Drapichrusta. Lina, którą przywiązał go w stajni, była postrzępiona. Pies najwyraźniej ją przegryzł, a potem odnalazł go na polu bitwy.

Tylko on jeden pozostał lojalny wobec mnie, pomyślał Rafe.

Usiadł. Z rany po ostatniej strzale Camlina pociekła nowa strużka krwi. Kilka kroków dalej jego rumak pochylał głowę ku Buddaiowi, który zachowywał się jak szczeniak. Merdał ogonem, szczekał i podskakiwał, by polizać konia po pysku.

Jakby byli najlepszymi przyjaciółmi...

I wtedy Rafe przypomniał sobie zagrodę w Ardanie na łąkach pod Dun Carreg, ogiera Gara oraz klacz Thannona.

Przecież to rumak Corbana!, uświadomił sobie. Cóż, nieważne, wykończę ich sam! Dziecko i stary dziadyga, który ledwie może się podnieść. Cóż to za wyzwanie?

W stał i wyciągnął меч.

A ja do tego napiłem się z kielicha!

Ruszył w stronę Camlina, który desperacko próbował się podnieść. Dziewczynka przypadła do jego miecza, który leżał na drodze, i rzuciła go tropicielowi, który złapał go i wstał, wspierając się na nim.

– Pora, byście odeszli z tego świata – rzekł Rafe, gdy dziewczynka na powrót znalazła się przy Camlinie.

– Uciekaj stąd, Meg! – rzekł Camlin.

Dziewczynka sięgnęła do sakiewki przy pasie i cisnęła w Rafe'a kamieniem. Ten uchylił się i pocisk świsnął mu obok ucha.

– Ciebie chyba zabiję pierwszą! – oznajmił Rafe i wzniósł miecz.

Skoczył naprzód, ale naraz drogę zagroził mu warczący głucho Buddai. Młodzieniec zatrzymał się i odskoczył w tył.

– Drapichrust! – rozkazał.

Jego ogar przyskoczył bliżej i obnażył kły. Oba psy zawarczały na siebie, a wtedy, jak na wezwanie, z krzaków wyskoczyły wilkuny. Była ich cała gromada – w okamgnieniu wdarły się na nasyp i warcząc głucho, otoczyły Drapichrusta. Rafe od razu zauważył, że do dorosłości sporo im jeszcze brakowało, ale rozwinęły już porządną muskulaturę, a ich zęby wydawały się długie i ostre. Buddai wyskoczył i wpadł na Drapichrusta. Oba psy stoczyły się po nasypie, a potem do kotłującej się masy futra, kłów i pazurów dołączyły wilkuny.

Camlin i Meg spojrzeli za nimi, a Rafe, który nigdy nie tracił sposobności, skoczył do ataku. Meg umknęła na bok, a Camlin zablokował jego cios mieczem, aż błysnęły iskry. Uderzenie okazało się tak potężne, że starszy tropiciel zatoczył się do tyłu. Ranne kolano znów go zawiodło. Rafe nie ustępował. Atakował raz za razem, a Camlin desperacko parował każde uderzenie. Próbował również wypadu, ale Rafe odtrącił jego ostrze z łatwością, znów wykorzystał sposobność, przypadł bliżej i kopnął go w kolano.

Camlin, wyjąc z bólu, runął na ziemię, a Rafe stanął nad nim ze wzniesionym mieczem.

Coś uderzyło go w tył głowy. Zatoczył się, a przed oczami eksplodowały mu gwiazdy. Odwrócił głowę i ujrzał dziewczynkę, która sięgała po kolejny kamień.

Najpierw rozprawię się z Camlinem, pomyślał.

Znów uniósł miecz, ale wtedy jego stopa eksplodowała bólem. Spojrzał w dół – leżący na ziemi Camlin wbił w nią strzałę. Rafe wrzasnął z bólu i kopnął przeciwnika ranną stopą w brzuch, choć

nie wiedział, kogo zabolalo to bardziej. Camlin odtoczył się, kaszłąc krwią.

– Zostaw go! – wrzeszczała Meg, biegnąc na Rafe’a ze sztyletem.

Skrzypnęła naciągana cięciwa – Camlin jakimś cudem znalazł swój łuk na trakcie. Rafe uskoczył w bok, na co jego stopa zareagowała kolejną eksplozją bólu, uniknął niezdarnego ataku Meg i złapał ją za szyję. Zasłonił się nią, wyrwał jej sztylet i przytknął go do pulsującej żyły na jej szyi.

Zrobił to w ostatniej chwili, bo Camlin już klęczał, mierząc do niego z łuku.

– Puść ją! – warknął.

– Poderżnę jej gardło! – oznajmił Rafe i zrobił krok ku Camlinowi.

Zasłonię się tą smarkulą, podejść jak najbliżej, a potem zabiję ich oboje, postanowił. Tak, to dobry plan.

– I po co mnie gonisz, dziadygo? – spytał, robiąc kolejny krok.

– Zabiłeś Bairda i Haliona! – burknął Camlin i splunął krwią.

– Haliona? Widziałem, jak skoczył za Conallem. Dobrze.

Po prawdziwym zabicie Conalla nie sprawiło mu żadnej przyjemności, ale tak brzmiały rozkazy Rhin. Miał zabić jego oraz Edanę.

„Zgładź ich, a twoje wcześniejsze błędy zostaną ci wybaczone” – szepnęła mu do ucha podczas narady wojennej poprzedniego wieczoru. Rafe dobrze wiedział, co się stanie, jeśli znów ją zawiedzie. Zaszleściły psie łapy. Pojawił się Buddai, a za nim wilkuny. Otoczyły Rafe’a ze zjeżoną sierścią i zakrwawionymi kłami.

Młody tropiciel poczuł ukłucie lęku oraz smutek. Drapichrust nieraz ratował go z opresji i liczył na to, że znów przyjdzie mu z pomocą.

Będzie mi go brakowało, pomyślał. To ostatni przyjaciel, jakiego miałem.

– Zawołaj te bydlaki! – parsknął.

– Puść ją! – powtórzył Camlin.

– Dobra, puszczę ją, pod warunkiem że ty puścisz mnie wolno – zaproponował Rafe. – Przywołaj te krwiożercze bydlaki!

Meg grzmotnęła go tyłem głowy w twarz. Usłyszał trzask pękającego nosa i zatoczył się, a jego uścisk zelżał na ułamek sekundy. To wystarczyło, by dziewczynka, zwinna niczym węgorz, wyslizgnęła mu się z rąk.

Rafe spojrzał na Camlina wzdłuż jego strzały.

– Litości – szepnął.

– Litości? – Camlin się skrzywił. – Kpisz sobie ze mnie?

I zwolnił cięciwę.

Rafe otworzył usta do krzyku. W tej samej chwili grot trafił go w pierś. Buchnął ostry, przenikliwy ból, a potem coś rąbnęło go w policzek. Ziemia. Zamrugał, a przynajmniej tak mu się wydawało. Nie czuł wiele. Właściwie to nic nie czuł. Nadal jednakże widział. Patrzył na buty zbliżającego się Camlina, ale nawet one zaczęły się rozplýwać.

Wszystko się rozmazywało.

Rozdział sto osiemnasty

CORBAN

Corban zachwiał się. Asroth nacierał nań z siłą górskiej lawiny, a za opadającą klingą jego miecza ciągnęły się kłęby czarnego dymu. Wielka sala Drassil stała się areną zacieklej walki o życie. Kątem oka Corban wypatrzył na schodach Gara, który krzyżował broń z Calidusem i grupką Jehar. W górze szalał Meical, otoczony przez Kadoshim, a nad wszystkim unosiła się hipnotyczna inkantacja Cywen. Wcześniej Corban widział, jak Coralen i Farrell desperacko bronią jego siostry przed Kadoshim, choć nie miał pojęcia, ile czasu upłynęło od tej chwili. Odkąd zwarł się w walce z Asrothem, miał zresztą wrażenie, że czas zaczął zmieniać swą naturę. Wydawało mu się, że wymieniają ciosy od paru dni, choć równie dobrze mogło to trwać zaledwie kilka uderzeń serca. Krople krwi i potu szczypały go w oczy, a niezliczone skaleczenia na jego ciele boleśnie przypominały mu o tym, że Asroth jest od niego szybszy i silniejszy. Jego przewaga rosła, a każdy cios krył w sobie o wiele więcej mocy, niż Corban kiedykolwiek widział.

Nie jestem w stanie długo mu się opierać!, pomyślał. Mam wrażenie, że walczę z uskrzydłonym Balurem!

Z początku wspierał go Farrell i razem udawało im się zatrzymać Asrotha, ale gdy Kadoshim opadli jego siostrę, Corban wrzasnął do przybocznego, by skoczył jej na pomoc. Przyjaciel usłuchał go i stał teraz przy Cywen, zmiatając Kadoshim z nieba uderzeniami młota.

Corban zacisnął zęby i rzucił się do szarży na Asrotha. Zamachnął się mieczem, a demon uskoczył i rąbnął znad głowy. Młodzieniec

przyjął cios na swój miecz, ale przeniósł ciężar ciała, by odbić go w bok. Ostrze przeciwnika wbiło się w kamienną płytę, odrąbując deszcz kamiennych drobin. Corban zawirował i ciął Asrotha w bok, ale ten machnął skrzydłami i wylądował za plecami młodzieńca, by ciąć go w głowę. Corban obrócił nadgarstek, odbił wrogi cios, ale zatoczył się od impetu uderzenia. Asroth machnął skrzydłami i pęd powietrza pchnął młodzieńca jeszcze bardziej w tył, na co władca Kadoshim skoczył do kolejnego wściekłego natarcia. Uderzał znad głowy, ciął z boku, rąbał, pchał, a Corban odbijał każde uderzenie, choć ramię mu od tego sztywniało.

W barku Asrotha uwięzła strzała, ale Kadoshim tylko spojrzął na nią i wyrwał ją z głuchym warknięciem. Corban wykorzystał okazję, by przypaść bliżej, ciąć Asrotha po kolanie i chlasnąć go pazurami wilkuna po skrzydło. Demon odskoczył w porę, przez co pazury chybiły, a czubek ostrza miecza rozorał jedynie skórę, rozsyłając na boki kropelki krwi. Choć cięcie było płytkie, Asroth się skrzywił.

– Tak to już bywa, jak się ma ciało – oznajmił Corban. – Teraz możesz krwawić i umrzeć jak my wszyscy.

Oblicze demona wykrzywiła wściekłość. Rzucił się na wojownika z furią burzy, w czym wsparło go dwóch innych Kadoshim, którzy pojawili się po obu stronach władcy. Corban, cofając się, wyczuł za sobą schody. Odetchnął głęboko, uśmierzył lęk, przyjął postawę i wzniósł miecz w pozycji nurkującego sokoła.

– No dalej! – warknął do Pana Upadłych.

Uskoczył przed pchnięciem włóczni, trzymanej przez jednego z Kadoshim, i cięciem miecza rozrąbał jej drzewce. W tej samej chwili demon runął na ziemię ze strzałą w ramieniu.

Dath, jesteś wart swej wagi w złocie, pomyślał Corban.

Zjawiła się Coralen, która chlasnęła w biegu rannego Kadoshim. Do walki dołączył jakiś Ben-Elim, który zanurkował i pchnął w Asrotha włócznią, ale ten uchylił się, złapał za drzewce, przyciągnął anielskiego wojownika do siebie i ciął go w szyję. Trysnęła krew, a Asroth z lekceważeniem odrzucił trupa.

Corban skoczył do ataku, odbił cios Asrotha, w błyskawicznym piruecie wyrósł przy nim i ciął go po udzie pazurami wilkuna.

Ogłuszający ryk wypełnił całe pomieszczenie. Corban usiłował uwolnić broń, ale rozjuszony bólem Asroth zacisnął dłoń na jego nadgarstku. Drugi z Kadoshim uniósł miecz.

Nagle znikł, jakby porwał go wiatr, a w jego miejscu stanął Farrell. Obuch jego młota oblepiony był krwią i kawałkami kości.

Coralen odwróciła się od zabitego demona i skoczyła na Asrotha. Ten uderzył skrzydłami, zbijając ją z nóg pędem powietrza, a potem walnął ją w twarz z taką siłą, że wojowniczką oderwała się od ziemi i wylądowała na kamiennych schodach. Nie podniosła się już.

– Nie! – wrzasnął Corban. Szamotał się i próbował uwolnić, ale władca Kadoshim nagle uderzył skrzydłami i wzniósł się w powietrze, pociągając go za sobą. Już nad ziemią rąbnął młodzieńca przez głowę, ale ten zdołał zablokować uderzenie. Wzlatywali coraz wyżej.

Nagle rozległo się głuchoe warknięcie. Corban spojrzał w dół, gdzie mignęło mu futro i lśniące kły. Burza odbiła się od schodów i z rozchylną paszczą pomknęła ku Asrothowi. Uderzyła w demona z rozpędu i cała trójka zakotłowała się w powietrzu. Burza warczała i parskła, próbując znaleźć oparcie dla kłów. W końcu zacisnęła je na ramieniu Asrotha, na co demon znów zaryczał z bólu i wypuścił Corbana.

Młodzieniec runął na kamienną podłogę, przetoczył się, gubiąc miecz, ale zerwał się, podniósł broń i uniósł głowę. Asroth leciał ku ziemi, z furią tłukąc w Burzę, aż wreszcie rozchyliła szczęki i runęła w dół. Władca Kadoshim wzbił się wyżej i znikł w chaosie powietrznej bitwy.

Burza zaskamlą z bólu, gdy uderzyła w ziemię, ale poderwała się i rozejrzała w poszukiwaniu Asrotha. Corban gwizdnął na nią, a sam z przerażeniem przypadł do Coralen, która leżała całkiem nieruchomo.

Przyklęknął obok niej i z ulgą odkrył, że dziewczyna nadal oddycha. Na jej szczęce rozlewał się czarno-błękitny siniak, a na szyję ściekała strużka krwi. Burza dobiegła do Coralen, obwączała ją i znów zaskomlała. Wilkunica była zakrwawiona i poturbowana, a jej kolczuga, porwana tu i ówdzie, lśniła od krwi.

Za plecami Corbana rozległo się bicie skrzydeł.

– Burza, pilnuj! – rozkazał, a sam cofnął się od Coralen i spojrzał w górę. Asroth powracał na czele roju Kadoshim, dręczonego atakami Ben-Elim.

Wilkunica warknęła i zrobiła krok w ślad za Corbanem.

– Nie! – parsknął i wyciągnął rękę. – Pilnuj!

Burza zawróciła więc i stanęła nad ciałem Coralen, warcząc i kłapiąc szczękami na każdego, kto się zbliżył.

Dalej, Cywen, dokończ zakłęcie!, pomyślał Corban.

Ujrzał ją przy kotle. Dziewczyna nadal nuciła, ale z wysiłkiem, jakby zmagająca się z wielkim ciężarem. Dath stał u jej boku i słał strzały w każdego Kadoshim, który podleciał bliżej, a drugiego boku strzegł zakrwawiony, rozjuszony Farrell, który uderzał młotem z dziką furją. Gdzieś po lewej w powietrzu unosiły się rozwrzeszczane zjawy. Gar nadal walczył z Calidusem, któremu został już tylko jeden przyboczny.

Zabiłeś mi matkę, Calidusie, pomyślał Corban. Gar będzie próbował cię zabić, dopóki sam nie zginie.

Wtem znów pojawił się idący ku niemu Asroth. Utykał lekko i krwawił z poszarpanego ramienia i rany na udzie.

– Ziemie Wagnanych nie są dla ciebie! – wrzasnął do niego Corban.

Asroth odpowiedział syknięciem.

Z góry opadł Meical. Zręcznym ciosem odrąbał jakiemuś Kadoshim skrzydło i wpadł na drugiego. Spleceni w walce, przemknęli nisko nad ziemią i znów wzbili się ku górze.

– Więcej z tobą problemów, niż sądziłem, Jasna Gwiazdo! – wywarczał Asroth, który zatrzymał się około dwudziestu kroków przed Corbanem. – Ale tak czy owak niebawem czeka cię śmierć.

Corban nie zawracał sobie głowy odpowiadaniem i rzucił się prosto na demona, ale drogę zastąpili mu lecący Kadoshim. Uniknął czyjś miecza, piruetem wyminął jakąś włócznię i ciał dzierzącego ją demona po karku. Innemu wraził miecz w brzuch i biegł dalej, zbryzgany jego krwią. Drogę do Asrotha zastąpili mu inni, ale nie było już siły, która mogłaby go zatrzymać. Czas zwolnił, a ciałem

młodzieńca zawładnęło uniesienie bitewne. Ledwie zdawał sobie sprawę z tego, że przybocznych Asrotha ze wszystkich stron opadli Ben-Elim. Śmignął Meical, który odrąbał stojącemu mu na drodze demonowi głowę, a potem pociągnął innego za sobą w górę.

Naraz Corban uświadomił sobie, że ma przed sobą samego Asrotha.

Ich miecze zwały się, buchnęły iskry oraz dym. Młodzieniec tańczył przed władcą demonów i przechodził z jednego ataku w drugi, zaskakując przeciwnika coraz to kolejnymi kombinacjami ciosów. Uderzał ze wszystkich stron, ciął, pchał, rąbał, siekł, a na bladej skórze demona wykwiwały kolejne czerwone ślady.

Asroth odpowiedział z zaciekłością zrodzoną z dumy, na którą mógł się zdobyć jedynie król. Jego ciosy rąbały i miażdżyły kamienie i Corban powoli zaczął się męczyć. Cofał się pod nawałą uderzeń demona, aż piętami dotknął schodów. Potem ruszył po nich w górę. Pot i krew przyćmiewały mu widok, ramię wydawało się ciężkie jak z ołowiu. Na udzie wyrosło długie skaleczenie, kolejne pojawiło się na przedramieniu. Sino-czarne usta Asrotha rozciągnęły się w sardonicznym uśmiechu.

W połowie drogi do wielkich wrót Corban zatrzymał się, rozstawił stopy na szerokim stopniu i stawiał Asrothowi zaciekły opór. Przez moment wymieniali ciosy, aż demon machnął skrzydłami. Pęd powietrza pchnął wojownika w tył, a władca Kadoshim wybił się w powietrze i przelatując nad Corbanem, ciął go w głowę. Młodzieniec nieco się spóźnił – zdołał się uchylić i ocalić głowę, ale ostrze demona rozorało mu ramię. Miał wrażenie, że bark eksplodował mu ogniem.

Asroth wylądował na stopniach nad Corbanem. Ich ostrza zwały się, ale tym razem demon odrzucił ostrze przeciwnika na bok i kopnął go w pierś. Młodzieniec potoczył się w dół, a Asroth spłynął w ślad za nim.

Corban przetoczył się po tuzinie stopni, nim znieruchomiał. Wydawało mu się, że ktoś wrzeszczy jego imię. Odruchowo sięgnął po miecz, ale nie mógł go wymacać. Naraz coś ciężkiego przydepnęło mu nadgarstek.

But Asrotha.

– Pora przejść przez most mieczy – rzekł demon i wzniósł miecz.

Corban szarpał się, ale nie był w stanie uwolnić ręki. Ostrze Asrotha runęło w dół.

Naraz pojawiła się nowa postać. Błysnęło żelazo, posypały się iskry, a Corban uświadomił sobie, że stoi nad nim Gar, który zatrzymał potężne uderzenie Asrotha.

Zmienił ułożenie nadgarstków, posłał miecz demona na bok, obrócił biodra i ciął poziomo. Pan Upadłych odtoczył się, brocząc krwią z rany na czole, i wrzasnął głośno, a wtedy wpadł na niego ktoś inny. Buchnęły białe pióra i Corban ujrzał charczącego wściekle Meicala, który wzbił się w górę, spleciony w morderczym uścisku z Asrothem.

– Podaj mi rękę, Ban. – Gar nachylił się nad nim.

– Z przyjemnością – burknął Corban. Skrzywił się, bo miał wrażenie, że wystarczył jeden ruch, by jego ciało odezwało się bólem tysiąca ran.

Naraz z piersi Gara wystrzeliło ostrze, opryskując Corbana krwią. Młody wojownik, który już dźwignął się na jedno kolano, ujrzał Calidusa, który wyłonił się zza ciała Gara i uwolnił ostrze.

Gar zaś upuścił miecz i stał przez chwilę nieruchomo, chwiejąc się, wpatrzony w swego ucznia. W jego ustach wezbrała krew, po czym westchnął i padł Corbanowi w ramiona.

Rozdział sto dziewiętnasty

MAQUIN

Maquin otarł krew i pot z twarzy, po czym rozejrzał się dokoła. Za sobą miał szlak śmierci, wszędzie piętrzyły się zwały trupów, a na ziemi u jego stóp skrzeczał zdychający Kadoshim. Po zabiciu Lykosa powrócił na pole bitwy jak nowo narodzony, uwolniony od wszelkich trosk i obciążeń nakładanych przez życie. Czuł się czysty. W sercu płonął mu biały ogień, podsycany pragnieniem zabicia jak największej liczby wrogów. Szedł więc przez bitwę niczym anioł śmierci, a ludzie padali przed nim jak kłosa przed żniwiarzem.

Rozglądał się, bo nie miał pojęcia, gdzie się znalazł. Dopiero teraz dotarły do niego rozmiary tragedii, w której uczestniczył. Stał mniej więcej pośrodku pola walki i wszędzie widział trupy: zebrane w stosy lub rozrzucone pojedynczo wokół jak ziarno na polu. Mężczyźni, kobiety, konie, olbrzymy... Tak wiele istot, które były teraz tylko kupą kości i mięsa. Na południu nadal trwała zacięta walka, toczona głównie przez pieszych, choć ich grupy były od siebie oddalone. Bardziej zwarta bitwa trwała przy południowo-zachodnim skraju lasu. Dominowali tam wojownicy w czerni i srebrze, choć nie widział już tych zwartych formacji co wcześniej. Ludzie zostali rozproszeni, niektórzy uciekali, inni dalej stawiali czoła napastnikom. Maquin zauważył sporo Vin Thalun, ale także innych – oddział olbrzymów, nieco czerwonych płaszców, nadal trochę białych płaszców. I jakiegoś draiga.

To wierzchowiec Nathaira?, zastanawiał się. Nie, niemożliwe. Nie ma siodła ani uprzęży. Samego Nathaira też nie widzę.

Potem zauważył dwa inne draigi, zwrócone do niego ogonami, które znikły w głębi Drassil.

Po lewej stronie widział zażartą bitwę konną między wojownikami w szarych i czarno-złoty płaszczach, zajmującą większość północnej części równiny. Wyglądało na to, że hufiec Edany jest okrążony i spychany ku zachodniemu skrajowi puszczy.

Maquin spoglądał to na mur tarcz orlej gwardii, to na hufiec Rhin. Uznał, że wojsko Edany poniesie klęskę, bez względu na to, jak walecznie będą się bronić jej ludzie. Nic nie wskazywało na to, że z południa przybędzie jakaś pomoc, co z kolei oznaczało, że wróg ma przewagę liczebną wszędzie, choć na pierwszy rzut oka bitwa na południu wydawała się bardziej wyrównana.

Uniósł głowę i ujrzał coś, co w innej sytuacji zapewne odebrałoby mu dech. Na niebie roiło się od Kadoshim i Ben-Elim, którzy walczyli i umierali w powietrzu. Z nieba padały strugi krwi, pióra, odrąbane kończyny, broń i ciała poległych.

Jesteśmy pokonani, pomyślał. Z taką armią nie wygramy, ale możemy jeszcze zasłużyć sobie na pieśń.

Wciąż czuł przemożną ochotę, by wbić się w rój nieprzyjaciół i zacząć szerzyć śmierć, ale musiał zdecydować, kogo wesprzeć. Naraz dojrzał niewielki hufiec czerwonych płaszczów na południu, osaczony przez Vin Thalun i orlą straż.

– Tahir! – szepnął.

Mój brat w mieczu, towarzysz z Gadrai, jeden z nielicznych, którzy wciąż chodzą po Ziemiach Wygnanych, a których mogę nazwać przyjaciółmi. O ile, rzecz jasna, jeszcze żyje.

Ruszył na południe.

W przeciwieństwie do wielkiego ścisku na północy, bitwa miała tu dość płynny przebieg. Wojownicy rzucali się do ataku, cofali, uciekali i ginęli. Maquin przestąpił nad ciałem bezgłowego olbrzyma, wyminął Ben-Elim i Kadoshim, którzy toczyli wściekłą walkę na ziemi, niepomni tego, że ich skrzydła zamieniły się w krwawą miazgę, aż dojrzał Tahira na niewielkim wzgórku. Otaczało go pół tuzina Vin Thalun, ale nim się Maquin spostrzegł, dwóch z nich padło na ziemię, brocząc obficie krwią. Któryś

odwrócił się i skoczył na Starego Wilka, ale skonał na jego mieczu. Tahir powitał przyjaciela szerokim uśmiechem, odrąbał dłoń kolejnemu Vin Thalun, a Maquin przeciął ścięgno następnemu, po czym rozgniół mu stopą tchawicę. Ostatni z napastników cofnął się niepewnie, zorientowawszy się już, z kim ma do czynienia. Odwrócił się i rzucił do ucieczki, wrzeszcząc:

– Stary Wilk!

– Cóż za miłe spotkanie, bracie! – odezwał się Maquin, uściskawszy przyjaciela.

– Dobrze cię ujrzeć. – Tahir wyszczerzył zęby. – Choć twój widok będzie zapewne przyprawiał mnie o koszmary przez resztę życia.

Maquin uśmiechnął się, co było dziwnym doznaniem.

– Myślę, że przegrywamy – powiedział bez emocji. – Powinieneś odnaleźć Haelana i wiać stąd.

Tahir nie odpowiedział. Wpatrywał się w południową część równiny.

Maquin odwrócił się w tymże kierunku i dostrzegł draiga, skupionego na pościgu za kimś, miażdżącego i trującego każdego, kto stanął mu na drodze.

– Kogo on goni? – spytał Maquin, ale po chwili już wiedział. Zauważył bowiem drobną postać, która gnała przez pole bitwy, wrzeszcząc przeraźliwie.

– To Haelan! – wykrzyknął Tahir. – Ten draig goni Haelana!

Rzucił się do biegu, roztrącając ludzi. Maquin popędził za nim, bo ujrzał emocje na twarzy przyjaciela i natychmiast je rozpoznał. Tahir musiał wypełnić przysięgę i bał się, że zawiedzie. Gnał teraz co sił w nogach ku Haelanowi, ale Maquin widział już, że nie zdąży dopaść do chłopaka przed potworem. Sam więc przyśpieszył i zmienił kierunek biegu. Wsunął miecz do pochwy i wyciągnął kolejny nóż.

Jakiś Vin Thalun pojawił się przed nim i znikł niemalże natychmiast, bryzgając krwią z rozprutego gardła. Inni piraci nie podejmowali już ryzyka i uskakiwali mu z drogi, aż Maquin znalazł się w odległości dwudziestu kroków od rozpedzonego draiga, potem dziesięciu, pięciu i...

I wyskoczył. Padł na bok pędzącej bestii i wbił weń noże, których ostrza przeszły przez skórzastą łuskę i zagłębiły się w mięśniach. Zwiślał przez moment, kołysząc nogami, a draig zaryczał, zwolnił, obrócił łeb na krępej szyi i kłapnął paszczą, ale nie mógł go dosięgnąć. Kątem oka Maquin zauważył Tahira, który zdołał w ostatniej chwili zgarnąć chłopca w ramiona, po czym, wbijając noże w coraz to nowe miejsca, Stary Wilk wspiał się na kark potwora. Bok, po którym się piął, był zalany krwią, ale dopiero teraz, gdy znalazł się na grzbiecie bestii, zaczął ciąć jak szalony. Raniony draig wyhamował gwałtownie, rozrywając ziemię zakrzywionymi pazurami, obrócił się i stanął dęba, próbując zrzucić intruza z grzbietu.

Maquin dźgał, aż w ranie błysnęła kość. Naraz draig znów stanął na tylnych łapach i runął na grzbiet. Wojownik odbił się i wyskoczył, ale coś zacisnęło się na jego nodze. Draig pochwycił go między zęby i grzmotnął nim o ziemię.

Napór kłów na nogę zelżał, lecz mimo to kończyła nie przestawała pulsować bólem. Stary Wilk leżał, próbując nabrać tchu i wpatrując się w szare chmury i walczące postacie. Po chwili dobiegł go ryk draiga, który wymachiwał łapami i powoli usiłował się podnieść.

Wstawaj i zabij bydlaka, pomyślał Maquin.

Próbował się podnieść, ale nogę miał odrętwiąłą. Z głuchym stęknieniem zdołał się odwrócić i klęknąć na jedno kolano. Ranną nogę przeszły strumienie wściekłego bólu, które odebrały mu oddech.

Już wołałem, jak była odrętwiąła, stwierdził.

Spojrzał uważnie i ujrzał poszarpane mięśnie oraz złamaną kość, sterczącą z rany nad kolanem. Świat rozmył mu się przed oczami i Maquin stłumił ochotę, by zwymiotować.

Draig zbliżał się do niego, kołysząc łbem. Szedł nierówno, zalany krwią.

Moje noże chyba mu zaszkoziły, pomyślał Maquin.

Draig rozwarł paszczę i zaryczał, obryzgując wojownika drobinkami krwi i śliny, a potem zrobił chwiejny krok naprzód.

Maquin usiłował się odsunąć, odpychając się jedną nogą i jedną ręką. Drugą dłonią złapał za nóż, lecz w tej samej chwili szczęki potwora zacisnęły się na jego piersi, a ostre niczym sztylety kły przebiły mu skórę. Draig uniósł go i potrząsnął nim jak ogar szczurem. Świat dookoła zaczął się rozmazywać, a Maquin usłyszał trzask pękających kości. Opuszczają go wszelkie siły.

W uszach mu dzwoniło, a mimo to usłyszał czyjeś krzyki. Na moment wszystko nabrało ostrości i dojrzał niewyraźnych ludzi, dżgających draiga włóczniami. Nadal tkwił między szczękami bestii, która chwiała się i zataczała, otoczona ludźmi.

Próbował się poruszyć, ale zakaszła krwią i odkrył, że nie czuje nóg. Miał jednak władzę w rękach, a w dłoni dalej ścisnął nóż. Spojrzał na pysk draiga, a potem w jego puste, pozbawione emocji ślepie. Przywołał resztę swych sił, uniósł nóż i wbił go w oczodół potwora. Czuł, jak wchodzi w miękką tkankę i dociera do mózgu.

Ciałem draiga wstrząsnęły spazmy, po czym ugięły się pod nim nogi i runął na ziemię. Ogon zadrgał bezwładnie, a Maquin wytoczył się z jego pozbawionych życia szczęk.

Niewiele widział, ale udawało mu się co nieco usłyszeć, choć dźwięki były odległe, jakby docierały przez wodę. Czuł zimno, lodowate odrętwienie, które wnikało w głąb jego ciała, przeszywało tors i kończyny, wdzierало się za oczy.

Złapały go czyjeś ręce i uświadomił sobie, że jest odwracany. Pojawiły się nad nim twarze: Tahir, a obok niego jakiś rudowłosy, piegowaty chłopak.

Kastell? Czy to Kastell? Nie, to Haelan, ale tak bardzo go przypomina...

Tahir coś mówił. Poruszał ustami, a z oczu płynęły mu łzy. Maquin próbował się uśmiechnąć i powiedzieć, że wszystko jest w porządku, że cieszy się na myśl o śmierci. Że czuje ulgę, mogąc wreszcie porzucić niekończącą się walkę. Że wreszcie znajdzie spokój. Otworzył usta, poruszył nimi. Widział, jak Tahir pochyła się nad nim, a potem jego świat wypełniła ciemność, która pochłonęła twarz przyjaciela.

* * *

Maquin stał przed kamiennym mostem. Świat wokół niego zalewała szarość, ale po drugiej stronie przeprawy falowała złocista mgła, przypominająca wspomnienie lata.

Wkroczył na most i uświadomił sobie, że nadal trzyma miecz w dłoni. Gdy spojrział w dół, zobaczył niezliczone ostrza wbite w kamień, niektóre ostre i błyszczące, inne poszczerbione i pokryte rdzą. Szedł przed siebie, wpatrując się w złocistą mgłę.

Na środku mostu stał jakiś człowiek. Nie, nie człowiek, a Ben-Elim, którego białe skrzydła rozciągały się na całą szerokość drogi. Gdy Maquin podszedł bliżej, anioł złożył skrzydła i pozdrowił wojownika pełnym szacunku skinieniem. Stary Wilk szedł dalej ku mgle, w której widział już cienie i postacie. Jedną spośród nich, piękna kobieta o czarnych włosach, wyszła mu na spotkanie i się uśmiechnęła.

Maquin czuł, że odpowiada tym samym. Wypuszczony z dłoni miecz upadł z brzękiem na kamienie i wniknął w most, stając się jego częścią. Maquin jednakże nie zwrócił już na to uwagi. Biegł przed siebie i nic innego się dla niego nie liczyło.

Rozdział sto dwudziesty

CORBAN

Corban trzymał Gara w ramionach. Z rany Jehar wypływała pulsująca krew, mocząc mu koszulę oraz kolczugę. Przyjaciel oddychał z trudem, a na jego wargach pojawiły się czerwone plamki. Kolana ugięły się pod nim, a Corban ostrożnie ułożył go na ziemi. W jego oczach pojawiły się łzy, gdy uklęknął przy swoim mentorze i najlepszym przyjacielu. Dobrze wiedział, że z takich obrażeń nie wyjdzie już nikt.

– Trzymaj się – szepnął łamiącym się głosem.

Gar uniósł głowę, by coś powiedzieć. Corban nachylił się nad nim.

– Calidus – wyszeptał Gar.

Corban spojrzał do góry. W tej samej chwili Kadoshim skoczył na niego i młody wojownik musiał wykonać unik przed ciosem, który odrąbałby mu głowę. Rana, którą zadał mu Asroth, zapłonęła żywym ogniem, a wraz z nią setka innych. Zerwał się na równe nogi i ujrzał, jak Calidus przestępuje nad ciałem Gara.

Dostrzegł swój miecz na ziemi. Poderwał go, próbując opanować żal i wściekłość, kotłujące się w jego sercu.

Jeden z Ben-Elim runął na Calidusa z góry. Ten uniknął ciosu anielskiego miecza, zamachnął się własnym, lecz chybił, na co napastnik pochwycił Calidusa za kolczugę i kilkoma potężnymi uderzeniami skrzydeł wzbił się w górę. Calidus szarpał się w jego objęciach, próbując ciąć Ben-Elim mieczem, ale bezskutecznie. Wznosili się coraz wyżej.

Młodzieniec biegł za nimi, próbując nie stracić uprowadzanego Calidusa z oczu.

– Corban! Corban! – krzyczał ktoś.

Odwrócił się i ujrzał Cywen, Farrella i Datha, którzy gorączkowo przywoływali go do siebie.

– Zabij go! – mruknął do Ben-Elim, obrzucając znikającego Calidusa ostatnim spojrzeniem, i zawrócił.

Zatrzymał się na chwilę przy śmiertelnie pobladłym Garze, którego oddech był już ledwie zauważalny, po czym skrzywił się i pognął do Cywen. Nie chciał opuścić przyjaciela, ale wiedział, że przybyli tu po to, by zniszczyć Skarby i w tym celu ryzykowali życiem przez cały dzień. Wiedział więc, że bynajmniej go nie zdradzi, jeśli znów zajmie się ich misją.

Cywen stała przed kotłem. Na widok nadbiegającego brata, cisnęła do środka jakąś fiolkę, która zamigotała ciemnym światłem. Garbiła się, a jej twarz lśniła od potu.

– Potrzeba mi więcej! – zawołała.

– Czego? – spytał Corban.

– Krwi wroga! – wydyszała.

Corban przypomniał sobie, jak Calidus wrzucił Brinę i Laith do kotła. Skinął na Farrella i razem dźwignęli ciało jakiegoś Kadoshim i wrzucili je do środka. Trup przeleciał między ciałami Ben-Elim, którzy nadal wylatywali tłumnie do świata materialnego.

– *Fuil ar mo namhaid, cumhacht chun mo focail, seoda ó deannaigh ar ais go dtí anois deannaigh* – wykrzyknęła Cywen i uniosła ramiona.

Pozostałe Skarby zadudniły mocą.

– Teraz! – wrzasnęła Cywen. – Wrzucajcie skarby do środka!

Corban odwrócił się. Kilka kroków, które dzieliły go od artefaktów, naraz wydało się sporą odległością, tym bardziej że wszędzie kotłowali się Kadoshim i Ben-Elim. Skoczył naprzód, a Dath i Farrell wraz z nim. Jeden z Kadoshim rzucił się na nich ze wzniesionym mieczem. Brzęknęła stal, Corban wykonał unik, ale ciął wysoko i przerąbał kolczugę wroga. Broczący krwią demon runął na ziemię.

Przed sobą Corban ujrzał włócznie. Pochwycił ją oraz naszyjnik, Dath złapał torkwes i kielich, a Farrell topór oraz sztylet. Popędzili do Cywen.

Nagle zatrzepotały skrzydła i pojawili się Meical z Asrothem, nadal zwarci w zacieklej walce. Twarz Asrotha była zalana krwią, a jedno ze skrzydeł Ben-Elim zwisało bezwładnie. Warcząc, parskając i ciskając przekleństwa, przetoczyli się po ziemi, po czym zerwali się i skoczyli na siebie ze wzniesionymi mieczami.

Corban wyminął ich w biegu. Cywen wrzaskiem ponagliła go do pośpiechu, a Dath i Farrell już wrzucali swe Skarby do kotła. Kątem oka młodzieniec ujrzał, jak Asroth unieruchamia Meicala, orze jego twarz szponami i zaciska mu dłonie na szyi. Ben-Elim próbował się podnieść.

Corban przypadł do siostry.

– Wrzucaj! Wrzucaj! Wrzucaj! – wrzeszczała, po czym znów podjęła zakłęcie. Z jej oka ściekała krwawa łza.

Corban cisnął włócznie oraz naszyjnik do kotła.

Ten zafalował. Rozrastał się i pęczniał, po czym znów się kurczył, jakby nabierał i wypuszczał tchu. Z każdym kolejnym niby-oddechem potężniał jednak, a potem zaczął się mienić i jaśnieć. Buchał gorącem, a na czarnym żelazie pojawiały się bąble.

– Uciekajcie! – wrzasnęła Cywen.

Nie zastanawiali się ani sekundy. Gnali jak najdalej od kotła, mijając Asrotha i Meicala, nadal pogrążonych we wścieklej walce. Władca Kadoshim bił skrzydłami, próbując odlecieć, ale Meical ścigał go w dół i próbował dosięgnąć jego gardła.

Dath zeskoczył z podwyższenia jako pierwszy. W powietrzu nad nim pojawił się Kadoshim. Corban wykrzyczał ostrzeżenie, ale Kadoshim dźgał już włócznie. Dath w ostatniej chwili wykonał unik i ostrze, zamiast przebić mu szyję, trafiło go plecy. Młody łucznik jęknął z bólu, ale Corban doskoczył i złapał osuwającego się przyjaciela w ramiona. Zerknął za siebie i ujrzał zataczającą się Cywen, którą Farrell podniósł i zarzucił sobie na ramię. Uciekali.

Kocioł nadal się rozdymał, aż osiągnął nieprawdopodobne rozmiary. Rozległ się głuchy łoskot. Wszelkie światło zostało zassane

przez pękające naczynie i na jedno uderzenie serca sala pogrążyła się w całkowitych ciemnościach. Nagle eksplodował blask, biały i oślepiający, a gwałtowna fala powietrza zbiła Corbana z nóg. Z kotła trysnęła fontanna mieniącej się, jaśniejącej gorącym cieczy przypominającej stopiony metal, która runęła w dół i zalała Asrotha oraz Meicala. Rozległy się dzikie wrzaski i głośny syk. Przestrzeń nad nimi wypełniły kłęby kotłującej się mgły.

Corban podniósł się, uniósł Datha, który wydawał się nieprzytomny, i podjął próbę odnalezienia Gara. Usłyszał warczącą Burzę i skierował się ku niej. Wilkunicę, która nie odstąpiła od Coralen, otaczał zwał trupów Kadoshim, zagryzionych w obronie dziewczyny.

Corban odłożył Datha, zbadał mu puls, oderwał kawałek swej koszuli i obwiązał mu ranę. Potem sprawdził stan Coralen, która nadal była nieprzytomna, ale jęknęła cicho, gdy jej dotknął.

Chmura pary zaczynała się rozwiewać. Farrell i Cywen leżeli na ziemi, powaleni siłą eksplozji. Kocioł na podwyższeniu znikł, a wraz z nim pozostałe Skarby. Brama do Zaświatu została zamknięta i do wielkiej sali nie wdzierali się już kolejni Ben-Elim ani Kadoshim. Na podwyższeniu jednakże Corban nadal widział Asrotha i Meicala. Władca demonów stał z rozłożonymi skrzydłami, a Meical trzymał go i ciągnął ku ziemi. Na ich twarzach zastygły furia oraz nienawiść. Trwali nieruchomo, zatrzymani na zawsze w połowie ruchu przez stygnącą warstwę żelaza.

Rozdział sto dwudziesty pierwszy

VERADIS

Veradis podniósł się chwiejnie, krzywiąc się z bólu. Jego napierśnik z wyprawionej skóry był w strzępach, poszlachtowany pazurami draiga Nathaira, a lewa noga pulsowała bólem. Dotknął dłonią piersi i spojrzał na palce. Były czerwone od krwi.

Ciągle żyję, uświadomił sobie.

Poruszył ramionami i wyciągnął krótki miecz.

I dalej mogę walczyć. Więcej mi wiedzieć nie trzeba.

Zbliżył się do zwłok draiga, który teraz, po śmierci, wydawał się mniejszy. Wokół jego łba uformowała się kałuża ciemnej krwi. Wielka chmura pyłu, którą wzbił podczas upadku, już opadła i Veradis rozejrzał się w poszukiwaniu Nathaira. Wokół siebie widział grupy walczących – orla gwardia nadal ścierała się z wojownikami z Ripy, Jehar zmagali się z Vin Thalun i Kadoshim, a na niebie – anioły z demonami. Veradis zignorował ich wszystkich.

Muszę znaleźć Nathaira, powtarzał w myślach.

Pamiętał, że król został wyrzucony z siodła. Przeszukał miejsca, w których mógł upaść.

Nigdzie go nie ma.

Usłyszał za sobą szelest szybkich kroków. Odwrócił się i odruchowo uniósł miecz. W tej samej chwili długi miecz Nathaira opadł ku jego głowie. Strzeliły iskry, gdy Veradis odrzucił królewskie ostrze w bok, ale przeciwnik nacierał z dzikim błyskiem w oku i zasypywał go gradem ciosów. Koncentrował się na jednym

ramieniu Veradisa, a ten, spowolniony przez ranę nogi, cofnął się, potknął o trupa i przewrócił.

Nathair stanął nad nim z rozchyłonymi nozdrzami i wznosił miecz, ale Veradis kopnął go w kolano i posłał na ziemię.

Obaj podnieśli się chwiejnie.

– Dokonałeś błędnego wyboru – warknął Nathair. – Już wygraliśmy tę bitwę.

– Mój wybór nie miał nic wspólnego ze zwycięstwem bądź przegraną – odparł Veradis. – Dla mnie liczy się, kto ma rację, a kto nie.

Nathair skoczył do ataku, a Veradis przypadł, by zablokować cios. Instynkt wziął górę i jego ciało zareagowało, zanim zdążył się zastanowić nad tym, co właściwie robi. Kilka uderzeń serca później przejął inicjatywę i nacierał powoli, nieubłagane, a Nathair się cofał. Jego obrona stawała się coraz bardziej chaotyczna, a po kolejnej serii uderzeń Veradisa zatoczył się. Miecz wypadł mu z rannej ręki, a Veradis wznosił broń do ostatecznego ciosu. Ostrze wycelowało w gardło króla, ale ramię... znieruchomiało.

Obaj stali nieruchomo w środku szalejącej bitwy. Nathair ciężko dyszał, a jego oczy lśniły od wściekłości i lęku. Veradis zaś tkwił w pozycji do ataku, mierząc mieczem w gardło przeciwnika, i drżał na całym ciele, jakby próbował się uwolnić z oków niewidzialnej mocy.

Nie mogę tego zrobić, myślał. Bez względu na to, czego on się dopuścił i kim się stał, był kiedyś moim przyjacielem oraz moim królem. Złożyłem mu przysięgę.

Nathair naraz zerwał się, odtrącił jego miecz, przypadł bliżej i rąbnął go czołem w twarz. Przed oczami Veradisa pojawiły się gwiazdy.

– Do mnie! – wrzasnął król.

Veradis potrząsnął głową. Wokół wyrosli orli gwardziści – czterech, pięciu, kolejni. Ciął jednego po gardle, drugiego zranił w ramię, ale ciosy już spadały na niego ze wszystkich stron.

– Nie zabijać go! – zawołał Nathair, gdy któryś z żołnierzy rąbnął Veradisa po ramieniu i posłał go na kolana. Pozostali chwycili go

i przytrzymali.

– Zdradziłeś mnie! – oznajmił, a gniew na jego obliczu ustąpił miejsca żalowi. – Jak do tego doszło? Przecież byliśmy braćmi we krwi. Mieliśmy ocalić świat.

– Oszukałeś mnie! – odparł Veradis. – Oszukałeś nas wszystkich!

– Ale zrobiłem to dla... Dla większego dobra! – szepnął Nathair.

– Nie – rzekł Veradis. – Chciałeś raczej powiedzieć: dla własnego większego dobra.

– Tak, masz rację – przyznał Nathair. – Obaj mamy sobie coś do zarzucenia, ale twoja zdrada jest większa od mojej.

Rozejrzał się po polu bitwy, a na jego obliczu znów zagościły chłód oraz gniew.

– Woląłeś ten motłoch ode mnie! Ja jestem władcą Tenebralu! Najwyższym Królem Ziem Wycznanych, a ty uznałeś, że byle syn kowala jest dla ciebie godniejszym przywódcą!

Wyglądał, jakby był na skraju apopleksji.

– Gdybym miał czas, wszystko bym naprawił! – krzyczał z wybałuszonymi oczami. – Z Calidusem, Rhin, Lykosem! Gdybym po zwycięskiej wojnie został cesarzem...

– Ani przez chwilę nie miałeś na to szans – przerwał mu Veradis. – Chyba zdajesz sobie z tego sprawę, co? Calidus cię wykorzystywał. Po zwycięstwie szybko by się ciebie pozbył!

– Nie! – wrzasnął Nathair. – To ja chciałem... chciałem się nim zająć.

– Kolejna zdrada, co?

– Veradisie, kiedyś powiedziałeś, że zostawiasz politykę mnie. Ty wygrywasz bitwy. Ja zdobywam trony. Niektóre kwestie ciężko jest od razu pojąć, ale z upływem czasu zrozumiałbyś, że miałem rację.

– Zamordowałeś własnego ojca – szepnął Veradis.

Nathair wpatrywał się w niego z otwartymi ustami. Chciał coś powiedzieć, ale wszelkie słowa mu umknęły.

– Zachowaj swoje mętne wyjaśnienia dla siebie samego – mówił Veradis. – Zamordowałeś własnego ojca. Podciąłeś mu gardło własnym nożem, a potem zraniłeś sam siebie, by uniknąć oskarżeń. Nie jesteś Jasną Gwiazdą. Może i mogłeś nim kiedyś zostać, gdybyś

dokonał właściwego wyboru, ale stało się inaczej i od tego czasu jesteś Czarnym Słońcem.

Przez twarz Nathaira przemknęły dziesiątki emocji – wstyd, żal, duma, wściekłość. Z głuchym warknięciem dobył broni.

Za plecami Veradisa nagle rozległ się łoskot, a potem czyjś wrzask. Na twarz wojownika bryzgnęła krew, na ziemię padło odrąbane ramię. Wokół eksplodował chaos. Veradis rzucił się na ziemię, odtoczył od Nathaira, porwał za miecz, podnosząc się na słabych nogach, i wtedy ujrzał Alcyona, który rozprawiał się z resztkami orlej gwardii. Na oczach Veradisa zakręcił młyńca toporami i ściał komuś głowę, a wtedy Veradis skoczył mu na pomoc, pchnął jednego z żołnierzy w gardło i zwarł się z innym. Nathair skoczył na Alcyona.

Po chwili padł ostatni gwardzista, a Alcyon, wznosząc topory, rzucił się na Nathaira, który natychmiast zwątpił w swe męstwo i skulił się przed olbrzymem.

– Nie! – wrzasnął Veradis.

Bliźniacze topory Alcyona zamarły w powietrzu.

A wtedy coś zaczęło się dziać. Veradis widział, jak ludzie i olbrzymy odwracają głowy ku północy. Sam też spojrział w tym kierunku i nawet Alcyon to zrobił. Nathair stał jak skamieniały. Wszyscy patrzyli na północny skraj pola bitwy, gdzie teren wznosił się w stronę lasu.

Drzewa trzęsły się, a ziemia drżała, co Veradis czuł przez podeszwy butów. Wśród pni na całej szerokości skraju puszczy pojawiły się jakieś cienie, które przerodziły się w sylwetki, ogromne, muskularne, kryte futrem, zbrojne w kły i pazury. Spoglądały na pole bitwy bursztynowymi ślepiami i rozdziawiały czerwone szczęki. Były to niedźwiedzie, ogromne niedźwiedzie o bokach krytych kolczugami, a na ich grzbietach zasiadały olbrzymy w futrach, skórach i żelaznych pancerzach. Ich włosy były zaplecione w warkocze, a młoty i topory lśniły w blasku zachodzącego słońca. Były ich całe setki, rozciągnięte w długim szeregu, za którym majaczyły coraz to nowe postacie.

Armia Jotun dołączała do starcia, spragniona krwi i chwały.

Wojownicy cichli, odwracali się. Cisza zataczała coraz szersze kręgi nad polem bitwy i Veradis był pewien, że nastał taki moment, w którym umilkli dosłownie wszyscy walczący, zarówno na ziemi, jak i w powietrzu.

W centrum szyku Veradis dostrzegł olbrzyma dzierżącego młot wojenny. Po jego ramieniu spływał gruby, jasny warkocz, wąsiska również miał zaplecione. Obok niego jechała olbrzymka z długim mieczem. Rozpoznał ją.

To ona dała Corbanowi kolczugę dla Burzy! Zwrócił się do niej imieniem Sig.

Na jego oczach niedźwiedź jasnowłosego olbrzyma wysforował o kilka kroków, a jeździec rozejrzał się po polu bitwy.

Wykrzyknął rozkaz i ruszył naprzód, a Sig przytknęła do ust róg i zadęła. Dźwięk powtórzyły dziesiątki innych olbrzymów i naraz setki niedźwiedzi pognały w ślad za nim. Długi szereg, nabierając prędkości, spłynął po zboczu, i przeszedł w straszliwą szarżę. Teraz Veradis nie miał już wątpliwości, że ziemia drży.

– Jotun przybyli! – oznajmił zdumiony Alcyon.

Rozpędzone niedźwiedzie ryczały. Przez pole bitwy toczyła się wielka fala mięśni, futra i kłów, która runęła na hufiec Rhin z takim impetem, że niektórzy jeźdźcy i ich konie wylecieli w powietrze. Inni byli miażdżeni, rozbijani toporami i młotami, rozszarpywani i tratowani. Fala Jotun nieubłaganie szła naprzód, a wrzeszczący ludzie na rżących dziko koniach z desperacją próbowali uciec.

Mimo to szarża olbrzymów zaczęła zwalniać i Veradis ujrzał, jak szereg zaczyna się wyginać. Z początku impet ataku zatrzymał ścisk, ale ludzie po pierwszym szoku zaczęli wzmacniać obronę. Veradis wiedział, że Geraint, wojewoda Rhin, nie był tchórzem i potrafił dowodzić na polu bitwy. Jego trębacze zadęli w rogi, chorąży zamachali proporcami, po czym Geraint poprowadził swych ludzi na olbrzymy.

Bitwa rozgorzała na nowo, jakby wojownicy otrząsnęli się ze snu. Veradisa znów otoczył dziki zgiełk, gdyż przybycie Jotun wyzwoliło we wszystkich nowy poziom dzikości.

Spojrzał na Alcyona, który nadal wpatrywał się w Jotun z nabożnym zachwytem, a potem, jak w zwolnionym tempie, ujrzał Nathaira, który nagle wyrasta za Alcyonem, napina mięśnie i pcha. Veradis zerwał się, ale jego ostrzegawczy okrzyk okazał się spóźniony. Nathair zdążył już wrazić miecz głęboko w ciało olbrzyma. Ten krzyknął, zamachał rękami, ale kolana ugięły się pod nim i runął na ziemię. Nathair oswobodził oręż z krzywym uśmiechem, odwrócił się ku Veradisowi, wzniósł broń i opuścił ostrze na jego głowę.

Veradis złapał trzymającą miecz rękę króla za nadgarstek, a sam pchnął go w brzuch, przebijając skórzany pancerz oraz kolczugę. Nathair stęknął głucho i wbił spojrzenie w Veradisa. W jego oczach malował się wstrząs. Naraz jego głowa opadła na ramię byłego przyjaciela, jakby chciał go objąć. Westchnął, padł na kolana i osunął się na ziemię. Ostrze Veradisa wyslizgnęło się z jego ciała.

Młody wojownik stał i patrzył. Z miecza ściekała mu krew, a po policzkach płynęły łzy, rozmazując cały świat.

Rozdział sto dwudziesty drugi

CORBAN

Corban spoglądał na Meicala i Asrotha, uwięzionych w pokrywie z czarnego żelaza, choć właściwie nie wiedział, czy tak należy nazwać substancję, która wyleciała z kotła w wyniku zniszczenia Siedmiu Skarbów. Przypominali dwa cudowne posągi, które wyszły spod dłuta natchnionego mistrza. Każdy szczegół i każda proporcja uderzały swą perfekcją. Żelazo nadal parowało, a pod ciemniejącą warstwą zewnętrzną wciąż mienił się płynny metal.

Corbanowi jeszcze dzwoniło w uszach od eksplozji, choć zdawał sobie też sprawę z tego, że w wielkiej sali zapadła śmiertelna cisza. Kadoshim i Ben-Elim wpatrywali się w scenę z oszołomieniem i skrajnym niedowierzaniem. Jeden z Ben-Elim przeleciał nad strumieniem płynnego żelaza, który rozlał się po podłodze i schodach podwyższenia. Ostrożnie wyciągnął dłoń, by dotknąć skrzydła Asrotha, ale cofnął ją z okrzykiem bólu, gdy jego palce aż zasyczały.

Wtedy któryś z Kadoshim wrzasnął przeraźliwie, zamachał ciemnymi skrzydłami i runął na obie zamarłe postacie z prędkością strzały. Uderzył w Pana Upadłych, ale został odrzucony w eksplozji iskier. Jego skrzydła zajęły się ogniem, który błyskawicznie pożarł część skórzastej błony, lecz demon w porę rzucił się na kamienną podłogę i miotał się dopóty, dopóki płomień nie zgasł. Powstał z na pół spalonym skrzydłem i poparzonym, pokrytym pęcherzami ramieniem. Na powłoce Asrotha nie było najmniejszej nawet rysy.

Jest tam uwięziony na dobre, o ile wciąż żyje, pomyślał Corban.

Pozostali Kadoshim, których w wielkiej sali było przynajmniej kilkuset, drgnęli, gdy wszyscy z narastającym przerażeniem uświadomili sobie ten sam fakt.

Ich władca padł.

Rzucili się do ucieczki niczym roztrącone gniazdo szerszeni. Łopocząc skrzydłami, podążali ku dwóm wielkim wyrwom w dachu lub tłoczyli się w wielkiej bramie, a Ben-Elim ścigali ich bez litości, tnąc i rąbiąc każdego, kto się nawinął. Ciała zabitych demonów spadały wokół Corbana i Burzy. Któryś spróbował się podnieść, ale Burza skoczyła na niego i potrząsnęła nim niczym szczurem.

Corban zaś podbiegł do Cywen i Farrella, którzy leżeli nieruchomo. Delikatnie uniósł Cywen, która poruszyła się i otworzyła oczy. Jej policzki były pomazane ciemnymi, krwawymi łzami.

– Udało ci się – powiedział, gładząc ją po twarzy.

– Naprawdę? – Zamrugła. – Cóż, to dopiero niespodzianka.

Uśmiechnęła się, a Corban zaniósł ją do Coralen i Datha, nad którymi czuwała Burza. Nie zwracał już uwagi na nielicznych Kadoshim, którzy dalej stawiali czoła Ben-Elim. Ułożył siostrę delikatnie na podłodze, a potem zawrócił po Farrella. Ogromny młodzieniec jęknął i zachwiał się, gdy Corban pomógł mu się podnieść. Z rany na głowie ciekła mu krew, a w oczach miał mgłę. Jakiś Kadoshim przemknął blisko nich. Corban i Burza napięli mięśnie, ale demon skoczył na jednego z Ben-Elim.

– Co z Garem? – szepnęła Cywen, ujmując brata za rękę.

Opuścił głowę. Znów poczuł przypływ żalu, który wywołał w jego piersi fizyczny ból. Miał wrażenie, że czyjaś pięść zaciska się na jego sercu. Nie mógł wykrztusić ani słowa.

– Gdzie? – spytała Cywen.

Corban odwrócił się, by wskazać jej miejsce – nie dowierzał swemu głosowi – i zamarł. Ciało Gara spoczywało na stopniach prowadzących ku otwartym wrotom sali, ale uwagę młodzieńca przyciągnęły postacie za nim. Ben-Elim z poszarpanymi, bezużytecznymi skrzydłami toczył tam bój z wysokim szczupłym mężczyzną o poparzonej twarzy.

– To Calidus – szepnęła Cywen.

Calidus.

Corban dobył miecza, ignorując eksplozję bólu z rany ramienia, i zrobił krok naprzód. Cywen złapała go za rękę i próbowała się podnieść.

– Nie – rzekł. – Zajmij się naszymi przyjaciółmi. On jest mój.

– Weź Burzę – zaproponowała Cywen.

– Nie. Ona musi tu zostać i chronić was wszystkich – odparł Corban i spojrzał na nieruchome ciała przyjaciół, po czym kazał Burzy warować.

Zacisnął zęby i odwrócił się. Czuł, że nienawiść do Calidusa, tętniąca w jego krwi, daje mu nową energię.

– Za mamę – rzekła Cywen za jego plecami.

– Tak. Za mamę. Za Gara. Za Brinę. Za Laith – szepnął Corban.

Za tych wszystkich, których kazał nadzieć na włócznie na dziedzińcu Drassil, dodał w myślach. Od samego początku to on pociągał za sznurki, by wywołać katastrofę. Namieszał w głowie Nathairowi, a więc jest również winny śmierci ojca i tylu, tylu innych.

– Za wszystkich – oznajmił.

– Przynieś mi jego głowę – warknęła Cywen.

W żyłach Corbana rozlał się nowy ogień. Zimny, lodowaty, mieszczący w sobie zarówno gniew, jak i pragnienie zemsty. Rzucił się do biegu.

Calidus nadal walczył z Ben-Elim na schodach, aż nieoczekiwanym ruchem nadgarstka wytrącił przeciwnikowi miecz i z wypadu przebił mu serce. Kopnięciem posłał go na ziemię i spojrzał na Asrotha, swego zastygłego na zawsze króla.

Potem ujrzał Corbana.

Na jego obliczu pojawiło się niezdecydowanie. Zerknął przez ramię ku gasnącemu światłu dnia, które wpadało przez rozwarte wrota sali. Wyglądał, jakby zastanawiał się nad ucieczką, ale chyba się rozmyślił, bo odwrócił się ku Corbanowi, rozstawił szeroko stopy i uniósł miecz.

Kotłująca w sercu wojownika nienawiść do tego człowieka – do tej istoty! – naraz znalazła ujście w dzikim ryku bojowym. Wbiegł po schodach, przeskoczył nad Garem i ciągle wrzeszcząc, uniósł wysoko miecz i runął na Calidusa. Kadoshim zablokował jego cios i aż się zachwiał, a potem zaczął się cofać, bo Corban napierał bez litości. Pazury wilkuna rozorały Calidusowi twarz, miecz przeciął ogniwa jego kolczugi. Dziesiątki tysięcy godzin tańca miecza, ćwiczebnych pojedynków, rozciągania i budowania mięśni, doskonalenia postaw, kombinacji, wypadów i parowań, niezmierny ból, oceany potu, wykuwane w ogniu walki dyscyplina oraz determinacja skupiły się w tych kilkunastu uderzeniach serca, gdy Corban walił bez litości w demona w ludzkiej skórze, twórcę niewysłowionego zła. Oczami duszy widział zaś Gara, człowieka, który był jego przyjacielem i nauczycielem, który zastąpił mu zarówno brata, jak i ojca.

Wściekłość płynęła w jego krwi, potęgując siłę uderzeń, zwiększając prędkość ataku. Calidus się zachwiał. Każdy kolejny cios Corbana trafiał i wnet raniony kilkanaście razy Kadoshim zaczął się cofać. Młody wojownik nie ustępował, a jego furia zdawała się rosnąć, rozrastać się, potęgować, aż odniósł wrażenie, że cały się jarzy od jej mocy. Aż poczuł, że już nie panuje nad własnym ciałem.

I wtedy dostrzegł coś nowego w oczach Calidusa. Przebłysk szyderstwa i pewności siebie.

Nie. On mnie wabi. Kusi, pomyślał Corban. Wykorzystuje moją wściekłość.

Naraz przypomniał sobie pierwszą lekcję, jakiej udzielił mu Gar.

„Kontroluj swój gniew, bo jeśli on zdobędzie nad tobą władzę, rychło zapłacisz za to życiem”.

Powoli, krok po kroku, narzucał sobie spokój, jakby ściągał wodze rozszalałemu rumakowi i przekuwał moc płynącą z gniewu w skupienie. Liczyła się dla niego tylko śmierć istoty, którą miał przed sobą. Znowu dostrzegł jakiś przebłysk emocji na obliczu Kadoshim. Czyżby frustracja? A może rozczarowanie?

– Twoja śmierć nadciąga! – warknął doń Corban.

I wtedy rozpoczął się prawdziwy taniec miecza. Walczący przesuwali się w górę i w dół schodów, a echo ich zderzających się

ostrzy niosło się po całej sali. Corban przywołał na pomoc wszystkie nauki, które przekazali mu Gar, Halion, Coralen oraz olbrzymy, i wnet przeszedł w stan, w którym jego ciało reagowało szybciej od świadomej myśli. Uderzał błyskawicznie wszędzie tam, gdzie jego instynkt wykrywał szanse i możliwości, a Calidus parował i unikał jego ciosów, przechodził do kontrataków i sam budował oszalamiające kombinacje krótkich pchnięć, szerokich cięć i rąbnięć znad głowy. Korzystał z technik, które Corban znał jak własną kieszeń, ale sięgał również po takie, których nigdy wcześniej nie widział. Skrzyżował już z nim miecz w Murias i został pokonany, a Calidus zabił wówczas jego matkę. Sam Corban nie uszedłby z życiem, gdyby nie Meical.

Ale teraz jestem innym człowiekiem, myślał. Calidus to prawdziwy mistrz. Jeśli wierzyć Meicalowi, knuje i układa swe plany od setek lat i wygląda na to, że nie zaniechał przy tym nauki władania orężem. Nie ocali go to jednak.

Wymierzył mu już pół tuzina ciosów, które każdemu innemu przeciwnikowi upuściłyby sporo krwi, zadały ból i opóźniły jego reakcje, ale na Calidusie nie zrobiły większego wrażenia. Veradis opowiedział mu o tym, jak wbił Kadoshim nóż w brzuch i wepchnął go w płomień, a Alcyon uderzył go toporem z taką siłą, że ciało Calidusa skruszyło kamień. Mimo to demon wyszedł z ognia, wyrwał nóż z ciała i otrzepał kamienne okruszki z ubrania.

On w niczym nie przypomina tych nowo przybyłych Kadoshim. On żyje w obcym ciele, tak jak ci nawiedzeni Jehar, uświadomił sobie Corban. Muszę mu odciąć głowę.

Potem przypomniał sobie słowa Gara o zmęczeniu, jakie naszło go, gdy walczył z Ildaerem, przywódcą wojennym Jotun, wojownikiem, który mógł biec nieprzerwanie przez miesiąc. Owo znużenie omal go nie pokonało.

I muszę się pośpieszyć, dodał w myślach.

Nie widział jednak żadnych sposobności, żadnych słabości, żadnej powtarzającej się kombinacji uderzeń, które dałyby mu szansę do zadania śmiertelnego ciosu.

– *Deatach a chónaisceann* – wyszeptał demon i otworzył usta.

Wyplął z nich ten sam czarny dym, który wcześniej przeistoczył się w więzy. Corban poczuł przypływ lęku, ale tym razem czarny dym zachowywał się inaczej. Co prawda wystrzelił, by opleść kończyny wojownika, ale zaczął się rozwiewać pod naporem przeciągów. Okazał się w tym samym stopniu szkodliwy co poranna mgła.

Skarby, uświadomił sobie Corban. Calidus powiedział Rhin, że czyniły go znacznie silniejszym, a więc być może ich zniknięcie uczyniło go słabszym.

Calidus nie wydawał się zadowolony z tego powodu.

– Nadciąga twa śmierć – znów szepnął Corban.

Niespodziewanie rozległ się trzepot skrzydeł i do twarzy Calidusa przypadł Craf, dziobiąc i szarpiąc. Demon cofnął się i z całej uderzył ptaka dłonią. Ten, kracząc przeraźliwie, przekoziółkował w powietrzu, spadł na jakiś stopień, poruszył lekko skrzydłami i znieruchomiał. W tej samej chwili Corban zamachnął się i ciął. Calidus zdołał odskoczyć, ale czubek ostrza młodzieńca rozciął mu gardło. W ranie wezbrała krew, która zaczęła ściekać, ale głowy nadal nie udało mu się ściąć.

– Będziesz musiał się bardziej postarać – powiedział Calidus, choć zmienionym, chrapliwym głosem.

Corban odpowiedział kombinacją cięć, która zmusiła demona do cofnięcia się. Calidus potknął się, zachwiał, ale w porę odskoczył poza zasięg miecza przeciwnika. Wtedy wsunął dłoń pod płaszcz i wyciągnął zawiniątko z materiału. Cofnął się jeszcze o kilka kroków, rozchylił zawiniątko zręcznymi palcami i wy dobył z niego...

Kwiatek.

Fioletowy oset.

Wtem Corban wszystko zrozumiał. Poczuł nagłe targnięcie serca, jakby ktoś wbił mu w nie haczyk i szarpnął.

To ten kwiat, który pozostawiłem na kurhanie mamy.

Calidus uśmiechnął się, widząc, że Corban rozpoznał kwiat.

– Miły gest, przyznaję – rzekł. – Nadal mam gdzieś jej głowę.

Młodzieniec rzucił się na niego i wprost eksplodował nawałą uderzeń. Calidus potykał się i chwiał, ledwie będąc w stanie nadażyć

z odbijaniem szaleńczo szybkich ciosów przeciwnika. Jakiś ogłuszający dźwięk wypełnił cały świat Corbana, a on powoli uświadomił sobie, iż był to jego własny wrzask. Nagle w jego głowie odezwał się szept.

„Gniew jest wrogiem” – powiedział cicho Gar, a potem dodał coś jeszcze.

Corban widział sardoniczny uśmiech Calidusa, gdy ten rzucał mu kwiatek, i dobrze wiedział, co planuje przeciwnik, ale nie był już w stanie kontrolować swej furii. Uwolnienie gniewu i wściekłości było jedynym, co mógł w tej sytuacji zrobić. Zamarkował uderzenie w brzuch Calidusa, natychmiast zrozumiał, że źle wyliczył je w czasie, uderzył więc z góry, ale i tu się spóźnił, a obrót stóp odsłonił na ułamek sekundy jego prawy bok. Uświadomiwszy sobie błąd, zaczął przechodzić w inną postawę, ale wtedy coś w niego rąbnęło. Przeszył go ognisty ból, który wdzierał się coraz głębiej, przegryzając się przez kolczugę. Uśmiechnięty pogardliwie Calidus wbijał miecz w brzuch Corbana, aż ostrze wyszło plecami.

Skądś dobiegł dziki wrzask.

Corban i Calidus stali przez długą chwilę jak zamarznęte posągi. Młodzieniec z niedowierzaniem wpatrywał się w miecz, który go przebił, i na rozszerzającą się plamę krwi, a potem uniósł głowę i spojrzał na arogancki uśmiech Calidusa.

Potem zacisnął dłoń w rękawicy wilkuna na ręce demona.

– Czasem – burknął, przyciągając się do Kadoshim wzdłuż klingi miecza i krzywiąc się jednocześnie z bólu i wściekłości – trzeba przyjąć ranę, by móc ją zadać.

Choć w brzuchu eksplodował mu niewyobrażalny ból, Corban zamachnął się mieczem i ściął Calidusowi głowę.

Rozdział sto dwudziesty trzeci

CORALEN

Coralen otworzyła oczy.

Uświadomiła sobie, że leży na plecach i dokucza jej tętniący ból w szczęce oraz u nasady czaszki. Wpatrywała się w sklepiony, kopulasty dach wielkiej sali Drassil, pod którym nadal uwijali się Kadoshim i Ben-Elim, choć tych pierwszych było o wiele mniej.

– Wszystko w porządku – odezwał się ktoś. – Po prostu poleż jeszcze chwilę nieruchomo.

Obróciła głowę i ujrzała Cywen, wpatrującą się w nią z wielką troską. Nad nią zaś stała Burza w zniszczonej, podartej kolczudze. Jej brzuch aż wibrował, gdy warczała, śledząc wzrokiem latających Kadoshim. Wilkunica spojrzała na Coralen, a ta ujrzała, że pysk zwierzęcia jest pokryty zakrzepłą krwią. Pochyliła łeb i polizała Coralen po twarzy, a potem powróciła do warczenia ku niebu.

Coralen rozejrzała się. Zobaczyła klęczącą przy niej Cywen, nieprzytomnego Datha leżącego z jednej strony, a po drugiej stękającego, próbującego się podnieść Farrella. Cywen bez ceregieli szturchnęła go w pierś.

– Powoli! – oznajmiła.

– Gdzie jest Ban? – spytała Coralen, gdy już udało jej się usiąść. Świat zawirował i z trudem powstrzymała wymioty. Ostrożnie uniosła rękę i z tyłu głowy wymacała guza wielkości jaja.

Burza spojrzała nagle w kierunku wejścia do wielkiej sali i zaczęła skamleć. Wysoko na schodach, opromienieni bladym blaskiem

słońca, walczyli dwaj mężczyźni. Coralen nigdy dotąd nie widziała równie zaciętego starcia.

Wstrzymała oddech.

Jednym z walczących był Ban. Nie miała co do tego wątpliwości, bo rozpoznała jego zwinność, płynność ruchów i siłę uderzeń. Ale z kim on walczy?

Nagle Burza rzuciła się do biegu z warczeniem narastającym w głębi brzucha. Coralen dźwignęła się na równe nogi, zwalczyła zawroty głowy i, potykając się, pobiegła za wilkunicą. Usłyszała, jak Farrell z głuchym stęknieniem ponawia próbę powstania, a Cywen obrzuca go przekleństwami.

Coralen była już na pierwszym stopniu, gdy zachwiała się i prawie przewróciła. Musiała się zatrzymać i zacisnąć powieki.

Wtem za sobą usłyszała wrzask Cywen i pośpiesznie otworzyła oczy. Zamroczyło ją, ale wyteżyła wzrok, próbując skupić go na Corbanie.

Przez moment to, co widziała, nie miało żadnego sensu. Przed sobą miała dwóch wojowników w kolczugach, którzy stali blisko siebie. Jednym był Corban, tego była pewna, a drugi nie miał głowy. Z szyi bezgłowego wojownika wyciekała czarna mgła, która układała się w doskonale jej znany kształt skrzydlatej zjawy z czerwonymi oczami Kadoshim.

To Calidus, pomyślała Coralen. To na pewno on! I Ban go zabił!

Poczuła gwałtowny przypływ dumy, zmieszanej z szacunkiem i miłością. Ale Cywen nie przestawała wrzeszczeć i dołączył do niej Farrell, który brnął ku Coralen, zataczając się.

Czemu oni tak się drą?, pomyślała. I gdzie jest Gar?

Ruszyła, chwiejąc się, po czym przeszła do niepewnego biegu. Mglista zjawa zaczęła już niknąć i obie postacie osunęły się na ziemię.

Serce Coralen przeszło lęk.

Nie, nie Ban, tylko nie on, nie!

Burza dotarła do obu leżących postaci. Trąciła Corbana pyskiem, zaskomlała, znów go trąciła, polizała po twarzy i po dłoniach. Następnie wyprostowała się, uniosła głowę i zawyła.

Coralen, biegnąc do Corbana, zauważyła Gara, leżącego kilka stopni poniżej. Spoczywał w kałuży czarnej krwi, a jego twarz była biała niczym mleko, ale podążył za nią wzrokiem.

Corban leżał na szerokim stopniu obok bezgłowego ciała Calidusa. Z jego ciała sterczał miecz, wbity między biodro a klatkę piersiową. Miał zamknięte oczy. Coralen padła obok niego i zaczęła pośpiesznie szukać pulsu.

Nic. Nie, nie...

Złapała go za nadgarstek.

Proszę, Elyonie, błagam cię, daj mu żyć, pozwól mu żyć, daj mu żyć, powtarzała w myślach.

Nic. Żadnego pulsu. Ani śladu oddechu z nosa czy z ust.

Proszę.

Uniosła mu głowę, gładziła go po policzkach, modliła się o to, by zaczął oddychać, błagała, by jego klatka piersiowa wreszcie się uniosła, ale nic takiego się nie stało.

Odszedł.

Ułożyła się przy jego ciele i zaniosła się płaczem. Siedząca za nią Burza wyła przeraźliwie.

Z głośnym tupotem nadbiegł Farrell, który padł na kolana obok Corbana. Po jego policzkach ciekły łzy.

– Jestem twoim przybocznym, miałem cię strzec, miałem cię chronić – szeptał i płakał, a jego ciałem wstrząsały spazmy.

Coralen usiadła, otarła łzy rękawem i podpełzła do Gara, leżącego ledwie kilka kroków dalej. Jehar usiłował unieść głowę. Spojrzała na ranę na jego piersi i doszła do wniosku, że wroga klinga musiała przeszyć go od tyłu, bo krew wyciekała z pleców. Poruszył ustami, na których pojawiły się krwawe bąbelki. Coralen wiedziała, że to zły znak.

– Ban? – wychrypiał.

U siadła obok niego, otarła jego twarz z krwi i brudu, po czym pokręciła głową. Gar jęknął i zacisnął powieki, spod których wypłynęły łzy. Stracił je, zdołał wesprzeć się na łokciu i spróbował podciągnąć się do Corbana. Coralen przyszła mu z pomocą, a potem Farrell, i razem ułożyli Gara przy ciele młodego wojownika.

– Ach, Ban, mój Ban – szeptał Gar.

Ujął jego dłoń, a Coralen nakryła ich dłonie własną. Ledwie je widziała, oślepią łzami. Siedziała przez moment nieruchomo, gładząc Corbana po twarzy.

Jego pięknej, cudownej twarzy...

Uniosła głowę, nie mając pojęcia, ile czasu upłynęło, ale nie mogło to trwać długo, bo promienie słońca wciąż wpadały przez otwarte wrota. Burza leżała przy Corbanie i przyciskała pysk do jego głowy. Nie przestawała cicho skamleć.

Coralen myślała, że Gar już odszedł, bo leżał nieruchomo, pokryty śmiertelną bladością, ale gdy uniosła głowę, jego powieki znów się rozchyliły. Na ustach pojawiło się więcej krwi.

Pięli się ku nim Dath i Cywen. Łucznik zarzucił rękę na ramię dziewczyny. Gdzieś z tyłu rozległo się krakanie i niemrawy trzepot skrzydeł.

– Pomóżcie Crafowi! – zaskrzeczał kruk.

Farrell zszedł i podniósł leżącego na stopniu ptaka, po czym przyniósł go do nich. Jedno z jego skrzydeł zwisało pod niewłaściwym kątem, ale zaskrzeczał żałośnie na widok Corbana i wymógł, by ułożono go na piersi młodzieńca. Wtulił się w niego i gruchał cicho.

Coralen rozejrzała się. Asroth tkwił w miejscu, powleczone czarnym żelazem. Wokół stali liczni Ben-Elim, ale nie było ani jednego żywego Kadoshim.

Bitwa została wygrana, uświadomiła sobie. Przynajmniej tutaj. Asroth pokonany, Rhin i Calidus nie żyją, a my się zemściliśmy. Ale oddałabym to wszystko za życie Bana. Dlaczego nie uciekliśmy po bitwie o osadę Gramma? Czemu nie odeszliśmy, jak proponował Ban, by zbudować gdzieś dom i zacząć nowe życie?

Rozejrzała się w poszukiwaniu Cywen i Datha. Wiedziała, że są blisko, ale nie widziała ich. Nie widziała nikogo, bo oślepiły ją łzy.

Rozdział sto dwudziesty czwarty

CORBAN

Corban kopnął Calidusa w brzuch. Kadoshim zgiął się w pół, na co młodzieniec walnął go pięścią w skroń, posłał na kolana, a potem kopnął w głowę. Jego przeciwnik zakreślił łuk w powietrzu i rąbnął plecami w spowitą szarością ziemię. Jęknął przeciągle i znieruchomiał, oddychając chrapliwie. Zamachał czarnymi, błoniastymi skrzydłami, ale bez widocznego efektu.

Znaleźli się w Zaświecie, a Corban kończył to, co zaczął w świecie materialnym. Byli w dolinie otoczonej stromymi klifami. Obok nich toczyły się ciemnoniebieskie wody rzeki, a trawa oszałamiała zielenią.

To tu wylądowałem podczas pierwszej wizyty, gdy ujrzałem Meicala rozmawiającego z Ben-Elim, uświadomił sobie Corban. Ta rzeka prowadzi do jeziora.

Zadrzał, gdy przypomniał sobie swoją ostatnią bytność w tych okolicach i spotkanie z istotą mieszkającą w wodach jeziora.

– Wstawaj! – zwrócił się do Kadoshim.

Podszedł do niego i kopnął go w żebra, czym pomógł mu się podnieść. Czuł ból w dole brzucha, nad biodrem, ale był on tępy i monotony. Dało się go znieść.

– Nie, przestań – wybełkotał Calidus, kiedy Corban wymierzył mu kolejnego kopniaka.

Młodzieniec nie miał jednak zamiaru łagodnieć. Postawił demona gwałtownym szarpnięciem, rąbnął go w brzuch, a potem złapał za splecione w warkocz włosy, srebrne nawet w wiecznym świecie,

choć skórę Calidusa powlekała tu drobna łuska, a twarz nabrała gadzich rysów.

– Co ty tu robisz? – spytał Calidus. Z kącika ust ściekała mu ślina.

Próbował się odsunąć, ale się potknął, a Corban szedł za nim, wyciągając miecz z pochwy u boku. Spojrzał na broń i uświadomił sobie, że jest to ostrze, które wykonał dla niego ojciec. Miecz miał głowicę w kształcie głowy wilkuna, ale tu prezentował się inaczej i zdawał się płonąć zimnym ogniem.

– Skończę to, co zacząłem na schodach Drassil – oznajmił. – Zabiję cię.

Calidus zakrztusił się śmiechem.

– Nie możesz! – wysyczał.

– Nie? – warknął Corban. – To patrz!

Rąbnął Calidusa oburącz, od obojczyka po biodro, ale rana błyskawicznie się zasklepiła i pozostała po niej jedynie czerwona blizna, podobna do tej, która widniała na jego szyi. Calidus padł na ziemię, wrzasnął i zwijał się przez moment, ale nie przestawał się uśmiechać do Corbana zakrwawionymi zębami.

– Chodziło mi o to – wydyszał – że nie jesteś w stanie zniszczyć duszy. Rany, które zadałyby śmierć w twoim świecie, tutaj zostają szybko zapomniane. Moglibyśmy to robić przez całą wieczność.

Spojrzał na Corbana i dodał:

– Wygrałeś. Asroth został uwięziony. Moje plany legły w gruzach, nasze zastępy zostały rozgromione. Nie wystarczy ci to?

– Nie – warknął Corban i znów wzniósł miecz, choć tym razem przytknął go do grdyki Calidusa. Wiedział, że demon zasługuje na całą wieczność bólu i cierpienia, ale on sam nie nadawał się do tortur. Potrafił zadać bolesną śmierć, ale powolne zadawanie mąk? Nie.

Naraz naszła go inna myśl.

Złapał Calidusa za skórzaste skrzydło i pociągnął go za sobą po trawie, aż stanął na brzegu jeziora, otoczonego drzewami o czerwonych liściach.

– Co my tu robimy? – spytał Calidus, a do jego głosu znów wkradł się lęk.

Corban osłonił usta dłońmi i krzyknął:

– Viathun!

– Co? – Strach w głosie Calidusa przybrał na sile. – Czyś ty oszalał? Tylko nie ten...

Corban grzmotnął go w brzuch i demon padł na kolana.

Wody jeziora zakotłowały się i wyłonił się z nich mężczyzna w czarnym, unoszącym się na wodzie płaszczu. Zatrzymał się, gdy wody sięgały mu do brzucha, i ruszył ku nim z wielką prędkością, jakby niosła go potężna fala. Wyszedł na brzeg jeziora i podszedł do nich. Miał włosy czarne jak noc, skórę poznaczoną szarymi plamkami i ciemnymi żyłami, a jego płaszcz wił się niczym żywa istota. Corban dobrze go pamiętał i miał nadzieję, że nie popełnia błędu.

Viathun zatrzymał się kilka kroków przed nim. Spojrzał najpierw na Calidusa, a potem na Corbana.

– Witaj znów – rzekł. – Co za niespodzianka.

– Tak, dla mnie również – odparł Corban. – I liczę na to, że tym razem nasze spotkanie okaże się bardziej korzystne dla nas obu.

– Cóż, ostatnim razem Ben-Elim zrobili we mnie sporo dziur, a więc istnieje na to spora szansa.

– O ile dobrze pamiętam, próbowałeś pożreć mi duszę – rzekł Corban.

– Każdy z nas ma swoje preferencje. – Viathun wzruszył ramionami.

– A przegryzłbyś coś teraz? – spytał Corban.

Calidus zaskamlał i próbował się odczołgać, ale młodzieniec mocno trzymał jego skrzydło.

– I to jeszcze jak! – Viathun uśmiechnął się, odsłaniając końce ostrych zębów.

– A więc proszę bardzo. – Corban pchnął Calidusa przed siebie. – Choć nie wiem, jak coś takiego może smakować.

– Och, zdziwiłbyś się! – odparł Viathun.

Calidus próbował rzucić się do ucieczki, ale był słaby i powolny, a z płaszcza Viathuna wysunęły się niezwykle szybkie macki, które ciasno oplotły kostki, nadgarstki i szyję Kadoshim.

– Czego chcesz w zamian? – spytał Viathun.

– Wrócić do domu – odparł młodzieniec. – Chcę wrócić do mego ciała w świecie materialnym.

– To drobiazg – odparł przybysz z jeziora. – Nie sądzę, by był to dla ciebie korzystny układ.

– No to uznajmy, że jesteś moim dłużnikiem.

Viathun uśmiechnął się, a jego usta nagle wydały się zbyt wielkie jak na jego twarz. Błysnęły długie, ostre kły.

– Umowa stoi – rzekł.

– Dajże spokój, przecież możesz to przerwać! – błagał Calidus. – Proszę, ja mogę ci pomóc! Razem możemy dokonać wielkich rzeczy! Corban, proszę!

Ostatnie słowa wywrzeszczał, ciągnięty przez macki Viathuna w stronę brzegu.

– Oto sprawiedliwość – rzekł doń Corban z twarzą zimną jak kamień, po czym odwrócił się i ruszył z powrotem.

– Jesteś żalostną kreaturą, a nie człowiekiem! Tutaj wojny nie wygrałeś i nigdy jej nie wygrasz! – parsknął za nim Calidus. – Twoja matka wrzeszczała, gdy ją zabijałem! Pamiętasz krew na jej ustach?

– Pamiętam – szepnął Corban, nie przestając iść przed siebie.

Słyszał ciche słowa Viathuna, wciągającego Calidusa w toń jeziora, a w odpowiedzi przybierające na sile wrzaski demona, do których dołączył plusk wody. Po chwili krzyki demona zaczęły się rozmywać wraz z całym Zaświatem.

* * *

Corban, drżąc na całym ciele, nabrał tchu, jakby właśnie wynurzył się po długim nurkowaniu. Z każdym kolejnym oddechem jego tors oraz brzuch ponad biodrem eksplodował nową porcją bólu. Wokół niego stali ludzie.

Zostałem dźgnięty w brzuch, przypomniał sobie.

Wyczuł jakiś ciężar na piersi. Oddychał szybko, łapczywie, jak po długim biegu, a wtedy ów ciężar zaczął się przemieszczać. Nad

twarzą zatrzepotały mu skrzydła i rozległo się radosne krakanie Crafa. Szorstki język polizał go po uchu i policzku i ujrzał Burzę, która sapnęła z uciechą, odskoczyła i zakreśliła się wokół własnej osi, roztrzaskując ludzi, po czym znów przypadła do młodego wojownika, by polizać go po twarzy.

Corban spróbował usiąść. Pierwsza twarz, którą ujrzał, należała do Coralen, która obdarzyła go uśmiechem tak pięknym, iż serce mu stopniało i zamieniło się w mgłę. Na jej policzkach lśniły łzy.

– Ty płaczesz – szepnął ochryple.

– Cóż, a ty nie żyjesz – odpowiedziała i zaczęła go całować.

Dookoła rozległy się głosy, pojawiły się jakieś twarze, układające się w krąg wokół niego. Ujrzał Balura Jednookiego, Edanę i jakiegoś Ben-Elim z białymi, złożonymi skrzydłami. Próbował się poruszyć, ale i tym razem powstrzymał go ból. Czuł ciężar na sobie, w tym wokół rany. Pamiętał, że to właśnie tam Calidus wbił mu miecz, co nie mogło oznaczać niczego dobrego. Z zaskoczeniem przekonał się, że miecz nadal tam tkwi. Z jego brzucha dumnie sterczała część klingi oraz rękojeść. Obok klęczała Cywen z policzkami umazanymi krwią i łzami. Rozcinała ubranie wokół jego ran i zerknęła na niego z radością i niedowierzaniem. Wyciągnęła rękę i pogładziła go po policzku.

– Cieszę się, że wróciłeś – powiedziała. – Nie sądzę, bym dała sobie radę bez ciebie.

Corban nakrył jej dłoń własną i uśmiechnął się słabo, a potem próbował dosięgnąć rękojeści miecza Calidusa i wyciągnąć go. Nie chciał patrzeć na to, jak sterczy z jego ciała.

– Nie – zatrzymała go Cywen. – Poczekaj, aż zaniesiemy cię do szpitala. Jeśli wyciągniemy go teraz, stracisz za dużo krwi.

Naraz rozległo się czyjeś westchnienie i obok niego uklęknął Farrell. Część jego twarzy pokryta była krwią. Nie mógł przestać szlochać i wyrzucał z siebie potok słów, których Corban nie mógł pojąć. Za nim stał Dath, wsparty na ramieniu Kulli, który uśmiechał się szeroko, choć po jego policzkach ciekły łzy.

– Wiedziałem, że nas nie porzucisz – oznajmił.

A wtedy Corban przypomniał sobie wszystko.

– Co z Garem? – wyrzęził.

– Jest tu – powiedziała Coralen, a Corban uświadomił sobie, skąd się bierze ciężar na jego ciele.

Gar leżał tuż przy nim i opierał na nim głowę. Był śmiertelnie blady i spoglądał na niego ciemnymi oczami. Przez moment Corban myślał, że jego nauczyciel nie żyje, ale dostrzegł ledwie dostrzegalny ruch klatki piersiowej, towarzyszący oddychaniu. Potem jego przyjaciel zamrugął.

– Czekałem... na ciebie – wyszeptał.

Corban chciał ruszyć dłonią, ale uświadomił sobie, że Gar już ją trzyma. Ścisnął mocno palce przyjaciela.

– Widziałem – mówił Gar – jak dałeś się zranić, by samemu móc uderzyć.

Uśmiechał się, ba, zaśmiał się nawet, choć zakończył to mokry kaszel, po którym na jego ustach pojawiła się krew.

– Miałem dobrego nauczyciela. – Corban również się uśmiechnął.

– Muszę ci coś powiedzieć – wyszeptał Gar.

Corban poczuł, jak robi mu się zimno ze strachu.

– Poczekaj z tym, aż obaj dojdziemy do siebie – wyrzęził.

Gar spoglądał mu w oczy.

– Kocham cię, Ban – szeptał cicho, ledwie słyszalnie, ale dłoń Corbana ścisnął z wielką siłą. – Jesteś dla mnie synem, którego nigdy nie miałem, ale żaden syn nie przysporzyłby mi więcej powodów do dumy.

Oczy Corbana wypełniły się łzami.

– Ja też cię kocham, Gar. Jak ojca, brata, najlepszego przyjaciela – odparł cicho.

Jego uścisk przybrał na sile, a potem osłabł.

– Nie odchodź, Gar – wyszeptał Corban, choć ledwie widział twarz przyjaciela przez łzy. – Proszę, Gar, zostań.

Lecz Gar już go nie usłyszał.

Rozdział sto dwudziesty piąty

VERADIS

Veradis stał na równinie przed murami Drassil i spoglądał na dwa kurhany, ułożone obok siebie. Wokół było takich mnóstwo.

Od bitwy o Drassil upłynęły trzy dni.

To było największe starcie naszych czasów i mam nadzieję, że również koniec wojny, myślał.

W jednym z kurhanów pochowano Nathaira, a w drugim Krelisa.

Gdy dotarły doń wieści o śmierci brata, Veradis padł na kolana i zapłakał. Krelis zawsze wydawał mu się najbardziej niezniszczalnym człowiekiem na świecie. Zawsze sądził, że nie imają się go zwykłe ludzkie ograniczenia. Był wszak urodzonym przywódcą, który prowadził ludzi z szerokim uśmiechem, nieodmiennie kierując się zdrowym rozsądkiem, poczuciem sprawiedliwości i zwykłą ludzką przyzwoitością.

A teraz go zabrakło.

– Świat będzie pustym miejscem bez ciebie, bracie – szepnął Veradis, a po jego policzku spłynęła łza.

Zdjął ją palcem i umieścił na zimnym kamieniu kurhanu Krelisa. Następnie odwrócił się ku drugiemu stosowi głazów.

Nathair.

Stał przez moment i myślał o nim. Wspominał ich pierwsze spotkanie, kiedy to przesłuchiwali jeńca Vin Thalun w lochach Jerolin.

Już wtedy byliśmy manipulowani przez Calidusa, pomyślał.

Wyciągnął krótki miecz i musnął palcem wytartą, przesiąkniętą potem skórę rękojeści. Natrafił na znajome, gładkie zgrubienie wprawione w głowicę.

Kieł draiga.

Nathair rozdał je wszystkim, którzy stali w murze tarcz podczas bitwy z olbrzymami na draigach lub wyjechali wraz z nim w pole.

Nazwał nas wówczas Kłami Draiga, a my byliśmy dumni z tego miana, pomyślał Veradis. Tak dawno temu to było.

Nad jego głową przemknął bezszelestnie wielki, skrzydlaty cień Ben-Elim.

Świat jest teraz innym miejscem, dodał w myślach.

Spojrzał na swój krótki miecz, który służył mu w tylu bitwach i którym zakończył tyle istnień. Padali od niego ludzie, padały olbrzymy. Padali królowie. Padł Nathair.

Wspomnienie chwili, gdy wbijał ostrze w brzuch Nathaira, wciąż go prześladowało. Wiedział, że nigdy nie zapomni niedowierzania, z jakim król spojrzał mu w oczy.

Przecież pchnął Alcyona, pomyślał Veradis.

Jego reakcja była odruchowa. Nie zastanawiał się nad tym, co należy robić.

Skrzywił się i westchnął, a potem wzniósł miecz i wbił go w kamień przed kopcem Nathaira. Włożył w to tyle siły, że rany na jego piersi zapulsowały bólem, a szwy się napięły. Wypuścił drgający lekko miecz, odwrócił się i odszedł. Tuzin przybocznych w czerni i srebrze ruszył za nim.

Ogarnęła go melancholia. Już dawno przyzwyczał się do huśtawki nastrojów po bitwie – po fali euforii nadchodziła ponura rozpacz – ale nigdy dotąd nie czuł się tak jak teraz. Być może dlatego, że w jego życiu pojawiła się pustka. Wcześniej zawsze po wykonaniu jednego zadania natychmiast brał się za kolejne. Zawsze przecież gdzieś czekała kolejna potyczka czy bitwa, ale teraz wojna wreszcie dobiegła końca. Nie było już bitew.

Bo wygraliśmy, pomyślał. Ale mimo to czuję się przygnębiony. Bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. I co ja teraz pocznę? Muszę porozmawiać z Albenem.

Zawrócili do Drassil, mijając wielki stos pogrzebowy, na którym dopalały się ciała Kadoshim. Z demonów została jedynie cuchnąca sterta popiołu i spalonych kości, a ku niebu wznosił się rwany wiatrami słup dymu. Dalej zalegał trup draiga Nathaira, ogryzany do czysta przez stado kruków, a za nim, jak okiem sięgnąć, wznosiły się kurhany i kopce. W porównaniu do bitwy, która szalała tu trzy dni temu, pobojowisko wydawało się bardzo nieruchome i ciche.

Nieliczni ludzie – mężczyźni, kobiety i dzieci – chodzili po polu bitewnym, stawali przed kurhanami, jak on to właśnie uczynił, i zostawiali bukiety kwiatów, oplakując śmierć poległych bliskich. Przed jednym z nich zatrzymał się Alben. Veradis w pierwszej chwili chciał do niego podejść, ale wtedy uświadomił sobie, przed czym grobem stanął zbrojmistrz.

Maquina i Fidele.

Alben dołączył do nich już po zakończeniu bitwy. Przybył na łodzi, przywożąc ciało Fidele zawinięte w płótno. Później Veradis usłyszał historię o śmierci Maquina, który zabił draiga, by ocalić życie młodego króla Isiltiru. Kolejny przyjaciel, którego śmierć przyprawiła jego serce o ból.

Alben stał z pochyloną głową, pogrążony w myślach. Veradis uznał, że lepiej mu nie przeszkadzać.

Tym bardziej że jest ktoś inny, kogo muszę ujrzeć, pomyślał.

Przeszedł przez bramy Drassil i wnet zagłębił się w osobliwy tłum, wypełniający szerokie ulice miasta. Uśmiechnął się, widząc wokół siebie tak wielką różnorodność. Mijały go olbrzymy. Jehar. Ludzie z Ardanu i Domhainu, przybysze z Isiltiru, Helvethu i Carnutanu, a nawet tenebralscy orli strażnicy. Wszędzie widział też Ben-Elim, którzy patrolowali niebo i rzucali cienie na przechodniów lub chodzili po ulicach ze złożonymi skrzydłami.

Długo będę się do tego przyzwyczajał, pomyślał.

Następnego dnia po bitwie zebrano wszystkich jeńców – tych, którzy byli w stanie stać i mówić – i postawiono ich przed obliczami przywódców owego dziwnego sojuszu. W jego skład wszedł również przedstawiciel Ben-Elim.

Jeńcom zwrócono wolność i przedstawiono wybór. Mogli wrócić do swych domów i rodzin, ale mogli też zostać i dalej służyć. Zdecydowana większość była wojownikami, którzy wypełniali rozkazy swoich panów i przez to zostali wciągnięci w wojnę, której nie pojmowali. Niektórzy skorzystali z możliwości i następnego dnia wyruszyli traktami zbudowanymi przez Jaela i Lothara ku ojczyznom i Veradis dobrze to rozumiał. Większość jednak zdecydowała, że zostaje i powróciła do służby w hufcach swoich królestw. Z tego właśnie powodu gwardia honorowa Veradisa składała się zarówno z orlej straży, jak i ludzi z Ripy. Dołączył do nich nawet Caesus z ręką na temblaku.

Wyboru nie zaoferowano jedynie Vin Thalun, których spętano i stłoczono w lochach. Byli wszak urodzonymi rozbójnikami i dopuścili się stanowczo zbyt wielu zbrodni, by mogli sobie zasłużyć na prawo odejścia. Mieli zostać odprowadzeni pod strażą do Tenebralu, wsadzeni na okręty i wygnani z powrotem na Trzy Wyspy z zakazem powrotu na Ziemię Wygnane.

Veradis widział już budynek, do którego zmierzał, ten sam, przed którym owej ciemnej nocy Vin Thalun postanowili spalić wiedznię. Teraz miejsce prezentowało się inaczej – na dziedzińcu roiło się od tłumów, olbrzymy śmiały się z ludźmi, a drzwi stały szeroko otwarte. Na skraju ogrodu zielnego leżał wielki ogar. Jakieś wilkunie szczenię szarpało go za uszy, a inne szczeniaki leniły się w pobliżu bądź dokazywały w zimowym słońcu. W samym szpitalu zaś trwała gorączkowa praca – na dziesiątkach łóżek zalegali pacjenci, zarówno ludzie, jak i olbrzymy, z najróżniejszymi obrażeniami: od amputowanych kończyn po szwy i wysoką temperaturę. Byli wśród nich też tacy, którym pomoc już się nie dało. Ci czekali na nadejście śmierci wśród bliskich, którzy trzymali ich za ręce, delikatnie nawilżali im czoła, podawali wywar z maku i szeptali dobre słowa.

Niewielką część szpitala oddano na użytek jednego tylko pacjenta, którego otaczała grupa ludzi oraz, co ciekawe, zwierząt. U stóp łóżka leżała Burza, na słupku siedział Craf, a dookoła posłania Veradis ujrzał Coralen, Farrella, Datha, Kullę, Akara, Balura Jednookiego, Varana władcę Jotun, a nawet Haelana, młodego króla Isiltiru.

Odważny z niego chłopak, pomyślał. Może odrobinę lekkomyślny, bo kto widział, by wywabiać draigi z nory, ale liczy się to, że jego plan zadziałał. Gdyby te potwory nie stratowały odwodów orlej straży, bitwa mogłaby się skończyć zupełnie inaczej. Z takim królem Isiltir będzie w dobrych rękach. Może jest nieco za młody, by objąć tron, ale z Tahirem u boku da sobie radę.

Cywen oczywiście również tam była, nachylona nad bratem.

Jeśli choć połowa tego, co Veradis usłyszał, była prawdą, Corban odniósł poważną ranę, ale wyglądało na to, że dochodzi do siebie. Siedział na łóżku i uśmiechał się, a Veradis, patrząc na gromadę wokół niego, uświadomił sobie prosty fakt.

Oto różnica między Jasną Gwiazdą i Czarnym Słońcem. Kto stoi przy kurhanie Nathaira i opłakuje jego śmierć? Tymczasem Corbana otacza tłum, i to nie tych, którzy mu służą i się go boją, ale tych, którzy go kochają. Nawet wyliniały, stary kruk znalazł się w ich gronie. Oto opowieść znacznie sensowniejsza i jaśniejsza od proroctwa, napisanego na starym pergaminie. Cieszę się, że go poznałem i że poznałem prawdę, zanim zrobiło się za późno.

Stał i przyglądał się Corbanowi i jego towarzyszom, a wtedy Cywen odwróciła się od łóżka i spojrzała na niego. Miała na twarzy czerwone ślady, które jednak wcale nie odejmowały jej urody. Stała przez moment i odwzajemniała jego spojrzenie, a Veradis poczuł w sobie jakąś przemianę, zupełnie jakby coś zatrzepotało mu w brzuchu. Uczucie to przypominało nieco lęk, ale było o wiele przyjemniejsze.

Nagle Cywen podniosła się i zaczęła odganiać gości od łóżka Corbana, na co Veradis odwrócił spojrzenie, czując, jak oblewa go gorący rumieniec.

Ruszył przez szpital, aż odnalazł tego, kogo szukał. Alcyon spoczywał na ogromnym łóżku. Wyglądał zaskakująco dobrze, zważywszy na to, że zaledwie trzy dni temu został dźgnięty przez Nathaira. Uśmiechnął się do Veradisa i usiadł, wskazując mu puste krzesło.

– Gdzie Raina i Tain? – spytał Veradis.

– Szukają dla mnie czegoś do jedzenia – odparł Alcyon. – Nie masz pojęcia, jaki mam apetyt.

– Cieszę się, że wyglądasz tak dobrze. Twój wielki apetyt również sprawia mi przyjemność – stwierdził Veradis.

– Cóż, za to chyba należałoby podziękować Ben-Elim – uznał Alcyon. – Okazało się, że leczenie ran wychodzi im równie dobrze jak zabijanie czy knucie intryg. Dwa dni temu Corban był na skraju śmierci, a dziś siedzi i się śmieje.

– Jak i ty – rzekł Veradis.

– Czuję się równie silny jak draig. I mogę zjeść tyle samo co każdy z nich. – Alcyon uśmiechnął się szeroko.

– Przeszedłeś wielką przemianę – zauważył Veradis, przypominając sobie ponurego, milczącego przybocznego, który ongiś nie odstępował boku Calidusa.

– Cóż, bo życie stało się inne, lepsze, człowieczku. Wiele się wydarzyło, choć przeżyliśmy również niejedną tragedię. Przykro mi z powodu śmierci twego brata. Naprawdę go lubiłem.

Veradis burknął pod nosem. Wolał nic nie mówić, by głos nie zdradził wciąż świeżej rozpaczki.

Alcyon nie spuszczał z niego oczu. Jego twarz jeszcze bardziej spoważniała.

– On cię do tego zmusił – dodał. – Nie miałeś wyboru.

Veradis spojrzał na bliznę na swej dłoni. Na ręce, którymi odebrał życie swemu królowi, a do ucha zaczęła szeptać mu wina.

– Zawsze istnieje jakiś wybór – powiedział cicho. Nie tak dawno zwrócił się do Nathaira tymi samymi słowami.

– Tak. Mogłeś pozwolić na to, by Nathair mnie zabił. – Alcyon wzruszył ramionami. – Cieszę się, że podjąłeś inną decyzję, choć w ten sposób po raz drugi staję się twoim dłużnikiem.

Veradis parsknął śmiechem.

– Wiem, że masz rację, ale czasami...

– Daj temu spokój – rzekł Alcyon. – Nathair był twoim przekleństwem, a teraz się od niego uwolniłeś.

– Doprawdy? – zapytał Veradis. – Nadal widzę to wszystko we śnie. Widzę, jak przebijam go mieczem, widzę to jego spojrzenie...

– Cierpliwości, Czyste Serce – rzekł Alcyon. – Czas leczy wszystkie rany.

– Czemu mnie tak nazwałeś? – spytał Veradis.

– Bo tym właśnie jesteś.

– Nie dochowałem wierności Nathairowi – szepnął Veradis. – Porzuciłem go. Zostawiłem go z Calidusem. A teraz nie żyje.

– Twe serce jest czyste, jest wierne, Veradisie. Dochowałeś wierności sobie samemu. Nathair był owładnięty manią wielkości, pożądał władzy oraz chwały. Chciał cię wciągnąć na tę ścieżkę, mroczną i ponurą, ale nie pozwoliłeś mu na to. Nie podążyłeś za nim. Coś takiego wymaga wielkiej siły, zarówno tu – postukał młodzieńca palcem w głowę – jak i tu – dotknął jego serca. Nie silił się bynajmniej na delikatność.

Veradis odkrył, że słuchanie tego przychodzi mu z trudem, bo nie miał aż tak dobrego zdania na własny temat, ale gdy spojrział na Alcyona, ujrzał w jego oczach autentyczną troskę.

– Dziękuję ci – rzekł.

– Za co? – Alcyon zmarszczył brwi.

– Za to, że okazałeś się przyjacielem. Nauczyłem się przez ostatnie lata, że trudno o kogoś z prawdziwie szczerym sercem, a twą przyjaźń bardzo sobie cenię.

– Miło mi to słyszeć, Veradisie. Twa przyjaźń również dla mnie jest bardzo ważna – rzekł z powagą Alcyon. – Będzie nas łączyć po kres życia. Jestem tego pewien.

Veradis znów ujrzał uśmiech na twarzy olbrzymia, do czego wreszcie zaczął się przyzwyczajać.

– Ale ciebie trapi coś jeszcze – powiedział Alcyon.

W pierwszej chwili Veradis chciał zaprzeczyć i zbyć słowa przyjaciela wzruszeniem ramion, ale przecież mieli za sobą tyle wspólnych przeżyć, że nie mógł go okłamać.

– Tak – burknął. – Czuję się zagubiony, Alcyonie. Bitwa dobiegła końca. Ba, wojna dobiegła końca i nie mam pojęcia, co ze sobą począć.

Urwał na chwilę, bojąc się, że emocje zawładną nim na dobre.

– Wiele straciłeś, mój przyjacielu. Straciłeś rodzinę, swego króla, przyjaciół. Przeszłość lada moment cię przytłoczy, pamiętaj jednak, że życie toczy się dalej. – Alcyon wzruszył ramionami. – I nadal pozostaje wiele do zrobienia. Trzeba odbudować nasz świat z gruzów oraz dołożyć wszelkich starań, by przyszłość stała się lepsza od przeszłości.

– Tak. – Veradis uśmiechnął się krzywo. – Ja chyba jestem po prostu zmęczony.

– Spróbuj więc pokonać biegiem całą drogę do Arcony i wróć, wiosłując – burknął Alcyon. – Wtedy pozwolę ci podjąć temat zmęczenia w rozmowie ze mną.

Veradis wybuchnął śmiechem. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz śmiał się tak szczerze.

– Słyszałem też plotki na twój temat. – Alcyon zniżył głos do szeptu. – Ponoć masz zostać królem Tenebralu.

– Co? – parsknął Veradis. – Kto rozpowiada takie brednie?

– Alben. – Alcyon znów wzruszył ramionami. – A pomysł wcale nie jest taki zły. Moim zdaniem byłby z ciebie świetny król, o ile oczywiście tego chcesz. Zawsze istnieje jakiś wybór.

Veradis spojrział na Alcyona i pokręcił głową, gdy ten parsknął śmiechem.

Rozdział sto dwudziesty szósty

CAMLIN

Camlin zadrżał i naciągnął szczelniej płaszcz. Szedł ulicami Drassil, a Meg dreptała u jego boku, nadal mając na głowie nazbyt wielki hełm. Do pasa przytroczyła sobie pokaźny sztylet, który przy jej drobnej posturze wyglądał na prawdziwy miecz.

– Chyba już go nie potrzebujesz, co? – Camlin wskazał broń ruchem głowy.

– Pewnie, że potrzebuję – oznajmiła Meg. – Kulla mówi, że w okolicy nadal włóczą się Kadoshim. Łuk czy proca mogą nie wystarczyć!

– Kulla twierdzi, że większość ludzi prędzej czy później musi chwycić za miecz, choć raz w swym życiu. I tylko ci, którzy to potrafią, mogą później przekazywać tę wiedzę innym.

Kulla to, Kulla tamto, pomyślał Camlin. Ech, szczerze powiedziawszy, dziewczyna pewnie ma rację, ale Meg ma dopiero dziewięć lat!

Trzymał rękę opartą na wysokości talii, a na jego ramieniu zasiadał spory, czarny kruk, który wtulał się w futro płaszcza.

– Craf zziębnięty – mruczał raz za razem.

Camlin otoczył płaszczem gojące się skrzydło ptaka.

Co ja właściwie robię?, zastanowił się.

– Jak ja się dałem w to wkręcić? – burknął do siebie. – Biorę gadającego ptaka na spacer!

– Camlin miły! – zakrakał Craf.

Tropiciel pokręcił głową.

Głupiec ze mnie. Od dwóch dni niańczę kruka. Gdyby chłopaki z Ciemnego Boru ujrzeli mnie teraz...

Nagle uświadomił sobie, że głaszcze Crafa po głowie.

– Myślałam sobie ostatnio... – zaczęła Meg, gdy wkroczyli na dziedziniec z ogromnym, chylącym się ku upadkowi dębem. Korzenie drzewa wyrwały się spomiędzy kamiennych płyt i kołysały się w powietrzu, trącane zimnym wiatrem.

– Aha! – mruknął Camlin. – Od razu mi się wydawało, że czuję smród. Jakby się coś paliło!

Meg kopnęła go w łydkę z radosną miną.

– Siadajmy! – powiedziała.

Podeszli do przechylonego drzewa. Camlin nadal widział ślady po wielkiej wyrwie – Balur z kilkoma olbrzymami wypełnił ją ziemią i kamieniami, ale tropiciel nadal nie czuł się przy niej pewnie.

To tędy Haelan wpuścił draigi do Drassil, pomyślał. Tutaj też wlażyły te dwa, którym udało się odzyskać jajo.

Przysiedli na korzeniach. Meg machała w powietrzu nogami.

– Kiedy ruszamy do domu? – spytała.

– Dobre pytanie. Czekam na dyspozycje Edany. To dobra, stanowcza królowa i ma tu jeszcze sporo pracy do wykonania, nim odjedziemy.

– Jakiej pracy? Nie rozumiem! Myślałam, że wygraliśmy i będziemy mogli po prostu wrócić do domu, ale upłynęło już prawie dziesięć dni! Na co ona jeszcze czeka?

– Musi się upewnić, by cała ta walka i wszystkie ofiary nie poszły na marne. Robi co może, by zapewnić nam pokój na jak najdłużej.

Zamyślona Meg pokiwała głową.

– Tak właśnie sądziłam – powiedziała w końcu.

I znów zamilkła. Camlin przyglądał się krukowi, który ostrzył sobie pazurki o korę i układał dziobem pióra na karku. Jedno ze skrzydeł nadal miał w łupkach.

Biedaczysko, pomyślał. Na domiar wszystkiego nadal nie podniósł się po śmierci Briny.

Wtem zauważył robaka, który wił się w ziemi. Wyciągnął go i rzucił krukowi, który złapał go w locie i przełknął.

– Dzięki – wymamrotał.

– A co zrobimy, gdy wrócimy do domu? – podjęła Meg.

Camlin potarł podbródek. Sam się nad tym zastanawiał od pewnego czasu, ale musiał przyznać, że nie miał pojęcia.

Nie wiem, do czego może się teraz przydać taki stary banita jak ja, pomyślał.

Spojrzał na Meg i zobaczył, że lekko zmarszczyła brwi.

– Będzie, co ma być, ale przyszło mi do głowy, że przydałby mi się uczeń. Ktoś, kto umie tropić, strzelać z łuku, machać włócznią, mieczem...

Na ustach Meg pojawił się łobuzerski uśmiech.

– Zastanawiam się, czy by nie rozpuścić wieści o tym, że kogoś szukam. Może ktoś się odważy... Au! – zawołał, gdy Meg znów kopnęła go w łydkę, choć tym razem z większym przekonaniem.

– Czyli chciałybyś tę robotę? – spytał, śmiejąc się i pocierając nogę.

– Tak – odparła dziewczynka. – Myślę, że się będę nadawać. Zresztą to jedyna praca, do której się nadaję.

– Dobra. Możesz zostać na próbę.

Meg zrobiła minę i wywalila język.

Naraz rozległy się kroki i Camlin uniósł głowę. Szła ku niemu Edana w szarym płaszczu obszytym gronostajem. Nadal nosiła kolczugę, lecz ta została już oczyszczona, naprawiona i wypolerowana. Migotała z każdym jej krokiem. Królowej towarzyszyli Brogan Bezkarki oraz Vonn, blady, milczący i wymizerowany.

To przez ból, pomyślał Camlin. Przecież stracił dłoń.

Nadgarstek młodego wojownika obwiązany był bandażami. Camlin wiedział, że jego dłoń została ranna podczas walki – stracił kilka palców, a jego kości zostały potrzaskane. Cywen oraz inni uzdrowiciele próbowali ją ocalić, ale w ranę wdała się gangrena i jedynym sposobem na ocalenie ręki, a być może i życia, okazała się amputacja.

– O, tu jesteś – odezwała się Edana. – Wszędzie cię szukam.

Serce Camlina przeszył żal, równie bolesny jak rana od noża. Nadal nie mógł się przyzwyczaić do tego, że Edanie nie towarzyszył

już Halion, jej pierwszy miecz i najwierniejszy strażnik.

I pewnie nigdy już się nie przyzwyczaję, uświadomił sobie.

Przeżył natomiast Conall. Rana zadana przez Rafe'a nie zabiła go, a poświęcenie Haliona pozwoliło mu przeżyć. Większość czasu od zakończenia bitwy przeleżał w szpitalu, ale poprzedniego dnia zdołał się już zwlec z łóżka. Camlin widział go tylko przez chwilę, ale zdążył zauważyć, że Conall nie był już tym samym człowiekiem. Wydawał się całkiem załamany.

Podniósł się i uklonił przed Edaną. Nie był to perfekcyjny ukłon, ale jak na banitę z Ciemnego Boru wypadło nie najgorzej.

– Mam dwie sprawy – rzekła Edana. – Po pierwsze, Crafa, Cywen mówi, że chce cię widzieć w szpitalu. Z tego, co wiem, od dwóch dni usiłuje ci przekazać, że twoje skrzydło właściwie się zagoiło i powinieneś już móc latać. Musi zdjąć twoje łupki.

– Co takiego? – wypalił Camlin.

Poczucie winy u Crafa było tak wyraźne, jak to tylko możliwe u ptaka.

– To ja cię dźwigam od dwóch dni, podczas gdy możesz już latać? – spytał Camlin.

Craf odwrócił łebek w innym kierunku, jakby słyszał tam coś o wiele ciekawszego.

– Dlaczego? – spytał surowo Camlin. – Czemu mi to robisz?

– Bo potem będę tylko słyszał: „Craf, leć tu”, „Craf, leć tam”, i tak dalej. Craf zmęczony.

Sprytniejszy jesteś od łasicy, pomyślał Camlin i pokręcił głową.

– Przepraszam – burknął Craf, choć wcale nie wyglądał na takiego, któremu byłoby przykro.

Camlin uniósł głowę i ujrzał, że wszyscy się śmieją, nawet Vonn.

– Jeśli ktokolwiek z was opowie komuś o tym... – zaczął, ale wywołał tylko jeszcze więcej śmiechu. Do ogólnej wesołości dołączył chrapliwy rechot Crafa.

Nigdy tego nie zapomną, pomyślał Camlin.

– Mówiłaś o jakichś dwóch sprawach, moja pani? – Zwrócił się do Edany, chcąc zmienić temat.

– Tak, o mały włos bym zapomniała. Chodź ze mną. Mamy ważną naradę, a ja jestem niemalże spóźniona.

– I chcesz, bym udał się tam z tobą?

– Tak, oczywiście. Przecież królowa powinna zawsze zasiadać do rozmów ze swym doradcą.

– Doradcą? Ja miałbym być doradcą? Jesteś pewna, że Craf nie nadaje się lepiej do tej roli?

– Warto by się zastanowić – odezwali się jednocześnie Vonn i Brogan, co wywołało kolejną salwę śmiechu.

– Craf jest zawsze mile widziany, ale odpowiedź na twoje pytanie brzmi: tak. Będę bardzo zadowolona, jeśli obejmiesz rolę mego doradcy, choć jesteś dla mnie kimś o wiele ważniejszym.

Camlin zrobił minę, na co Edana zareagowała wybuchem śmiechu. Tym razem tropiciel nie był jednak zażenowany, a naprawdę zaskoczony.

Doradca królowej. To ci dopiero, pomyślał.

– Cóż, nie wiem, co mam o tym sądzić, moja pani.

Edana zmarszczyła lekko brwi, a potem wbiła w niego ostrzejsze spojrzenie.

– Nie zamierzasz chyba mnie opuścić, Camlinie?

Tropiciel otworzył usta, by odpowiedzieć, ale nie miał pewności, co mógłby rzec.

– Myślał, że już go nie potrzebujesz, pani – wtrąciła Meg, a Camlin spojrzał na nią z przyganą. – Nie sądził, by tacy jak on mogli się jeszcze do czegoś przydać.

Mała zdrajczynie, pomyślał.

– Camlinie, czyś ty rozum postradał? – sapnęła Edana. – Nigdy nie przestaniesz mi być potrzebny! Nie jesteś przecież tylko doskonałym łucznikiem. Prowadziłeś mnie przez obce krainy, przez lasy i góry, wzgórza i doliny, a uratowałeś mi życie więcej razy, niż mogę zliczyć.

– Tak, ale nie jesteś już wygnaną królową i nie sądzę, by kiedyś jeszcze do tego doszło.

– Cóż, miejmy nadzieję, że nie, ale któż może wiedzieć, co kryje przyszłość. Poza tym, ja po prostu zawsze chcę cię mieć przy sobie

albo przynajmniej na tyle blisko, by móc cię zawołać. Tacy jak ty nie rodzą się często. Jesteś prawdziwym klejnotem.

Uśmiechnęła się i dodała:

– Który wypadaloby odrobinę wypolerować, ale to wszystko. Przede wszystkim jednak jesteś moim przyjacielem, człowiekiem, któremu ufam, a tacy są na wagę złota.

Jeszcze nigdy w życiu czegoś takiego nie usłyszałem, pomyślał Camlin. Jak mawiają, czasami potrzeba kogoś innego, by wydobył z człowieka to, co w nim najlepsze.

– Czy dołączysz więc do mnie w wielkiej sali na naradzie z Ben-Elim, olbrzymami, królami, królowymi i wielkimi panami, podczas której będziemy radzić o przyszłości Ziem Wygnanych?

– Tak – odparł Camlin z szerokim uśmiechem. – Z ochotą, moja pani.

Rozdział sto dwudziesty siódmy

CORBAN

Corban stał przed kurhanem, jednym z wielu na rozległej równinie. Był samotny, nawet Burza trzymała się na dystans. Pilnowała go z oddali, skądś wiedząc, że to, co robi jej pan, wymaga samotności. Chmury sunęły nisko i padał z nich drobny deszcz. Wiatr targał za jego okrycie z niedźwiedziej skóry. Miał na sobie kolczugę, naprawioną już po uszkodzeniach zadanych przez miecz Calidusa, na szyi nosił torkwes z łbem wilkuna, a na ramieniu bransoletę. Coralen zaplotła jego warkocz wojownika grubo, na modłę olbrzymów.

– Brakuje mi cię, Gar – mówił do kurhanu. – Tak bardzo. Nie ma dnia, bym cię nie ujrzał kątem oka, przez króciutką chwilę, jak wzywasz mnie na taniec miecza, jak mnie uczysz, jak mnie strzeżesz. Tak jak czyniłeś to przez całe życie. Całe moje życie. I słyszę twój głos, szept w moim uchu. Słyszę ostatnie słowa, które mi powiedziałeś. Nadal czuję uścisk twojej dłoni.

Nie powstrzymywał już łez, które spływały strumieniami po jego twarzy.

– Zasłużę sobie na twą ofiarę, najlepszy przyjacielu na świecie. Przysięgam. Będę na nią pracował każdego dnia. I nigdy cię nie zapomnę. Pozostawię po sobie dziedzictwo, z którego ty i Brina bylibyście dumni. Będę przekazywał twą sztukę władania bronią i jej uzdrowicielskie umiejętności. Będę uczył tego, czego dowiedziałem się od was o miłości, przyjaźni, odwadze i wierności. Dary, które mi przekazaliście, nigdy nie zostaną zapomniane.

Wyjął z kieszeni niewielkie zawiniątko i rozłożył je. Uniósł fioletowy kwiatek do ust, ucałował go i ułożył na kurhanie Gara.

Rozejrzał się powoli po ogromnym poboju. Przed jego oczami przepływały twarze. Halion, Krelis, Wulf, Javed, Maquin i tak wielu innych...

– Nikt z was nie zostanie zapomniany. Wasza odwaga, wasza ofiara na zawsze pozostaną w moim sercu.

I odszedł ku Drassil, a wiatr szarpał i targał jego płaszczem. Burza dreptała tuż przy nim.

Za bramami trwała gorączkowa krzątanina. Siodłano konie, ładowano wozy i zaprzęgano do nich woły. Cywen siedziała na koniu na czele karawany i nie spuszczała oka z wozu, na którym znajdowała się kolekcja jej ziół, Coralen sprawdzała uprzęż, a Dath i Kulla już wskoczyli w siodła. Farrell trzymał wodze własnego konia oraz Tarczy, skądś dobiegał stukot kopyt kolejnych jeźdźców. Od strony zagród brukowanymi ulicami nadjeżdżali Jehar, Uwolnieni oraz niedobitki toporników Wulfa z rodzinami. Byli wśród nich Hild, Swain i Sif, ale zabrakło samego Wulfa, który niestety padł w bitwie.

Corban zatrzymał się na moment w cieniu rzucanym przez tunel bramy i przyglądał się zamieszaniu, niespostrzeżony przez nikogo. Wodził wzrokiem po dziedzińcu i zerkał na wielkie, wznoszące się nad nim drzewo. Patrzył na kopułę wieńczącą wielką salę oraz olbrzymie dziury, wybite przez Asrotha i jego latających wojowników.

A teraz jest tu pochowany na zawsze. Żywy czy martwy? Tego nie wiemy. A Meical obok niego.

Westchnął na wspomnienie Ben-Elim. Przypomniawszy sobie ból wywołany jego zdradą.

Ale mimo wszystko powróciłeś do nas, pomyślał. Okazałeś się prawdziwym przyjacielem i popierałeś nas do końca, nawet jeśli musiałeś przez to zwrócić się przeciwko swoim. Będę ci za to zawsze wdzięczny, Meicalu. Żałuję, że nie udało nam się już porozmawiać. Chciałbym, byśmy rozstali się jako przyjaciele.

Podszedł do Farrella i pozostałych, a tam natrafił na kolejne znajome twarze. Widział Edanę, Camlina, Vonna i Conalla, nowego

króla Domhainu, a także olbrzymy – Ethlinn, Balura Jednookiego i Varana.

– Miło nam cię ujrzeć, Jasna Gwiazdo – rzekła Ethlinn i powitała go ukłonem.

– Naprawdę nie ma potrzeby, byś mnie tak nazywała – odparł.

– Narada właśnie dobiegła końca – ciągnęła Ethlinn. – Nie było cię wśród nas, a Ben-Elim pytali o ciebie.

Corban wzruszył ramionami.

– Jesteście zadowoleni z rezultatu rozmów?

Ethlinn powoli pokiwała głową.

– Doszliśmy do porozumienia – rzekła. – Ustaliliśmy, że podzielimy się Drassil. Ta twierdza jest naszą starożytną siedzibą i powrócimy do niej, ale Ben-Elim również pragną tu mieszkać. Ze względu na Asrotha i Meicala.

– Logiczne – rzekł Corban.

– Zgadza się. Jesteśmy ludem myślącym praktycznie, a więc zamieszkamy w Drassil z Ben-Elim. I wspólnie będziemy walczyć z Kadoshim. Odnajdziemy niedobitków i zniszczymy ich!

– A skoro już mowa o Ben-Elim – odezwał się Varan. – Oni mają plany wobec ciebie, Jasna Gwiazdo.

Corban uniósł brew.

– Wspominali coś o godności wojewody.

– Będę polować na Kadoshim – odparł Corban – ale nie dla nich. Nie na ich zasadach.

Balur uśmiechnął się do niego.

– Bez względu na to, co przyniesie przyszłość – odezwała się Ethlinn – między nami na zawsze będzie przyjaźń. Między mną a tobą, między twoim ludem a moim.

Wyciągnęła rękę ku Corbanowi, a on uścisnął jej nadgarstek w pozdrowieniu wojowników.

– Będiesz wspaniałą królową, Ethlinn: piękną, groźną i mądrą! – rzekł.

Balur burknął z aprobatą, a olbrzymka obdarzyła młodzieńca uśmiechem.

– Ech, z twoich ust spływa miód, Jasna Gwiazdo.

– Łatwo jest mówić prawdę – odparł uśmiechnięty Corban. – Bez względu na to, dokąd się udam, zawsze będę nosił was w sercu, moi przyjaciele z rodu olbrzymów. I jeśli będziecie mnie potrzebować, stawię się na waszą prośbę.

– Na nas również możesz liczyć – zagrział Balur. – Wszak to ty zasiałeś ziarno zgody wśród nas. Ty zjednoczyłeś tak wiele ludów, które w innych czasach żywiły wobec siebie wrogość. Wystarczy jedno twoje słowo, a przyjdziemy ci z pomocą.

Edana wystąpiła.

– Dostałam twoją wiadomość – powiedziała. – Naprawdę chcesz zrealizować swój plan?

– Tak. Zbuduję nową osadę na gruzach osady Gramma i zaczniemy tam przekazywać wiedzę. Będziemy uczyć sztuki walki i leczenia ran – oznajmił Corban, czując ekscytację na samą myśl o tym. Gdy spoglądał na wojowników z wielu narodów, którzy połączyli swe siły w walce z Calidusem i Kadoshim, doszedł do wniosku, że szkoda byłoby pozwolić, by tyle wspaniałych stylów walki na powrót zniknęło i zostało zapomnianych po wojnie. Przed wszystkim jednak pragnął w ten sposób upamiętnić i uhonorować Brinę i Gara.

– Wydaje mi się, że to słuszny pomysł – dodał.

– Zawsze kierowałaś się zdrowym osądem – odparła Edana.

– A ty? Jesteś przekonana co do wyniku waszych rozmów?

– Tak – odparła królowa. – Nadszedł czas zmian, ale wierzę w to, że są to zmiany na lepsze. Ponadto po naszym świecie wciąż włączają się Kadoshim i cieszę się, że wezmę udział w obławie.

– Ja też – dodał Conall. – Nie podoba mi się świadomość, że te łajdaki ze skórzastymi skrzydłami ciągle się tu panoszą.

Zadrzał.

– Mnie również – odparł Corban.

– Co do tych z białymi skrzydłami, też nie mam pewności – ciągnął Conall. – Z tymi pięknymi bużkami świetnie by się nadawali do gry w kości. Nigdy nie wiadomo, kiedy blefują.

Corban nie potrafił ukryć uśmiechu, słysząc te słowa.

– Ale najpierw muszę udać się do domu – ciągnęła Edana. – I przebudować Zachód. Ardan i Domhain zbyt długo funkcjonują bez przywódców, a Narvonem i Cambrenem nie rządzi zgoła nikt!

– I co poczniesz w tej sprawie?

– Zaproponowałem pewne rozwiązanie – odezwał się Conall – które wedle mnie ma sporo sensu. Edana powinna wyjść za mnie za męża. Wtedy nie musielibyśmy się kłócić o Cambren i Narvon, bo wszystkie ziemie znalazłyby się pod naszym panowaniem. Co więcej, Edana ma doprawdy śliczne usta, idealne do całowania. Nie mogłem tego nie zauważyć.

Uśmiechnął się szeroko na widok zaskoczonych min, zwłaszcza Corbana, Datha i Farrella. Vonn się skrzywił, a Edana uniosła brwi. Zrobiła krok naprzód i pocałowała Corbana w policzek, a ten nagle nabrał świadomości, że Coralen nie spuszcza z niego oczu.

– Przebyłeś daleką drogę od chwili, gdy zakradłeś się do chaty Briny – szepnęła mu do ucha. – Pomyślnej drogi do domu – oznajmiła, cofając się. – Myślę, że Craf powinien udać się z wami. Trudno o lepszy sposób na utrzymywanie kontaktu.

Oboje spojrzeli na starego kruka, który siedział na ramieniu Camlina. Gdyby ptak potrafił wywrócić oczami, z pewnością by to zrobił.

– Tylko nie rozpieszczajcie tego ptaszyska – rzekł Camlin, gdy Craf z łopotem skrzydeł wylądował na ramieniu Cywen. – Bo wykorzystają to bez litości.

– Wiem – odparł Corban. – Ale nie martw się. Na pewno nie będę go nosił na ramieniu po całych Ziemiach Wygnanych – dodał i uśmiechnął się do Camlina, który odpowiedział przekleństwem.

Wtedy Corban wskoczył na siodło Tarczy, uniosł pięść w powietrze i wyruszył z Drassil na czele swoich stronników. Zadudniły kopyta na bruku, za nimi skrzypnęły piasty wozów. Jeźdźcy wyjechali z tunelu bramy twierdzy, na równinie przed murami skręcili w prawo i ruszyli w górę zbocza ku drodze Jaela. Na samej górze Corban zatrzymał się i spojrzął za siebie, Coralen ściągnęła wodze obok niego, Burza, Buddai i ich potomstwo przystanąły wśród cieni lasu Forn.

Na czele karawany, która wyjechała w ślad za nimi, podążała Sig na swym ogromnym niedźwiedziu. Corban poprosił Ethlinn, by oddała mu któregoś z wojowników. Zależało mu na tym, by wszystkie ludy z hufca Jasnej Gwiazdy miały swoich instruktorów w jego nowej szkole. Ze sposobności z ochotą skorzystała Sig, która stwierdziła, że ma wielką ochotę trzepać ludziom skórę w ramach codziennych ćwiczeń.

Corban miał wrażenie, że olbrzymka nie żartuje.

Karawana powoli przejeżdżała obok niego. Patrzył na Akara i jego Jehar, pozostałości ludu Hild i Uwolnionych Javeda, aż od wozów odłączyło się kilku jeźdźców i zatrzymało się obok niego. Byli to Farrell, Dath, Kulla i Cywen.

Bezwiednie uformowali szereg i spojrzeli na Drassil, skąd naraz wystrzeliło pięć skrzydlatych postaci. Ben-Elim z wdziękiem pomknęli ku Corbanowi i kilka uderzeń serca później wylądowali przed nim, ruchami potężnych skrzydeł podnosząc roje wirujących liści. Na ich czele stał Israfil, nowy dowódca Ben-Elim.

– Co wy wyprawiacie? – zwrócił się do Corbana.

– Odjeżdżamy – odparł młodzieniec.

– Ale nie możecie odjechać! – Israfil zmarszczył brwi, co dziwnie wyglądało na jego obojętnej, pięknej twarzy.

– A ja myślę, że możemy. A dlaczego niby nie?

– Bo powinniście walczyć dla nas! Z Drassil! A ty miałeś poprowadzić oddziały po to, by wypędzić Kadoshim z ich nor!

– Meical mówił, że waszym zadaniem jest chronić, a nie wydawać rozkazy – rzekł Corban. – Po to przybyliście do Ziemi Wygnanych i w tym celu ze wszystkich sił próbowaliście odzyskać materialne postacie. By móc chronić dzieło Elyona! Nas!

Israfil i pozostali Ben-Elim przyglądali mu się z twarzami tradycyjnie pozbawionymi wyrazu. Corban nie miał pojęcia, czy jego słowa zrobiły na nich jakiegokolwiek wrażenie.

– Prawda – rzekł Israfil. – A Elyon dał wam wolność, byście czynili, co chcecie, ale dla większego dobra byłoby najlepiej, gdybyście pozostali w Drassil i walczyli stąd. Wspólnie osiągnęlibyśmy pełniejsze zwycięstwo, a Kadoshim zostaliby szybciej wytepieni.

– Wydaje mi się, że oni cię nie rozumieją, Corbanie. – Farrell westchnął.

– A więc wysłowię się bardziej precyzyjnie – rzekł młody wojownik. – Nie jestem już waszą marionetką. Walczcie z Kadoshim tak, jak wam się to podoba. Ja wydam im wojnę na własnych zasadach.

Przez twarz Israfila przemknął grymas. Spojrzał na pozostałych Ben-Elim, a potem wzruszył ramionami, rozłożył skrzydła i wzbił się spiralą w powietrze. Pozostali skrzydlaci wojownicy jeszcze przez moment przyglądali się zadziornemu człowiekowi, po czym podążyli za przywódcą. Ludzie patrzyli, jak odlatują do fortecy, a gdy Corban miał już zawrócić Tarczę i podążyć w ślad za mijającymi ich wozami oraz konnymi, ujrzał samotnego jeźdźca, który pędził ku nim od bram Drassil.

Był to Veradis w prostym stroju podróznym, choć do siodła przytroczył kolczugę, hełm i tarczę.

– Czyli jednak zgadzasz się – rzekł Corban z uśmiechem.

– Tak! – Veradis wyszczerzył zęby. – Pozostawię Tenebral Albenowi. Będzie o wiele lepszym królem ode mnie.

– Tak, świetnie nadaje się na władcę – zgodził się Corban. – Ma odpowiednio dużo cierpliwości.

– A więc świetnie – rzekł Veradis i podjechał bliżej. Zatrzymał się przy Cywen.

– Cześć – powiedział.

Dziewczyna odpowiedziała mu skinieniem, ale Corban zauważył, że wydawała się szczęśliwsza.

– Chyba przypadli sobie z Cywen do gustu – szepnął Coralen do ucha. – Któreś z nich powinno wreszcie przyznać to na głos.

Zauważył, że Coralen spogląda na niego z niedowierzaniem.

– Co takiego? – spytał, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Stali jeszcze przez moment w szeregu i spoglądali na Drassil, na las kurhanów, na wielkie drzewo, osłaniające konarami całą twierdzę. Corban myślał o zwycięstwach i porażkach, o przyjaźniach i tragediach, o niezliczonych twarzach, które odcisnęły się w jego sercu. Wiedział, że pozostali myślą o tym samym.

Pogrążony w rozmyślaniach, poczuł, jak uwalnia się od wielkiego ciężaru, a na myśl o przyszłości przeszywa go podniecenie.

Czeka nas nowe życie, pomyślał. Natychmiast poczuł ukłucie winy, ale przecież rozpoczęcie nowego etapu nie oznaczało, że to, co działo się wcześniej, przestało mieć znaczenie.

Nigdy nie zapomnę, powiedział sobie.

– Nigdy was nie zapomnę – powtórzył cicho, ale usłyszeli go wszyscy.

– Nigdy – powtórzyli za nim. – Nigdy nie zapomnimy.

Burza wyłoniła się spośród cieni i zawyła, a szczenięta uniosły łebki i zawtórowały matce. Nad polem kurhanów poniósł się żaloszny lament, opowiadający o miłości i stracie.

– Dobra, to przekonajmy się, co można zrobić z tą wolnością, o którą tak długo walczyliśmy – rzekł Corban.

Zawrócili konie i ruszyli w dalszą drogę.

Postacie

Ardan

Brenin – zamordowany król Ardanu, ojciec Edany.

Brina – uzdrowicielka z Dun Carreg, pani zrzędliwego kruka Crafa. Uciekła z Corbanem i Edaną z rzezi Dun Carreg i po wielu dramatycznych przygodach oraz osobistej tragedii dotarła wraz z Corbanem i jego rosnącym hufcem do Drassil, owianej legendami twierdzy olbrzymów w głębi lasu Forn. Zdołała wyjść cało z upadku Drassil i uciec z niewielką grupą popleczników Corbana, by służyć mu jako doradczyni.

Corban – wojownik z Dun Carreg, syn Thannona i Gwenith, brat Cywen. Uciekł z Edaną z rzezi Dun Carreg do Domhainu, po czym udał się do Murias, fortecy olbrzymów z klanu Benothi w poszukiwaniu siostry, Cywen. W Murias ujrzał duchy Kadoshim przejmujące władzę nad wojownikami Jehar, a Calidus zabił jego matkę, Gwenith. Corban postanowił wydać wojnę Asrothowi i jego sługom i poprowadził swój rosnący w siłę hufiec do Drassil, gdzie odkrył, że został oszukany przez Meicala, swego doradcę z Ben-Elim. Przepowiednia, w którą wierzył, okazała się jedynie strategicznym fortem, a on sam tak naprawdę nie był Jasną Gwiazdą. Corban udał się wówczas do lasu, by wszystko przemyśleć, ale został zaatakowany i wzięty do niewoli przez olbrzymy Jotun. Przejęty przez nich, musiał porzuć śmiertelnie ranną wilkunicę Burzę.

Cywen – z Dun Carreg, córka Thannona i Gwenith, siostra Corbana. Wzięta do niewoli przez Calidusa i Nathaira, miała służyć jako przynęta. Ocalona przez Corbana i jego towarzyszy podczas bitwy

o Murias. Udała się do Drassil z Corbanem, a po drodze została uczennicą Briny. Posiadła część dawnej sztuki leczenia.

Dath – rybak z Dun Carreg, przyjaciel Corbana. Uciekł z Edaną z rzezi Dun Carreg i towarzyszył Corbanowi w pościgu za Cywen do Murias, a potem udał się z nim do Drassil, gdzie poślubił Kulę, wojowniczkę Jehar.

Edana – zbiegła królowa Ardanu, córka Brenina. Przetrwała upadek Domhainu, skąd uciekła na okręcie wraz z garstką wiernych przybocznych oraz Roisin. Po dotarciu do Ardanu dołączyła do niewielkiej grupy buntowników, kryjących się na bagnach Dun Crin i powoli pomogła rozpalić ogień powstania. Wygrała wielką bitwę z Evnisem, regentem Ardanu.

Evnis – były doradca i zabójca króla Brenina, ojciec Vonna. Współpracuje z królową Rhin z Cambrenu. Stał się regentem Ardanu i rządził jako prawa ręka Rhin. Poprowadził zbrojny hufiec na bagna Dun Crin, by zdławić rosnący w siłę ruch oporu Edany, ale przegrał bitwę i sam zginął.

Farrell – wojownik, syn Anwartha i przyjaciel Corbana. Uciekł z nim oraz z Edaną z rzezi Dun Carreg. Towarzyszył Corbanowi w wyprawie na północ, poszukiwaniach Cywen i drodze do Drassil. Stał się jednym z najbardziej zaufanych przybocznych Corbana.

Gar – stajenny, tajemny strażnik Corbana. Wojownik Jehar, syn Tukula, władcy Jehar. Uciekł z Corbanem i Edaną z rzezi Dun Carreg, po czym towarzyszył Corbanowi w poszukiwaniach Cywen i udał się z nim do Drassil. Stracił ojca w bitwie o sadybę Gramma. W Drassil zdobył godność władcy Jehar.

Meg – osierocona dziewczynka pochodząca ze wsi na skraju bagien Dun Crin, nad którą roztoczył opiekę Camlin.

Pendathran – wojewoda króla Brenina, ranny podczas rzezi Dun Carreg. Trzymany w niewoli i torturowany przez Evnisa. Uciekł dzięki pomocy Cywen, by później stać się przywódcą rebeliantów w Dun Crin.

Rafe – młody wojownik z drużyny Evnisa. Rywal Corbana z czasów dzieciństwa. Wyszkolony na tropiciela. Był świadkiem ucieczki

Edany z Domhainu. W towarzystwie Braitha udał się do Ardanu, by po tropach Haliona dotrzeć do Edany. Walczył w bitwie pod Dun Crin po przegranej stronie, ale zdołał uciec z życiem. Napił się z kielicha z gwiazdnego kamienia, po czym zapadł w śpiączkę.

Vonn – wojownik, syn Evnisa. Uciekł z Edaną z rzezi Dun Carreg i walczył u jej boku podczas upadku Domhainu, a później w bitwie pod Dun Crin. Sprzeciwił się ojcu, gdy ten próbował namówić go do zdradzenia Edany. Ewnis próbował go później zabić, ale młodego wojownika uratował Camlin, który odebrał regentowi życie celną strzałą.

Cambren

Braith – wojownik i łowczy. Swego czasu przywódca banitów z Ciemnego Boru, niemniej lojalny wobec królowej Rhin. Zabity przez Camlina na bagnach Dun Crin.

Geraint – wojownik, wojewoda królowej Rhin.

Morcant – wojownik, swego czasu pierwszy miecz królowej Rhin, pokonany i zastąpiony przez Conalla. Otrzymał wówczas godność jednego z wojewodów Rhin i został oddany Ewnisowi, by pomóc mu zdusić opór przeciwko Rhin w Ardanie. Poniósł wielką klęskę na bagnach Dun Crin, ale zdołał przeżyć. Wyniesiony do rangi regenta Ardanu.

Rhin – swego czasu królowa Cambrenu, a po podboju Narvonu, Ardanu i Domhainu obwołała się Najwyższą Królową Zachodu. Służy Asrothowi, demonicznemu Panu Upadłych. Poszukuje Evnisa, gdyż uważa, że zna miejsce ukrycia naszyjnika z gwiazdnego kamienia.

Carnutan

Gundul – król Carnutanu i sojusznik Nathaira. Syn Mandrosa, domniemanego zabójcy króla Aquilusa z Tenebralu, zgładzonego przez Veradisa. Buduje drogę przez Forn w nadziei na odnalezienie zaginionej twierdzy Drassil.

Domhain

Baird – jednooki wojownik z Degad, zabójców olbrzymów Ratha. W chwili obecnej przyboczny i obrońca Edany.

Brogan – wojownik z Domhainu, znany również jako Bezkarki. Przyboczny Lorcana, jeden z nielicznych, którzy uciekli z Roisin i Edaną.

Conall – wojownik, nieślubny syn króla Eremona. Brat Haliona i przyrodni brat Coralen. Przyłączył się do Evnisa podczas rzezi Dun Carreg. Rządzi Domhainem w imieniu królowej Rhin.

Coralen – wojowniczką, towarzyszką Ratha. Nieślubna córka króla Eremona, siostra przyrodnia Haliona i Conalla. Towarzyszyła Corbanowi w wyprawie na północ, a potem do Drassil. Uczestniczyła w bitwie o Drassil i zdołała uciec po upadku twierdzy.

Halion – wojownik, pierwszy miecz Edany z Ardanu. Nieślubny syn króla Eremona, brat Conalla i przyrodni brat Coralen. Pojmany przez Conalla, gdy osłaniał ucieczkę Edany. Uwolniony przez brata, powrócił do Ardanu i dołączył do królowej na bagnach Dun Crin.

Lorcan – młody król Domhainu na wygnaniu, syn Eremona i Roisin. Uciekł z Domhainu drogą morską wraz z Edaną. Zmuszony przez intrygi matki do wyboru między nią a Edaną, opowiedział się po stronie Edany i w chwili obecnej jest lojalnym członkiem ruchu oporu.

Roisin – królowa Domhainu, owdowiała żona Eremona, matka Lorcana. Wraz z Edaną uciekła drogą morską z podbitego Domhainu, po czym próbowała zamordować Edaną podczas

bitwy na bagnach Dun Crin. Została skazana przez Edanę na wygnanie.

Helveth

Lothar – ongiś wojewoda Helvethu, obecnie jego władca. Morderca poprzedniego króla, Brastera. Sojusznik Nathaira oraz Calidusa. Buduje drogę przez Forn ku starożytnej twierdzy Drassil.

Isiltir

Dag – łowczy w służbie króla Isiltiru, Jaela. Poniósł klęskę pod murami Drassil i uciekł z Jaelem i grupką niedobitków, których prowadzi przez las Forn ku wolności.

Gramm – handlarz końmi oraz drewnem, władca posiadłości na północy Isiltiru. Ojciec Orgulla i Wulfa, sojusznik Meicala. Zginął w obronie swej osady.

Haelan – zbiegły, nieletni następca tronu Isiltiru. Poszukiwany przez Jaela, ukrywał się w osadzie Gramma na dalekiej północy Isiltiru. Dołączył do hufca Corbana i podążył za nim do Drassil, gdzie został „głównym opiekunem” szczeniąt Burzy i Buddaia.

Hild – jedna z domowniczek Gramma. Żona Wulfa, syna Gramma, matka Swaina i Sif.

Jael – samozwańczy król Isiltiru. Sojusznik Nathaira z Tenebralu. W chwili obecnej przedziera się przez las Forn z garstką niedobitków z wielkiej klęski pod murami Drassil.

Maquin – wojownik elitarnej grupy Gadrai, wzięty do niewoli przez Lykosa z Vin Thalun po upadku Dun Kellen. Jako niewolnik zmuszony do walk w jamach, był bliski wywalczenia sobie wolności. Zbiegł podczas zamieszek w Jerolin, stolicy Tenebralu, w dniu ślubu Lykosa, zabierając ze sobą Fidele, dawną regentkę Tenebralu i żonę Lykosa. Po pokonaniu wielu trudności

i niebezpieczeństw dotarli do Ripy, twierdzy na południu Tenebralu, rządzonej przez nienawidzącego Vin Thalun Lamara. Podczas dramatycznej ucieczki między Maquinem a Fidele zrodziła się miłość. Wojownik odniósł ciężką ranę i balansował na granicy śmierci, skąd wrócił tylko dzięki uczuciu do Fidele i żądzy zemsty na Lykosie i Jaelu. Znowu pojmany i torturowany przez Lykosa, został przejęty przez Veradisa i zabrany do Brikan w lesie Forn, gdzie miał zostać osądzony przez Nathaira. W krytycznym momencie został uwolniony przez Veradisa.

Sif – dziecko z osady Gramma. Córnka Wulfa i Hild, siostra Swaina.

Swain – dziecko z osady Gramma. Syn Wulfa i Hild, brat Sif.

Tahir – wojownik z elitarnej grupy Gadrai, obrońca Haelana, nieletniego króla Isiltiru. W hufcu Corbana dowodzi wojownikami z Isiltiru.

Trigg – osierocona dziewczynka wychowywana w osadzie Gramma. W jej żyłach płynie krew olbrzymów. Pomaga Haelanowi uciec siepaczom Jaela po upadku osady Gramma, ale później zdradza Calidusowi lokalizację Drassil, przez co trudno sprecyzować jej lojalność.

Wulf – wojownik, syn Gramma, brat Orgulla, mąż Hild, ojciec Sif i Swaina. Jeden z dowódców w hufcu Corbana.

Narvon

Camlin – banita z Ciemnego Boru, towarzysz Edany, z którą uciekł drogą morską z Domhainu. Osłaniając jej ucieczkę na okręt, zwarł się w walce z Braithem. W Ardanie został przewodnikiem Edany, w czym przydało się jego doświadczenie tropiciela i banity. Na bagnach Dun Crin znowu zmierzył się z Braithem, którego zabił, a po bitwie zgładził również Evnisa.

Drust – wojownik, przyboczny Owaina. Dzięki pomocy Cywen przeżył klęskę wojsk Owaina i dołączył do rosnącego ruchu oporu w Ardanie, gdzie został jednym z dowódców.

Owain – król Narvonu. Dzięki pomocy Nathaira, króla Tenebralu, zdobył Ardan, ale został stracony na rozkaz Rhin po tym, jak jego armia uległa Cambrenowi.

Teca – kobieta z leżącej na północy narvońskiej wsi. Uciekłszy przed Nathairem i Kadoshim, dołączyła do armii Corbana.

Uthan – księżę Narvonu, syn Owaina. Zamordowany przez Evnisa na rozkaz Rhin.

Tarbesh

Akar – kapitan świętych wojowników Jehar, podróżujących z Veradisem. Po bitwie o Murias dołączył do Corbana, a po śmierci Tukula stanął do walki o godność przywódcy wszystkich Jehar, ale przegrał pojedynek z Garem. Został jednym z najcenniejszych dowódców w hufcu Corbana.

Ilta – wojowniczką Jehar, złapana podczas próby zamordowania Nathaira po upadku Drassil. Uwolniona przez Calidusa, by przekazała wiadomość Corbanowi.

Javed – niewolnik i gladiator więziony przez Vin Thalun, wyzwolony przez Corbana. Służy pod jego rozkazami jako przywódca Uwolnionych.

Kulla – wojowniczką Jehar, podróżująca z Akarem, która przyłączyła się do Corbana. Wyszła za mąż za Datha, przyjaciela Corbana.

Sumur – przywódca świętych wojowników Jehar.

Tukul – wojownik Jehar, przywódca Setki oraz ojciec Gara. Zginął w bitwie pod osadą Gramma z ręki Ildaera, przywódcy wojennego olbrzymów Jotun.

Tenebral

Agost – dowódca przybocznych Fidele.

Alben – zbrojmistrz i uzdrowiciel z Ripy. W chwili obecnej towarzyszy Krelisowi i hufcowi z Ripy w lesie Forn.

Arcus – wojownik z Ripy, który przebył drogę do lasu Forn i Drassil.

Atilius – wojownik z Tenebralu. Walczył pod rozkazami Peritusa w powstaniu przeciwko Vin Thalun. Pojmany przez Vin Thalun, został przykuty do wiosła na galerze. Przystał do hufca Corbana, ale padł w walce z olbrzymami Jotun.

Caesus – wojownik orlej gwardii, a teraz wysoki rangą dowódca w hufcu Nathaira.

Ektor – syn Lamara z Ripy, brat Krelisa i Veradisa. Jedyny uczony wśród braci. Potajemnie zawarł pakt z Calidusem i ponosi odpowiedzialność za śmierć swego ojca Lamara. Zabity przez własnego brata Krelisa.

Fidele – wdowa po królu Aquilusie, matka Nathaira. Przez pewien czas regentka Tenebralu. Lykos użył czarnej magii, by nią zawładnąć i zmusić do posłuszeństwa, a w końcu również poślubić. W dniu ich ślubu doszło jednak do zamieszek, w wyniku których urok stracił moc. Fidele dźgnęła Lykosa nożem i dzięki pomocy Maquina zdołała zbiec w ogólnym zamieszaniu. Podczas ucieczki zakochała się w Maquinie, a później została przywódczynią buntowników w Tenebralu, walcząc z Vin Thalun. Udała się do Brikan, by przemówić przeciwko Lykosowi i Vin Thalun przed swym synem, ale sama została oskarżona i uwięziona. Z lochów wyciągnął ją Veradis, po czym uciekła do lasu Forn z Maquinem, Krelisem, Albenem i hufcem z Ripy.

Krelis – wojownik, syn Lamara z Ripy, brat Ektora i Veradisa. Został władcą Ripy po śmierci swego ojca, Lamara. Udał się do Brikan, by przed obliczem Nathaira oskarżyć Vin Thalun o bezprawne działania. Wtrącony do lochu, został uwolniony przez swego brata, Veradisa. Wraz z jego hufcem uciekł do lasu Forn.

Lamar – baron Ripy, ojciec Krelisa, Ektora i Veradisa. Zabity podczas spotkania pod jarzębiną.

Marcellin – baron Ultas, wyniesiony do godności regenta Tenebralu.

Nathair – król Tenebralu, syn Aquilusa i Fidele. Sprzymierzony z królową Rhin z Cambrenu. Swego czasu żył w przekonaniu, iż

jest Jasną Gwiazdą, zwiastowanym w przepowiedni czempionem Elyona, ale tak naprawdę jest Czarnym Słońcem, wybrańcem Asrotha. Przejął kocioł z gwiazdnego kamienia, poznał lokalizację twierdzy Drassil i zdobył ją w niespodziewanym ataku. W chwili obecnej rezyduje w Drassil.

Pax – syn Atiliusa. Młody wojownik pojmany podczas powstania w Tenebralu i wraz z ojcem zmuszony do wiosłowania na pirackiej galerze. Pomógł Corbanowi w ucieczce przed oddziałem olbrzymów Jotun w puszczy za murami Drassil. Widział śmierć swego ojca, a potem został wysłany przez Corbana, by ściągnąć pomoc.

Peritus – ongiś wojewoda Tenebralu, potem przywódca ruchu oporu przeciwko Lykosowi i jego Vin Thalun. Zabity przez Ektora w podziemiach pod Brikan.

Spyr – przyboczny Fidele.

Veradis – pierwszy miecz i przyjaciel króla Nathaira. Syn Lamara z Ripy, brat Ektora i Krelisa. Dowodził hufcem, który odegrał decydującą rolę w pokonaniu Owaina z Narvonu i Eremona z Domhainu. Następnie został odesłany do Tenebralu, by uporać się z powstaniem wznieconym przeciwko Vin Thalun. Podczas zorganizowanego przez niego spotkania pod jarzębiną doszło do zamieszania, w którym ojciec Veradisa, Lamar, padł na jego własny miecz i zginął. Veradis zabrał wówczas przywódców powstania do Brikan w lesie Forn, by przedstawili swoje żądania przed królem Nathairem. Tam wreszcie odsłonięto przed nim całą prawdę – zrozumiał, że Nathair nie jest Jasną Gwiazdą, ale w rzeczywistości służy Calidusowi, który jest Kadoshim, sprzymierzonym z Asrothem, władcą Upadłych. Wówczas uwolnił swego brata Krelisa oraz Fidele i Maquina z lochów pod Brikan, a potem próbował zabić Calidusa. Próba spełzła na niczym, a wojownika ocalił olbrzym Alcyon.

Trzy Wyspy

Lykos – władca Vin Thalun, pirackiego narodu, który zamieszkuje Trzy Wyspy: Panos, Pelset i Nerin. Złożył przysięgę na wierność Asrothowi, realizuje cele Calidusa. Ustanowiony regentem Tenebralu przez Nathaira, wykorzystał magię, by przejąć kontrolę nad Fidele, matką Nathaira, a później ją poślubić. Poprowadził armię Vin Thalun do lasu Forn, gdzie odegrał kluczową rolę w zdobyciu Drassil.

Klany olbrzymów

Benothi

Balur Jednooki – olbrzym Benothi, który połączył siły z Corbanem i jego drużyną podczas bitwy w Murias. Odebrał Alcyonowi topór z gwiazdnego kamienia. Dowodzi olbrzymami w armii Corbana, choć odniósł poważną ranę podczas bitwy o Drassil.

Eisa – olbrzymka Benothi, towarzysza Uthasa.

Ethlinn – olbrzymka Benothi, córka Balura Jednookiego, zwana również Śniącą. Przybyła do Drassil z armią Corbana.

Fachen – wojownik Benothi pod rozkazami Ethlinn i Balura.

Laith – młoda olbrzymka, jedna z ocalałych z bitwy o Murias, która dołącza do Corbana. Zostaje przyjaciółką i ukochaną Farrella.

Nemain – królowa Benothi. Zdradzona i zabita przez Uthasa.

Salach – olbrzym Benothi, przyboczny Uthasa.

Uthas – olbrzym Benothi, potajemny sojusznik królowej Rhin z Cambrenu. Zabójca królowej Nemain, samozwańczy władca Benothi. Marzy o zjednoczeniu klanów olbrzymów i obwołaniu się ich królem.

Jotun

Eld – władca Jotun, przezorny i przebiegły.
Hala – olbrzymka Jotun, uzdrowicielka i doradczyni Elda.
Ildaer – przywódca wojenny Jotun.
Mort – dowódca hufca Ildaera.
Sig – przyboczna Elda, władcy Jotun.
Varan – wojownik z hufca Ildaera.

Kurgan

Alcyon – sługa i strażnik Calidusa.
Raina – matka Taina i zaginiona żona Alcyona.
Tain – młody syn Rainy i Alcyona.

Ben-Elim

Adriel – wojownik Ben-Elim.
Israfil – wojownik Ben-Elim.
Meical – dowódca zastępów Ben-Elim. Wybrany, by opuścić Zaświat i wyruszyć do Ziem Wygnanych, by tam przybrać ludzkie ciało i przygotować ludzkie królestwa do nadciągającej wojny.

Kadoshim

Asroth – demoniczny Pan Upadłych.
Calidus – dowódca zastępów Kadoshim, podległy jedynie woli Asrotha. W ludzkim ciele zstąpił do Ziem Wygnanych, by utorować drogę Asrothowi. Zawzięty wróg Meicala z Ben-Elim.
Legion – hufiec duchów Kadoshim, które przejęły ciało jednego z wojowników Jehar, nim zamknięto przejście przez kocioł podczas bitwy o Murias.



ziemie
wugnanych